

LEOPOLD UNGER

# ORZEŁ I RESZTA

(WIDZIANE Z BRUKSELI)

INSTYTUT  
PARYŻ



LITERACKI  
1986

## ORZEŁ I RESZTA

BIBLIOTEKA « KULTURY »  
TOM 416

ISBN 2-7168-0081-2

IMPRIME EN FRANCE

---

Editeur: INSTITUT LITTERAIRE, S.A.R.L.,  
91, avenue de Poissy, Le Mesnil-le-Roi  
par 78600 MAISONS-LAFFITTE

LEOPOLD UNGER

# ORZEŁ I RESZTA

(WIDZIANE Z BRUKSELI)

*Ungerom*

INSTYTUT

PARYŻ



LITERACKI

1986

TEOTOLDI I VGER

ATENA I BRANO

## JAK „WIDZIEĆ Z BRUKSELI”?

Moi rodzice urodzili się i pobrali w Austrii, budowali byt od zera (pierwsza światówka wszystko Ungerom zabrała) i założyli rodzinę w Polsce, zginęli w hitlerowskich Niemczech, pochowani są w nieznanym grobie w Związku Sowieckim... wszystko to bez zmiany adresu zamieszkania przy ul. Gródeckiej 99 we Lwowie.

Mój jedyny brat urodził się w tym samym miejscu w Austrii, studiował i ożenił się w Polsce, „spędził” trzy lata na Kołymie w Związku Sowieckim, przeszedł jako podporucznik armii Andersa cały szlak aż po śmierć pod Bolonią. Żydowski podporucznik polskiego wojska poległ na ziemi włoskiej pod rozkazami angielskiego marszałka, Leon Unger leży pochowany jako pierwszy (jedyne oficer) wśród kilku żydowskich grobów na polskim cmentarzu wojskowym w Loreto pod Ankoną.

Ja urodziłem się pod tym samym adresem we Lwowie, ale już w niepodległej Polsce. Z tego samego domu wyszedłem mając lat siedemnaście w 1939 roku na moje pierwsze uchodźstwo polityczne, do Rumunii naturalnie. Byłem zupełnie sam na świecie, kiedy wróciłem w 1948 roku do komunistycznej Polski i kiedy Lwów był już stolicą zachodniej Ukrainy. Dlatego to w Warszawie, znowu od zera (druga światówka wszystko i wszystkich Ungerów zabrała), zacząłem budować byt i rodzinę. Udała mi się tylko — ale za to nadzwyczajnie — rodzina. Albowiem tzw. wiatr dziejów, czyli lata 1967-1969, znowu wszystko Ungerom (poza życiem) zabrał i znowu rzucił w uchodźstwo polityczne. Tym razem na zachód, do Belgii, gdzie po raz trzeci, i mam nadzieję — choć nie pewność — że ostatni, Ungerowie zaczęli od zera budować itd...

W ciągu czterdziestu lat mojego czynnego życia nigdy nie uprawiałem innego zawodu niż dziennikarstwo. Pierwsza faza, rumuńska (1946-1948) zakończyła się, kiedy dyrektor PAP wyrzucił mnie za to, że jako korespondent PAP w Bukareszcie „zachowywałem się niezgodnie ze wzorami socjalistycznego dziennikarstwa”. Druga faza, polska, zamknęła się, kiedy po dziewiętnastu

latach okresami pasjonującej pracy zostałem w kilka sekund wyrzucony z *Życia Warszawy* za akcję zmierzającą do „ideologicznego zatrucia zespołu”. Trzecia faza zaczęła się w 1969 roku w Belgii i jeszcze trwa...

Drukuję w kilku językach, czytany jestem w wielu krajach, w dziennikach i periodykach, występuję w radio i telewizji. Uważam, że dziennikarstwo to zawód, a nie powołanie ani misja, że ułatwić ma nie naprawę świata, zwłaszcza na idealny i na siłę, a jego zrozumienie i demystyfikację. Mój rodowód sprawił, że jestem sceptyczny a nawet nieufny wobec wszelkich prób ideologicznego ratowania ludzkości. Moje doświadczenie nauczyło mnie, że istnieje tylko jeden prawdziwy podział na świecie: za czy przeciw wolności, za czy przeciw totalitaryzmowi. Reszta to folklor. Dlatego staram się przekonać moich czytelników, że jeżeli chcą, a będą musieli za cenę życia, sprostać wyzwaniom bezwzględne-go świata, to powinni ten świat poznać, ale świat bez maski.

W ciągu ostatnich siedemnastu lat wydrukowałem kilka tysięcy artykułów, dostałem dwie dziennikarskie nagrody *Kultury*, dorobiłem się pozycji, gdzie „pukanie dochodzi tylko z dołu”, doczekałem się hasła w „Who is Who” i w „Słowniku Belgów”, określającym mnie jako „specjalistę od komunistycznej Europy, który dzięki swym źródłom i jakości analizy odgrywa rolę inspiratora sporej części prasy zachodnioeuropejskiej”, ale nie mam złudzeń — maski nie spadły.

Esaje „Brukselczyka” w *Kulturze* (i ich książkowy wybór) wyrażają to samo widzenie rzeczywistości i dziennikarstwa. Zajmują bardzo ważne miejsce (nie tylko zawodowe, a na pewno nie lukratywne) w moim życiu, choć stanowią tylko niewielki epizod w eposie *Kultury*, którą już dawno ktoś powinien być zacząć pisać. Stąd, skromnie, dziś tylko kilka uwag o trudnościach czytania „Brukselczyka” w książce.

Pierwsza trudność, to określenie gatunku. Co to jest „Brukselczyk”: artykuł, felieton, esej czy po prostu kawałek, jak to określili jeden z czytelników? Według Kopalińskiego, esej (z łac. „ważenie, próba wagi”) to „krótka rozprawa, utwór lit-publicystyczny na różne tematy”. Felieton zaś (od fr. „feuilleton”: płatek, arkusz papieru) to „utwór literacko-dziennikarski w formie lekkiej i zajmującej”. Według Słownika Języka Polskiego, esej to „krótka rozprawka nie wyczerpująca tematu, napisana stylem lekkim”. Felieton zaś to „drobny artykuł publicystyczny utrzymany w lekkiej i żywej formie”.

Pasuje do „Brukselczyka”? Lekki? Może. Krótki? Zależy. Drobny? Wątpliwe. Różne tematy? Tak. Literacki? Chyba nie. Żywa forma? Przypuszczam. Zajmujący? Ba. Nie wyczerpuje tematu? Na pewno nie. Publicystyczny? Na pewno tak. Pogodził wszystkich, jak to już nieraz bywało, kiedy miałem wątpliwości, Broński. „To jest — zdecydował — esej publicystyczny”. I tak niech zostanie.

Druga trudność, to kryteria wyboru. Nie było żadnych. Sam

wybierałem, to bolesne zajęcie, wszystkie „kawałki” wydają się genialne, każdy odrzut to amputacja żywej tkanki. Z ponad stu „widzianych z Brukseli” do wydania książkowego weszła tylko jedna czwarta. Ktoś inny dokonałby zapewne innego, może lepszego wyboru. Ale ten jest mój. Podobnie jak układ nie chronologiczny, a rzeczowy. To także operacja bolesna. Poprzestawiałem kolejność i porządek tak, aby zgrupować tematy (Zachód a Polska, Europa, ZSSR, Żydzi itd.), co powinno, wydaje mi się, ułatwić czytanie albo ... nieczytanie.

Trzecia trudność to ryzyko pisania o polityce z dużym wyprzedzeniem. Cztery tygodnie, jakie dzielą dzień wysyłki *Kultury* do czytelników od chwili postawienia kropki pod „Brukselczykiem” stanowią wystarczającą próbę czasu, aby ośmieszyć najbardziej ostrożnego kronikarza politycznego. A co dopiero wydanie książkowe publicystyki, pisanej czasem przed kilku laty! Każdy z moich esejów miał przecież dalszy ciąg dopisany przez życie i historię. Często zgodny z moimi rozmyślaniami, czasem sprzeczny. Zachód a sprawa polska czy upadek ONZ, szpiegostwo czy terroryzm, Żydzi czy polityka w sporcie, żaden z tematów nie stanął w miejscu tylko dlatego, że ja w pewnej chwili zakleiłem kopertę z adresem Jerzego Giedroycia w Maisons-Laffitte.

Czwarta trudność to uczciwość w publicystyce. W tym co zostało z „Brukselczyka” nie zmieniłem ani zdania. Jeżeli się myliłem to w szczegółach, rzadko w ocenie i skali zjawiska. Myślałem np., że polski papież u stóp pomnika w warszawskim getcie zamknie znakiem symbolicznego pojednania tysiąc lat niezwykłej historii polsko-żydowskiej. Nie zamknął, nie pojednał, polski sowietyzm na to nie pozwolił. Pisałem, że „nieczysty” Kasparow nie może zostać mistrzem świata. Został! Została także „nienawiść do przeciwnika”, bez której nie można zdobyć tytułu. Opisałem jak „główna pracuje” w Moskwie nad wyrwaniem zachodowi jego tajemnic technologicznych i wojskowych. Od tego czasu wyszły *bestseller*'y (niestety nie moje, ale za to wyraźnie „inspirowane”) na wszystkie „moje” tematy. Wynika z nich, że mimo zarzucanej mi czasem gwałtowności języka, karykatury opisu, przesady w analizie, niektóre tematy „widziane z Brukseli” stanowiły, w mojej wersji, tylko blade odbicie rzeczywistości. O rozdziale „Zachód a Polska” nie należy nawet wspominać. „Szlaby w górę — obrzydzenie w dół” pisałem, ale nie przewidziałem tej samobójczej fascynacji generałem w ciemnych okularach, jaka opanowała nie tylko graczy politycznych typu Brandt, Papandreu czy Mitterrand, ale także naprawdę wolnych dziennikarzy z największych gazet czy telewizji zachodnich.

Ale to już jest temat do następnych „Brukselczyków” i do następnej książki, być może. Ta, którą dziś *Kultura* oddaje w ręce czytelników, pisana była przez siedemnaście lat. Następną, mam nadzieję, wyjdzie szybciej.

I ostatnia uwaga. Dwukrotnie, o ile mi wiadomo, wydawnictwa podziemne w Polsce podejmowały próbę wydania ich



własnego wyboru „widzianych z Brukseli”. Dwukrotnie, znowu o ile mi wiadomo, policji udało się w tym przeszkodzić. Mam nadzieję, że policji nie uda się przeszkodzić w dotarciu tego tomu do czytelników w Polsce. Bardzo się będę o to starał. Reszta zależy od pewnej dozy szczęścia i kilku ludzi. Ani jedno ani drugie w ważnych naprawdę chwilach mnie nie zawiodło.

*BRUKSELCZYK — LEOPOLD UNGER*

Pisane 15 marca 1986

**NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN**



## MÓJ ANTY-RAPORT O STANIE WOJENNYM

### *Okładka:*

*Z lewej strony:* „Narody Zjednoczone, Rada Gospodarcza i Społeczna. Komisja Praw Człowieka, 39 sesja, 31 stycznia - 11 marca 1983. Punkt 12 porządku dziennego”.

*Z prawej strony:* „Rozdzielnik ogólny. E(CN) 4/1983/18  
21 luty 1983. Oryginał: angielski”.

### *Tytuł główny:*

„Sprawa gwałcenia praw człowieka i podstawowych swobód, gdziekolwiek na świecie, ze szczególnym uwzględnieniem krajów i obszarów kolonialnych i zależnych”.

### *Podtytuł:*

Raport o sytuacji w Polsce, przedstawiony przez p. Hugo Gobbi, zastępcę sekretarza generalnego ONZ.

### *Na dole:*

GE. 83-11111.

### *Spis rzeczy (Na verso okładki):*

I. Wstęp, II. Informacje (*communications* po francusku) otrzymane od rządu polskiego. III. Zestaw podstawowych faktów w Polsce po proklamowaniu stanu wojennego. IV. Twierdzenia (*allégations* po francusku) zawarte w informacjach otrzymanych ze źródeł nierządowych. V. Wnioski. Razem stron 17 (ostatnia niepełna).

*Pięć załączników:* I. Dekret o stanie wojennym. II. Ustawa o związkach zawodowych. III. Przemówienie radiotelewizyjne gen. Jaruzelskiego z 12 grudnia 1981. IV. Ustawa o zawieszeniu stanu wojennego z 18 grudnia 1982. V. Memorandum rządu polskiego przekazane sekretarzowi gen. ONZ w Nowym Jorku 22 grudnia 1982. Razem stron 52.

Całość — 69 stron, warta jest bliższego poznania. Ze wstępu dowiadujemy się (co niektórzy wiedzą, ale zawsze warto przypomnieć), że:

1) na swojej 39 sesji, 10 marca 1983 roku, Komisja, „głęboko przejęta wiadomościami o łamaniu praw człowieka w Polsce”, uchwaliła, 18 głosami za, przy 13 przeciw i 10 wstrzymujących się, rezolucję zalecającą sekretarzowi generalnemu ONZ opracowanie (osobiście lub poprzez osobę do tego wyznaczoną) wszechstronnego studium na temat sytuacji praw człowieka w Polsce, wyrażając przy tym pragnienie „aby rząd polski w tym dziele współpracował”;

2) wychodząc z założenia, że „w Polsce nie zachodzą fakty masowego gwałcenia praw człowieka”, delegat Polski uznał tę rezolucję za „jawne pogwałcenie Karty Narodów Zjednoczonych, jaskrawą ingerencję w wewnętrzne sprawy socjalistycznego państwa i prowokację polityczną”, wobec czego jest ta rezolucja „nielegalna, nieważna, politycznie szkodliwa i moralnie dwulicowa”, w związku z czym rząd polski odmawia współpracy w jej wykonaniu;

3) 21 grudnia 1982 sekretarz generalny ONZ wyznaczył p. Hugo Gobbi, zastępcę sekretarza generalnego ONZ, do „zbadania w jego imieniu sytuacji w Polsce”;

4) 3 stycznia 1983 p. Gobbi skierował list do przedstawiciela PRL, w którym informuje go o swej misji i podkreśla, że w jej wykonaniu zdecydowany jest przestrzegać „maksimum bezstronności i obiektywizmu”, w związku z czym liczy na pomoc rządu polskiego i wyraża zamiar udania się do Polski w drugiej połowie stycznia;

5) 6 stycznia 1983 przedstawiciel Polski odpisał p. Gobbi, że aczkolwiek „rząd polski niezwykle sobie ceni stosunki z sekretarzem generalnym ONZ” i „nieodmiennie przestrzega zasad międzynarodowych”, to jednak rezolucję z 10 marca 1982 uważa nadal za „nielegalną, niebyłą, szkodliwą i dwulicową” i ponawia „odmowę Polski brania udziału w jej realizacji w jakiegokolwiek formie”;

6) P. Gobbi nie mógł udać się do Polski w proponowanym terminie;

7) ale zredagował swój raport w oparciu, z jednej strony, o *communications* rządu polskiego i, z drugiej strony, o *allégations* rozmaitych organizacji międzynarodowych, takich jak np. Międzynarodowa Organizacja Pracy, Czerwony Krzyż, Światowa Federacja Wolnych Związków Zawodowych, a także, jak wynika z tekstu sprawozdania, z opracowań Amnesty International oraz prasy.

Część II zawiera dokumenty przesłane przez rząd gen. Jaruzelskiego (znane, nie warto ich przypominać), część III — zestaw faktów po 13 grudnia, które p. Gobbiemu wydały się zasadnicze (też znane i też nie warto przypominać). Część IV zawiera „twierdzenia” (*allégations*) ze źródeł nie rządowych (też znane i też nie warto przypominać, każdy czytelnik prasy codziennej wie na ten temat znacznie więcej niż p. Gobbi).

Część V zawiera wnioski p. Gobbi. Zanim je jednak zrefekuję, zauważę tylko, że wszystkie załączniki (52 strony) są oficjalnymi dokumentami rządu polskiego i ani jeden nie pochodzi ze źródeł niezależnych, np. „Solidarności” czy organizacji twórczych, czy choćby Kościoła, źródła co najmniej równie *credible* co gęsto cytowany rzecznik gen. Jaruzelskiego.

### *Moralnie nieobojętne*

W tym tzw. kontekście nic dziwnego, że wnioski p. Gobbi stanowią dokument unikalny, nawet jak na Narody Zjednoczone (do których jeszcze obszernie powrócimy). Wnioski zastępcy sekretarza gen. ONZ składają się z 9 (dosłownie — dziewięciu) paragrafów. W oficjalnym dokumencie przeznaczonym dla Komisji Praw Człowieka ONZ zastępca sekretarza generalnego oświadcza, co nie jest zaskoczeniem, że nie mógł się udać do Polski, i że nie był wobec tego w stanie osobiście sprawdzić *allégations*. Zmuszony więc był ograniczyć swą analizę sytuacji w Polsce do jej aspektów „normatywnych”, to znaczy do sposobu w jaki postępowanie władz polskich w dziedzinie praw człowieka ma się — ich własnym zdaniem — do niektórych paktów międzynarodowych z tej samej dziedziny. Bez zbędnego cytowania prawnych wywiasów słownych, „wnioski” p. Gobbi sprowadzają się do:

1) przytoczenia tezy rządu polskiego o tym, iż jego postępowanie jest zgodne z jego własną konstytucją i paktami międzynarodowymi, do których on przystąpił,

2) zawiadomienia, że parlament polski zaaprobował dekret o stanie wojennym, oparty o polską konstytucję i o międzynarodowe porozumienia na temat praw człowieka,

3) wyrażenia zadowolenia, że niektóre „kroki pozytywne” zostały już podjęte przez rząd warszawski i wyrażenia nadziei, że dalsze takie kroki zostaną podjęte,

4) wyrażenia żalu, że „nie było możliwe przeprowadzenie jakiegokolwiek badania dotyczącego więźniów politycznych, a to z powodu niemożności sprawdzenia sytuacji na miejscu, w bezpośrednim porozumieniu z zainteresowanymi, a przede wszystkim z rządem polskim”.

Krótko mówiąc, i to jest już *mój wniosek*, p. Gobbi, zastępca sekretarza generalnego ONZ, autor 69-stronicowego raportu o sytuacji w Polsce, nie był w stanie stwierdzić w marcu 1983 roku czy internowanie, aresztowanie, torturowanie, strzelanie do strajkujących robotników lub manifestujących studentów, zawieszanie i rozwiązywanie stowarzyszeń itd. itp. stanowiło lub nie stanowiło aktu gwałcenia praw człowieka.

Nie tylko ja, ale i część Komisji Praw Człowieka ONZ, byliśmy „niemile zaskoczeni” jakością raportu p. Gobbi. Kiedy więc w marcu 1983 roku p. Gobbi swój „raport” Komisji przedstawił, jej większość uznała, mówiąc delikatnie, że jest on do kitu i obraża (to *moje* sformułowanie) rozum i godność ludzką. Toteż, mimo prób podjętych przez takie miłujące demokrację i prawa ludzkie państwa jak Kuba, Nikaragua i Mozambik, aby dyskusję nad sprawą Polski zamknąć, przerwać lub choćby odroczyć, Komisja postanowiła 19 głosami za, przeciw 14, przy 10 wstrzymujących się, zlecić sekretarzowi generalnemu ONZ lub też „osobie, którą on wyznaczy”, to jest powtórnie p. Gobbi, „zaktualizowanie i skompletowanie” raportu i przedstawienie nowej wersji na 40 sesji w roku 1984, daty skądinąd symbolicznej.

Orwellowskie skojarzenia spotęgowała lektura oficjalnego sprawozdania ONZ z przebiegu marcowej sesji. Oto bowiem niektóre delegacje uznały za wskazane wyłuszczyć powody swego głosowania. Delegat bułgarski był przeciw, bo rezolucja (a nie strzelanie do papieży) stanowi ingerencję w sprawy wewnętrzne suwerennego państwa. Dyplomata z Zimbabwe uznał, że ONZ powinna pozostawić Polsce swobodę rozwiązywania jej spraw wewnętrznych (tak jak im w mordowaniu opozycjonistów). Dla Mozambiku, gdzie rządzi Kuba i NRD, rezolucja jest „nieuczciwa i nie do przyjęcia”, absolutnie suwerenna Ukraina uznała rezolucję ONZ za próbę zdyskredytowania socjalizmu.

Najlepsi byli, jak było do przewidzenia, delegaci ZSSR i Pol-

ski. P. Zorin, weteran bojów o prawa człowieka, opieprzył... p. Gobbi za to, że jego raport zredagowany został w oparciu o doniesienia prasy zachodniej i informacje ze źródeł nierządowych. P. Sokalski natomiast uznał, że nowa rezolucja jest recydywą, stanowi akt nieprzyjazny Polsce, która jest wszak jednym z najbardziej lojalnych członków ONZ. Widocznie zmęczony, P. Sokalski ograniczył się do powtórzenia znanego już nam zdania o tym, że rezolucja jest „niebyła, moralnie szkodliwa i dwulicowa” oraz ponowił odmowę swego rządu współpracy z Komisją, albowiem jest to sprawa „politycznej i moralnej uczciwości”. Słowo „moralność” pojawiało się w ogóle szalenie często w ustach przedstawiciela warszawskiej władzy wojskowej, ale dopiero w zakończeniu zdobył się on na wielką naprawdę improwizację. Ponieważ nie bardzo, nawet w ONZ, mógł on wystąpić w imieniu narodu polskiego, przeto p. Sokalski powołał się na „szlachetne tradycje historii Polski, jej odwieczną tolerancję, zasady socjalistycznej demokracji i nienaruszalne przywiązanie do zasad Karty Narodów Zjednoczonych”. Wszystko po to, aby odrzucić rezolucję Komisji teżże ONZ.

Dla całości obrazu i dla historii podajmy, ku pamięci, spis państw, które głosowały za, przeciw i obok. Za rezolucją: Australia, Kanada, Kolumbia, Costa Rica, Fidzi, Francja, Gambia, RFN, Irlandia, Włochy, Japonia, Meksyk, Holandia, Filipiny, Senegal, Togo, Anglia, USA i Urugwaj.

Przeciw: Bułgaria, Chiny, Kuba, Ghana, Indie, Libia, Mozambik, Nikaragua, Ukraina, ZSSR, Tanzania, Jugosławia, Zimbabwe, no i Polska.

Wstrzymały się: Argentyna, Bangladesz, Brazylia, Cypr, Finlandia, Jordania, Pakistan, Ruanda, Uganda i Zair.

Tyle byłoby chronologii polskiej sprawy w Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie i tak się sprawa utrzyma do sesji w 1984 roku. Ponieważ p. Gobbi jest w trakcie uaktualniania swego sprawozdania, przeto wydaje się nam celowe sformułowanie najpierw kilku pytań w sprawie raportu polskiego, a potem umiejscowienie go w tzw. szerszym kontekście ONZ w ogóle. Ani raport, ani p. Gobbi, ani Komisja w Genewie nie są bowiem, jak się okaże, zjawiskami wyjątkowymi.

Oto więc seria pytań polskich.

1) Dlaczego to dopiero w grudniu 1982 roku, 10 miesięcy po uchwaleniu rezolucji, sekretarz generalny mianował p. Gobbi?

2) Jakiej jakości raport mógł p. Gobbi zredagować w ciągu 2-ch miesięcy, które miał do dyspozycji przed otwarciem sesji w Genewie?

3) Dlaczego sekretarz generalny ONZ wyznaczył do tej deli-



katnej misji akurat dyplomatę z Argentyny, kraju, który nie ma specjalnego dorobku (a raczej ma) w dziedzinie poszanowania praw człowieka u siebie, a ponadto kraju, który aktualnie z uwagi na sojusze jakie się ujawniły w okresie bitwy o Falklandy, dryfuje akurat w stronę bloku wschodniego ze Związkiem Sowieckim na czele?

4) Dlaczego, starając się o „współpracę władz polskich”, p. Gobbi nie wystąpił nawet o wizę? (zupełnie jak ów Izraelita, który prosił Boga o wygraną na loterii, ale nie chciał kupić losu).

5) Dlaczego, zważywszy, iż rząd polski odmówił współpracy, p. Gobbi załączył wyłącznie oficjalne dokumenty, a nie np. opracowania rady prymasowskiej, która jak dotąd nie zesłała jeszcze w podziemie w Polsce?

6) Dlaczego p. Gobbi podjął się w ogóle tej misji i zredagował raport, który w tych warunkach nie mógł być poprawnie zredagowany?

Pytania takie można oczywiście mnożyć. Każde właściwie zdanie raportu p. Gobbi stanowi kanwę ogólniejszego pytania. Ważniejszą jednak rzeczą niż mnożyć pytania jest znalezienie częściowych choćby odpowiedzi. Jest ich wiele. Oto ich synteza.

### *Ich Ekscelencje*

Kiedy Narody Zjednoczone przysły na świat, życie było proste. Zgromadzenie Ogólne składało się przede wszystkim z krajów europejskich i Ameryki Łacińskiej. USA dysponowały tzw. automatyczną większością i — według sowieckiej nomenklatury — maszynką do głosowania. Blok wschodni i ZSSR były izolowane i osamotnione, chociaż Białoruś i Ukraina otrzymały, na zupełnie absurdalnej zasadzie, status pełnoprawnych i suwerennych członków. Głównym szańcem obronnym Rosji było *veto* w Radzie Bezpieczeństwa, z którego ZSSR przy każdej okazji korzystał.

Sprawy zaczęły się komplikować w latach 60-tych i później, kiedy zwolna, a potem coraz szybciej, wpisywały się do ONZ były kraje kolonialne i zależne. Powstały nowe układy. Dyplomacja sowiecka nareszcie rozwinęła skrzydła i zanim Amerykanie zdążyli się zorientować i zaczęli się uczyć polityki międzynarodowej, już znaleźli się, wraz z grupką krajów demokratycznych, w izolacji i mniejszości.

Maszynka do głosowania funkcjonuje znowu, ale na innych zasadach. Różnica jest i koniunkturalna, i zasadnicza. Źródłem jej zrozumienia jest stwierdzenie iż, podczas kiedy Stany Zjed-

noczone, które są krajem znakomicie funkcjonującej demokracji, nie potrafiły w żadnym z krajów swojego zaplecza i wpływu, np. w Ameryce Łacińskiej, zaprowadzić demokratycznego ładu, Związek Sowiecki potrafił i w krajach podbitych, ale także i w krajach tylko pośrednio lub tylko dyplomatycznie zależnych, ustanowić albo swój własny system totalitarny, albo zakorzenić świadomość o „obiektywnej” zgodności interesów.

Stało się to zwłaszcza widoczne na terenie ONZ. W ten sposób powstały najzupełniej obłudne, ale trwałe układy pomiędzy blokiem państw muzułmańskich i krajami Czarnej Afryki, do których przyłączały się kraje bloku komunistycznego od Mongolii poprzez Wietnam aż do Kuby, a teraz i Nikaragui.

Obecnie, aby znaleźć się po dobrej stronie, trzeba być przeciwko Izraelowi, Afryce Południowej oraz Chile, w tym właśnie porządku, oraz trzeba umieć posługiwać się, ale tym także zajęły się Sowiety, specjalnym językiem totalitarno-wieczowym.

Ten nowy układ, a zwłaszcza może bardziej jeszcze nowa retoryka, zmieniły faktycznie sens istnienia ONZ. Wskutek tego nowego stylu organizacja ta, zamiast łagodzić napięcia, zaczęła je zaostrzać. Przestał się liczyć temat i problem, zaczął się liczyć *show*-mowa-manipulacja. Korzystając z okazji, wszyscy zaczęli się mieszać do wszystkiego. Wynik był jasny: kiedy 157 delegatów uważa się za zobowiązanych do forsowania, pod pretekstem Pinocheta, swoich własnych interesów, sama sprawa znika pod lawiną manipulacji, głupoty i słowolejstwa.

Po jednej z takich debat pani Kirkpatrick, ambasador USA w ONZ, napisała jednobrzmiący list do kilkudziesięciu swoich kolegów, w którym stwierdziła: „Jestem przekonana, Wasza Ekscelencjo, że nie przywiązuje Pan większej wagi do wypowiedzianych tu kłamstw niż ja, i nie wierzę, że kłamstwa te odzwierciedlają poglądy rządu Ekscelencji”. Niektórzy się obrazili, inni tłumaczyli, że retoryka jest częścią politycznej gry w ONZ, inni wreszcie odszukali panią Ambasador w barze, aby jej powiedzieć na ucho, że oczywiście ma rację i że nie wierzą sami w to, co ich rząd każe im deklamować z wysokiej trybuny ONZ.

Taktyka i strategia manipulacji, jeżeli nie wprost dywersji w ONZ, która z tego powodu nie jest w stanie zająć się naprawdę poważnymi sprawami świata, ujawnia się np. w działaniu instytucji zwanej „grupą badawczą”. Z zasady grupy takie nigdy niczego nie badają i wynik „badania” ustalony jest z góry. Np. Izrael jest zawsze głównym obiektem „badania”, przy czym dokument zalecający przeprowadzenie, z budżetu ONZ, tzw. *investigation* określa także, jaki ma być jej wynik. Jeden z takich

wyników stwierdza np. — zanim w ogóle komisja się zebrała — że Izrael „gwałci prawa człowieka”, „nie szanuje swobód obywatelskich”, czyli udowodnił to, czego jeszcze nie zaczął sprawdzać. W skład komisji wchodziły Cejlon i Jugosławia, które nie utrzymywały w ogóle stosunków z Izraelem, oraz Somalia, która oficjalnie negowała prawo Izraela do istnienia.

Szkoda czasu na drobiazgi. Jeden ogólniejszy przykład z tej dziedziny powinien wystarczyć. W czasie sesji Zgromadzenia Ogólnego w 1980 roku sprawa Afryki Południowej stała na porządku dziennym 61 ze 108 posiedzeń, 45 rezolucji poświęconych było krytyce tego kraju, 283 przemówienia na posiedzeniach plenarnych zajmowały się Namibią, a 70 apartheidem. 15 specjalnych „ciał”, funduszy i programów ONZ zajmuje się zwalczaniem obecnego reżymu Afryki Południowej, podczas gdy 5 specjalnych „dni” i trzy specjalne „tygodnie” poświęcone są temu samemu tematowi. W sumie 200 pracowników *full-time*, czyli etatowych sekretariatu generalnego ONZ pracuje wyłącznie „przeciwno” Afryce Południowej, co kosztuje nas wszystkich 40 milionów dolarów rocznie.

W 1982 roku 49 z 88 posiedzeń Rady Bezpieczeństwa poświęconych było wyłącznie Izraelowi. Inaczej mówiąc, ani jedno posiedzenie nie zostało poświęcone Afganistanowi czy Wietnamowi, a za to 55 % plag gnębiących ludzkość zostało przypisane Izraelowi. Wiem, że znowu ktoś napisze, że jest „niemile zaskoczony”, a ktoś inny oskarży mnie o wysługiwanie się Mossadowi, ale nie mogę nie przytoczyć faktu, iż Zgromadzenie Ogólne ONZ, jeżeli przejdzie do historii, to przede wszystkim dlatego, że 15 lutego 1980 roku większością 88 głosów przeciw 22, przy 40 wstrzymujących się, uznało za nielegalny i niebyły układ z Camp David, jedyny traktat o pokoju na Bliskim Wschodzie. Nie jest to nadużycie, jest to obłąkanie. I początek samobójstwa instytucji, z którą świat wiązał tyle nadziei.

### *Źle i drogo*

To wszystko upoważnia mnie do sformułowania dwóch refleksji.

Po pierwsze, kilka „Afryk Południowych”, to znaczy także Izrael i Chile, jakakolwiek byłyby ich wina i jak bardzo zasługiwałyby na powszechne i publiczne potępienie, nie powinno odwracać uwagi „parlamentu świata” od tego, że wojska sowieckie maszerują przez Afganistan, że Kubańczycy okupują Angolę i Etiopię, że oszalały imam Iranu rozstrzelał w ciągu 3 lat więcej

ludzi niż Afryka Południowa od chwili jej powstania, że Irak czy Syria wymordowały więcej własnych synów niż wszyscy Pinochetowie razem.

W 1982 roku, bez wyliczania drobniejszych, zanotowano 4 wojny: Iran-Irak, Izrael w Libanie, Falklandy i Czad. W ani jednym przypadku sparaliżowana i wymanipulowana ONZ nie była w stanie nie tylko pomóc, ale choćby naprawdę uczestniczyć w rozwiązywaniu konfliktu. Czy trzeba w ogóle przypominać, że to nie tylko bez, ale nawet *wbrew* ONZ-owi doszło do umowy w Camp David i do pierwszego w historii pokoju żydowsko-arabskiego?

Prawa człowieka w Cisjordanii czy Namibii nie schodzą z agendy ONZ. Kto może mi przytoczyć jedną choćby debatę zakończoną potępieniem ludobójstwa w Kambodży, gułagu w bloku wschodnim, masakry w Indiach, czy exodusu z Nigerii? Przez lata całe nie było dnia w ONZ bez potępienia amerykańskiej interwencji w Wietnamie. Kto może mi zacytować jedną uchwałę ONZ potępiającą Wietnam za exodus miliona *boat-people* lub agresję i okupację Kambodży i Laosu?

Przedstawiciel NRD, zamurowanego kraju, określił bardzo wyraźnie program bloku wschodniego na całą możliwą do przewidzenia przyszłość ONZ. Powiedział on: „Sytuacja w Afryce Południowej, Chile i na terytoriach okupowanych przez Izrael stanowi gwałt na prawach człowieka, wyrządza szkodę przyjaznym stosunkom między narodami i zagraża pokojowi”. Na tej samej sesji Chile potępione zostało jako „państwo dyktatury wojskowej”. Dlaczego, pytam, nikt w ONZ nie uchwalił takiego samego potępienia dla innego państwa dyktatury wojskowej, nie w Ameryce Łacińskiej, a w sercu Europy?

Po drugie warto się zastanowić, ile nas wszystkich ta ogłupiająca zabawa kosztuje. ONZ zatrudnia 46.000 pracowników w 24 krajach, w czym 13.000 (z czego 6.000 w Nowym Jorku) pracuje w sekretariacie generalnym. Ojcowie ONZ wzorowali się na amerykańskim modelu administracyjnym, najbardziej wydajnym i najwyższymi płacami wówczas na świecie. Założeniem było skoncentrowanie w sekretariacie generalnym, jeżeli nie w całym ONZ, ludzi o bardzo wysokich kwalifikacjach, fachowców zdolnych do oderwania się od zależności narodowych czy ideologicznych i zdolnych do wejścia w służbę wyłącznie szerokich, nieoistycznych celów ponadnarodowych.

Wynik jest zadowalający wyłącznie w sferze płac. Pracownicy ONZ pobierają dziś pensje o 35 % wyższe od porównywalnych szczebli administracji amerykańskiej. Niestety ta nadwyżka nie przyczyniła się do poprawy poziomu i jakości personelu.

Wprost przeciwnie: im wyższa płaca, tym niższe usługi, tym gorsza, a co ważniejsze bardziej podejrzana wydajność. Nawet najwyżsi urzędnicy ONZ są coraz bardziej na usługach nie ONZ i idei ponadnarodowej, a swoich rządów, jeżeli nie wprost swoich wywiadów.

Związek Sowiecki jak zwykle przoduje. Arkady Szewczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, opowiedział po wybraniu — w towarzystwie pewnej blondynki — wolności (pisałem kiedyś o nim w *Kulturze*), że spośród około 300 podległych mu urzędników z kwoty sowieckiej, tylko kilku pracowało naprawdę dla ONZ, inni brali instrukcje nie od niego, a od rezydentury KGB w Nowym Jorku.

A ile oni nas kosztują, ci wszyscy agenci KGB i innych UB na etatach ONZ? Płace zaczynają się od 13.000 dolarów rocznie dla gońca do 165.000 dolarów rocznie (plus 22.500 na wydatki, willa, samochód z szoferem itd.) dla sekretarza generalnego. W całych Stanach Zjednoczonych tylko jeden człowiek ma wyższe uposażenie od sekretarza generalnego ONZ. Jest nim prezydent USA.

Trzydziestu funkcjonariuszy ONZ zarabia ponad 100.000 dolarów rocznie, to znaczy więcej niż ministrowie rządu USA. Pracownicy ONZ (nie dotyczy to Amerykanów w USA) nie płacą podatków, ściągana jest tylko „składka pracownicza”, odprowadzana z powrotem do kasy ONZ. Z bardzo nielicznymi wyjątkami osób, które mogłyby uzyskać wysokie posady w businessie prywatnym, wszyscy pracownicy ONZ zarabiają lepiej, a w przypadku krajów komunistycznych i trzeciego świata nawet nieporównanie lepiej (do 10 razy!), niż zarabialiby na podobnych posadach w ich własnych krajach, zwłaszcza, że dochodzą do płacy podstawowej dodatki za „przesiedlenie”, dodatki rodzinne (1.200 dolarów na żonę i 700 za każde dziecko), stypendia szkolne (2.250 dolarów, sześć tygodni wakacji, gratisowy bilet *aller-retour* raz na dwa lata do domu, kafeteria, gdzie ceny są trzykrotnie niższe od najbliższego McDonalda, wykwinna restauracja gdzie *côte de veau fines herbes* kosztuje 8,50 dolarów, zamiast 25 dolarów w restauracji tuż obok, no i wysoka (o 35 % wyższa niż w USA) emerytura przy 60 latach, lub 55 na życzenie. Dewizą ONZ jest „przekuwajmy miecze na lemieszce”. Przeważnie, jak mi się wydaje, chodzi o przekuwanie w złoto.

Nic dziwnego, że w tej bonanzynie rotacja kadr jest niewielka, nie przekracza 10 % rocznie, a nawet mniej, im wyżej na drabini płacowej. Nic dziwnego także, że rządy desygnujące pracowników na zasadzie tzw. kwoty narodowej (dotyczy to zwłaszcza krajów komunistycznych) wysyłają swoich ludzi na zasadzie kon-

traktów o ograniczonej ważności czasowej, tak aby można ich było zawsze szantażować wycofaniem. Z tego zestawienia wynika jasno, iż po to aby rotacji uniknąć, „niezależni” urzędnicy ONZ skłonni są uczynić bardzo wiele koncesji w sumieniu i w działaniu i ulegają oni raczej presji swych rządów, KGB, CIA itp., aniżeli szczytnym hasłom i powołaniu ponadnarodowemu.

### *Ani pożytek, ani przyjemność*

Nie warto nawet udowadniać katastrofalnych (dla idei ONZ, nie dla urzędników) skutków takiej sytuacji. 300 milionów dolarów budżetu ONZ na *economic research* zostały wymanipulowane tak, aby narzucić program zwany „Nowym Międzynarodowym Porządkiem Ekonomicznym”, swoistym NEP'em, realizowanym na propagandowy użytek trzeciego świata przez ZSSR i jego ludzi. Dyrektor Departamentu Przemysłowego, jednej z agend gospodarczych ONZ, przetrzymał przez dwa lata niezależne studium dotyczące przemysłu stalowego, albowiem stawiało ono diagnozę nie odpowiadającą marksizującej ideologii trzecioświatowej.

Ekipa kierowana przez prof. Wasyla Leontiewa z New York University, laureata ekonomicznej nagrody Nobla, opracowała dla ONZ ekspertyzę na temat „Przyszłości Gospodarki Światowej”. Pewien sowiecki urzędnik sekretariatu ONZ w Nowym Jorku sfalszował, zwyczajnie mówiąc, jego treść, tak aby dane były przychylniejsze dla obrazu ZSSR. Prof. Walter z tego samego uniwersytetu zerwał współpracę z ONZ, albowiem, jak stwierdził, „nie poznaję swej pracy z chwilą jej publikacji”. P. Krisznamurti, który nadzorował badania prof. Waltera, wcale się nie wstydził przyznać, iż zmienił treść jego opracowania, tak aby „odzwierciedlało ono różnice w poglądach między ekonomistami Zachodu i trzeciego świata”.

Tendencja manipulacyjna zmierzająca do tego, aby ONZ mówiła nie to co jest prawdą, a to co większość chce słyszeć, nie ograniczała się do prac naukowych. Piętnaście dzienników (w tym kilka szalenie szanowanych) z piętnastu krajów brało pieniądze z budżetu ONZ (432.000 dolarów w 1981 roku) za drukowanie suplementów reklamujących potrzeby i poglądy gospodarce trzeciego świata, ale zawsze w kontekście odpowiedzialności i winy wyłącznie krajów zachodnich, nawet jeżeli, tak jak np. Norwegia, nigdy nie posiadały one kolonii. Sekretariat generalny ONZ przyjął półtora miliona dolarów ofiarowanych przez jakiegoś dziwnego japońskiego przemysłowca, z przeznaczeniem

na cele propagandy trzecioświatowej, choć karta Narodów Zjednoczonych formalnie zabrania przyjmowania funduszy i instrukcji ze źródeł zewnętrznych.

Ponówmy pytanie: kto za to wszystko płaci i odpowiedzi udzielmy: my sami. Budżet funkcjonowania ONZ (bez programów specjalnych) składający się w 80 % z funduszu płać, wyniesie w 1983 roku 720 milionów dolarów, płaconych faktycznie z podatków obywateli 157 państw członkowskich. W istocie Europa zachodnia pokrywa 27 % budżetu ONZ, USA — 25 %, a ZSSR tylko 12 %, czyli tyle mniej więcej co Japonia, a mniej niż Zachodnie Niemcy i Francja razem.

Ambasador szwedzki w ONZ zauważył, że budżet ONZ równa się cenie 7 nowych bombowców strategicznych i że wartość pożywki dla psów i kotów sprzedawanej rocznie w USA (ponad 3 miliardy dolarów) sześciokrotnie przewyższa wydatki ONZ. No i co z tego, pytam Jego Ekszelencję? Z bombowców jest pożytek, może się ich Moskwa nastraszy, psy i koty to przyjemność dla ludzi, dla niektórych ostatni przejaw ludzkich uczuć. A jaki — poza sferą ambasadorów — jest pożytek z ONZ, nie pytając już nawet o przyjemność?

Publikacje ONZ, w łatwo zrozumiałym impulsive samoobrony, informują nas, że budżet policji nowojorskiej jest większy od normalnego budżetu ONZ. No i co z tego, powtarzam pytanie. Policja nowojorska zwalcza i aresztuje przestępców, prowadzi pożyteczną dla społeczeństwa robotę. Czy mógłby ktoś wyobrazić sobie Nowy Jork bez policji? A jakie przestępstwa potrafiła zwalczyć ONZ? Kiedy, gdzie? Czy można wyobrazić sobie świat bez ONZ? Można.

Jeden obywatel USA płaci rocznie 4,1 dolara na ONZ, RFN — 4,6, a obywatel ZSSR tylko 0,6 dolara. A kto korzysta z ONZ, dla kogo stosunek kosztów-korzyści kształtuje się lepiej?

### *Honorarium do podziatu*

Nie jest to więc najlepszy interes dla krajów zachodnich, które płacą dużo, ale dostają mało. Ze 157 głosów w ONZ, Zachód dysponuje w zasadzie około dwudziestoma, w tym 10 z EWG, no i Izraela. Ale i ta grupa jest podzielona. Trzy kraje skandynawskie, Norwegia, Dania i Islandia, chociaż należą do NATO, solidaryzują się często z neutralną Szwecją, obecnie, znowu, pod premierem Palme, bardziej trzecioświatową niż sam trzeci świat. O Grecji lepiej nie mówić. Ale i bez Palmego

Zachód był jakby sparaliżowany sowiecką i trzecioświatową retoryką. Zamiast podjąć ją i odpowiadać na ataki, Zachód tak się zachowuje, jakby rzeczywiście miał kompleks winy za wszystkie plagi świata. Za każdym razem kiedy nieśmiało decyduje się wytknąć niewielkie uchybienia ZSSR w dziedzinie poszanowania praw człowieka, musi gwałtownie potępić Salwador czy Gwatemalę.

Nawet USA poddały się tej mechanice. Dziś już nawet Waszyngton uważa, iż nie powinien sam jeden przedstawiać żadnego projektu rezolucji na Zgromadzeniu Ogólnym ONZ, a starać się o kilku innych, mniej skompromitowanych w trzecim świecie sponsorów.

Z ZSSR sprawa ma się dokładnie wprost przeciwnie. Głosują z nim na ogół, z nielicznymi nader wyjątkami, kiedy już nie można inaczej — np. po inwazji Afganistanu — nie tylko jego satelici i klienci, jak np. Angola, Kuba, Mozambik, Etiopia czy Wietnam, ale także cała masa (na ogół 92) krajów, którym w większym stopniu chodzi o pohańbienie USA i Zachodu w ogóle, a w mniejszym o poparcie ZSSR, co do którego prawdziwych intencji nikt nie ma złudzeń.

Wynik jest fantastyczny. W ciągu sesji Zgromadzenia Ogólnego ONZ w roku 1981 stopień poparcia dla rezolucji wniesionych przez ZSSR sięgał 85 %, w porównaniu z 25 % dla USA. Izolacja Zachodu jest więc wyraźna, przy czym przeciwko USA głosowały systematycznie także kraje, które żyją wyłącznie dzięki pomocy amerykańskiej. Nawet Pakistan, Singapur, Malazja czy Indonezja rzadko popierają USA, nie mówiąc już o najbardziej antyamerykańskim konsumencie amerykańskiej pomocy, jakim są Indie. Znowu nic dziwnego: w braku odważnej i godnej zachodniej riposty niełatwo jest oprzeć się naciskowi czy szantażowi ZSSR, działającemu sprytnie przede wszystkim poprzez Kubę, a dziś także Nikaragę. Tylko Burma zdobyła się kiedyś na akt odwagi. „Są tacy wśród nas, powiedział jej delegat na zebraniu trzecioświatowców, którzy chcą nas wykorzystać dla realizacji swoich wielkomocarstwowych celów. My wykorzystać się nie damy”. I poszli sobie...

Zachód nie może pójść sobie z ONZ. Co powinien wobec tego zrobić? Płacić musi, przede wszystkim, dlatego, że podpisał taką umowę, a umowy, przynajmniej niektóre, szanować trzeba. Choć trudno znaleźć inne argumenty za przynależnością do ONZ, można ten stan rzeczy starać się zmienić. Nie ma żadnego powodu, aby wobec niektórych choćby problemów Zachód stawał podzielony. Były przecież sytuacje, w których zjednoczony Zachód potrafił wykazać, że nie wszystkie pieniądze zainwesto-



wane w ONZ należy uznać za stracone. Przykładem jest choćby właśnie Komisja Praw Człowieka w Genewie, której większość zachodnia, wspomagana przez niektóre „niezachodnie”, ale dobrze zainspirowane kraje, odrzuciła faktycznie pseudo-raport Gobbiego i utrzymała sprawę polską na porządku dnia. ONZ może także być niewątpliwie przydatnym, choć bardzo kosztownym forum, na którym, bez obawy o prasowe tzw. niedyskrecje, mogą spotykać się ludzie szczerze się poza tym opluwający, jeżeli nie wprost nienawidzący, np. sowiecki Gromyko i izraelski Szamir.

A w ogóle wystarczyłoby często tylko nieco odwagi i poczucia godności, aby przełamać terror. Kiedy bardzo dziwna koalicja, złożona m.in. z tak miłujących postęp i demokrację krajów jak Iran, Kuba i Algieria, zaproponowała aby usunąć Izrael w ogóle i raz na zawsze z ONZ, Stany Zjednoczone spokojnie zakomunikowały, iż one także, oraz ich 25 % budżetu ONZ, opuszczą to grono. I to wystarczyło. Oczywiście, nie zawsze można i trzeba grozić wyjściem za drzwi, ale zawsze można i trzeba odpowiedzieć na szantaż czy choćby zniewagę. Jeżeli wielkie demokracje odzyskają godność, to bardzo wiele małych państw zmieni tradycyjny front jedności z ZSSR. Więcej — towarzystwo Rosji i Libii znacznie być coraz bardziej żenujące.

Nie wszystko na świecie zależy od USA czy Zachodu w ogóle. Coraz więcej spraw dzieje się bez ich udziału. Są jednak sytuacje, które stanowią dolną granicę dymisji i nieaktywności świata demokratycznego. Inaczej data wyznaczona przez Orwella sprawdzi się na następnej sesji ONZ.

I tu, proszę Państwa, dochodzimy do punktu wyjścia. P. Hugo Gobbi, zastępca sekretarza generalnego ONZ, zarabia rocznie 125.000 dolarów, nie licząc zwrotu wydatków reprezentacyjnych. Na opracowanie raportu w sprawie sytuacji w Polsce wyasygnowano z budżetu ONZ 28.100 dolarów plus 5.700 dolarów na koszt *research'u*.

Podliczmy to wszystko. P. Gobbi poświęcił pracy nad raportem trzy miesiące (grudzień 1982, styczeń i luty 1983), co kosztuje 3/12 jego rocznych dochodów, to znaczy ok. 35.000 dolarów plus 34.000 dolarów kosztów rzeczowych. Razem niby-raport w sprawie Polski kosztował nas wszystkich 70.000 dolarów.

Jest to zwyczajna kradzież. Protestuję. A zarazem polecam mój warsztat. Gotów jestem pisać raporty dla ONZ, znacznie lepsze i znacznie taniej.

P.S. Swój „Raport o stanie wojennym” Marek Nowakowski pisał faktycznie za darmo, ryzykując ponadto więzieniem. P. Gobbi napisał swój raport za bardzo dużo pieniędzy, nie ryzykując

niczmy, nawet nie posadą. Proponuję, aby raport Nowakowskiego dołączyć do raportu Gobbiego i aby obaj panowie podzielili po połowie już otrzymane honoraria. Wydając Nowakowskiego *Kultura* podkreśliła, iż drukuje go „bez wiedzy i zgody autora”. Bardzo bym chciał, aby mój raport o raporcie Gobbiego doszedł do wiedzy autora. Oraz tych, którzy mu za jego raport zapłacili. Ja też jestem gotów do podzielenia się z Gobbim moim i jego honorarium.

Pisane 25 kwietnia 1983.  
*Kultura* nr 6/429, 1983.

P.P.S.  
SZWEJK W ONZ

Szwejk uwiecznił ONZ na długo przed jej powstaniem i pisaniem raportów przez jej wysokich urzędników. Raport Szwejka o tym, że „dziś w nocy znowu 20 symulantów umarło”, stał się modelem dla bliskich współpracowników sekretarza generalnego ONZ zajmujących się losem Polski, z tym, że panowie ci naturalnie znacznie go ulepszyli.

W najnowszym raporcie przygotowanym dla Komisji Praw Człowieka ONZ w Genewie nie chodzi o śmierć 20 symulantów, a o zniknięcie 65 prawdziwych nieboszczyków. Jak powyżej napisałem: „Są sytuacje, które stanowić powinny dolną granicę dymisji świata zachodniego. Inaczej data wyznaczona przez Orwella sprawdzi się na następnej sesji komisji ONZ w Genewie”. Uprzejmie donoszę, że się sprawdziła.

Zanim omówię w wielkim skrócie (w długim nie warto) kolejny raport w sprawie polskiej, kilka uwag wstępnych. 1) Pana Hugo Gobbi (pobory 125.000 dolarów rocznie), autora poprzedniego raportu, zastąpił p. Patricio Ruedas (pobory ok. 125.000 dolarów rocznie). 2) Rząd z Warszawy odmówił, tak jak w 1983 roku, współpracy z przedstawicielem ONZ, jako że, tak jak w 1983 roku, zainteresowanie Komisji Praw Człowieka ONZ sytuacją w Polsce jest, zdaniem tegoż rządu, „nadużyciem moralności i politycznej uczciwości”. 3) Inaczej jednak niż w 1983 roku, sekretarz generalny był w 1984 roku przyjęty serdecznie w Warszawie przez władze lokalne, do czego za chwilę wrócimy. Choć oficjalnie władze warszawskie nie chciały współpracować przy redagowaniu raportu p. Ruedasa, to jednak, według informacji

z tzw. dobrych źródeł, udało im się dokonać pewnych poprawek w tekście przygotowanym i przywiezionym do Warszawy przez sekretarza generalnego ONZ.

Co zawiera, a przede wszystkim czego nie zawiera „polski” raport spreparowany przez osobę wysoko opłacaną z polskich m.in. podatków? Raport opracowany został na podstawie rozmaitych źródeł, przede wszystkim rządowych, z pominięciem oczywiście niekompetentnych kół „Solidarności” legalnej i nielegalnej. P. Ruedas spotkał się z członkami rządu, ale nie poprosił — zapewne z braku czasu — o spotkanie z jedynym żyjącym w Polsce laureatem nagrody Nobla, mającym coś niecoś do powiedzenia w sprawie poszanowania praw człowieka w PRL. P. Ruedas odmówił także uwzględnienia dokumentów zredagowanych przez tak podejrzane organizacje międzynarodowe jak np. Amnesty International czy nawet siostrzana organizacja pod nazwą Międzynarodowe Biuro Pracy, z siedzibą tuż obok, w Genewie.

W rezultacie, podczas kiedy raporty „Solidarności” oplakują śmierć 70 ofiar stanu wojennego w Polsce (nazwiska do dyspozycji), p. Ruedas doliczył się jedynie... 5. Reszta to zapewne symulanci.

Paragraf o „5 zabitych” to perełka onz-owskiego stylu. Po angielsku brzmi to ślicznie: *„Some Polish citizens died as a result of clashes between demonstrators and the police: at least two in 1981, at least one in 1982 and at least two in 1983”*.

Według słownika „Kościszki” słowo *clash* znaczy po polsku: brzęk (cymbałów), szczęk (broni), huk (dzwonów), zderzenie, starcie, utarczka... Czy p. Ruedas mógłby wyjaśnić nam, jaki z tych terminów sobie wina, aby wyjaśnić śmierć 5 lub 70 ofiar stanu wojennego? Ponieważ wykluczamy brzęki, szczęki, i huki, pozostaje starcie i zderzenie. Kto strzelał do kogo, w jakich warunkach, ilu padło od kul karabinów w toku *clashes* po stronie władzy? Czy nikt za te śmierci, i te ujawnione, i te „symulowane”, nie ponosi odpowiedzialności? Czy p. Ruedas uważa, że ponieważ władza postanowiła raz na zawsze zezwolić policjantom na mordowanie Przemysłów, to należy uniewinnić cały ustrój od winy za zabijanie bezbronnych ludzi, nawet w toku *clashes*?

Raport w sprawie Polski jest „umiarkowany”; naturalnie ani w tonie, ani w objętości w niczym nie przypomina raportów smagających biczem Chile, Afrykę Południową, nie mówiąc już o Izraelu. P. Ruedas nie zauważył „symulantów”, nie dopatrzył się ani cenzury, ani gwałcenia praw związkowych, ani ustaw

specjalnych przedłużających *de facto* stan wojenny oraz oddających właściwie kraj w ręce policji. Zauważył natomiast, że władze polskie owiane są duchem „umiarkowania”, że żałują wszystkich śmierci, jako że „nawet jedna śmierć to o jedną za dużo”, itd., itp.

Otóż — podobnie jak to było poprzednio — sam raport jest mniej ważny od tzw. kontekstu. Dwa aspekty warte są poruszenia.

Po pierwsze, większość Komisji Praw Człowieka znakomicie uzupełniła cynizm autora raportu śmiesznością instytucji. Pod przewodnictwem wzoru demokracji i praw człowieka — to znaczy Kuby — grupa innych miłujących wolność państw takich jak ZSSR, Ukraina, Bułgaria, Libia, Tanzania etc. postanowiła, większością głosów, nie przeprowadzać dyskusji nad jakością raportu p. Ruedasa, co do której Holandia, Francja, Włochy czy RFN miały pewne wątpliwości.

Inaczej mówiąc, sprawa polskiego człowieka zniknie z porządku dziennego Komisji Praw Człowieka na cały rok. Komisja będzie zatem mogła na nowo spokojnie zająć się Chile itd... Przedstawiciel władz z Warszawy, p. Sokalski (figurował także w poprzedniej części tych rozważań), mógł więc oświadczyć z całą powagą jego misji, iż ma nadzieję, że jest to łabędzi śpiew Komisji na tematy polskie. I że nie będzie już mowy o *clashes*.

Po drugie, pewność siebie delegatów Polski, ZSSR i innych wynika naturalnie ze słabości ONZ, o której już obszernie pisałem. Jest i tu jednak małe *post scriptum* do dodania. P. Perez de Cuellar, sekretarz generalny ONZ, oraz jego zastępcy Gobbi czy Ruedas są urzędnikami organizacji międzynarodowych i naturalnie ich kariery i pobory zależne są od rządów państw członkowskich. Ich pole manewru jest więc instytucjonalnie ograniczone. Do tego w naszym przypadku doszła presja władz z Warszawy. Ale to nie wszystko.

Raport w polskiej sprawie nie mógł odpowiadać rzeczywistości i dlatego, że władze polskie miały w ręku zakładnika, Alicję Wesołowską, była urzędniczką ONZ. Nie wszystko jest w tej sprawie jasne, poza krańcową głupotą ludzi, którzy Wesołowską, po wybraniu przez nią wolności w Nowym Jorku, najpierw mianowali do biura ONZ w Mongolii, a potem pozwolili jej na spędzenie — po drodze do Ułan Bator — urlopu w Polsce. Spędziła kilka lat w kryminale, na który skazano ją ... naturalnie za szpiegostwo. Otóż Perez de Cuellar, człowiek formalnie odpowiedzialny za wszystkie głupstwa ONZ, był pod ogromnym naciskiem związku urzędników w ONZ, którzy w ich własnym

dobrze zrozumianym interesie domagali się, aby sekretarz generalny doprowadził do zwolnienia Wesołowskiej. Doprowadził dopiero w 1984 roku. Groźny „szpieg” Wesołowska pracuje dziś w biurze... ONZ w Warszawie.

W rewanżu za tę drobną przysługę, zamiast bić się o prawa 35 milionów ludzi w Polsce, do czego był powołany na mocy poprzedniego raportu Komisji z Genewy, sekretarz generalny ONZ pośredniczył w sprawie, do której nikt, z wyjątkiem gen. Jaruzelskiego, go nie powoływał. Starał się mianowicie namówić jedenastu więźniów stanu, aby co najmniej sześciomiesięcznym pobytem za granicą, z dala od Kraju, zapłacili za wyjście z więzienia na Rakowieckiej.

Jedenastka z KOR-u i Solidarności nie przyjęła życzliwie pośrednictwa ONZ. Odwrotnie bowiem do p. Wesołowskiej, oni chcieli wybrać wolność nie w USA, a w Polsce, i to nie za cenę koncesji na rzecz rządu, uznania winy i domagania się łaski z zagranicy, gdzie ich serdecznie zapraszał p. Emilio de Olivares, specjalny przedstawiciel sekretarza generalnego ONZ. Misja ONZ w tej sprawie też nie jest jeszcze ciągle jasna. Jest to chyba rzecz bez precedensu, żeby rząd komunistyczny zwrócił się do ONZ o pośrednictwo w jak najbardziej wewnętrznej sprawie Polski, znacznie bardziej, niż redagowanie raportu, w którym udział został wszak brutalnie odrzucony.

Zanim prawda wyjdzie na jaw, pośrednictwo ONZ odniosło pewien skutek, odwrotny jednak do przygody Wesołowskiej. Ona wyszła na wolność i do biura ONZ, natomiast Michnik, zanim nie został wyrzucony z więzienia na podstawie amnestii, dostał 14 dni karceru za odmowę spotkania z p. Olivaresem. „Więzień nie dyskutuje — zdążył jednak powiedzieć Michnik. — Po dwóch i pół roku więzienia jest tylko jedna alternatywa: bezwarunkowa wolność albo natychmiastowy proces”. A w innym liście dodał: „Wolę więzienie w Polsce niż wakacje na Riwierze”. Nie wiem, w jakim stopniu takie sformułowania mogą przekonać p. Olivaresa, który ma poglądy dokładnie przeciwne i na pewno woli Riwierę od więzienia.

Postępowanie ONZ w sprawie polskiej ma jednak oczywiście także głębsze przyczyny niż rozdzwięki na temat miejsca wyczynku. Jest nowym przyczynkiem do kosztownej teorii kryzysu tej organizacji, o którym pisałem w ubiegłym roku. „Przychylny wiatr”, jak mawiają moi zachodni koledzy, przyniósł na me biurko informację o wewnętrznym raporcie tej instytucji na temat jej stanu, opracowanym przez inspektora ONZ — Francuza Maurice Bertrand. Jest to prawdziwy akt oskarżenia, wart — gdyby nie był tak długi (32 strony!) — przytoczenia w całości. W stresz-

czeniu: raport krytykuje niedociągnięcia organizacyjne, proponuje przyjęcie „nowego stylu” w wielu dziedzinach w celu uniknięcia marnotrawstwa energii i pieniędzy. Raport cytuje np. (patrz mój „anty-raport”) „rosnącą powierzchowność analiz”, biurokrację, rozgadanie dokumentów i nieudolność akcji. Raport omawia „nieporozumienia i frustracje” wśród pracowników sekretariatu generalnego i delegacji narodowych. Naciski polityczne sprawiają, że pracownicy stosują autocenzurę, tak aby teksty nie uraziły państw członkowskich. Zalew papierów i tak uniemożliwia normalną pracę: uczestnicy dwóch zebrań w 1983 roku: Rady Gospodarczej i Społecznej ONZ, otrzymali do przestudiowania i opracowania do dyskusji... 4.000 stron druku. Nikt oczywiście nie był w stanie tego skonsumować. Obliczcie ile kosztuje to w tłumaczeniach na kilka języków, nie wiem w ilu egzemplarzach. Ciekawy detal: p. Bertrand zwraca uwagę na „fatalne zjawisko, jakim jest coraz szerzej praktykowane samo-oskarżanie się urzędników”. Nie wiem o co chodzi, ale wiem skąd ta praktyka.

Nic dziwnego, że jak wykazały badania „Heritage Foundation”, konserwatywnego i solidnego instytutu w Waszyngtonie, popularność ONZ ciągle spada. W latach 1950-tych około 75 % zapytanych Amerykanów uznawało jeszcze, że ONZ robi pożyteczną robotę. W 1983 roku było takich Amerykanów już tylko 35 %.

Tylko? Aż! Jednym z autorów studium „Heritage” jest pan Charles Lichenstein, były zastępca pani Kirkpatrick, ambasadora USA przy ONZ. P. Lichenstein już nie jest w ONZ, ale pozostanie w historii tej organizacji. Jak pamiętamy, po zestrzeleniu koreańskiego Boeinga Waszyngton odmówił zezwolenia na lądowanie samolotu z ministrem Gromyką, przybywającym na sesję ONZ, na lotnisku cywilnym w Nowym Jorku. Zaproponowali, i słusznie, lotnisko wojskowe, bezpieczniejsze, jako że narody nie lubią kiedy Rosjanie zestrzelują cywilne samoloty.

Ale Gromyko obraził się, nie przyjechał, a klienci Sowietów podnieśli szaloną wrzawę na temat gwałcenia przez rząd USA zobowiązań, jakie wziął na siebie, zapraszając ONZ do Nowego Jorku. To wtedy właśnie zdenerwował się p. Lichenstein i powiedział: „Jeżeli wam się tu źle żyje i pracuje, to możecie wyjechać. Nie będziemy wam przeszkadzać. Członkowie amerykańskiej misji przy ONZ będą obecni w porcie, aby być z wami, kiedy odzeglujecie w kierunku zachodzącego słońca”.

P. Lichenstein był poetą, ale nie geografem, bo gdyby komunistyczni dyplomaci odzeglowali z Nowego Jorku, to byłoby to nie na zachód a na wschód, co jednak nie zmienia sensu jego westchnienia. Nikt nie podtrzymał tej idei. Ja rozumiem, żyć

i pracować w sekretariacie generalnym ONZ w Sofii czy Ułan Bator, nie mówiąc już o Moskwie, to nie jest zachęcająca perspektywa. P. Lichenstein nie jest już więc w misji USA przy ONZ, a pomaga pisać raporty „Heritage Foundation”. „Będziemy się starali — powiedział w wywiadzie prasowym — znaleźć odpowiedź na pytanie, czy gra jest warta świeczki, czy kosztta w czasie, energii i pieniądzech odpowiadają korzyściom. Być może ONZ się przeżyła i warto wymyśleć inne forum międzynarodowe?”. Na pytanie, czy ONZ będzie istnieć za 20 lat, Lichenstein odpowiedział: „Biorąc pod uwagę biurokratyczną inercję rządów — tak. Ale będzie to inna organizacja. Będzie to nowe okrycie, na takiej samej zasadzie co zacerowana skarpetka”.

Cerować już należy zacząć. Jest nowa dziura w skarpetce. Podkomisja zapobiegania dyskryminacji i ochrony mniejszości tej samej Komisji Praw Człowieka odrzuciła stosunkiem głosów 12 do 1 (!) propozycję, aby zlecić p. de Cuellar misję zażądania od rządu sowieckiego dokładnych informacji na temat losu prof. Sacharowa. Tak potężna większość przeciwko, naturalnie, USA, powstała z połączenia sił wschodu i... zachodniej Europy z Francją na czele, która podzieliła tezę ZSSR, że przypadek Sacharowa został upolityczniony przez prezydenta Reagana w stopniu, jaki należy uznać za procedurę zimnowojenną. Dziwna koalicja w sprawie symulanta Sacharowa postanowiła więc nie zajmować się losem profesora, tym bardziej, iż delegat amerykański miał czelność przypomnieć także przy okazji innych symulantów w ZSSR: sowieckich Żydów, Raoula Wallenberga itp. Koalicji „12” przewodził fachowiec, delegat sowiecki p. Sofiński, były ambasador w Australii, ekspulswany za tzw. mieszanie się do nie swoich spraw. Sparaliżował on komisję wniesieniem, w odpowiedzi na Sacharowa, propozycji rozpatrzenia „mordowania niewinnych cywilów” w północnej Irlandii przez policję brytyjską, losu Indian amerykańskich i... ostatniego „żartu” prezydenta Reagana na temat bombardowania ZSSR. Komisja uznała, że „żart” Reagana wart jest Sacharowa i postanowiła wszystkie projekty rezolucji oddalić, jako *political and contentious*...

Skarpetka czy nie, z tego co wyżej wynika, że także za 20 lat znajdzie się jakiś przedstawiciel sekretarza generalnego zdolny do napisania raportu w sprawie Polski, najdroższego na świecie dokumentu w stosunku do wartości tekstu. Pytanie tylko, czy znajdzie się ktoś w Brukseli, aby to obliczyć?

Pisane we wrześniu 1984.  
Kultura nr 10/445, 1984.

JEGO EXCELENCJA  
Dr Amadu Mahtar M'Bow  
DYREKTOR GENERALNY  
ORGANIZACJI NARODÓW ZJEDNOCZONYCH  
DO SPRAW OŚWIATY, NAUKI I KULTURY  
(UNESCO)  
Paryż, pl. Fontenoy

## PODANIE

Niżej podpisany, uprzejmie proszę o przyjęcie mnie w poczet pracowników etatowych sekretariatu generalnego UNESCO w Paryżu. Z doniesień prasy codziennej dowiedziałem się, iż sekretariat poniósł poważne straty w wyniku decyzji prezydenta Francji, który postanowił usunąć z Francji kilkudziesięciu dyplomatów Związku Sowieckiego, państwa członkowskiego UNESCO, w tym kilku pracowników instytucji, której losy złożono w Pańskie ręce.

Rozumiejąc doniosłość historycznej misji UNESCO, jestem gotów oddać me zdolności i kwalifikacje w służbę instytucji, którą Pan z takim poświęceniem już od 10 lat kieruje. Interesuje mnie zwłaszcza stanowisko, jakie do chwili wspomnianego nieporozumienia zajmował obywatel sowiecki Jurij Kriwcow, zamieszkały obecnie, czasowo zapewne, w Moskwie, ale pobierający ciągle, mimo prawie rocznej nieobecności w Paryżu, pobory (ostatnio podwyższone) w wysokości ok. 3.000 dolarów netto miesięcznie.

Jeżeli się nie mylę, p. Kriwcow znajduje się ciągle w niemożności osobistego odbierania swych zasłużonych i ciężko zapracowanych (na 2 etatach) poborów. W tej sytuacji jestem gotów go zastąpić, a nawet zjawiać się osobiście, w celu podjęcia poborów, raz na miesiąc w Paryżu. Z Brukseli na razie łatwiej niż z Moskwy wyjechać i dojechać.

Rozumiem dobrze, że na tle sukcesów zawodowych obywatela Kriwcowa moje kwalifikacje wydać się mogą drugorzędne i wątpliwej użyteczności. Na wszelki wypadek pozwalam sobie jednak załączyć skromną próbkę moich możliwości rozmyślania nad skomplikowanymi zjawiskami współczesności. Któż lepiej niż Pan Dyrektor, tak szeroko znany z tolerancji i obiektywizmu,



potrafi ten przyczynek do przesławnej już historii UNESCO ocenić?

W nadziei na przychylne rozpatrzenie mojego podania, życząc przyjemnej lektury, pozostaję z całym należyтым szacunkiem,

(podpis)

Leopold UNGER

## Z A Ł A C Z N I K   N R   1

### a) UNESCO: *czym miała być?*

UNESCO (inicjały angielskie, które tworzą równocześnie łacińskie słowo „łącze się”) powstała w 1946 roku. Jej narodzinom towarzyszyły wielkie nadzieje. W akcie konstytucyjnym 20 założycielskich państw powiada, że UNESCO powołana została do tego, aby „poprzez rozwijanie międzynarodowej współpracy w zakresie oświaty, nauki i kultury przyczynić się do osiągnięcia trwałego pokoju i bezpieczeństwa”. O czym bardziej niż o bezpieczeństwie i pokoju mógł bowiem marzyć świat właśnie odradzający się ze zgliszcz drugiej wojny światowej? Któż bardziej niż społeczeństwa Europy mógł dzielić z UNESCO jej konstytucyjną filozofię, zakładającą, że „wojny rodzą się w umysłach ludzi” i że wobec tego to „w ludzkich umysłach należy wojnom postawić tamy”?

Siedzibą sekretariatu generalnego UNESCO został Paryż, *ville-lumière*; jej pierwszym dyrektorem generalnym Francuz. Generał de Gaulle, choć jak wiadomo nie żywił zbytniego szacunku dla instytucji międzynarodowych (*les machines*, mawiał), zgodził się jednak osobiście zainaugurować w 1958 roku specjalnie zbudowaną nowoczesną siedzibę UNESCO w stolicy Francji. Wydawało się, że nic nie może stanąć na przeszkodzie wspaniałemu rozwojowi UNESCO dla szczęścia ludzkości, a zwłaszcza jej oświaty, nauki i kultury. Z 20 państw członkowskich i budżetu w wysokości 7 milionów dolarów w roku 1946 UNESCO wzrosła do 161 państw członkowskich i prawie 400 milionów dolarów budżetu w 1984 roku.

Aż nagle grom z jasnego nieba. W 1985 roku liczba członków UNESCO może się zmniejszyć o jednego, ale ważnego członka, z 161 do 160, jej budżet może spaść o całe 25 procent. W Paryżu zawrzało.

b) UNESCO: co się stało?

28 grudnia 1983 roku p. George Shultz, minister spraw zagranicznych USA, przekazał list na ręce pana M'Bow, dyrektora generalnego, z zawiadomieniem o decyzji rządu amerykańskiego wycofania się z dniem 1 stycznia 1985 roku Stanów Zjednoczonych z UNESCO. Choć długi list p. Shultza nie jest wzorem stylistycznej ani logicznej jasności, wynika z niego jednak niezbie:

- 1) że USA pozostają przekonane, iż oświata, nauka i kultura stanowią zasadnicze czynniki budowy pokojowego świata,
- 2) że jednak już od dłuższego czasu ideologiczna orientacja prac UNESCO i sposób zarządzania nią przejawiają cechy niezgodne z powołaniem i misją UNESCO,
- 3) że te cechy sprawiły, iż UNESCO służyła w większym stopniu realizacji politycznych celów poszczególnych państw członkowskich niż swej międzynarodowej statutowej roli,
- 4) że w obecnym stanie rzeczy nic nie wskazuje, aby mógł nastąpić rychły powrót UNESCO do zasad i celów, jakie tkwiły u jej narodzin,
- 5) że wobec tego USA wycofują się z UNESCO, a środki, które skarb amerykański dotychczas przeznaczał na jej działalność zostaną użyte do finansowania działalności bardziej zgodnych z duchem karty założycielskiej UNESCO i to w taki sposób, aby te nowe zamierzenia mogły stanowić w przyszłości punkt wyjścia dla ponownego nawiązania współpracy USA i UNESCO.

Dyrektor generalny i jego sekretariat generalny udali szalenie zdziwionych i niemile zaskoczonych. Zrobić coś podobnego? I to komu? Nam, UNESCO, instytucji tak pożytecznej, która uratowała tyle pomników przeszłości skazanych bez nas na zagładę. Czy nie uratowaliśmy świątyń nubijskich od zatopienia przez wody Assuanu, czy nie przywróciliśmy blasku świetności świątyniom w Borobudur w Indonezji? A jak pięknie przysłużyliśmy się Wenecji, Fezowi czy Mont Saint Michel we Francji? A gdzie nasze zasługi w walce z analfabetyzmem i zacofaniem w trzecim świecie?

Wszystko prawda, ale niecała prawda. Najpierw mała poprawka psychologiczna. Całe zaskoczenie to zwyczajne kino.

Po pierwsze to nie żadna premiera. W 1949 roku Polska, Czechosłowacja i Węgry zawiesiły udział w pracach UNESCO na znak protestu przeciw przyjęciu... Niemieckiej Republiki Federalnej. Nawiasem mówiąc, Związek Sowiecki, który nie zdążył przeszkodzić Polsce figurować pomiędzy założycielami UNESCO w 1945 roku, sam nie raczył do niej przystąpić aż do roku 1954, kiedy, trzeba to podkreślić, zjawił się w Paryżu w towarzystwie dwóch innych niepodległych państw członkowskich, dysponujących takim samym jak USA czy Francja pełnym prawem głosu, Ukrainą i Białorusią.

Po drugie USA już kiedyś zawiesiły swój udział finansowy w budżecie UNESCO. Stało się tak, gdy organizacja powołana do szerzenia oświaty uznała większością głosów, że jednego z państw członkowskich nie ma. Jarry umieścił Ubu w Polsce czyli nigdzie, ale większość UNESCO, fachowcy od geografii zapewne, postanowiła ulepszyć Ubu i wykluczyła w 1974 roku Izrael ze wszystkich pięciu dotąd znanych części świata. Waszyngton na nowo otworzył kasę dopiero, kiedy arabsko-komunistyczna większość tej organizacji, mającej naukę w nazwie, zgodziła się aby Izrael znalazł się w... Europie. Nie jest to towarzystwo najgorsze, zwłaszcza w UNESCO, ale nie trzeba się dziwić, że amerykański podatnik mógł się zastanawiać, czy to za takie upowszechnianie nauki ma płacić.

Po trzecie wreszcie nie było zaskoczenia, albowiem rząd amerykański nie ukrywał, iż poważnie się zastanawia, czy jest jeszcze dla niego miejsce w przepięknym pałacu w Paryżu. Badania trwały ponad 6 miesięcy, a specjalna komisja (wszystko idzie przez komisje w USA) przesłuchiwała 500 ekspertów, zanim uznała, iż należy przerwać tę przyjemność.

Tak więc, jeżeli naprawdę zapanowało w Paryżu zdziwienie, to nie dlatego, że USA postanowiły tak nagle się wycofać, ale że doszły tak późno do wniosku, że należy opuścić, choćby prowizorycznie, tę dziwną organizację.

Dlaczego dziwną? List Shultza jest, jak powiedziałem, bardzo niejasny, szalenie delikatny. Nawet dokumenty mające uzasadnić decyzję USA były zredagowane w jakiejś podejrzanym mieszaninie językowej, tak jakby USA nikogo, broń Boże, nie chciały urazić, jakby coś chciały ukryć. A przecież nie ma się czego wstydić! Ponieważ, jak się obawiam, wymogi dyplomatyczne nie pozwoliły Shultzowi na powiedzenie całej prawdy, *Kultura* mu w tym pomoże. Mamy już na sumieniu ujawnienie części prawdy o matce kręactwa, bałamuctwa i wszelkiego marnotrawstwa, samej Organizacji Narodów Zjednoczonych, teraz przysłała kolej i okazja na

UNESCO. Jak uczył nas Wiech, jak nie ma porzeczek, to niech nie będzie agrestu.

c) *UNESCO: czym jest?*

Operacja wolnego zdejmowania listka figowego z UNESCO składa się, w ogromnym streszczeniu, z trzech faz.

1) *Polityka*

Każda organizacja międzynarodowa składająca się z rządów musi być polityczna. Tym bardziej, że ma na nią także wpływ 425 uznanych i szanowanych organizacji międzynarodowych rządowych, nierządowych, często nierządnych i terrorystycznych. Wokół UNESCO krążą dziesiątki grup nacisku, lobby, specjalistów od „ekspertyz”, szukających żeru politycznego i finansowego. Ale „polityczna” to nie znaczy „upolityczniona” i to za wszelką cenę. Od ratowania świątyni w Abu Simbel do regularnego i nieprzerwanego ataku na zachodnie demokracje, ich walory i ich sposób życia jest długa droga. UNESCO, która wzrosła z 20 członków do 161 i gdzie nie ma prawa weta (ostatni ratunek w ONZ) musiała naturalnie zmienić charakter. Ale żeby do tego stopnia?!

a) Kwestia praw człowieka, które są co nieco gwałcone w ponad 130 państwach członkowskich, nie doczekała się nigdy poważniejszej debaty w UNESCO. Albowiem, jak powiada większość UNESCO, prawa człowieka należy rozpatrywać w tzw. szerszym kontekście społecznym, co zawsze oznacza, że priorytet mają prawa państwa i jego policji kosztem obywateli. Zawsze przy tym stosowana jest w UNESCO podwójna miara: Izrael, Chile czy Afryka oraz, już teraz stale, USA, to złe, a nawet bardzo złe. Gdzie indziej „szerszy kontekst społeczny” wszystko tłumaczy. Na przykład gułag w ZSSR, bo tam nie ma bezrobocia... W 1975 roku najkonkretniejszym rezultatem konferencji UNESCO była uchwała utożsamiająca syjonizm z rasizmem. Innych zmartwień w dziedzinie nauki, kultury i oświaty UNESCO wtedy nie miała.

b) W roku 2000, to znaczy w 55 roku działalności UNESCO, będzie na świecie, ona sama to obliczała, około miliarda analfa-

betów wtórnych, to znaczy osób, które nauczono pisać i czytać, ale które z braku programu po-alfabetyzującego wpadły w ciemność na nowo. A tymczasem program uchwalony przez konferencję generalną UNESCO zajmuje się... pokojem, tak jakby prześwietna ONZ nie narobiła w tej dziedzinie dosyć szkody.

„Program pokoju” obliczony, a jakże, na lata 1984-1989, przesiąknięty jest duchem sowietyzmu, a niektóre sformułowania żywcem zaczerpnięte z *Prawdy*. Na pierwsze dwa lata takiego programu wydzielono z budżetu prawie milion dolarów. Na oświatę wśród uchodźców (np. *boat-people*),... 32.000 dolarów.

Tajemnica się nieco rozjaśni, kiedy ujawnimy, że szefem „Programu pokoju” jest wicedyrektor generalny UNESCO Semion Tanguiane, obywatel Kraju Rad. To także tłumaczy, że kiedy UNESCO postanowiła „aktualnić” naukową historię świata, której pierwsza wersja spotkała się z zastrzeżeniami państw arabskich i komunistycznych, szefem programu „aktualizacyjnego” został Mikołaj Todorow, obywatel Bułgarii, kraju znanego z wolności badań naukowych. Skłoniło to pewnego dyplomata zachodniego do okrzyku: „Nie mogę uwierzyć aby historię Europy pisali sowieci i to za moje pieniądze”. A jednak to prawda.

Tym boleśniej, że do intryg sowieckich, manipulowanej maszyny trzecioświatowej i antyizraelskiej obsesji Arabów dołączają się folklorysty z krajów demokratycznych. Pierwsze skrzypce, aby pozostać w słowniku artystycznym, gra tutaj (choć on raczej pianista) p. Lang, francuski minister kultury. To on wymyślił odczołkowane przez kulturalników z Mongolii i Mozambiku hasło „imperializmu kulturalnego pewnego wielkiego mocarstwa”, którym przy bliższym spojrzeniu okazał się nie ZSSR, rusefikujący kultury podbitych narodów, deportujący, aresztujący lub ekspulsujący swych pisarzy czy artystów, ale Stany Zjednoczone. Pan Lang nie wymyślił jednak na razie sposobu na sprawienie, aby różne „Dallasy”, które nie schodzą z ekranów telewizji francuskiej, można było zastąpić arcydziełami nieimperialistycznej kultury francuskiej.

P. Mitterrand, który w innych ważnych sprawach wykazuje tyle rozsądku, uznał w październiku 1983 roku, że „UNESCO wypełniła swą misję ponad wszelkie oczekiwania”. Zależy czyje...

c) Gwóźdź do trumny UNESCO, z pewną przesadą na razie, stanowił tzw. „nowy porządek informacyjny”. Program znany pod inicjałami francuskimi NOMIC ma długą i bardzo skomplikowaną historię, której nie warto tutaj streszczać, zwłaszcza, że nie należy mu w obecnej wersji rokować wielkich nadziei. Może

na razie wystarczy, jeżeli powiem, iż program nosi imię przewodniczącego komisji przygotowującej projekt, p. Sean Mac Bride, laureata Nobla i Lenina, ukochanego popuczyka w Moskwie, sędziwego starca zafascynowanego trzecim światem, a zwłaszcza OLP, bardzo uczulonego na sowieckie pochwały i medale, redaktora (według *Wall Street Journal*) wydawanej pod egidą UNESCO *Kroniki Nielegalnych Interwencji*, francuskiego odpowiednika sławnego rejestru tajnych agentów CIA, wydawanego przez byłego szpiega amerykańskiego Agee ku ogromnej radości terrorystów na całym świecie.

Pan Mac Bride nie jest oczywiście żadnym terrorystą, ale on też nie lubi imperializmu amerykańskiego, już nie wyłącznie w dziedzinie kultury, ale także prasy i informacji. Pomysł „nowego porządku informacyjnego” był podejrzany od początku, ale przebieg prac komisji i debata na ten temat na forum UNESCO ujawniły prawdziwe intencje niektórych zwolenników „nowego porządku”. Okazało się bowiem, iż zamiast programu rozluźnienia pancerza cenzury, jakim otoczona jest prasa w większości państw członkowskich UNESCO, autorom chodziło o jego zacieśnienie. Zamiast przeflancowania korzonków wolności w głąb niektórych krajów trzeciego świata, nie do końca zniszczonych jeszcze bakcyłem totalitaryzmu typu starego porządku sowieckiego, zamiarem autorów „nowego porządku” było przeniesienie cenzury tam gdzie jej nie ma.

Nic dziwnego, że delegaci ZSSR, KDL-ów i trzeciego świata poparli projekt i skłonni są nadal finansować, z budżetu UNESCO naturalnie, prace Komisji Mac Bride'a. Nawet Iran był pełen entuzjazmu. Ambasador oszalałego ajatoli przeszedł samego siebie i oświadczył z tej okazji, że „reporterzy (zachodni oczywiście) to spragnieni krwi rzeźnicy”. Bardziej dystyngowani dyplomaci tłumaczyli naturalnie inaczej ich strach przed „elektronowym imperializmem”, to znaczy strumieniem informacji agencji zachodnich. Nikt jednak nie odważył się powiedzieć prawdy. Tej mianowicie, że strach ogarnia nie społeczeństwa, a rządy, które w Polsce czy w Ugandzie, ZSSR czy Sierra Leone boją się nie imperializmu informacyjnego, a informacji *tout court*, bo ta złamałaby ich monopol na nieprawdę ogłupiającą społeczeństwo. Rosjanie, którzy wiedzą, że np. triumf Polaków w sierpniu 1980 roku był także triumfem wolnej informacji, sprawili, iż „nowy porządek informacyjny świata” nie proponuje likwidacji ani nawet nie potępia zagłuszania radiowego. Do bani z takimi porządkami.

„W dyskusji na jakikolwiek temat w UNESCO — skarżył się pewien wysoki dyplomata — zachodzi głęboka erozja wartości

demokratycznych, bronionych przez znikomą tylko mniejszość delegatów". Inny weteran salonów skonstatował: „W ONZ mamy do czynienia z zawodowymi dyplomatami, którzy znają wartość słowa (jeszcze jeden naiwny — dopisek L.U.). W UNESCO natomiast wypowiadają się ideologowie, którzy plotą co im ślina na język przyniesie i to w imię ambicji kodyfikacji nowych wartości uniwersalnych”.

Zajęcia praktyczne z „NOMIC-u” odbyły się m.in. w czasie niedawnej konferencji UNESCO na temat „nowego porządku” w Taszkencie. Konferencja została otwarta w dniu zestrzelenia przez myśliwcę sowieckie południowokoreańskiego Boeinga z jego 269 pasażerami. Ponieważ obrońcy „nowego porządku” nie chcieli zakłócać informacjami o losie Boeinga prac konferencji na temat informacji, przeto przez trzy dni do Taszkentu nie dochodziły gazety, a jedyna linia telefoniczna ze światem przechodziła przez aparat sowieckiego wicedyrektora UNESCO, tranzytem przez Moskwę.

To prawda, że 5 wielkich agencji prasowych (AP, UPI, Reuter, AFP no i TASS) ma faktyczny monopol na informację. Wysyłają one dziennie 40 milionów słów, podczas kiedy „pool” agencji trzeciego świata nadaje tylko ok. 40.000. Ale co poza nałożeniem cenzury może na to NOMIC pomóc? Chyba, że tak jak na Surinamie, który niedawno zmienił reżim, likwidując fizycznie byłych przywódców oraz redaktorów. Zapytany, dlaczego nie podaje informacji o strajku 4.000 górników w tej byłej holenderskiej Gujanie, nowy szef miejscowej agencji prasowej, który ocenzurował wiadomość, powołał się na NOMIC i wyjaśnił: „Nasi ludzie tutaj potrzebują żywności, a nie idiotyzmów politycznych”.

Tylko mimochodem dodam w tym miejscu (bo właściwie ten epizod należy do innej większej całości), że na najwyższym szczeblu NOMIC-em zajmuje się Departament Informacji Publicznej ONZ. Budżet tego departamentu wynosi 65 milionów dolarów rocznie, a jego działalność porównać można, z punktu widzenia szerzonych treści, z twórczością Departamentu Informacji Zagranicznej Komitetu Centralnego partii bolszewickiej w Moskwie. Mniejsza o szczegóły, może kiedyś będzie jeszcze okazja, wystarczy zacytować fachowca, byłego wicesekretarza generalnego ONZ, p. Arkadego Szewczenkę, którego zdaniem w tym Departamencie Informacji o wszystkim decyduje jego były kolega, p. Anatoli Mkrteczian, w cywilu pułkownik KGB.

W dziale zajmującym się „NOMIC-em” pracuje więcej urzędników niż w komórce odpowiedzialnej za kształcenie UNESCO.

Stany Zjednoczone uznały, że tego typu manipulacja nie powinna być opłacana z pieniędzy amerykańskiego podatnika.

Tym bardziej, że w ogóle nie jest jasne, na co idą te pieniądze, nie tylko amerykańskich podatników zresztą.

## 2) *Budżet*

Budżet UNESCO wynosi 374.410.000 dolarów. Udział poszczególnych państw obliczany jest według skomplikowanych współczynników, proporcjonalnie do dochodu narodowego, handlu zagranicznego, liczby mieszkańców itd. Same tylko USA wpłacają 25 % budżetu UNESCO, cały Zachód 69 %, ZSSR i kraje bloku sowieckiego 18 %, wszystkie inne razem 13 %. UNESCO jest jedyną organizacją międzynarodową, której budżet stale wzrasta. Niektórzy fachowcy twierdzą, że 60 % do 70 % budżetu UNESCO to wydatki personalne, inni, że tylko połowa. Ale nawet jeżeli połowa, to i tak jest szalenie dużo, gorzej chyba nawet niż w ONZ w Nowym Jorku.

Sekretariat generalny UNESCO w Paryżu zatrudnia 3.380 pracowników, przeciętna płaca miesięczna wynosi ok. 2.500 dolarów bez podatku. Na etacie UNESCO znajduje się ponad 100 tłumaczy i „terminologów”. W czasie szczytu konferencji generalnej w tłumaczeniach pracuje także ponad 300 osób „na akord”, a około 700 osób pracuje przy produkcji i dystrybucji dokumentów.

Dużo czy mało? Zależy. Od czego? Od wyników. Otóż to. Na etatach sekretariatu generalnego UNESCO, organizacji powołanej do szerzenia nauki, oświaty i kultury na terenach jeszcze nimi nie dotkniętych pracuje 3.380 osób, w tym 120 w wydziale... informacji. A ile z tych osób przebywa w terenie, ile niesie osobiście kaganiec za 2.500 dolarów miesięcznie bez podatku? 434, słownie czterysta trzydzieści cztery. Nie licząc naturalnie obywatela Kriwcowa, który za 3.000 dolarów miesięcznie nie nosi innym, a sam nosi kaganiec w Moskwie. No ale jest jeszcze dyrektor generalny. To specjalny rozdział. Ten bowiem bywa w terenie. Wyłącznie.

## 3) *Monsieur le Directeur Général*

W roku 1983 p. Amadu Mahtar M'Bow był w „terenie” 241 dni z 365, wliczając w to święta i choroby. Inaczej mówiąc, nie było go prawie wcale w biurze w Paryżu. Nic dziwnego,



pan dyrektor generalny posiada... 42 doktoraty *honoris causa* rozmaitych uniwersytetów, nie licząc innych godności, po które musi się fatygować osobiście. No a udział w konferencjach oraz wizyty oficjalne? Ale nie martwmy się. Pan dyrektor generalny wie co robi.

P. M'Bow urodził się w 1921 roku w Dakarze w Senegalu. Był tam ministrem oświaty, zanim w 1974 roku po raz pierwszy, a w 1980 roku ponownie został wybrany (z błogosławieństwem USA) jako pierwszy trzecioświatowiec generalnym dyrektorem UNESCO. Jest to człowiek z charakterem. Złym. Satrapa, rządzi UNESCO przy pomocy rozbudowanego osobistego sekretariatu i usłużnych mu wschodnioeuropejskich pomagierów. Jest szalenie ambitny, postanowił, jak twierdzą akolici, zemścić się za okres kolonialny i zostać następnym sekretarzem generalnym ONZ. Znajduje się przeto w nieustannej kampanii wyborczej. Tzw. „źródła” twierdzą, iż ma do własnej dyspozycji 200 posad, 2 miliony dolarów funduszu specjalnego. Korzysta z niego, aby opłacać przyjaciół, uruchamiając rozmaite subwencje, stypendia, ekspertyzy itd. Wbrew wszelkim regułom, UNESCO opłaciło np. podróż do Paryża przychylnych sobie 25 delegacji z trzeciego świata. Nie waha się manipulować głosami. Tylko *in extremis* uniemożliwiono mu ostatnio przeforsowanie na przewodniczącego konferencji UNESCO delegata Mongolii „poleconego” przez Moskwę, zamiast uzgodnionego dyplomaty z Cejlonu.

Pan dyrektor nie zapomina o przyjaciółach. Spośród 47 szpiegów wyrzuconych przez Mitterranda w kwietniu 1983 roku 12 „pochodziło” z UNESCO, w tym trzech pracowało w sekretariacie osobistym p. M'Bow. Według *Wall Street Journal* wszyscy biorą do dziś pobory. Widocznie p. M'Bow chce mieć pewność, że nie obrażą się i wrócą, kiedy przyjdzie ich pora. Dlatego chyba właśnie pojechał do Moskwy, kiedy nikt inny się tam nie chciał pokazać: tuż po inwazji Afganistanu i po aferze Boeinga 747.

Rezultaty takiej gospodarki ludzkiej (kuzyn p. M'Bow jest dyrektorem departamentu kadr UNESCO) nie dały na siebie długo czekać. „Jego antykolonializm — powiada jeden z jego byłych pracowników — przekształcił się po prostu w antydemokratyzm”. W ciągu kilku lat 20 dyrektorów podało się do dymisji.

„Nie chcemy uczestniczyć w kloszardyzacji UNESCO”, powiedział jeden z nich. Pierre de Sanarclens, Szwajcar, były dyrektor departamentu praw człowieka i spraw pokoju, opuścił UNESCO z powodu panującego tam „klimatu nieufności, prze-

sądów, nietolerancji, nadużyć władzy, strachu i serwilizmu". Niezłe, jak na organizację od kultury. Dyrektorem departamentu nauk społecznych był Meksykanczyk, socjolog o znakomitej reputacji, Rodolfo Stavenhagen. Poszedł sobie także, przegnany, jak powiedział „terroryzmem biurokratycznym”. Nawet Jugosłowianin, Dragoljub Najman, którego trudno podejrzewać o sprzyjanie imperializmowi, nie zdzierzył i wyszedł z UNESCO.

Dosyć lamentu. Anonimowa ankieta przeprowadzona wśród 2.536 urzędników UNESCO podsumowała całość. Tylko 3 % uznało, że „awanse pracownicze przyznawane są zgodnie z kwalifikacjami”. Było wśród tych 3 % zapewne 12 sówietów ociekających na powrót. Właśnie niedawno dostali... podwyżki.

W 1970 roku, a było to jeszcze zanim p. M'Bow pojawił się w Paryżu, pracownicy UNESCO podpisali masowo petycję protestującą przeciwko „kafkowskiej atmosferze” panującej w organizacji. Gdyby się nie bali, to dzisiaj zaproteutowaliby przeciwko „atmosferze orwellowskiej”. I mieliby rację.

Dymisja dyrektora generalnego, który zapominając o swojej roli czynnika nadrzędnego, zaangażował się całkowicie po stronie zamordyzmu kulturalnego i informacyjnego, mogłaby rozładować kryzys i napięcie w UNESCO. Ale rzecznik dyrektora generalnego oświadczył, iż p. M'Bow ma zamiar pozostać na stanowisku do końca mandatu w roku 1987. Tym bardziej, że delegat Francji w Komitecie Wykonawczym UNESCO, p. Jean-Pierre Cott, protegowany prezydenta Mitterranda uprzedził, iż „Francja popiera dyrektora generalnego”. I ostrzegł, że wyjście USA z UNESCO „stwarza fantastyczną okazję do manifestacji antyamerykańskich”. Być może, ale pod tym względem Amerykanie już się niczego nowego czy specjalnego ze strony UNESCO i p. Cotta nie spodziewają.

## Z A Ł A C Z N I K N R 2

P. Amadu Mahtar M'Bow jest chyba ostatnim człowiekiem, który miał zaszczyt wymienić listy z p. Jurijem Andropowem. Dyrektor generalny UNESCO przesłał mianowicie przewodniczącemu Najwyższego Sowietu swą książkę pt. „Gdzie zaczyna się przyszłość?”. W liście towarzyszącym książce p. M'Bow tłumaczy p. Andropowowi, że zawiera ona „jego wizję współczesnego świata i historii”.

Odpowiedź p. Andropowa nosi datę 31 stycznia 1984. Był on wtedy, jak dziś wiemy, w przededniu śmierci (choć zgodnie z „nowym porządkiem informacyjnym” rzecznicy KC zapewniali,

iz właśnie wraca do pracy), a jednak zależało mu, aby panu M'Bow przekazać jego własną „wizję świata i historii”. Sprawa widocznie ważna. I rzeczywiście. W ostatnim swoim słowie p. Andropow zapewnia p. M'Bow o niezmiennym poparciu ZSSR dla UNESCO i dla starań dyrektora generalnego w dziedzinie porządku, mającego na celu „wylimitowanie imperializmu informacyjnego i złamanie zachodniego monopolu w tej dziedzinie”. P. Andropow zdążył jeszcze dodać, że „jak wszyscy wiedzą, źródłem międzynarodowego napięcia są USA, które uważają całość globu za swą wyłączną własność, podczas kiedy ZSSR idzie po zupełnie innej linii”. No i poszedł...

Książki p. M'Bow pt. „Gdzie zaczyna się przyszłość?” nie otrzymałem i nie przeczytałem. Co do tytułu, to chciałbym tylko zauważyć, że jak to ktoś ładnie powiedział, „przyszłość to przeszłość, która wraca tylnymi drzwiami”. A od siebie dodam, że ludzie, którzy uczuciami tkwią w przeszłości, a którym wydaje się, że intelektualnie sięgają do przyszłości, czasem znajdują dobre posady w teraźniejszości, ale nie zajmują miejsca w historii.

Pisane 6 marca 1984.

*Kultura* nr 4/439, 1984.

P.S.

## CZY TO JESZCZE MASKA, CZY JUŻ TWARZ UNESCO?

Nie będzie niespodzianką, jeżeli poinformuję czytelników *Kultury*, że nie otrzymałem bezpośredniej, osobistej odpowiedzi na moje podanie do Jego Ekscelencji Dr. Amadu Mahtar M'Bow'a, Dyrektora Generalnego Organizacji Narodów Zjednoczonych do Spraw Oświaty, Nauki i Kultury. Ekscelencja być może nie czyta polskiego miesięcznika, pośrednio jednak odpowiedział.

Ktoś (kto?) powiedział, że od częstego używania maska staje się twarzą. To jest właśnie przypadek UNESCO. P. M'Bow nie załatwił mojej prośby o posadę. Jak się domyślam, sytuacja obywatela sowieckiego Kriwcowa, który pobierał (pobiera?) pobory dolarowe z UNESCO, chociaż został wydalony z Paryża za szpiegostwo, nie pozwala Ekscelencji dysponować tą pozycją budżetową. Co nie znaczy, że Ekscelencja zniknęła z kronik politycznych i towarzyskich.

Pytanie główne, jakie zadawano sobie w kuluarach UNESCO w Paryżu oraz w jego biurach rozsianych po świecie, dotyczyło

stanu w jakim p. M'Bow zostawi UNESCO w 1987 roku, kiedy upłynie jego mandat. O tym bowiem, aby zrezygnował on z posady przed upływem mandatu, nie ma mowy. Żadne skargi, żadne groźby, ani decyzja wycofania się USA z końcem 1984 roku, ani podobne ostrzeżenia Anglii, Danii, Holandii, czy, w mniej kategoriycznej formie, Japonii i RFN, nie wstrząsnęły monolitem jaki stanowi UNESCO z (w jego władzach) połączonym blokiem bezpartyjnych z trzeciego świata z partyjnymi z bloku sowieckiego. W okresie sprawozdawczym, to znaczy od kwietniowego numeru *Kultury*, jeszcze jeden ceniony, kompetentny i nie przepukiony wysoki urzędnik UNESCO opuścił tę instytucję. Peter Lengyel, redaktor *International Social Science Journal* podał się do dymisji, ostrożnie — bo nigdy nie wiadomo — motywując swą decyzję „spadkiem zawodowej fachowości” UNESCO w realizowaniu jej programu.

Fala wątpliwości co do stanu UNESCO dobiła w końcu i do jej gmachu w Paryżu. Jej Komitet Wykonawczy zrobił w maju krok naprzód, powołał mianowicie 13-osobową komisję, która miałaby zasugerować program reform, raczej technicznych, ale wystarczający aby zatrzymać Amerykanów i ich subwencje finansowe, bez naruszenia wszechpotęgi Ekscelencji.

Ani list p. Lengyela, ani inne listy, mniej delikatne w ocenie roli Ekscelencji, ani tym bardziej artykuły takie jak np. ten z *Kultury* nie ukazały się w żadnym wydawnictwie UNESCO. Nie można jednak powiedzieć, aby oficjalne wydawnictwo publicystyczne UNESCO uprawiało cenzurę i nie upowszechniało poglądów przedstawicieli krajów członkowskich.

Tak więc „UNESCO Features”, wydawnictwo oficjalne, którego zadaniem jest dostarczanie prasie międzynarodowej obiektywnych materiałów z dziedzin interesujących UNESCO, rozesłało na cały świat artykuł p. M. L. Tołkunowa, byłego naczelnego redaktora *Izwestii*, aktualnie dygnitarza w najwyższym sowiecie. Bardzo interesująca i cenna publikacja. P. Tołkunow donosi więc na cały świat: „Nawet według zachodnich źródeł obywatele sowieccy otrzymują informację znacznie bardziej różnorodną, niż obywatele jakiegokolwiek kraju zachodniego... Imperializm prowadzi politykę nieskrępowanego gangsteryzmu w eterze i usiłuje przygotować bezpośrednią interwencję przeciwko ZSSR, posługując się propagandą i informacją jako narzędziem... Tendencyjny charakter i podła jakość informacji, pochodzącej ze źródeł zachodnich, jest wynikiem ogólnie mówiąc odejścia od obiektywizmu i jawnego ulegania presji militarystycznej... Wszelkie demagogiczne powoływanie się na „wolność słowa i wolność prasy” jest

w tych warunkach niczym innym niż zapuszczeniem załony dymnej”.

Tyle oficjalny biuletyn Eksceleńcji. Dziwne? Nie. Sama Eksceleńcja poszła jeszcze dalej. A raczej pojechała. Do Warszawy mianowicie. Eksceleńcja M'Bow spędził w lipcu w Polsce, na oficjalne zaproszenie Eksceleńcji generała, tylko 48 godzin, ale zapisał się na całą resztę swojego życia we wdzięcznej pamięci Polaków.

Na konferencji prasowej na zakończenie wizyty Eksceleńcja mianowicie nie omieszkała podzielić się wrażeniami. Po pierwsze, była przejęta „poważnym postępowaniem zrealizowanym w Polsce w dziedzinie szkolnictwa” i „burzliwego rozwoju kultury”. Po drugie, zapytany co myśli o cenzurze i rozwiązywaniu prawie wszystkich stowarzyszeń twórczych, które tak pięknie owocowały przed proklamowaniem „wojny”, Eksceleńcja odpowiedziała jedynie, że w czasie jej, Eksceleńcji, pobytu, „żaden twórca nie poinformował jej (Eksceleńcji) o zawieszeniu czy uniemożliwieniu działalności twórczej”. Po trzecie, jeżeli chodzi o Eksceleńcę generała, to wyraził on swe poparcie dla UNESCO w ogóle, a dla Eksceleńcji Dyrektora Generalnego w szczególności, nie zapominając naturalnie o potępieniu „presji amerykańskiej” na UNESCO.

Więcej pisać o UNESCO nie warto. Kiedy koń umiera, należy z niego zejść. Po występie w Warszawie p. M'Bow jest istotą umarłą. W jego drodze na lepszy świat chciałbym jedynie mu przypomnieć, że jego zmysł humoru powinien go przestrzec, iż nawet na najwyższym tronie siedzi się zawsze na d....

Pisane w Brukseli, 10 września 1984.  
*Kultura* nr 10/445, 1984.

P.P.S.  
ZASKOCZONA AMBASADOR

40 lat po kapitulacji hitlerowskiej Rzeszy skapitulowała (znowu...) organizacja znana czytelnikom *Kultury* ze skrótu UNESCO. Rocznicą zwycięstwa w drugiej wojnie światowej nie mogła oczywiście przejść bez śladu w gmachu na placu Fontenoy w Paryżu, gdzie gustowny 300-metrowy duplex ciągle jeszcze, dzięki poparciu ZSSR, trzeciego świata i naszym podatkom, zajmuje p. M'Bow, dyrektor generalny i doktor *honoris causa* kilkudziesięciu uniwersytetów na całym świecie. Firmę, adres i

logistykę dała UNESCO; organizacją zajął się bezpłatnie Związek Sowiecki.

Chodzi mianowicie o bardzo interesującą wystawę pt. „Wielkie zwycięstwo narodu sowieckiego w wielkiej wojnie światowej 1941-1945”, urządzoną w centralnej siedzibie UNESCO. Otworzył ją p. Henri Lopes, wicedyrektor generalny UNESCO, rodem z Kongo, kraju, który nie brał czynnego udziału w walce z hitlerowskim najeźdźcą, a otwarcie zaszczylił p. M' Bow, dyrektor generalny z Senegalu, kraju, który podobnie jak Kongo, w czasie wojny jeszcze samodzielnie nie istniał. Wystawa tylko mimochodem wspomina, iż coś się stało w Polsce 1 września 1939 roku, zupełnie nie wspomina, że coś się także wydarzyło między Hitlerem a Stalinem w Moskwie 23 sierpnia 1939, zaczyna natomiast wszystko od agresji z 22 czerwca 1941. Mniejsza o szczegóły: jedna skromna wzmianka przypomina „poważny wkład narodów i armii Stanów Zjednoczonych, Wielkiej Brytanii, Francji, Chin oraz kilku innych państw”, cała reszta przekonuje widza, że „to naród sowiecki odniósł zwycięstwo” w imię naturalnie „pokoju i życia na ziemi”, itd., itp. Jeżeli chodzi o Europę Wschodnią, to wystawa w UNESCO nie ma najmniejszych wątpliwości, że to „wyzwoleńcza misja armii sowieckiej” przywróciła jej wolność. W konkluzji, wystawa w UNESCO nie pozostawia wątpliwości: wolność przyszła z socjalizmem...

Zimne plansze wystawy to nie wszystko, był jeszcze festiwal filmowy. Dzieła sztuki kinematograficznej pochodziły wyłącznie z ZSSR, Polski, Węgier, NRD i Bułgarii.

Ktoś pomyślałby, że wobec tak poważnego naruszenia zasady neutralności organizacji międzynarodowej, inne państwa, np. USA lub choćby Francja, bo ma blisko, zorganizowały także w UNESCO kontr-wystawy i kontr-festiwałe, przywracając równowagę obrazu, przypominając np. traktat z Hitlerem i rozbiór Polski, powstanie warszawskie, okupację państw bałtyckich, nie mówiąc już o misji wyzwolenczej armii czerwonej w Katyniu czy o dacie urodzin Sacharowa. Nic z tego, taka polemika pogwałciłaby neutralny charakter naukowy i oświatowy UNESCO.

Mme Gisèle Halimi, nowy, socjalistyczny naturalnie, ambasador Francji przy UNESCO, wyraziła ubolewanie z powodu jednostronnego i propagandowego charakteru wystawy i żał, iż wystawa nie została zorganizowana wspólnym wysiłkiem wszystkich państw koalicji antyhitlerowskiej. „Zostaliśmy po prostu zaskoczeni”, powiedziała pani ambasador. Nie pierwszy i niestety nie ostatni raz.

Pisane 4 czerwca 1985.

Kultura nr 7/454-8/455, 1985.

## GŁÓWKA PRACUJE

Był listopadowy brzask. W Hamburgu dniało. Celnicy, choć zaspani, postanowili zbadać nieco dokładniej duży samochód załadowany po dach, którego sylwetka była im jakby znana. Szybko się okazało, że była to 14-ta podróż tego samochodu w ciągu kilku ostatnich tygodni 1983 roku *ferry boat*'em poprzez Bałtyk z RFN do Szwecji. Ładunek wydał im się dziwny jak na zwyczajny samochód osobowy: były to części do skomplikowanych urządzeń elektronicznych, jadących tranzytem z... Afryki Południowej. Wtedy to po raz pierwszy świat usłyszał nazwisko Ryszarda Mullera, kupca, pośrednika w handlu międzynarodowym. Po raz pierwszy, ale nie ostatni.

W kilka dni później celnicy szwedzcy, działający na zasadzie informacji przekazanych przez CIA (która nie zawsze jest w błędzie), zatrzymali kilka wielkich skrzyń, pochodzących również z Afryki Południowej i przeznaczonych legalnie dla ZSSR. Przy bliższym zbadaniu okazało się, że skrzynie nie są zupełnie legalne, albowiem zawierają towary *made in USA*, objęte wszelkimi istniejącymi zakazami w handlu ze Wschodem. Nadawcą był również Ryszard Muller, adresatem jakaś niewinna na pozór centrala handlowa w Moskwie. W skrzyniach znaleziono m.in. części do komputera VAX/11/782 oraz prawie kompletne oprzyrządowanie do produkcji „chipsów”, elementów elektronicznych niezbędnych dla budowy nowoczesnych mikrokomputerów. Okazało się, że był to już któryś z kolei transport Mullera do Rosji, i że co najmniej trzy razy więcej podobnych ładunków do Rosji już dotarło. Fachowcy obliczyli wówczas, iż jeżeli ZSSR rzeczywiście otrzymał to, co podejrzewają, to w wyniku tylko tej operacji Muller zaoszczędził Rosji 5 lat badań i setki milionów dolarów.

Muller wtedy naturalnie zniknął, ale ślady zostały. Okazało się mianowicie, że Muller, wówczas 35-letni *businessman*, uszedł w 1975 roku pogoni FBI, która go już wtedy (z dużym opóźnieniem) posądziała o nielegalny eksport zakazanej technologii. W Europie, gdzie mu nic nie groziło, Muller rozwinął interes. Stworzył sieć około 60 fikcyjnych przedsiębiorstw od Kanady aż po Afrykę Południową, żył na szerokiej, można powiedzieć, stopie. Kupił ogromny majątek ziemski pod Hamburgiem, 100 koni wyścigowych stało w stajniach, w garażu — trzy samochody Bentley, Ferrari, Porsche, w porcie stał jacht „Tonga”, ongiś własność księcia Monaco. Muller, obywatel USA, urodzony w

Berlinie, krył wszystko paszportem szwajcarskim. Czegóż to nie można osiągnąć dzięki tak niesłusznie opluwanym rublom...

Kiedy zainteresowała się Mullerem prasa zachodnia, przeniósł się do Afryki Południowej. Dyskrecja zapewniona. Muller bowiem nie miał politycznych uprzedzeń i sprzedawał broń oraz urządzenia przemysłowe również Afryce Południowej, objętej przecież także rozmaitymi zakazami. Jego zdolność omijania wszystkich możliwych embargów tak zaimponowała Afrykanom południowym, że nie patrzyli mu na palce i nie reagowali na fakt, iż *gros* interesów Muller robił z bolszewikami. I wzajemnie.

Kiedy w 1983 roku Muller dostał cynk, że zaczyna być gorąco (w przenośni) w Afryce Południowej, postanowił przenieść się do Szwecji... Pozornie wybór był trafny, jako że w Szwecji zapuścił on był korzenie już przedtem. Od dawna niektóre firmy szwedzkie, choć bardzo niechętnie polityce *apartheid*'u, nie gardziły usługami pośrednika z Afryki Południowej w handlu z ZSSR. Na przykład duża firma szwedzka ASEA potrzebowała amerykańskich urządzeń komputerowych niezbędnych dla sterowania stalownią, którą dostarczyć miała Sowietom. Cóż kiedy komputer był pod embargiem. Cała transakcja była zagrożona. Ale był także Muller, dla niego to drobiazg: za głupie 750.000 dolarów ASEA otrzymała nielegalnie komputer, stalownia pojechała do ZSSR i wszyscy byli uradowani. Kiedy się wszystko (albo prawie) wydało, ASEA powiedziała, że nie rozumie, że bardzo przeprasza, że o zamówieniu dla Mullera zdecydował jakiś skromny urzędnik, który naturalnie przekroczył swe uprawnienia. I że nigdy więcej.

Bardziej rozmowny był Sven Olaf Haakanson. Po wyspie Mullera Haakanson, który prowadził w Sztokholmie stację tranzytową i ekspediował skrzynie ze sfałszowanymi dokumentami z Afryki Południowej do ZSSR, odpowiadał za przestępstwo... podatkowe, bo na nielegalny eksport nie ma paragrafu w ustawodawstwie. To właśnie przy Haakansonie sprawy się jednak nieco skomplikowały. Okazało się bowiem, iż Muller był nie tylko szefem sieci przemytu technologicznego, ale także szefem sieci zwyczajnie, albo nadzwyczajnie szpiegowskiej. Haakanson był tak pewny bezkarności, że zatrzymał u siebie „towary”, których nie zdążył wysłać do klienta w ZSSR. Przy rewizji znaleziono u niego m.in. 6.000 dyskietek komputerowych z zakodowanymi przeważnie informacjami. Jakież było zdziwienie fachowców od dekodażu, kiedy okazało się, że dyskietki dopasowane są do komputera VAX, wysłanego przez Mullera do ZSSR, że pochodzą z firmy Messerschmidt, że zawierają dane techniczne i operacyjne samolotu Tornado, mającego stanowić główny oręż siły powietrz-



nej NATO w latach 1990-tych. Zdziwienie przeszło w zadumę, kiedy okazało się ponadto, że bardzo zbliżone zadanie wykonywał aresztowany właśnie niejaki Manfred Rotsch, inżynier-konstruktor u Messerschmidta, od 30 lat szpieg NRD-owski w RFN. Fachowcy zadali sobie pytanie, czy jest możliwe, aby istniał jakikolwiek związek między Mullerem a Rotschem. Ich odpowiedź była negatywna. Moja jest pozytywna. Związek istnieje. Związek Sowiecki. W gmachu KGB w Moskwie.

Ale Muller był już na Wschodzie. Poza placem Dzierżyńskiego w Moskwie, ma dwie bazy: w hotelu Metropol w Berlinie wschodnim i w Budapeszcie. Nie ma, jak się wydaje, większych kłopotów finansowych. Na jednym tylko z kont, jakie miał w Szwajcarii, a które bank w Zurychu zgodził się ujawnić policji, figurowało 100 milionów dolarów. Jak na mały handelek — nie najgorzej. Coś niecoś z tego musiało zostać. Pod nowym nazwiskiem i pod ochroną paszportu dyplomatycznego jednego z KDL-i jeździ na nowo po krajach wysokiej technologii. Policja amerykańska rozesłała za nim listy gończe, ale policje zachodnio-europejskie nie mają powodu, aby go zatrzymać, chyba że — jak powiedzieli — złapią go na *flagrant délit*. Poczekają...

Ryszard Muller zasługuje na podziw i szacunek. Poświęciliśmy mu sporo uwagi nie tylko ze względu na jego osiągnięcia w łamaniu wszystkich możliwych embargów (figuruje on na pierwszym miejscu amerykańskiej listy „niepożądanych pośredników handlowych”, czyli inaczej mówiąc szmuglerów technologii), ale przede wszystkim z uwagi na fakt, iż stanowi on najbardziej kompletny choć indywidualny przykład tego, w jaki sposób ZSSR nadrabia swoje zaległości w dziedzinie technologii w ogóle, a wojskowej w szczególności. Stawka jest ogromna. Chodzi o życie, pieniądze nie grają roli.

## I. NA CZTERY SPOSOBY

Cztery są sposoby w technologicznej ewangelii sowieckiej super-potęgi. Dwa pierwsze są legalne.

### a) *Za gotówkę*

Normalny zakup za pomocą dewiz, gotówką, jak nie można inaczej, ale lepiej na kredyt. Z reguły chodzi tu o towary tzw. podwójnego użytku. Przez siedem lat trwała budowa w Kamie nad Wołgą kombinatu ciężarówek. Rosjanie dali słowo honoru,

że będą one służyć wyłącznie do celów cywilnych, za co Ameryka, Japonia, Europa zachodnia, a przede wszystkim RFN, zapłaciły 1,5 miliarda dolarów. Ciężarówki Kamaz służą, jak wiadomo, cywilom w Afganistanie oraz cywilnej grupie wojsk sowieckich w NRD. „Kamazy” są coraz bliżej RFN, skąd 10 lat temu nadeszły pierwsze maszyny do ich produkcji.

Bardzo cywilna fabryka w Leningradzie zakupiła na Zachodzie, także pod słowem honoru, wyjątkowo precyzyjne maszyny do wytwarzania małych łożysk kulkowych. Dziś odnaleziono je w systemie sterowniczym rakiet SS-20, wycelowanych w dostawców. Słowo honoru zostało także dane przy zakupie w Japonii i Szwecji dwóch suchych doków do obsługi floty wyłącznie — naturalnie — handlowej. Okazuje się dziś, że służą one wyłącznie do konserwacji i naprawy lotniskowców klasy „Kijew” oraz już są dostosowywane do obsługi jeszcze większych lotniskowców, produkcja których jeszcze się nawet nie zaczęła. Ale się zacznie. Statki oceanograficzne dostarczone przez Zachód, to też już nie jest żadna tajemnica, wypełniają, po niewielkiej adaptacji, misje szpiegowskie, śledzą trasę prób pocisków rakietowych, manewry floty, a przede wszystkim służą do tropienia amerykańskich łodzi podwodnych.

To wszystko jednak detale, najważniejsza jest elektronika, na której skupiony jest główny wysiłek „handlowej” ofensywy sowieckiej. Kupują co się da: od komputerów IBM dopuszczonych do eksportu z uwagi na ich względną demodernizację aż po gry elektroniczne dla dzieci, zawierające elementy mikro-elektroniki. Wystarczy powiedzieć, że komputer RYAD jest żywcem zerżnięty z IBM 360 i 370 i to do tego stopnia, że oprzyrządowanie do konserwacji i napraw jest absolutnie identyczne.

## b) *Przez głupotę*

Normalny dostęp do źródeł niehandlowych legalnie dostępnych. Ten sposób ma wielką przewagę nad pozycją (a): jest darmowy. Chodzi tu o to wszystko, co Rosjanie i ich sojusznicy „wyciągają” z normalnej wymiany naukowej, z targów i wystaw itp. Agentom sowieckim udają się nieraz niesłychane chwytły. Np. zupełnie bez wysiłku, w ramach „współpracy naukowej”, w geście przyjaźni, otrzymali wstępne plany budowy ogromnego wojskowego samolotu transportowego C-5A. Tysiąc „przedstawicieli” rozmaitych organizacji naukowych i handlowych przebywa stale w USA wyłącznie w misji pozyskiwania legalną, jeżeli

można, drogą tajemnic technologii amerykańskiej. Starają się uzyskać dostęp do instytutów pracujących przede wszystkim w dziedzinie laserów i mikroelektroniki, ich zainteresowania skupione są głównie na małych przedsiębiorstwach bardzo często mających poważne osiągnięcia technologiczne. Jedna z takich ekip naukowych odwiedziła bibliotekę publiczną w stanie Tennessee. Najzupełniej legalnie sfotokopiowali tam, na koszt... biblioteki, raport ekologiczny dotyczący projektu budowy najbardziej nowoczesnej fabryki wojskowych materiałów wybuchowych. Późniejsze śledztwo ujawniło, że raport zawierał taką liczbę detali technicznych, iż Rosjanie z łatwością mogli na ich podstawie zbudować całą fabrykę.

Minister handlu Baldrige, do którego kompetencji należy ochrona tajemnic technologicznych, czeka od 1982 roku na odpowiedź na swe memorandum w sprawie zbyt szybkiego zdejmowania pieczęci „*secret*” z dokumentacji technologicznej i wojskowej. Tak było np. ze skromnym dokumentem zatytułowanym „Symulacyjny model procesu dowodzenia, kontroli, łączności i wywiadu armii amerykańskiej”, opracowany na użytek Ministerstwa Obrony. Pan Baldrige kieruje „Państwowym Instytutem Informacji Technicznej”, mającym przeciwdziałać lekomyślności agend rządowych w tej dziedzinie, ale nie ma środków działania czy presji. Pentagon też dysponuje specjalnym ośrodkiem kontroli zakresu i tempa udostępniania dokumentacji naukowej szerokiemu ogółowi, ale ma za mało ludzi w sztabie, aby móc wszystko co trzeba przeczytać. 11.000 przedsiębiorstw amerykańskich wykonuje zamówienia opłacane z budżetu Ministerstwa Obrony. Dla kontroli ruchu przemytniczego tych produktów rząd amerykański dysponuje kilkudziesięcioma agentami. W tym samym celu w jednym tylko 1983 roku zjawilo się w USA... 17.000 „gości” z krajów komunistycznych ze Związkiem Sowieckim na czele. W rezultacie Rosjanie mają i wykorzystują darmowy i legalny dostęp do informacji z najnowszej technologii komputerowej i nuklearnej, za którą w normalnym handlu Moskwa musiałaby zapłacić miliony, o ile w ogóle by ją uzyskała.

To samo dotyczy konferencji naukowych, wymiany specjalistów, kolokwiów, seminariów itd., itp. Nikt rozumny nie proponuje naturalnie likwidacji takiej wymiany i kontaktów między naukowcami. Ale niechże przynajmniej zapanuje jasność co do tego, kogo wpuszczamy do naszych laboratoriów. Belg czy Francuz zastanawia się bardzo długo, czy zaprosić do swego salonu sąsiada, z którym mieszka o ścianę od 20 lat, ale jego zakład naukowy nie dopuszcza myśli, aby Monsieur le Professeur z Mos-

kwy czy Charkowa mógł mieć niedobre zamiary nie wobec córki gospodarza, a jego osiągnięć naukowych. Uniwersytety amerykańskie, prywatne zwłaszcza, to znaczy te największe, mają w zasadzie pełną swobodę zapraszania gości z zagranicy. Ale kiedy CIA czy FBI odmówi wizy jakiemuś „naukowcowi” znanemu z pracy w czy dla KGB, podnosi się ogromny szum. „Wolność nauki — powiadają wtedy — została pogwałcona”. A przecież wiadomo, że co najmniej połowa wschodnich „gości” naukowych w USA przyjeżdża w nie naukowych celach. Baldrige zamówił u swoich naukowców raport w sprawie wolnego dostępu do dokumentacji technologicznej. Konkluzja była jednoznaczna. „Oficjalnie dostępna dokumentacja technologiczna — powiada raport — pozwala Rosjanom na zdobycie materiału informacyjnego w takiej ilości i jakości, iż jest on wystarczający dla sprawdzenia jakości ich własnych prac, wyznaczenia planów badań na przyszłość, przyswojenia sobie w sposób tani i prosty niesłychanie kosztownych procesów naukowych i badawczych”. Baldrige postawił kropkę nad i. Jest to kropka groteskowa. „Nieograniczony dostęp do dokumentacji — stwierdza z gorzkim uśmiechem minister — sprawia iż dzięki wolności nauki w ręce Rosjan wpada dokumentacja, której wielki i kosztowny system kontroli wojskowej stara się równocześnie do ich rąk nie dopuścić”.

Tylko krótko o właściwej dyplomacji. Równoległe do Genewy i rokowań sowiecko-amerykańskich w dziedzinie rozbrojenia (to inny temat), główny wysiłek Kremla skierowany jest na rozluźnienie amerykańskich restrykcji eksportowych. Chodzi o legalne udostępnienie niektórych przemysłowych urządzeń objętych embargiem. Cena nie gra roli. P. Olmer, amerykański wiceminister handlu, był w styczniu w Moskwie, aby podjąć rozmowy handlowe. P. Alchimov, prezydent Banku ZSSR, dał mu jasno do zrozumienia, że w zamian za otwarcie granic dla technologii Moskwa skłonna jest sprzedawać 50.000 Żydów rocznie. Aby zmierzyć gest i hojność sowiecką wystarczy powiedzieć, że w 1984 roku wyjechało z ZSSR mniej niż 1.000 Żydów. Wystarczy także przypomnieć, że liczby tego rządu w „żydowskim kontekście” praktykowane były wyłącznie w okresie *détente*, to znaczy w latach 70-tych, które pozwoliły ZSSR na ogromne przyspieszenie i unowocześnie nie dobrojenia. 50.000 Żydów wyjechało tylko w jednym 1979 roku, kiedy podpisany został układ SALT II, szczytowy moment sowieckiej podwójnej gry, naznaczony najpierw słynnym (brrr) pocałunkiem Carter-Breżniew w Wiedniu, a potem, kilka miesięcy później, inwazją na Afganistan.

Dwa następne sposoby są nielegalne.

### c) *Model Mullera*

Pierwszy jest prosty i choć jego realizacja techniczna nieco się komplikuje, nic nie wskazuje, aby miał się ku końcowi. Odwrotnie, tylko cena rośnie. Polega on na obejściu embarga poprzez stworzenie sieci fasadowych przedsiębiorstw handlowych. Komputer, powiedzmy, amerykański, wysyłany jest z USA na lipny adres firmy w kraju nie objętym embargiem. W tym miejscu powstaje problem. Jeżeli urzędnicy w tym kraju, np. w Portugalii, nie są czuli na subtelności celne albo są przekupni itp., wtedy towar jest wysyłany prosto do ZSSR (Bułgarii, NRD itp.). Jeżeli teren jest trudny, to komputer podróżuje nadal, ciągle w strefie nie embargowej, np. jedzie do Austrii, Szwecji lub innego kraju mniej lub bardziej neutralnego i tam szuka jaśniejszych szlaków.

Jest to pomysł genialny. Muller nie jest sam. Znani są tylko ci, naturalnie, którzy wpadli. Ot, np. Werner Bruchhausen, obywatel RFN. Utworzył on sieć 16 małych przedsiębiorstw w Silicon Valley, sercu amerykańskiej technologii, dla prowadzenia tam w sposób na pozór niezależny, a nawet konkurencyjny, handlu artykułami wysokiej technologii i elektroniki. W istocie celem jego był transfer do ZSSR oprzyrządowania niezbędnego dla produkcji półprzewodników, których eksport za kurtynę figuruje na jednym z pierwszych miejsc wszystkich list zakazów i embargów. Handel trwał cztery lata, w ciągu których Bruchhausen dokonał 300 przerzutów poprzez Austrię i Niemcy na Wschód. Kiedy go nakryto, dzięki anonimowi skądinąd, było za późno. Fabryka już produkowała. W ZSSR...

Albo taki Jakub Kelmer, obywatel Izraela. Założył on w Hajfie firmę dla celów importu amerykańskich urządzeń gospodarstwa domowego. Dziwne gospodarstwo: chodziło przede wszystkim o oscyloskopy, lasery i inne instrumenty do pomiarów prób m.in. rakietowych. Oscyloskopy nigdy nie dotarły do Izraela, natomiast ślad ich urywał się w Wiedniu. Skąd my to znamy?

Walter Spawr, obywatel amerykański, był — jak to się nawet w USA zdarza — nieuznanym geniuszem. Wynalazł sposób polerowania niezbędny dla produkowania jedynych w swoim rodzaju zwierciadeł laserowych. Mniejsza o detale techniczne, i tak nic nie zrozumiemy. Ważne, że to, co dla USA nie wyglądało na genialne odkrycie, dla ZSSR nie miało właściwie ceny. Reszta była prosta. Firma niejakiego Wernera w RFN się tym zajęła. Zwierciadła szły jak woda z Zachodu na Wschód ku radości Sowietów, którzy nie szczędzili ani pieniędzy, ani kawioru, za-

praszałi Spawra i kupowali coraz nowe zwierciadła. Poprzez Wenera w RFN oraz... wprost. Spawr bowiem udoskonalil procedurę: żeby ušpic celników, fałszował faktury, podawał cenę 500 dolarów zamiast 40.000, które dostawał, nie mówiac już o tej, jaką płacili Rosjanie pośrednikom. Rosjanom się spieszyło. Zaproponowali Spawrowi 1,5 miliona dolarów za zainstalowanie w ZSSR całej fabryki. Nie zdążyli. Skazany na 10 lat w pierwszej instancji, Spawr dostał tylko 6 miesięcy w apelacji. Sąd uznał, że Spawr działał jako dynamiczny, ale nie doceniony przez społeczeństwo wynalazca i przedsiębiorca. Sprawy bezpieczeństwa USA nie były poruszane.

Jeszcze dwa tylko przykłady, ale wymowne. „Datsaab” w Szwecji dostarczyła nielegalnie Sowiecom amerykański program komputerowy pozostający pod absolutnym embargiem, przeznaczony do kontroli ruchu powietrznego i zdolny do śledzenia trasy samolotów wojskowych. I wreszcie, cierpliwością i pracą, Rosjanie zbudowali u siebie fabrykę „chipsów” w oparciu o części powoli zakupywane poprzez 50 firm działających absolutnie niezależnie w 6 krajach Zachodu.

#### d) *Model KGB*

No i wreszcie królowa technologicznych osiągnięć sowieckich, czyli szpiegostwo. To jest nielegalny sposób numer dwa. Trudno oczywiście zmierzyć rozmiary zjawiska. W ciągu jednego tylko roku, w jednej tylko Silicon Valley, FBI prowadziła 35 śledztw z tytułu technologicznego szpiegostwa. Nie warto tutaj opisywać wielkich afer z tej branży. Inni to już zrobili i lepiej ode mnie (czytajcie Johna Barona). Specyfika *Kultury* wymaga jednak, abym wspomniał o dwóch dużych (o małych nie warto) aferach, w których władze z Warszawy odegrały pewną rolę. William Bell, pracownik zakładów samolotowych Hughes'a, otrzymał od polskiego agenta 110.000 dolarów, w zamian za które udostępnił Polsce tajemnice radaru w jaki wyposażone są amerykańskie myśliwce i bombowce oraz sonary z łodzi podwodnych. W drugim wypadku, James Harper, elektronik, dostał od polskiego wywiadu więcej, bo 250.000 dolarów, ale też i towar był pierwsza klasa: chodziło o tajemnice raket strategicznych „Minuteman” i obrony USA przeciw rakietom balistycznym. Obaj panowie siedzą, podobnie jak ich polscy partnerzy. Pytanie pierwsze: po co Polsce tajemnice raket strategicznych? Pytanie jest głupie, potrzebne są Rosji, wszystkie wywiady pracują dla Moskwy. Pytanie drugie, mądre: ile zapłaciła Rosja Polsce za tajemnice

z USA? Jaki jest zysk dla polskiego górnika, który te dolary wypracował?

ZSSR — wszystko jest względne — ponosi spore koszty. W dolarach i w ludziach. W setkach milionów dolarów, albowiem za przemyt płaci cenę kilka razy wyższą od rynkowej, no i także dlatego, że kupuje każdy śmieć, jeżeli tylko wygląda na technologię, wykupuje na wszelki wypadek pełne wystawy, targi i pokazy nawet zachodniego baracha. W ludziach — co brzmi dumnie — albowiem w samym tylko 1983 roku 140 złapanych szpiegów „dyplomatów” sowieckich i kilkudziesięciu KDL-owskich zostało wydalonych z kilkunastu krajów niekomunistycznego świata, pewna liczba szpiegów, obywateli państw poszkodowanych została aresztowana, pewna liczba, w tej dziedzinie informacji nie są jasne, została wymieniona lub wykupiona. Raport Kongresu amerykańskiego stwierdza krótko, iż szkody poniesione przez wolny świat są „nieobliczalne”. Reszta jest milczeniem...

## II. CZERWONA KSIĄŻECZKA

Ktoś musi naturalnie kierować całą akcją. Gdzieś muszą być ludzie, którzy wiedzą i którzy zajmują się *dispatching*’iem, płataniem i rozplątywaniem nitek sieci najwyższej zorganizowanego rabunku szarych komórek w historii świata, ktoś prowadzi akcję „technologia”, której zadaniem jest wygrać trzecią wojnę światową bez strat własnych.

Trudno odtworzyć system sowieckiego dowodzenia akcją „T”. Na czele piramidy, tuż pod Biurem Politycznym, ale ono jest zawsze i wszędzie, działa Komisja Wojskowo-Przemysłowa, skupiająca przedstawicieli około 12 ministerstw i agend ZSSR związanych z bezpieczeństwem i wojskiem. Ta komisja koordynuje potrzeby i operacje. Podlegają jej wszystkie komórki zajmujące się stroną praktyczną rabunku technologii, a więc KGB, a przede wszystkim jego Departament „T” (nauka, technika, wynalazki itd.), GRU (wywiad wojskowy), Główny Komitet Nauki i Techniki, a w tym VIMI, czyli komisja kontrolująca wykorzystanie w praktyce zdobytych informacji, Akademia Nauk i jej instytuty, niektóre wyspecjalizowane wyłącznie w przyswajaniu cudzych „szarych komórek”, między innymi poprzez bezkarne upowszechnianie wśród zainteresowanych instytucji informacji naukowych i technologicznych czerpanych z ponad 1,5 miliona (!) pism fachowych zakupywanych w... 125 krajach, GKES czyli Komitet Współpracy Naukowej z Zagranicą no i wreszcie Ministerstwo Handlu Zagranicznego i jego niezliczone agendy i centrale, Aero-

fłoty, Inturisty oraz, naturalnie, Ministerstwo Spraw Zagranicznych, wraz z jego „dyplomatami” i... dziennikarze.

Większość pracowników wszystkich tych instytucji wysłanych do konkretnych operacji za granicę jest albo na dwóch etatach, albo po prostu zostali przeniesieni z KGB czy GRU. Arkady Szewczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, uważa, że 50 % wszystkich sowieckich przedstawicieli za granicą spełnia przede wszystkim misje szpiegowskie. Arkady nie docenia swych byłych szefów...

Dla użytku szpiegów Komisja Wojskowo-Przemysłowa opracowała specjalny podręcznik. Jest to „czerwona książeczka”, nie Mao, a KGB. Formalnie nosi nazwę: „Skoordynowane potrzeby w sprawie technicznych zadań informacyjnych”, a w rzeczywistości zawiera listę życzeń rządu sowieckiego w zakresie kradzieży zagranicznych odkryć i wynalazków. „Życzenia” te wyliczone są w 77 paragrafach 26-ciu rozdziałów technicznych. Rozdział 27 omawia luki w ustawodawstwie krajów zachodnich, umożliwiające szpiegostwo przemysłowe przy minimalnym ryzyku. Pierwszeństwo mają badania nuklearne, lasery, elektronika, komputery, systemy nawigacyjne, radary, no i wszystkie inne rodzaje technologii zbrojeniowej. Pięć podstawowych kryteriów stanowi podstawę wszczęcia podchodów, m.in. ...powaga firmy i jej... wypłacalność. Nic, nawet najbardziej cywilne z pozoru urządzenia nie są lekceważone. Moskwa np. wie lepiej niż jej wysłannik w RFN, że silnik z niemieckiego traktora nadaje się do czołgu itp.

Nic dziwnego, że „czerwona książeczka”, gruba jak książka telefoniczna średniego miasta, otoczona jest w ambasadach ZSSR niezwykle ostrymi środkami ostrożności. Jest trzymana pod kluczem w specjalnych pomieszczeniach rezydentury KGB, dostęp do niej mają jedynie osoby upoważnione przez rezydenta, czytanie odbywa się pod jego nadzorem, a strony są tak zszyte, że nie można ich wyrwać. Książka została wydana i jest firmowana przez „Wydział Współpracy Naukowej i Technicznej z Krajami Kapitalistycznymi i Trzeciego Świata” podległy Państwowemu Komitetowi Nauki i Techniki. „Współpracy”?!

### III. ZA TRZY LATA...

Pytanie zasadnicze brzmi: jakie są wyniki tak kolosalnej operacji? Odpowiedź szczegółowa nie jest łatwa, dla mnie w każdym razie. Oddajmy głos fachowcom. Ion Pacepa był generałem i zastępcą szefa kontrwywiadu rumuńskiego. Uciekł na Zachód jeszcze w 1978 roku, ale dopiero niedawno ujawnił część tego,



co przyniósł Zachodowi w posagu. Przy pomocy Michaela Ledenna, specjalisty z Instytutu Badań Strategicznych Georgetown w Waszyngtonie, opisał swe doświadczenia na użytek i ku zadumie ludzi zachodnich. Pacea streścił między innymi wycieczkę Ceausescu na zaproszenie Breżniewa dla odwiedzenia ultratajnego „ośrodka mikroelektronicznego”. Ceausescu opowiadał później, iż mimo, że podobnych centrów nie ma już odwiedzał, m.in. w USA, podobnego skoncentrowania najnowocześniejszej aparatury jeszcze nie widział. „Takich ośrodków — powiedział mu wtedy Breżniew — mamy kilkadziesiąt, a wszystkie ich instalacje pochodzą z Zachodu”.

Co to znaczy w planie konkretnym? Oto jak można by sformułować diagnozę: podczas kiedy w latach 60-tych opóźnienie Rosji w stosunku do Zachodu w dziedzinie mikroelektroniki wynosiło od 10 do 12 lat, dziś, dzięki transferowi technologii, dystans wynosi od 3 do 5 lat i szybko się zmniejsza.

Co z tym fantem zrobić? Jaka jest riposta na rabunek, który tyle kosztuje Zachód w sferze finansowej, ale przede wszystkim obronnej? Nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi. Można jednak powiedzieć, że przede wszystkim trzeba chcieć coś zrobić. I robić razem. Łatwo powiedzieć...

Tuż po wojnie było łatwo: USA dominowały świat, robiły, lub nie, co chciały. Miały monopol na technologię. Ale i wtedy nie ustrzegły się, jak wiadomo, ani przed transferem ani szpiegostwem, wystarczy przypomnieć tajemnice atomowe, sprawy Rosenbergów, Fuchsa itp. Potem przyszły lata *détente*, kiedy w ogóle nikt nie myślał o ograniczeniach, zwłaszcza, że jak niektórzy przepowiadali, zalanie Rosji towarami zachodnimi zamieni sowieców w anioły i baranki Boże. Tak się nie stało. Kiedy padł Afganistan, spadł Boeing 747, upadła „Solidarność” itp., sieci transferowe już dawno funkcjonowały, szare komórki pełną parą pracowały na Zachodzie dla Wschodu.

Zachód nie jest bezbronny. Ani ślepy. Od 1949 roku funkcjonuje COCOM, Komisja kontroli eksportu strategicznego na Wschód, która skupia kraje NATO bez Hiszpanii i Islandii (ale jest Japonia). COCOM spełnia pożyteczną rolę, ale jest oczywiście w niewoli interesów krajów członkowskich. Oczka zastawionych przez COCOM sieci zaciskają się lub rozluźniają w zależności od percepcji zagrożenia sowieckiego i nacisku kryzysu, bezrobocia, potrzeby handlu z ZSSR itd.

Stany Zjednoczone postanowiły także bronić się same. Lista MCTL, czyli produktów technologicznych mogących mieć zastosowanie także wojskowe ma 700 stron, jej krytycy uważają, że jest to spis monstrualnie długi i przesadny, tym bardziej, że

tylko w stosunku do 15 % wymienionych towarów USA mają faktyczny monopol, że inaczej mówiąc, Moskwa może 85 % listy kupować gdzie indziej.

To prawda, Waszyngton wziął to pod uwagę. EAA, Export Administration Act, ustawa o kontroli eksportu, daje prezydentowi USA prawo rozciągania ustawodawstwa amerykańskiego na firmy produkujące w innych krajach na licencji amerykańskiej lub w oparciu o części sprowadzone z USA. Operacja „Exodus”, przeprowadzona przez służbę celną w oparciu o tę ustawę, dała pewne wyniki: odkryto drogi przemytu, tak wpadła m.in. siatka Mullera, ale w warunkach sojuszu państw demokratycznych sprawa nie jest łatwa.

Sprzeczności są rzeczywiście poważne. Europa zachodnia inaczej patrzy na sprawę handlu Wschód-Zachód niż Stany Zjednoczone. Zachodnia Europa uważa, że handel jest w równym stopniu korzystny dla Wschodu co Zachodu. Jest to rozumowanie nieprawidłowe, ale o tyle nie zaskakujące, że kraje europejskie zależą w większym stopniu od handlu ze Wschodem niż USA. Do tego faktu dorabiana jest jednak cała filozofia. Kraje zachodnioeuropejskie, jak to zostało jasno sformułowane m.in. w dokumentach przygotowanych na niedawną sesję Zgromadzenia Atlantyckiego, skupiającego parlamentarzystów z krajów NATO, uważają iż nie powinny poprzez ograniczenia handlowe nawet próbować wywoływać kryzysu gospodarczego w ZSSR, jeżeli założyć, że byłoby to w ogóle możliwe. Odwrotnie, uważają one, że kryzys taki nie leży w interesie Zachodu: istnieje bowiem ryzyko, iż ZSSR stać się może bardziej agresywny w okresach trudności gospodarczych. Kraje zachodniej Europy uważają np., że postąpiły trafnie, udzielając ZSSR pomocy w budowie *pipe-line* syberyjskiego, jako że pomoc dla Rosji w wykorzystaniu jej zasobów energetycznych wzmocniła bezpieczeństwo Zachodu, odwracając uwagę Moskwy np. od złóż naftowych Zatoki Perskiej. Embargo, które USA chciały nałożyć m.in. na dostawy dla *pipe-line*, byłoby, dodają Europejczycy, kosztowniejsze dla Europy niż dla USA. A zresztą, powiadają parlamentarzyści, sankcje gospodarcze nie potrafiły udowodnić swej skuteczności, nie przyniosły zmiany w postępowaniu sowieckim ani w Afganistanie, ani w Polsce. Więcej, parlamentarzyści atlantyccy uważają, że wzmaganie handlu z krajami zależnymi od Moskwy umacnia ich tendencje niepodległościowe. Przykład Węgier jest często cytowany, podobnie jak lata 70-te w Polsce, kiedy to wzmocnienie kontaktów gospodarczych z Zachodem przyczyniło się do wzmocnienia nastrojów wolnościowych, ukoronowanych pojawieniem się „Solidarności”...

Nie tu i nie teraz czas i miejsce na krytykę tak naiwnej filozofii politycznej. Nic przecież z tego faktycznie nie wynika dla oceny zjawiska, jakim jest nielegalny transfer technologii na Wschód poza tym, że utrudnia ona kontrolę przemytu i osłabia Zachód.

Jest prawdą, że technologia jest jak kokaina: jej przemytu nie da się w całości powstrzymać. Ale trzeba i można się starać robić to lepiej. Wyniki wykazują, że obecnie starania są niewystarczające. Fatalnie przeprowadzona próba embarga na dostawy dla *pipe-line* zakończyła się fiaskiem i poważnym upadkiem autorytetu USA. Fakt, że Reagan właśnie wtedy sam zniósł embargo na zboże dla Rosji też nie przekonał nikogo o czystości intencji amerykańskich.

Kraje neutralne, przede wszystkim Austria, ale i Szwecja i Szwajcaria uważają, że zbyt daleko idące ograniczenia handlowe sprzeczne są z ich statutem politycznym. W Austrii, przez którą idą główne szlaki przemytu, dochodzi do sytuacji komicznych. Firma Steyr została odbudowana dzięki planowi Marshalla i dostarcza obecnie Rosjanom urządzeń do produkcji specjalnych gatunków stali, objętych embargiem USA. Kiedy rząd amerykański zaprotestował, odpowiedź brzmiała, że jeżeli Austria nałoży embargo na dostawy do ZSSR, to będzie musiała uczynić to samo w stosunku do... USA. Jeszcze trudniej jest kontrolować dostawców azjatyckich, Formozę czy Koreę południową, które są już poważnym producentem nowoczesnej technologii i dysponują sprzętem amerykańskim. USA sporządziły „szarą listę” krajów, gdzie zachodzi ryzyko nielegalnego reeksportu na Wschód, ale skoro lista obejmuje takie kraje jak Austria i Indie, Finlandia i Szwajcaria, Szwecja i Singapur, jej realizm nie jest bezsporny.

#### IV. GWIAZDY W OCZACH

Problem transferu technologii zachodniej na Wschód jest w równym stopniu zagadnieniem politycznym, co gospodarczym. Handel EWG z RWPG stanowi dla Zachodu tylko kilka procent, w USA wynosi poniżej 2 % ich handlu zagranicznego. Ale jest to zagadnienie delikatne. Po pierwsze w warunkach kryzysu każdy procent jest ważny, dla RFN np. handel ze Wschodem, zwłaszcza z NRD, to ponadto argument wyborczy. Po drugie, nieraz spłata długów — na przykład — polskich — wobec banków przede wszystkim zachodnioniemieckich, także od tego handlu w dużym stopniu zależy. Po trzecie, Amerykanie postępują często nieumiejętnie, a ponadto nieraz pod embargiem technologicznym

kryje się zwyczajna kokurencja handlowa. Po czwarte, sami Amerykanie tracą. Caterpillar w USA musiał po embargu odwołać dostawę kombajnów dla układania *pipe-line*. Japonia natychmiast je dostarczyła.

Do tego dochodzi, a jest to aspekt zasadniczy, różnica w ocenie wagi tego zjawiska między czynnikami rządowymi a handlowymi. Rząd musi uwzględniać elementy bezpieczeństwa, firmy handlowe w krajach demokratycznych mogą sobie bimbać.

Nie powinny. Rosja oczywiście nie jest pozbawiona utalentowanych ludzi. Wysłała Kosmosy i Sojuzy, grozi nam SS-20 i wszystkim innymi raketami. Ale nawet najbardziej szczerzy prorok pokoju przez handel nie powinien zapominać, że:

1) ZSSR nie dysponuje rezerwami ludzkimi i materialnymi pozwalającymi jak np. w USA na równoczesny wzrost wydatków w dziedzinie cywilnej i wojskowej. Transfer technologii zachodniej pozwala Kremłowi zaoszczędzić lata badań, miliardy dolarów i w ten sposób łatwiej sprostać dylematowi: armaty czy masło. Jeżeli uwzględnić kolosalny import zboża amerykańskiego, to Kremłowi, wbrew rzeczywistości sowieckiej, udaje się rozwiązać ten dylemat w sensie i armaty i masło. Kwestia, czy i jaki zysk ciągnie z tego Zachód, jest otwarta...

2) Dostawy najnowszej technologii z Zachodu pozwalają Rosji na nadrobienie zacofania systemu bez naprawy sposobu zarządzania. Pozwalają na odraczanie reformy, kompensują ciężar biurokracji, pozwalają władzy na Kremlu łatwiej wywinąć się z konieczności, *pardonnez l'expression*, demokratyzacji, utrwalają stabilność i ciągłość aktualnej ekipy kremłowskiej, starej i młodej. Uwierzytelniają w konsekwencji ogłupiające spekulacje niektórych „kolumnistów” z największej prasy amerykańskiej na temat istnienia na Kremlu frakcji proamerykańskiej i kampanię przeciw Reaganowi, rzekomo odpowiedzialnemu, przez swoją retorykę, za jej niszczenie. Doszło do tego, że w przededniu konferencji genewskiej duże pismo amerykańskie wezwało Biały Dom do udzielenia poparcia umierającemu proamerykańskiemu Czernience w jego walce z frakcją proeuropejsko-japońską na tymże Kremlu. Kto tu zwariował?

3) Transfer technologii z Zachodu pozwala na szybkie unowocześnienie arsenału sowieckiego. Jest to stwierdzenie smutne w planie wojskowym, ale także finansowym. Oznacza bowiem, że Zachód musi wydawać miliardy dolarów na wymyślenie broni będących w stanie sprostać postępowi wojskowemu ZSSR, do którego to postępu Zachód sam się przyczynił, wysyłając tam niezbędną technologię.

Według Ryszarda Perla, doradcy ministra Obrony USA, w

200 najnowocześniejszych tak zwanych „systemach broni” sowieckiej znajdują się elementy technologiczne ukradzione na Zachodzie. Koszt sprostania zachodnim ulepszeniom arsenału sowieckiego sięga ok. 20 miliardów dolarów rocznie tylko w budżecie wojskowym USA. To nie jest lipa. BBC przeprowadziła wywiad z byłym inżynierem zakładów w Celenogradzie, zamkniętym miasteczku technologicznym niedaleko Moskwy. „Pracowałem przy produkcji systemu prowadzącego w rakietach — powiedział. Urządzenie produkcyjne nie istniałoby bez zachodniej technologii. Jeden z najbardziej używanych 'chipsów', dostępny wyłącznie w produkcji wojskowej jest dokładną, jeden do jednego, kopią produktu serii 5474 Texas Instruments. Nawet w naszym wewnętrznym języku używaliśmy nazwy Texas i mieliśmy do dyspozycji pełną księgę obsługi z fabryki w Texasie”.

4) Najważniejsze jednak, że transfer taki zwiększa szanse Moskwy w starciu dwóch światów, o którego wyniku zadecyduje ostatecznie poziom technologiczny społeczeństwa i jego armii. Rosja bowiem ma zdecydowaną przewagę liczbową w ludziach i sprzęcie, którą Zachód kompensować może jedynie swą przewagą technologiczną, jakością i precyzją swej broni. Jeżeli więc przy utrzymaniu swej przewagi liczbowej ZSSR zlikwiduje lub choćby wydatnie zredukuje swe zacołanie technologiczne, wtedy pozostanie nam już tylko się modlić.

To dlatego właśnie cały wysiłek wszystkich połączonych sił dyplomatów i szpiegów, naukowców i handlarzy ze Wschodu skierowany jest już dziś, od teraz, na arsenał broni kosmicznych, na perspektywę tego, co Reagan nazywa „strategiczną inicjatywą obronną”, a Kreml denuncjuje jako „wojnę gwiazdną”. Nasi kupcy i politycy nie powinni zapominać o roli jaką w starciu „kto—kogo” odegra zachodnia technologia. Inaczej przypomną sobie o tym dopiero kiedy im te gwiazdy zaświecą w oczach...

Pisane w Brukseli, 12 marca 1985.  
*Kultura* nr 4/451, 1985.

---

## WOJNA O POKÓJ

Spokojnie przyjąłem wywiad dziennikarza radia belgijskiego z p. Zagładinem, członkiem KC z Moskwy i ekspertem Breżniewa od propagandy na Zachodzie. Radio belgijskie przyzwyczyło

mnie już i uodporniło na najgorsze, więc nie zdziwiłem się, kiedy p. Zagładin najpierw pochwalił pacyfistyczne manifestacje na Zachodzie, a potem wytłumaczył Belgom różnicę między marszami pokoju w Brukseli i Moskwie. W Moskwie — powiedział poważnie — takich marszów nie ma, bo odwrotnie niż w Belgii czy RFN, masy pracujące miast i wsi w ZSSR najzupełniej zgadzają się z polityką partii i rządu. Nie zdziwiłem się też, kiedy okazało się, że mój *confrère* z radia nie miał na ten temat nic do powiedzenia, ani nawet temu, że w licznych wywiadach jakie przeprowadziła z p. Zagładinem prasa belgijska, nie wspomniano nawet — zapewne aby nie urazić drogiego gościa — ani o Afganistanie, ani o prawach człowieka.

Nie zareagowałem kiedy, w odpowiedzi na pacyfistyczne manifestacje na Zachodzie, nadeszło echo z NRD. Pięciu wybitnych fizyków wysłało, za pośrednictwem wielkich agencji światowych, apel przeciw amerykańskim rakietom w Europie. Nie wywołał rumieńców na mej twarzy ani fakt, iż tych pięciu panów tworzy *ausgerechnet* „komitet im. Einsteina” (nie pytają go o zgodę), ani to, że spotkali się w „Domu Einsteina” w miejscowości... Caputh pod Poczdamem, ani nawet to, że jednym z sygnatariuszy jest niejaki Klaus Fuchs, który za szpiegostwo i przekazanie Rosji zachodnich tajemnic atomowych został skazany w 1950 roku w Londynie na 14 lat więzienia i może dziś podpisywać apele o pokój tylko dzięki temu, że został na czas ułaskawiony przez Brytyjczyków.

Nie wzruszyłem się także treścią dwóch audycji religijnych, może dlatego, że jestem agnastyk. Najpierw w BBC wysłuchałem opowiadań grupy wierzących (po protestancku) kobiet brytyjskich, świeżo po powrocie z ZSSR, gdzie napotkały wyłącznie matki i siostry sowieckie pragnące pokoju i dające temu wyraz w znakomitej angielszczyźnie. Brytyjskie *ladies* wybierały się właśnie na manifestację pacyfistyczną oraz na objazd Wielkiej Brytanii, aby popierać jednostronne rozbrojenie, albowiem naturalnie ze strony kobiet jakie spotkały w Rosji nie może grozić światu żadne niebezpieczeństwo.

Pokój nie jest monopolem chrześcijan, więc z przyjemnością dowiedziałem się, że Allah też jest przeciw amerykańskim rakietom. Abdułła Kołonow, mułła z Tadżykistanu, powiedział TASS'owi, że „sowieccy muzułmanie potępiają plany ograniczonej wojny atomowej prezydenta Reagana, modlą się o pokój i wyrażają radość, iż ZSSR tak odważnie stara się ratować świat od katastrofy nuklearnej”.

W nurcie wołającym o pokój nie mogło zabraknąć dziennikarzy. Bez zdziwienia przeczytałem apel obradującego w październiku

niku w Moskwie zjazdu Międzynarodowej Organizacji Dziennikarzy. Zjazd wzywa moich kolegów z całego świata do „pisanja prawdy i obrony pokoju u naszego boku”, co ma polegać — jak wynika z dalszych słów apelu — na demaskowaniu „kłamstw o rzekomej agresywności ZSSR i państw socjalistycznych”. Szczerość i wiarygodność tego apelu potwierdził fakt, iż organizatorzy odmówili wizy i nie wpuścili do Moskwy przedstawiciela innej, nie związanej z „ruchem pokoju” federacji dziennikarskiej. Był nim bowiem dziennikarz izraelski, którego obecność w Moskwie „mogłaby poirytować dziennikarzy arabskich jeszcze pod wrażeniem zamordowania w Rzymie p. Abou Szachara, rzecznika prasowego Organizacji Wyzwolenia Palestyny i sekretarza generalnego Stowarzyszenia Dziennikarzy Palestyńskich”. Fakt, iż Izraelczykowi odmówiono wizy *zanim* zamordowano Szachara, świadczy ponadto, iż do walki o pokój dziennikarze z Moskwy włączyli także siły nadprzyrodzone. Albo, że wiedzieli z góry o zamachu, co też może być orężem pokoju.

To wszystko, jak powiedziałem, zniósłem bez większych wzruszeń. Krew mnie dopiero zalała, kiedy wysłuchałem przemówienia p. Anthony Benna, lidera lewackiego skrzydła *Labour Party* i jednego z proroków jednostronnego rozbrojenia Wielkiej Brytanii. Otóż, ponieważ żaden szanujący się polityk nie może dziś wygłosić przemówienia bez poruszenia sytuacji w Polsce, Benn też, jak się to mówi, „nawiązał”. Powiedział mianowicie, iż tak jak naród polski mężnie przeciwstawia się sowieckim presjom, tak naród brytyjski powinien przeciwstawić się naciskom Stanów Zjednoczonych.

Mniejsza o cynizm polityczny. Tak zwany perfidny Albion nie do takich drobnostek nas przyzwyczaił. Chodzi natomiast o bezczelność salonowego bolszewika, który między *drink*'iem, *lunch*'em a *five o'clock tee* porównuje siebie do sytuacji ludzi ryzykujących kilka razy dziennie — nie utratę spacerku po Hyde Parku — a po prostu życie. P. Benn tak mówi jakby po pacyfistycznej manifestacji nie wypoczywał w wytwornym klubie, a musiał stanąć na godziny w kolejce po ochłap mięsa, jeżeli już nie po chleb, jakby mu groził nie *weekend* w angielskim *country*, a gułag, i jakby to nie Krasnaja Armia manewrowała od roku wzdłuż granic Polski, a tylko US Army szykowała się od miesięcy na zlikwidowanie siłą jego frakcji w coraz bardziej ogłupiałej i już rozbitej *Labour Party*.

*To nie jest margines*

To za sprawą p. Benna doszedłem do wniosku, iż warto spr-

wie pacyfistycznych marszów przyjrzeć się z bliska. W końcu, w mojej własnej Brukseli, gdzie tylko sport albo żądanie podwyżki płac mogą zgromadzić kilkadziesiąt tysięcy ludzi na ulicy, maszerowało, w fatalną pogodę, ponad 200.000 osób. W Bonn — gdzie w końcu nie wszyscy zapomnieli jeszcze rozmaitych partaitagów i innych „spontanicznych” manifestacji mas — maszerowało i krzychało ponad 300.000 osób.

Komitet organizacyjny manifestacji bońskiej grupował 800 organizacji, „Kobiety skandynawskie dla pokoju” liczą 500.000 członkiń i zorganizowały marsz z Kopenhagi do... Paryża. „Międzykościelna Rada Protestancka” w Holandii zmobilizowała do wojny z raketami ponad 20.000 aktywistów, rząd holenderski, zanim jeszcze pokazał się w parlamencie, już upadł z powodu raketowego pospolitego ruszenia. W Belgii protestantów jest niewiele, ale Kościół katolicki nie był nieobecny. W marszu w Brukseli widać było sutanny i stroje zakonne, konferencja pastoralna biskupów belgijskich ogłosiła apel antyrakietowy.

W Bonn wśród manifestujących widać było mundury *Bundeswehry*. Trzech generałów stanęło przeciw amerykańskim rakietom. Generał *Bundeswehry* Bastian podał się do dymisji na znak protestu przeciw projektowi instalowania rakiet USA na terenie NRF, francuski admirał Sanguinetti kroczy na czele krucjaty pod hasłem „tylko USA mogą rozpętać wojnę atomową”, generał włoski Pasti, były wysoki dowódca Paktu Atlantyckiego, znany aktywista ruchu antyamerykańskiego, jest związany oficjalnie z Włoską Partią Komunistyczną i jego opinie bywały tak prosowieckie, że żenowały nawet... Berlinguera.

Tego typu ruch nie powinien i nie może być traktowany jako zjawisko marginesowe. W trakcie kampanii wyborczej w Belgii, żaden z kandydatów (oni znają swych wyborców), nawet nie poruszy spraw międzynarodowych. To nikogo tutaj nie obchodzi. Wyjątek stanowiła manifestacja pacyfistyczna. Grupa obywateli badana przez *Le Soir* wymieniła manifestację w Brukseli jako największe wydarzenie międzynarodowe, przed Polską, Afganistanem, czy nawet przysłowiowym Salwadorem.

Można ubolewać, że hasła są jednostronne, że nieśmiałe żądania likwidacji zagrożenia sowieckiego ginęły w powodzi hasel antyamerykańskich, że niektórzy mówcy mówili tak, jakby recytowali wczorajszą *Prawdę*, ale przecież ogromna większość manifestantów składała się z czytelników nie *Prawdy*, a *Le Monde*'u, *Soir*'u czy *Frankfurter Allgemeine* i *La Stampa*, ze słuchaczy nie warszawskiej telewizji, a BBC i ZDF.

Na czele manifestacji nie szli przywódcy komunistyczni czy agenci ZSSR. Tak było w Paryżu i tylko tam manifestacja skoń-



czyła się klapą. W pierwszych szeregach parady pacyfistycznej w Bonn, Brukseli czy Rzymie kroczyli postawie socjaldemokratyczni, przedstawiciele partii rządzących w krajach należących do NATO.

I to jest właśnie problem. Dlaczego kiedy ekspansjonizm i imperializm ZSSR tak bardzo wzrósł, kiedy ZSSR jest w Afganistanie, Angoli czy Kambodży, kiedy rakiety amerykańskie jeszcze nie ma, a rakiety sowieckie już są, dlaczego to właśnie USA są celem ataku i symbolem zagrożenia, dlaczego Reagan był wyłącznym negatywnym bohaterem marszów w Brukseli, a nazwisko czy karykatura Breżniewa nie pokazały się ani razu?

Nie ulega kwestii, iż Moskwa stara się manipulować i wykorzystywać ruch pacyfistyczny dla swych własnych, nie pacyfistycznych celów, ale nie ulega też kwestii, że taka odpowiedź nie tłumaczy wszystkiego. Z bardzo wielu przyczyn. Oto niektóre z nich.

### *Miękka Europa*

Po pierwsze, Europa zachodnia zmiękła. Dwa pokolenia zachodnich Europejczyków żyły w całkowitym pokoju, z czego pierwsze w warunkach ogromnego dobrobytu. Drugie pokolenie wie co to bezrobocie i kryzys, ale nikomu, albo prawie, nie powodzi się gorzej, a wielu powodzi się lepiej.

Poczucie, że pokój i dobrobyt Europa zawdzięcza istnieniu NATO i *credibility* jego wojskowej riposty, powoli zanikło. Poczucie bezpieczeństwa należy dziś do rzeczy zrozumiałych — i danych — samych przez się. Nastąpiła swoista „desensibilizacja” (nie mam polskiego odpowiednika) społeczna wobec spraw obrony, zanik zainteresowania, a w końcu zanik poczucia odpowiedzialności za własny los. Młodzi kojarzą dziś demokrację z kryzysem i bezrobociem, niewielu czyta gazety, jeszcze mniej interesuje się Wschodem, nie wierzą, że tej demokracji warto bronić, a nawet za nią płacić.

Jest to rdzewienie tym szybsze i tym bardziej zrozumiałe, że cywilna część NATO jest faktycznie zmonopolizowana przez rozleniwionych biurokratów, nie dbających w ogóle o tzw. *image* przymierza, niezdolnych do przekonania podatników — zwłaszcza młodych — o znaczeniu istnienia sojuszu. Od kilku lat, przy okazji tzw. kolokwiów, prowadzonych z udziałem agentów zaborczego imperializmu, starałem się ich przekonać, iż NATO powinno mieć własną propagandę, umieć się sprzedąć, przekonać demokratycznych wyborców o własnej użyteczności. Lekcewa-

żono to, było to wszak w mniemaniu atlantokratów samo przez się zrozumiałe, najzupełniej niewątpliwe. Rezultat: badanie przeprowadzone przez *New Society* w 1980 roku wykazało, iż 52 % Brytyjczyków nie potrafi nawet rozwiązać inicjałów NATO i tylko 12 % wie co to jest *Cruise*.

Po drugiej, gwałtowna dyskusja o broni atomowej, program zbrojeniowy Reagana, filmy, diagramy, polemiki i techniczne i hermetyczne, ale przenoszone często przez cynicznych polityków na grunt wyborczy na poziom gminy, wywołały kolosalny strach przed atomem. Przejawia się on w opozycji wobec planów energii atomowej, ale przede wszystkim wobec broni nuklearnych. Hasło *better red than dead*, lepiej czerwony niż martwy, zrobiło zawrotną karierę. To jednak nie Moskwa przekonała francuskiego pisarza Herve Bazin do okrzyku „Najważniejsze żeby zostać przy życiu” i do wejścia w skład Światowej Rady Pokoju, o której zależności od Kremla Polakom nie trzeba przypominać.

Napoleon powiedział, że Niemcy są najbardziej pokojowym narodem na świecie. Ostatnie dwa wieki nieco osłabiły to przekonanie, ale teraz znowu Bonaparte miałby rację, przynajmniej w odniesieniu do zachodniej części Niemiec. Oczywiście, nie należy się dziwić, że Niemcy nie chcą wojny. Każda wojna toczyłaby się na ich terytorium, każda byłaby bratobójcza. Ale Niemcy, także młodzi, nie powinni zapominać, że mają wobec Europy pewne zobowiązania. Nie należy obarczać młodych Niemców winą za zbrodnie ich ojców, ale powinni oni przynajmniej tak postępować aby, po tym jak ojcowie wpakowali świat w dwie straszne wojny, teraz synowie nie pakowali Europy w nowe nieszczęście — uległość wobec ZSSR i to bez próby oporu nawet.

Nie mam pretensji, że Niemcy nie chcą umierać na wojnie, nikt tego nie chce. Pytanie jak chcą żyć? Na kolanach? Jakiego chcą pokoju, czy takiego jaki mają, mimo przegranej wojny, w Bonn, czy takiego jak w Kabulu, Pradze czy Berlinie Wschodnim?

Pan Eppler, poseł socjaldemokratyczny do Bundestagu, były minister w rządzie Brandta, kroczył w pierwszym szeregu manifestacji pacyfistycznej w Bonn i przemawiał na wiecu. „Nasz ruch pokoju — powiedział p. Eppler — ma na celu obronę interesów Niemiec. Nie chcemy umierać w obronie interesów amerykańskich”. Moi niemieccy koledzy powiedzieli wtedy, że Eppler nie reprezentuje nikogo, że ambicja go ogłupiła. Powiedziałem na to, że być może, ale że w pochodzie pacyfistycznym obok Epplera kroczyło jeszcze 5 posłów SPD-owskich wśród około 50.000 członków SPD. Czyżby wszyscy zgłupieli z ambicji?

Według badań przeprowadzonych przez *American Enterprise Institute* w 1981 roku, tylko 25 % zachodnich Niemców uważa, że wolności należy bronić nawet za cenę wojny. 48 % mieszkańców RFN jest gotowych akceptować reżym komunistyczny jeżeli będzie to jedyny sposób uniknięcia wojny. 40 % przebadanych Francuzów woli neutralność od Sojuszu Atlantyckiego, co nie jest dziwne, jeżeli się zważy, że 63 % Francuzów pozostałoby na uboczu konfliktu między ZSSR i USA, przy czym tylko 22 % wypowiedziało się za bezwarunkowym w takiej sytuacji przymierzem z Amerykanami. Vichy — *connais pas!*

Badania opinii publicznej nie stanowią, jak wiadomo, ewangelii, nie należy do nich przywiązywać zbyt wielkiej wagi, ale manifestacje pacyfistyczne wykazały, iż wyniki tu przytoczone (są jeszcze inne, nie mniej wymowne), odpowiadają nastrojom sporej części mieszkańców zachodniej Europy.

Nic przecież bardziej przerażającego i zastanawiającego, niż 50.000 tłum wyjący antyamerykańskie hasła w cieniu berlińskiego muru. Ta zbiorowa amnezja ludzi mogących żyć i manifestować w wolności o kilka metrów od koszarnej granicy największego gułagu, to zbiorowe ogłupienie mieszkańców amputowanej części miasta, oddychającego wyłącznie dzięki pomocy narodu, którego prezydent wykrzyknął w obliczu takiego samego tłumu (ale wtedy wyjącego inne hasła) i w cieniu tego samego muru: „*Ich bin ein Berliner*”, jest najbardziej fascynującym świadectwem pomieszania pojęć w zachodniej Europie.

Po trzecie, kiedy rósł zrozumiwały strach przed wojną atomową, malał niemniej zrozumiwały strach przed Związkiem Sowieckim. Według cytowanych już wyżej badań, w marcu 1981 roku, a więc w ponad rok po inwazji na Afganistan, w okresie manewrów sowieckich mających rzucić Polaków na kolana, zdecydowana większość obywateli pięciu państw zachodnich, które wyraziły zgodę na zainstalowanie rakiet amerykańskich, „nie wierzyła aby Rosja zagrażała Zachodowi w ciągu najbliższych 5 lat”. Tylko jedna piąta Anglików, a mniej w innych państwach, wyraziła rzeczywiste zaniepokojenie możliwością sowieckiego ekspansjonizmu.

Pytanie było być może niezręcznie sformułowane, tzw. szary człowiek musiał odpowiedzieć przez „tak” czy „nie”, chociaż wolałby może wyrazić bardziej zniuansowaną opinię, ale na poziomie polityków trend kapitulacyjny ma już bardzo groźne konsekwencje. Najbardziej drastyczne jest tu stanowisko *Labour Party*, która opowiedziała się za zasadą jednostronnego rozbrojenia. Pan Harrington, wicemayor Londynu, znany z działalności „pokojoyej” jeszcze z lat 50-tych, oświadczył, że „nie uważa ZSSR za potencjalnego agresora”. Skoro tak, to nie ma nic

dziwnego w stanowisku panów Foota i Benna. Ci przywódcy *Labour Party* — dzięki którym Wielka Brytania ma już dwie partie socjalistyczne — zachowują się tak, jakby nie wiedzieli, iż żadne państwo nie powinno bazować swego bezpieczeństwa na poglądzie, że jego przeciwnik wyznaje i szanuje takie same jak ono zasady moralne, tak jakby nie wiedzieli, że rozbrajając się jednostronnie nigdy jeszcze żadnemu państwu nie udało się narzucić pacyfizmu jego sąsiadom.

Panowie Foot i Benn oraz inni uważają, iż jednostronne rozbrojenie Wielkiej Brytanii da przykład innym państwom. Być może, że da, ale nie Rosji. Po cóż by Moskwa miała się rozbrajać, kiedy robią to jej przeciwnicy, a o to przecież jej właśnie chodzi.

### *Gafy ludzi prezydenta*

Po czwarte, bardzo wiele elementów polityki amerykańskiej posiada aspekty co najmniej dwuznaczne. Nie da się ukryć faktu, że dostęp do guzika rakiet atomowych zainstalowanych na terytorium Europy posiadają wyłącznie Amerykanie. Europejczycy, którzy ponoszą ryzyko sowieckiego ataku prewencyjnego, czy odwetu z powodu odpalenia czy po prostu stacjonowania rakiet amerykańskich, nie mają faktycznie nic do powiedzenia w sprawie ich użycia. Brak współodpowiedzialności prowadzi do braku zainteresowania. I do nieodpowiedzialności.

Od dawna trwa dyskusja na temat tzw. podwójnego klucza, to znaczy zagwarantowania państwom zachodnioeuropejskim głosu w sprawie odpalenia rakiet, ale na razie drzwi do guzika są nadal otwarte tylko dla Amerykanów. Pewnie, trudno im się dziwić. Prowadzić narady z politykami Belgii czy Holandii w chwili gdy trzeba będzie podjąć decyzję o atomowym strzale, broń nas Boże od takiej chwili i od takich konsultacji.

Wyjście polegałoby oczywiście na utworzeniu Europy z własną europejską polityką zagraniczną i z własną europejską polityką obronną. Europa na razie nie ma czasu na takie głupstwa jak wypracowanie wspólnej obrony demokracji, zajęta jest bowiem bratobójczą wojną o wino, pietruszkę i wieprzowinę. I to ma porwać młodzież?...

Dzisiejsza zachodnia Europa stanowi konglomerat małych duperelowatych nacjonalizmów, skutych ponadto kajdankami interesów już nawet nie krajowych, a gminnych. Kiedy trzeba się z tego jakoś wytłumaczyć, wtedy politycy, którzy nie chcą umierać za interesy amerykańskie, a tylko robić swoje własne interesy, uśmiechają się dwuznacznie i wyciągają swoją dwururkę.

Pierwsza lufa wskazuje na Francję, która nie należy do wojskowej struktury NATO. Zapominają oni tylko, co taka swoboda kosztowała i kosztuje, jaki jest budżet wojskowy Francji.

Z drugiej lufy wypęła nieufność do Ameryki, nieraz zresztą podsycana przez samych Amerykanów. Reagan nie należy do bardzo wielkich mężów stanu, robi gafy jak normalny człowiek. Tak było kiedy lekkomyślnie wspominał o możliwości konfliktu nuklearnego na terenie Europy bez objęcia nim Stanów Zjednoczonych. Jest to oczywiście bzdura, każdy atak na zachodnią Europę, gdzie stacjonuje 400.000 żołnierzy amerykańskich, stanowi atak na USA, tak zresztą jak o tym mówi układ NATO i wszystkie inne zobowiązania. Tak było także, kiedy Haig wspominał — zupełnie nie wiadomo po co — o możliwości atomowego „strzału ostrzegawczego” w wypadku groźby zmasowanego ataku konwencjonalnych wojsk ZSSR. Wypowiedzi Reagana i Haiga były niezręczne, niepotrzebne, nie wnosiły niczego nowego do doktryny NATO, ale kiedy Waszyngton się zorientował, było już oczywiście za późno i gafy poszły w świat. Reszta była dziecinnie prosta, propaganda pacyfistyczna szalała przez kilka dni, Reagan i jego lokalna wojna, Haig i jego ostrzegawczy „strzał”, nie schodziły tygodniami z pierwszych stron gazet. Na dodatek, niezręczne i nieudolne *dementi* amerykańskie pomogły w hecowaniu tłumów. Lokalna wojna Reagana i „strzał” Haiga, tak jak „żuk colorado” w latach 50-tych, plątały się długo we wstępniakach i wiecowych przemówieniach.

### *Pinochet czy Bonaparte*

I tu dochodzimy do części artystycznej, to znaczy do interesu Związku Sowieckiego. Jest to interes oczywisty i zrozumiały. Moskwa to rozumie i gra jak Sarasate.

Po pierwsze, na Zachodzie strach przed atomem jest tak wielki, iż nikt nie pamięta już o Afganistanie. Chwileczkę, nie tylko o Afganistanie. Tylko 10 % zapytanych zachodnioeuropejczyków było zdania, iż inwazja Polski powinna stanowić przeszkodę w negocjowaniu z Moskwą porozumień ograniczających pułap atomowy w Europie. Sowiecka gra na psychologii odniosła więc już w Europie kolosalne sukcesy, ale naprawdę jest to tylko środek do celu.

Albowiem, po drugie, celem całej strategii sowieckiej jest utrzymanie generalnej przewagi wojskowej nad Zachodem. Jest to zagadnienie kompleksowe i skomplikowane, stanowi temat bardzo długich opracowań i narad wszystkich możliwych szta-

bów. Opcja wojskowa ZSSR wychodzi z zasadniczego założenia, że stosunki międzynarodowe polegają przede wszystkim na stosunku sił. Jeżeli tak, to przewaga wojskowa determinuje wszystkie inne przewagi. Z tego rodzą się bardzo poważne wnioski i bardzo poważne konsekwencje dla polityki ZSSR wobec całej reszty świata.

Fakty bowiem potwierdzają tę teorię. Jest to zresztą jedyna dziedzina, gdzie praktyka sowiecka jest zgodna z teorią. I jedyna dziedzina, gdzie ZSSR odniósł i odnosi zasadnicze sukcesy. Wojsko stanowi jedyną siłę nowoczesną i sprawnie (na pozór) funkcjonującą w ZSSR. Po bankructwie gospodarczym (43 miliony ton zboża ZSSR zakupi w USA w roku rolnym 1981-1982) i po krachu ideologicznym (np. Polska), wojsko stanowi jedyny bilet wizytowy ZSSR na świecie. Niektórzy badacze — np. Cornelius Castoriadis („W obliczu wojny”, wyd. Aneks) — wyciągają z tego wniosek o tworzeniu się w ZSSR nowej kasty i ewolucji społeczeństwa sowieckiego w kierunku „stratokracji” (od *stratos*-wojsko), mającej zastąpić u władzy obecną biurokrację partyjną. Castoriadis wychodzi ze znaczenia jakie ma dziś ta część społeczeństwa sowieckiego, która pracuje dla przemysłu wojskowego i dla wojska.

### *Pięć minut czasu...*

Reperkusje „stratokratycznego” wyboru są znacznie poważniejsze w dziedzinie polityki międzynarodowej. Podczas gdy USA począwszy od lat sześćdziesiątych poczęły redukować ich program wojskowy, a zwłaszcza nuklearny, ZSSR wstrząśnięty między innymi porażką w kryzysie kubańskim, nadał swemu programowi wojskowemu a zwłaszcza nuklearnemu ogromne przyspieszenie. W ciągu lat 70-tych budżet wojskowy USA zmalał z 9 % PNB (produkt narodowy brutto) do 5 %, a budżet wojskowy ZSSR się podwoił. Podczas gdy USA sparaliżowane były syndromem powietnamskim, ZSSR wydawał trzy razy więcej od Stanów Zjednoczonych na zbrojenia, przesunął granice imperium aż po Angolę, Etiopię i w końcu Afganistan, zbudował armię konwencjonalną (absurdalne słowo w kontekście kolosalnej potęgi sowieckiej), której Europa nie mogłaby „w razie co” niczego podobnego w tej samej kategorii przeciwstawić.

Począwszy od roku 1977, Moskwa przystępuje do najpoważniejszej fazy operacji: instalowania takiego systemu raketowego, który by przekształcił mieszkańców Europy w zakładników, umożliwił szantaż wojskowy, a co za tym idzie polityczny. To

jest właśnie tajemnica rakiet SS XX. W ciągu czterech lat pojawiło się ich u zachodnich brzegów ZSSR około 250 (nie mówiąc o Chinach), każda o trzech głowicach atomowych, kilkanaście razy potężniejszych od bomby z Hiroszimy. Do tego dochodzą powoli instalowane rakiety SS XXI, XXII i XXIII. Mniejsza o detale. Stosunek sił dziś w Europie ma się jak 4 do 1 na korzyść ZSSR.

W 1970 roku prezydent Pompidou zwiedzał bazę kosmonautów w Bajkonurze. W pewnym momencie Breżniew zaproponował mu aby nacisnął mały guzik. Po 5 minutach Breżniew powiedział: „Gdyby nie nasze urządzenia kontrolne, to w tej chwili Paryż zniknąłby z powierzchni ziemi”.

Od tej chwili wiele się zmieniło i czas przelotu rakiety się skrócił, a Europa ciągle nie ma na to riposty.

Z tej sytuacji zrodziła się decyzja NATO z grudnia 1979. Zakładała ona podwójne podejście do problemu. Z jednej strony przewidywała zainstalowanie poczwąwszy od roku 1983 na terenie 5 państw: RFN, Włoch, Anglii, Belgii i Holandii 108 rakiet typu Pershing i 464 typu Cruise, stanowiących w przybliżeniu równowagę dla systemu SS XX, mogących razić terytorium ZSSR w takim mniej więcej stopniu i tempie, co sowieckie rakiety w stosunku do terytorium zachodniej Europy. Z drugiej strony, wrażliwe na opinię publiczną, zaniepokojoną atomem i osłabioną kryzysem gospodarczym, rządy NATO zaproponowały sowietom otwarcie negocjacji na temat redukcji, a nawet likwidacji arsenałów atomowych na tzw. teatrze europejskim.

Moskwa natychmiast otworzyła ogień zaporowy. Jej punkt widzenia sprowadzał się do twierdzenia, że eurorakiety amerykańskie zachwieją równowagą wojskową w Europie, którą zainstalowanie SS XX pozwoliło jej uzyskać. Inaczej mówiąc pojawienie się rakiet amerykańskich w państwach Europy zachodniej zwichnęłoby równowagę i spowodowałoby nowy wyścig zbrojeń. To po pierwsze. A po drugie zamieniłoby kraje stacjonujące rakiety w cel sowieckiej riposty.

Kiedy ponadto prezydent Reagan ogłosił swój program zbrojeń mający doprowadzić do zmniejszenia, a potem likwidacji wojskowej przewagi ZSSR, w Moskwie zawrzało. Cała strategia Moskwy polegająca na hipotezie, że można wygrać w Europie wojnę bez wojny i walki, że można szantażem SS XX doprowadzić do kapitulacji i finlandyzacji (to pojęcie wyrządza szkodę Finlandii, która się przynajmniej biła, ale innego nie ma) Europy zachodniej, że można w każdym razie tak zneutralizować Europę zachodnią, żeby przestała się liczyć na scenie teatru wojennego

oraz izolować USA, ta cała strategia zaczęła się sypać. Aby powstrzymać ten proces, Moskwa ma do wyboru, nie licząc nuklearnego ataku prewencyjnego — to znaczy wojny światowej — dwie drogi, oddzielnie ale raczej razem.

Po pierwsze, może podjąć wyścig zbrojeń. Senator Church, przewodniczący komisji spraw zagranicznych, którego widziałem w jego drodze powrotnej z Moskwy, powiedział Breżniewowi, a było to tuż po wyborze Reagana, że „tego wyścigu wy nigdy nie wygracie”. Rosjanie są chyba o tym przekonani. 5-letni program unowocześnienia amerykańskiego arsenału nuklearnego będzie kosztować 200 miliardów dolarów, czyli 10 razy tyle, co francuski, stosunkowo duży, budżet wojskowy na rok 1981. Nowy bombowiec B-1 kosztuje 200 milionów dolarów sztuka. Na Cruise Rosjanie jeszcze nie mają obrony.

To nie są orzeszki. Rosyjska ofiarność i zdolność wyrzeczeń też gdzieś mają granice. Zwłaszcza, że obiecana poprawa stopy życiowej jest ciągle na horyzoncie, daleka i nieuchwytna. Rosja prowadzi kolosalny program zbrojeń, ma największe zakłady produkcji czołgów i samolotów, największe stocznie wojskowe itd. Ale ma też największe słabości technologiczne (patrz fiasko „Konkordzkiego”), elektroniczne, komputerowe itd. I musi karmić Kubę, Afganistan, Wietnam itd.

### *Sładem żuka Colorado*

Stąd druga droga do ratowania *status quo* czyli przewagi, a mianowicie podsycanie na Zachodzie nastrojów rezygnacji, fatalizmu („po co się zbroić — powiedzieli mi w Kopenhadze — i tak nas zajmą w 24 godzin”), a przede wszystkim pacyfizmu, mającego utrudnić wykonanie decyzji z grudnia 1979 o zainstalowaniu Pershingów i Cruise.

Jak to jest możliwe? Jest to rezultat wielu czynników, składa się nań i wyrachowanie Rosjan i naiwność Amerykanów, depolityzacja Zachodu, bezsilność Wschodu. Nie chciałem w tym poważnym felietonie mówić o nadużyciach czy wprost kantach i przekupstwie tzw. „działaczy”, ani o podróżach do ZSSR na koszt „gospodarzy”, o trybunałach pokoju ferujących wyroki (nigdy przeciw ZSSR) w luksusowych miejscowościach turystycznych (za czyje pieniądze?), o roli zachodnich partii komunistycznych — np. francuskiej.

Nie mogę jednak przemilczeć sposobu w jaki się psuje królestwo duńskie. W listopadzie 1981, tuż po fali spontanicznych manifestacji pokojowych, wydalony został dyskretnie ale stanow-



czo z Kopenhagi sekretarz ambasady ZSSR, p. Merkułow. Nie jest to sensacja, codziennie jakiś dyplomata lub dziennikarz sowiecki zostaje skądś tam wydalony. Tym razem jednak powód jest oryginalny.

Pan Merkułow finansował mianowicie duńską działalność na rzecz pokoju. Pisarz duński p. Petersen oraz jego żona artystka-ceramik, brali po prostu ruble w dewizach za inspirowanie, organizowanie i firmowanie ruchu pokoju, manifestacji antyrakietowych itd. Nie wiadomo dlaczego policja duńska wkroczyła akurat w ów listopadowy dzień, skoro — jak sama podała — panowie Petersen i Merkułow spotykali się dokładnie 23 razy w ciągu półtora roku. Niektórzy obserwatorzy twierdzą, że policja nie zdzierżyła, kiedy spółka Merkułow-Petersen zorganizowała manifestację na rzecz bezatomowej strefy w Skandynawii w chwili kiedy „*Whiskey on the rocks*”, czyli sowiecka łódź podwodna z bronią atomową na pokładzie naruszała granice neutralnego i bezatomowego sąsiada, pchając się w najbardziej tajne koryto neutralnej bazy wojskowej na styku Szwecji z Bałtykiem, tym — jak proponuje Moskwa — morzu pokoju.

Sztokholm przekonał się wtedy o trzech rzeczach. Po pierwsze, że mimo zapewnień o szacunku dla pacyfistycznego neutralizmu, Moskwa gwałci bez wahania tę neutralność, kiedy jej interes tego wymaga. Po drugie, że neutralny, najbardziej nowoczesny i suwerenny system obronny Szwecji jest do kitu, bo łódź która teoretycznie powinna była zostać wielokrotnie zniszczona zanim dotarła w samo serce systemu obronnego floty szwedzkiej, została przypadkowo — tylko dzięki temu, że wpadła na mieliznę — odkryta przez skromnego rybaka, który szukał nie „*Whiskey 137*” a po prostu śledzi. I w końcu, że gdyby nie inni „rybacy” i inny parasol, to szwedzka neutralność nie uchroniłaby Szwecji od absolutnie niczego.

Ponieważ mowa o rybach, to pozostawmy na zwierzęcym folwarku. W 1948 roku jeden z największych malarzy i największych wówczas popuczyków namalował pięknego gołębia, afisz Kongresu Pokoju we Wrocławiu i symbol do dziś — choć Picasso zmienił już dawno zdanie — światowego ruchu pokoju.

Gdyby Picasso dziś żył i miał namalować nowy afisz, to nie figurowałby na nim gołąb, a prawdopodobnie baran...

Pisane 10 listopada 1981.  
*Kultura* nr 12/411, 1981.

## CZTERDZIESTA TRZECIA...

Margareta Buber miała 17 lat, kiedy w roku 1919 wstąpiła do niemieckiej partii komunistycznej i poznała Heinza Neumanna. Był to wyrok niebios. Margareta zakochała się w Heinzu i uwierzyła w rewolucję światową. Miłość przetrwała, wiara się chwiała. Najpierw kiedy Neumann — który nie zgodził się ze Stalinem, że socjaldemokracja jest umiarkowanym skrzydłem faszyzmu — został aresztowany w 1937 roku i ślad po nim zaginął. Potem, kiedy ona sama, aresztowana w 1938 roku, po krótkim pobycie w więzieniu Butyrki w Moskwie została zesłana do obozu gdzieś w okolicach Karagandy.

Epizod, który nas dziś interesuje mieści się w styczniu 1940 roku: nagły powrót do Moskwy, dobre jedzenie, nowe szaty, poprawne traktowanie, 15 niezapomnianych dni. 16 stycznia 1940 Margareta Buber-Neumann staje przed obliczem oficera NKWD. Mowa jest krótka: „Wyrok wasz, opiewający na pięć lat zesłania, zostanie zamieniony na natychmiastowe wydalenie z terytorium sowieckiego. Dokąd? Dowiedziecie się we właściwym czasie”.

We właściwym czasie Margareta spotkała w wagonie więziennym 28 Niemców i Austriaków, niektórych tzw. pochodzenia mojżeszowego. Wszyscy komuniści, wszyscy o wyrokach zamienionych na „natychmiastowe wydalenie”. Ale dokąd? Kiedy pociąg ruszył, więźniowie ciągle nie wiedzieli dokąd. Niektórzy mieli nadzieję, że do któregoś z krajów bałtyckich. Nadzieja nie trwała długo.

Po trzech dniach pociąg zatrzymał się w Brześciu nad Bugiem, na linii czwartego rozbioru Polski, stanowiącej wówczas granicę pokoju i przyjaźni między ZSSR a Trzecią Rzeszą, ustanowioną paktem Hitler - Stalin. „Poprowadzono nas na most graniczny. Eskortę stanowili żołnierze NKWD. Nagle ujrzelśmy zbliżających się ludzi w mundurach. Po chwili wszystko stało się jasne. Byli to SS-mani”. Margareta Buber-Neumann i pozostali pasażerowie zmienili wówczas wagon i pociąg, a także eskortę i obóz. Z Karagandy do Ravensbrück. W ten sposób Stalin zrobił Hitlerowi podarek w postaci niemieckich komunistów. Ot, nic szczególnego, mały gest, jak między przyjaciółmi...

37 lat później przyszła pora na udowodnienie, że małe gesty robią wielkich przyjaciół. Zachód zaczął spłacać dług wdzięczności, zaciągnięty przez Hitlera wobec Stalina. Zachód zaczął wydawać i zwracać zbiegów Związkowi Sowieckiemu. Właściwie

różnica niewielka. Obecny transfer też odbywa się w imię pokoju i przyjaźni, aktualnie zwanych *détente*, też chodzi o więźniów, też o przejście z więzienia do więzienia i też o proceder, na mocy którego osoby wydalone (dziś nazywa się to ekstradycją) znajdują się akurat w miejscach, w których bardziej niż gdzie indziej nie chciałyby się znaleźć i z których właśnie uciekły. Różnica polega tylko na tym, że Margareta Buber-Neumann przeżyła Ravensbrück i dzięki temu mogła swe przeżycia, ku nauce potomnych, dokładnie opisać, jest natomiast wysoce wątpliwe nie tylko to, czy któraś z osób ekstradowanych do ZSSR potrafiłaby opisać, czy któraś z osób ekstradowanych do ZSSR potrafiłaby opisać, ale nawet czy potrafiłaby opisać, czy któraś z osób ekstradowanych do ZSSR potrafiłaby opisać, czy któraś z osób ekstradowanych do ZSSR potrafiłaby opisać, czy któraś z osób ekstradowanych do ZSSR potrafiłaby opisać, aby móc jeszcze potem wziąć pióro do ręki.

### „Dwustronny” układ

10 czerwca 1977 Aleksander Zagirniak, lat 19 i Genadi Selużko, lat 21, pasażerowie samolotu TU-134 wewnętrznych linii Aerofłotu zawiadomili stewardessę, że są w posiadaniu granatu, który niezawodnie wybuchnie, jeżeli pilot nie zmieni trasy i zamiast w Leningradzie nie wylądować w Sztokholmie. Stewardessa zawiadomiła pilotów, ale zauważyła, że porywacze byli bardziej zdenerwowani od pasażerów, że chyba nigdy w życiu nie porywali przedtem samolotów, że to zwyczajni amatorzy. Więc piloci, wyszkoleni jak trzeba, odezwali się w te słowa: „Co do porwania, to OK, tylko że na Sztokholm paliwa nie starczy. Rozwalimy się zanim dolecimy do Sztokholmu i cały pogrzeb na nic. Proponujemy Helsinki. To też Zachód, a benzyny starczy”. *Charaszo*, powiedzieli młodzieńcy, dawajcie Gelsinki. Niedługo potem Tupolew łagodnie lądował w Helsinkach, oczekiwany przez całą ambasadę ZSSR, połowę rządu fińskiego oraz specjalne jednostki policji i wojska. Obaj młodzi Rosjanie tak byli ogłupieni swym szczęściem, że zwolnili natychmiast załogę, kobiety i dzieci, potem słabowitych, reszta uciekła, bo porywacze z emocji usnęli. Straty ludzkie sprowadziły się do jednej kostki zwichniętej przy skoku któregoś spanikowanego pasażera. W końcu wyszło na jaw, że i granat był nieprawdziwy. W tych warunkach poddanie się porywaczy po 30-godzinnych negocjacjach i daniu wiary w obietnice Finów było już raczej farsą niż formalnością. Farsa nie trwała długo...

Decyzja Finów była krótka jak salwa egzekucyjna. Won! 24 godziny później Zagirniak i Selużko pojechali w kierunku odwrotnym do Margarety Buber-Neumann. Nie w wagonie „8 Pferde — 40 Leute”, a w specjalnym samolocie wojskowym,

nie w eskorcie SS, a w eskorcie KGB, i nie na zachód a na wschód.

Po Zagirniaku i Selużce ślad zaginął. Prawo bowiem trzeba szanować, a Finlandia jest jedynym niekomunistycznym krajem, który podpisał z ZSSR dwustronny układ o wydawaniu piratów powietrznych. Na mocy tego układu z 1974 roku każda z wysokich umawiających się stron zobowiązuje się do niezwłocznej ekstradycji osobników porywających samolot drugiej wysokiej umawiającej się strony. Inaczej mówiąc Finlandia musi wydawać porwaczy z ZSSR, szukających azylu w Finlandii, a ZSSR musi wydawać niezwłocznie wszystkich osobników uprowadzających fińskie samoloty do ZSSR i szukających azylu i schronienia w Moskwie...

I na tym można by opowieść zakończyć. Świat przestał się interesować młodymi niedoświadczonymi Rosjanami. Za dużo błędów, jak na jedno małe porwanie. I zapadła cisza. Cmentarna zapewne.

Bardzo niesłusznie. Przypadek Zagirniak - Selużko zasługuje, wydaje mi się, na chwilę uwagi. Przechodniu, przystań więc i wysłuchaj dwóch uwag historycznych, jednej prawnej, sześciu retorycznych pytań oraz końcowej, podwójnej prawdy.

### *To nie jest premiera*

Pierwsza uwaga historyczna, to ta, że nie jest to pierwszy znany przypadek próby porwania lub porwania samolotu sowieckiego. W czerwcu 1970 kilkudziesięciu Żydów sowieckich, daremnie od lat starających się o emigrację do Izraela, padło ofiarą grubej prowokacji i zostało aresztowanych w związku z domniemaną próbą porwania samolotu na lotnisku w Leningradzie. W październiku tego samego roku dwóch Litwinów porwało Antonowa - 24 do Turcji. W strzelaninie zginęła stewardessa i ranny został pilot, ale uciekinierzy odsiedzieli swoje, po czym uzyskali azyl w Wenezueli, gdzie do dziś żyją w wiecznym strachu przed zemstą KGB. Także w październiku 1970 dwóch studentów porwało samolot, także do Turcji. W rok później sami zażądali repatriacji do ZSSR, gdzie chyba także ciągle żyją w strachu przed KGB. W listopadzie 1970 (obrodziło jakoś owego roku) inna para Litwinów próbuje porwać samolot, ale nie udaje im się. W październiku 1973 KGB uniemożliwia próbę porwania na lotnisku w Moskwie. W ataku przeprowadzonym pod osłoną negocjacji dwóch niedoszłych piratów ginie, dwóch ran-

nych żyje. Pod strachem KGB naturalnie. Wreszcie, na kilka tygodni przed aferą fińską, 26 maja 1977, Wasyl Sosnowski, nazwany później przez TASS „nędznym recydywistą i psychopata”, pod groźbą fałszywego granatu uprowadza Antonowa-24 do Szwecji. Szwecja odrzuca żądanie ekstradycji, Sosnowski idzie pod sąd i do kryminału w Szwecji.

Druga uwaga historyczna to ta, że nie jest to pierwszy przypadek wydania porywaczy Związкови Sowieckiemu. 26 września 1976 por. Zaszmiow, Panie świeć nad jego duszą, pilot małego samolotu pocztowego Antonow-2 wylądował w Azerbejdżanie ale w perskim, zamiast, jak powinien był, w sowieckim. Mała różnica, ale zawsze. Poprosił o azyl. Szach odmówił. Nie wiadomo, czy Persja ma z ZSSR dwustronny układ o wydawaniu i ilu uciekinierów ZSSR wydał już szachowi. Szach widać miał jednak swoje dobrosąsiedzkie powody i porucznik też pojechał na wschód, na konto spłacania długu wdzięczności za Margaretę Buber i towarzyszy.

Uwaga prawna to ta, że od 1973 roku obowiązuje w ZSSR specjalna ustawa o karaniu porywaczy. Zakłada ona kary od 3 do 15 lat więzienia, a może dojść do kary śmierci, jeżeli przy porwaniu byli zabici i ranni, lub jeżeli, co gorsza, uszkodzeniu uległo mienie społeczne czyli samolot. Znając szacunek dla prawa w ZSSR można sądzić, iż wyroki nie oscylują wokół dolnej granicy, a raczej wprost przeciwnie. W grudniu 1970 żadnej ustawy nie było, a w tzw. „sprawie leningradzkiej” Kuzniecowa i Dymyszyc dostali karę śmierci (zamienioną pod naciskiem zachodniej opinii na 15 lat) nie za żadne porwanie, a za powzięcie li-tylko zamiaru. Można więc sobie wyobrazić, że Selużko i Zagirniak, którym się taki zamiar powiódł, nie zostaną potraktowani z wyjątkową pobłażliwością. Wydając obu Rosjan w ręce KGB Finlandia wiedziała więc, że skazuje ich na szybką albo powolną ale niechybną śmierć na szafocie albo w gułagu. Finlandia wiedziała, że bierze ich na swoje sumienie.

### *1. Czy nie zbyt selektywnie?*

W związku z tym chciałbym zadać sześć pytań. Oto pytanie pierwsze. Otóż, naturalnie, prawo trzeba szanować. Ale czy czasem w rozpatrywanym przypadku prawo nie jest szanowane zbyt selektywnie? Jak to się dzieje, że jedynymi piratami powietrznymi wydanymi władzom pochodzenia porwanego samolotu są Rosjanie i jedynym krajem, który swych porywaczy z powrotem otrzymał jest ZSSR? Tego samego dnia kiedy Zagirniak i

Selużko zostali poświęceni na ołtarzu finlandyzacyjnym, kilku „rewolucjonistów” (piratów tam nie ma) porwało samolot chilijski. Po wielogodzinnych dramatycznych przejściach czy raczej przelotach porywacze zostali jak pełni chwały i odwagi bohaterowie entuzjastycznie przyjęci przez Kubę. Czyżby porywanie samolotów Pinocheta było bohaterstwem nagradzanym i wielbionym, a porywanie samolotów Breżniewa przestępstwem? Jaka jest różnica między pasażerami samolotu chilijskiego, których życie narażać wolno, a pasażerami linii sowieckich, których życia narażać nie należy? Kto zna przypadek wydania komukolwiek kogoś z terrorystów palestyńskich, którzy porwali, spalili i zamordowali tylu niewinnych pasażerów, samolotów i pilotów tylu różnych linii powietrznych?

Francja miała w swych rękach niejakiego Abu Dauda, który u boku Arafata przewodził większości znanych porwań powietrznych, ale Francja nie wydała go we właściwe ręce, ale wypuściła, pod natchnionym pretekstem, tak aby mógł zjeść dobry obiad w pierwszej klasie algierskiego nieporwanego samolotu. Czy słyszał ktoś o wydaniu Szwajcarii morderców, którzy podłożyli bombę do samolotu „Coronado”? A przecież w „Coronado” zginęli wszyscy pasażerowie tego odrzutowca Swiss-air'u, a w Tu-134 u Selużki i Zagirniaka nikt nie zginął. Komu zostali wydani mordercy amerykańskiego czy belgijskich dyplomatów w Chartumie, Bejrucie, Nikozji czy gdzie indziej? Nikomu. Wydani zostali tylko Zagirniak i Selużko. Bo słabi, bo w Finlandii i bo do ZSSR.

## 2. *Czy nie zbyt rygorystycznie?*

A oto pytanie drugie. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy czasem w rozpatrywanym tu przypadku szanowanie to nie jest zbyt rygorystyczne? Zanim Finlandia podpisała „dwustronny” układ z ZSSR (ilu porywaczy wydał już ZSSR Finlandii?), oba kraje podpisały w roku 1970 konwencję z Hagi. Otóż na mocy tej konwencji piractwo powietrzne powinno być ostro karane. I słusznie. W tym celu państwo dysponujące porywaczem ma do wyboru dwie możliwości. Albo ekstradycję, albo sądenie pirata u siebie. To właśnie w oparciu o tę konwencję Szwecja odmówiła w maju wydania Sosnowskiego. Miała bowiem do wyboru i wybrała. Sosnowski po odsiedzeniu wyjdzie na wolność i do ZSSR ekstradowany nie będzie. Chyba, że sam zechce. Ale to jego sprawa, to będzie wolny człowiek.

Podpisując „dwustronny” układ z ZSSR Finlandia zwięziła

więc zasięg działania prawa międzynarodowego. Z politycznego punktu widzenia jest to błąd. Wyzbywając się możliwości suwerennego wyboru, jaki jej przyznaje prawo międzynarodowe, Finlandia ograniczyła swą i tak już ograniczoną suwerenność.

Kiedys wydrukowałem już w *Kulturze* dłuższe i smutne opowiadanie o finlandyzacji. Zagirniak i Selużko *Kultury* nie czytają. A szkoda. Gdyby czytali, to wiedzieliby, że do Helsinek porywać nie należy. Cynicznie fikcyjna „dwustronność” układu o piractwie z ZSSR to bowiem najbardziej kliniczny przejaw finlandyzacji i Zagirniak i Selużko pozostaną w historii jako jej najbardziej charakterystyczne ofiary. Pisząc o finlandyzacji zacytowałem refleksję zasłyszaną w Helsinkach: „To prawda, mawiają tam, że jeden Fin wystarczy na dziesięciu Rosjan, ale co zrobimy, kiedy nadleci jedenasty Rosjanin?”. W przypadku Zagirniak - Selużko Finowie twierdzą, że jedenasty Rosjanin był za węglem. Może... Czy podobnie myśleli i Francuzi, kiedy wyrzucali z anteny swej telewizji program z emigrantami ze wschodu, aby nie urazić bawiącego właśnie w Paryżu prezydenta Breżniewa?

### 3. Czy nie zbyt strachliwie?

A oto pytanie trzecie. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w naszym przypadku nie jest to szanowanie zbyt wygodne, żeby nie powiedzieć zbyt strachliwe? Co by się stało, gdyby Finowie odmówili podpisania kompromitującej „dwustronnej” konwencji? Czy Moskwa najechałaby Finlandię, aby odebrać dwóch niedoświadczonych amatorów wycieczek za granicę? Czy „jedenasty Rosjanin” pojawił się w 1973 roku, aby odebrać Finom niejakiego Wiktora Schneidera, obywatela sowieckiego pochodzenia niemiecko-nadwożańskiego? Schneider uciekł gdzieś z wybrzeża litewskiego na małej łódce i został ledwo żywy wyłowiony przez fiński frachtowiec. Rosja zażądała wydania, ale Finlandia, choć azylu nie dała, to Schneidera nie wydała. Wydali go, ale do... RFN, o czym zresztą Schneider od dawna i wyłącznie nad Wołgą w Kazachstanie marzył. A co Rosja zrobiła Szwecji po odmowie wydania Sosnowskiego?

Gdzie kończą się niezbędne koncesje sfinlandyzowanego państwa fińskiego, a zaczyna zwykłe tchórzostwo? Sprawa Zagirniak-Selużko potwierdza, że finlandyzacja jest przede wszystkim procesem dobrowolnym, tylko do pewnej linii wyznaczanym przez przezorność i geopolitykę. Poza tą linią jest już tylko ochotnicza nadgorliwość i nieczyste sumienie.

#### 4. Czy nie zbyt ślepo?

A oto pytanie czwarte. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w rozpatrywanym przypadku szanowanie to nie jest czasem zbyt ślepe? Czy gdyby Zagirniak i Selużko mogli normalnie, np. jak każdy młody człowiek w Finlandii, poprosić o paszport, po kilku dniach, jeżeli nie od razu, go otrzymać, pójść po wizę do jakiegokolwiek ambasady, jeżeli w ogóle wiza byłaby potrzebna, wsiąść w jakikolwiek samolot, pod warunkiem wykupienia biletu, i udać się w jakimkolwiek kierunku, to czy w takiej sytuacji — która jest przecież normalną sytuacją w naszych krajach — Selużko i Zagirniak porywaliby samolot? Czy gdyby każdej prośbie o paszport nie towarzyszyło uczucie bezradności i beznadziei, to czy Rosjanie, Polacy i Czesi porywaliby samoloty, a Niemcy ryzykowałoby życie na strasznej granicy między dwoma państwami niemieckimi? Czy gdyby z Chin można było normalnie wyjechać, tysiące ludzi ryzykowałoby życie płynąc wpław do Hongkongu, mimo iż przed „startem” wiadomo, że połowa zginie w paszczach rekinów, a spora część tych co przepląną zostanie wydana Pekinowi przez Anglików, którzy płacą w ten sposób za przedłużenie kontraktu na brytyjską obecność w byłej perle byłego imperium.

Czy gdyby można było normalnie i po ludzku wyjechać z Sowieców, to marynarz Leskow uciekałby ze statku „Biełogorsk” w Las Palmas, kapitan i sześciu marynarzy ze statku „Iszon” w Atenach, czy kpt. Janin płynąłby małą łódką po ucieczce ze statku „Iwan Franko” przez trzy dni do tureckiego portu Arhani, czy marynarz Konenko wyskoczyłby ze statku „Szura Kober” natychmiast po przycumowaniu do portu Erie w USA, czy naukowiec Martynianowa i Kowalow uciekaliby z sowieckich statków oceanograficznych „Argos” i „Mendelejew” w Plymouth i w Honolulu, czy inż. lotnictwa Riabow wiałby potajemnie z kroazjery na „Łatwii”, gdyby mógł inaczej wyjechać ze swej ojczyzny?

Czy gdyby można było w cywilizowany sposób wyjechać z Bułgarii, to trójka marynarzy wyskoczyłaby kolektywnie ze statku „Ofelia” w porcie Coos Bay w stanie Oregon? Czy dziennikarz Kostow wybierałby wraz z rodziną wolność we Francji, składając przy tym okropne deklaracje o supersowietyzacji Bułgarii? Czy gdyby można było spokojnie opuścić Rumunię, to pięciu sportowców musiałoby uprawiać tajny bieg z przeszkodami z wioski olimpijskiej w Montrealu? Czy gdyby żeglarz Moisiej mógł żeglować jak i gdzie chciałby, pod wszystkimi wiatrami, to czy wykorzystałby pobyt statku „Mircea”, reprezentacyjnego



żaglowca p. Ceausescu, na jubileuszu 200-lecia USA, aby odcumować na stałe od swego przepięknego kraju? Czy gdyby można było normalnie wyemigrować z Węgier (tak, tak, tych liberalnych, tak popularnych na Zachodzie Węgier), to inż. Reszo ryzykowałby wyprawę z żoną i trojgiem małych dzieci na małej łódce z Jugosławii do Włoch, aby znaleźć się po naszej stronie świata?

Czy wreszcie Polacy porywaliby samoloty albo po prostu wiali na potęgę i tradycyjnie już z „Batorego” lub z meczu futbolo-wego w Kopenhadze, gdyby na Koszykowej czy w pałacu Moskowskich zamiast ponurego policjanta siedziała sympatyczna panienska, z uśmiechem pytająca obywatela, na kiedy paszport potrzebny i czy można odesłać pocztą, zamiast komunikować, że jest odmowa z powodu punktu numer cztery...

Czy pianiści Jegorow i Afanasjew uciekaliby potajemnie i w skandalu, myśląc czujnie obstawione przez „dyplomatów” drzwi sal koncertowych we Włoszech czy w Belgii, gdyby mogli grać co chcieli w Moskwie lub za granicą, bez pytania KGB o zgodę na adres i repertuar? Czy uciekaliby w dziwnym *pas de trois* Barysznikow, Nurejew i Makarowa, gdyby mogli normalnie wyjeżdżać na *tournee*, a nie do tiumny i tańczyć gdzie by chcieli i jak by chcieli, a nie tam gdzie i jak im zagra KC? Czy polski strażak zniknąłby potajemnie w czasie olimpiady pompierskiej w Trento we Włoszech w sierpniu 1977 roku, gdyby mógł normalnie wspinać się na wszystkie drabiny świata i gasić inne pożary?

Dosyć tej listy, jest ona praktycznie niewyczerpana. Ruch jest jednokierunkowy, „dwustronne” układy to zwykła fikcja. Z wyjątkiem zawodowych spalonych szpiegów nikt z Zachodu na Wschód nie ucieka. Chyba wariat. W lipcu 1977 roku komunista angielski nazwiskiem Johnson zagrożony postępowaniem sądowym postanowił wybrać wolność w NRD! Po kilku dniach był z powrotem. Wolał sąd w Anglii, gdzie się przynajmniej można bronić.

### 5. Czy nie za jednostronnie?

A oto pytanie piąte. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w rozpatrywanym przypadku nie jest ono szanowane zbyt jednostronnie? Aleksander Woronel, fizyk, Żyd i Rosjanin chciał, w pełnym poszanowaniu prawa, opuścić ZSSR. Spotkała go odmowa, w związku z czym udał się do płk. Wereina, szefa biura paszportów w Moskwie. Oto krótkie streszczenie ich rozmowy:

*Woronel:* — Kiedy będę mógł wyemigrować do Izraela?

*Werein:* — Nie przed upływem lat pięciu.

*Woronel:* — Dlaczego?

*Werein:* — Bo jest pan w posiadaniu tajemnic państwowych.

*Woronel:* — Oświadczam formalnie, iż nie znam żadnej tajemnicy państwowej.

*Werein:* — O tym nie pan decyduje. O tym tylko my wiemy.

*Woronel:* — Jeżeli dziś nie wiem, to i w przyszłości nie będę wiedzieć. Jak wobec tego uniknąć poznania tajemnicy państwowej?

*Werein:* — Nie może pan uniknąć.

*Woronel:* — Co robić wobec tego?

*Werein:* — Przyjść do nas za lat pięć i zapytać.

*Woronel:* — No, a jeżeli znowu odmówicie?

*Werein:* — Oznaczać to będzie, że poznał pan nowe tajemnice państwowe.

Woronel już jest w Izraelu. Ale inżynier radiowy Władimir Ślepak jest ciągle w Moskwie. On też był u Wereina.

*Ślepak:* — Dlaczego nie pozwalacie mi emigrować?

*Werein:* — Bo zna pan tajemnice państwowe.

*Ślepak:* — W moim zawodzie nie ma żadnej tajemnicy. W porównaniu z Zachodem jesteśmy o 10 lat spóźnieni.

*Werein:* — To jest właśnie ta tajemnica.

Pytanie piąte więc brzmi: kto w tej sytuacji jest terrorystą i porywaczem?

## 6. Czy nie zbyt ironicznie?

A oto pytanie szóste. Prawo, naturalnie, trzeba szanować. Ale czy w omawianym przypadku nie jest ono szanowane zbyt ironicznie? Czy nie jest mianowicie szczytem ironii, że dwaj młodzi ludzie, którzy pragnęli jedynie wyjechać ze swego kraju i wybrali w tym celu jedyny dostępny, choć naganny sposób, jako że wszystkie inne normalne sposoby były dla nich niedostępne, czy nie jest więc ironią fakt, iż ci dwaj młodzi ludzie zostali skazani na życie do śmierci w kraju, który właśnie chcieli opuścić, przez władze kraju, w którego stolicy przed dwoma laty podpisany został uroczysty układ dający wszystkim ludziom prawo wolnego i swobodnego poruszania się po całym świecie i przekraczania wszystkich swoich i cudzych granic? Czy nie

zasługiwał na uwagę Finów fakt, iż ci dwaj młodzi Rosjanie wybrali porwanie, albowiem w żaden, ale to w żaden inny sposób nie mogli z ZSSR wyjechać?

Dlaczego połowa sygnatariuszy aktu końcowego w Helsinkach milcząco toleruje fakt, iż druga połowa sygnatariuszy tego samego układu zmusza swych obywateli do wiecznego i przymusowego pozostania za murami ich własnych krajów lub też do wybierania, w celu zrealizowania jednego z podstawowych paragrafów aktu z Helsinek, najdziwaczniejszych (kufry samochodowe w NRD, luki bagażowe w Bułgarii czy Rumunii, gumowe łódki na polskim Bałtyku) albo też najbardziej niebezpiecznych (porywanie samolotów w ZSSR) środków lokomocji?

Kto jest prawdziwym zbrodniarzem: samotny człowiek ryzykujący swe własne, a czasem także i cudze życie, aby uzyskać możliwość osiedlenia się gdzie indziej, pod innym niebem, czy też kolosalny aparat autokratycznego państwa i samodzierżawnej władzy, która mu tego świętego prawa do życia pod innym niebem, wbrew wszystkim światowym konwencjom, brutalnie i arbitralnie odmawia?

### *Nie tylko Finlandia?*

Tych sześć pytań należy, to jasne, do tzw. retorycznych. Nie trzeba się łudzić. Ochocko i dobrowolnie finlandyzujący się świat nie odpowie na tak sformułowane pytania. Nie udzieli na nie jasnych i niedwuznacznych odpowiedzi. Nie podejmie jasnych i logicznie wypływających z tych pytań kroków.

Prawda jest krótka i podwójna.

Po pierwsze gdyby ZSSR i obóz socjalizmu nie były obozem koncentracyjnym, to nikt nie próbowałby niczego ani nikogo porywać, aby móc ten obóz opuścić albo do tego obozu wrócić.

Po drugie myli się ten, kto w związku z rozpatrywaną tu sprawą próbował mi dowodzić, że Finlandia prowadziła już 42 wojny przeciwko Rosji, że wszystkie przegrała i że wydała zbiegów, albowiem nie chce już przegrywać wojen z Rosją.

Finlandia się myli. Wydając Zagirniaka i Selużkę, swą 43-cią wojnę przeciwko Rosji Finlandia właśnie przegrała.

Nie tylko zresztą Finlandia.

Pisane 10 sierpnia 1977.  
*Kultura* nr 9/360, 1977.

## BIAŁE, CZARNE I CZERWONE

Kto to jest Andy Young? Syn zamożnego dentysty, Andy Young, liczący dzisiaj lat 45, ma trzy córki, syna i kilka kolosalnych zalet.

Po pierwsze jest Murzynem. Rodzice chcieli, aby ich syn został lekarzem lub dentystą i by kontynuował umacnianie klasowe średniej burżuazji murzyńskiej, skutecznie łamiącej bariery rasowe w USA. Ale Andy usłyszał głosy i wybrał karierę duchowną. Skończył teologię, praktykował nawet jako pastor w kilku parafiach, ale szybko przeszedł do polityki, do działania w ruchu na rzecz równouprawnienia Murzynów. Wybitnie zdolny, dowcipny, o łatwym kontakcie z ludźmi (przedstawia dziś gości lokajowi, a śniadanie jada z szoferem), produkt dziwnych, a tak owocnych zazwyczaj skrzyżowań krwi, mający wśród swych przodków Indian, a także pradziadka o nazwisku... Czarnowski (kto mówi, że tylko Brzeziński ma polską krew w najbliższym otoczeniu Cartera?), Young szybko zrobił karierę i stał się najbliższym współpracownikiem Martin Luther Kinga, przywódcy ruchu murzyńskiego.

Po drugie Young jest osobistym przyjacielem prezydenta Cartera. Ich drogi skrzyżowały się przed wielu laty, kiedy obaj robili polityczną karierę na południu Stanów. W chwili kiedy Carter wystartował do Białego Domu, Young od razu stanął u jego boku, przynosząc mu decydujące prawdopodobnie głosy murzyńskie.

Po trzecie Young jest czymś w rodzaju carterowskiej *katharsis*. Carter wyrzuca sobie mianowicie, że za późno włączył się do akcji na rzecz równouprawnienia Murzynów. Przyznając Youngowi wyjątkową pozycję, Carter wydaje się sądzić, iż w jakiś sposób nadrabia to opóźnienie. Tylko to może wyjaśnić, że Young jest pierwszym ambasadorem amerykańskim, mającym pełne uprawnienia członka rządu, że ma swój gabinet i swój *staff* nie tylko w Nowym Jorku, ale także na ekskluzywnym VII-ym piętrze Departamentu Stanu, obok min. Vance'a. Tylko to może też wyjaśnić, że Carter nie tylko toleruje u Younga gafy i głupstwa, za które dawno by wyrzucił najpodlejszego urzędnika ambasady w Pernambuko, ale bierze wszystko na siebie i po każdym potknięciu podpisuje dla Younga nowy czek *in blanco*.

Otóż takie podpisywanie może się stać zajęciem żmudnym i nudnym. Young bowiem jest na pewno najbardziej gadatliwym dyplomatą amerykańskim. Bije stale swoiste rekordy poplątania prawidłowych spostrzeżeń z zaskakującymi bredniami. Niedawno jednym zdaniem poraził i obraził ZSSR, Szwecję i Anglię. „Rosjanie — powiedział Young — mają do zaproponowania Afryce wyłącznie marksizm, podczas kiedy Afryka potrzebuje przede wszystkim dóbr, których marksizm jej dać nie może. Rosjanie to zwyczajni rasiści i dlatego nigdy żadnych wpływów w Afryce nie zdobędą”. Potem przeszedł do Szwecji. Kraj, który przechowuje tysiące, w tym czarnych, dezertarów z wojny wietnamskiej, został przez Younga określony jako rasistowski, gdzie „Murzynów traktuje się jak w Queensie”, osławionej dzielnicy nowojorskiej. Jeżeli chodzi o Wielką Brytanię, to „nigdy nie przestała ona gardzić kolorowymi”. Na zakończenie przeszedł z państw do osobistości. Prezydent Ford i Nixon to też zwyczajni rasiści. Reakcje były miesane. Moskwa się obraziła, Szwedzi i Anglicy też, ale w końcu pobłażliwie się uśmiechnęli. Ford milczał, ale inni wystąpili w obronie jego honoru. Nixon też milczał, ale w obronie jego honoru nikt nie wystąpił.

Dopóki sformułowania p. Younga dotyczyły zagadnień rasizmu, można mu było wiele przebaczyć. Rozumieć wszak to przebaczyć, a ja np. dobrze rozumiem stanowisko Younga wobec rasizmu. Każdy ma bowiem swoich rasistów, choć nie każdy jest prezydenckim *katharsis* i nie każdy może o tym na wysokim szczeblu głośno opowiadać. Gorzej jednak, kiedy p. Young na identycznych zasadach podszedł do polityki. W tej dziedzinie i na tym poziomie kolor skóry i z tym wyłącznie związane doznania nie powinny już odgrywać zasadniczej roli, a w każdym razie nie mogą decydować o polityce. Polityka bowiem nie należy do sfery sentymentów.

P. Young, choć formalnie jest ambasadorem USA przy ONZ, większość swego czasu spędza w Afryce. To jego sprawa, choć niektórzy już uważają, że jest on ambasadorem Afryki w USA. Gorzej, że sam Young uważa, iż ma zupełnie specjalną misję do spełnienia. Misję podwójną. Po pierwsze generalną: doprowadzić naród amerykański do otwartego mówienia o polityce zagranicznej. „Musi być sposób — mówi Young — na wyprowadzenie polityki międzynarodowej ze strefy zastrzeżonej wyłącznie dla pracujących w tajemnicy ekspertów. Jest to bowiem monopol, który doprowadził do wszystkich tragedii ostatnich 20-tu lat”.

Po drugie: kiedy już skończymy z tym monopolem, to trzeba będzie skończyć z paranoicznym — według Younga — strachem przed komunizmem. „To śmieszne — woła Young — aby największa potęga świata wpadała w panikę za każdym razem, kiedy byle tysiąc Kubańczyków pojawi się w jakimś zakątku świata. Nigdy nie odczuwałem strachu przed komunizmem. Kubańczycy nie mogą wszak niczego takiego uczynić, z czym amerykańska super-potęga nie mogłaby sobie poradzić”. Podsumowując to wszystko Young chce sprawić, aby naród amerykański „myślał w sposób twórczy, tylko wtedy bowiem możemy przyczynić się do nadania światu nowego kształtu”.

### *Bardzo duża stabilizacja*

Dla sprawienia aby naród myślał twórczo i dla nadania światu nowego kształtu Young wybrał się w maju w 17-dniową podróż do ośmiu krajów Afryki. Choć trudno było spodziewać się, aby jedna podróż nawet czarnego ambasadora mogła przynieść przełom, Young był z niej zadowolony. „Jestem skromny — powiedział — ale naprawdę uważam, że sprawy układają się znakomicie”.

Co takiego układa się znakomicie? Co takiego optymistycznego odkrył Young w Afryce w maju 1977 roku? Poszukajmy w jego wypowiedziach klucza do tych tajemnic.

*O Angoli:* „Obecność Kubańczyków niekoniecznie jest zjawiskiem negatywnym. Kubańczycy w Angoli stanowią czynnik stabilizacyjny. Gdyby wojna domowa nadal trwała, to nie byłoby w ogóle z kim rozmawiać w tym kraju. Gdyby Kubańczycy się wycofali z Angoli, to prezydent Neto nie byłby już u władzy”. Ambasador Young się nie mylił. W kilka dni po tej wypowiedzi wybuchła w Luandzie próba zamachu stanu i gdyby nie Kubańczycy, to prezydent Neto istotnie nie byłby już u władzy.

*O Abisynii:* „Etiopczycy wymordowują się wzajemnie. Wierzę, że obecność Kubańczyków może mieć wpływ racjonalny i wstrzymać przelew krwi w Abisynii”. Na razie nie bardzo, już bowiem ok. 5.000 studentów i innych piśmiennych zostało wystrzelanych. Odzyskanie zwłok kosztuje 150 dolarów. „Tytułem zwrotu kosztów amunicji” — wyjaśniają prawdziwi rewolucjoniści.

Do najbardziej niezapomnianych przeżyć ambasadora Younga w Afryce należą dwa spotkania. Pierwsze, z jednym z najbardziej popularnych przywódców murzyńskich w Afryce Południowej, „szefem” Gatsha Butelesi. Obaj panowie odśpiewali razem hymn „Nkosi Sikelela i Afrika”, czyli „Boże, pobłogosław Afrykę”, po

czym Young udał się na drugie *rendez-vous*. W Maputo, stolicy marksistowskiej republiki Mozambiku, spotkał się z p. Valdez Vivo, politykiem kubańskim. Obaj panowie „odbyli długą i przyjazną rozmowę”, a Valdez zaprosił Younga do odwiedzenia Kuby, aby spotkać się z szefem „czynnika stabilizującego” Afrykę...

Otóż kiedy Young śpiewał „Boże, coś Afrykę...” i rozmawiał z „czynnikiem stabilizującym”, ów czynnik, nie śpiewając hymnów, nie przestawał stabilizować. Na krótko przed podróżą ambasadora Younga podobne safari, choć nie po tych samych krajach, odbyli naczelni stabilizatorzy, Podgorny i Castro. Był to zupełnie przedziwny kołowrotek, panowie deptali sobie po piętach, znikali w tajemniczych okolicznościach, po Afryce nie przestawało nieść się echo salw honorowych i stabilizacyjnych, aż w końcu, ku ogólnej radości i przy akompaniamencie radosnego oberka, obaj panowie padli sobie w ramiona na Kremlu. Podsumowanie działalności stabilizacyjnej można przedstawić w następującym skrócie.

*Angola*: 12.000 żołnierzy kubańskich i 3.000 doradców „cywilnych”. Kubańczycy walczą na wszystkich frontach wewnętrznych, utrzymują przy Angoli naftową enklawę w Kabindzie, prowadzą szkolenie partyzantów namibijskich i rodezyjskich, wyszkolili (źle) tzw. żandarmów katangijskich, którzy dokonali próby najazdu na jedno z najbogatszych miejsc na świecie, prowincję Katanga na południu Zairu. Kubańczycy kontrolują obecnie wszystkie górne szczeble administracji, policji i bezpieczeństwa oraz chronią osobę prezydenta.

*Republika Ludowa Konga*: kilkuset wojskowych doradców uczy autochtonów posługiwania się sowieckim sprzętem wojskowym. Bardzo pojętni uczniowie: potrafili już zastrzelić prezydenta Nguouabi oraz ukarać śmiercią „zamachowców”.

*Gwinea*: kilkuset doradców kubańskich stabilizuje sytuację. Prezydent Sekou Touré przy życiu.

*Gwinea-Bissau*: Kubańczycy doradzają na wszystkich szczeblach. Prezydent przy życiu, pod ochroną *barbudos*.

*Mozambik, Tanzania itd., itd., idem*. Jeszcze tylko kilka słów o Abisynii. Pierwszych 100 doradców kubańskich już jest w Addis Abebie. W czerwcu spodziewano się następnych 500. Castro, który udzielił wywiadu pani Barbarze Walters, najdroższej dziennikarce świata (milion dolarów rocznie, honoraria zupełnie jak w *Kulturze*) z sieci ABC, zapewnił jednak naród amerykański i ambasadora Younga, że chodzi tu wyłącznie o cywilów i że ich wpływ będzie wyłącznie stabilizujący. W czasie wizyty w Addis Abebie Castro wyrażał się jednak inaczej. „Rewolucja abisyńska podobna jest do francuskiej i bolszewickiej, wołał naczelny stabi-

lizator. Mój pobyt, to nie oficjalna wizyta szefa państwa, a wizyta towarzysza broni, który przybył, aby wyrazić solidarność z rewolucją abisyńską”. Fidel zapomniał dodać, że kilka tygodni przed nim „bawił” w Abisynii generał Arnaldo Ochoa, dowódca kubańskiego *Afrika-Korps* w Angoli, który omówił wszystkie właściwe elementy stabilizacji.

Oczywiście, trzeba zachować spokój. Nie wpadajmy w panikę, jak uczy ambasador Young, ten spis z natury nie jest ostateczny. Na poważny inwentarz trzeba poczekać, Afryka nie jest jeszcze kubańską kolonią. Ale nie chodzi o Kubę ani o ostateczną kolonizację Afryki. Za folklorystycznym mesjanizmem stoi cała, albo prawie cała potęga ZSSR. Wielką grę w Afryce prowadzi nie Kuba, a Związek Socjalistycznych Republik Rad. Aby swój program „stabilizacyjny” w Afryce zrealizować, a stanowi on ważną część światowego *Kriegsspiel*’u, Rosja stara się, o tyle o ile to możliwe, nie występować pod własnym nazwiskiem. Stąd historyczna rola Kubańczyków.

Propozycja powierzenia Fidelowi sygnowania „stabilizacji” w Afryce nie była całkiem niedorzeczna. Che Guevara pojawił się w dżungli w Kongo już w roku 1965, kiedy Moskwa nie ufała jeszcze Castro, kiedy Castro nie ufał już Guevarze i kiedy Moskwa i Castro nie mieli jeszcze niezbędnych środków dla podjęcia operacji. Teraz już Moskwa wszystko ma.

Co ma? Ma przede wszystkim jasny pogląd na sytuację światową, na układ sił w USA, na słabość Zachodu, ma własne aspiracje super-potężne, ma świadomość, iż musi sobie taki statut zapewnić, ma więc przekonanie, że należy brać wszystko co się da, a potem się zobaczy, wszystko a przede wszystkim to, co Amerykanie porzucają w powietnamskim szoku i zgodnie z zasadą nie wpadania w panikę ambasadora Younga.

W takiej operacji Kubańczycy są dziś idealnymi wykonawcami. Po pierwsze z „obiektywnych” przyczyn musieli zaprzestać eksportu rewolucji na teren ich naturalnej ekspansji, to znaczy do Ameryki Łacińskiej. Afryka pogrążona w chaosie i nie „ulegająca panice” daje Fidelowi kolosalną szansę realizacji jego chorobliwych ambicji. Po drugie, co jest zasadnicze dla sukcesu wszystkich mesjanizmów, Fidel dysponuje dziś znakomitym wojskiem, wyszkolonym przez Sowietów i wyposażonym w sowiecki wyłącznie sprzęt, który Rosja wysłała do Afryki i który służy do stabilizacji. Po trzecie, Kubańczycy mają 25 % Czarnych, nie licząc kolorowych, co bardzo ułatwia penetrację na zasadzie mimikry ludzkiej i ideologicznej. Hasło neokolonizacyjne jest nie do sprzedania dziś przez białego człowieka w Afryce. No ale Czarny, zwłaszcza uzbrojony, to co innego. To nie przez przy-



padek Castro nie przestaje wołać: „Kubańczycy są narodem nie tylko łaćińsko-amerykańskim, ale afro-amerykańskim”.

To wszystko sprawia, że nowy biały kolonialista w czarnej Afryce jest w rzeczywistości czerwony, ale za to niewidoczny. Cudowna operacja i tak przekonywująca, że Fidel, który najechał Angolę przetrzucając na sowieckich okrętach i samolotach cały korpus ekspedycyjny z wyspy oddalonej o 10.000 km, może dziś, nie wywołując uśmiechu nawet u ambasadora Younga, wołać „Każdy atak na Angolę będzie traktowany jako atak na Kubę”, czyli mówić zupełnie to samo, co mówił Chruszczow po masakrze na Węgrzech i Breżniew po „ustabilizowaniu” Czechosłowacji. Świat na to patrzy i nie wpada w panikę, albowiem p. Young określił to nie jako inwazję, a jako stabilizację. A co powiedziałby p. Young, gdyby to nie Kuba najechała Angolę, a np. wojska Luksemburgu zajęły spływającą krwią Ugandę, do której zostałyby wysłane na pokładzie np. francuskich *Mirage'y* pod hasłem ustabilizowania tam sytuacji, krzycząc „Każdy atak na Ugandę potraktowany zostanie jako atak na Luksemburg i na wielkiego księcia Jana z rodziną”. Gdyby Luksemburg zaatakował Ugandę, to ambasador Young określiłby to jako niedopuszczalny akt agresji białego kolonialisty. Czarny lub smagły Kubańczyk w Angoli i gdzie indziej to natomiast „akt stabilizacyjny” lub po prostu jeszcze jedna „afrykańska perypetia”.

Nie będą obrażał Czytelników *Kultury* opisywaniem, na czym cały ten interes polega, w imię jakich ideałów Moskwa zapewnia całą kolosalną logistykę niezbędną dla kubańskiego safari. Nie wiem jeszcze, w jakim stopniu cała operacja się powiedzie, Rosja sama nie wierzy, aby mogła w historycznie określonej przyszłości ostatecznie „ustabilizować” Afrykę. Ale już w tej chwili z baz położonych po obu brzegach Afryki (głębokie porty w Luan-dzie, Beira, Nakala, Porto Amalia, lotniska w Angoli, Etiopii i Mozambiku, w tym na wyspie Barazuto, gdzie NRD zainstalowała właśnie nowoczesny system radarowo-lokacyjny), że więc już dziś w zasięgu wojskowej kontroli Moskwy znajduje się droga, którą płynie do Europy zachodniej 70 % jej ropy, nie mówiąc już o innych surowcach. Bez wpadania — jak nam radzi ambasador Young — w panikę, dodajmy, że Afryka Południowa, która jest ostatecznym celem najpierw destabilizacyjnym, a potem stabilizacyjnym Kuby i Moskwy, dostarcza tzw. „na razie” wolnemu światu 95 % platyny, 90 % chromu, 75 % wanadium, 70 % złota, 70 % manganu, nie mówiąc o innych strategicznych surowcach, niezbędnych dla życia i obrony nieustabilizowanej jeszcze części globu.

Wynika z tego, że agencja TASS miała rację, kiedy bardzo

ostro zaatakowała Younga. Oczywiście, nie za jego tezę o stabilizacyjnej misji Kubańczyków, a za jego twierdzenie, że „ZSSR eksportuje do Afryki tylko ideologię i broń”. Otóż jest to istotnie dla ZSSR krzywdzące, albowiem do Afryki Moskwa eksportuje przede wszystkim Kubańczyków.

*W polityce też bywa za późno*

W związku z tym co wyżej, pozwalam sobie z całym należytym szacunkiem zwrócić uwagę ambasadora Younga na niektóre niezupełnie przekonujące elementy jego rozumowania.

Kiedy mianowicie Young twierdzi, że „do niedawna północ myślała tylko na biało”, to Young ma rację. Young jednak się myli, że właściwą odpowiedzią na to może być sytuacja odwrotna, kiedy to „południe będzie myślało wyłącznie na czarno”. Świat tak jak telewizory nie jest wyłącznie czarno-biały, świat jest kolorowy. Alternatywą jest myślenie wyłącznie na czerwono.

Kiedy Young sądzi, że „Afryce Południowej dobrze zrobiłyby krótkie i przejściowe rządy marksistowskie” to ma on rację z wychowawczego punktu widzenia. Reżym *apartheid*'u istotnie bowiem zasłużył na lekcję. Ale Young się myli, jeżeli sądzi, że rząd marksistowski kiedykolwiek kogokolwiek nauczył demokracji i antyrasizmu. I że można mieć rząd marksistowski „na 15 minut”. Pan Young nie powinien zapominać, że jedyne zmiany w kierunku demokracji zaszły w krajach faszystowskich i że żaden kraj komunistyczny się nie zdemokratyzował. P. Young nie powinien ignorować faktu, że to Grecja, Portugalia i Hiszpania, a nie Polska, czy Czechosłowacja mają dziś ustrój bliski sercu p. Younga i prezydenta Cartera. I że rasizm panuje w ZSSR, a nie ma go w Hiszpanii.

Kiedy więc Young twierdzi, że obecność Kubańczyków w Angoli i gdzie indziej może działać jako czynnik stabilizacyjny, to Young ma rację. Ale Young powinien wiedzieć, że jest to stabilizacja kolonialna, której on tak nie lubi. To w imię takiej stabilizacji Hitler najechał Sudety i Austrię, Rosjanie utopili w krwi Węgry w 1956 roku i zajęli Czechosłowację w 1968 roku. Każda okupacja działa jako czynnik stabilizacyjny, przynajmniej na krótką metę. W końcu Ku Klux Klan, organizacja znana Youngowi, a zwłaszcza jego niepolskim przodkom, działała na południu Stanów po wojnie cywilnej także w imię stabilizacji.

Ambasadorami USA w ONZ przed Youngiem byli Irlandczyk Moynihan i Żyd Goldberg. Ale ani jeden ani drugi nie korzystali

z tej trybuny w interesie wyłącznie Irlandii czy Izraela (choć w tej drugiej sprawie TASS i PAP bywali innego zdania).

Redakcja *Kultury* odpowiedziała niedawno na pytanie pisma amerykańskiego *The National Review* na temat nadziei, jakie demokratyczne uchodźstwo polskie wiąże z faktem, że polityk polskiego pochodzenia zasiada najbliższej prawicy Cartera. *Kultura* bardzo mądrze odpowiedziała, że wiąże wielkie nadzieje z przekonaniem, iż prof. Brzeziński działać będzie zgodnie z interesem nie polskiego wychodźstwa, a zgodnie z interesem USA, w czym jego znajomość spraw Europy Wschodniej może się okazać bardzo przydatna. Otóż należy wyrazić nadzieję, że znajomość problemów rasowych pozwoli ambasadorowi Youngowi działać zgodnie z interesem Stanów Zjednoczonych, a nie tylko wąsko pojętych interesów grupowych, wszystko jedno klasowych, kolorowych czy regionalnych.

P. Young ma rację, kiedy twierdzi, że nie należy wpadać w panikę, jak tylko gdzieś na świecie pokaże się grupka 1.000 Kubańczyków. Ale niewpadanie w panikę powinno wynikać nie z ignorancji, a z prawidłowej analizy sytuacji, nie z naiwności, a z poczucia rzeczywistości. Brak własnego doświadczenia nie powinien upoważniać Younga do wysnuwania wniosków politycznych. P. Young twierdzi, że nigdy w życiu nie czuł się zagrożony przez komunizm. To chyba prawda (choć inni czuli się zagrożeni, i to jak jeszcze), ale p. Young przecież nigdy nie czuł się zagrożony przez dżumę czy cholere, a jednak zaszczepiłby się, gdyby mu przyszło uczestniczyć w stabilizacji *slums'ów* Kalkuty czy Old Delhi. Odmowa szczepienia politycznego też grozi zakażeniem i chorobą. I jak w medycynie, w polityce też bywa czasem za późno.

P. Young powinien jeszcze postudiować. Teologia pozwala poznać świat przyszły. Historia natomiast uczy naszego świata. Truman przez 5 lat wierzył, że „Joe” Stalin to człowiek honoru, zanim dojrzał i proklamował swą „doktrynę”, która pozwoliła uniknąć stabilizacji Grecji, Turcji itd. Kennedy jechał na wiecześniejsze spotkanie z Chruszczowem pełen naiwnej wiary w swą pokojową i cywilizacyjną misję i w dobrą wolę Nikity. Dojrzał naprawdę do prezydenckiej funkcji dopiero po tym, jak musiał zagrozić „światówką”, aby wyrzucić z Kuby (na jak długo?) sowieckie rakiety atomowe o „amerykańskim” zasięgu.

Oczywiście, gdyby chodziło tylko o Andy Younga, to byłoby nawet zabawne. Folklor polityczny wzbogaciłby się, a świat by na tym nie ucierpiał. Ale tu chodzi o prezydenta Cartera i o Stany Zjednoczone. Prezydenckie *katharsis* i niespokojne sumienie, jego przyjaźń dla Younga i poczucie winy z powodu

spoźnionego zapłonu antyrasowego nie powinny skłaniać go do tolerowania i rozgrzeszania wypowiedzi, które przynoszą szkodę Ameryce i wywołują żal i rozgoryczenie np. w Europie Wschodniej, gdzie odkrycia ambasadora Younga pomagają — zapewne wbrew jego intencjom — w umacnianiu tego, co się nazywa doktryną Breżniewa, a co polega na uzasadnianiu kryteriami stabilizacji okupacji połowy Europy przez wojska sowieckie. Pewnie, to prawda, że nie chodzi tu o Murzynów, a o zwyczajnych białych Polaków, Czechów czy Niemców... Jest ich tam tylko głupie 100 milionów ludzi, którzy mogliby pewnego dnia Ameryce się nawet przydać... Chodzi przecież o ostatnich naprawdę szczerych i bezinteresownych przyjaciół Stanów Zjednoczonych w całym świecie.

Gdzieś niedawno przeczytałem mądrą i ładną próbę zdefiniowania, co to jest doświadczenie: „Jest to wiedza zdobyta nie poprzez lekturę, a przez dotyk, wzrok, słuch, przez sukcesy i porażki, przez bezsenność, oddanie, miłość, przez wszystkie ludzkie doznania i emocje, jakie są na tej ziemi udziałem całej ludzkości i każdego człowieka oddzielnie, i może jeszcze także poprzez wiarę i szacunek dla niektórych rzeczy, których gołym okiem dojrzeć nie możemy”.

Definicja ta należy do Adlaia Stevensona, najwspanialszego z poprzedników Younga na stanowisku ambasadora USA w ONZ. Życzę Youngowi, aby w jego doświadczeniu było więcej sukcesów niż porażek, więcej szacunku dla rzeczy, których nie potrafił, albo nie miał jeszcze okazji własnym okiem dojrzeć.

Życzę mu tego w interesie USA i w jego własnym interesie. W moim zresztą także.

Pisane 12 czerwca 1977.  
*Kultura* nr 7/358-8/359, 1977.



## DZIURY W PRZEDMURZU



## PODRÓŻE KSZTAŁCĄ

Szlabany się podniosły, dreszcze obrzydzenia opadły, na Zachodzie jest coraz ciszej nad polskimi trumnami. Wystarczyły niecałe trzy lata i 91 ofiar stanu wojennego, morderstwo jednego księdza, wyduszenie wszystkich energii samorządnych oraz jednej wielkiej nadziei, aby spora część politycznego *establishment*'u na Zachodzie uznała, że ludzie w mundurach i w cywilu u władzy w Warszawie są znowu *salonfähig*.

„Bankructwo zachodniej polityki dyskryminacji wobec Polski” — oznajmił rzecznik rządu w Warszawie; powtórzyli to za nim niektórzy korespondenci prasy zachodniej. Pierwsi złamali kwarentannę przedstawiciele krajów neutralnych, Austrii i Finlandii, ale taka ich dola i rola. Za nimi ruszył orszak tuzów: Papan-dreu, Vogel, Rifkind (będzie o nich wszystkich i o każdym z osobna nieco dalej). W chwili pisania tych słów odpadł nagle Genscher, ale ma jeszcze zjawić się nad Wisłą włoski Andreotti, nie licząc pomniejszych szyszek no i naturalnie zalewu bankierów i kupców.

Satysfakcja władz warszawskich jest zrozumiała i uzasadniona.

Dwie będą opowieści z tej ewangelii. Pierwsza, z serii byt określa świadomość, dotyczy powodów, dla których blokada Polski wojskowej została złamana. Druga, z serii świadomość określa byt, dotyczy powodów, dla których Polska cywilna powinna już wiedzieć, kto to są przyjaciele Polaków i jak ich różnić.

Odpowiedź na pierwszą nie nastęrcza większych trudności. Wszyscy albo prawie wszyscy dżentelmeni z Zachodu przyjeżdżają do Warszawy nie w imię interesu Polaków, a w imię własnych interesów. Nie ma w tym nic zaskakującego, tak było zawsze. Argument główny składa się z dwóch części: a) zbyt długa izolacja jest kontrproduktywna i pozbawia Zachód wpływu na bieg



wydarzeń w Polsce; b) zbyt długi bojkot wepchnie Polskę jeszcze głębiej w ramiona Moskwy. Brednia. Polakom nie trzeba tłumaczyć dlaczego.

Druga opowieść jest bardziej skomplikowana. Wymaga dłuższego wywodu i opisu trzech podróży współczesnych Sindbadów.

*Podróż pierwsza, czyli kogo Zeus chce zgubić,  
temu rozum odbiera*

Pan Andreas Papandreu jeszcze jest premierem, ale już wszedł do historii. Jest to pierwszy szef rządu państwa należącego do EWG i do NATO, który odwiedził osoby sprawujące władzę w Polsce po 13 grudnia 1981 roku. Tak naprawdę, to nie jest to nawet niespodzianka. Jeszcze zanim przyjechał do Warszawy w październiku 1984 roku, pan Papandreu dał się poznać jako przyjaciel generała. Kiedy tuż po puczu w Polsce Europa zachodnia jeszcze wrzała z oburzenia, Papandreu odmówił przyłączenia się do sankcji przeciw Polsce i Rosji, wyrzucił na bruk swego wiceministra spraw zagranicznych, który nieopatrznie złożył podpis pod rezolucją EWG, potępiającą noc polskich generałów. Mimo własnych i całego narodu doświadczeń z własnymi generałami, Papandreu zapałał natychmiastową sympatią do generała Jaruzelskiego. Był jedynym przedstawicielem rządów zachodnich, który ostentacyjnie uściskał dłoń generała z Warszawy w czasie pogrzebu Breżniewa w Moskwie. Papandreu odmówił także potępienia zestrzelenia przez Moskwę południowokoreańskiego Boeinga nad Sachalinem, twierdząc, zgodnie z tym co napisała *Prawda*, że samolot był w misji szpiegowskiej.

To nie wszystko. Oryginalność p. Papandreu sięga znacznie dalej. Socjalistyczny premier Grecji popiera ruchy pacyfistyczne, zwłaszcza te najbardziej kontrolowane przez Moskwę. Popiera także tzw. niezależny pomysł utworzenia strefy bezatomowej na Bałkanach, gdzie, jak na razie, jedyne rakiety jakie można by już zdemontować należą *ausgerechnet* do... Amerykanów. Kiedy delegacja parlamentu greckiego odwiedziła Berlin zachodni, Papandreu zabronił jej odwiedzić... mur, żeby nie urazić NRD.

Choć brzmiało to niewiarygodnie, nie odrzuciłem informacji, że Papandreu wyraził zgodę na propozycję Warszawy „przyjęcia” banitów politycznych z KOR-u czy Solidarności. Chodzić mogło o jedną z wysp, na których inni generałowie osadzali nieco wcześniej politycznych przyjaciół premiera Papandreu. W atmosferze tak szczerej i bezinteresownej przyjaźni nic dziwnego że p. Papandreu obiecał swemu kumpłowi z Warszawy przedstawić na

europiejskim szczycie w grudniu w Dublinie propozycję zniesienia wobec generała Jaruzelskiego ostatnich śladów zachodniego niezadowolenia z grudniowego puczu.

Byłem niedawno w Grecji, widziałem polityków z rządu i opozycji, starałem się zrozumieć postępowanie premiera Papandreu.

Chodzi głównie o kompleks antyturecki. Trudno to wytłumaczyć, jest to połączenie uczuć jakie Polacy żywią wobec Sowietów i Niemców równocześnie. Grecy nie widzą dla siebie żadnego zagrożenia ani z zewnątrz ani od wewnątrz poza zagrożeniem tureckim. Jest to paradoks polityczny, jako że Turcja jest członkiem nie Paktu Warszawskiego, a Paktu Atlantyckiego, a więc tego samego co Grecja, chodzi więc o sojuszników, no, ale Polakom znowu nie trzeba tego tłumaczyć: my też jesteśmy w tym samym pakcie co ZSSR i NRD, to też są nasi sojusznicy. Otóż Grecy uważają, że Amerykanie, kiedy należy wybierać i kiedy mogą wybierać, zawsze stają po stronie Turcji. Kissinger, który nieostrożnie kiedyś próbował wytłumaczyć, że wyboru często nie ma i to nie z winy Turków, jest najbardziej zniechęconą postacią pod Olimpem.

Analiza kompleksu antytureckiego, jak zresztą każdego kompleksu, wymaga umiejętnego połączenia psychiatrii i dyplomacji.

Zapytany o reakcję Zachodu na wydarzenia w Polsce, Papandreu zachnął się i odpowiedział: „Chciałbym dostrzec wrażliwość na Zachodzie wobec wydarzeń w Turcji”. Spytany o atlantyckie sankcje wobec Polski, Papandreu odpowiedział: „Jak można krytykować kraj Europy wschodniej a nie Turcję, członka naszego własnego sojuszu?”. *Passons en*, litania byłaby długa, w skrócie mówiąc, Papandreu uważa, że Zachód nie powinien się gniewać na Polskę, albowiem powinien zajmować się wyłącznie Turcją.

Papandreu jest premierem, stoi na czele partii, rządu i wojska. Wyrządza wiele złego. A przecież nawet najbardziej antyturecki Grek nie powinien zapominać, że dostał w kość od własnych generałów i nie powinien doradzać Polakom, aby polubili swoich wojskowych. Jeszcze tak niedawno Papandreu, siedząc za drutami, bardzo oczekiwał zachodniej interwencji przeciwko greckim pułkownikom, a teraz należy do najbardziej zdecydowanych przeciwników zachodniej — jak mówi wraz z Jaruzelskim — „ingerencji” w sprawy polskie. Jeszcze niedawno Papandreu uważał, że Solidarność to najbardziej rewolucyjny ruch od 1917 roku, a teraz uważa, iż Solidarność poszła za szybko i za daleko i „przekształciła się wtedy — jak wszystkie ruchy progresywne — w ruch niebezpiecznie negatywny”. Grecy mają rzecz jasna prawo do wolnych wyborów (Namibijczycy i Chilijczycy również), ale

Polacy to awanturnicy. Rząd pułkowników greckich był paskudny i krwiożerczy, ale „rząd generała Jaruzelskiego zmierza do normalizacji w tym zakresie, w jakim można zastosować to określenie wobec kraju leżącego w Europie wschodniej”. Generał Papadopoulos to był faszystowski zbir, ale generał Jaruzelski to „patriota, który pragnie zmian w historycznych granicach dzisiejszej Polski” i który „w jego kontekście historycznym dojdzie powoli do tego celu, jeżeli nie będzie sabotowany przez siły z rozmaitych stron”.

Historyczna i dziejowa misja generała Jaruzelskiego ujawniona 13 grudnia 1981 jest tym bardziej godna zrozumienia, a nawet wdzięczności, że „Polska przechodziła wówczas bardzo krytyczny proces historyczny, który — gdyby nie został w porę zatrzymany — mógł sprowokować groźny wybuch, nie tylko w Europie, ale w świecie”.

Nic dziwnego, że z takim przekonaniem Papandreu nie musiał swych poglądów na sytuację w Polsce weryfikować i że został w Polsce uznany za uczonego w polityce międzynarodowej i ruchach społecznych. Udał się więc do Krakowa po dyplom doktora *honoris causa* (M'Bow z UNESCO i Perez de Cuellar z ONZ też dostali — biedna ta gwałcona ciągle Alma Mater — kolej na Kadafiego), ale nie pojechał do Gdańska, aby spotkać też doktora h.c., ale z Harvardu, no i jedyne żyjącego i dostępnego na Wschodzie laureata pokojowej nagrody Nobla.

Podróż socjalistycznego premiera Grecji do Gdańska była tym bardziej niepotrzebna, że wcale mu nie chodziło ani o ruch związkowy, ani nawet o Polskę. Premier atlantyckiej Grecji odkrył mianowicie i ujawnił to w Warszawie, że stosunek USA do Polski — „najśwawniejszego ogniwa bloku wschodniego” — stanowi część „świadomego, precyzyjnego planu w szczególności Stanów Zjednoczonych, ale podzielanego przez niektóre inne państwa zachodnie (nie zawsze i nie w całości) zmierzającego do destabilizacji struktur politycznych Europy wschodniej”.

Chciałbym w tym miejscu uczynić trzy skromne uwagi pod adresem i na użytek premiera Papandreu.

Po pierwsze, dokładnie taką samą hipotezę źródeł wydarzeń w Polsce wylansowała propaganda sowiecka, *Prawda*, *Izwiestia* oraz KGB i ich odpowiednie przedstawicielstwa w Polsce.

Po drugie, nie rozumiem niechęci premiera Papandreu, demokracji i socjaldemokracji, do idei destabilizacji dyktatur. Czyżby uważał, że Zachód powinien pomagać w ich stabilizacji? Jeżeli tak, to dlaczego domaga się destabilizacji przez Zachód dyktatury tureckiej, chilijskiej i innych?

Po trzecie, *bélas*, amerykańskiego planu destabilizacji struktur

wschodnich niestety nie ma. A szkoda, na tym bowiem polega cały problem. Zachód nie chce, ale przede wszystkim nie wie jak mógłby destabilizować dyktatury na wschodzie, nie jest w stanie uczestniczyć w rozwiązywaniu kryzysów tego, co Papandreu nazywa „strukturami na wschodzie”, a co sprowadza się do narzuczonego przez Moskwę lat temu czterdzieści modelu okupacji kilku państw Europy wschodniej i środkowej.

Po tej kropce pomyślałem sobie, że dość już o Papandreu i pora przejść do innych, przewidzianych na dzisiaj osób. Ale przypadek sprawił, że musiałem przy nim i jego kompleksie pozostać. Mianowicie zostałem zaproszony przez przyjaciół Papandreu do udziału w dyskusji socjalistów brukselskich. Już temat wydał mi się dwuznaczny: „Zachodnia lewica a Europa wschodnia”. Zacząłem więc od tłumaczenia, że w istocie rzeczy nie istnieje Europa wschodnia, a istnieje grupa krajów bardzo się różniących pod każdym względem, i że nie istnieje także lewica zachodnia, że patrząc np. z Warszawy, zachodniemiecka SPD jest bliższa francuskiej partii komunistycznej niż socjalistom Miterranda. Na nic, albowiem jak tylko chciałem wytłumaczyć, że zachodzą różnice między sprawą Namibii a Polski, Gwatemali i Węgier, moi dyskutanci wyciągali Turcję.

Musiałem więc w tej materii uczynić dalsze cztery skromne uwagi pod adresem i na użytek zachodniej lewicy.

Po pierwsze, w chwili puczu w Turcji ginęło dziennie 50 osób od strzałów terrorystów z lewa i z prawa. W Polsce pierwsze ofiary terroryzmu padły 13 grudnia 1981.

Po drugie, za politycznym projektem generałów tureckich nie stoi żadna megatonowa potęga. Turcja już kilka razy przechodziła z rąk generałów w ręce cywilów, bez ingerencji z zewnątrz i destabilizacji Europy. W Polsce głównym źródłem legitymizmu władzy generalskiej jest niebezpieczeństwo inwazji sowieckiej.

Po trzecie, generałowie, którzy objęli władzę w Turcji nie uczynili tego w imię szczęścia ludzkości ani hasła mających zastosowanie uniwersalne i poparcie totalitarnego oręcza. W Polsce wszystko się odbyło w imię socjalizmu, ideologii mającej przynieść rozwiązanie problemów całego świata, Polski, Turcji no i Grecji, która się ledwo, ledwo od tego szczęścia uchroniła. Następnym razem może być gorzej.

Po czwarte, rzut oka na historię współczesną wykaże iż Grecja, Hiszpania, Portugalia, Turcja (kilka razy), a nawet Argentyna, Urugwaj, Brazylia już wyszły czy właśnie wychodzą z nocy pravicowej dyktatury wojskowej i mniej lub bardziej miękko lądują w demokracji. Ani jeden kraj w którym zapanował so-

wiecki socjalizm nie powrócił albo nie doszedł do demokracji czy choćby socjaldemokracji takiej jak u p. Papandreu.

*Podróż druga: „Oh, welche Wonne, ein Esel zu sein!”*

Hans Jochen Vogel to prawdziwy Niemiec z Wagnera. Urodził się nie pod Olimpem, a w Monachium. Miasto to nie ma dobrej opinii w historii, ani polskiej, ani w ogóle. Wspomnienia, że tak powiem, są bogate, choć mało urozmaicone. Wystarczy przypomnieć zwłoki Czechosłowacji i *le lâche soulagement* Zachodu w 1938 roku.

Hans Jochen Vogel opinii Monachium nie poprawi. Był burmistrzem Monachium i Berlina Zachodniego, zanim został ministrem w rządzie Brandta, a potem Schmidta i w końcu aktualnym przewodniczącym SPD, socjalistycznej partii zachodniemieckiej, i szefem opozycji w RFN.

W tym ostatnim charakterze pojechał niedawno do Warszawy, zaproszony przez — jak to określił — „grupę parlamentarną polskiej partii komunistycznej, to znaczy jako gość rządu”. Ani jedno słowo w tym zdaniu nie odpowiada prawdzie ani logice. Nie ma grupy, nie ma parlamentu, nie ma polskiej partii komunistycznej, no i nie wiadomo dlaczego gość partii ma być gościem rządu. Analiza logiczno-semantyczna jest w tym wypadku ważna, bowiem to właśnie w oparciu o to zdanie Vogel skonstruował całą teorię swego zachowania w Warszawie. Został przyjęty i uściskał dłoń generała Jaruzelskiego oraz kilku innych dygnitarzy. Nie uściskał dłoni polskich robotników ani laureata Nobla, przewodniczącego najbardziej autentycznie robotniczego i masowego ruchu związkowego w Europie, ani żadnego z jego doradców. Nie udał się też na grób ks. Popiełuszki, męczennika sprawy robotniczej.

Nie jest to właściwie zaskoczeniem. Przyjazd p. Vogla poprzedzony był głosami prasy niemieckiej, która nie pozwalała na złudzenia. Według DPA np., p. Vogel pojechał do Warszawy, aby kontynuować tradycję p. Wehnera, pierwszego polityka zachodniego, który odwiedził Polskę właśnie budzącą się z koszmarnego nocy 13 grudnia 1981 roku. *Die Welt* uprzedzała, że p. Vogel zapewnił władze warszawskie, iż nie zamierza swą osobą i postępowaniem sprawić żadnych kłopotów. Nic dziwnego, dodaje DPA, p. Vogel w całej swojej karierze zawsze kierował się rozsądkiem i wymogami politycznej etykiety, a nigdy uczuciami.

P. Vogel nie zawiódł władz warszawskich i jest z tego bardzo

zadowolony. Oto schemat jego rozumowania w oparciu o oryginalne cytaty:

- a) sytuacja wewnętrzna w Polsce rozwija się w kierunku, jakiego my, SPD, sobie życzymy,
- b) nie chciałem zwiększać trudności i kiedy to podkreślam, mam na myśli nie tylko rząd polski,
- c) smutek (*à propos* Popiełuszki) wyraziłem wobec przedstawiciela episkopatu, a głębia mojego ubolewania nie zależy od miejsca gdzie je wyrażam,
- d) SPD utrzymuje kontakty z tymi, którzy uważają, że są w Polsce w opozycji i nie ma zamiaru tych kontaktów zrywać, ale nie wszystko jest możliwe w tym samym czasie i w tym samym miejscu.

Nic dziwnego, że Vogel odebrał, jak o tym poinformował prasę po powrocie, „sygnały, iż moje zachowanie się — nie spektakularne, ale za to rozsądne — zostało ocenione z wdzięcznością”. Nic też dziwnego, że w związku z tak serdeczną atmosferą p. Vogel „nie jest pozbawiony optymizmu” po wizycie w Warszawie i że w wywiadzie dla pewnego dziennika z Warszawy poważnie oceniał decyzję „powołania wspólnej grupy roboczej dla omówienia środków budowy zaufania”. Zaufanie MSW Vogel już ma, potrzebne byłoby mu jeszcze tylko zaufanie narodu polskiego. Na razie poczeka.

Aby krótko ocenić podróż p. Vogla do Warszawy, trzeba sparafrazować formułę Churchilla. Wybierając polityczną etykietę, a nie uczucie, p. Vogel wybrał wstyd, aby uniknąć skandalu, a ma obecnie i wstyd, i skandal. Podobnie jak z wizyty Papandreu, tak i ze sprawy „Vogel a Polska” należy wysnuć dwa wnioski.

Po pierwsze, wizyta Vogla, szefa opozycji, była tylko pozornie mniej ważna niż wizyta Papandreu, szefa rządu państwa EWG i NATO. W istocie sprawa ma się odwrotnie. Stosunki między narodami Polski i Grecji nie zmieniają się od uścisków i szampana Papandreu i Jaruzelskiego. Vogel natomiast wymazał z pamięci Polaków obraz Brandta na kolanach w getcie. Albo inaczej: Żydzi Brandtowi nie zapomną jego wizyty w getcie, Polacy Voglowi także nie zapomną nieobecności u grobu Popiełuszki. To wielka szkoda dla klimatu stosunków nie między SPD a PZPR, a stosunków między Niemcami i Polakami. A to jest zupełnie inny, nie grecki wymiar.

Po drugie bawili w Polsce, w bardzo dla niej trudnym okresie, dwaj wybitni socjaliści z krajów bloku zachodniego. Jeden był szefem rządu, drugi szefem opozycji, a zachowali się tak

samo, tzn. po świńsku. Odwrócili się tyłem do narodu. I tak już zostanie. Rachunek wystawi historia.

### *Podróż trzecia: That is the question!*

Malcolm Rifkind zanim został wiceministrem spraw zagranicznych, odpowiedzialnym za sprawy europejskie w rządzie Mrs. Thatcher, był rzecznikiem partii konserwatywnej do spraw Szkocji, gdzie się urodził, wykształcił i wyrobił. I gdzie został gentlemanem. Gentlemanem do tego stopnia, że kiedy był w Polsce i odwiedził osoby sprawujące czasowo władzę w tym kraju, postanowił także spotkać się z przedstawicielami kół opozycyjnych oraz poznać prawdziwe uczucia narodu, a nie jak Vogel, tylko etykietę polityczną.

Zgodnie z takim podejściem, p. Rifkind spotkał się naturalnie ze swoim formalnym gospodarzem, wiceministrem spraw zagranicznych PRL, dwoma wicepremierami oraz innymi przedstawicielami administracji wojskowej, po czym odbył rozmowę z arcybiskupem Dąbrowskim i — oddzielnie — z doradcami Solidarności Geremkiem, Mazowieckim, Śliwińskim i Onyszkiewiczem (wszyscy, w przeciwieństwie do przedstawicieli władz, władając językiem p. Rifkinda) oraz złożył w imieniu rządu Jej Królewskiej Mości wieniec na grobie księdza Popiełuszki, dając przy tym — w tym właśnie miejscu — wyraz swemu ubolewaniu i nadziei, że idee, którym był wierny i za które zginął ksiądz Popiełuszko kiedyś w Polsce zatriumfują zgodnie z pragnieniami narodu polskiego.

Niby nic wielkiego, ale wywołało to poważne niezadowolenie kół rządowych PRL. Rzecznik rządowy ostro zaprotestował przeciwko postępowaniu p. Rifkinda, który „zachował się tak, jakby odwiedzał kolonię brytyjską”. P. Rifkind, według pisma *Rzeczypospolita*, „po kryjomu” spotkał się z „nielegalnymi strukturami”, lub formułując to inaczej — „z reprezentantami grup antyrządowych”, ponieważ chciał te struktury „dowartościować i nadać im rangę pełnopodmiotowych partnerów do rozmów międzynarodowych, w jaskrawej niezgodzie z zasadami przyjętymi w stosunkach międzynarodowych”. Rzecznik rządowy znalazł dla tego skandalu dyplomatycznego obrazową analogię: Rifkind ze strukturami to tak jakby polski minister spotkał się z IRA, aby poznać sytuację w Irlandii. Rzecznik powiedział, że nam — to znaczy im — nikt lekcji udzielać nie będzie, a przede wszystkim uprzedził, że „nie będziemy się godzić na spotkania z nielegalnymi strukturami”, co jest „nieprzewidziane zwyczajami międzynarodowymi”.

Rifkind się bardzo zdziwił tej gwałtownej reakcji rzecznika. Dowiedział się o niej i przeczytał odpowiednie teksty niestety już po wyjeździe z Polski. W czasie warszawskich spotkań z ministrami i przedstawicielami władz nikt ani słowem nie dał mu do zrozumienia, że popełnia nietakt. Rifkind wyjechał przekonany, że głównym tematem wszystkich jego rozmów były nie „nielegalne struktury”, a wyłącznie propozycje rządu generała Jaruzelskiego dotyczące maksymalnego zwiększenia dostaw polskiego węgla, aby zaprzyjaźniony rząd pani Thatcher mógł łatwiej złamać strajk angielskich górników.

Co do reszty, sprawa jest niesłychanie prosta. P. Rifkind nie miał wrażeń, że odwiedzał byłą kolonię brytyjską, natomiast teraz — po wypowiedziach rzecznika — ma pewność, że odwiedził kolonię sowiecką. Kilka uwag oburzonej Warszawy wartych jest komentarza.

a) W Anglii nikt się nie dziwi, kiedy oficjalni goście z krajów komunistycznych spotykają się również z przedstawicielami opozycji, wszystko jedno jakiej, na zmianę, labourzystowskiej czy konserwatywnej, a nawet z Komunistyczną Partią Anglii, której mimo tego nie udało się jeszcze ani razu nadać „rangi pełnopodmiotowych partnerów do rozmów międzynarodowych”.

b) Rifkind nie spotkał się z żadną „nielegalną strukturą”, a z czterema obywatelami najzupełniej legalnie i otwarcie reprezentującymi określone poglądy sporej części polskiego społeczeństwa. To, że ta „część” — faktycznie ogromna większość społeczeństwa — uznana jest przez rzecznika za „nielegalną”, nie zmienia celowości poznania przez brytyjskiego polityka poglądów także nie rządowych rzeczników.

c) Porównanie z IRA jest w ustach rzecznika ryzykowną przenośnią. IRA jest organizacją terrorystyczną mordującą niewinnych ludzi, w tym kobiety i dzieci, głównie dlatego, że mają inne poglądy religijne i polityczne. Żaden z jego rozmówców w Warszawie, jak zauważył sam Rifkind, nie zwrócił mu uwagi na terrorystyczny charakter Solidarności ani na zbrodnie na niewinnych ludziach, jakich dopuścili się Mazowiecki lub Geremek. Natomiast — ale tego już Rifkind oficjalnie nie powiedział — odwiedził grób ofiary terroryzmu w Polsce, poległej właśnie z rąk policji państwowej za wyznawanie innych poglądów religijnych i politycznych niż mordercy.

d) Co do spotkania „po kryjomu” ze strukturami, to p. Rifkind bardzo się temu określeniu sprzeciwia. Struktury były oficjalnie zaproszone do rezydencji ambasadora brytyjskiego na *cup of tea*. Zaproszenie zostało z wdzięcznością przyjęte, a przybyciu struktur na potajemną herbatkę przyglądało się kilkunastu



funkcjonariuszy organów, którzy ani na herbatkę (ani na drinka podanego nieco później) istotnie nie zostali zaproszeni. Może to więc być zwyczajna zazdrość...

Wniosek po Rifkindzie już tylko jeden, bez związku z rzecznikami.

Było w Polsce jesienią 1984 dwóch socjalistycznych dygnitarzy i mężów (pozał się Boże) stanu. Obaj z najzuppełniej obrzydliwych politykierskich powodów postanowili przypodobać się władzy, a zlekceważyć naród. Tylko brytyjski urzędnik konserwatywny znalazł się jak należało i udzielił lekcji dyplomacji i moralności. Jak powiadał Malraux, „polityki nie robi się moralnością, ale bez moralności nie jest wcale łatwiej robić politykę”. Węgiel i tak Polska sprzedaje, a korona królowej i tak nie spada. „Misja spełniona”, napisał *Times* na temat wizyty Rifkinda. Słusznie.

#### *Podróż czwarta: po rozum do głowy*

Niezdolność czy niechęć zachodniej lewicy do zrozumienia zjawisk politycznych zachodzących na wschodzie nie jest niczym nowym. Przeczytajcie „L’aveuglement”, książkę Christiana Jelena, dziennikarza z francuskiego *Express*, na temat obłąkania socjalistów, odrzucających prawdę o rewolucji bolszewickiej i pierwszych latach terroru w ZSSR. W innej skali powtórzyło się to przy okazji Solidarności i to we wszystkich jej fazach. Zachodnia lewica nie była w stanie rozumieć ani zjawiska, jakim była pierwsza bezkrwawa rewolucja robotnicza prawdziwie i przede wszystkim antymarksistowska, ani charakteru pierwszego w dziejach komunizmu masowego, niezależnego związku zawodowego, ani charakteru zamachu stanu z 13 grudnia, ani istoty obecnego reżimu.

Nieufność do Solidarności rozmaite nosiła nazwy. Klerykalizm, antysowiecki nacjonalizm, antykomunizm, hurra-rewolucjonizm, anarchizm... Zarzucano jej wszystko, aby tylko ukryć swe „lewicowe” przekładanie maleńkich wyborczych i partyjnych interesów ponad szacunek dla hasel własnej ideologii.

Lewica, prawica, śmieszne, małe, anachroniczne, XIX-wieczne gierki. Dawid Warszawski, publicysta prasy podziemnej, trafnie to ujął, tłumacząc zachodniej lewicy, że te pojęcia nie mają zastosowania w Polsce, gdzie walka się toczy nie między lewicą a prawicą, a o to aby prawica i lewica mogły po prostu istnieć. Prawdziwy podział przebiega między tymi, którzy są za i tymi, którzy są przeciw totalitaryzmowi we wszelkich jego postaciach, cywilnych i wojskowych, czerwonych i czarnych.

Jak powiedział Bukowski, kiedy go wymieniono na komunistę chilijskiego Corvalana i wywieziono na Zachód, gdzie lewica zaczęła go krytykować za jego prawicowe (w socjalistycznym słowniku) poglądy: „Ja nie jestem ani z obozu lewicy, ani z obozu prawicy, a z obozu koncentracyjnego”. Czy trzeba koniecznie być w środku, aby to zrozumieć?

Pisane w Brukseli 9 grudnia 1984.  
*Kultura* nr 1/448-2/449, 1985.

P.S.

SZLABAN W DÓŁ

Belgijski *establishment* myślał podobnie. Leo Tindemans, minister spraw zagranicznych Belgii, dobry katolik flamandzki, człowiek kulturalny i wykształcony, wyrafinowany polityk, prawdziwie zakochany w swej funkcji, ubóstwiający podróżę wszystko jedno w jakim kierunku, doszedł był śladem bardziej sławnych kolegów także do wniosku, że czas mu do Warszawy. Nie trzeba być pierwszym, powiedział, ale nie przystoi być ostatnim, nawet nad Wisłą.

W chwili podjęcia decyzji co do zasady, Tindemans miał do wyboru dwa modele, dwa sposoby zachowania się w Warszawie, które przedstawiliśmy tutaj na przykładzie panów Papandreu, premiera Grecji i Rifkinda, wiceministra spraw zagranicznych Wielkiej Brytanii. Przypomnijmy w skrócie, że Papandreu pojechał do Warszawy z wizytą przyjaźni dla generała Jaruzelskiego i nieprzyjaźni dla „Solidarności”, że drugi, odmienny model został zaprezentowany przez Rifkinda. Ów konserwatywny Anglik nawiązał przede wszystkim, to jasne, kontakty i złożył wizyty przedstawicielom reżimu, uznał jednak — być może zgodnie z tradycją demokracji brytyjskiej — że warto także poznać zdanie opozycji, a w jej braku, ludzi mogących reprezentować inne poglądy niż czasowo sprawujący władzę rząd. Rzecznik rządowy potępił Rifkinda za to, że „po kryjomu spotkał się z nielegalnymi strukturami w jaskrawej niezgodzie z zasadami przyjętymi w stosunkach międzynarodowych”, i zapowiedział, że rząd generała podobnych nietaktów tolerować nie będzie.

Ale tolerował. Po Rifkindzie przyjechali mianowicie włoski minister spraw zagranicznych Andreotti oraz szef Rifkinda, sir Geoffrey Howe. Zostali przyjęci przez generała i innych dygnitarzy zgodnie z protokołem, po czym obaj, choć każdy oddzielnie, odwiedzili grób Popiełuszki, no i podejmowali Mazowieckiego,

Geremka, Sliwińskiego, Onyszkiewicza i Bratkowskiego. Howe ponadto był przedtem w Pradze, gdzie zachował się jeszcze gorzej. Mianowicie kiedy ów dystyngowany *sir* opijał wraz z min. Chňoupkiem odwieczną przyjaźń czesko-angielską (Monachium???) w słynnej gospodzie pod „Siedmiu Aniołami”, jego specjaliści wysłannicy spotkali się na trzeźwo z przedstawicielami „Karty 77”. Prasa w Pradze potępiła perfidię Albionu; w Warszawie do głosów oburzonej prasy lokalnej dołączono również fakty. Warszawski oficjalny *high-life* zbojkotował przyjęcie wydane w ambasadzie brytyjskiej. Wynik był taki, że autochtonni ministrowie zostali w domu sam na sam z butelką czystej z niebieską kartką, a „nielegalne struktury” piły szkocką whisky w niezmaczonej niedobrym towarzystwem atmosferze angielskiej ambasady. Wbrew ultimatum rzecznika, że „nie będzie się godzić na spotkania z nielegalnymi strukturami”, rzecznik się zgodził, Howe i Andreotti opuścili Warszawę bez wyrzutów sumienia, a stosunki międzynarodowe pozostały bez zmiany.

Szlaban opadł dopiero, kiedy do wrót generała Jaruzelskiego zapukał Tindemans. Pierwszego maja oficjalna agencja prasowa „Belga” oznajmiła, że Tindemans zmuszony był anulować wizytę w Warszawie, przewidzianą na pierwszą połowę tego miesiąca. Decyzja podjęta została, według „Belgi”, z powodu odrzucenia przez rząd polski zamiaru Tindemansa spotkania z przedstawicielami rozwiązanego związku zawodowego „Solidarność”. Przedtem jeszcze, dodaje „Belga”, generał Jaruzelski poinformował Brukselę, że jego program zajęć jest tak zgęszczony, że nie pozwoli mu na przyjęcie ministra Tindemansa. „Belga” dodała, że Tindemans zamierzał poza tym spotkać się z kardynałem Glempelem i oddać hołd pamięci księdza Popiełuszki, zamordowanego — jak podkreśliła „Belga” — przez „członków policji polskiej”. Minister belgijski zamierzał także odwiedzić pawilon belgijski na terenie obozu w Oświęcimiu. „Belga” podkreśla, iż wizyta Tindemansa zgodna była z polityką normalizacji stosunków między Polską a Zachodem i wyraża żal, iż minister belgijski zmuszony został „odłożyć ją czasowo”.

Zupełnie inną wersję podała agencja PAP. Według sprawozdania PAP (*Trybuna Ludu* z 8 maja 1985), rzecznik rządowy na swej konferencji prasowej sprostował informację „Belgi”, jakoby to minister belgijski „czasowo odłożył” wizytę. Odpowiadając na pytanie (nie wiadomo czyje) w związku z informacją na temat odłożenia wizyty Tindemansa, rzecznik stwierdził, iż „nieścisłe są sugestie zachodnich środków masowego przekazu, które zawierają twierdzenie, iż minister odwołał swą wizytę z własnej inicjatywy. Prawda jest inna: to strona polska zasugerowała

odłożenie wizyty do czasu, gdy jej polityczne podstawy będą przez rząd Belgii lepiej przemyślane...”.

Ta uprzejma sugestia rzecznika rządu polskiego, że p. Tindemans, minister rządu Belgii, jest politycznym idiotą, została uzupełniona komentarzem agencji PAP. Twierdzi ona, że projekt Tindemansa spotkania się z przedstawicielami opozycji jest „nie do przyjęcia”, albowiem stanowi „ingerencję w wewnętrzne sprawy Polski”. PAP oskarża jednocześnie „sztab główny NATO” w Brukseli o opracowanie „obowiązkowego programu” wizyt zachodnich ministrów spraw zagranicznych udających się do Warszawy w zamiarze „udzielenia poparcia opozycji” i „destabilizacji” kraju. Polska, dodaje PAP, „skłonna jest rozwijać normalne stosunki z Belgią i krajami zachodnimi” ale wyłącznie „na bazie suwerenności i nieingerencji w jej wewnętrzne sprawy”.

Ani rzecznik rządowy, ani PAP nie odpowiedział jednak na pytanie zasadnicze. Dlaczego Andreotti i Howe mogli bezkarnie oddawać się subwersji w Warszawie, a Tindemansowi nie wolno? Dlaczego strona polska nie anulowała z „własnej inicjatywy” wizyt Andreottiego i Howe, a przejawiała tę „inicjatywę własną” dopiero przy Tindemansie? Czyżby strona polska uważała, że Howe i Andreotti spotykając się ze „strukturami” prawidłowo „przemyśleli” polityczne podstawy wizyt, a Tindemans, który chciał spotkać dokładnie te same „struktury”, przemyślał nieprawidłowo? Czyżby spotkanie europejskich potęg Howe i Andreottiego ze „strukturami” — żeby użyć terminologii rzecznika — podmiotowo „dowartościowywało” Mazowieckiego i Geremka mniej, niż uścisk dłoni skromnego Tindemansa? Co się stało, że szlaban spadł akurat przy nim?

W prasie belgijskiej przygoda Tindemansa, choć to naturalnie mały epizod, wywołała sporo komentarzy, nie zawsze zresztą mądrych. Rzecznikowi wymyślano od kaprali (co winni są kaprale?) ale to przecież niewiele tłumaczy. Jakie więc mogą być powody „szlabanu”?

Pierwszy jest taktyczny. Rząd generała, to zrozumiałe, nie lubi spotkań zachodnich ministrów ze „strukturami”. Rzecznik uważa bowiem, iż spotkania takie nadają strukturom „rangę partnerów do rozmów międzynarodowych”. Jest to sformułowanie prawidłowe, z tym tylko, że „rangę” tę „Solidarność” i przedstawiciele 10 milionów Polaków, którzy w nią wierzyli, zdobyli sobie nie poprzez rozmowy z zachodnimi ministrami spraw zagranicznych. Wprost przeciwnie, to ministrowie spraw zagranicznych państw zachodnich starają się o spotkania ze „strukturami”,

albowiem „rangę partnerów” one miały już przedtem, no i zachodzi podejrzenie, że mogą ją mieć jeszcze w przyszłości.

Zabronić jednak ministrowi spraw zagranicznych Anglii czy Włoch spotkania z kim ów minister sobie życzy — z kuzynką żony czy z Bratkowskim — bezkarnie nie można, zachodzi bowiem ryzyko, że minister się obrazi i zostanie w domu. A generałom zależy na tym, aby ministrowie Włoch i Anglii, w braku innych, m.in. z USA, pojawiali się w Warszawie, z generałami miód pili i wystawiali w ten sposób świadectwo moralności nie tylko „strukturom”, ale także władzy. Z Belgią ryzyko to jest małe albo żadne. Kraj i minister maleńki. Najwyżej nie przyjedzie. Można więc bezkarnie uderzyć pięścią w stół i uprzedzić, że struktur tolerować nie będziemy.

Powód drugi jest sentymentalny. Generałowie nie lubią Brukseli, niezależnie od struktur. To siedziba NATO, ośrodka knowań imperialistycznych przeciwko ZSSR w ogóle, a Polsce w szczególności. Tu mieści się też znana agentura tego sztabu, a mianowicie Biuro Zagraniczne „Solidarności”. Tu wreszcie pracuje kilku dziennikarzy, ukrytych agentów NATO, wyjątkowo nielubianych w sztabie generałów. Niedawno, przy okazji innej wizyty na szczelbu, przedstawiciel ambasady belgijskiej w Warszawie wezwany został do MSZ, gdzie mu zakomunikowano, iż jeżeli w ekipie dziennikarskiej towarzyszącej „szczelbowi” figuruje dziennikarz nazwiskiem X.Y., to mowy nie ma, nawet gdyby miało dojść do skandalu. Nie doszło. X.Y. się nie wybierał.

Po trzecie, zdaniem niektórych obserwatorów ze sztabu naturalnie NATO, takie „elastyczne” stanowisko Polski wobec kontaktów między strukturami a Zachodem związane jest z nadzieją ery Gorbaczowa i jego pobytem w Warszawie w celu przedłużenia układu o tej samej nazwie. Otóż Gorbaczow, który kiedy bawił w Anglii, Włoszech czy Kanadzie, zawsze się spotykał z miejscowymi „strukturami” to znaczy z partiami komunistycznymi, miał uznać, że w przywiślańskim kraju jest to niedopuszczalne i zabronił Jaruzelskiemu kontynuowania tego procederu nawet za cenę coraz liczniejszych „anulowań”. Taka, jakby ją nazwać, „doktryna Gorbaczowa!...”. Zgodnie z tą doktryną Kreml wie lepiej, co jest dobre dla Polski. Jaruzelski rozmawiał przez dwie i pół godziny z Howem, chociaż dobrze wiedział, że prosto od niego Anglik idzie na spotkanie ze „strukturami” i Popiełuszką. Teraz będzie telefonować do Gorbaczowa, żeby się dowiedzieć, czy Howe „lepiej przemyślał”...

Mniejsza o detale. Sprawa jest żenująca i kompromitująca. Jej jedyny pozytywny wynik polega na dopisaniu przez Tinde-

mansa, trzeciego po niegodnym Papandreu i sprytnym Rifkindzie (z Howem), modelu zachowania się wobec władzy z Warszawy: wizyta anulowana.

A szkoda. Wyobraziłem sobie z rozrzewnieniem, co by mogło się stać, gdyby Tindemans nie pytając o zgodę na spotkanie ze „strukturami” do Warszawy jednak pojechał i z nimi się rzeczywiście spotkał. „Tak się w dobrym towarzystwie nie postępuje — odpowiedziano mi w kołach dyplomatycznych. — To nieelegancko. Byłby incydent”.

No to co? Jaki incydent? Tindemans, choć katolik, to nie ksiądz ekstremista, no i umie pływać, sprawdzałem: „Nieznani sprawcy” nie mieliby do niego dostępu, obstawa by nie dopuściła. Najwyżej nie przepuszczono by go przez mur pałek wokół grobu Popiełuszki, czy aresztowano by gości, którzy chcieliby się przedostać na przyjęcie do ambasady belgijskiej, jeżeli dobrze pamiętam (chodziłem po wizę) na Senatorskiej. Cóż innego mógłby zrobić generał? Wypowiedzieć wojnę Belgii? Niegroźne, on ciągle jeszcze nie jest w stanie — 40 lat po „zwycięstwie” — wygrać wojny przeciw własnemu i bezbronnemu narodowi...

Pisane 4 czerwca 1985.

*Kultura* nr 7/454-8/455, 1985.

---

## DEUTSCHLAND, DEUTSCHLAND...

Od września roku 1939 Polacy, kiedy są w niebezpieczeństwie, to znaczy często, już nie patrzą w niebo od jego zachodniej strony. Niczego ważnego i decydującego nie mogą się stamtąd spodziewać. Na Zachodzie pozostaje wszystko w zasadzie bez większych zmian, z polskiego w każdym razie, jak by to powiedzieć, punktu widzenia. Także w ową gwiazdną noc z 12 na 13 grudnia 1981 roku, kiedy partyjne czołgi okupowały Polskę, kiedy w sercu Europy duży kraj, cywilizowany i chrześcijański, który tak wiele przyniósł światu, został poddany władzy policyjnej pałki i wojskowego gangu, wtedy także żaden z Polaków internowanych w obozie koncentracyjnym małym, lokalnym czy ogólnopolskim, nie spojrział w niebo od jego zachodniej strony. Od tej strony nie dnieje...

Reakcje zachodnie na polski pucz (mniejsza o słownik, jeszcze nikt nie wymyślił dobrej nazwy dla nocy długich pałek z 13 grudnia), potwierdziły prawidłowość polskiego sceptycyzmu. Francuski minister Cheysson od razu powiedział: „To nie nasza sprawa, nic w tej sprawie nie mamy zamiaru robić”. Normalka. Poprzednik Cheyssona, Debré, po inwazji Czechosłowacji w 1968 roku, określił to inaczej. „*Accident de parcours*” — powiedział. Co prawda, Francja, ta oddolna, z wyjątkiem naturalnie komunistów, powiedziała ruskim naprawę *merde*, rząd jednak nie dał się wyprowadzić z równowagi. Dokładnie w sześć tygodni po puczu podpisał z Moskwą umowę o dostawy gazu sowieckiego. „Do dramatu polskiego nie należy dodawać jeszcze dramatu Francuzów pozbawionych zaopatrzenia w gaz”. To zdanie francuskiego premiera p. Mauroy pozostanie w historii jako szczyt ogłupienia politycznego. Polacy wysnują z tego prawidłowy i niezaskakujący wniosek, że co prawda solidarność z „Solidarnością” to rzecz wzniosła, ale solidarność francuskich abonentów gazu jest znacznie ważniejsza.

Niektóre reakcje angielskie wskrzesiły Churchilla. Nie, nie tego od zwycięstwa w drugiej wojnie światowej, ale tego który powiedział po Monachium o Chamberlainie: „Myślał, że miał wybór między hańbą a wojną, wybrał hańbę, a miał także i wojnę”. *God save the Queen!*

Pomijam tu celowo lekkie obłąkanie Greków. Świeżo po grążeni w bałkański socjalizm typu Papandreu, po prostu natychmiast zapomnieli jak im było pod ich własnymi generałami. Bard greckiej lewicy, inspirator muzyki dla greckiego „Mazowsza” Mikis Teodorakis, słynny *poputczyk*, kiedy znalazł się u władzy nie przestał myśleć dialektycznie. *A propos* Polski wyśpiewał po grecku, że „drzewo nie powinno zasłaniać lasu. Jest faktem, iż kraje socjalistyczne muszą co jakiś czas przewycięzać rozmaite trudności. Nie można jednak nie uznać kolosalnej roli ZSSR w dziele sęptania imperializmu”. Wszystko to w wywiadzie dla *Prawdy* w transkrypcji można powiedzieć z sirtaki na cymbały...

Niemcy zachodnie pobiły wszystkich. W dwóch przede wszystkim dziedzinach. Po pierwsze, w ofiarności społecznej. Żaden naród w Europie zachodniej nie przekazał, przed i po puczu, tak wielkiej pomocy dla nieznanym sobie w zasadzie rodzin polskich w biedzie, jeżeli nie w nędzy.

Po drugie, w lawiranctwie politykierów. Stanowisko przywódców, części klasy politycznej, a nawet bardzo poważnej prasy, przede wszystkim tej tzw. intelektualno-liberalnej, wobec polskiego dramatu, pozostanie w historii jako pomnik hańby i cynizmu.

Nikt na świecie czy w Polsce nie lekceważy bardzo specjalnej sytuacji Niemiec zachodnich w Europie, ani ich zrozumiałych priorytetów. Wszyscy, a w tym Polacy, rozumieją, że kiedy Paryż wyszedł na ulice, a np. Reagan potępił Sowietów za ich rolę w zamordowaniu polskiej nadziei i zapowiedział pewne — tak skromne zresztą, że aż symboliczne — sankcje gospodarcze, w Bonn panowały zażenowanie i milczenie. Nierozważna decyzja, nieostrożny gest, jakaś spontaniczna wypowiedź mogłyby — tak przynajmniej wydawało się politykom w Bonn — spowodować poważne konsekwencje. W grze — tak oni uznali — była cała Ostpolityka, stawka była ogromna, a imię jej *détente*.

RFN jest największym partnerem handlowym komunistycznego wschodu. 16 miliardów dolarów rocznie, 700 dużych przedsiębiorstw, około 400.000 stanowisk pracy produkuje dla Wschodu. Jeden tylko „interes stulecia” czyli umowa o dostawę gazu sowieckiego ma przynieść zamówienia dla stalowni na ok. 10 miliardów marek. Banki zachodnioniemieckie poszły na ślepo w polską zasadzkę: jedna trzecia polskich długów zagranicznych jest w deutschmarkach, ogłoszenie polskiej niewypłacalności spowodowałoby ruinę kilku banków, albo ratunek z pieniędzy podatnika. Nic dziwnego, że w bankierskiej logice, nie tylko zresztą zachodnioniemieckiej, stabilizacja, nawet przy pomocy bagnetów, jest lepsza od ruiny i ważniejsza od łańcuch „stabilizowanych”.

RFN to tylko część narodu niemieckiego. Po drugiej stronie muru żyje 21 milionów innych Niemców. Nikt rozumny nie ma prawa wymawiania Niemcom z Zachodu ich troski o braci, zakładników Moskwy. Niektórzy myślą o zjednoczeniu, inni, bardzo liczni, o rozbitych rodzinach, inni jeszcze o interesach: NRD stała się faktycznie, dzięki handlowi z RFN, jedenastym członkiem Wspólnego Rynku. Trudno się dziwić, że Niemcy z Zachodu wahają się i że Polacy są dla nich dalsi niż Niemcy ze Wschodu. Tym bardziej, że pamiętają także o tym dziwołagu drugiej wojny światowej jakim jest Berlin zachodni, wysepka wolności w morzu totalitaryzmu, więzień *real-polityki*, stały miecz sowieckiego Damoklesa.

Kiedy zaś ponadto ktoś — tak jak kanclerz Schmidt — nie jest wcale pewny wyniku przyszłych wyborów, kiedy ma trudności w swej własnej partii, kiedy np. poparcia dla planu instalowania raket amerykańskich musi szukać w związkach zawodowych, które jednak żądają w zamian utrzymania wszystkich



stanowisk pracy związanych z dostawami dla ZSSR, kiedy kryzys i bezrobocie atakują zachodnioniemiecką fortecę, trudno się dziwić, że Niemcy są ostrożni, że kanclerz nie używa ostrych sformułowań, że Bonn się nie wychyla.

Także Polacy uważają, że byłoby absurdem winić Niemców, że bronią przede wszystkim swoich interesów. Polski zarzut jest inny.

Polega on nie na tym, że Niemcy bronią swych interesów nawet za wszelką cenę i kosztem Polaków, nie na tym, że Niemcy uprawiają cynizm, bo któż tego nie robi, a na tym że uprawiają hipokryzję. Polacy nigdy nie mieli złudzeń co do szczerości uczuć Niemców z NRD. Teraz już stracili je także w odniesieniu do tzw. dobrych Niemców.

Odmawiając — to ich prawo — bolesnej i kosztownej w obliczu polskiej tragedii rewizji Ostpolityki, politycy z Bonn zrewidowali fakty. To z Bonn poszły w świat podstawowe fałsze o polskim dramacie. Mniejsza o późniejsze wykrętasy kanclerza i jego prasy, fałsze i mity krążą nad Europą, niemieckie fałsze i mity o polskiej nocy zimowej.

### *Mit pierwszy: Polacy sami się zabijają*

Zanim jeszcze w ogóle coś do nas z Warszawy doszło, już w Bonn orzeczono, że pucz z 13 grudnia to wewnętrzna sprawa Polaków, że nie trzeba się mieszać, jako że nie ma żadnego dowodu na udział Sowieców. Tygodnik *Der Spiegel*, symbol zachodnioniemieckiego liberalizmu, faktycznie nie zawahał się nawet wyrazić prawie zadowolenia z wkroczenia generałów i przy tej okazji napluć na Polaków, którzy przecież nigdy właściwie nie umieli się rzadzić, o czym świadczyć miały rozbiory itp., przy czym p. Augstein, naczelny redaktor, nie wspomniał nawet o określonej roli Niemców w tym względzie.

Cytatu z artykułu Theo Sommera, naczelnego redaktora także liberalnego tygodnika *Die Zeit* nie musiałem nawet tłumaczyć. Katowicka *Trybuna Robotnicza*, która powróciła już do stylu i sposobów z czasu „krwawego Maciusia”, nie mogła pominąć tego, jak pisze, „głosu otrzeźwienia”. P. Sommer, według *Trybuny*, „przestrzega Zachód przed zbyt pochopnymi reakcjami”, pisząc tak oto (w niedoskonałym tłumaczeniu katowickim): „Nie trzeba koniecznie aprobować doskonałego puczu wojskowego. Niemniej jednak trzeba mu życzyć powodzenia... Rozwiązanie wewnętrzne zapewnia oddech samym Polakom, Rosjanom, Za-

chodowi. Daje wszystkim szansę, może ostatnią, cofnięcia się o krok od przepaści". *Heil!*

W Bonn, zupełnie jak w NRD, nie zauważono manewrów wojskowych, presji prasowej, ukazów Moskwy domagającej się „odwrócenia biegu wydarzeń”. A przecież rzecznik rządu RFN, kraju członkowskiego Paktu Atlantyckiego wie, że bez udziału Paktu Warszawskiego, jego logistyki, łączności, sztabu, kontroli powietrznej, nie byłby możliwy w Polsce nie tylko ruch 15 dywizji policji i wojska polskiego, ale nawet przesunięcie jednego batalionu. Rzecznik nieobecności sowieckiej nie czytał widocznie gazet, bo wiedziałby z oficjalnych komunikatów, że w ciągu 6 tygodni poprzedzających pucz odbyły się trzy posiedzenia ministrów obrony Paktu Warszawskiego, że marszałek Kulikow był kilka razy w Polsce, że gen. Siwicki został w październiku 1981 mianowany faktycznym zastępcą Jaruzelskiego z uwagi na jego dobre stosunki z Moskwą i „krew wspólnie przelaną”, kiedy stał na czele polskiego korpusu ekspedycyjnego w Czechosłowacji w 1968 roku.

Co robił według rzecznika z Bonn marszałek Kulikow w Warszawie przez dwa grudniowe tygodnie, aż do, *ausgerechnet*, 12 grudnia 1981? Zresztą gdyby nawet oślepli rzecznik nie widział ruskich, to i tak nie może być mowy o wewnętrznej sprawie Polski w świetle totalnie i totalitarnie pogwałconego w ową noc grudniową 1981 układu z Helsinek. Co podpisał Schmidt w białą noc sierpniową 1975 roku w Helsinkach, gdzie tak czule ścisnął się z Gierkiem aby wykupić za 2 miliardy marek 150.000 nagle ujawnionych obywateli polskich niemieckiego pochodzenia? W imię jakich kryteriów rzecznik z Bonn odmawiał uznania, że akt końcowy z Helsinek właśnie teraz w Polsce dobiegł końca?

*Mit drugi: bohater Szekspira*

Ani przez chwilę Bonn nie miało wątpliwości, że Jaruzelski uratował Polskę od prawdziwego zła, jakim byłaby inwazja sowiecka. Dla kanclerza Schmidta nie było innej alternatywy jak tylko: inwazja polska albo inwazja sowiecka. Kofakowski zauważył już, że zawsze może być coś gorszego, wszyscy zbrodniarze twierdzą: „ja jestem łagodniejszym katem”.

Bonn poszło dalej. Kreowało Jaruzelskiego na coś w rodzaju szekspirowskiego bohatera, oddającego siebie w darze narodowi. Nie powiedzieli tylko, że tak już się przedstawiał w innym

kontekście okupacyjnym niejaki Pétain. Wniosek z tego niechciany (?) w Bonn, że Jaruzelski jest takim Polakiem, jak Pétain był Francuzem.

Tygodnik *Die Zeit*, także bastion myśli liberalnej i postępowej, napisał nawet — tak jak kiedyś pisano w Niemczech o Pétainie — że Jaruzelskiemu należy po prostu pomóc, że to człowiek wprost opatrnościowy.

Fałsz był ewidentny, ale atrakcyjny i wygodny. Nikt w Bonn nie chciał zauważyć, że poza wyborem między inwazją polską a sowiecką, Jaruzelski mógł jeszcze wybrać polski dialog. Niech nikt nie mówi, że Rosjanie by tego nie zdzierżyli, nikt tego nie wie, to są hipotezy, Rosjanie znosili bardzo dużo przez 18 miesięcy. Jaruzelski działał nie tylko pod knutem Rosji, ale także w zgodzie z samym sobą i ze swoją partią. Dialog nieuniknienie zakładał podział władzy. To nie tylko Rosjanie tego nie chcieli; Jaruzelski i jego kasta też nie chcieli z nikim dzielić się ani władzą ani przywilejami.

Partia nigdy nie była lojalnym partnerem „Solidarności” i narodu. Militaryzacja była wpisana w kalendarz i w los narodu polskiego od chwili powstania „Solidarności”. Jej realizacja zaczęła się w lutym 1981 wraz z nominacją Jaruzelskiego na premiera. Ileż czasu bowiem trzeba było na przygotowania do jedynej dziś w Europie prawdziwej dyktatury wojskowej? 60 dekretów, lista przedsięwzięć zmilitaryzowanych, nominacje komisarzy, przygotowanie policji, plan dyslokacji. Jak dowiedziałem się z *Żołnierza Wolności*, szefowie grup operacyjnych wojska wysłanego w październiku 1981 rzekomo w celu „niesienia pomocy ludności”, są dziś komisarzami wojskowymi tych samych miejscowości.

Kiedy partia po marcu 1981 roku wołała o dialog, gotowe już były listy internowanych, zawierające nazwiska kilku osób, które opuściły Polskę na rok przed puczem. Kiedy Zjazd PZPR wołał o demokrację, Jaruzelski drukował w Rosji afisze z „*Bekanntmachung*’ami” o stanie wojennym. Kiedy Jaruzelski witał Wałęsę i prymasa na „historycznym” spotkaniu na temat porozumienia narodowego, już była wyznaczona data puczu.

Rzecznicy bońskiego scenariusza powtarzają za Rakowskim, że zamach był niezbędny, aby Polska mogła pójść nareszcie po drodze reform. Ale przecież Polska na tej właśnie drodze już była. Z bagnetami można robić wszystko, ale nie można na nich siedzieć i — jak to powiedział Truman — nie można nimi wydobywać węgla. Dlaczego Niemcy odmawiają uznania tej prostej prawdy? Przecież wiedzą o tym z dziejów ich własnych okupacji, m.in. w Polsce właśnie.

*Mit trzeci: ci Polacy zawsze przesadzają*

RFN jest szalenie aktywna w polityce światowej. Kategorycznie np. domaga się przyznania praw demokratycznych mieszkańcom Namibii, którzy — i słusznie — chcą wolnych wyborów, *habeas corpus* i wolności od szantażu idącego od potężnego sąsiada. W Polsce natomiast — według Bonn — takie same żądania mogą być tylko prowokacją nieodpowiedzialnych romantyków. Według tzw. analityków zachodnich, zwłaszcza niemieckich, to apel „Solidarności” do robotników w KDL-ach, oraz żądanie referendum, nagrane przez bezpiekę w Radomiu czy Gdańsku 12 grudnia w nocy, spowodowały pucz.

Jest to argumentacja typowo hitlerowska. Napadając na Polskę, Hitler też powołał się na zamach na radiostację w Gliwicach w sierpniu 1939 roku, podczas kiedy rozkaz agresji na Polskę był gotów od miesięcy, jeżeli nie lat. Powodem puczu w Polsce jest nie żadna „ekstrema”, tylko samo powstanie „Solidarności” i podpisane przez rząd — którego premierem jest Jaruzelski — 21 punktów postulujących wolne związki zawodowe, prawo do strajku, zniesienie cenzury i bardziej ludzkie warunki bytu, jednym słowem perspektywa innej władzy.

„Ekstremiści” „Solidarności” tak byli zdecydowani przejąć władzę w Polsce, że dali się absolutnie zaskoczyć; choć mieli 10 milionów członków, dali się wyaresztować jak dzieci. Zresztą jeżeli spojrzeć na to kto został w Polsce aresztowany, to od razu widać o jakie „ekstremy” chodzi: Mazowiecki, Kuroń, sam Wałęsa i kilka tysięcy innych „terrorystów”.

Nikt nie zastanowił się w Niemczech — gdzie prasa nie skąpiła sobie aluzji do *polnische Wirtschaft* — że to nie żadni ekstremiści, a normalni Polacy, którzy kosztem 800.000 zabitych na wszystkich frontach wygrali wojnę, chcą żyć choćby w części tak jak Niemcy, którzy ją wywołali i przegrali. Sześć milionów polskich ofiar niemieckich kacetów powinno było w tym miejscu podyktować Niemcom inny typ postawy.

*Mit czwarty: nic nie można zrobić*

Sankcje gospodarcze, to prawda, rzadko bywały skuteczne. Można nawet powiedzieć, że właściwie nigdy skuteczne nie były. Abisynia, Rodezja, Afryka Południowa, embargo zbożowe po inwazji Afganistanu, nie mówiąc o tragikomedii po wzięciu zakładników amerykańskich w Teheranie, jeszcze nigdy nie udało

się postrachem bojkotu nauczyć agresora rozumu, odwieść go od zbrodni czy gwałtu na prawie ludzkim i międzynarodowym.

Przyczyna jest dość prosta. Jeszcze nigdy nie próbowano zastosować sankcji gospodarczych poważnie, całkowicie i uniwersalnie. Jako najbardziej klasyczny przykład niemocy sankcji gospodarczych podaje się zwykle amerykańskie embargo zbożowe nałożone na ZSSR po Afganistanie. Jak to jednak było z tym embargiem naprawdę? Zniesienie embarga przez Reagana było błędem, przede wszystkim psychologicznym. Trzeba jednak pamiętać, że po pierwsze, nawet USA nie obcięły w całości dostaw zboża, a tylko jego ilości dodatkowe. Po drugie, obcięte 19 milionów ton amerykańskiego zboża zostały natychmiast dostawione, i to z nadwyżką, przez Argentynę, Kanadę i Australię. W ten sposób doszło rzeczywiście do tego, że bardziej poszkodowani byli bojkotujący farmerzy amerykańscy niż zbojkotowani właściciele Związku Sowieckiego.

Pośpiech zachodnioniemiecki w wysuwaniu tego argumentu był jednak tak wielki, że aż podejrzany. Przyjrzyjmy się sprawie sankcji gospodarczych wobec ZSSR nieco bliżej i bardziej poważnie.

Zależność Wschodu od importu zachodniego jest poważna. W 1980 roku 35 % importu ZSSR, Polski i Rumunii i 30 % importu NRD czy Węgier pochodziło z krajów uprzemysłowionego Zachodu. To już niemało, ale jeszcze ważniejszy jest rozbiór jakościowy. Otóż bowiem okazuje się, że eksport zachodni odbywa się właściwie w granicach dwóch kategorii: produktów rolnych i wysokiej technologii.

Jeżeli chodzi o rolnictwo, to ZSSR na około 180-200 milionów ton zbiorów zbóż rocznie importuje ok. 40 milionów z Zachodu. Polska i NRD stosunkowo nawet jeszcze więcej. Paradoks sprawił, że Rosja nigdy nie sprowadziła tak wiele zboża jak właśnie w czasie... amerykańskiego embarga.

Sprawa więc beznadziejna? Wcale nie. Nie wszystko jest tu takie proste. Po pierwsze tacy dostawcy jak Argentyna ulegają kaprysom pogody. W tym roku np. ten także generalski kraj ma znacznie mniejsze rezerwy na eksport. Po drugie, aby kupić tak horrendalne ilości zboża, ZSSR musi płacić gotówką i to drożej niż w USA, wobec czego musi sprzedawać złoto i to w takich ilościach, że obniża jego cenę. W 1981 roku Moskwa sprzedać miała ponad 200 ton kruszcu z gułagowych kopalń, w związku z czym między innymi jego cena spadła z ponad 800 do poniżej 400 dolarów za uncję.

W dziedzinie technologii sprawa wygląda podobnie. W ciągu ostatnich 10 lat import nowoczesnych urządzeń do ZSSR uczynił

bardzo widoczny skok: od komputerów po fabryki samochodów, od całkowitych obiektów przemysłu chemicznego do aparatury pomiarowej fabryki ciężarówek w Kamie, znanych z dużych osiągnięć na terenie Afganistanu. 40 % urządzeń sowieckiego przemysłu chemicznego pochodzi z importu z Zachodu, 30 % maszyn do produkcji materiałów plastycznych, 22 % metalurgii, 15 % urządzeń zakładów mechanicznych, energetycznych itd.

Pomińmy długie rozważania, są książki na ten temat. Stwierdźmy tylko, że tak skonstruowany import do krajów wschodnich ze Związkiem Sowieckim na czele, kryje w sobie sporą liczbę wątpliwości, oraz jedną wielką pewność. Stanowi on mianowicie coś w rodzaju subsydium dla wojskowego budżetu ZSSR. To właśnie dzięki temu importowi Moskwa mogła skoncentrować ogromne środki na zbrojeniach. Kiedy niektórzy sławili „broń pokoju”, to znaczy ideę demokratyzacji ZSSR poprzez zalanie jej zachodnimi produktami, Moskwa doprowadziła swój budżet wojskowy do 15 % produktu narodowego brutto, podczas kiedy USA z trudem uzyskują 5 - 6 %, a Europa zachodnia jest poniżej 4 %. Ekspansja sowieckiego imperializmu nigdy nie była tak dynamiczna i tak dalekosiężna jak w okresie tzw. *détente*.

Otóż *détente* była, ale się skończyła. Czy należy w dalszym ciągu subsydiować sowiecki (i polski) wysiłek zbrojeniowy i policyjny, pomagać generałom utrzymać się u władzy w Afganistanie i w Warszawie?

Nie, nie trzeba. No, ale przecież wszelkie embargo skazane jest na nieskuteczność. Nie, nie jest. Kilka uwag na ten temat. Embargo byłoby na pewno bardziej dotkliwe dla Rosji niż dla Zachodu. Eksport zachodni na Wschód nie waży wielce statystycznie biorąc. Na Wschód idzie 1,7 % eksportu USA, 2,8 % Japonii, 4,3 % Francji, 4,6 % RFN. W procentowym ujęciu w stosunku do PNB jest to rzeczywiście niewiele: 0,15 % w USA, 0,37 % w Japonii, 0,76 % we Francji i 1,15 % w RFN. Całkowite więc embargo, inaczej mówiąc stuprocentowe zaprzestanie eksportu na Wschód miałyby statystycznie biorąc niewielki wpływ na stan gospodarki poszczególnych krajów zachodnich. We Francji np. spowodowałyby to utratę pracy około 150.000 osób, co stanowi 0,76 % ludności aktywnej. Na tle ponad 2 milionów bezrobotnych nie pogorszyłyby to w sposób dramatyczny już złej sytuacji.

Oczywiście, jest to rachunek prymitywny. Po pierwsze, 150.000 też się liczy, to przecież żywi ludzie i ich rodziny, po drugie, tu także zachodzi zjawisko „specyfikacji”, niektóre branże (np. rolna we Francji) i niektóre rejony byłyby bardziej dotknięte niż inne.

Natomiast w gospodarce sowieckiej takie embargo — poprzedzone blokadą kredytową — byłoby nieporównanie bardziej szkodliwe, w rolnictwie natychmiast, w technologii nieco później. Jedynym warunkiem skuteczności jest więc uniwersalizm i koordynacja embarga. Otóż RFN jest temu najbardziej przeciwna.

Stanowisko to zostało ostatecznie potwierdzone przez podpisanie przez Francję w 6 tygodni po puczu umowy o dostawę gazu sowieckiego. Dziennik *Die Welt* natychmiast zrozumiał znaczenie francuskiej decyzji i napisał — słusznie skądinąd — że od chwili podpisania „gazu” Francja „nie ma już prawa udzielania Niemcom lekcji moralności”.

Słowo „moralność” może brzmieć dziwnie i sztucznie, ale zostało użyte prawidłowo. Rzecz w istocie nie w gospodarce, a właśnie w moralności. Po to aby sankcje były możliwe i skuteczne, trzeba narodowi powiedzieć, że ukaranie Rosji, a nawet mały gest niezadowolenia, muszą kosztować i zakładają wyrzeczenia. Tymczasem jednak nikt na Zachodzie nie chce niczego takiego obywatelom powiedzieć. Embargo gazowe czy zbożowe — powiadają w Bonn czy Paryżu — będzie i tak storpedowane przez nieuczciwych konkurentów, a my stracimy interes. Co należy pomyśleć o lojalności sojusznika, którego jedynym ustępstwem wobec USA jest (nieszczerze) przyrzeczenie, iż nie będzie się starał zająć miejsca opuszczonego w dostawach dla Rosji przez amerykańskiego producenta?

Nikt jeszcze nigdzie, ze względnym wyjątkiem USA, nie próbował nawet sformułować listy żądań w dziedzinie stosunku Rosji do jej sąsiadów i do reszty świata. Nikt nie próbował ustalić ceny jaką skłonni byśmy byli zapłacić, np. w sferze stopy życiowej, gdyby Rosja nasze żądania odrzuciła. Nikt nigdzie nie posunął się do określenia granicy naszej wytrzymałości na cierpienia Polaków (Czechów itd.).

Taka moralna i polityczna amnezja i znieczulica, to zjawisko w ogóle niedobre, nie tylko w RFN, ale także w Belgii, Francji, Anglii itd. W kraju jednak, gdzie pacyfizm i obłąkany antyamerykanizm, gdzie nowy *Nationalneutralismus* wyprowadzają na ulice setki tysięcy młodzieży, jest to także zjawisko niebezpieczne. Dla całego świata.

*Mit piątą: ale to wszak polski Kadar lub Tito...*

Komentatorzy z Bonn zaofiarowali nam pełny wybór: Jaruzelski to może być polski Tito, Kadar, Husak, Pinochet czy nawet

Evren (ten z Turcji). W każdym razie trzeba mu pomagać wyciągnąć Polskę z nieszczęścia. Spójrzmy na tę listę.

Tito tu naturalnie zupełnie nie pasuje, bo titoizm zakłada niezależność kraju, a Jaruzelski ma zamiary wprost przeciwne. To nie będzie także polski Kadar czy Husak, bo obaj ci panowie — także zresztą postaci moralnie wątpliwe — rozpoczęli swoje „normalizacje” w warunkach *détente*, pokojowego współistnienia, gospodarczej koniunktury na świecie. Nawet na Węgrzech nie było takiej ruiny gospodarczej jak w Polsce, nie mówiąc już o tym, że ZSSR mógł wyżywić przez kilka miesięcy 10 milionów Węgrów, ale nie potrafi, w znacznie gorszej sytuacji, wyżywić 36 milionów Polaków.

No i przede wszystkim, Węgrzy byli zdruzgotani krótką ale krwawą łaźnią, Czesi nie mieli woli walki i z oportunistycznym — jak mówi Paweł Tigrid, a on ich zna — uczynili coś w rodzaju filozofii życiowej, Polacy natomiast mają we krwi 18 miesięcy doświadczenia życia w wolności i bez strachu.

Także sytuacja światowa jest inna, zamiast *détente* — prawie zimna wojna, zamiast *prosperity* — kryzys i bezrobocie.

Pinochet, ktoś powiedział? Pomyłka. Gdyby dziś zrobić wolne wybory w Chile, Pinochet dostałby połowę głosów. A ile głosów dostałby Jaruzelski w Polsce?

Ktoś wreszcie porównał Polskę do Turcji. Przypatrzmy się temu bliżej. Żadna dyktatura wojskowa czy cywilna nie jest dobra. Wszystkie są zresztą podobne. Te same czołgi, te same obozy, te same hasła. Zadałem sobie trud i porównałem pierwsze proklamacje junty polskiej i tureckiej. Jakby przepisali w Warszawie tekst z Ankary: wojsko to ostatnia szansa, groziła wojna domowa, trzeba było położyć kres anarchii, odbudować jedność, dokonać reform... Nie mam żadnej sympatii do generałów tureckich, ale cóż za nieporozumienie!

1) Jeżeli zamach w Turcji się nie uda, to USA nie najadą Turcji. Za puczem w Polsce stoi zaś cała potęga ZSSR. Stalin powiedział do Tito, że tam gdzie sięgają sowieckie czołgi, sięgają sowieckie idee. W Polsce Breżniew poprawił: tam gdzie sięgają sowieckie idee, tam będą sowieckie czołgi.

2) Generałowie tureccy ani pucz turecki nie wrzucili kraju w ruinę i nędzę. Nikt nie wysłał do Turcji, kraju wszak zafanego, paczek z mydłem i pastą do zębów, z Turcji nikt nie ucieka... Można normalnie wyjechać.

3) Nie ma sensu dziś zastanawiać się co byłoby, gdyby Rosja nie była zdławiła rewolty węgierskiej, czechosłowackiej, gdyby polska wiosna nie umarła pod polskimi czołgami. Faktem jednak



jest, że generałowie w Turcji obiecują wolne wybory i cywilny rząd. No, a generałowie polscy?

*Mit szósty: szanować Jałtę!*

Kiedy francuski prezydent Mitterrand westchnął „Jak tu wyjść z Jałty”, kanclerz Schmidt oświadczył w wywiadzie dla *New York Times'a*: „Zachód uznał w Jałcie podział Europy. Każda próba zmiany *status quo* równa się wywołaniu wojny światowej”. Pan Schmidt źle zna historię. Aż wstyd mu o tym przypominać. Tylko krótko.

1) Jałta nie zajmowała się podziałem Europy. W Jałcie trzej panowie obiecali Polsce wolne wybory i demokratyczny rząd. Roosevelt wyraził pewność, że będą te wybory „tak nieposzlakowane jak żona Cezara”, Mołotow obiecał, że odbędą się najpóźniej w dwa miesiące, a Churchill dodał, iż słowu pana Stalina można absolutnie zawierzyć.

2) Polska jest zwycięzcą w wojnie, za którą winę ponoszą Niemcy. Ponieważ Jałta jest skutkiem wojny, to Niemcy są winni Jałty, i zamiast mówić o *status quo*, powinni zrobić wszystko na co ich stać, aby ten status zmienić, a w każdym razie nie piętnować Polaków za to, że im w tym statusie niewygodnie.

P. Nannen, wydawca tygodnika *Stern* zawołał odważnie „dość obłudy” i po wizycie w Polsce napisał z oburzeniem: „Polacy myśleli, że uda im się wystrajkować z Paktu Warszawskiego i stworzyć demokrację na wzór zachodni. Polska (jednak) leży w tej części świata, którą alianci w Jałcie przyznali Rosji”. Nie wiem czy Polakom uda się „wystrajkować” z Paktu Warszawskiego, ale nie można nie zauważyć, iż przy pomocy p. Nannena Niemcy Zachodnie, bez żadnych strajków opuszczają powoli Pakt Atlantycki.

W istocie rzeczy nie chodzi o miasto Jałta, a o miasto Monachium. Nie z 1945 roku a z 1938 roku. Pytanie tylko ile jeszcze będzie nowych Monachiów aby usprawiedliwić jedną starą Jałtę?

*Bez mitów, a naprawdę*

Także i dzisiejsze pokolenie niemieckie powinno pamiętać o tym czego dokonali ojcowie np. na terytorium polskim. Podczas jednak kiedy setki tysięcy Niemców demonstrowało przeciw

budowaniu pasa startowego we Frankfurcie lub przeciwko amerykańskim rakietom, to tylko kilkuset, a w najlepszym wypadku kilka tysięcy, wyszło na ulice aby wyrazić żal z powodu aresztowania całego narodu i wygaszenia płomyka wolności o godzinę lotu od starego pasa startowego we Frankfurcie.

P. Eppler, *Parteigenosse* kanclerza Schmidta, oświadczył *à propos* sankcji amerykańskich, że USA powinny zajmować się Salwadorem a nie Polską. Może ma on na myśli fakt, iż Polską, tak jak w przeszłości, zajmować się powinni tylko Rosjanie i Niemcy.

Willy Brandt przeniósł się — jak się ktoś wyraził — z klęczek pod murem getta warszawskiego na klęczki przed murami Kremla. Nazajutrz po puczu zredagował tak kapitulancą deklarację Międzynarodówki Socjalistycznej w sprawie zaduszenia Polski w imię socjalizmu, że socjaliści francuscy i włoscy z miejsca i to surowo zareplikowali i oskarżyli przewodniczącego Brandta o manipulację. Zwołali więc specjalne posiedzenie Międzynarodówki w Paryżu aby uchwalić bardziej godną wersję. W nieobecności Brandta, który musiał być tego właśnie dnia w Kuwejcie. Działy się tam widocznie ważniejsze dla socjalizmu sprawy.

Brandt napiętnował tych, którzy są tak skorzy do „heroicznych apeli i wzniosłych zdań” w odniesieniu do Polski, ale „nie kiwnęli nawet palcem, kiedy mur podzielił nagle Berlin”. Brandt zapomina tylko, że to nie Polacy winni są zbudowania muru, natomiast Niemcy odegrali w latach 1939-1945 pewną rolę w doprowadzeniu Polski do stanu, w jakim się obecnie znajduje.

Brandt pojechał do Kuwejt, Schmidt na Florydę, a do Bonn przyjechał Rakowski. Nie musieli go przyjąć, Francja np. odmówiła. Mitterrand, mimo że ma komunistów w rządzie, nie tylko odmówił wpuszczenia emisariusza junty, ale zaproponował, że wyśle swego emisariusza do Warszawy, pod warunkiem naturalnie, że będzie on mógł także odwiedzić Wałęsę i prymasa.

Stanowisko Bonn w sprawie polskiej zostało poddane bardzo powszechnej krytyce. Nawet najbardziej scyniczniałe wygi polityczne uznały, że Niemcy przesadzili. Schmidt musiał się tłumaczyć i dawać słowo honoru, że RFN ciągle jeszcze należy do obozu zachodniego.

Tylko w Moskwie nie starczyło słów na wychwalanie Bonn. Były sowiecki ambasador w RFN Falin, obecnie jeden z *porteparoles* Kremla, oskarżył konsulaty amerykańskie w Polsce o przekazywanie instrukcji CIA ekstremistom z „Solidarności” i wskazał na przykładowe stanowisko rządu z Bonn, który nikomu żadnych instrukcji nie przekazywał.

Jeszcze lepiej wyraził to dziennik *Izwestia*. „Mimo kolosalnej presji Waszyngtonu — napisał organ rządu ZSSR — Niemcy zachodnie nie dały się zepchnąć z polityki całkowitej nieingerencji w wewnętrzne sprawy Polski”.

Pogratulować. Jest to opinia godna szacunku. W kwestii nieingerencji w wewnętrzne sprawy Polski nikt bowiem nie może się wypowiadać bardziej miarodajnie niż Rosja i Niemcy.

Pisane 40 dni po puczu z 13 grudnia 1981.

*Kultura* nr 3/414, 1982.

## SPADEK PO JAŁCIE



## PRAWO DO BRZYDOTY

Motto: „*Mężczyźni mają prawo do brzydoty,  
ale XY przesadził...*”

Markiza de Sevigné

Zachód też przesadził. Politycy mają prawo do cynizmu. Ale nie do tego stopnia. Poważna analiza stosunku Zachodu do tzw. sprawy polskiej czeka na swojego autora, niektóre elementy jednak warte są natychmiastowego ujęcia. Zanim jakiś wielki malarz namaluje fresk, już dziś trzeba na gorąco szkicować detale. Na razie „Życie jak w Madrycie”, potem będzie więcej. Niestety.

### *1. Najpierw informacja, potem przyjemność*

Konferencja w Madrycie zakończyła się prawie dokładnie w 10-tą rocznicę rozpoczęcia tzw. „procesu helsińskiego”. Pomysł był sowiecki, jak zawsze zresztą. Kreml przekonał wówczas Zachód, iż jest to dobry interes dla wszystkich i że w zamian za pierwsze dwa „koszyki”, regulujące sprawy bezpieczeństwa i współpracy gospodarczej, wyraźnie faworyzujące tezy i interesy ZSSR, Zachód otrzymuje trzeci „koszyk” dotyczący praw człowieka, zwiastujący nadejście demokracji na Wschodzie. Nie warto wracać do smutnej historii: represje wyniszczyły dysydentów, Moskwa napadła na Afganistan, i poprzez wojsko i policję polską, wydusza „Solidarność” i nadzieję Polaków.

Proces helsiński jednak nie został przerwany. Odwrotnie. Zwyciężyła znowu teza sowiecka: im gorzej tym bardziej dialog jest potrzebny. W Madrycie trwał trzy lata. Najpierw konferencja

miała zemrzeć z powodu Afganistanu, potem z powodu Polski. Przeżyła wszystko. Urodziła nawet małe: osiem konferencji następnych już jest zaplanowanych na okres do 1986 roku. A potem zobaczymy.

Na pozór, Kreml postanowił popełnić w Madrycie samobójstwo. Tzw. komunikat końcowy, czyli kompromis osiągnięty w Madrycie brzmi jak akt zejścia Związku Sowieckich Republik Sowieckich. Kreml proklamuje w nim bowiem swą „niewzruszoną wolę” zapewniania swoim poddanym praw obywatelskich, politycznych, gospodarczych i społecznych oraz innych praw człowieka i innych zasadniczych swobód. Kreml podjął równocześnie cały szereg dokładnych zobowiązań w zakresie wolności religii, słowa, kontaktów ludzkich, a nawet praw związkowych.

Są to intencje chwalebne, ale w tym wypadku podejrzane. Warto przyjrzeć się powodom, dla których Moskwa pozwoliła się zamknąć w tak obcisły kaftan zobowiązań prawnych, absolutnie nie do zrealizowania w ZSSR, chyba żeby ustrój sowiecki przekształcił się nagle w demokrację brytyjską, czego nie należy na razie brać pod uwagę. Jaki więc cel miał Kreml na oku, ofiarowując Zachodowi broń psychologiczną teoretycznie ogromnie skuteczną w zimnej wojnie, którą wszak prezydent Reagan zamierza prowadzić przeciwko państwu określonemu jako „imperium zła”?

Zanim jednak odpowiemy na to pytanie, najpierw — jak stale powtarzam młodym i naiwnym adeptom zawodu dziennikarskiego — informacja, a potem przyjemność.

#### *a) Jak powstaje tzw. kompromis?*

Konferencja madrycka została otwarta, w wielkich bólach z powodu Afganistanu, 11 listopada 1980 roku. Rok później, w pierwszych dniach grudnia 1981, osiem państw tzw. neutralnych i niezaangażowanych (Austria, Cypr, Finlandia, Jugosławia, Lichtenstein, San Marino, Szwecja i Szwajcaria), przedstawiły pierwszy projekt dokumentu końcowego, zawierający nieśmiałą próbę znalezienia wspólnego mianownika dla stanowisk Wschodu i Zachodu podzielonych w absolutnie wszystkich poważnych sprawach objętych porządkiem dziennym konferencji.

Próba zmarła właściwie przed narodzeniem. Pucz polskich generałów dobił ją, wydawało się wówczas, na zawsze, a przynajmniej na bardzo długo. Kiedy w lutym 1982 roku kilkunastu ministrów spraw zagranicznych państw zachodnich gnanych świętym oburzeniem, wywijając połamami fraków i grożąc ogniem i mieczem zjechało się do Madrytu aby postawić ZSSR i PRL

za karę do kąta, wydawało się, iż nic już nie zdoła konferencji uchronić od choćby prowizorycznego skonania. Wszystkie paragrafy aktu końcowego z Helsinek zostały wszakże w Polsce dokumentnie pogwałcone i podarte na strzępy. Po cóż więc podpisywać nowy, kiedy atrament, no i krew, na poprzednim jeszcze nie wyschły? Głupie pytanie.

*b) Co zawiera tzw. kompromis?*

Akt końcowy z Madrytu liczy około 40 stron, zaczyna się od potwierdzenia znaczenia jakie układające się państwa przywiązują do „prawdziwego bezpieczeństwa i prawdziwego odprężenia”. Jasne, ubolewają one nad „pogorszeniem się sytuacji międzynarodowej do jakiego doszło po konferencji w Belgradzie w 1977 roku” (Afganistan, Polska, nie licząc tysięcy „pogorszeń” indywidualnych) i uważają, że „przyszłość procesu helsińskiego wymaga równoległego postępu we wszystkich 'koszykach' objętych aktem końcowym z Helsinek”. W tym kontekście, dokument madrycki zauważa, że doszło do „poważnego pogwałcenia niektórych zasad” zdefiniowanych w Helsinkach w 1975 roku. O jakie zasady chodzi, dokument madrycki nie mówi, możemy więc się tylko domyślać.

Rozdział na temat bezpieczeństwa w Europie ponawia naturalnie zobowiązania do wyrzeczenia się siły w rozwiązywaniu sporów międzynarodowych i narodowych, potwierdza konieczność „powstrzymania wzrostu zapasów broni”, zapowiada „kontynuowanie wysiłków zmierzających do wzmocnienia zaufania i bezpieczeństwa” oraz poświęca sporo uwagi sprawom terroryzmu. Układające się państwa „potępiają terror, w tym także w stosunkach międzynarodowych” i deklarują „swą stanowczą wolę podjęcia właściwych kroków w celu zapobieżenia i zwalczania terroryzmu tak w skali krajowej co i na drodze międzynarodowej współpracy”. Układające się państwa zobowiązują się także do „zastosowania wszelkich środków aby ich terytorium nie mogło być użyte do przygotowania, organizowania, lub prowadzenia działalności terrorystycznej”, lub też innej „działalności dywersyjnej zmierzającej do obalenia siłą ustroju innego układającego się państwa”.

Rozdział na temat praw człowieka wyraża zdecydowaną wolę zapewniania „wszelkich swobód obywatelskich i podstawowych praw człowieka”. W tym celu państwa-sygnatariusze z Madrytu zapewnią „wolność wiary oraz wolność praktyk religijnych, indywidualnie lub zbiorowo, wszelkich wyznań zgodnie z nakazami



sumienia". Państwa-sygnatariusze zobowiązują się również „do poszanowania prawa pracowników do tworzenia i należenia do związków zawodowych, prawa związków zawodowych do swobodnego prowadzenia ich działalności i korzystania z uprawnień wynikających w tej dziedzinie z prawa międzynarodowego”.

Państwa podpisujące dokument z Madrytu zobowiązują się także do „przyspieszenia procedury udzielania zezwoleń na spotkania rodzinne o charakterze nagłym”. Jeżeli chodzi o zgodę na łączenie rodzin lub małżeństwa między obywatelami różnych krajów o nie nagłym charakterze, to okres oczekiwania na zgodę nie powinien „na ogół” przekraczać sześciu miesięcy. W innych przypadkach rodzinnych „okres oczekiwania powinien być stopniowo zmniejszany”. Dokument precyzuje, że obywatel, który stara się o taką zgodę nie powinien być przedmiotem żadnych represji. W tym kontekście, dokument madrycki zapewnia „wolny dostęp do misji dyplomatycznych i konsularnych”.

Rozdział na temat bezpieczeństwa przewiduje zwołanie konferencji dotyczącej rozbrojenia w Europie. Chodzi o stary projekt francuski (znany pod inicjałami CDE), którego pierwsza faza ma dotyczyć kroków zmierzających do „wzmocnienia zaufania”. Chodzi tu przede wszystkim o takie rzeczy jak uprzedzanie o manewrach czy ruchach wojskowych innego typu.

Rozdział na temat współpracy powtarza życzenia z Helsinek w sensie zacieśniania kooperacji gospodarczej, naukowej i technicznej, podkreślając przy tym zależność między postępem w tej dziedzinie, a realizacją zasad zawartych w akcie końcowym w ogóle.

W rozdziale na temat informacji, dokument madrycki domaga się od państw podpisujących „wolnego i szerokiego obiegu wydawnictw importowanych z innych krajów i zwiększenia punktów sprzedaży tych wydawnictw”. Inne paragrafy przewidują ułatwienia pracy korespondentów zagranicznych, ich poruszania się i ich kontaktów zawodowych. Podania o wizy dla dziennikarzy zagranicznych powinny być załatwiane „bez zwłoki”.

Wreszcie, dokument zapowiada zwołanie całej serii spotkań pomadryckich, od konferencji CDE w Sztokholmie w styczniu 1984, poprzez Ottawę w 1985 i Berno w 1986 w sprawach ludzkich, Wenecję i Budapeszt na różne tematy współpracy gospodarczej, naukowej i kulturalnej, a nawet Ateny, gdzie w marcu 1984 specjalna grupa ekspertów z 35 krajów obradować będzie nad „pokojowym rozwiązywaniem konfliktów międzynarodowych...” aż po nową konferencję „35” w listopadzie 1986 we Wiedniu.

Dokument madrycki nie określa jak długo konferencja wiedeńska miałaby trwać. Jest to o tyle zrozumiałe, że konferencja madrycka miała się pierwotnie skończyć... 5 marca 1981.

Tyle byłoby informacji, w zasadzie obiektywnie streszczonej, o dokumencie madryckim. A teraz kolej na przyjemność.

c) Co znaczy tzw. *kompromis*?

Moskwa w Madrycie raz jeszcze udzieliła Zachodowi wielkiej lekcji dyplomacji. Podjęte przez nią zobowiązania w dziedzinie praw człowieka są całkowicie nierealistyczne i ani przez chwilę Kreml nie brał ich poważnie, podobnie jak to było z takimi samymi zobowiązaniami w Helsinkach. Czyniąc jednak „koncesje” i godząc się na pseudo-kompromis, Moskwa uzyskuje w zamian zasadnicze realne korzyści polityczne, dwie w dziedzinie strategii i znacznie więcej w dziedzinie taktyki.

Po pierwsze Kreml uratował od śmierci, niechybnej w razie fiaska w Madrycie, tzw. „proces i ducha Helsinek”. To nie jest abstrakcja. Wieńcząc Madryt dokumentem końcowym, Moskwa unika podważenia zasady *status quo* terytorialnego, tzn. niepodważalności granic narzuconych Europie po drugiej wojnie światowej. ZSSR ciągle zafascynowany „bumażką” w stosunkach międzynarodowych, nie zapomina, ani w Helsinkach, ani w Madrycie, że w Europie wojna nie zakończyła się podpisaniem traktatu pokojowego i że w takiej sytuacji akt końcowy z Helsinek, potwierdzony aktem końcowym w Madrycie, jest jedynym wielostronnym dokumentem międzynarodowym uznającym nienaruszalność granic powojennych, to znaczy — w optyce sowieckiej — podział Europy i satelizację państw Europy wschodniej i środkowej. Madryt dla Kremla równa się więc Jafcie. Takie równanie nie ma ceny dla Moskwy. Pozornie powinno tak być także dla Zachodu. Mnie np. wydawało się, że groźba jednostronnego wypowiedzenia aktu końcowego z Helsinek stanowiła najbardziej przerażającą broń w arsenale przewidzianym przez Zachód w wypadku bezpośredniej czy pośredniej interwencji sowieckiej w Polsce w 1981 roku. Prawdopodobnie się myliłem. Ani bowiem przez chwilę delegaci zachodni nie brali pod uwagę zerwania, lub choćby zawieszenia konferencji madryckiej i postawienia choćby symbolicznego znaku zapytania nad trwałością ustaleń aktu z Helsinek. Widocznie w Polsce nic ważnego w końcu się nie stało.

Po drugie, akceptując „kompromis” madrycki i kalendarz

spotkań pomadryckich, Moskwa uruchamia na nowo dynamikę dialogu Wschód-Zachód na swoich warunkach.

Delegaci sowieccy wezmą naturalnie udział w konferencjach na temat praw człowieka, gdzie wysłuchają bez mrugnienia oka zachodnich pretensji na temat gułagu itp. a sami ponowią oskarżenia Zachodu o łamanie praw człowieka przez USA w Nikaragui i... Afganistanie (dosłownie *Prawda* z 18 lipca...). Przede wszystkim jednak Sowieci zajmą się innymi konferencjami Wschód-Zachód. Oni wiedzą, że takie konferencje stanowią idealne forum do wygrywania konkurencji między Europą zachodnią a USA, a także między państwami Europy zachodniej bez USA. Atmosfera takich konferencji ułatwia potępienie wszelkich embargów i ograniczeń gospodarczych z powodów politycznych. To właśnie ten typ dynamiki dialogu pozwala Moskwie wygrywać wszelkie nieporozumienia, delikatnie mówiąc, między państwami zachodnimi, niezdolnymi do uzgodnienia prawdziwych priorytetów w ich interesach, skłonnych sprzedać siebie nawzajem za kilometr rury gazociągowej czy tonę zboża. To ta dynamika „dialogu” otworzyła Moskwie możliwość wygrania już nie tylko różnic między opozycją a rządem w RFN, ale nawet w łonie większości rządowej. Jak inaczej można wytłumaczyć skandaliczną wycieczkę Straussa do Polski i NRD, kiedy ów do niedawna postrach na dzieci w Polsce, pochwalił Jaruzelskiego i podarował miliard DM Honeckerowi?

Po trzecie, w zamian za swe „ustępstwa” (takie np. jak obietnica zwolnienia niektórych więźniów politycznych, łagodnych zielonoświątkowców, ale nie Orłowa, folklorystycznych pacyfistów, ale nie Szczarańskiego), Moskwa w Madrycie potrafiła narzucić swoją taktykę i potrafiła przekonać Zachód, że:

a) Nie należy precyzować, iż konferencja CDE w Sztokholmie powinna ograniczyć się wyłącznie do kategorii broni konwencjonalnych. Teoretycznie więc będzie ona mogła dyskutować także na temat broni atomowych. Można więc sobie wyobrazić z jaką drapieżną chucią rzucą się Rosjanie w tę wyrwę aby wykorzystać okazję dla uruchomienia i wzmocnienia swoich „inicjatyw pokojowych”, a przede wszystkim dla wywarcia nacisku na negocjacje atomowe w Genewie.

b) Konferencja w Sztokholmie, po której Moskwa tak wiele sobie obiecuje, powinna się zacząć natychmiast (faktycznie w październiku w Helsinkach) i nie powinna być ograniczona w czasie (według ekspertów potrwa około 10 lat!), ale żenująca Kreml konferencja na temat praw człowieka w Bernie nie powinna się odbyć przed 1986 rokiem i jest ograniczona do sześciu tygodni.

c) Prawo „pracowników do tworzenia związków zawodowych” itd. należy zaopatrzyć uwagą, iż realizacja tego prawa może nastąpić tylko „w zgodzie z ustawami zainteresowanych państw”. Wystarczy spojrzeć na przykład zastosowania tego „prawa do tworzenia związków zawodowych” w Polsce po 13 grudnia 1981, aby zrozumieć jaki to paragraf podpisał Zachód w Madrycie.

d) Zobowiązanie do wydawania paszportów w celu ułatwienia kontaktów rodzinnych „losowych” i innych, należy zaopatrzyć uwagą, że nastąpi to „w sposób tak szybki jak tylko to będzie możliwe”. Co to znaczy, możliwe dla kogo? Młody chłopak umarł w Moskwie, bo nie dano mu na czas wizy na operację do USA, prof. Sacharow umrze prawdopodobnie zanim KGB pozwoli mu ujrzeć wnuczkę w Bostonie, setki osób w Rumunii czekają na paszport aby połączyć się z rodzinami na Zachodzie i „umilają” sobie czas głodówkami... Wszystko w zgodzie z Madrytem: „szybciej nie było możliwe”.

e) Należy wyeliminować z 40-stronicowego dokumentu w Madrycie nie tylko takie subwersyjne słowa jak Afganistan czy Polska, chociaż te dwa epizody historii współczesnej wisiały jak chmura przez cały czas obrad w Pałacu Kongresów w Madrycie, ale należy przemilczeć także los tych wszystkich, którzy znaleźli się — lub znajdują — w więzieniu z powodu niezadowolonego zainteresowania sposobem w jaki ich kraje „realizują” zasady ustalone w Helsinkach, a obecnie w Madrycie. W czasie trwania obrad w Madrycie, poszedł do gułagu ostatni członek grupy helsińskiej w ZSSR. Przepraszam, jeden z subwersantów jest na wolności: pani Helena Bonner, żona więźnia z Gorki o nazwisku Sacharow. Gdzie będą członkowie polskiej grupy helsińskiej (lub madryckiej) powołanej przez „Solidarność” w chwili kiedy zbierze się konferencja w Bernie?

f) No i na koniec tej listy, którą można by oczywiście ciągnąć jeszcze długo, najpoważniejsza chyba gafa Zachodu w Madrycie. Chodzi na pozór o normalną w każdych negocjacjach grę taktyczną, gdzie pozycje wyjściowe zawsze zawierają pewne propozycje przewidziane z góry do porzucenia w zamian za podobnej wartości koncesje przeciwnika. Godząc się jednak w Madrycie na wyeliminowanie sprawy zagłuszania swoich (i Izraela) programów radiowych, Zachód popełnił lekkomyślność, błąd i zbrodnię.

Lekkomysłność, ponieważ wycofanie się Zachodu z żądania zakazu zagłuszania oznacza, w interpretacji sowieckiej, zgodę na zagłuszanie. Jest to po prostu nie do pojęcia. Jest to największa cena jaką Zachód kiedykolwiek zapłacił za „kompromis” z Rosją. Radio stanowi najpotężniejszą broń w rękach Zachodu. Siła oddziaływania RFE czy Liberty z RFN jest znacznie skutecz-

niejsza niż Pershingi w RFN. Polakom nie trzeba zresztą tego tłumaczyć. Amerykanom trzeba. Budżet sowiecki przeznaczony na zagłuszanie programów zachodnich równa się całemu budżetowi BBC. Czyżby Rosjanie wydawali takie sumy dla kaprysu? Za takie ustępstwo Zachód mógł otrzymać znacznie większe zadośćuczynienie niż zgodę na konferencję w sprawie kontaktów ludzkich czy rodzinnych, na którą Rosjanie i tak byli gotowi się zgodzić w zamian za konferencję sztokholmską choćby. Nieodpowiedzialne pudło o fatalnych skutkach.

Błąd, ponieważ jeżeli Zachód nie był przekonany o możliwości zmuszenia Moskwy do umieszczenia zakazu zagłuszania w dokumencie końcowym w Madrycie, nie powinien był w ogóle wysuwać tego żądania. Jest to bowiem postulat z kategorii: „albo wszystko, albo nic”. Radio jest bronią we współzawodnictwie ideologicznym, którego rangę wyznaczył nie Zachód a Rosja właśnie. Rezygnacja z tego żądania nie jest więc niczym innym niż kapitulacją o charakterze ideologicznym. Nie trzeba bogatej wyobraźni aby zdać sobie sprawę z użytku jaki Kreml z tej kapitulacji uczyni.

Zbrodnia, albowiem rezygnując ze swego oręża „w wojnie w eterze”, Zachód podpisał się pod wyrokiem śmierci na Zdzisławu Najdera, skazanego przez gang warszawski, na szczęście zaocznie, na rozstrzelanie za objęcie dyrekcji sekcji polskiej Radia Wolna Europa. „Wyrok” na Najdera miał być przede wszystkim ostrzeżeniem dla tych wszystkich, którzy starają się przebić żalony mur buczenia, mający chronić wszystkie Kremle i ich monopol informacji, od prawdy idącej na falach radiowych. Jak wytłumaczyć tym, którzy na Wschodzie zwalczają zagłuszanie za cenę często ich własnej wolności, że to w imię pokoju i szczęścia powszechnego wytworni dyplomaci, żyjący w dobrobycie i wolności, uznali, że można z tego akurat postulatu bez szkody zrezygnować.

## 2. Odsiedzimy później

Dosyć tej litanii. Przed postawieniem kropki należy jednak gwoli obiektywizmu uczynić dwie uwagi. Po pierwsze, nie wszyscy komentatorzy są mojego zdania. Niektórzy uważają Madryt za sukces Zachodu. Pewien bardzo poważny dyplomata specjalnie do mnie (i do innych) zadzwonił z Madrytu, aby mnie przekonać o dużym osiągnięciu jakim jest dokument końcowy z punktu widzenia Zachodu w ideologicznej konfrontacji ze Wschodem. Niemiecka gazeta *Kieler Nachrichten* (pomijam inne,

tę mam bowiem akurat pod ręką) napisała, że dokument końcowy jest ważny i dla niewolnych obywateli Wschodu, ale i „dla obywateli i rządów krajów zachodnich, które także nie przestrzegają w całości zasad helsińskich” i że wynik konferencji, która, jak gazeta przypomina, została wszak „poważnie wstrząśnięta” ogłoszeniem stanu wojennego w Polsce, stanowi „mały cud”.

Po drugie i ostatnie. W polityce cudów nie ma. Jest natomiast strategia, taktyka i wola działania. Na razie Madryt to sukces Moskwy, Warszawy itd. Jest jednak prawdą, iż dokument madrycki może stać się prawdziwym kompromisem. Ale to zależy wyłącznie od woli Zachodu wykorzystania zygzaków i sporów, mimo wszystko, możliwości interpretacji, jakie daje 40 stron zredagowanych w Madrycie.

Rządy i opinia na Zachodzie otrzymują potencjalnie poważny instrument stałego nacisku na rządy sowieckie i pochodne. Dokument madrycki daje możliwość regularnego domagania się od rządów wschodnich i ich tzw. organizacji społecznych (np. kulturalnych lub dziennikarskich) „rozliczenia się” z ich sposobu traktowania zobowiązań międzynarodowych. Nie mam iluzji, co myślę o ONZ czy UNESCO powiedziałem w moim poprzednim lamencie, ale jakież to jednak wygodne forum i trybuna do kierowania pod adresem Wschodu listy pytań związanych z nieuniknionym wszak gwałceniem przez państwa wschodnie wszystkich kolejnych paragrafów dokumentu z Helsinek czy Madrytu! Będzie forum kulturalne i to w Budapeszcie, cóż to za okazja do sprawdzenia losu artystów, aktorów, wszystkich ZASP-ów, będzie forum naukowe: los Sacharowa powinien figurować na pierwszym miejscu. (Przypominam, że przy takiej samej okazji w Hamburgu uczeni z całego świata podpisali końcowy dokument, w którym nie było nawet wzmianki o Sacharowie, chociaż panowie ci spotkali się w kilka tygodni po deportowaniu ich kolegi, laureata nagrody pokojowej Nobla, do miasta Gorki). Wolny dostęp do zachodnich ambasad, wszak to dziś kpina, wystarczy podejść na kilkadziesiąt metrów do tych twierdz i fortec w Moskwie czy Bukareszcie, nie mówiąc już o Warszawie, aby znaleźć się pod groźbą kałasznikowów.

Trzeba skończyć po prostu z zasadą: nie drażnić Sowietów. Odwrotnie — trzeba ich drażnić. Oni tak szybko i z byle powodu nie wyjdą z nerw i nie wypowiedzą trzeciej wojny światowej. Natomiast dokument madrycki zacznie wtedy zwracać choćby ułamek kolosalnych kosztów jego wyprodukowania. W skrócie mówiąc, jak każdy kompromis, także dokument madrycki może funkcjonować jak bumerang. Zachód może także się nim posługiwać. Musi tylko umieć. No a przede wszystkim musi chcieć...

Pewien dyplomata brytyjski tłumaczył mi, że w negocjacjach z Kremlem wygrywa ten, kto zdecydowany i zdolny jest pozostać przy konferencyjnym stole o dzień dłużej niż Rosjanie. Zachód w Madrycie niestety się spieszył. Oby nie musiał odsiedzieć tego później...

Pisane 15 sierpnia 1983.  
*Kultura* nr 9/432, 1983.

---

TRZY LISTY NA TEMAT MADRYTU  
MIĘDZY WARSZAWĄ, PARYŻEM  
I BRUKSELĄ POD OGÓLNYM HASŁEM  
„O WILKU MOWA”...

*List nr 1: Leopold Unger do Jerzego Giedroycia*

Drogi Redaktorze,

Odsyłam Panu wypowiedź pana Adama Wojciechowskiego z Warszawy (czasowo w Paryżu), poświęconą moim „nad wyraz uproszczonym ocenom” na temat konferencji w Madrycie (*Kultura* nr 9/1983). Wypowiedź ta stanowi dokument znamienity i bardzo na czasie. Z dwóch powodów.

Po pierwsze i tak zamierzałem powrócić do *happening*’u madryckiego, jako że moje „uproszczone oceny” były zredagowane i drukowane przed oficjalnym i uroczystym zamknięciem konferencji. List p. A.W. daje mi znakomity, choć smutny pretekst do powrotu do tej tematyki.

Po drugie dlatego, że wypowiedź p. A.W. jest dobrym przykładem intelektualnej (?) metody mistyfikacji, jaką, świadomie lub nie, posługują się ludzie korzystający, dla nadania swoim poglądom pozorów niezależności, z trybun takich jak *Ład*, pisma o katolickim szyldzie i o marginesie cenzury, a więc i zaufania szerszym niż np. *Trybuna Ludu*.

Do wypowiedzi p. A.W. załączam siłą rzeczy obszerniejszy list do Pana, z moim komentarzem na temat wartości konferencji w Madrycie i jakości wypracowania p. A.W.

Leopold UNGER  
(nie czasowo w Brukseli)

*List nr 2: Adam Wojciechowski do Jerzego Giedroycia*

Panie Redaktorze,

Artykuł Leopolda Ungera „Jałta - Helsinki - Madryt” (*Kultura* nr 9/1983) poświęcony ocenie konferencji przeglądowej KBWE w Madrycie zawiera

wiele ocen nad wyraz uproszczonych np. „Zwyciężyła znana teza sowiecka: im gorzej tym bardziej dialog jest potrzebny”. W związku z tym należy przypomnieć słowa szefa delegacji amerykańskiej Maxa Kampelmana wypowiedziane na początku konferencji (17 listopada '80), stwierdzające, że pomimo zasadniczej niezgodności dwu systemów politycznych: „Jesteśmy zmuszeni do współistnienia a nawet do współpracy”.

Słowom Kampelmana wtórowały niby echo słowa sekretarza stanu Shultza na zakończenie konferencji, który wyłożył zebranych „najgłębszą istotę” procesu KBWE, polegającą na „... historycznym wysiłku niwelowania okrutnego podziału pomiędzy Wschodem a Zachodem w Europie”. George Shultz powiedział: „Jest to wysiłek, który musi trwać ponieważ ucieleśniamy najbardziej podstawowe interesy, najgłębsze przekonania i wysokie nadzieje wszystkich ludzi w Europie”. Może więc mamy do czynienia nie tyle z „tezą sowiecką” ile z tezą amerykańsko-radziecką??!

Pan Unger ułatwia sobie pracę wybierając z tekstu komunikatu madryckiego kawałki, które pasują do tezy, z którą zasiadł do pisania artykułu, ale nie zadaje sobie trudu żeby odpowiedzieć na zasadnicze pytanie, które nasuwa proces pohelskiński: dlaczego konferencja madrycka, w przeciwieństwie do belgradzkiej z 1977 roku, zakończyła się sukcesem, pomimo wyraźnego zaostrzenia się sytuacji międzynarodowej. W braku innego proponuję czytelnikowi własne wyjaśnienie, które przedstawiłem na łamach tygodnika katolicko-społecznego *Ład* (nr 42/1983) pisząc: „W Belgradzie, gdzie horyzont *détente* zaczynał się dopiero chmurzyć, doszło do próby politycznego dyskutowania treści komunikatu przez rywalizujące bloki państw w Europie (...), państwa neutralne nie odegrały wtedy roli mediatorów. Inaczej w Madrycie, wobec pogarszającego się klimatu w stosunkach międzynarodowych głos państw neutralnych zabrzmiał jak dzwonek alarmowy. Uczestnicy uświadomili sobie, że w takim momencie trzeba uratować forum KBWE, jako jedyne funkcjonujące forum dla szukania punktów wspólnych lub zbliżonych, łączących narody europejskie”.

Nade wszystko p. Unger nie dostrzegł związku pomiędzy konferencją madrycką a zarejestrowaniem Solidarności. W kraju niewielu ludzi pamięta — nie mówiąc już o emigracji, że istniał ścisły związek pomiędzy datą zarejestrowania Solidarności (10 listopada) a terminem rozpoczęcia konferencji madryckiej, który przypadał w dniu następnym. Trzeba przypomnieć, że działacze Solidarności regionu Mazowsze zapowiedzieli strajk ostrzegawczy w regionie na 12 listopada na wypadek niezarejestrowania Solidarności. Do strajku jednak nie doszło ponieważ władze podjęły decyzję o rejestracji związku w przeddzień rozpoczęcia konferencji. Pamiętam ten fakt doskonale ponieważ proponowałem taki właśnie wybór terminu p. Antoniemu Macierewiczowi, ówczesnemu doradcy politycznemu p. Bujaka.

W Madrycie decyzja władz polskich wywołała niebywałe zaskoczenie a zarazem przyjazne reakcje uczestników konferencji, co zostało odnotowane w niektórych przemówieniach wstępnych. W mojej opinii decyzja ta przyczyniła się do przełamania impasu w konferencji, który dokonał się w nocy przed rozpoczęciem właściwej konferencji. Rozwojem sytuacji najbardziej byli zaskoczeni Amerykanie, którzy przesunęli o tydzień wystąpienie otwierające szefa swojej delegacji i dokonali w nim poważnych zmian.

Piszę o tym nie tylko dlatego, żeby opublikować fragment mojego tekstu w *Ładzie*, usunięty przez cenzurę, ale przede wszystkim dlatego, żeby przypomnieć dramatyczny moment rejestracji Solidarności, oraz wskazać na związek pomiędzy konferencją a decyzją władz o jej zarejestrowaniu. Już choćby dla tego samego faktu warto było, żeby się konferencja odbyła.

Na koniec drobne sprostowanie dotyczące dostępu do ambasady amery-



kańskiej w Warszawie. Pan Unger pisze, że to kpina. Jest inaczej. Wprawdzie przed wejściami do ambasady stoją codziennie posterunki milicyjne, ale funkcjonariusze nie są uzbrojeni ani w kałasznikowy ani nawet w pałki i zachowują się wyjątkowo poprawnie. Do ambasady mają dostęp obywatele polscy posiadający paszporty. Można też dostać się do ambasady przed i po zakończeniu urzędowania, kiedy nie ma już posterunków. Robię to co tydzień, kiedy odbieram tygodnik *Newsweek*, odkładany przez *press section*; robi to samo kilkunastu znanych mi ludzi. Trzeba stanowczo p. Ungerowi doradzić pisanie prawdy, całej prawdy i tylko prawdy. Kiedy p. Unger pisywał do gazet w Polsce, również nie stosował się do tej zasady, jeżeli mię pamięć nie myli. Cóż, jak powiadają Włosi: *Il lupo perde il pelo ma non il vizio* (Wilk zmienia sierść ale nie zmienia złych przyzwyczajęń).

Adam WOJCIECHOWSKI  
(czasowo w Paryżu)

Paryż, 14 listopada 1983 r.

### *List nr 3: Leopold Unger do Jerzego Giedroycia*

Drogi Redaktorze,

Mógłbym ten list zacząć tak jak Pan A.W. i mógłbym napisać, że list p. Wojciechowskiego „zawiera wiele ocen nad wyraz uproszczonych”, i że p. Wojciechowski (fragment elegancki choć stylistycznie kulawy) „ułatwia sobie pracę wybierając z tekstu artykułu Ungera w *Kulturze* kawałki, które pasują do tezy, z którą zasiadł do pisania artykułu”. Wtedy jednak moja odpowiedź choć właściwie wystarczająca, byłaby za krótka, nie pedagogiczna. Odpowiadam więc szerzej, myśląc przede wszystkim nie o p. Wojciechowskim, ale o jego czytelnikach. Mam bowiem nadzieję, że tak jak ja zaproponowałem Panu opublikowanie dla użytku Czytelników *Kultury* pełnego tekstu obu listów, tak p. A.W. postara się jakąś drogą (wiem, że w *Ładzie* nie będzie to możliwe), doprowadzić moje poglądy na temat jego poglądów do wiadomości jego czytelników.

Wypowiedź p. Wojciechowskiego sprowadza się właściwie do trzech lekcji. Dwie pierwsze dotyczą polityki, trzecia dotyczy moralności, obowiązku pisania całej prawdy i roli wilka w historii. A więc po kolei.

### *Sukces?*

Zarzut pierwszy: Unger nie zadał sobie trudu, aby odpowiedzieć na pytanie „dlaczego konferencja madrycka, w odróżnieniu od belgradzkiej, zakończyła się sukcesem?”.

Moja odpowiedź jest prosta, choć długa. Nie tylko nie zadałem sobie trudu aby odpowiedzieć na pytanie dlaczego konferencja madrycka zakończyła się sukcesem, ale zadałem sobie dużo trudu (szkoda że p. A.W. tego nie zauważył), aby udowodnić, że zakończyła się ona całkowitym fiaskiem. Dziś, w kilka tygodni po uroczystościach madryckich mogę dodać, że zakończyła się także skandaliczną farsą.

Pomiędzy zakończeniem mojego artykułu pt. „Jałta-Helsinki-Madryt”, który się tak bardzo nie spodobał p. A.W., a zakończeniem konferencji w Madrycie, wydarzył się bowiem pewien wypadek nad morzem Japońskim w rejonie Sachalinu, gdzie sowieccy młodcy bohaterstwo stracili rakieta powietrze-powietrze południowokoreański Boeing 747 wraz z 269 cywilami na pokładzie. Pan A.W., który jak wynika z zakończenia jego listu, łatwo udziela lekcji pisania prawdy, zapomniał o tym drobiazgu. Konferencja madrycka nie zapomniała.

Pan A.W. powołuje się na cytaty z przemówień w Madrycie. Pan A.W. czytał je jednak niedokładnie. Gdyby czytał dokładnie, to dowiedziałyby się co myślą o tym fajerwerku z Kamczatki nie tylko panowie Shultz i Kampelman, ale także ulubieńcy p. A.W. z krajów neutralnych, takich jak np. Szwajcaria, Austria czy nawet Finlandia. Stanowisko jakie p. Kampelman zajął nie wymaga cytowania, wystarczy przytoczyć wypowiedź na ten temat świadka bliższego geopolitycznie panu A.W., a mianowicie ambasadora sowieckiego Kondraszyna. Przemówienie swego amerykańskiego kolegi nazwał on „najbardziej agresywnym, kłamliwym, obraźliwym i godnym pogardy wystąpieniem, jakiego zdarzyło mu się wysłuchać w toku konferencji madryckiej”.

Pan A.W. powołuje się na tezę p. Shultza o „konieczności niwelowania podziału”. Ja też tak uważam i to właśnie w moim artykule powiedziałem, wspominając (czego pan A.W. także nie zauważył) o nieuchronnej w jakimś punkcie zbieżności interesów supermocarstw. Pytanie tylko, gdzie taki punkt się sytuuje?

Dla pana A.W., który o 747 w ogóle nie wspomina, leży ten punkt całkowicie poza zbrodnią nad Sachalinem. Rozumowanie to jest jednak niebezpieczne. Jeżeli bowiem interesy supermocarstw zakładają wyeliminowanie takich zbrodni jak zbiorowy mord na 269 niewinnych pasażerach, to logicznie biorąc ofiary z kopalni Wujek, a także w ogóle cała sprawa polska się nie liczą. Być może tak jest, ale ja się z taką strategią nie zgadzam.

Jasne, należy starać się o utrzymanie nici dialogu. Pytanie tylko jakim kosztem? Uważam, że „niwelowanie różnic” za cenę

milczenia nad sachalińską czy polską (*toute proportion gardée*) trumną, prowadzi prosto, choć może powoli, do katastrofy.

Nie tylko ja tak uważam. Obaj przytoczeni przez pana A.W. politycy też zaczynają tak uważać. Pan Shultz został przykrojony przez pana A.W. według najlepszych wzorów *Trybuny Ludu*. Zanim amerykański minister wspomniał o „niwelowaniu”, przedłożył konferencji w Madrycie pełny katalog łamania przez Moskwę praw człowieka i obywatela w ogóle, wewnątrz ZSSR i poza jego granicami (Polska), poczynwszy od podpisania układu w Helsinkach aż po Boeinga nad Sachalinem. Wniosek pana Shultza był lodowato prosty: teza sowiecka o absolutnie bezpieczeństwa ZSSR oznacza absolutne zagrożenie dla reszty świata. Jest to stanowisko nie do zaakceptowania dla USA. To jest właśnie „różnica”, którą należy przede wszystkim „zniwelować”.

Szkoda czasu na detale. Któryś z dyplomatów neutralnych określił zakończenie konferencji madryckiej jako „szczyt nie-dialogu”. Inny — jako „trzeci (po dnie morza Japońskiego i inwektywach propagandy sowieckiej) pogrzeb ofiar z Sachalina”. Inny jeszcze nazwał przemówienia końcowe „mowami pogrzebowymi” i zastanawiał się gdzie wreszcie, po madryckiej pantomimie, nastąpi kolejny strzał sowiecki. Pan Howe, brytyjski minister spraw zagranicznych, przypomniał swego rodaka Orwella i jego rok 1984, co rzeczywiście pozwoliło umieścić końcową fazę konferencji w bardziej prawidłowym kontekście.

Żeby zrobić przyjemność panu A.W., powołałam się jeszcze na pana Kampelmana. Pan A.W. cytuje słowa ambasadora amerykańskiego z początkowej fazy Madrytu. Ja przytoczę to, co miał do powiedzenia na zakończenie. Wniosek tego członka partii demokratycznej, którego *Wall Street Journal*, pismo raczej nie postępowe, proponuje Reaganowi na sekretarza stanu po nowych wyborach, sprowadza się do podwójnej tezy: a) system sowiecki stanowi uosobienie i imperium zła. Totalitaryzm sowiecki wyzwala bowiem najbardziej diabelskie cechy człowieka; b) siła ZSSR polega wyłącznie na jego potędze wojskowej i na naszym, zachodnim strachu.

Oraz na — to już jest mój dodatek — naiwności, żeby nie użyć innego określenia. Czego artykuły, takie jak pana A.W., są bardzo charakterystycznym przykładem. Według pana Kampelmana i jego kolegów, zachodnich i neutralnych, lepszy jest zły czy cyniczny koniec niż żaden. Dwa są źródła tej filozofii. Przede wszystkim niemoc Zachodu zajęcia jednolitego stanowiska dla skontrowania ZSSR. Europa utonęła w mleku i maśle. ONZ jest sparaliżowana i skorumpowana, egoistyczne interesy uniemożli-

wiają jakąkolwiek wspólną akcję. Wystarczy przypomnieć reakcję Europy na interwencję amerykańską w Grenadzie, aby uzmysłowić sobie, że „niwelować podział” warto na razie na Zachodzie.

Z drugiej strony, wszyscy zachodni i neutralni uczestnicy konferencji w Madrycie byli zgodni co do tego, że przyjęcie, wbrew wszystkiemu co zaszło między Wisłą a morzem Japońskim, dokumentu końcowego w Madrycie, utworzy coś w rodzaju stałego sądu nad ZSSR, permanentnego pręgierza, pod którym każdy skrzywdzony będzie mógł postawić Andropowa, jeżeli naturalnie będzie on w ogóle mógł jeszcze stać o własnych siłach.

Pan Kampelman wołał w części nie cytowanej przez pana A.W.: „Porozumienie w Madrycie, to są słowa. My czekamy na fakty”. I doczekał się: 51 osób w sowieckim gułagu za próbę sprawdzenia, jak ZSSR realizuje zobowiązania madryckie, wszyscy dysydenci wyciszeni, Sacharow powoli duszony w Gorki, pacyfiści na Łubiance, emigracja żydowska w punkcie zero. Jak za Stalina. A w Polsce? Jaki jest dziś wpływ Madrytu na KOK i generała Jaruzelskiego?

Jeżeli na tym ma polegać proces „niwelowania okrutnego podziału” to zgadzam się, że konferencja w Madrycie zakończyła się jak tego chce pan A.W., sukcesem. Obawiam się jednak, a raczej spodziewam się, że jak wynika z początku instalowania eurorakiet i interwencji na Grenadzie, ulubieni mówcy pana A.W. to znaczy panowie Shultz i Kampelman są innego zdania.

### *Z w i ą z e k ?*

Zarzut drugi: Unger nie dostrzegł „związku między konferencją madrycką a zarejestrowaniem 'Solidarności'”. Rzeczywiście nie dostrzegł, bo takiego związku nie ma. Nie będę się zastanawiać czym się kieruje pan A.W., wypowiadając taką tezę: naiwnością czy złą wiarą. Jest to zresztą sprawa wtórna, nie intencje się liczą, a skutki. Przyjrzyjmy się temu bliżej.

Pan A.W. twierdzi, że „Solidarność” zarejestrowana została 10 listopada, albowiem konferencja madrycka zaczynała się na jutro. Jest to hipoteza łatwa do podważenia. Sam pan A.W. zresztą ją obala, przypominając, że na 12 listopada zapowiedziany był strajk „Mazowska”, czyli Warszawy. Czym się kieruje pan A.W. przypuszczając, że władze w Warszawie działały pod strachem Madrytu, a nie pod strachem strajku w Warszawie? Dlaczego tańce i gadulstwo 35 dystyngowanych dyplomatów w mieście odległym o 2,5 tys. kilometrów potrafiły zmusić władze polskie do nadania legalnego bytu pierwszemu niezależnemu syn-

dykatowi w historii obozu komunistycznego, a nie potrafiły przeszkodzić zamachowi stanu 13 grudnia 1981, a potem kolejno likwidacji tego samego związku oraz wszystkich innych stowarzyszeń twórczych, w skrócie mówiąc łamaniu w czasie trwania konferencji wszystkich absolutnie paragrafów porozumień z Hel-sinek, których porozumienie w Madrycie miało być uroczystym ponowieniem?

Pan A.W. wspomina, że właśnie fragment o związku między zarejestrowaniem „Solidarności” i konferencją madrycką cenzura z *Ładu* wyrzuciła. Nie rozumiem dlaczego. Cenzura działała zapewne w pośpiechu. Wszak generał Jaruzelski także chce przekonać Polaków, że działa pod presją zagraniczną, i że ich, Polaków, postępowanie, manifestacje, zrywy, strajki, „Solidarność”, grudnie 1970, kopalnie Wujek itd., nie mogą w warunkach polskiej geopolityki mieć i nie będą miały żadnego wpływu na ich własny los. Pan A.W. skorzystał z czasowego pobytu w Paryżu, aby swój pogląd na związek Madrytu i „Solidarności” upowszechnić. Szkoda, że nie miał nic więcej do powiedzenia, szkoda, że przed napisaniem listu do *Kultury* nie porozmawiał znowu z panem Macierewiczem na temat wpływu konferencji w Madrycie na losy „Solidarności”, KOR-u i Polaków w ogóle. Niestety, kontakt z panem Maciurewiczem nie był możliwy. Mimo „sukcesu” konferencji madryckiej, pan Maciurewicz pozostaje mianowicie w podziemiu, inaczej bowiem znalazłby się tak jak wielu jego kolegów w więzieniu, gdzie musiałby, być może, w ramach wyroku, czytać artykuły pana A.W. w piśmie *Ład* poświęcone analizie sukcesu madryckiego.

Pan A.W. opisuje *dolce far niente* przed i w ambasadzie USA w Warszawie. Przypomina mi to zachwyty młodego urzędnika na temat swego szefa: szalenie miły, zawsze gościnny i bardzo hojny w podarki. Wobec ciebie? — zapytano. Nie, wobec mojej siostry — odpowiedział. Pan A.W. może naturalnie chodzić po *Newsweek*, ale na zasadzie „siostry”. Czy mam mu dać adresy ludzi, którzy mają inny statut „rodzinny” w Warszawie, nie mówiąc już o Moskwie czy Pradze? MO zachowuje się poprawnie? Nic dziwnego wobec „siostry”! Czy mam dać panu A.W. adresy osób, wobec których MO czy ZOMO zachowały się inaczej?

Pewien inny Polak, „osoba prywatna”, niejaki Lech Wałęsa, nie ma statutu „siostry” i być może dlatego jemu akurat nie udało się dotrzeć do ambasady USA. Samochód, który go wiozł do *chargé d'affaires* USA w Warszawie, pana Daviesa, został zawrócony z drogi przez „poprawnie zachowującą się” policję pozostającą pod rozkazami jednego z uczestników porozumień w

Madrycie i skierowany zamiast w aleje Ujazdowskie do Gdańska, co nie jest zupełnie po drodze.

Pan A.W. udziela mi wielostronnej lekcji uważnego czytania ale sam nie przeczytał uważnie artykułu, z którym polemizuje. Napisałem mianowicie o otwartych drzwiach, które on tak energicznie wywala, że dokument madrycki może być bardzo istotnym czynnikiem presji moralnej, skutecznym instrumentem działania, itd. itp. pod warunkiem oczywiście, że Zachód będzie tego chciał. Zachód jednak nie chciał i nie chce lub nie może. Pisanie takie jak pana A.W. umacnia Zachód w tej niemożności i w tym niechceniu. Skoro bowiem wystarczy sama obecność 35 gentlemanów w dobrym, madryckim hotelu, aby wymusić na komunistycznej władzy historyczną decyzję o nadaniu legalnego życia największej herezji w historii sowietyzmu, to po co ryzykować własny i zryw na Wschodzie i przeszkadzać śpiącemu kapitulantwu Zachodu?

Stanowisko pana A.W. (i inne podobne) jest bardzo szkodliwe także i z innych, mniej ważnych niż kapitulantkie, przyczyn. Po pierwsze, zgoda na jednogłośnie przyjęcie dokumentu, co do którego z góry wiadomo, że będzie przez większość „wysokich umawiających się stron” całkowicie gwałcony we wszystkich paragrafach i to natychmiast, począwszy od dnia podpisania, stanowi dramatyczne źródło demoralizacji w stosunkach międzynarodowych. *Vide* — rząd PRL począwszy od 13 grudnia 1981.

Po drugie, zawieranie poważnych układów z rządami takimi jak ZSSR czy PRL na temat np. wolności słowa czy zrzeszania się, w warunkach kiedy wiadomo, że wszystkie te zasady są tam powszechnie, codziennie, dokładnie gwałcone i ośmieszane, stwarza złudzenie symetrii między systemami i jednoznaczności pojęć np. dziennikarza czy działacza związkowego w USA i ZSSR, w Wielkiej Brytanii i w Polsce.

Po trzecie, w imię skuteczności konferencji typu „madryckiego”, Zachód nie tylko pomaga ZSSR (nie warto tego tłumaczyć, napisałem to w poprzednim, jak mówi pan A.W. „kawałku” o Madrycie), ale wpada w dodatkowe pułapki, takie np. jak w sprawie zagłuszenia zachodnich radiostacji. To zagłuszenie właśnie przeszkodziło Wałęsie, który nie chciał być czasowo w Oslo, w odbiorze sprawozdania z uroczystości wręczenia jemu samemu nagrody Nobla. Szkoda, że pan A.W. nie skorzystał z czasowego pobytu w Paryżu aby ustosunkować się, właśnie w kontekście Madrytu, do sprawy zagłuszenia i do wyroku na Zdzisława Najdera, co uczyniło bardzo wielu jego kolegów, przebywających nie czasowo w Polsce.

## Prawda?

W tych warunkach jedynym oryginalnym i trafnym wkładem pana A.W. w dyskusję Wschód - Zachód jest jego lekcja moralności na temat pisania prawdy. Z tym zastrzeżeniem tylko, że to co jest oryginalne, nie jest trafne, a to co jest trafne, nie jest oryginalne. Jest to stara metoda codziennie praktykowana między Bałtykiem a Morzem Japońskim. Pan A.W. formułuje postulat absolutny domagając się ode mnie bezwarunkowego pisania „prawdy i tylko prawdy”. Kiedy jednak oskarża Ungera o to, że „kiedy pisywał do gazet w Polsce, nie stosował się do tej zasady”, pan A.W. tchórzliwie chroni się wybiegiem „jeżeli mnie pamięć nie myli”.

A jeżeli go pamięć myli? Co będzie wtedy z postulatem pisania tylko całej prawdy? Czyżby brak pamięci usprawiedliwiał pisanie kłamstwa? Pan A.W. jest już zapewne nie czasowo w Warszawie. Kiedy następnym razem będzie znowu czasowo w Paryżu, radzę mu aby nie ufał swej pamięci i jeżeli będzie znowu chciał polemizować z moimi „nader uproszczonymi” poglądami, żeby zaopatrzył się w uczciwie i zgodnie z prawdą, którą tak ukochał, wybranymi cytatami nie tylko z przemówień Kampelmana, ale także artykułów, tych pisanych dziś i tych, jeżeli je odnajdzie i jeżeli go pamięć nie myliła, pisanych kiedyś przez wilkołaka Ungera, który zmienił sierść (*hélas* — włos rzeczywiście zbiełał), ale nie zmienił tego co pan A.W. uważa za złe przyzwyczajenia.

Jak wynika z wypowiedzi pana A.W. jemu istotnie nie można tego zarzucić. Jeżeli bowiem artykuł Ungera na temat Madrytu jest dowodem jego złego charakteru, to treść i jakość listu Wojciechowskiego świadczy istotnie, iż ma on całkiem nadzwyczajny charakter. Zupełnie bez związku z wilkami, choć może nie bez związku z zoologią w ogóle.

Pan A.W. opisuje się znajomością włoskich przysłów. To dobrze świadczy o jego erudycji. W zamian zacytuje mu słowa Francuza La Rochefoucauld: „Prawda — powiedział on pod adresem takich polityków jak pan A.W. — czyni światu mniej dobra, niż zło jakie powodują jej pozory”.

Na koniec, powrót do Madrytu. Podczas trwania konferencji wszystkie posiedzenia rozpoczynały się od sygnału dźwiękowego zaczerpniętego ze starego madrygału hiszpańskiego. W fazie końcowej pewien dyplomata, jeden z tych na których pan A.W. się powołuje, zauważył przy dobrym obiedzie, że po zbrodni

sachalińskiej madrygał należałoby zastąpić fragmentem jakiegoś żałobnego *requiem*. Ja dodałem, że jeszcze bardziej na miejscu byłoby rozpoczynanie posiedzeń od minuty milczenia.

Szkoda, że pan Adam Wojciechowski z tej minuty nie skorzystał.

Pisane 19 grudnia 1983.

*Kultura* nr 1/436-2/437, 1984.





# KRÓTKI KURS ZSSR



## JIMMY REAGAN?

Ateny, piątek, 14 czerwca 1985, 9-ta rano czasu miejscowego. Boeing 727 amerykańskich TWA lot nr 847 z Kairu do Rzymu startuje w dalszą drogę po międzylądowaniu w Atenach z 143 pasażerami i 8 osobami załogi na pokładzie. 10 minut po starcie, dwóch młodych pasażerów o wyglądzie „śródziemnomorskim” (tak się mówi w prasie zachodniej o Arabach aby nie narazić się na zarzut rasizmu), opuściło swoje miejsca i z walizeczkami typu *attache case* udało się do toalet. Po chwili wyszli już bez walizeczek, ale za to z naganem 9 mm i dwoma granatami w rękach. „Ręce na kark, głowa w dół, ani słowa” wrzasnęli wyraźnie rozhisteryzowani dżentelmeni, przystawiając rewolwer do skroni stewardessy i wymachując granatami przed kapitanem Johnem Testrake, 58 lat, weteranem, który po tym właśnie locie miał odejść na emeryturę i zająć się winnicą w stanie Missouri.

Zamiast do Missouri obleciał w sześciu etapach Morze Śródziemne.

1) Palermo na Sycylii. Bez problemów. Włosi natychmiast napełnili zbiorniki aby tylko pozbyć się porywaczy i zakładników, choć był to wygodny moment aby unieruchomić samolot i zaatakować piratów.

2) Bejrut. Zaczynają się problemy. Porywacze przedstawiają się. „Należymy do szybkiej bojówki samobójczej Al Hussein. Domagamy się natychmiastowego zwolnienia wszystkich Arabów przetrzymywanych w więzieniach izraelskich, wycofania sił izraelskich z południowego Libanu, potępienia polityki amerykańskiej w całym świecie arabskim. Jeżeli nie, to wysadzamy wszystko w powietrze”. Na razie odlecieli z Bejrutu, a na znak swych szlachetnych intencji zwolnili 19 kobiet i dzieci.

3) Algier. Tu znowu jest okazja aby zaatakować porywaczy. Ale w Algierze to niemożliwe, nie będą strzelać do swoich. To

wszak bracia w islamie. Napełnili więc zbiorniki i powiedzieli „z Bogiem”.

4) Bejrut na nowo. Po drodze sprawy zaczynają się precyzować. Stewardessa Ula Derickson została wezwana do zebrania wszystkich paszportów i dokonania selekcji wśród pasażerów: chodziło o odseparowanie osób o nazwiskach brzmiących z żydowska.

Nie była to jedyna selekcja: w drugiej odseparowano czterech pasażerów podejrzanych o przynależenie do armii amerykańskiej. Po wylądowaniu Boeinga w Bejrucie, świat się dowiedział o co chodzi. Siedmiu podejrzanych o niedobre pochodzenie żydowskie zostało pod osłoną nocy zabranych z pokładu i wywiezionych w niewiadomym kierunku. Jeden z czterech podejrzanych o związek z armią USA, Robert Stethen, amerykański nurek z Grecji, został bestialsko pobity, a potem zabity kulą w kark (skąd u Arabów ten sposób z Katynia?) i nieżywy wyrzucony na beton lotniska. „Na pokaz i na postrach”, powiedzieli. Porywacze byli nerwowo i fizycznie wyczerpani, na pokład weszli więc ich koledzy dla pomocy i rotacji. I odlecieli.

5) Algier na nowo. Tu porywacze dowiedzieli się, że ich współnik został aresztowany w Atenach. „Jeżeli Ali Atwa (znaczy się współnik) nie będzie natychmiast wysłany do Algieru, zabijemy ośmiu pasażerów greckich”. Został wysłany specjalnym samolotem Olympic Air, nie zabili ani jednego. Odwrotnie, wszystkich Greków zwolnili, w tym śpiewaka rock Denisa Russosa. Papandreu odetchnął, a wraz z nim 50 innych rodzin, tyluż bowiem pasażerów zwolnili porywacze w Algierze. No i odlecieli.

6) Bejrut, na nowo. I na dobre. Porywacze byli nareszcie u siebie. Lotnisko Khaldé położone jest na południowym przedmieściu Bejrutu, całkowicie kontrolowanym przez bojówki szyickiego ugrupowania Amal. Szyici, tacy trockiści islamu — według wyrażenia Brońskiego — jedna z dwóch głównych sekt muzułmańskich, zamieszkujących głównie Iran, stanowią najliczniejszą z wielu wspólnot religijnych w Libanie, ale byli zawsze najbiedniejsi, pozbawieni praw i wpływu na władzę, żyli na marginesie Libanu, oazy kultury i dobrobytu na Bliskim Wschodzie, kontrolowanym przez maronickich chrześcijan i sunnickich muzułmanów. Wojny religijne między sunnitami a szyitami, między Druzami a chrześcijanami, ale także między każdym oddzielnie i wszystkimi razem z Palestyńczykami Arafata, najazdy Syrii i Izraela, zniszczyły Liban.

W koszmarnym kołowrotku historii Libanu ostatnich 15 lat, szyici postanowili wywalczyć należne im prawa. Zaczęli więc,

tak jak inni, zabijać swoich i cudzych. Dziś jest to ruch reprezentowany w Libanie przez organizację wojskowo-polityczną Amal, co znaczy — żeby nie było wątpliwości — „Nadzieja”. Kiedyś sfrustrowani i bezradni, dziś szybcy kontrolują całe południe Bejrutu i Libanu, w tym lotnisko. Jak każdy ruch religijny, Amal ma swoich sfanatyzowanych ekstremistów, zwą się Hezbollah, szaleńcy Boży, i działają pod wpływem i za pieniądze zwiadowanych mollahów i ajatollów z Teheranu.

## *W domu*

Kiedy więc, w 60 godzin po starcie z Aten, Boeing TWA wylądował po raz drugi w Bejrucie, porywacze znaleźli się po prostu w domu. Ich bojówki otoczyły samolot, Amal dał firmę. Amal, a zwłaszcza jego szef Nabih Berri. Postać, owszem, niebanalna: minister nieistniejącej „sprawiedliwości” w nieistniejącym rządzie nieistniejącej „jedności narodowej” nieistniejącego Libanu i nieistniejącego prezydenta Gamajela. Adwokat, pierwsza żona Amerykanka (ma z nią 6 dzieci i sieć stacji obsługowych w USA), Berri, 47 lat, ubierający się wyłącznie po cywilnemu, nie podnoszący głosu, nic z fanatyka, wystarczająco sprytny aby przejąć i utrzymać od 10 lat przywództwo Amalu, natychmiast zrozumiał, że sfanatyzowani Hezbollahowicze podali mu na tacy kolosalną szansę polityczną. I że on musi tę szansę wykorzystać. No i wykorzystał.

Przejął kierownictwo operacji. Przede wszystkim dla „zapewnienia bezpieczeństwa” zakładnikom w obliczu groźby akcji komandosów... izraelskich, wycofał pasażerów z Boeinga i rozrzucił ich po mieście, każdego oddzielnie, bez bicia ni krzyku, tak aby nikt poza nim nie mógł ich odnaleźć. I zaczął rozmawiać jak równy z równym z rządem USA, przede wszystkim za pośrednictwem amerykańskiej telewizji, która zainstalowała studio u niego w domu. Miał także bezpośredni kontakt z Białym Domem. Pan McFarlane, następca Kissingera i Brzezińskiego na stanowisku doradcy prezydenta, osobiście z nim rozmawiał przez telefon i uznał, że pan Berri to osoba „zdolna do położenia kresu niedoli zakładników”.

I rzeczywiście. P. Berri wskazał drogę postępowania, udając się kilka razy do stolicy Syrii, Damaszku, na „konsultacje” z prezydentem Assadem. Prezydent Assad wskazał dalszą drogę udając się akurat w czasie porwania na „konsultacje” do Moskwy. Prezydent Reagan zrozumiał, że jest szansa uratowania twarzy i zakładników. Bardzo podziękował panu Berri za zajęcie się

zakładnikami, prezydentowi Assadowi za pomoc w ratowaniu zakładników, Czerwonemu Krzyżowi za gotowość przeprowadzenia akcji zwalniania więźniów w Izraelu, no i wysłał wiceprezydenta Busha do Frankfurtu, gdzie ostatecznie odzyskali wolność byli zakładnicy pochodzenia aryjskiego i żydowskiego.

W ten sposób super-potęga amerykańska nadała szefowi bojówek terrorystycznych rangę męża stanu, wycofała Syrię z listy państw terrorystycznych, którą sam Reagan ustalił, chociaż kraj ten patronował wielu zamachom — m.in. na Amerykanów, a kontrolowane przez niego bojówki przetrzymują nadal kilku Amerykanów porwanych w Bejrucie. Byli zakładnicy spożyli dwie pożegnalne kolacje, na deser był tort z napisem „*Happy return*” w lukrze. Tylko Bob Stethen, 23-letni, krótko ostrzyżony jak *marines* (to wystarczy, aby zginąć w Bejrucie) wrócił oddzielnie. W trumnie.

### *Banał i rutyna...*

Całość zakończyła się więc wesołym oberkiem, na czym można by historię porwania Boeinga 727 linii TWA spokojnie zamknąć. Na pozór bowiem rzeczywiście nie było w tej historii niczego oryginalnego. Ot, banał i rutyna drugiej połowy dwudziestego wieku.

Nie był to wszak pierwszy Amerykanin zamordowany na zimno strzałem w głowę. Mjr Nicholson, oficer biura łącznikowego armii USA w NRD został zastrzelony jak kaczka przez sowieckiego strażnika, bo się nieopatrznie zbliżył do czegoś, co ów obrońca pokoju i socjalizmu uważał za obiekt wojskowy. No, ale skoro poszedł w niepamięć południowo-koreański Boeing 747 i jego 269 pasażerów-szpionów, w tym kilkudziesięciu obywateli USA, to oczywiście nie wypada nawet wspominać o jakimś majorze na ziemi niemieckiej czy nurku na libańskiej. Zresztą w samym Libanie poniosło śmierć w kilku zamachach innych szyickich szaleńców około 200 amerykańskich żołnierzy, których śmierć o tyle nie poszła na marne, że natychmiast potem cały kontyngent wycofano. Jak z Wietnamu — *toute proportion gardée*. W samym tylko 1984 roku terroryści uderzyli w 77 obiektów amerykańskich poza granicami USA, zabijając 61 osób, raniąc 144 i wyrządzając szkody na 24 miliony dolarów.

Nie był to także jakiś odosobniony wypadek gangsterstwa lotniczego. Kilka dni zanim (żeby się już bardziej nie cofać) Boeing TWA zamiast do Rzymu poleciał do Bejrutu, jordański Boeing został porwany i wysadzony w powietrze na tym samym

lotnisku w Bejrucie. Kilka dni potem wybuchła bomba na lotnisku we Frankfurcie, zabijając trzy osoby. 23 czerwca eksplodował w powietrzu u wybrzeży irlandzkich Boeing 747 Air India, grzebiąc na dnie oceanu 329 pasażerów z załogą. Tego samego dnia, ale na lotnisku w Tokio, wybuchła bomba ukryta w bagażu właśnie wyładowanym z kanadyjskiego 747. To Sikhowie pogniewani na pana Gandhi postanowili urządzić sobie taki festiwal powietrzny. Można sobie wyobrazić, co by się działo gdyby rzeczywiście szaleńcy w turbanach na głowie byli „dobrze” nastawili mechanizm zegarowy i bomba wybuchła, tak jak na Air India, w powietrzu. Tym razem byłoby 450 ofiar.

Jeżeli chodzi o terroryzm w ogóle, to są już statystyki i to naukowe. *Time* informuje nas, w powołaniu na instytucję o niedwuznacznej nazwie „Risk Inc.”, że liczba aktów terrorku na świecie wzrosła z 293 w 1970 roku do 3.500 w 1984 roku, co daje średnią 10 zamachów dziennie! Bilans ogólny w tzw. aspekcie ludzkim wynosi ok. 40.000 zabitych.

Terroryzm wszedł więc już dawno, żeby to tak powiedzieć, w życie, a raczej w śmierć codzienną i Amerykanie mogli i mieli czas się do tego zjawiska przyzwyczaić. A jednak porwanie Boeinga TWA zrobiło w USA kolosalne wrażenie. Prezydent Reagan wykrzyknął „Terroryści wypowiedzieli wojnę Ameryce”, Kongres się naradzał, Departament Stanu zagroził, że im pokaże, nawet w pierwszej chwili (długo to nie trwało), prasa amerykańska zapomniała, że powinna być przeciw prezydentowi niezależnie od sytuacji. Co się stało?

... ale nie w USA

Kilka zjawisk nałożyło się na siebie. Terroryzm był dla USA właściwie kategorią nieznaną, a w każdym razie odległą. Wszystko, jak wiadomo, jest względne, nawet w terrorze. W ciągu ostatnich 5 lat FBI zarejestrowało w całych Stanach Zjednoczonych „tylko” 166 aktów typu terrorku politycznego, co dało „tylko” 15 zabitych. W tym samym czasie z rąk, że tak powiem, normalnych bandytów padło w USA... 100.000 ofiar. Polityczny mord nie figurował więc na liście prawdziwego zagrożenia *American way of life*. Wbrew pozorom, filmom i „Dallas”, nie cała policja amerykańska jest skorumpowana, a niektórzy szeryfowie działają skutecznie. FBI odkryła na czas kandydatów na morderców Gandhiego w czasie jego wizyty w USA i zdemontowała także bandę zamierzającą zamordować prezydenta Hondurasu p. Suazo Cordova. Mord miał być dokonany z pobudek natural-



nie ideowo-postępowych, ale FBI nakryła wraz z bojówką „rewolucjonistów”, 8 przemytników i 3 samoloty z kokainą. Wartość handlowa — 10 milionów dolarów.

Wszystkie ekstremizmy polityczne są właściwie w USA *under control*: neo-naziści, patrioci portorykańscy, nawet makabeusze z Ligi Żydowskiej, mającej, bez zabijania ludzi, zatruć, pod hasłem „*Let my people go*”, życie dyplomatom sowieckim w USA.

To przy okazji samolotu TWA i zamordowania na zimno i bezkarnie obywatela USA, Amerykanie po raz pierwszy zrozumieli, że terror puka do ich drzwi, że zwyczajni cywile z dolarami w ręku mogą jak inni stać się przedmiotem politycznego szantażu, że paszport z napisem USA nie zapewnia bezpieczeństwa, że dziś, w dobie odrzutowców, turystyki i siły ich waluty, Amerykanie, i to nie żołnierze a cywile, kobiety i dzieci są zakładnikami, a mogą nawet płacić życiem za niezrozumiałe dla nich problemy polityczne odległych rejonów. I że cała super-potęga ich kraju, za którą płacą setkami miliardów dolarów rocznie, na nic się w takiej sytuacji nie przydaje.

Stany Zjednoczone nie wchodziły nawet do poważnych statystyk. Uniwersytet w Tel Awiwie zbadał (poza Libanem i Afganistanem — to są *Dinge an sich*) 412 poważnych aktów terroru. Otóż, bardzo ciekawe dało to wyniki: 40 % zamachów miało miejsce w Europie zachodniej, 20 % na Bliskim Wschodzie, reszta w Ameryce Łacińskiej i na Dalekim Wschodzie. W USA — prawie zero. Tel Awiw doliczył się około 40 grup terrorystycznych, ale 14 z nich odpowiedzialnych jest za ponad połowę zamachów i ofiar.

Otóż samolotem TWA Amerykanie wlecieli w epokę politycznego terroru uświadomionego. Zdali sobie przy tym sprawę ze swoich własnych poważnych słabości strukturalnych. Jak można — w wypadku naprawdę poważnej ofensywy zawodowych terrorystów — ustrzec kraj, którego cała południowa granica jest właściwie nie strzeżona. Przez granicę z Meksykiem przenika do USA około miliona nielegalnych emigrantów rocznie. Jak ustrzec 90 elektrowni atomowych i 670 wojskowych obiektów z urządzeniami nuklearnymi, nie mówiąc już o bezbronnych ludziach, przed wariatami, którzy strzelają w kark 23-letniego faceta i gotowi są do samobójstwa byle tylko ukarać białych i bogatych innowierców, lub po prostu innych! Biały Dom jest na pewno najlepiej strzeżonym obiektem w USA. A jednak p. Robert Lata, choć to człowiek cokolwiek „nie po kolei” jeżeli chodzi o umysł i charakter, wszedł wraz z orkiestrą marynarki do Białego Domu i został odkryty dopiero po 14 (dosłownie czternastu)

minutach. W ciągu 14 minut wyszkolone komando jakichś Che Guewarów czy Huseinów może spowodować dość poważne szkody w materiale i ludziach.

### *Hamlet czy nie Hamlet?*

Kiedy kpt. Testrake, 14 czerwca ok. 10-tej rano, nacisnął u siebie w kabinie specjalny guzik alarmowy oznaczający porwanie, w Waszyngtonie, gdzie zaledwie świtało, odezwały się dzwonki alarmowe: gdzieś nad Morzem Śródziemnym samolot amerykański jest w niebezpieczeństwie. Ponieważ jest to rejon delikatny, obudzono p. McFarlana, doradcę prezydenta. Kiedy już znane były polityczne okoliczności porwania, postanowiono obudzić prezydenta. Prezydent bardzo nie lubi być budzonym, zwłaszcza kiedy — jak to właśnie było — spędza *weekend* w słynnej dacy w Camp David. Ale zrozumiał, sprawa była ważna, kazał się informować na bieżąco.

Wszyscy wszak pamiętali jak się skończyło dla Jimmy Cartera porwanie i przetrzymanie zakładników amerykańskich w Teheranie. To się powtórzyć nie może. Reagan jest Ronald a nie Jimmy. Sekretarz stanu Shultz ostrzegł, że „nie może tak być aby każdy akt terroru powodował w tym kraju nieustające dyskusje w formie *happening*'u, żeby jak Hamlet marnować czas zastanawiając się czy uderzyć, a jeżeli uderzyć, to gdzie, kiedy i jak”. Doradca prezydenta, sekretarz stanu i Prezydent postanowili więc podjąć energiczne i zdecydowane kroki anty-terrorystyczne. I podjęli...

*Po pierwsze*, postawiono na nogi specjalny sztab anty-kryzysowy i anty-terrorystyczny. W biurze obok gabinetu Shultza rozwieszono kilka gigantycznych map, na których zapalały się światełka śledzące kolejne etapy przygody Boeinga. Na czele komórki stanął znany specjalista od terroryzmu, doradca Shultza, Robert Oakley, miał on bezpośrednie połączenia z Białym Domem i Pentagonem, a właściwie z całym światem. Tylko nie z kapitanem Testrake...

*Po drugie*, zarządzono pokaz siły na miejscu. Do kilkudziesięciu tysięcy głowic atomowych postanowiono dodać lotniskowiec „Nimitz”, który w towarzystwie krążownika „Południowa Karolina” i porte-helikoptera (razem kilka tysięcy bomb i kilka tysięcy *marines*'ów), zjawił się na redzie Bejrutu.

*Po trzecie*, zarządzono pokaz siły na odległość. Specjalna jednostka „Delta” została postawiona w stan alarmu. Powstała ona

po klęsce w Iranie w 1979 roku, kiedy to wyprawa mająca wyzwolić zakładników w Teheranie skończyła się w Oazie Tabas ogromną klęską i kompromitacją i była jednym z czynników klęski wyborczej Cartera. „Delta” ma bazę w Fort Bragg, w Karolinie północnej, liczy 2.000 nadzwyczajnie wyszkolonych komandosów, dysponuje własnymi środkami transportu, helikopterami, a nawet dwiema łodziami podwodnymi, zdolnymi do przerzucania ludzi „Delty” w największej dyskrekcji w każde miejsce na świecie. „Delta” ma nadzwyczajną opinię, mimo, że — jak dotąd — jedynie jej operacja w terenie, przed inwazją Grenady, zakończyła się raczej niepomyślnie: 35 skoczków „Delty” wylądowało w nocy, aby opanować lotnisko w Port Salinas, ale dali się nakryć przez „doradców” kubańskich, którzy zabili lub ranili 22 komandosów. Uratował ich dopiero rano desant ich kolegów z morza.

Przy sprawie Bejrutu „Delta” została w domu. Operacja za trudna, powiedziano, tak jakby „Delta” była potrzebna do operacji łatwych. Ryzyko za wielkie, powiedzieli, tak jakby zawodowcy z „Delty” przygotowani zostali do operacji bez ryzyka.

„Delta” stacjonuje w środku USA, o 15.000 km od najbardziej prawdopodobnych i najbardziej gorących punktów ewentualnych terrorystycznych akcji anty-amerykańskich. O tym, żeby poszczególne komanda „Delty” stacjonowały w kilku punktach świata i zdolne były interweniować od razu, trudno chyba marzyć, jakie państwo zgodziłoby się na to? Moskwa nie musiała pytać o zgodę Bułgarii na międzyładowanie a nawet stacjonowanie swych spadochroniarzy, kiedy trzeba było straszyć interwencją na Bliskim Wschodzie lub ratować Nassera czy Sadata w 1973 roku. Stanom Zjednoczonym odmówiono w Europie zachodniej, no i naturalnie w Grecji, prawa tankowania ich samolotów wiozących części zamienne do izraelskich Fantomów. Co by dopiero powiedzieli przy propozycji zainstalowania „Delty”?

*Po czwarte*, Biały Dom gotów był ponieść ryzyko i zasugerował uderzenie na Boeinga już w czasie pierwszego lądowania w Algierze. Ale rząd republiki algierskiej naturalnie odmówił: nie będziemy strzelać do naszych braci-piratów. A poza tym, powiedzieli, nie wiadomo do kogo strzelaliby nasi algierscy żołnierze, gdyby dowiedzieli się, że na pokładzie są Amerykanie.

*Po piąte* — tak jak tego domagali się porywacze — nawiązano dyskretne kontakty w sprawie zwolnienia szyickich więźniów w Izraelu. Ujawniła się tu bardzo ciekawa koncepcja dyplomatyczna. Izrael mianowicie już dawno, na długo przed porwaniem Boeinga 727 TWA, zapowiedział, iż ma zamiar zwolnić ponad 700 szyitów. Teraz rząd w Jerozolimie oświadczył, że szyitów natychmiast zwolni, bo życie amerykańskich obywateli

jest najcenniejsze, ale tylko jeżeli Amerykanie go o to poproszą. Z własnej inicjatywy — powiedzieli — tego jednak teraz akurat nie robią, bo to oznaczałoby kapitulację wobec porywaczy, a Izrael na to sobie pozwolić nie może. Ale Waszyngton także sobie na to pozwolić nie chciał. Jimmy Shultz czy Jimmy Reagan, czy Ronald Hamlet... mniejsza o nazwisko, równie dyskretnie zwrócono się do Międzynarodowego Czerwonego Krzyża aby zajął się pośrednictwem w tej sprawie.

*Po szóste*, nadano tytuły szlacheckie p. Nabih Berri, który kierował operacją i zamiast być traktowany jak zwyczajny opryszek, tyle że w krawacie a nie w drelichu, zaawansował z łaski Białego Domu do rangi wielkiego przywódcy politycznego. Pozwoli mu to naturalnie wybić jeszcze większą liczbę swych palestyńskich, chrześcijańskich czy izraelskich wrogów i poprowadzić rokowania przy okazji następnego porwania amerykańskiego samolotu. Po czym, znowu z łaski USA, zostanie już nie tylko ministrem sprawiedliwości, ale i transportu powietrznego, a nawet — czemu nie — premierem.

*Po siódme*, nawiązano kontakt roboczy z prezydentem Assadem, który kieruje dziś Syrią, Libanem, szyitami, Palestyńczykami, Nabihem Berri, oraz większością anty-amerykańskich akcji terrorystycznych na Bliskim Wschodzie i w innych okolicach prawdopodobnie też. Z nadania prezydenta USA, prezydent Syrii został wprowadzony do kategorii normalnych mężów stanu, a jego kraj zniknął — z opracowanej przez tego samego prezydenta USA — listy krajów uprawiających czy finansujących międzynarodowe operacje terrorystyczne, na której Syria dumnie figurowała obok Libii, Iranu, Północnej Korei czy Kuby.

Całość operacji, jak wspomniałem, zakończyła się nadzwyczajnie pomyślnym wynikiem. Ze starcia z bandą gangsterów, Stany Zjednoczone Ameryki Północnej wyszły zwycięsko, ratując 39 zakładników podczas gdy straty własne wynosiły tylko jednego nurka US Navy i kilka twarzy znanych z oficjalnych portretów i zdjęć prasowych. Nawet jeżeli — o czym na razie nic nie wiadomo — rząd amerykański zagroził użyciem siły czy sankcjami (jakimi?), to w każdym razie postępowanie amerykańskiej superpotęgi zasługuje na krótką analizę. Najpierw więc, co mógł rząd USA zrobić, jakie miał modele do wyboru

## *Do wyboru*

*Po pierwsze*, model włoski, ten z Palermo: byle się pozbyć i uszy po sobie, nie nadawał się do użycia. To był samolot

i obywatele amerykańscy i Waszyngton nie mógł udać, że go to nic nie obchodzi.

*Po drugie*, model grecki: natychmiastowa kapitulacja przed terrorystami. Papandreu stawia się tylko Reaganowi, bo w tym starciu nie ponosi żadnego ryzyka. A poza tym terroryści mogą przecież działać z pobudek ideologiczno-postępowych, anty-imperialistycznych, więc nie należy ich zwalczać. Śpiewak rock Russos śpiewa postępowe teksty, więc jego wolność ważniejsza. Ten model też się dla USA nie nadawał. Opinia publiczna w USA tego by nie zniosła i partia republikańska tego by nie przeżyła. W przyszłych wyborach, naturalnie.

*Po trzecie*, model sowiecki: kara śmierci nie za porwanie, a za zamiar porwania, strzelanie na pokładzie lub na lotnisku przez KGB-istów przebywających stale wśród pasażerów. W Gruzji liberał o ujmującym nazwisku Szewardnadze, obecny minister spraw zagranicznych ZSSR, a poprzednio car Tyflisu, nakazał strzelać do porwanego samolotu (12 ofiar), a potem skazał na śmierć jeszcze dodatkowo czterech porywaczy, dzieci gruzińskiej nomenklatury. Kuzniecowa i Dymyszcz, dziś szczęśliwie na Zachodzie, dostali wyroki śmierci w Leningradzie nie za nieudane porwanie, a za nieudany (i naiwny) zamiar porwania samolotu. A jak to zawodzi, to jeszcze jest Finlandia, zmuszona do wydawania tych, którym porwanie się udało. Teraz trzeba lecieć dalej, a to nie zawsze możliwe, nawet jeżeli się przeżyje pierwszą salwę KGB.

W KDL-ach jest podobnie. W Bułgarii złapali jakiegoś faceta, który podkładał bomby w stacjach zimowych sportów, ale nie zabił nikogo. Może nie lubił nart, a może żał mu było gór poprzecinanych wyciągami? Może to był taki ekologiczny terrorysta? Nikt się nie dowi, już mu ścięli głowę.

*Po czwarte*, model francuski: dużo krzyku, mało akcji. Francuska super-potęga nie jest w stanie wydostać swych czterech, Bogu ducha winnych obywateli, porwanych w Bejrucie w imię świętej sprawy szyickiej. Parlament uchwalił, rząd przemówił, prasa nie ustaje, nawet sam prezydent stanął na pierwszej linii i przyjął żony porwanych. Ale zakładników nie odzyskał. Polityka Francji wobec trzeciego świata i kompleksy pokolonialnej winy francuskich socjalistów wykluczają jakąkolwiek ostrą presję, nie mówiąc już o czynach wobec zwyczajnych gangsterów.

*Po piąte*, model izraelski: jest to jak na razie jedyny model skuteczny i to w kilku wariantach.

a) wersja Entebbe, najbardziej ryzykowna, ale i najbardziej opłacalna. Ratuje się zakładników, daje dobrą lekcję porywaczom

i tym, którzy im pomagają. Nie każdego naturalnie na to stać, ale nie należy tego modelu lekceważyć.

b) EL AL, latająca forteca. Każdy wie, że są agenci na pokładzie, porywacze wiedzą, że nie wyjdą żywo, ich mocodawcy wiedzą, że nie będzie negocjacji. Odprawa na lotnisku w Tel Awiwie trwa dwie godziny, młody człowiek przeprowadzający rewizję bagażu zadaje kilkadziesiąt na pozór głupich pytań, ale potrafi sprawdzić przez komputer czy rzeczywiście spałeś tam gdzie mówisz i z kim. Na lotniskach zagranicznych EL AL ma specjalne wyjście i parkuje daleko od dworca, ma własną służbę sprawdzającą bagaże. Można tego wszystkiego nie lubić, ale EL AL to najbezpieczniejsza linia świata.

c) Ostra, a czasem krwawa riposta, każdy akt terrorystyczny spotyka się niechybnie z aktem kontr-terrorystycznym. Możemy się moralnie krzywić na zasadę burzenia buldożerami lub wysadzania domów terrorystów w Cisjordanii, możemy nie lubić bombardowania osiedli w libańskiej dolinie Bekaa, gdzie pod syryjskim parasolem i opieką zaprzyjaźnionego z Reaganem prezydenta Assada ulokowane są sztaby operacyjne wszystkich terrorystycznych ugrupowań z Bliskiego Wschodu, ale można sobie wyobrazić, co by się działo w Izraelu, gdyby takiej riposty nie było. Niech ten rzuci kamieniem...

### *Paraliż postępu*

Było więc modeli do wyboru i do koloru. A jaki to model Amerykanie wybrali w sprawie Boeinga TWA? Ja wiem, że „Delta” to nie Cahal, że Bejrut to nie Entebbe, że Berri i Assad to nie Amin Dada. Ryzyko operacji przy użyciu siły było rzeczywiście ogromne. Za ogromne jak na Stany Zjednoczone sparaliżowane ich własną potęgą wojskową i potęgą prasy amerykańskiej. Prasa, a zwłaszcza trzy główne sieci telewizji amerykańskiej, odegrały w sprawie zakładników w Bejrucie rolę zasługującą na bardzo troskliwe i zrównoważone zbadanie. Była to rola decydująca w najbardziej negatywnym sensie tego słowa, działała ona jak kolosalne *lobby* obezwładniające, pod pretekstem służby informacyjnej, wolę działania władzy i urabiające opinie publiczną w sensie kapitulacji za wszelką cenę. W skrócie, telewizja, pod pretekstem świętej informacji, oddała się w służbę terrorystom.

Żaden model Stanom więc nie odpowiadał. Powtarzam, że nie wiem, czy istnieje jakaś możliwa amerykańska wersja obrony

przed terroryzmem. Ale wiem, że jednym z elementów walki z terroryzmem jest zrozumienie istoty tego zjawiska. Amerykanie go nie rozumieją.

Nie rozumieją więc, że:

1) Terroryzm uważa gwałt i zabójstwo nie za środek do celu, a za cel sam w sobie. Jego źródłem jest nie tylko leninowska czy trockistowska apologia gwałtu, ale również filozofia Nietzschego a zwłaszcza jej uproszczona — żeby nie powiedzieć prostacka — wersja w wykonaniu Sartre'a. To Franz Fanon, jeden z „najlepszych” uczniów Sartre'a, doprowadził rozumowanie mistrza do kulminacji w książce „Les Damnés de la Terre”, do której mistrz osobiście napisał przedmowę. Jego formuła „gwałtu zorganizowanego i kierowanego” stanowi podstawę nowoczesnego terroryzmu politycznego. To on sformułował zasadę, że „gwałt jest siłą oczyszczającą jednostkę. Gwałt uwalnia jednostkę z jej wszystkich kompleksów niższości”. To właśnie ta linia rozumowania, prowadząca do wniosku, że terroryzm jest działaniem twórczym, wyprowadzającym jednostkę z bezwładu i rozpacz, stanowiła podstawowy argument Hitlera.

2) Terroryzm niszczy instynkt moralny człowieka, jego szacunek dla procesu politycznego jako sposobu rozwiązywania konfliktów społecznych. Terroryści odrzucają ideę „umowy społecznej”, tak jak ją widzieli Hobbes czy Locke, dla których proces polityczny jest zasadniczym mechanizmem cywilizacji. Dla terrorystów, gwałt ma zastąpić wszelką procedurę demokratyczną. Terroryści arabscy, Baader-Meinhoff, IRA, ETA, Czerwone Brygady japońskie, nigdy nie okazali gotowości włączenia się w jakikolwiek proces demokratyczny i legalny. Wiedzą, że zostaliby zmieceni ze sceny politycznej.

3) Terroryzm wykorzystuje wolność jaką akcji politycznej zapewnia system demokratyczny. Wykorzystuje on podstawową słabość demokracji, polegającą na sprzeczności między koniecznością zwalczania niebezpieczeństwa terroryzmu, a środkami do jakich w tym celu państwo demokratyczne musiałoby sięgnąć, a które mogłyby okazać się niezgodne z hasłami... demokracji właśnie, przynajmniej w najbardziej konwencjonalnym sensie. Prowadzi to do ogromnego niebezpieczeństwa jakim jest powolne osłabienie woli walki społeczeństw demokratycznych z terroryzmem we wszelkiej postaci.

4) Terroryzm osłabia państwa demokratyczne. Są rządy, jak widzieliśmy, które jak Grecja kapitulują przed terrorystami nawet bez próby oporu, są inne, które negocjują przed kapitulacją, choć

nie wiadomo co gorsze, bo nadają w ten sposób gangsterom statut równorzędnych partnerów, są inne które udzielają schronienia i azylu politycznego terrorystom, pod pretekstem, że chodzi tu o bojowników o postęp. Czyż nie było tak we Francji z terrorystami z baskijskiej ETA, lub z włoskich Czerwonych Brygad? Są państwa, które odmawiają solidarności, kiedy jakiś inny rząd stara się coś uczynić. Jedną z rzadkich prób konkretnej akcji po porwaniu Boeinga TWA był zamiar ogłoszenia przez Reagana blokady lotniska w Bejrucie, centrum światowego ruchu piratów powietrznych. Jeszcze Reagan nie skończył mówić, a już Francja i inne kraje ogłosiły, że się nie zgadzają, bo jak można karać naród libański za zbrodnie terrorystów. Jaki naród libański: szyicki, sunnicki, chrześcijański, palestyński? Terroryci, mówiąc w skrócie, chcieliby doprowadzić demokrację do samobójstwa. Są miejsca gdzie się im to udaje.

5) Terroryzm nie jest zjawiskiem statycznym, ale stanowi groźbę w stałym rozwoju. Jego światowa infrastruktura jest coraz lepiej zorganizowana, opiera się o sieci kryte przez paszporty dyplomatyczne państw uznanych przez ONZ, zasiadających w Radzie Bezpieczeństwa, będących członkami Komisji Praw Człowieka ONZ. Rząd libijski wysłał bojówki na całą Europę zachodnią w celu mordowania przeciwników Kadafiego i choć przy tej okazji padają też niewinne ofiary, np. młoda policjantka angielska, to nikt nie domaga się usunięcia Libii np. z UNESCO. Odwrotnie, sama UNESCO finansuje organizacje i programy kryjące nieraz działalność terrorystyczną. W czasie najazdu na Liban w 1982 roku, wojska izraelskie znalazły archiwa pełne dokumentów OLP, z których wynika, że ONZ-owska agencja pomocy Palestyńczykom w obozach, UNWRA, kryła bazy i arsenały terrorystyczne w przedszkolach i ambulatoriach, wynika także, że spora część funduszków na terroryzm pochodzi z Arabii Saudyjskiej i krajów zatoki perskiej, to znaczy z naszych dolarów płaconych za naftę.

6) Terroryzm może więc zniszczyć państwo demokratyczne, ale nie może i nie chce zniszczyć państwa totalitarnego. Odwrotnie, terroryzm przyczynia się do rozszerzenia bazy totalitarnej na świecie, w zamian za co państwa totalitarne udzielają mu pomocy i azylu, baz treningowych i broni, pieniędzy i poparcia dyplomatycznego. Z wyjątkiem epizodu między-arabskiego z Abu Daudem nieskutecznie postrzelonym w warszawskim hotelu i porachunków przy pomocy bomb w samochodach między „studentami” arabskimi w Bukareszcie, żaden kraj komunistyczny, ze Związkiem Sowieckim na czele, nie był nigdy celem ataku międzynarodowego terroryzmu.



## *Cui prodest?*

I to powinien być zasadniczy wniosek dla USA. Międzynarodowy terroryzm nie jest zjawiskiem odosobnionym, samym w sobie, ale wchodzi w ogólny bilans równowagi sił na świecie, w sensie niekorzystnym dla Zachodu i demokracji. Międzynarodowy terroryzm osłabia demokracje w starciu z komunizmem.

Mimo leninowskiej szkoły terrorystycznego myślenia i działania, mimo sieci szkoleniowych obozów terrorystycznych od Karlowych War, poprzez Warnę, Balaton, Hawanę, aż po Symferopol, Odessę i Taszkient, mimo obecności „instruktorów” sowieckich, NRD-owskich czy północnokoreańskich w Nikaragui, Mozambiku, no i przede wszystkim w bazach palestyńskich w Libanie, nikt rozumny nie twierdzi, że wszystkie szaleństwa terrorystów na świecie są inspirowane i zorganizowane przez bolszewików z nożem w zębach. To zresztą — nawiasem mówiąc — szkoda, że tak nie jest, wtedy bowiem wiadomo by było z kim rozmawiać i z kim w razie czego się rozliczać. W terroryzmie jak w pacyfizmie najgorsi nie są ci, którzy to robią za sowieckie pieniądze lub z ideologii prosowieckiej, ale ci którzy to robią z przekonania i fanatyzmu pokojowego, jak w pacyfizmie, lub gwałtownego jak w terroryzmie.

Fanatycy islamu czy Baskowie nie czekali na Lenina aby zabijać przeciwników, Irlandczycy strzelają do Anglików już 400 lat. Ale były to wtedy zjawiska lokalne. Dziś, jakkolwiek byłby albo nie udział ZSSR w organizowaniu ataków na bazy amerykańskie w RFN, bóżnicę w Paryżu, na Papieża w Rzymie, na samoloty TWA, jest faktem, że to ZSSR nauczył i uzbroił terrorystów, to ZSSR stanowi ich główną tarczę w świecie dyplomatycznym, to ZSSR nawołuje do demontażu demokracji, która jest wyłącznym celem ataków terrorystycznych, to ZSSR jest głównym beneficjentem światowego terroryzmu. Wszystkie kraje wymienione przez Reagana jako „sponsorzy” międzynarodowego terroryzmu: Libia, Kuba, Nikaragua, tzw. demokratyczna republika Jemenu, północna Korea, oraz wymieniana przedtem, ale już wymazana, Syria, to kraje pozostające pod parasolem sowieckim, związane z Moskwą mniej lub bardziej widocznymi nićmi. Reagan oficjalnie oskarżył te kraje o odpowiedzialność za akty międzynarodowego terroru. No a gdzie riposta? Dlaczego nie uczynił najmniejszej aluzji do głównego patrona? Reagan zapowiedział, że mordercy Roberta Stethena zostaną odnalezieni i ukarani. No i co? Jeżeli terroryzm międzynarodowy ma zostać przyhamowany, a potem wytępiony, takie ostrzeżenia i takie

zapowiedzi nie mogą pozostać bez skutków, muszą być dotrzymane.

8 sierpnia 1985 roku wybuchła bomba w głównej europejskiej bazie amerykańskiego lotnictwa pod Frankfurtem. Zginęło trzech Amerykanów, rannych było ok. 20, szkody ogromne. Do odpowiedzialności za bombę przyznały się dwie grupy terrorystyczne: niemiecka Rote Armeec i francuska Action Directe. Był to pierwszy wypadek wspólnego rewindykowania zamachu przez te dwie bandy o bogatej przeszłości „zawodowej”. Ale nie była to niespodzianka. 15 stycznia 1985 roku obie te grupy uprzedziły opinię i rządy i to w dwóch językach, żeby nie było problemu z tłumaczeniem, że „podejmują wspólną akcję w Europie Zachodniej przeciwko strategii imperialistycznej i jej najbardziej wysuniętej strukturze, Paktowi Atlantyckiemu”.

Nie rzucili słów na darmo. W styczniu zastrzelony został generał Audran, francuski specjalista od uzbrojenia, w lutym Ernst Zimmerman, patron AEG w Monachium, w czerwcu bomba wybuchła w tej samej bazie we Frankfurcie (3 ofiary), inne miesiące wypełniła seria wybuchów podpisanych CCC „Cellules Communistes Combattantes”, która wstrząsnęła kilku budynkami w Belgii, związanymi blisko czy daleko z Sojuszem Atlantyckim. (Uprzedzam krytyków, że o terroryzmie łańcisko-amerykańskim nie wspominam, bo to zupełnie oddzielny temat).

Otóż, co powinno zainteresować specjalistów od terroryzmu w Białym Domu (jeżeli rzeczywiście tacy istnieją), to fakt, iż pierwszy pisany dokument zapowiadający nową jakościowo formułę i falę euro-terroryzmu, podpisany został „Komando George Jackson”. Kto to jest George Jackson? To ofiara „amerykańskiego imperializmu” właśnie.

Ów Jackson, Murzyn, został aresztowany kiedy miał 18 lat, za udział w napadzie na stację obsługi. Łup wynosił 70 dolarów, ale Jackson, jak to bywa w USA, już z więzienia żywy nie wyszedł. Najpierw brat George’a, Jonathan, został zastrzelony (miał 17 lat) przez policję, kiedy brat zakładników, aby uwolnić swych kumpli z więzienia. Sam George przebywał już w więzieniu w San Quentin (to nie sanatorium), gdzie został przeniesiony po tym kiedy, nie wiadomo czy słusznie, został oskarżony o zamordowanie strażnika więziennego (białego) przy próbie ucieczki w poprzednim więzieniu Soledad, w styczniu 1971 roku. Otóż George Jackson został zastrzelony kulą w plecy w sierpniu 1971, podczas nowej próby ucieczki. Byłaby to historia niestety prawie banalna w USA, gdyby nie książka — wybór listów napisanych między 1964-1970 rokiem, wspólnie, przez George Jacksona i dwóch innych „braci” (tak się nazywają ci Czarni, którzy uwa-

żają się za rewolucjonistów w USA), więźniów San Quentin, wydaną w 1970 roku pod tytułem „Bracia z Soledad”.

Można się więc założyć, że następne dwa zamachy euro-terrorystyczne w Frankfurcie lub w innej bazie USA, będą podpisane kolejno przez „brata” John Clutchette i „brata” Fleeta Drumgo, współautorów książki. Czy Waszyngton *aluzju* poniał, czy trzeba jeszcze innych podpisów?

*Sześć dni, które nie wstrząsnęły nikim*

Konkluzja jest prosta. Terroryzm międzynarodowy nie jest dla świata demokratycznego problemem marginesowym, zjawiskiem, które można utrzymać w ryzach i pod kontrolą, do jakiego się można przyzwyczaić. Z terroryzmem nie można żyć. Terroryzm stanowi rosnącą groźbę dla pokoju, stabilności świata w ogóle, a demokracji w szczególności. Na terroryzm nie ma formuły magicznej, nie da go się zlikwidować bez rozpoznania zjawiska i wspólnej, solidarnej i zdecydowanej akcji zaradczej.

Podstawowym elementem takiej akcji mogą być tylko: autorytet, rozważa, znajomość przeciwnika, wola walki no i przede wszystkim siła Stanów Zjednoczonych.

Kiedy po Carterze obejmował owalny salon Białego Domu Reagan, oświadczył on, iż „sprawa zakładników w Teheranie nie powinna była trwać nawet sześciu dni. Był to wstyd i upokorzenie USA”. Znacznie prostsza sprawa TWA w Bejrucie trwała 17 dni. Czy teraz USA nie są zawstyżone i upokorzone? Reagan oświadczył: „Terroryzm wydał wojnę Stanom Zjednoczonym”. To prawda. Stany Zjednoczone powinny więc walczyć. Inaczej tę wojnę przegrają. A my z nimi.

Pisane 14 sierpnia 1985.  
*Kultura* nr 9/456, 1985.

---

## CIOCIA Z KONTRWYWIADU

„Pograżona w głębokiej żałobie rodzina von Hessen zawiadania z bólem o śmierci w Penzance, Kornwalia, Timothy’ego, Marka i Jamesa, umiłowanych synów hrabiny Margarity von

Hessen i nieboszczyka hrabiego Ryszarda. Pogrzeb odbędzie się w Republice Federalnej, w gronie rodzinnym. Wszystkie wyrazy sympatii prosimy przekazać w postaci daru na rzecz NSPCC (czyli Towarzystwa Przeciwdziałania Okrucieństwu Wobec Dzieci)”.

Nekrolog tej treści ukazał się w *Times*'ie w Londynie 24 sierpnia 1985 roku. Po bliższym zbadaniu okazało się jednak, że:

a) w miejscowości Penzance nie zanotowano żadnej, ani potrójnej, ani pojedynczej śmierci umiłowanych synów,

b) hrabina Margarita von Hessen und bei Rhein, wdowa po arcyksięciu Hesji Ryszardzie, rzeczywiście istnieje, ma 75 lat, ale żadnego nekrologu do *Times*'a nie dawała,

c) tym bardziej nie dawała, że nigdy nie miała dzieci,

d) przebywała 24 sierpnia nie w Penzance w Kornwalii, a na zamku Balmoral w Szkocji, na zaproszenie królewskiej rodziny brytyjskiej, z którą jest spowinowacona jeszcze z czasów królowej Wiktorii,

e) nekrolog przetelefonowany został do *Times*'a przez pewnego dżentelmena nazwiskiem dr Coleman i opłacony jak najbardziej autentyczną kartą kredytową. Konto jest autentyczne, dr Coleman — po prostu nie istnieje.

Tajemnica nekrologu nie trwała długo. Trudno oczywiście o pewność w tej branży, ale kiedy okazało się, że tuż przed ogłoszeniem nekrologu uciekł do NRD Hans Joachim Tiedge, jeden z szefów kontrwywiadu w Bonn, odpowiedzialny głównie za wyłapywanie szpiegów z... NRD, i kiedy tuż po ogłoszeniu nekrologu uciekli do NRD inni znani i nieznanymi pracownicy administracji w Bonn, fachowcy doszli do wniosku, że nekrolog był szafowanym sygnałem dla spalonych szpiegów, rozsianych po wakacyjnym, w tym momencie, świecie: „w domu żałoba, wiać za mur”.

Interpretacja ta nie jest pozbawiona ani wdzięku, ani prawdopodobieństwa. Wokół ucieczki Tiedgego urosła rzeczywiście spora lista „wyjazdów”. Letnia opowieść 1985 snuła się mniej więcej następująco:

3 sierpnia udała się do Brukseli pani Sonia Lueneburg, 60 lat, sekretarka osobista p. Bangemanna, ministra gospodarki RFN. Ale w Brukseli jej nie było. Choć p. Bangemann ogłosił, że szpiegostwo jest wykluczone, Sonia odnalazła się w Berlinie wschodnim. W jej mieszkaniu odnaleziono kompletny i bardzo nowoczesny sprzęt szpiegowski produkcji NRD, opartej na licencji RFN.

17 sierpnia udała się do Hamburga pani Urszula Richter, 52 lata, pracownik sekretariatu generalnego Federacji Uchodźców ze Wschodu. Nie dojechała do Hamburga, dojechała do Berlina wschodniego. W jej mieszkaniu odnaleziono sprzęt szpiegowski

itd., oraz dodatkowo numery telefonów biur kryjących w Berlinie wschodnim komórki wywiadu NRD.

19 sierpnia, zboleły rozłąką, znika z Bonn przyjaciel Urszuli, 53-letni Lorentz Beltzing, pracownik administracji wojskowej, były funkcjonariusz w tajnym schronie przeciwatomowym, do którego, w razie działań zaczepnych ze Wschodu, miałyby się schronić i prowadzić wojnę rząd RFN.

25 sierpnia stwierdza się, że nie odpowiada na telefony Eberhard Severin, przyjaciel intymny Reinholda Liebetantza, pracownika kontrwywiadu RFN. Severin jest w NRD. Liebetantz był aresztowany, ale został zwolniony: prawdziwe uczucie nie może być karalne.

17 września stwierdza się w Bonn, że państwo Willner nie powrócili z wakacji. Ogródek niesprzątnięty, żaluzje spuszczone, pełno kurzu na tarasie. Coś w tym być musi. Pani Herta-Astrid Willner była sekretarką w urzędzie kanclerza, a przedtem w ministerstwie obrony, Herbert Willner, dziennikarz, kiedyś w *Spieglu*, pracował w fundacji politycznej partii liberalnej, członka koalicji rządowej w Bonn. List z Berlina wschodniego wyjaśnił wątpliwości: państwo Willner powrócili z wakacji, ale do siebie, do NRD. Byli w domu po 20-letnim czasowym pobycie w RFN.

### *Stalingrad w Bonn*

Prawdziwy cymes tej letniej kroniki to oczywiście postać i historia Hansa Joachima Tiedge. „Mów mi Heinz” — proponował kumplom. 48 lat, 125 kg, potrójny podbródek, z wykształcenia prawnik, od sześciu lat odpowiedzialny za wydział IV kontrwywiadu RFN — specjalność NRD; Tiedge, mawiano w Bonn, to prawdziwy as w wykrywaniu wschodniemieckich szpiegów rozsianych po RFN. „Gdybyśmy mieli dziesięciu takich Tiedgów, chętni się jego koledzy i szefowie, to nie potrzebowalibyśmy komputerów”. Nic nie mogło zachwiać wysoką opinią, jaką się Tiedge cieszył w kołach specjalistów od szpiegostwa w Bonn. Ani to, że był to nie zwyczajny, a nadzwyczajny alkoholik. W 1984 roku policja zatrzymała go na szosie przy kierownicy: 3 gramy alkoholu we krwi. Tak, wiemy — mawiano — ale on nigdy nie przychodzi pijany do biura. Ani to, że nie tylko nie opuszczał ani jednego przyjęcia w Bonn, ale urządzał ponadto pyszne *barbecues* i *garden parties* u siebie w ogrodzie. Ani to, że miał ogromne długi (zarabiał 4.500 DM, winien był 250.000), żył ponad stan dzięki zaliczkom w biurze. Ani to, że stał się

depresyjny po śmierci — przed trzema laty — swojej żony, której zgon powinien był od razu wzbudzić wątpliwości („upadła” w łazience). Dziś już nie wyklucza się, że Tiedge, który — co nie było tajemnicą — często ją brutalizował, po prostu ją zamordował. Ani to, że Tiedge zabierał do domu tajne *dossiers* i trzymał je u siebie nie wiadomo po co. Teraz już wiadomo.

„To prawdziwy Stalingrad zachodnioniemieckiego kontrwywiadu” — powiedziano w Bonn, kiedy Radio Berlin-wschodni ogłosiło ze źle ukrywanym triumfem, że Tiedge „poprosił o azyl w NRD”. Teraz to NRD nie potrzebuje komputerów. Szkody są ogromne. Według *Bild*'u „Tiedge to największy zdrajca w historii RFN”. Tiedge znał tajemnice funkcjonowania, metody, strategię, logistykę działania kontrwywiadu, nazwiska podwójnych agentów, naślanych przez NRD ale „odwróconych” przez RFN, znał nazwiska i sytuacje zachodnioniemieckich szpiegów w NRD, czy na Wschodzie w ogóle: 168 wpadek na Wschodzie od początku 1984 roku to robota Tiedgego. „Tajne służby RFN są właściwie sparaliżowane”, powiadają w Bonn. Nie tylko w RFN. Tiedge był rzekomo w posiadaniu informacji przekazywanych przez Francję, Włochy i USA, odnośnie zwalczania agentów KGB, zajmujących się wykradaniem tajemnic, zwłaszcza technologicznych, znał także sposoby penetrowania przez zachodnie wywiady organizacji terrorystycznych, takich jak Rote Armee i Czerwone Brygady.

### *Najlepiej szpiegować w rodzinie*

Nie należy się właściwie dziwić, że Niemiecka Republika Federalna stanowi prawdziwy raj szpiegowski. Najłatwiej wszak szpiegować w rodzinie, a nic przecież nie jest do siebie bardziej podobne niż Niemiec z NRD do Niemca z RFN. Z punktu widzenia służb szpiegowskich NRD, RFN spełnia dwa podstawowe i idealne warunki. Po pierwsze stanowi drugie państwo tego samego narodu; po drugie jest to społeczeństwo otwarte i demokratyczne, łatwe do spenetrowania i infiltrowania, podczas kiedy NRD, państwo za murem, stanowi prawdziwy symbol zamknięcia.

W tych warunkach sukcesy wywiadu NRD-owskiego w RFN nie podlegają właściwie normalnej klasyfikacji. W RFN doszło do zupełnie nieprawdopodobnych sytuacji: od Gunthera Guillaume'a, który „pracował” dla NRD w najbliższym otoczeniu kanclerza Brandta i spowodował jego upadek, aż po Tiedgego, poprzez Ursel Lorentzen, sekretarkę misji RFN przy NATO (oraz

„epidemię” około 20 innych sekretarek) poprzez ciągle niejasną sprawę Otto Jahna, szefa wywiadu RFN, który uciekł do NRD, a potem wrócił do Bonn, poprzez Heinza Felfe, szefa kontrwywiadu RFN (specjalność szpiegzy sowieccy), który był stałym pracownikiem KGB, poprzez generała Wendtlanda i admirała Luedke, „którym popełniono samobójstwo” (oba pracowali dla... Czechosłowacji), poprzez inżynierów-szpiegów usytuowanych w najbardziej delikatnych ogniwach przemysłu zbrojeniowego i elektronicznego w RFN (niepełna lista odkrytych szpiegów obejmuje firmy Siemens, IBM, BASF, Messerschmidt, AEG, oazy centrum badań nuklearnych w Karlsruhe...) historii zalewu NRD-owskiego szpiegostwa w RFN nie można właściwie nawet napisać, ona się po prostu nigdy nie kończy. I nie skończy, dopóki istnieć będą dwa państwa niemieckie o odmiennych i przeciwstawnych ideologiach, należących do wrogich pod każdym względem sojuszów wojskowo-politycznych.

Nikt nie wie, ilu szpiegów wschodniemieckich działa w RFN. Dopóki nie wpadną, nie można ich odróżnić. Ten sam język, ta sama kultura i historia. A ponadto dostęp Niemca z NRD do RFN jest niczym nie ograniczony: Niemiec z NRD jest uznany za obywatela RFN z chwilą wejścia na terytorium Republiki Federalnej, co tłumaczy między innymi dlaczego ambasady RFN w Pradze, Warszawie, czy w... Berlinie Wschodnim były przez jakiś czas wyjątkowo wygodną i skuteczną stacją tranzytową na wolność. Przed wzniesieniem muru trzy miliony obywateli NRD przeniosło się na Zachód. Mur powstrzymał śmiertelny dla NRD upływ krwi, ale ciągle jeszcze 20.000 rocznie przechodziło, legalnie i nielegalnie, mur i granice. W 1984 roku 40.000 Niemców ze Wschodu przeniosło się do RFN. Dziś oblicza się, że 25 % obywateli RFN ma związki rodzinne z NRD. Wśród tych 25 % figurują liczni członkowie rządu RFN (np. Genscher), oraz elity politycznej w Bonn.

Taki, jedyny w swoim rodzaju układ, ma potrójny skutek. Po pierwsze działa szantaż rodzinny. Bardzo wielu emigrantów pozostawiło na wschodzie najbliższych, a w najbardziej dramatycznych przypadkach nawet dzieci, które zostały dosłownie skonfiskowane przez władze NRD i poddane „socjalistycznej redukcji”. Takie osoby stanowią łatwy cel szantażu „naganiaczy” z NRD. To zresztą wcale nie jest specjalność niemiecka. KGB już dawno wpadło na ten pomysł w odniesieniu do emigrantów żydowskich czy Niemców nadwołżańskich. Z reguły tak rekrutowani „szpiegzy” zgłaszali się od razu do władz w Izraelu i na tym się kończyło, jako że wiadano, iż podpis pod zgodą na współpracę z KGB był warunkiem otrzymania zgody na emigra-

cję. W przypadku niemieckim chodzi jednak oczywiście o inną skalę i inny wymiar.

Specyfika niemiecka zakłada także jeszcze inny rodzaj szantażu: przeszłość mianowicie. Znane są liczne przypadki, kiedy urzędnicy administracji zachodnioniemieckiej godzili się na informowanie KGB czy NRD pod groźbą ujawnienia brunatnych kart z ich działalności w partii hitlerowskiej czy w wojsku i SS. NRD i ZSSR dysponują przebogatymi archiwami, których nigdy nie udostępnił władzom RFN. Tak m.in. zwerbowany został Guillaume, który w wieku lat 17 wpisał się był do nazistów i miał numer 9709880.

No, i żeby przerwać tę szpiegografię RFN, elementem bardzo ułatwiającym penetrację jest wielka liczba agentów NRD w „rezerve” w RFN. Jest to czynnik zasadniczy. Pozwala on nadrobić szybko straty, wymienić wycofanych, ale przede wszystkim pozwala na „uśpienie” ogromnej „waiting-listy” szpiegów, którzy czekają nieraz bardzo długo na sygnał przejścia do akcji. Guillaume czekał 10 lat, zanim uzyskał w końcu dostęp do dokumentów naprawdę ważnych i tajnych i przystąpił do działania. Sonia Lueneburg czekała 3 lata, zanim jej szef nie został ministrem. Wtedy dopiero zaczęła działać.

### *Najlepiej spytać o Miskę*

Kto tym wszystkim kieruje? Kto to wszystko koordynuje? Gdzie jest mózg koncepcyjny i operacyjny tej kolosalnej akcji kretów, drążących najbardziej życiowe organy zachodniego bezpieczeństwa?

Adres jest znany: Normannenstrasse w Berlinie wschodnim. Najlepiej spytać o Markusa Wolfa, pieszczotliwie zwanego Miską. Jest to generał policji i wiceminister bezpieczeństwa NRD, twórca koncepcji i szef wschodnioniemieckiej siatki szpiegowskiej, odpowiedzialny za STASI, tajną służbę Niemiec wschodnich. Liczba pracowników STASI (zorganizowanej jak KGB po woj-skowemu) w NRD, RFN i gdzie indziej nie jest naturalnie znana, ale fachowcy zachodni obliczają, że w NRD dysponuje ona 20.000 oficerów, 100.000 informatorów, no i między 20.000 a 40.000 szpiegów w akcji lub w uśpieniu w RFN.

Markus Wolf, urodzony w 1923 roku, jest synem lekarza ze Stuttgartu, bardziej znanego jako działacz komunistyczny i... dramaturg. Rodzina Wolfów opuściła Niemcy z przyjściem Hitlera i wylądowała ostatecznie w 1935 roku w Moskwie, gdzie Markus, już jako Misza, kończy szkołę Kominternu. Nie znamy



losów rodziny, ale Misza wraca do Berlina w 1945 roku w mundurze sowieckim. Najpierw dziennikarz pod pseudonimem Michał Storm, Wolf, już pod własnym nazwiskiem, zostaje w wieku 29 lat zastępcą szefa wydziału szpiegowskiego ministerstwa bezpieczeństwa. Już stamtąd nie wyjdzie. Dziś ma 62 lata i jest dziekanem szefów szpiegów na całym świecie. Dziekanem i mistrzem. Wolf był ulubionym uczniem i faworytem Andropowa, szefa KGB, któremu oddał ogromne usługi. Wolf potrafił wzbogacić i przystosować do warunków niemieckich, zeuropeizować i „ucywilizować” podstawowe zasady działania przodującego wywiadu sowieckiego.

Kilka elementów a-historycznych tłumaczy stałość zaopatrzenia w kadry. Dwa pierwsze są natury materialnej. Z jednej strony agent jest stale opłacany, niezależnie od tego czy jest w akcji, w stanie „uśpienia”, w oczekiwaniu na sygnał, czy też po prostu w więzieniu. Z drugiej strony po wyspie ma zapewniony wygodny byt na całą resztę życia, aktywnego lub w ogródku. Można się tylko domyślać zasad rozliczenia w tej dyskretnej dziedzinie, ale wiadomo, że szpiegdy po powrocie z zagranicy korzystali z naprawdę złotej emerytury czy też pensji, jeżeli byli jeszcze w stanie „urzędować”. „Nasz człowiek” z Kalifornii, „kupiec” kpt. Zacharski, jedyny szpieg skazany w USA na dożywocie, został przyjęty, po wymianie na majora Pawłowskiego, jak bohater i nadal pracuje, chyba po awansie, na pewno w wywiadzie. Rudolf Abel, as KGB, po wymianie na pilota U-2 Powersa, żyje czy żył (nie wiem) w absolutnym luksusie. Tiedge mieszka podobno w willi pod Berlinem, nie brak mu niczego, kobiet, szampa, kawioru...

Ale przede wszystkim szpieg wschodniemiecki, sowiecki, albo inny ze wschodu, ma właściwie pewność — na tyle na ile to jest możliwe — że nie zostanie zapomniany i że się w końcu wydostanie. Zacharski czekał pięć lat, Guillaume siedem, ale w końcu się doczekali. Aby w ostatniej wymianie odzyskać Zacharskiego i trzech innych szpiegów, ZSSR, Polska i NRD oddali 25 więźniów, autentycznych szpiegów czy po prostu osoby uskładane specjalnie w celu ewentualnej wymiany. Nawiasem mówiąc sprawa Pawłowskiego, mistrza olimpijskiego w szabli, byłego idola Polski Ludowej, jest dwuznaczna, a być może jest i dramatyczna i skandaliczna. Po zaakceptowaniu wymiany czterech z Zachodu (w tym Zacharski) na 25 ze Wschodu (w tym Pawłowski), okazało się, że były mistrz „zmienił zdanie” już prawie na mocie w Berlinie i „postanowił” zostać, jako ułaskawiony, w Polsce?!

Mimo gorących starań nie udało mi się poznać okoliczności

tej „wymiany”: sprawa, jak często w tym świecie cieni, ciągle nie jest jasna. Ogólnie biorąc, mechanizm wymiany wszedł do katalogu normalnych zwyczajów międzynarodowych. Kiedy w sierpniu 1985 skazany został na trzy lata w Kolonii niejaki Ziemiakow, „inżynier” z misji handlowej ZSSR, od razu wpłynęło dyskretne zapytanie z Moskwy, czy RFN skłonna byłaby dokonać pewnej transakcji. Kiedy w Bonn odpowiedziano, że trudno mówić o wymianie, jako że żaden obywatel zachodniemiecki nie siedzi aktualnie w sowieckim więzieniu, Moskwa odpowiedziała: „*Niczewo*, w NRD jest ich dosyć, towarzysze pomogą”. Są już nawet specjaliści do handlu żywym i tajnym towarem. Jest to temat oddzielny, warto jedynie wymienić przyjaciela Markusa Wolfa i jego człowieka od zadań specjalnych: wschodniemiecki adwokat Wolfgang Vogel załatwia z ramienia całego Wschodu wszystkie poważniejsze transakcje o ludzkiej twarzy.

Choć RFN stanowi prawdziwy, jak się rzekło raj szpiegowski na ziemi, Niemcy nie mają monopolu na wojnę cieni. Żaden kraj nie stanowi tabu, wszędzie operują tajni agenci. Jeżeli chodzi o obóz socjalizmu, to światowa sieć szpiegowska stanowi prawdopodobnie, poza policją polityczną, najsprawniej zintegrowaną instytucję bloku wschodniego. Zacharski był obywatelem polskim, ale faktycznie agentem Moskwy, to Rosjanie zapłacili 110.000 dolarów za tajemnice radarowe i raketowe wykradzione w Hughes Air Corp.

Stany Zjednoczone mają swoją sagę rodziny Walkerów. Trzech braci Walker oraz przyjaciel rodziny Withworth sprzedawali przez kilkanaście lat Rosji tajemnice systemu łączności floty USA, głównie podwodnej. Wyroki będą wysokie, ale nie zmienia to faktu, że akcja rodziny Walker trwała przez ponad 10 lat, że chodzi o ogromną aferę szpiegowską, której fachowcy nie wahają się porównać do wykradzenia w latach 50-tych szczegółów programu Manhattan, czyli tajemnic atomowych USA. Nie ma co się gubić w szczegółach. USA to ogromny kraj i 270 milionów ludzi; CIA doliczyła się oficjalnie 300 lipnych firm wykradających dla ZSSR tajemnice amerykańskiej technologii. Ilu Amerykanów współpracuje w tej gigantycznej kradzieży? Ilu wie, że pomaga szpiegom? W Los Angeles odbył się właśnie pierwszy proces agenta FBI oskarżonego o szpiegostwo. James Miller, 48 lat, został uwięziony przez Świetlanę Ogorodnikow, przepiękną blond-sex-bombę, lat 35, oficjalnie wraz z mężem na politycznym azylu w USA, faktycznie też z mężem w misji KGB. Brzmi to jak w bajce dla dzieci, albo w złym James Bondzie, ale robak jest już w jabłku, czyli w FBI.

Kanada ma swojego profesora Hambletona, jedynego rzekomo

szpiega zachodniego, który rozmawiał osobiście z Andropowem. Szwajcaria miała swojego generała Jeanmaire, Norwegia — Arne Treholda, skazanego na 20 lat, byłego dyplomate i wysokiego urzędnika MSZ. Sowiecki Trehold byłby oczywiście skazany na śmierć i rozstrzelany. W Norwegii Trehold otrzymał nagrodę literacką za sprawozdanie z przesłuchań. Manuskrypt przemycił z więzienia jego adwokat, wyda największy wydawca norweski Cappelen, a po nagrodę, jako że Trehold nie może jej na razie odebrać osobiście, stawi się jego ojciec, były minister rolnictwa w rządzie norweskim.

Pełniejszej listy nie ma sensu ani możliwości (nikt nie zna prawdy) odtwarzać. Żaden kraj nie uniknął kreciej rdzy, niektóre kraje, albo w niektórych przypadkach, zachowują dyskrecję czy tajemnicę, jak np. Belgia, która te sprawy, a ma ich sporo (EWG, NATO), załatwia bez szumu, a przede wszystkim, jeżeli jest to możliwe, bez prasy.

Ważniejsza niż spis spalonych szpiegów jest próba przyjrzenia się niektórym aspektom bezradności demokracji w walce ze szpiegowską zarazą. Tutaj także Niemcy, choć w bardzo specyficznej sytuacji, nie mają monopolu.

### *Krótki kurs FBI*

Oto np. amerykańska super-potęga, główny obiekt pożądania tajnych agentów Moskwy. Zbrojne ramię USA do walki ze szpiegami to FBI, która ma monopol na akcję wewnątrz USA, jako że CIA musi się ograniczać do akcji poza granicami kraju. Według statystyk FBI (na tyle, na ile są one dostępne) w USA przebywa normalnie około 2.600 obywateli ZSSR w misji oficjalnej. Z tego — ciągle według jawnych, a moim zdaniem naiwnych kalkulacji FBI — połowa to szpiedzy. Do tego należy oczywiście dopisać szpiegów nielegalnie przebywających w USA, no i legalnych i nielegalnych agentów innych państw bloku komunistycznego. Według *New York Times'a* FBI dzieli agentów ze wschodu na pięć kategorii.

Pierwsza obejmuje szpiegów „niewątpliwych”, większość z nich to dyplomaci i dziennikarze sowieccy i KDL'owscy. Tych szpiegów na 100 % FBI śledzi przez 24 godziny. Liczba „pewniaków” urosła według FBI w ciągu ostatnich lat czterokrotnie.

Druga kategoria, to „podejrzani” o szpiegostwo, tacy poważnie dyplomaci wschodni, co do których FBI nie jest pewna, ale których uważa za łatwo mogących ulec szantażowi ich włas-

nych wywiadów, KGB czy SB uzależniają bowiem karierę dyplomatów czy dziennikarzy od współpracy z nimi. Tych tylko „podejrzanych” FBI już nie poddaje stałej inwigilacji.

Trzecia kategoria, to tacy przedstawiciele ZSSR (PRL itd.), co do których FBI nie ma dowodu ani podejrzenia o szpiegostwo. Czwarta grupa, to obywatele ZSSR (PRL itd.) bez oficjalnego i jasnego powiązania z rządami wschodnimi, tak jak np. uczeni na wymianie, stypendyści itp. Tacy goście nie są w ogóle godni zainteresowania FBI.

Piąta kategoria, to nielegalni szpiedzy. Chodzi tu o osoby, które przedostały się nielegalnie do USA, uchodzą za Amerykanów, jak np. Rudolf Abel, i o których FBI nic nie wie. To samo dotyczy uchodźców politycznych czy emigrantów w ogóle. Nikt właściwie nie może sprawdzić sytuacji w tych środowiskach. Aż do wsypy oczywiście, ale wtedy jest już za późno.

Otóż, nawet jeżeli uznać, że statystyka i logika FBI jest prawidłowa (moim zdaniem nie jest), jeżeli uznać, że tylko połowa dyplomatów czy dziennikarzy itp. szpieguje, to i tak sytuacja jest śmieszna albo tragiczna — zależnie od punktu widzenia — ale przede wszystkim bardzo niepokojąca.

Według zgodnej opinii fachowców, jakość sowieckiego wywiadu bardzo się podniosła w ciągu ostatnich kilku lat. Czas kiedy Jamesa Bonda z Moskwy poznawało się po akcencie, kroju garnituru czy modelu obuwia bezpowrotnie minął. Kiedyś agenci KGB działali w obrębie kilku wielkich miast — Nowy Jork, Waszyngton, San Francisco — dziś działają na całym obszarze USA. Kiedyś wszystkim kierowała rezydentura KGB w ambasadzie ZSSR w Waszyngtonie, dziś jest to instytucja zdecentralizowana, ale przede wszystkim „nieoficjalni”, „nielegalni”, działają na znakomitych paszportach czy dokumentach bez żadnego kontaktu z ambasadą.

No i wreszcie kolosalna przewaga ZSSR polega także na głębokim spenetrowaniu instytucji międzynarodowych, takich jak ONZ w Nowym Jorku. FBI tutaj także liczy delikatnie, z umiarem. Według FBI tylko co trzeci sowiecki urzędnik ONZ jest szpiegiem, choć wiadomo, że prawie wszyscy pracują na dwóch etatach, pośrednio lub bezpośrednio. Jest to sytuacja wyjątkowa, bez precedensu, a przede wszystkim bez ekwiwalentu. W Moskwie przebywa około 200 dyplomatów amerykańskich, w USA dyplomatów sowieckich jest ok. 900, w tym setki chronionych przez statut urzędników ONZ.

Tak więc, według źródeł amerykańskich, liczba szpiegów, którzy powinni podlegać stałej inwigilacji, sięga na pewno liczby

ok. 1.500 i jest to rachunek skromny, dotyczący wyłącznie ludzi sowieckich. Po to — ciągle według tego samego źródła — aby móc przez 24 godziny nie spuścić z oka jednego agenta, FBI musi dysponować czterema kontr-agentami. Tymczasem do „obsługi” sowieców FBI ma takich kontr-agentów... 300 do 400. Reszta jest milczeniem.

Walker byłby pracował dla Rosji przez dalszych 20 lat, gdyby go nie wyspała zazdrosna żona. Ilu jest Walkerów w USA, których żony nie są zazdrosne? Jedyne naprawdę skuteczne antidotum na rdzę sowiecką polega wyłącznie na spenetrowaniu sowieckiego *establishment*'u szpiegowskiego w Moskwie i na Zachodzie. „Ale, jak powiada ze smutkiem p. Cowley z FBI, to jest bardzo trudne. Rosjanie żyją w zamkniętych kompleksach, prawdziwych fortecach, a kiedy wychodzą do supermarketu, to idą tam w grupach, pod kontrolą i opieką KGB-istów”.

No to jaki z tego wniosek? Zlikwidować FBI? Na szczęście są uciekinierzy. Wszystko jedno z jakich powodów uciekli i wybrali Zachód: seks, pieniądze, ideologia, to oni ratują nas przed śmiercią z naiwności, głupoty czy zdrady. Nie trzeba przecież przypominać, co zrobili dla dynamiki i logiki walki z systemem komunistycznym w ogóle, a z jego szpiegostwem w szczególności, tacy ludzie jak uciekinierzy z Polski — Światło, Tykociński czy Monat, rumuński generał Pacea, a przede wszystkim imponujący korowód sowiecki: zlekceważony Krawczenko czy Guzenko, który otworzył oczy na atomowe szpiegostwo, no i potem już nie lekceważeni Szewczenko, były zastępca sekretarza generalnego ONZ, Lewczenko, były „dziennikarz”, a faktycznie jeden z szefów KGB w Tokio, Hermann, „nielegalny” w USA, Lalin, który wyspał w 1971 roku siatkę w Anglii, „nieznany żołnierz”, który wydał w 1983 siatkę we Francji, a przede wszystkim Oleg Gordiewski, którego historia, jako podwójnego agenta, zasługuje na prawdziwy epos, gdyby naturalnie Intelligence Service pozwolił na dostęp do niego, i Sergiusz Bokan z ambasady ZSSR w Atenach, który potwierdził, że nawet tak zaprzyjaźniona Grecja nie jest wolna od kretów z Moskwy.

Może to być prawdziwa „złota seria”, jeżeli oczywiście nie kryje się za tym podwójna gra. Na Kremlu już dawno przecież została zrealizowana całkowita osmoza między szpiegostwem a polityką, a zwłaszcza dyplomacją. Jeżeli więc to naprawdę ważni ludzie z KGB wybrali wolność, to Zachód, jeżeli nie przegapi okazji, może bardzo wiele dowiedzieć się nie tylko o siatkach szpiegowskich, ale i o tym jak przebiega tzw. proces podejmowania decyzji politycznej na samym Kremlu.

Tak więc, jak powiedziałem, na szczęście mimo „palmaresu” RFN, ruch szpiegów nie jest jednokierunkowy.

*Cela étant*, aktualny stan rzeczy nie powinien powodować zawrotu głowy od sukcesu. Powinien natomiast skłonić do zadumy.

### *Od Mojżesza*

Otóż, po pierwsze, szpiegostwo to jest bardzo normalna rzecz. Można powiedzieć, że nikt bez szpiegów obejść się nie może. Jakiś idiota powiedział o boksie, że to szlachetna sztuka samoobrony. Szpiegostwo, to dziś nauka i sztuka — jeżeli we właściwych proporcjach — właśnie prawdziwej samoobrony. I bywa szlachetna. Kiedy w roku 1450 przed Chrystusem Mojżesz „zgodnie z poleceniem Najwyższego” wysłał 12 szpiegów do krainy Kanaan, zanim zdecydował się był wysłać tam swój naród, działał roztropnie, zgodnie z poleceniem i rozumem. Dalila, oprócz innych charakterystyk, leżała obok Samsona także w charakterze szpiega. Cezar, Napoleon (Fouché) — żeby już nie wspominać o tych co w międzyczasie — w dużym stopniu zawdzięczali swe sukcesy właśnie prawidłowo prowadzonemu rozpoznaniu intencji i siły przeciwnika. O Ochronie carskiej nie trzeba wspominać: do szpiegostwa klasycznego dopisała nowe rozdziały dezinformacyjne (Protokoły Mędrców Syjonu) lub prowokacyjne. Nowoczesną sztukę i naukę szpiegostwa stworzyli oczywiście Niemcy, a zwłaszcza niejaki Wiliam Stieber, poprzednik Miszki Markusa w czasie wojny z Francuzami w roku 1870-1871.

Dziś nikt już nie wątpi, że — jak mawiał Publius Syrius, w czasach antycznych jeszcze — „jeżeli chce się wygrać wojnę bardzo szybko, to należy ją bardzo powoli przygotowywać”. Jest to założenie jeszcze bardziej słuszne, jeżeli chce się wojnę wygrać bez robienia wojny, co właśnie leży u podłoża doktryny sowieckiej, stanowi tajemnicę sukcesów ZSSR i jego przewagi w dziele „powolnego przygotowywania wojny”.

Historia szpiegostwa jest dość dokładnie znana i opracowana, bibliografia, jak się uczenie mówi, przedmiotu, jest bardzo obfita. Natomiast filozofia polityczna szpiegostwa stanowi ugór, który czeka na przeoranie. Ktoś to kiedyś zrobi, dziś tylko szkic szybki i amatorski, i to tylko w kontekście amerykańsko-sowieckiej wojny cieni.

Pierwszy aspekt jest — nie boję się użyć tego słowa — moralny. Na Zachodzie być szpiegiem w służbie własnego państwa, to po prostu wstyd. „Džentelmen nie czyta cudzych listów”,

powiedział chyba Roosevelt, kiedy mu zaproponowano organizację służby szpiegowskiej czy kontrwywiadu. Ten pogląd właściwie się nie zmienił, własnych szpiegów do salonów nie powinno się wpuszczać. Działalność szpiegowską uznaje się już dziś za coś nieodzownego dla bezpieczeństwa państwa, ale moralnie bardzo podejrzanego. James Bond, sympatyczny i odważny dziwkarz, nie potrafił w tej dziedzinie dokonać przełomu. Można podziwiać jego naiwne sukcesy zwłaszcza seksualne (dziewczęta są zawsze pierwsza klasa, szpiegdy sowieccy przeważnie zdegenerowani idioci), ale do służby, którą reprezentuje, obywatele demokracji zaufania nie mają. Pentagon wydał właśnie (koniec września 1985) fascynujące opracowanie na temat wykradania przez ZSSR technologii amerykańskiej. Jest to naukowe i bardzo szczegółowe obliczenie kto, jak, w jaki sposób, za ile, ukradł, wykradł, przemycił z USA do ZSSR i w jakim celu. Warstwa przygodowa raportu nie jest rewelacyjna, dziennikarze już się tym zajmowali w bardziej interesujący i przejrzysty sposób. Ale obliczenia i szczegóły przytoczone przez Pentagon są absolutnie przerażające. A jakie było główne pytanie dziennikarzy na konferencji prasowej, na której Caspar Weinberger prezentował swój raport? „Czy czasem ten raport nie został zredagowany przez CIA lub FBI?”. Nawet Weinberger nie odważył się odpowiedzieć wprost. Ja jednak, chociaż mogę się tylko domyślać, odpowiem: oczywiście, że przez CIA i FBI. A kto miał to redagować? Czerwony Krzyż, Sodalicja Mariańska, agencja Nowosti?

A jak jest na Wschodzie? A, tam „organy” to poważna sprawa. Czekista to zaszczyt, nie mówiąc już o przywilejach. Zapity Philby czy Rudolf Abel to bohaterzy narodowi, rozmaite groteskowe „kapitany” po powrocie z „misji” do Radia Wolnej Europy nie schodzili z ekranów TV, wydawali w ogromnych nakładach ogłupiające knoty, o Zacharskim była już mowa. Kiedy trzeba było zneutralizować naród sowiecki, sfrustrowany bojkotem olimpiady w Los Angeles i pozbawiony największego widowiska w historii sportu, Biuro Polityczne miało w zanadru broń absolutną: telewizyjny felieton o sowieckim Bondzie nazwiskiem Sławin. Mniejsza o jego przygody, konwencja ta sama, wykonanie nieco słabsze, no i panie absolutnie nie do porównania, ważne, że uznano, iż pokazanie pierwszy raz w historii akcji KGB poza granicami ZSSR może uśmierzyć nostalgię sowieckich widzów. W skrócie i w konkluzji, były szpieg idzie na Zachodzie w niepamięć. Szpieg Sorge ma w ZSSR operę i pomnik.

Drugi aspekt jest taktyczny. Wywiady wszystkich krajów wschodnich działają zgodnie, pod kontrolą i w zasadzie na polecenie Moskwy. Wszystko jest skoordynowane, rezultaty są

najpierw analizowane w Moskwie, a dopiero odpady zupełnie specyficznie „narodowe” polskie czy czeskie idą do Warszawy czy Pragi. Stąd ogromne, niemożliwe do uzyskania w innych warunkach, korzyści ZSSR z pracy szpiegów wschodnioniemieckich w RFN, rumuńskich, czeskich czy polskich, m.in. wśród ich etnicznych środowisk w diasporze. Oczywiście, mokra robota idzie w zasadzie na konto narodowe: dziennikarz-uciekiniar Markow zginął od „parasola bułgarskiego”, pisarz i dziennikarz uciekiniar Tanase miał zginąć od trucizny rumuńskiego szpiega itd. Ale, jeżeli chodzi o sprawy poważne, np. technologiczne, to niezależnie od „autora” wynik idzie do moskiewskiej kasy. Zacharski przekupił Williama Bella i wysłał go do Warszawy z dokumentami radarowych tajemnic Hughes Air Corp., ale w stolicy Polski w odizolowanej willi „dokumentacja” Bella została oceniona i opłaconą (110.000 dolarów gotówką) przez wieloosobową ekipę z Moskwy. Rewelacje Pacepy potwierdzają tę zasadę na znacznie większą naturalnie skalę.

No i *bulgarian connection!* Nawet jeżeli roli Bułgarów w zamachu na Papieża (psychopata Agsa wszystko poplątał), nie da się udowodnić, to w każdym razie nie ulega kwestii rola wywiadu bułgarskiego w przemyśle narkotyków z Bliskiego Wschodu na zachód Europy i broni — do Turcji i dla Palestyńczyków. Czyżby sielska Bułgaria miała jakiś „narodowy” cel w zatrzymywaniu zachodnioeuropejskiej młodzieży lub destabilizacji Turcji i Bliskiego Wschodu? A może interes jest rosyjski?

A na Zachodzie? Wywiady nie tylko nie współpracują, ale się zwalczają. Nic na ten temat nie wiem, ale czytam gazety. Już żeby się nie cofać za daleko, wymieńmy tylko tragikomiczną sprawę *underwatergate*, czyli zatopienia w porcie Auckland przez francuską tajną służbę statku organizacji ekologicznej Greenpeace. Osobiście myślałem, że to zrobili albo przynajmniej inspirowali Rosjanie, tak wielka była kompromitacja francuskiej demokracji. A jaka była pierwsza koncepcja we Francji? A no, że zrobili to na pewno Anglicy. Zrobili to, a raczej absolutnie spartolili, sami Francuzi, o czym dowiedzieliśmy się, trzeba tu jej oddać hołd, dzięki prasie francuskiej.

Statków Greenpeace, ani żadnych innych w czasie pokoju, nie należy w ogóle topić. Nie lubię gwałtu wobec ekologów, ani wobec nikogo w ogóle. Ale wyobraźmy sobie, że jakiś statek, którego zatopienie zostało zdecydowane w Moskwie, zawija do portu w Warnie. Bułgarzy statek topią, nie w porcie naturalnie, a tuż po jego wyjściu poza wody terytorialne (miny z opóźnionym zapłonem) i jest po wszystkim. Na świecie krzyk jest okropny, ale czy zachodzi jakiś konflikt między wywiadami i rządami



zaprzyjaźnionych i sojusznicych ZSSR i Bułgarii? A co zaszło po zatopieniu statku Greenpeace? Pokłócili się wszyscy, a przede wszystkim zaprzyjaźniona Francja z zaprzyjaźnioną Nową Zelandią.

Współpraca tajnych służb w Pakcie Warszawskim funkcjonuje jak w zegarku, na Zachodzie jest o nią trudniej nawet niż w COCOM-ie, który układa listy towarów pod embargiem w eksporcie na wschód. „Tajna służba powinna być tajna”, powiedział generał Marshall. Zachodnia tajna służba jest tajna przede wszystkim dla Zachodu. Na Wschodzie wiedzą o niej znacznie więcej.

No i ostatni bardzo krótko sformułowany czynnik z tej nie fachowo zestawionej listy. Na Zachodzie — szpiegostwo nie jest celem samym w sobie, stanowi konieczny ale wyłącznie uzupełniający element dyplomacji i wojskowości, pozostając, w sensie koncepcyjnym i operacyjnym, pod stałą kontrolą polityczną. Na tym, m.in., polega demokracja. Mimo całej swojej śmieszności, afera Greenpeace właśnie o tym świadczy. I tak, w granicach rozumu, być powinno.

Na Wschodzie szpiegostwo jest takie, jakie jest państwo i reżim. Dlatego tajna policja jest ponad państwem w ZSSR i w sowieckich ambasadach za granicą. Nie stanowi uzupełnienia dyplomacji, jest ponad nią, a właściwie jest nią. Czegoś takiego Zachód zrozumieć nie może. A na tym właśnie polega istota działania państwa sowieckiego i istota nieporozumienia Wschód - Zachód w ogóle, a w dziedzinie szpiegostwa w szczególności.

Ze szpiegostwem jest jak z terroryzmem. Zachód niezupełnie rozumie istotę zjawiska, jego prawdziwy wymiar i rolę w starciu demokracji i totalitaryzmu, w globalnym rachunku sił na świecie. Obecnie rachunek ten, w tej dziedzinie, tak jak w dziedzinie terroryzmu, kształtuje się dla Zachodu niekorzystnie. No — pytam znowu — co robić? Powiesić się? Poddać?

### *Kilka przykazań*

A może można tego uniknąć? W jaki sposób? Trzeba spytać fachowców, ja mogę skreślić tylko kilka uwag opartych na czytaniu prasy i śledzeniu rzeczywistości. Oto więc kilka przykazań na pozór ewidentnych.

1) Nie podskakuj. Zanim się podejmie kroki w walce ze szpiegostwem sowieckim, należy dobrze rozeznaczyć teren. Pani Thatcher, kobieta rozumna, popełniła błąd w starciu z Gorbaczowem. Urok jej byłego gościa z Londynu prysnął, lekcja pozostała.

„Gorbaczow, powiedział ktoś zdumionym Anglikom, nie zna się na precedensach”. Sprawa wybuchła, kiedy w odpowiedzi na wydalenie 31 szpiegów sowieckich, sypniętych przez zbiega Gordiewskiego, szefa rezydentury KGB w Londynie, Gorbaczow wyrzucił 31, prawdopodobnie Bogu ducha winnych, Anglików z Moskwy, takich np. „szpiegów” jak znany Polakom Tim Sebastian z BBC. Zdumienie Anglików było na pozór uzasadnione: po raz pierwszy Moskwa wyrzuciła szybko, a przede wszystkim dokładnie taką samą liczbę obcych dyplomatów i dziennikarzy co obcy — ich szpiegów. Po 105 sowiektach wyrzuconych w 1971 roku Breżniew odesłał tylko 18 Anglików, po 47 wyrzuconych z Paryża w 1983 roku Andropow nie odesłał ani jednego Francuza.

Ale przyszło nowe. Gorbaczow nie mógł puścić płazem afrontu. Za krótko jest na Kremlu, musiał — co było do przewidzenia — pokazać pięść. Pani Thatcher powinna była to przewidzieć i mieć w zanadru dodatkową ripostę, wycofanie ambasadora np. czy ekspulsję do finiszu. Nie miała i tuż przed wizytą w Paryżu i summitem w Genewie ofiarowała Gorbaczowowi, przy stanie 31 do 31, zachodnią kapitulację. A nawet znacznie więcej — zalegalizowała sowieckie szpiegostwo. Teraz bowiem każdy kraj, zwłaszcza mały lub średni, będzie musiał się głęboko zastanowić, zanim postanowi wyrzucić sowieckiego szpiega: stan liczbowy ambasad zachodnich w Moskwie jest co najmniej dwukrotnie niższy od składu ambasad sowieckich na Zachodzie. Jeżeli uznać, że istnieje już „doktryna Gorbaczowa”, oko za oko, jeden za jeden, to zachodzi ryzyko, że ambasady zachodnie w Moskwie się szybko wyludnią. A tego normalny kraj będzie chciał uniknąć, nawet za cenę tolerowania szpiegów.

2) Nie udawaj, że nic się nie stało. Najgorszy przykład tego jak się postępować nie powinno, dał — to nie niespodzianka — laureat nagrody Nobla Willy Brandt. Tuż po wykryciu skandalu Tiedge Brandt udał się *ausgerechnet* do Berlina wschodniego. Była to pierwsza podróż Brandta do NRD od chwili, kiedy w 1974 roku musiał ustąpić z kanclerstwa po wykryciu skandalu z Guillaumem. Szefem całego szpiegostwa wschodnioniemieckiego był wtedy Honecker, który uplasował Guillaume’a w gabinecie Brandta, ten sam który dziś jest szefem partii i gospodarzem Brandta.

3) Nie zacieraj. Są różnice między szpiegami. Nie zamykajmy oczu: zachodzi zasadnicza różnica między szpiegiem, który zagraża mojemu bezpieczeństwu, a szpiegiem, który mnie broni. Jest

różnica między wywiadem, który popiera walkę Afganów, a wywiadem, który stara się ich zniszczyć. Jest różnica między FBI, która stara się przeszkodzić wykradzeniu tajemnicy radaru czy systemu kierującego raketami, a KGB, który stara się je wykraść. Szpiegostwo jest istotnym czynnikiem starcia między demokracją a totalitaryzmem. Nie należy szans demokracji osłabiać. USA jeszcze do dziś nie doszły do siebie po rozbięciu CIA za prezydentury Cartera: wystarczy przestudiować sprawozdania Pentagonu z zaboru przez ZSSR technologii wojskowej.

4) Nie lekceważyć przeciwnika. Powiedzonko jest znane: ach, co tam są oni wariaci, takie ich szpiegostwo, jak poziom techniczny ich społeczeństwa w ogóle. Nieprawda: na wojsko i na policję środki zawsze będą. Kiedy sputnik leciał w kosmos, kłozety w Moskwie nie działały, mąka na chleb szła z USA, wołowina i masło z EWG. Komputerów w cywilnym ZSSR nie ma, ale w wywiadzie są.

5) Nie pomagać przeciwnikowi. 14.000 przedsiębiorstw amerykańskich wykonuje zamówienia Pentagonu. 4,5 miliona osób ma tzw. *security clearance*, to znaczy dostęp do tajemnic wojskowych. Według pewnego fachowca „dziś łatwiej jest wykraść tajemnice wojskowe w wielkich zakładach, niż mały chleb w supermarkecie”. Nie ma właściwie jeszcze ustawy o ochronie tajemnicy ani w zakładach, ani — ale to temat obszerny — w publikacjach naukowych czy w czasie konferencji naukowych. Wymiana naukowa ze Wschodem to także oddzielny temat, zwłaszcza te „złe maniery” sowietów, polegające na manipulacji listy uczestników, z której w ostatniej chwili znika jakiś autentyczny naukowiec, a zjawia się „naukowiec” z KGB.

6) Nie pobłażać. W USA nie ma kary śmierci (jest dopiero projekt) za szpiegostwo, ale nawet bez propagowania środków ostatecznych trzeba stwierdzić, że wyroki jakie przeważnie zapadają na Zachodzie są po prostu śmiesznie nieproporcjonalne i do stopnia szkody i w porównaniu z karami na Wschodzie. Nie ma norm postępowania między sojusznikami. Bruchhausen, nr 2 na liście „techno-bandytów”, to znaczy paserów technologii z USA do ZSSR, został aresztowany w Anglii, ale (w chwili pisania tych słów) nie wydany Amerykanom. Najważniejsza sprawa tkwi jednak nie w wymiarze sprawiedliwości, a w nierówności szans. W ambasadzie amerykańskiej w Moskwie pracuje ok. 200 pracowników rosyjskich: sprzątaczkę, szoferzy, inne funkcje pomocnicze. Są to wszystko funkcjonariusze organów naturalnie, to oni m.in. są odpowiedzialni za takie zmaisterkowanie maszyn do

pisania, że listy pisane do Białego Domu trafiały równocześnie na Kreml. Donieśli o tym zresztą dopiero Francuzi, którzy zwerbowali „kreta” w KGB. Nie trzeba nawet dodawać, że nie ma ani jednego pracownika nie sowieckiego w ambasadzie ZSSR w Waszyngtonie.

Departament Stanu nosi się, ze względów oszczędnościowych, z zamiarem zredukowania tylko do połowy nie-amerykańskiego personelu ambasady w Moskwie. W ten sposób pozostaną w pracy tylko najlepsi KGB-iści, m.in. szofer ambasadora, co do którego oficjalnie wiadomo, a doniósł o tym *New York Times*, że jest pułkownikiem KGB.

To samo dotyczy budynku ambasady sowieckiej w Waszyngtonie. To cała epopeja. Został on wzniesiony na Mount Alto, 100 metrów ponad poziomem morza, to znaczy na miejscu, z którego można kontrolować i nagrywać wszystkie rozmowy telefoniczne np. między Kongresem a Białym Domem. W ogóle 70 % łączności telefonicznej Waszyngtonu jest w zasięgu elektronicznych uszu Moskwy. To tak jakby ambasada ZSSR w Paryżu usytuowana była na szczycie wieży Eiffla. Nikt dzisiaj nie wie jak to się stało, że Moskwa uzyskała zgodę na budowę ambasady w tym akurat miejscu. Wiadomo tylko, że stało się tak wbrew opozycji CIA i FBI. No ale za to nie Rosjanie są odpowiedzialni.

Oczywiście nie trzeba się łudzić: szpiegostwa nie da się zlikwidować czy usunąć z nowoczesnego życia politycznego. Nie tylko jest to zajęcie niezbędne w polityce cywilnej i wojskowej, ale już dziś po prostu „normalne”. Dziś już żaden szpieg, zwłaszcza sowiecki, nie działa z pobudek ideowych, dla jednych jest to zawód, awans społeczny, dla innych, po prostu sprawa pieniędzy, taka jest ułomna natura ludzka. Ale to nie znaczy, że należy się z nim godzić, zwłaszcza w jego metastazie, to znaczy w kreciej i ośmiornicowej wersji sowieckiej.

Trzeba m.in. poszukać prawdziwych fachowców i nowych kadr. Gdyby kontrwywiad zachodnioniemiecki prawidłowo rozpoznał teren, to nie byłoby afery Tiedge. Wystarczyłoby np. zwrócić się do pani Gertrudy Wegner, ciotki Tiedgego. Ona już dawno przejrzała prawdę i charakter bratanka i wydziedzyczyła go na rzecz jego córek, dziś osieroconych. Już chciałem zaproponować nominację ciotki Wegner na szefa kontrwywiadu RFN, kiedy dowiedziałem się, że ciocia nie żyje. Umarła w 1982 roku. Za wcześniej.

P.S. Dowiedziałem się właśnie, że uciekł na zachód Ladislaw

Pataki, czeski specjalista od rzucania młotem. Gdyby tak jeszcze specjalista od rzucania sierpem...

Pisane 7 października 1985.

Kultura nr 11/458, 1985.

---

## TWARDY LOT I MIĘKKIE ŁADOWANIE

Proust mawiał, iż w miłości nie ma dobrego wyboru. Jeżeli bowiem trzeba w miłości wybierać, to wybór musi być zły. A jak jest w sprawie koreańskiego Boeinga 747, lot nr 007, 1 września 1983 z Nowego Jorku do Seulu? Tak jak w miłości: jest wybór, ale zły.

*Tertium*, istotnie, *non datur*. Albo bowiem — i jest to hipoteza pierwsza — zestrzelenie pasażerskiego samolotu z 269 osobami na pokładzie było zbrodnią dokonaną z zimną krwią, ze znajomością rzeczy i świadomością konsekwencji, albo też pilot sowieckiego Suchoj 15 — i to jest druga hipoteza — pomylił się, wziął pasażerski Jumbo za latającą fortecę lub latającego szpiega i rozwalił agresora zgodnie z rozkazem o obronie świętych granic ojczyzny.

Alternatywa straszna. W pierwszym bowiem przypadku w Moskwie rządzi banda morderców, których nic nigdy nie zdoła powstrzymać od popełnienia zbrodni, dla których ani prawo międzynarodowe ani ludzkie uczucia nie stanowią żadnego kryterium przy wyborze decyzji.

W drugim natomiast przypadku wniosek jeszcze bardziej koszmarny: grozi nam w każdej chwili wojna nuklearna z powodu ignorancji i burdelu w wojsku sowieckim. Jeżeli sowieckie radary i piloci uzbrojeni w rakiety nie są w stanie rozpoznać pasażerskiego Jumbo, to nasz los jest w ręku jakiegoś sachalińskiego dr. Strangelove i pozostaje tylko się modlić.

Kryzys międzynarodowy po zestrzeleniu 269 niewinnych ludzi w otchłani Morza Japońskiego był pierwszym kryzysem, jaki przyszło rozwiązać nowemu sekretarzowi generalnemu KPZS

Jurijowi Andropowowi. Pierwszym kryzysem i pierwszym egzaminem. Wpadł na piątkę.

Mimo iż sytuacja wydawała się beznadziejna, że świat był w stanie tak głębokiego szoku, iż nawet niektórzy klienci Moskwy z trzeciego świata zaczęli się zastanawiać nad głębszą naturą systemu sowieckiego, Andropow nie dał się zepchnąć do defensywy, wyszedł z wirażu właściwie bez większego szwanku. Dzięki Zachodowi naturalnie...

*„Cel jest zniszczony”*

Jumbo KAL lot nr 007 wystartował z Nowego Jorku 31 sierpnia wieczorem. Siedem godzin później lądował normalnie w Anchorage na Alasce. Wystartował w drogę do Seulu z 40-minutowym opóźnieniem. Niestety już nigdy nie będzie wiadomo, jak zboczył z drogi i przeleciał nad Kamczatką i Sachalinem. W każdym razie w kilka godzin później japoński nasłuch zanotował meldunek pilota sowieckiego do jego bazy na Sachalinie: „Cel jest zniszczony!”. Była godzina 20.26. O godzinie 20.30 Boeing był jeszcze na wysokości 5.000 metrów. O godzinie 20.38 Jumbo zniknął z radaru. Taki był koniec lotu 007. Taki był pierwszy pogrzeb 240 pasażerów i 29 członków załogi.

Zbrodnia była oczywista. Amerykańska, nie sowiecka. Oto w jaki, bez przesady historyczny sposób Moskwie udało się to udowodnić.

*1 września, o godzinie 4-tej rano*, w odpowiedzi na informacje o zaginięciu Jumbo nad terytorium ZSSR TASS z Moskwy donosi: „Związek Sowiecki nie dysponuje żadnymi informacjami na temat koreańskiego Boeinga”.

*1 września o godzinie 19-tej* TASS już dysponował: „W nocy z 31 sierpnia na 1 września od strony Oceanu Spokojnego w przestrzeń powietrzną ZSSR nad Kamczatką wtargnął niezidentyfikowany samolot, który następnie ponownie naruszył przestrzeń powietrzną ZSSR w rejonie wyspy Sachalin. Myśliwce obrony przeciwlotniczej, które wystartowały na spotkanie ze wspomnianym samolotem, próbowały udzielić mu pomocy w doprowadzeniu go na najbliższe lotnisko. Samolot nie reagował jednak na sygnały i ostrzeżenia sowieckich myśliwców i kontynuował lot w kierunku Morza Japońskiego”.

*2 września* TASS zaostrza ton i precyzuje, na czym polegała „pomoc dla niezidentyfikowanego samolotu” zwanego już „in-

truzem”. Agencja donosi: „Gwałcąc ustalenia międzynarodowe, samolot leciał bez świateł sygnalizacyjnych i nie reagował na sygnały radiowe nadawane przez kontrolerów sowieckich”. Logicznie więc, mówi TASS, „myśliwce sowieckie wystartowały celem przechwycenia intruza. Po bezskutecznych próbach nawiązania kontaktu z intruzem myśliwiec sowiecki oddał serię strzałów ostrzegawczych pociskami świetlnymi. Niedługo potem intruz opuścił granice przestrzeni powietrznej ZSSR i oddalił się w kierunku Morza Japońskiego. 10 minut później intruz zniknął z pola obserwacji”.

3 września samolot zostaje zidentyfikowany. Trzy dni po fakcie rząd sowiecki ogłasza, że „intruz” to Boeing 747 Koreańskich Linii Lotniczych, który 1 września pogwałcił sowiecki obszar powietrzny.

Tegoż 3 września TASS otwiera nową fazę. Donosi mianowicie, że koreański „intruz był w misji wywiadowczej, maskując się jako samolot pasażerski”. TASS wie już także, że pasażerowie zginęli. Agencja jest więc upoważniona przez koła kierownicze ZSSR „do wyrażenia żalu z powodu strat w ludziach, ale także do potępienia tych, którzy spowodowali śmierć pasażerów i starają się obecnie wykorzystać ten wypadek dla celów niegodnej polityki”. Kto się stara? To jasne.

4 września *Prawda* wchodzi do akcji i oskarża USA o „wykorzystywanie niewyjaśnionego wypadku dla rozpętania kampanii nienawiści wobec ZSSR”.

5 września, w bardzo długim, niepodpisanym komentarzu (KC!), *Prawda* uchyla rąbka tajemnicy: „ZSSR bronił i będzie bronić nienaruszalności swych granic. Obrona przeciwlotnicza spełniła swój obowiązek... Pilot sowiecki nie miał żadnych danych, aby przypuszczać, że na pokładzie są pasażerowie”. Pilot nie wiedział, ale *Prawda* wie, że pasażerowie ci „nie wiedzieli, iż są czymś w rodzaju zakładników umieszczonych na pokładzie szpiegowskiego samolotu”, tak jak to było „w przypadku kobiet i dzieci wysyłanych przez Hitlera na pierwszą linię frontu w toku agresji na ZSSR”. Co prawda dziwnie brzmi twierdzenie, że kobiety i dzieci nie wiedziały, że są zakładnikami i jakie są zamiary Hitlera, ale wszystkie sposoby są dobre.

6 września (to szczególnie ważny jak się potem okaże) na pierwszej linii zjawia się wysoki przedstawiciel hierarchii wojskowej. W artykule w *Prawdzie*, generał Siemion Romanow, szef sztabu obrony przeciwlotniczej, nie wnosi nic nowego. Potwierdza jed-

nak, że „pilot sowiecki mógł się pomylić, nie mógł znać misji samolotu-intruza, tym bardziej, że była to tylko jedna z licznych prowokacji u granic ZSSR”. No i konkluzja, od której już Moskwa nie odejdzie: scenariusz był napisany w Waszyngtonie, pasażerowie Boeinga to ofiary zimnej wojny rozpętanej przez Biały Dom, który „odpowie za to przed historią”.

9 września świat dowiaduje się nareszcie, że długo niezidentyfikowany Boeing 747, pomyłony przez pilota i całą obronę przeciwlotniczą ZSSR z Boeingiem 707 (przekształconym w wywiadowczy CR-135), „nie oddalił się w kierunku Morza Japońskiego” ani nie został ostrzeżony przez „pociski świetlne”, ale został zwyczajnie zestrzelony przez dwie rakiety wystrzelone z myśliwca Suchoj - 15.

10 września pilot, nazwisko nieznane, który tak odważnie i bohatercko zestrzelił nieuzbrojonego Boeinga i zamordował 269 niewinnych osób, wystąpił w telewizji w programie ogólnosowieckim. „Nasi obywatele spokojnie spali — opowiadał pilot — podczas kiedy on (intruz) kontynuował swój szpiegowski lot. Wszystko co w początkowej fazie uczyniłem, sprowadzało się do przekazania mu świetlnych sygnałów. Stwierdziłem, iż posiada on (samolot) liczną załogę, która powinna była zauważyć moje sygnały”. Pilot niestety nie wyjaśnia jak to możliwe, iż zauważył, że wrogi Boeing posiada liczną załogę, ale nie zauważył, że chodzi o pasażerski Jumbo z licznymi pasażerami. Mniejsza o detale, w końcu nie miał innego wyjścia: „Otrzymałem rozkaz, jasny i zdecydowany — powiedział — i wykonałem go”.

13 września *Krasnaja Zwiezda* ujawniła, że „pilot u steru Jumbo był pułkownikiem armii południowokoreańskiej”, znanym oczywiście z kontaktów z CIA, ale przede wszystkim wprowadziła nowy element. Organ armii czerwonej przeprowadził mianowicie wywiad z jednym z pilotów (nazwisko nieznane), którzy ścigali Boeinga. „Widziałem go, powiada, czarnego jak śmierć, niosącego może bomby albo rakiety. Ścigam CR - 135 od trzynastu lat, wziąłem pod uwagę wszystkie możliwości, ale nie wyobrażałem sobie, iż ten samolot może przewozić pasażerów cywilnych, że organizatorzy prowokacji mogą ukrywać się za niewinnymi osobami”. W normalnych warunkach, ta trzynastka okazałaby się fatalna. Jak bowiem wytłumaczyć, że pilot, który ściga od trzynastu lat CR - 135 nie odróżnił go od Jumbo 747, ale w tym zamieszaniu nikt na to nie zwrócił uwagi. Wiadomo już natomiast, że nie chodziło o samolot pasażerski w misji szpiegowskiej, a o samolot szpiegowski w misji pasażerskiej.



16 września dyrektor generalny Aeroflotu Boris Bugajew zaprotestował energicznie przeciwko sankcjom zastosowanym wobec Aeroflotu, „tej życiodajnej arterii jedności narodów i międzynarodowej współpracy”.

19 września *Prawda* przynosi nowe dowody amerykańskiej prowokacji. Koreański Jumbo opóźnił mianowicie start z Anchorage o 40 minut, aby zsynchronizować lot z misją satelity „Ferret 2”, wysłanego na orbitę przez CIA. Wspólna misja polegać miała na zebraniu maksimum informacji na temat sprawności i jakości obrony przeciwlotniczej sowieckiego Dalekiego Wschodu. I rzeczywiście.

26 września ostatni „faktograficzny” element do *dossier*. TASS donosi, że Ryszard Nixon miał zarezerwowane miejsce na pokładzie tragicznego Boeinga, ale że za poradą CIA zrezygnował z lotu. „Tylko sam Nixon może wyjaśnić tajemnicę tej decyzji”. To, że Nixon nigdy nie miał zamiaru wsiadać do tego Boeinga nie stanowi dla prasy sowieckiej żadnej przeszkody, albowiem, jak sprytnie zauważa *Sowieckaja Rossija*, „Nixon ściśle współpracował z CIA”...

28 września, cztery tygodnie po fakcie, nareszcie zabiera głos Andropow. Sam nie ma czasu, więc spiker czyta jego uroczyste oświadczenie. Tekst szalenie uroczysty, bez precedensu, zaczynający się od słów: „Kierownictwo sowieckie uznało, że powinno poinformować naród sowiecki i inne narody... o swym stanowisku w sprawie amerykańskiej polityki zagranicznej”. Śmierć 269 niewinnych ludzi Andropow nazwał „zbrodniczą dywersją bez precedensu”, mającą ukryć militarystyczne cele „hipokryty Reagana”.

Tyle byłoby sowieckiego *requiem* dla 269 szpiegów na pokładzie koreańskiego Boeinga. Oczywiście prasa sowiecka nie przestaje atakować, ale będą to już tylko wariacje na tematy znane już przedtem.

### *Akcja: Zachód*

Ważniejsze, że równocześnie wzdłuż tych samych linii, ale inteligentnie, z odcieniami, przy użyciu całej palety nacisków, szantaży i przekupstwa, rozwijała się dyplomacja sowiecka. Kłamstwa, ordynarne lub po prostu głupie przeznaczone były dla użytku wewnętrznego. Dla Zachodu przygotowano coś smaczniejszego.

Po pierwsze Moskwie udało się, i było to właściwie najłatwiejsze, wzbudzić nieufność do Stanów Zjednoczonych. Teza o szpiegowskiej w istocie misji koreańskiego Jumbo była prostsza do przeprowadzenia niż się wydawało. Z jednej strony bowiem, z przyczyn tylko im wiadomych, władze amerykańskiego wywiadu odmówiły ujawnienia pełnego zapisu taśm z nagraniami rozmów między pilotami Boeinga a stacjami naziemnymi amerykańskimi czy japońskimi, pozostawiając w ten sposób sporą „strefę wątpliwości”.

Z drugiej strony w sukurs Moskwie przyszli naturalnie dziennikarze zachodni. Masochizm prasowy jest ceną demokracji i nie ma na to rady. *Herald Tribune* np. napisał w pewnym momencie, że „Moskwa mówi prawdę o pilocie, który nie rozpoznał samolotu pasażerskiego, ale Waszyngton nie chce tego uznać”. *New York Times* wysmażył prawdziwy akt oskarżenia pod adresem nie Moskwy, ale Waszyngtonu. Jak to się stało, zapytał, że Boeing koreański tak daleko zboczył z drogi, dlaczego Waszyngton nie podaje liczby szpiegowskich CR - 135 latających w ową właśnie noc wzdłuż dalekowschodnich granic ZSSR, dlaczego wreszcie doszło do zbiegnięcia z trasy lotu 007 akurat w noc, kiedy — jak dziennik wie na pewno — sowietci przeprowadzali doświadczenia z nowymi raketami balistycznymi?

*Boston Globe* wystrzelił bombę o tym, że koreańskie linie lotnicze są właściwie instytucją wojskową, każdy ich pilot jest byłym wojskowym i po przejściu do cywila zachowuje kontakt ze służbami szpiegowskimi. Poważna gazeta z Bostonu informuje, iż właściciele KAL są w bliskich stosunkach z koreańską CIA, a ich samoloty transportują regularnie fundusze przeznaczone dla szpiegów i dla handlarzy narkotyków. Innymi słowy, według *Boston Globe*, KAL to nie taka linia lotnicza jak inne. *Globe* tego nie napisał, ale z tych zdań wynika pośrednio, iż właściwie Jumbo został słusznie zestrzelony.

W *Denver Post* dwóch byłych amerykańskich pilotów wojskowych ujawniło właściwie wszystkie tajemnice operacyjne i techniczne samolotu typu CR - 135, którego obecność w pobliżu Jumbo miałyby, według Rosjan, usprawiedliwić posłanie 269 osób na dno Morza Japońskiego. Wniosek pilotów (w ZSSR za ujawnienie jednej setnej informacji wydrukowanych w *Denver Post* zostaliby rozstrzelani) jest jasny: system łączności CR - 135 umożliwia w każdym momencie nawiązanie natychmiastowej łączności z jakimkolwiek samolotem, stacją naziemną itd. Inaczej mówiąc, to zła wola Waszyngtonu spowodowała zestrzelenie Jumbo. W najlepszym razie Boeing popełnił samobójstwo.

Wahającym się dziennikarzom Moskwa przypomniła sprytnie, że świat się nie oburzał tak bardzo, kiedy to myśliwce izraelskie zestrzeliły w 1973 roku libijski samolot pasażerski z ponad setką pasażerów na pokładzie. Podziałało, natychmiast zagrały nuty o podwójnym standardzie, wpływach syjonistów itd. Oczywiście żadnego samolotu pasażerskiego nie należy zestrzeliwać, to zawsze jest zbrodnia, ale Izrael otoczony wrogami był faktycznie w sytuacji wojennej. Pilot strzelał w skrzydła i samolot rozbił się przy lądowaniu, rząd natychmiast uznał pomyłkę, przeprosił, dopuścił zagraniczną komisję śledczą, wypłacił odszkodowania itd. Niewinnym pasażerom życia to nie przywróciło, ale dramat nie został pogrzebany pod śmieciami kłamliwej propagandy.

Po drugie Moskwa bezbłędnie rozegrała taktyczne wahania Zachodu. Przykładowo kilka faz operacji psychologicznej. Oto jak mógłby brzmieć monolog Kremla.

1. *Zdziwienie*. O co chodzi, pytają Rosjanie, wy przecież znacie nasze uczulenie na świętość naszych granic. Pierwszy dekret Andropowa po zajęciu fotela Breżniewa dotyczył ochrony granic ZSSR. Pilot działał zgodnie z prawem. Nasz kraj od wieków jest celem najazdu Mongołów, Polaków, Turków, Niemców, Chińczyków. Jesteśmy więc wrażliwi na tym punkcie. Nie rozumiemy waszego oburzenia. Od Jałty wiadomo, że nie należy nas drażnić: Berlin, Węgry, Czechosłowacja, Afganistan przeszły tak spokojnie, kto o nich pamięta? A kto będzie pamiętał o Boeingu za kilka miesięcy? Ludzie giną „legalnie” na murze berlińskim, a czy Sachalin jest mniej ważny?

2. *Spokój*. Przecież i tak jesteście bezradni, mówi Moskwa. Nic nie możecie nam zrobić. Sankcje gospodarcze nie wchodzi w rachubę, nie udały się przecież ani po Afganistanie, ani po puczu w Polsce. Czy Niemcy Zachodnie rzeczywiście poświęcą swoje interesy, aby uczcić pamięć kilkuset Koreańczyków? Uwaga, powiada Moskwa do swych zachodnioeuropejskich rozmówców, nie spieszcie się z sankcjami, poczekajcie na USA. (I słusznie. W nawałnicy słownej jaka wylała się z Białego Domu nie było nawet najbliższej aluzji do jakichś konkretnych kroków w dziedzinie np. zboża, czy urzędzeń naftowych).

Sankcje polityczne? Jakiego typu, pyta Kreml. Chcecie zerwać kontakty dyplomatyczne, negocjacje Wschód-Zachód? Bujda. Dlaczego Zachód nie odroczył choćby (nikt nie mówi o zerwaniu) konferencji w Madrycie, która zakończyła się wesołym oberkiem w obecności króla w kilka dni po zestrzeleniu Boeinga? A dla-

tego, Kreml sam sobie odpowiada, że nie potrafił. *The show must go!*

3. *Szantaż*. Uwaga, powiada Moskwa, bo pęknie. Co pęknie? Odpowiedź jest w trzech epizodach.

a) Pilot sowiecki — powiadają emisariusze Moskwy na Zachodzie — oczywiście się pomylił. To jasne. Nie odróżnił, fujara, 747 od 707 i nie ma na to rady. Nie możemy jednak się do tego przyznać w naszej propagandzie, bo oficjalnie jesteśmy nieomylni. Z wami jednak rozmawiamy poważnie. Pan profesor Wiktor Łynniki, „konsultant” Wydziału Informacji Międzynarodowej KC KPZS, bawił w Edynburgu jako członek sowieckiej delegacji na rozmowy na temat, oczywiście, rozbrojenia z grupą intelektualistów i ekspertów brytyjskich. Z tej okazji powiedział w BBC, że „zaszła naturalnie pomyłka, w tym sensie, że pilot wziął Jumbo za samolot szpiegowski”. W godzinę potem p. Łynniki wniósł poprawkę, powiadając, iż miał na myśli przeświadczenie, że „gdyby pilot wiedział, iż na pokładzie są cywile, nasza decyzja byłaby zgoła inna”, ale w sumie już wiadomo (na Zachodzie, bo w Rosji to ciągle tajemnica), że niestety zaszło nieporozumienie i że Zachód powinien to naturalnie uwzględnić. A dlaczego nie można tego powiedzieć przez radio Moskwa po rosyjsku? A bo, i tu dochodzimy do punktu:

b) Andropow jest w bardzo trudnej sytuacji, szepczą Łynniki w ucho dziennikarzy zachodnich, nie może sobie pozwolić na dezawuowanie wojskowych. Nie przeciągajcie więc struny. Musicie wybrać mniejsze zło. Z jednej strony jest Andropow, liberał i reformator (jak to przyznał nawet jego przeciwnik Miedwiediew), zwolennik pokojowego współżycia z Zachodem w godności i poszanowaniu wzajemnych interesów. Z drugiej strony jest wojsko, a co to znaczy nie należy nikomu tłumaczyć.

To wojskowi popełnili smutną, ale w końcu nie pierwszą pomyłkę nad Sachalinem. Historia jest żenująca, powiadają Sowieci nad kawiorem w swych ambasadach na Zachodzie. Z trzech radarów dwa nie działały, samoloty pościgowe nie rozpoznały maszyn, które śledzą od dziesiątków lat, nie potrafiły zmusić pasażerskiej maszyny do lądowania mimo tego, że Jumbo dwa razy wchodził i wychodził z naszego obszaru powietrznego. Wojskowi jednak kategorycznie odmówili przyznania się do pomyłki, nie mówiąc już o niedbalstwie. Bez przesady: 269 ofiar i to koreańskich nie odgrywa przecież żadnej roli, niewinnych ofiar w Libanie czy Afganistanie jest znacznie więcej, a tu chodzi o prestiż Armii Czerwonej.

Dlatego to właśnie, tłumaczą nam Sowieci (często z dobrym

skutkiem, wystarczy czytać prasę zachodnią), od początku afery Boeinga wypowiadali się właściwie tylko wojskowi, którzy mają monopol na informację w sprawach obrony.

Fachowcy przypominają epizod z lat 70-tych, kiedy marszałek Ogarkow był tylko generałem, ale brał udział w rokowaniach SALT 1. Pewnego dnia wziął on na stronę negocjatora amerykańskiego aby go poprosić o nieporuszanie detali ściśle wojskowo-technicznych przed cywilami, to znaczy ekspertami partyjno-rządowymi ze strony ZSSR. Dziś jest on już marszałkiem i to on właśnie ostatecznie załatwił sprawę już 9 września. Andropow mógł zabrać głos dopiero 28 września. Zrozumcie sytuację Andropowa i przestańcie wkładać kije między szprychy pokojowego pojazdu, którym on steruje. Zapomnijcie o Boeingu, światu chodzi o poważniejsze rzeczy. Jakże? A no to właśnie punkt:

c) Stawka jest większa niż 269 przeważnie zresztą skośnokich pasażerów Boeinga. W Genewie w rokowaniach atomowych chodzi o więcej żyć ludzkich niż nad Sachalinem. Otóż, skoro uznaliście, iż nad Sachalinem zaszła zwyczajna pomyłka, to musicie logicznie rozumować i stwierdzić co następuje. Koreański Boeing przebywał dwie i pół godziny nad terytorium ZSSR i to nad jego najbardziej delikatnymi wojskowo terenami. A mimo tych 150 minut obrona przeciwlotnicza sowieckiej superpotęgi atomowej nie potrafiła go zidentyfikować. Kosztowało to 269 niewinnych ludzkich istnień. To bolesne, ale ile żyć ludzkich może kosztować błąd tej samej obrony przeciwlotniczej polegający np. na pomyleniu szybowca z rakieta Pershing 2, której lot z Monachium do Kijowa trwa nie 150, lecz tylko 8 minut?

### *Trzeci pogrzeb*

Tyle w skrócie o definitywnym pogrzebie 269 pasażerów Boeinga, pochowanych pierwszy raz na dnie Morza Japońskiego, drugi raz pod papierami propagandy sowieckiej, a trzeci raz teraz, za parawanem zachodniego strachu. Nie tylko nie było żadnych faktycznie sankcji, ale nawet piloci linii pasażerskich, którzy ogłosili bojkot rejsów do Moskwy na 60 dni, skapitulowali po 15 dniach. Nawet walne zgromadzenie IATA (Międzynarodowego Stowarzyszenia Lotnictwa Cywilnego) potrafiło jedynie uchwalić rezolucję, która potępiła użycie siły wobec cywilnych samolotów, ale nie zrobiła najmniejszej aluzji do tragedii koreańskiego Jumbo. A przecież rakietę sowiecką ugodziła wszystkie konwencje międzynarodowe na temat powietrznego ruchu pasażerskiego. Dlaczego nikt nawet nie zaproponował, aby sprawę

dramatu z Sachalina i sprawę odszkodowań przedłożyć do rozpatrzenia np. przez Trybunał w Hadze?

Prezydent Reagan udał się z końcem września do Nowego Jorku, aby wygłosić swe pierwsze przemówienie do ONZ. Śmierci 269 niewinnych pasażerów koreańskiego Boeinga, a w tym 61 obywateli USA, a wśród nich członka Kongresu amerykańskiego, prezydent USA poświęcił zaledwie kilka słów. Dlaczego? Jak mi wyjaśniono, prezydent nie chciał odwracać uwagi świata od ważniejszych zagadnień. I słusznie. Tego właśnie domagała się Moskwa.

Gdzieś oczywiście racje obu super-potęg się zbiegają. Jakaś lista priorytetów świata gdzieś istnieje. Sztuka polityki polega m.in. na tym właśnie, aby w odpowiednim momencie zmienić kurs i nie dać się, jak Jumbo KAL'u, zestrzelić. Na razie udało się to jedynie Moskwie. Potrafili nawet zbrodnię znad Sachalinu sprzedać umiejętnie pacyfistom, których naiwny obłęd uznał sowiecką tezę, iż tragedia Boeinga wzmacnia konieczność jednostronnego rozbrojenia.

Jest już cicho nad sachalińską trumną, ale podstawowe pytanie przecież jest ciągle aktualne: czy rzeczywiście jedyny wybór jakim świat dziś dysponuje zachodzi między kapitulacją wobec sowieckich zbrodni a wojną światową.

Nie ma na to pytanie prostej odpowiedzi. Doświadczenie wykazuje, że stosunek sił (wszelkiego rodzaju, wojskowych i społecznych) między ZSSR a Zachodem jest dziś korzystny dla totalitaryzmu. Mniejsza o przyczyny, to inny temat. Skutek jest jednak jasny: z powodu niemożności uzgodnienia wspólnej płaszczyzny działania państw demokratycznych, ustalenia granicy nieprzekraczalnej dla sowieckiej ekspansji, niezdolności społeczeństw wolnych do wyrzeczeń materialnych w imię jakiegokolwiek celu wyższego rzędu, z powodu całkowitej atrofii świadomości, że demokracja to bardzo niewielka oaza w mniej lub bardziej totalitarnym świecie, Rosja nie została ukarana za żadną zbrodnię popełnioną na swoim i na cudzych narodach. I wobec tego popełni następne.

Dwie uwagi końcowe. Po pierwsze Moskwa wyciągnęła wnioski z kryzysu kubańskiego 1962 roku. Zachód — nie. Ówczesny wiceminister spraw zagranicznych Kuzniecowa powiedział wtedy do John McCloy'a: „To się więcej nie powtórzy, nigdy w przyszłości nie damy się tak potraktować”. Okazało się to prawdą, nie tylko z powodu kolosalnego wzmocnienia potęgi wojskowej ZSSR, ale przede wszystkim z powodu wojskowego osła-

bienia Zachodu i wyrzeczenia się przez demokracje argumentu siły w stosunkach z Sowietami. A przecież wiadomo, że Sowietci szanują tylko siłę, zaś słabych prześladują. W Moskwie mówią o Polakach z nienawiścią, ale z szacunkiem, a o Czechach z pogardą. To samo w odniesieniu do Zachodu. Finów w Moskwie nienawidzą, ale się boją. Z Bahrów, Voglów i Brandtów (co za upadek) się śmieją. Mitterranda przeklinają, ale jest to obok de Gaulle'a jedyny prezydent francuski, z którym się w Moskwie liczą. Stąd tak apokaliptyczny nacisk sowiecki na sprawę euro-rakiet. Setki SS-20 miały Rosji przynieść taką przewagę polityczną, że zachodnia Europa byłaby bezbronna wobec jakiegokolwiek szantażu sowieckiego. Euro-rakiety tę właśnie przewagę mają zlikwidować. Przewagę i szantaż.

Druga uwaga końcowa dotyczy dyplomacji Zachodu, a raczej jej braku. Zachodnia Europa, a zwłaszcza EWG, żyje w świecie absurdu, gdzie podstawowe pojęcia straciły właściwie swój prawdziwy sens. Sowietci będą zwyciężać tak długo, jak długo pojęcie suwerenności polegać będzie na odmowie prawdziwych konsultacji politycznych z aliantami.

W chwili kiedy kończę pisanie tego Brukselczyka, Amerykanie najechali Grenadę (to naturalnie oddzielny temat). Ta poprawna politycznie akcja, fatalnie przeprowadzona wojskowo, przywróciła „równowagę” psychiczną świata. Nie tylko progresiści wszystkich krajów, ale nawet rządy sojusznicze z NATO, chwilo-wo, po Sachalinie, przerażone faktem, iż moralność i prawo były po stronie USA a nie Moskwy, odetchnęli z ulgą. Afganistan, Boeing — *connais pas!* Można znowu jak dawniej pluć na Amerykanów.

Kiedy Reagan postanowił siłą dać do zrozumienia Kubie i Moskwie, że gdzieś jest granica ich ekspansji, i wybrał do tego celu, bo tak Ameryce było wygodnie, maleńką wyspę, gdzie właśnie progresiści zamordowali premiera i połowę rządu, też zresztą progresywnego, ale widocznie za mało, aby przygotować kubańskie lądowanie, to natychmiast pod ambasadą amerykańską w Brukseli zebrał się spontaniczny tłumek pomyślników w celu uroczystego spalenia flagi USA. Kiedy Rosjanie posłali na dno morza 269 niewinnych pasażerów cywilnego samolotu, pod ambasadą ZSSR nie było nikogo.

Pisane 25 października 1983.  
*Kultura* nr 12/435, 1983.

## A JEŻELI RZECZYWIŚCIE TO BYLI ROSJANIE?

18 lutego 1954 roku Mikołaj Chochłowski, kapitan ówczesnej KGB w misji specjalnej, zadzwonił do drzwi mieszkania jednego z budynków w centrum Frankfurtu. Otworzył mu lokator Grigori Ochołowicz, działacz NTS, emigracyjnej rosyjskiej organizacji antysowieckiej w RFN.

„Przybywam z Moskwy, powiedział na powitanie Chochłowski, z rozkazem zamordowania pana. Postanowiłem jednak nie wykonać rozkazu. Mam tego dosyć...”.

W kilka chwil później Chochłowski zeznawał przed oficerami amerykańskiego wywiadu. Ujawnił szczegóły swej misji, dał nazwiska i adresy członków swego komanda i zaprowadził agentów CIA do lasu na przedmieściu Monachium, gdzie stał porzucony samochód. Z akumulatora Chochłowski wyjął złotą papierośnicę, którą technicy KGB przekształcili w pistolet strzelający zatrutymi pociskami. Dum-dum...

Chochłowski nie strzelił, ale inni, przed nim i po nim, strzelali. Mordowanie uciekinierów czy działaczy emigracyjnych weszło do tradycji sowieckiej około 1926 roku, od chwili konsolidacji władzy Stalina. Jedną z pierwszych ofiar był Ukrainiec Semen Petlura, zastrzelony na ulicy Paryża. W 1930 roku porwany został, też w Paryżu, Aleksander Kutiepow, w 1932 roku zamordowano w Hamburgu Franza Wissigera, byłego kuriera kremłowskiego. Potem zginęli dwaj uciekinierzy, byli agenci KGB, Walentyn Markin i Jean Cremet, pierwszy w 1934 roku w Nowym Jorku, drugi dwa lata później w Makao.

Czarna seria sięgnęła szczytu w 1940 roku, kiedy na polecenie Stalina zamordowano w Meksyku Lwa Trockiego. Przedtem jeszcze zmarł w nieokreślonych okolicznościach, w trzy dni po udanej operacji w jednej z klinik Paryża, syn Trockiego, Lew Sedow. Dopiero po 18 latach okazało się, że chirurg i przyjaciel był także agentem KGB.

Chochłowski odmówił strzelania, ale Bogdan Staszyński strzelał. On też „pracował” na terenie RFN. Pierwszy raz KGB wysłało go w 1957 roku aby zamordować działacza ukraińskiego Lwa Rebeta, drugi raz, w rok później, aby zlikwidować Stepana Banderego. Obaj Ukraińcy zginęli w ten sam sposób: Staszyński



„strzelał” strumieniem zatrutego gazu, śmierć była natychmiastowa, symptomy wskazywały na atak serca.

Serce wskazało także Staszyńskiemu drogę wyjścia. Wszystkie szczegóły swoich dwóch misji opowiedział w trakcie trzeciej, kiedy zdecydował (*cherchez la femme*) oddać się w ręce wywiadu zachodnoniemieckiego.

Po rewelacjach Chochłowa i Staszyńskiego na placu Dzierżyńskiego w Moskwie zakotłowało się. Nikt nie zmarł naturalnie na atak serca, ale postanowiono zrewidować poglądy na skuteczność skrytobójstwa jako argumentu w dyskusji ideologicznej. Stalin już nie żył, *détente* i handel dyktowały swoje prawa, do salonów zachodnich nie było elegancko wchodzić przez okno z naganem w rękę.

Dwa rzeczowe argumenty dodały powagi dyskusji. Po pierwsze, wielkie szyszki wybierające wolność były coraz lepiej strzeżone, żaden agent UB nie odnalazł chyba pułkownika Monata, tak jak żaden rumuński, sowiecki czy polski „emisariusz” nie potrafił dostać się na odległość pewnego strzału w pobliże generała Pacepy, b. zastępcy sekretarza generalnego ONZ Szewczenki, czy byłych ambasadorów Spasowskiego i Rurarza. Po drugie zaś, i to może ważniejsze, Rosjanie zostali w końcu przekonani, że riposta będzie bolesna, jako że zachodnie służby tajne to także nie oddziały Armii Zbawienia.

### *Bułgarskie skrzydła*

Stąd też kiedy turecki terrorysta Ali Agsa, który 13 maja 1981 roku, na placu Św. Piotra w Rzymie strzelił dwukrotnie do Jana Pawła II, został dwa miesiące później skazany na dożywocie, świat po wstępnym szoku uznał sprawę za zamkniętą. Papież, dzięki Bogu, przeżył, zwariowany Turek zniknął, koniec, kropka, zapomnijmy o dramacie.

Nie zabrakło naturalnie kilku niedowiarków, którzy dyskretnie wyrażali pogląd, że Agsa musiał mieć współników, ale prawdziwa przepaść dzieliła tego typu wątpliwości od poglądu, że istniał normalny spisek międzynarodowy na życie polskiego Papieża, przepaść której nikt, wydawało się, nie odważy się przekroczyć.

Odważył się p. Ilario Martella, włoski sędzia śledczy. W listopadzie 1982 roku, 18 miesięcy po zamachu, sędzia Martella, człowiek uparty i nieprzekupny, znany ze słynnej afery łapówek Lockheeda, nakazał aresztowanie Sergiusza Antonowa, urzędnika rzymskiego biura bułgarskich linii lotniczych, oraz wysłał listy

gończe za dwoma innymi Bułgarami, którzy jednak, odmiennie niż Antonow, byli już z powrotem w Sofii. Tak narodziła się *The Bulgarian Connection*, a wraz z nią opowieść o sowieckim planie zamordowania Papieża.

Świat się zatrząsł. Kto, co, po co? Jaki jest związek między tureckim fanatykiem i mordercą, bułgarskimi liniami lotniczymi i KGB? *Cui bono, cui prodest?* Kiedy piszę te słowa, materialne elementy są tajemnicą śledztwa, ale polityczne aspekty i wątpliwości są już wyraźne.

### *Technika i ideologia*

Technicznie biorąc, nie ma nic nowego w fakcie współpracy czy wyręki jednego wywiadu wschodniego przez towarzyszy z innego kraju komunistycznego. Integracja służb specjalnych jest na pewno w lepszym stanie niż np. gospodarcza. W 1962 roku Bela Łapusznik, agent węgierski, który wybrał wolność w Wiedniu, został otruty przez agenta czechosłowackiego, chociaż przebywał w „miejscu absolutnie pewnym”. Vlado Dapcewicz, były pułkownik, a potem przeciwnik Tito, obywatel belgijski, został porwany w centrum Bukaresztu dzięki współpracy agentów rumuńskich, przewieziony do Belgradu i skazany na 20 lat więzienia. Litwin Cessiunas, były kajakowy mistrz olimpijski, który postanowił zostać w RFN, został porwany przez agentów NRD — którzy czują się równie swobodnie na zachód co na wschód od Łaby — dostarczony Sowietom, gdzie po „konferencji prasowej” popełnił, naturalnie, samobójstwo.

Ideologicznie biorąc, zasady „cel uświęca środki” i „dobry uciekinier to martwy uciekinier” pozostały w mocy także po rewelacjach Chochłowa czy Staszyńskiego. Niedawna wyprawa zorganizowana przez Ceausescu po życie pisarza Virgila Tanase, ujawniona przez agenta, który tak jak Staszyński postanowił zostać na Zachodzie, jest tego najbardziej tragikomicznym przykładem. Ile ofiar padło od kul agentów jugosłowiańskich we wszystkich krajach zachodnich, gdzie Kroaci postanowili odrodzić ruch ustaszowski czy inny? No i w końcu, żeby wrócić do początku tej opowieści, czy należy rozwozić się nad kosztowną historią „bułgarskiego parasola”, który w Londynie zabił uciekiniera-dziennikarza Jerzego Markowa, współpracownika BBC i RWE i prawie zabił Władimira Kostowa, także uciekiniera i także dziennikarza, ale w Paryżu?

Dla tych, którzy znali Bułgarię z produkcji olejku różanego, Żółtych Piasków oraz pliski, już taki „parasol” stanowi zasko-

czenie, a cóż dopiero udział w spisku na Papieża. Fachowcy pamiętają jednak, iż Bułgaria odgrywa poważną rolę w świecie cieni nie tylko w skali indywidualnej czy też jednego parasola. Bułgaria to prawdziwe mocarstwo w tej dziedzinie, tym większe, że jej wywiad i agenci od mokrej roboty to jedyń, do których Moskwa ma rzeczywiście zaufanie (jeżeli w ogóle coś takiego w tej branży istnieje) i prawdopodobnie jedyń, którym — kiedy tylko jest to konieczne — KGB powierza wykonanie tych zadań, których sam nie chce z powodów taktycznych wykonać. Bezpieczeństwo bułgarskie, wywiad i kontrwywiad są — to nie jest tajemnica — całkowicie spenetrowane i kontrolowane przez KGB.

Sudan w 1971 i Egipt w 1978 roku wydalily ambasadorów Bułgarii (wraz z drobniejszymi urzędnikami) za organizowanie spisków przeciw lokalnej władzy, która, jakby przez przypadek, właśnie się odwracała od Moskwy. To Bułgaria zwerbowała i opłacała włoskiego „syndykalistę” Luigi Scriciollo, który służył jako łącznik między wywiadem z Sofii a Czerwonymi Brygadami (negocjował m.in. „sprzedaż” Bułgarom porwanego przez Czerwone Brygady generała amerykańskiego Doziera), a przede wszystkim funkcjonował jako szpieg przydzielony specjalnie do osoby Lecha Wałęsy, którego śledził w charakterze „oddanego przyjaciela” w Gdańsku, w Rzymie i w Watykanie.

Dwa aspekty są specjalnie zabawne. Po pierwsze, władze polskie starają się uczynić z „opieki” Scriciollo nad Wałęsą zarzut wobec przywódcy „Solidarności”, zupełnie pomijając zasadnicze „przywiązanie” włoskiego szpiega do wywiadu bułgarskiego i fakt, iż one same korzystały z informacji dostarczanych przez Scriciollo — chyba że towarzysze z Sofii nie dzielili się z towarzyszami z Warszawy tajemnicami Scriciolla. Może też dlatego, że, po drugie, właściwym odbiorcą rewelacji Scriciolla, opłacanych dolarami z Sofii, był nie generał Jaruzelski, a generał Andropow.

Z drugiej strony specjalizacja w dziedzinie oleju różanego nie przeszkadzała Bułgarii wyspecjalizować się także w dziedzinie pomocy dla światowego terroryzmu, ze specjalnym uwzględnieniem destabilizacji południowej flanki NATO w Turcji (w Grecji jest to dziś mniej ważne, jako że destabilizacją tego ogniwa NATO zajmuje się osobiście premier Papandreu).

Nie wiadomo jeszcze, jaką rzeczywiście rolę odegrała Bułgaria w zamachu na Papieża, ale przy okazji śledztwa świat zainteresował się tym spokojnym wieśniaczym krajem bałkańskim. Okazało się wtedy, że specjalne przedsiębiorstwo bułgarskie Kintex dostarcza broni wszystkim klientom bez żadnej dyskryminacji, z lewa i z prawa, Palestyńczykom od Arafata i od Abu

Nidala, z Syrii i z Iraku, a także falangistom i muzułmanom libańskim, Czerwonym Brygadam, Rote Armee, Irlandczykom...

W Bułgarii znajduje się kilka obozów szkolenia terrorystów palestyńskich i zachodnioeuropejskich, np. w miejscowości Darwenica, na południowy zachód od Sofii, do którego wjazd prowadzi, bardzo sprytnie, przez ogromną przemysłową chlewnię.

Wyszło również na jaw, że ciężarówki TIR, zarejestrowane w Bułgarii, wyspecjalizowały się w przemyśle np. papierosów i narkotyków, że ogromny ruch ciężarówek z numerami Bułgarii jest niewspółmierny do wielkości jej wymiany handlowej, że w ogóle ruch wschodnich ciężarówek, a zwłaszcza dziwne zwyczaje szoferów, zatrzymujących się na odpoczynek z reguły niedaleko lotnisk wojskowych i innych obiektów strategicznych oraz z upodobaniem manipulujących przy pieczęciach, które powinny być nienaruszone w czasie tranzytu, itd. itp. stanowi już od pewnego czasu przedmiot zainteresowania zachodnich kontrwywiadów, nawet w Szwajcarii.

Przed wszystkim jednak wyszło na jaw, że specjalnie dobre stosunki wywiad bułgarski ma z mafią turecką. To mafia pomaga Bułgarom sprzedawać broń terrorystom tureckim i organizować przerzuty do krajów zachodnich, np. do Włoch, zaś wywiad bułgarski pozwala w zamian tureckim gangsterom przewozić narkotyki też na Zachód, do Włoch przede wszystkim i Francji. Kaidowie, czyli szefowie tureckich gangów, są w Bułgarii miłymi gośćmi, mieszkają w najlepszych hotelach, są pod opieką bułgarskiej policji. Taki np. Beszír Celenk, znany „businessman”, a faktycznie jeden z szefów mafii tureckiej, przebywa w Sofii właściwie już od zamachu stanu generała Evrena, cieszy się szacunkiem władz bułgarskich, podobnie jak jego świta, w tym kilka „artystek”. To Celenk zorganizował — w zamian za wolny tranzyt narkotyków — wielki przerzut broni bułgarskiej do Włoch poprzez port w Trieście, aferę zakończoną procesem i wyrokami na jego współników w mieście Trento (szczegóły w prasie codziennej nie bułgarskiej).

### *Mitoman i wariat*

To w tym właśnie miejscu zaczęły mnie nachodzić nieprzyjemne skojarzenia. Choć osobiście nie jestem zwolennikiem konspiracyjnej teorii rozwoju świata, to jednak w miarę poszukiwania prawdy nasuwało mi się coraz więcej wątpliwości. Mimo że, jak napisał *New York Times*, wysokie koła w Waszyngtonie nie

mają sprecyzowanego poglądu na rodzaj stosunków, jakie łączyły Agsę z wywiadem bułgarskim, ja zaczynam mieć. Oto bowiem:

a) Przed podróżą do Sofii Agsa był skazany na dożywocie za zamordowanie dziennikarza i przebywał za kratami „najpewniejszego” więzienia w Turcji. Ktoś oczywiście musiał mu pomóc w ucieczce. Może mafia? W każdym razie władze tureckie na nowo otworzyły śledztwo w sprawie tej „niezrozumiałej” ucieczki...

b) Agsa oczywiście nie mógł bez czyjejs (?) pomocy znaleźć się w Sofii po ucieczce z więzienia. Urzędnicy w Sofii odpowiedzieli na pytania amerykańskiego dziennikarza, że do Bułgarii wjeżdża 3 miliony turystów rocznie i że w obrocie z Turcją nie obowiązują wize. Nie powiedzieli jednak, że kontrola jest absolutna, że każdy turysta musi wypełnić specjalny formularz, że paszporty są stemplowane i kontrolowane, że, krótko mówiąc, bez zgody wywiadu bułgarskiego żaden turysta, a nie tylko terrorysta Agsa, skazany w Turcji, nie mógłby się dostać do Bułgarii. W zeznaniach urzędników bułgarskich, którzy stali się nagle szalenie rozmowni, zachodzą zresztą spore sprzeczności. Według niektórych źródeł Agsa wjechał rzekomo do Bułgarii na podstawie paszportu hinduskiego wystawionego na nazwisko, naturalnie, Singh. Wtedy jednak, jako nie Turek, musiałby mieć wizę. Bułgarzy z oburzeniem pytają, dlaczego Agsa mógł się swobodnie poruszać po Włoszech, Hiszpanii czy RFN, a nie mógłby po Bułgarii, dlaczego Bułgarzy mieliby być bardziej czujni niż Niemcy czy Włosi? Dobre pytanie...

c) Agsa, oczywiście, nie mógł zamieszkać bez zgody wywiadu bułgarskiego w najlepszym hotelu Sofii „Witosza” (zbudowanym przez amerykańsko-japoński koncern New-Otani, ale wyposażonym w mikrofony już przez KGB), gdzie od tragarza w górę cały personel należy do tajnej policji. Otóż, cóż za zbieg okoliczności, to w tym hotelu właśnie Agsa mieszkał przez 50 dni równocześnie z Celenkiem. Bułgarzy ciągle zresztą twierdzą, że Celenk zajmuje się eksportem... wody mineralnej, choć powinni wiedzieć, że zanim jeszcze powstał plan zabicia Papieża, Celenk już był bohaterem listów gończych jako szmugler narkotyków i broni. Po co w ogóle szum? Jeżeli Celenk jest taki czysty, to najlepiej wystać go na Zachód albo do Turcji, a już tam ten eksporter wody mineralnej potrafi udowodnić swą niewinność. Tymczasem Celenk nie tylko nie wyjechał, ale po prostu zniknął z hotelu, do którego się w międzyczasie przeniósł, a który nosi nazwę... „Moskwa”. „Ma katar” — powiedział zachodnim dziennikarzom bułgarski MSZ.

d) Agsa, bez pomocy wywiadu bułgarskiego, nie mógł opuścić

Sofii. Kiedy wyjechał, miał kilka paszportów, kupę pieniędzy i plan podróży przez kilka krajów Europy.

e) Agsa, oczywiście, nie mógł w Rzymie działać sam. Miał współpracowników, ktoś w końcu wynajął mu pokój w hotelu, dał mu 50.000 DM i, drobiazgi, rewolwer.

Przeciwnicy teorii spiskowej powiadają, że Agsa to fanatyk, mitoman i wariat. Bardzo możliwe. Normalny człowiek nie morduje rzymskiego papieża. Jak jednak wytłumaczyć:

a) że ten mitoman i wariat pamięta gdzie mieszkał w Sofii i gdzie spotkał Celenka, który mu obiecał nie tylko 3 miliony DM za strzelanie do Papieża, ale także powiedział, jak i kiedy miano go uwolnić z więzienia w Rzymie, jak miano go (tak jak w Turcji) wykraść lub wymienić, co potwierdzałoby prewencyjne aresztowanie w Sofii Bogu ducha winnych młodych turystów włoskich;

b) że ten mitoman i wariat rozpoznał Antonowa i dwóch innych Bułgarów, Ajwazowa i Wasilewa, z setki zdjęć, jakie mu pokazano w czasie śledztwa, że potrafił opisać mieszkanie Bułgarów i wskazać budynek zarezerwowany dla pracowników ambasady, przed którym na 2 dni przed zamachem i w czasie „próby generalnej” zatrzymali się, aby zabrać broń, i podać nawet zastrzeżony telefon Antonowa;

c) że ten mitoman rozpoznał akurat tych trzech Bułgarów, których nie tylko podobizny, ale i nazwiska i adresy jako pracowników wywiadu bułgarskiego ujawnił policji Luigi Scriciollo, „syndykalista” włoski przypisany do osoby Wałęsy, a faktycznie agent Sofii;

d) że ten wariat przestrzegał mimo wszystko określonych reguł gry i nie zaczął sypać rewelacjami o *Bulgarian Connection* przed upływem terminu obiecanego mu uwolnienia z więzienia.

*Trzy razy tak...*

*A posteriori* spiskowy scenariusz wydaje się genialnie prosty. Zbrodnia prawie idealna. Bierze się notorycznego mordercę, prawnicowego fanatyka, posyła się go do Watykanu, gdzie po zastrzeleniu Papieża ma on być również zastrzelony albo przez ochronę Papieża, albo przez obecnych obok na placu agentów bułgarskich. Po kilku tygodniach szok mija, jak również pamięć o Papieżu i o Agsy. Sprawa zamknięta, można pisać nowy scenariusz.

A jednak się nie udało. I ofiara i zamachowiec przeżyli. Papież milczy. Agsa nie. Na Zachodzie wybuchła burza. TV,

radio, parlamenty, prasa. Wschód, jednak jakby zakłopotany, milczał, a potem, kiedy przeszedł do kontrofensywy, były to tylko oburzenie, szyderstwa i wyzwiska. Aż dziwne. Władze polskie, które postanowiły przeprowadzić wszystkimi siłami policji ogólnokrajowe śledztwo w sprawie jednego przypadkowego spotkania Wałęsy z Krohnem, niedoszłym zamachowcem na Papieża w Fatimie, tym razem okazały się wyjątkowo nieporadne. Nawet Scriciollo przestał być wymieniany. Przypomniano natomiast pożar Reichstagu i Bułgara Dymitrowa...

Nie wiem, czy był spisek, a jeżeli był, to po co. Ponieważ jednak Moskwa, Sofia i Warszawa nie potrafiły, czy nie mogły wyjść poza święte oburzenie, zaklęcia i wyklęcia oraz rolę syjonizmu i CIA, to postaram się przeprowadzić rozumowanie *sine ira et studio*. Będzie to naturalnie operacja spekulatywna, oparta jednak na rzeczowych przesłankach.

Pytanie główne — żeby zostać przy łacinie — brzmi naturalnie: *cui prodest, cui bono?* Odpowiedź „pozytywna” i adres ZSSR mogą być potrójnie uzasadnione.

Po pierwsze, czas akcji. W maju 1981 roku „Solidarność” była, pozornie, u szczytu siły, a reżym był, pozornie, w strzępach. Dziś wiemy, że zamach wojskowy już był wtedy w przygotowaniu, a elegie o dialogu i szczyty generała z Prymasem i Wałęsą były zwyczajnym manewrem dla wygrania czasu. Wtedy jednak szanse powodzenia puczu w Polsce były dalekie od stu procent. Nikt także nie zdementował dotąd wiadomości o wysłaniu przez Papieża tajnego orędzia do Breżniewa z przestrogą przed interwencją w sprawy polskie. Niewykluczone, że w takiej sytuacji, na siedem miesięcy przed puczem i przed ujawnieniem faktu, że „Solidarność” nie jest w stanie przeciwstawić się policji i wojsku, Kreml doszedł do wniosku, że likwidacja „Solidarności” musi zakładać uprzednią likwidację polskiego Papieża.

Po drugie, w maju 1981 roku była już zapowiedziana i właściwie pewna druga wizyta Papieża w 1982 roku w Polsce. Rozumowanie Moskwy jest łatwe do odtworzenia: z jej punktu widzenia pobyt Papieża w Polsce mógł się wydawać nie do zaakceptowania. Wybór Polaka na tron pontyfikalny i pierwsza Jego wizyta stanowiły istotnie punkt zwrotny — choć przesadnie chyba oceniany przez Moskwę — w odnowie społeczeństwa polskiego i w narodzinach procesu, który doprowadził do powstania „Solidarności”. Następną wizytą doprowadziłaby reżym do całkowitego rozpadu. Trzeba było zapobiec tej wizycie. W maju 1981 roku reżym Jaruzelskiego był za słaby, aby zabronić Papieżowi wjazdu do kraju. Udany zamach w Rzymie załatwiłby sprawę...

Po trzecie, Moskwa nie może pogodzić się z ekumenizmem

i ewangelizmem Jana Pawła II. Ataki prasy sowieckiej i czechosłowackiej na „subwersyjną centralę” w Watykanie są wystarczająco wymowne. Wyniesienie prymasa polskiego do godności kardynalskiej może być uznane za formalność, ale fakt, iż na liście nowych purpuratów znalazło się czterech biskupów z krajów skomunizowanych ma swoją wymowę. Tym bardziej, iż jest wśród nich ks. Vajvods (nie ręczę za ortografię) z Rygi, jedyny (87 lat) żyjący kardynał na terytorium ZSSR i że biskup Wilna, ks. Stepanowičius jest już także — według dobrych źródeł — kardynałem, tylko że na razie *in pectore*.

... i trzy razy „nie”

Z drugiej jednak strony na pytanie *cui prodest* trzeba przytoczyć i argumenty „negatywne”, także potrójnie uzasadnione.

Po pierwsze więc jest rzeczą mało prawdopodobną, aby na Kremlu był ktoś wystarczająco krótkowzroczny, aby przypuszczać, iż usunięcie Papieża mogłoby usunąć „polski problem” z porządku dnia w bloku wschodnim, uratować komunizm od promieniującego opadu polskiej bomby solidarnościowej. Odwrotnie nawet, przypuszczam, że na Kremlu są ludzie wystarczająco inteligentni, aby wyobrazić sobie, iż w pewnych okolicznościach Papież mógłby być właściwie jedynym człowiekiem zdolnym odwieść Polaków od decyzji zbrojnego buntu czy innego rodzaju katastrofy. Kościół przywykł liczyć się z układem sił i prowadzić dialog z władzą świecką najbardziej nawet zohydzoną w narodzie. Hasło prymasa Glempa „nie przelewać krwi polskiej” jest możliwe do zaakceptowania przez Sowiety, naturalnie pod określonymi warunkami kapitulacji, a te są kwestią dyskusji. Gdyby jednak został dowiedziony udział Moskwy — faktycznych mocodawców Jaruzelskiego — w zamachu na Polaka-Papieża, to nawet i Kościół musiałby przestać funkcjonować jako pośrednik między władzą a społeczeństwem i jako amortyzator niezadowolenia społecznego.

Po drugie równie mało prawdopodobny jest pogląd, że gdyby jednak projekt zamachu narodził się w głowie Moskwy, to Kreml powierzyłby jego wykonanie akurat Bułgarom, którzy już faktycznie stanowią republikę sowiecką, i których każdy gest nasuwa automatycznie wniosek o inspiracji i rozkazach idących z ZSSR.

No i po trzecie, i najważniejsze, w maju 1981 roku Andropow brał już udział w wścigu po spadek po Breżniewie. Andropow jednak wiedział na pewno, iż jeżeli zostanie dowiedzione, że rewolwerem Turka kierowała dłoń bułgarska, a tę prowadził ro-



zum Kremla, to, przynajmniej na jakiś czas, wejście Andropowa na zachodnie salony byłoby niemożliwe.

Gdyby udział KGB, którym Andropow jeszcze wtedy kierował, i którym faktycznie także i dziś kieruje, został dowiedziony, to zachodnia strategia powrotu do *détente* musiałaby ulec rewizji. Breżniew, a po nim Andropow i biuro polityczne byli śmiertelnymi przeciwnikami demokracji, mają jednak na Zachodzie opinię osób odpowiedzialnych. Udział w zamachu na Papieża musiałby tę opinię podważyć. Europa zaczęłaby się z powrotem i na nowo bać Kremla, chociaż w tym właśnie momencie bała się przede wszystkim... Reagana. Andropow odpadłby wtedy z przedbiegów do Kremla nie tylko jako polityk nie do zaakceptowania przez Zachód, ale także jako odpowiedzialny za sfuszerowanie tak ważnej konspiracji.

*Czy dowiemy się prawdy?*

Tyle obrony ZSSR, co w moim pisaniu nie występuje często. Na tym jednak sprawa się nie kończy. Pozostaje waleczny i mądry Zachód. Dla Zachodu pytanie *cui prodest* jest oczywiście także ważne. To z Andropowem Zachód musi teraz negocjować przyszłość świata. Pytanie tylko, z jakim Andropowem? Z Andropowem, szefem kolosalnego aparatu represji i tortur, szefem ustroju opartego na gułagu i nietolerancji, ale z człowiekiem pragmatycznym, szanującym i znającym układ sił na świecie, świadomym ryzyka atomowego, czy też z Andropowem mordercą bezbronnego księdza?

Tak postawione pytanie zawiera właściwie i odpowiedź: nigdy, to znaczy przez dziesięciolecia, nie dowiemy się prawdy. Są zbrodnie, których ZSSR nie ujawnia, np. prawdy o Katyniu; są zbrodnie, których Zachód nie ujawnia, np. o zamachu na Kennedy'ego. Należy założyć, iż Antonow zostanie wymieniony na aresztowanych w Sofii młodych Włochów, że Agsa albo umrze na zapalenie płuc, albo po prostu uznany zostanie istotnie za wariata i mitomana i przestanie przeszkadzać w powrocie do *détente* i w układach o zmniejszeniu ryzyka grzyba atomowego. W 1983 roku albo w orwellowskim 1984 roku dojdzie do szczytu Andropow - Reagan albo, nieco później, do szczytu następcy Andropowa - następcy Reagana. W każdym razie „dossier 13 maja 1981” zniknie ze stołów dyplomacji światowej.

Małeńki przykładzik widziany z Brukseli. W ciągu ostatniego roku Belgia wydalila kilku szpiegów sowieckich, interesujących się specjalnie, nic w tym dziwnego, siedzibą NATO, EWG i ich

tajemnicami wojskowymi i technologicznymi. Zrobiła to jednak w wielkiej dyskrecji. Do dziś zresztą belgijskie MSZ udaje, że o niczym nic nie wie. A dlaczego?, spytacie. A dlatego, że Moskwa zagroziła, że jeżeli Belgia ujawni ekspulsje, to ZSSR wydali Bogu ducha winnych dyplomatów belgijskich, a jest ich już niewielu w Moskwie, ale przede wszystkim wycofa zamówienia w belgijskich stalowniach i zabroni statkom sowieckim tranzytować przez port w Antwerpii. A że podczas kryzysu każdy grosz się liczy...

Stąd nie należy się dziwić także Stanom. Choć Brzeziński i Kissinger — nienajgorsi przecież fachowcy — uznali, iż udział sowiecki w zamachu na Papieża jest niewątpliwy, to tzw. „źródła dobrze poinformowane w Waszyngtonie (nie mogące jednak być wymienione z nazwiska)” wyraziły poważne zastrzeżenia wobec dziennikarzy z *New York Times'a*. Aczkolwiek koła te są przekonane o związkach między Agsą a wywiadem bułgarskim, o jego pobycie w Sofii itd., to jednak „nie są przekonane” o udziale tego wywiadu w zamachu na Papieża. Dla CIA np. — która jest bardzo sceptyczna — związki Agsy z Bułgarami „nie są jasne”. „Źródła”, oczywiście niezależne, podkreśliły, że informacje jakimi USA dysponuje pochodzą wyłącznie od rządów europejskich, że organy amerykańskie nie prowadziły w tej sprawie własnych dochodzeń. Stąd także rząd Reagana, który poprzednio korzystał z każdej najbardziej fantazyjnej okazji aby atakować Kreml, w sprawie Agsy zachowuje się dyskretnie i ostrożnie. Aby wybielić Andropowa zanim sprawa dojdzie do punktu, z którego nie byłoby powrotu, CIA — jak podaje *Los Angeles Times* — dochodzi do absolutnie karkołomnych wniosków. Główny z nich sugeruje, że Bułgarzy znali plan zamordowania papieża przez Agsę, ale nie chcieli z nim się „skojarzyć”, bo uznali go za nieodpowiedzialnego. Dlaczego jednak pozwolili mu wyjechać i nie uprzedzili Papieża, tego już nawet CIA nie potrafi wyjaśnić. I słusznie: nie ma nic do wyjaśniania. Powoli wszystko staje się jasne. Wysocy urzędnicy państwowi wyjaśnili *New York Times'owi*, że dzieje się tak, aby „w bardzo delikatnym momencie uniknąć niepotrzebnego zaostrzenia napięcia między Wschodem i Zachodem”.

„Instytut popularyzacji humoru narodów”, który ma siedzibę w miejscowości Gabrowo w Bułgarii, informuje, że szóste Międzynarodowe Biennale Humoru i Satyry odbędzie się między 27 maja a 30 września 1983 roku. Celem Biennale jest „przegląd współczesnej twórczości humorystycznej i satyrycznej”. Organizatorzy „zachęcają twórców do wykorzystania nieskończonych możliwości humoru i satyry dla tworzenia dzieł promieniujących radością życia

i potępiających zdecydowanie to wszystko, co hamuje ludzkość w jej dążeniu do moralnego doskonalenia się, do humanizmu i postępu”. Dewizą Biennale jest: „Świat przeżył ponieważ umiał się śmiać”.

Niektórym faktycznie udało się przeżyć. Chociaż wcale im nie było do śmiechu.

Pisane w styczniu 1983.

Kultura nr 3/426, 1983.

---

## CO NAPISAŁ PAN SZEWCZENKO?

Grupa turystów zwiedzających Tel Awiw zatrzymuje się przed okazałym gmachem, na frontonie którego widnieje napis: „Audytatorium im. Manna”. Po kilku słowach przewodnika jeden z gości zapytuje:

- Imienia Tomasza Manna?
- Nie.
- Henryka Manna?
- Nie.
- A jakiego Manna?
- Abrahama Manna.
- A co on napisał?
- Czek na kilka milionów dolarów.

W pierwszej linii czeku opiewającego tylko na 75.000 dolarów widniało nazwisko p. Szewczenki.

— Jakiego Szewczenki? — spytałem sam siebie.

— Tarasa Szewczenki zapewne — odpowiedziałem też sam sobie, ukraińskiego poety i malarza, XIX-wiecznego wieszczka Ukrainy, o którym musiałem się uczyć przed wojną w szkole we Lwowie i z powodu którego brałem regularnie w zęby, albowiem za ścianą rodzinnej kamienicy mieściła się szkoła jego imienia z boiskiem do futbolu i dziewczynkami.

Nie, odpowiada czek, nie chodzi o Tarasa, chodzi o Arkadego Mikołajewicza Szewczenkę, też Ukraińca, ale nie malarza ani poetę, a dyplomatę.

— A co on napisał?

On napisał pokwitowanie na odbiór czeku na 75.000 dolarów, jeżeli nie liczyć tysięcy raportów służbowych oraz doniesień na kolegów i przyjaciół, na personel i przełożonych.

I to byłoby wszystko? Pozornie tak. Jak bowiem pisało w sklepie przy ul. Gródeckiej, też przed wojną we Lwowie, „po odejściu od kasy reklamacje nie są uwzględniane”. W istocie jednak nie. Mimo bowiem, iż p. Szewczenko od kasy już odszedł, to ja zgłaszam reklamacje i proszę o ich uwzględnienie. Mam mianowicie kilka pytań w sprawie 75.000 dolarów: kto, komu, kiedy, dlaczego i co z tego wynika?

### *Dwie misje Arkadego*

Arkady Szewczenko urodził się przed 48 laty w Gorłowce na Ukrainie, jak sama nazwa wskazuje. Ukończył chlubnie Instytut Spraw Międzynarodowych z wysokim wyróżnieniem organów. Już w roku 1963 zjawia się w misji sowieckiej przy ONZ i to od razu w stopniu radcy ambasady, jako zaufany Jakuba Malika, szefa misji, którego upiór do dziś straszy w kularach ONZ jako symbol kamiennej dyplomacji sowieckiej. Kiedy w 1970 roku Arkady opuszcza Nowy Jork, jest już ministrem pełnomocnym. W Moskwie funkcjonuje jako radca ministra Gromyki, niedługo zostaje najmłodszym ambasadorem w sowieckim aparacie — zwanym dyplomatycznym — i przewodniczy delegacjom na wiele konferencji rozbrojeniowych. W wyniku wielostronnie owocnej działalności p. Szewczenki świat może zanotować skomplikowany wynik: postępy rozbrojenia są odwrotnie proporcjonalne do postępów w karierze p. Szewczenki. Jest to tylko sprzeczność pozorna, w istocie bowiem Kremlowi o to właśnie chodzi: jak najmniej rozbrojenia, jak najwięcej Szewczenków.

Nikogo więc nie zdziwiło, że kiedy w 1973 roku Kreml miał obsadzić (jest to stanowisko zastrzeżone dla Rosji) najwyższy, po sekretarzu generalnym, fotel w ONZ, wybór padł bez wahania na Arkadego Szewczenkę. Obejmując gabinet na najwyższym piętrze gmachu nad rzeką Hudson z widokiem aż po Statuę Wolności, Szewczenko miał zleconą misję podwójną. Oficjalnie, na zlecenie p. Waldheima, odpowiedzialny był za sprawne funkcjonowanie Rady Bezpieczeństwa i innych organów politycznych ONZ oraz za kierowanie pracą podległych mu ok. 200 tzw. międzynarodowych urzędników. Nieoficjalnie, na zlecenie p. Gromyki, ten sam Szewczenko odpowiedzialny był za wykonywanie instrukcji Kremla, za szybkie i dokładne informowanie Moskwy o wszystkim, co w podległych mu delikatnych dziedzinach polityki

się działo oraz za nadzór nad setkami sowieckich urzędników, zatrudnionych w sekretariacie generalnym ONZ.

W zamian za to wszystko Szewczenko otrzymywał roczne uposażenie w wysokości 76.000 dolarów USA, z czego, po rozmaitych potrąceniach (socjalnych a nie podatkowych, broń Boże) pozostawało mu jakieś marne 44.000, co, jeżeli wziąć pod uwagę bardzo szerokie awantáže w naturze, ulgach celnych, zwroty delegacji i wydatków służbowych i reprezentacyjnych, specjalne sklepy, wódkę prawie darmo, mieszkanie i samochód służbowe... *passons en...* wystarczyło na skromne proletariackie utrzymanie p. Szewczenki, żony Leonginy, 16-letniej córki Anny oraz na posyłanie jeansów i płyt „pop” synowi Genadiemu, znakomicie zapowiadającemu się urzędnikowi także MSZ, przydzielonemu do sowieckiej misji... rozbrojeniowej w Genewie. Wystarczyło także na opłacanie składek partyjnych. I wszyscy byli szczęśliwi...

Do 10 kwietnia 1978 roku. Tego dnia Arkady Szewczenko, szef trudny i wymagający, niesympatyczny i mrukliwy [„prawdziwy stalinowiec”, mówili o nim jego podwładni, nie znający „Krótkiego kursu WKP(b)”], opuścił biuro, kiedy gmach był już prawie pusty. „Pracus”, pomrukiwali strażnicy salutując dygnitarza bez zdziwienia zresztą, albowiem ostatnimi czasy Szewczenko coraz częściej wysiadywał po godzinach. „Przygotowuje ważne sprawozdanie, mawiali ludzie zorientowani. Jedzie do Moskwy, może będzie odwołany, żona i córka już dwa dni temu wyjechały”.

### *Dwa komunikaty*

Następnego dnia p. Szewczenko nie zjawił się w biurze. Zadzwonił tylko, żeby zamknąć drzwi do jego gabinetu, bo on udaje się w podróż służbową. Ponieważ p. Waldheim był, jak zwykle, nieobecny, dokonując jednej ze swych inspekcji, po których sytuacja zawsze się pogarsza w odwiedzanej przez niego strefie, więc Szewczenko nie musiał się przed nikim tłumaczyć. Bomba wybuchła w 24 godziny później: dwa komunikaty poszły w świat. Pierwszy ogłoszony został przez rzecznika sekretarza generalnego ONZ: p. Szewczenko, zastępca sekretarza generalnego ONZ, zawiadomił mianowicie swego formalnego szefa, że opuszcza swój urząd z powodu „rozbieżności z rządem sowieckim”. Drugi komunikat ogłoszony został przez rzecznika Departamentu Stanu USA: mecenas Ernest Gross zawiadomił mianowicie władze amerykańskie, że jego nowy klient, niejaki p. Szewczenko, zdecydował się nie wracać do Moskwy.

Moskwa jak zwykle milczała. Reszta świata odwrotnie. Z kilometrów depesz wynikało, że chodzi o największą ucieczkę w historii dyplomacji sowieckiej. Szewczenko był rzekomo w posiadaniu bardzo delikatnych informacji, nie schodził właściwie z czerwonego olimpu, stanowił wraz z ambasadorem w Waszyngtonie Dobryninem i ambasadorem przy ONZ Trojanowskim wielki trójkąt czerwonej siatki w USA. Niedawno jeszcze towarzyszył Waldheimowi w podróży do Moskwy i jako numer 2 ONZ został przyjęty przez Breżniewa. Niektórzy porównywali ucieczkę Szewczenki z aferą Światły czy Tykocińskiego lub ucieczką por. Belenko na najtajniejszym MIG-25.

Ucieczka Szewczenki wydała się niektórym dziennikarzom amerykańskim tak nadzwyczajna, że zaniepokoiili się, czy nie odbija się ona niekorzystnie na rokowaniach SALT II i wydawali się żałować, że otrzymali tak zatruty prezent. Nawet wybór adwokata wydał się im dwuznaczny. Pan Gross był mianowicie kiedyś bardzo wysokim urzędnikiem Departamentu Stanu, kilkakrotnie członkiem amerykańskiej delegacji na zgromadzenia generalne ONZ oraz związany był z Radiem Wolna Europa, co ciągle jeszcze uchodzi w oczach niektórych delikatnych jankesów za towarzystwo podejrzane. Ponadto szybki w informacji tygodnik *Time* doniósł, że Szewczenko już od dwóch lat był w kontakcie z CIA, której, w zamian za 100.000 dolarów, ofiarował był rzekomo pełną informację o metodach dezinformacji praktykowanych przez KGB. Ponieważ — dodał *Time* — rząd amerykański nie kwapił się z wypłatą, Szewczenko czekał na oferty z innych krajów.

W takiej tajemniczo-absurdalnej atmosferze Moskwa miała ułatwione zadanie. Kiedy TASS uznał, że należy zabrać głos, dodał tylko nieco bredni, a władze sowieckie złożyły w Waszyngtonie ostry protest przeciwko „prowokacji wywiadu USA wobec Arkadego Szewczenki, obywatela sowieckiego, urzędnika ONZ”. Żona Szewczenki potwierdziła tę tezę: stwierdziła, że „chodzi tu o prowokację albo o szaleństwo” i wyraziła pewność, że jej mąż niedługo powróci do ZSSR: „On nie lubi Ameryki, kocha natomiast ojczyznę i rodzinę”.

*Wszyscy byliby szczęśliwi!!!...*

Dwa tygodnie później Leongina Szewczenko popełniła samobójstwo. Truła się środkami nasennymi, a jej zwłoki znaleziono w szafie. Jej syn powiedział, że chciałby móc osobiście zakomunikować tę wiadomość ojcu... Okazało się więc, że Szewczenko

kocha ojczyznę i rodzinę tylko do pewnego stopnia. Wszyscy poczuli się ogromnie zażenowani, wszyscy chcieli jak najprędzej ten niemiły incydent zakończyć. Kiedy dwa spotkania zaaranżowane przez mecenasa Grossa między Szewczenką z jednej strony a ambasadorami Trojanowskim i Dobryninem z drugiej strony nie przyniosły skutku, sprawę wziął w swe niezawodne ręce p. Waldheim.

Sekretarz generalny ONZ przyjął grzecznie swego zastępcę, zrobili razem obliczenia i doszli do porozumienia. Był to, nawiasem mówiąc, jedyny konflikt o charakterze międzynarodowym, który udało się p. Waldheimowi polubownie załatwić. Oficjalnie sprawa jest prosta: chodzi o pokój na świecie i interes ludzkości, na których straży stoi, jak wiadomo, p. Waldheim (do niedawna stał na tej straży w towarzystwie Szewczenki). „Zgodnie z regulaminem ONZ, pouczył nas komunikat p. Waldheima, sekretarz generalny ONZ może położyć kres nominacji jednego z członków sekretariatu, jeżeli akt taki leży w interesie instytucji i pod warunkiem, iż członek ów nie kwestionuje decyzji sekretarza generalnego”.

Tyle na temat ideologii członka, który nie kwestionuje. Praktycznie zaś rzecz biorąc w zamian za ideologiczne i dyskretne natychmiastowe opuszczenie swego gabinetu Szewczenko otrzymał czek na 76.116 dolarów: 34.855 tytułem odszkodowania za przedwczesne rozwiązanie umowy, 24.368 tytułem zwrotu wpłat poczynionych do kasy emerytalnej ONZ i 16.893 dolarów z tytułu niewykorzystanych urlopów oraz jako zwrot wydatków poczynionych przy zainstalowaniu się w Nowym Jorku, a także jako wypłata przewidzianych kosztów... przynosin do Moskwy.

Można na ten rachunek sumienia patrzeć w dwojaki sposób. Nie jest to zły interes, jeżeli zważyć, że gdyby Szewczenko został na swym stanowisku (co było teoretycznie możliwe) do chwili wygaśnięcia kontraktu w kwietniu 1980, to ONZ — czyli my wszyscy — musielibyśmy mu wypłacić jeszcze ponad 200.000 dolarów. Jest to jednak interes fatalny, jeżeli zważyć, że i tak te 200.000 dolarów wpłynę do kieszeni następcy Szewczenki, bez którego p. Waldheim nie mógłby skutecznie bronić pokoju. Na to nie ma jednak rady, tak chce regulamin i w chwili kiedy Szewczenko odszedł od kasy z czekiem na 76.000 dolarów, kilka osób odetchnęło z ulgą.

Po pierwsze sam Arkady Szewczenko. 76.000 dolarów na rozpoczęcie nowego życia to nie jest najgorzej, tym bardziej że od trzech lat Szewczenko ma już podpisany kontrakt na sporą książkę. Wielkie wydawnictwo „Knopf” zamówiło u niego książ-

kę o rozbrojeniu, ale na pewno zgodzi się na inny temat, bardziej osobisty, nawet jeżeli będzie musiało w tym celu podnieść stawkę za arkusz. W każdym razie z wielu widm, które będą Szewczenkę w przyszłości nachodzić (żony zaszczutej na śmierć i dzieci w rękach KGB), widmo głodu jest chyba definitywnie odsunięte.

Po drugie p. Waldheim. „Złoty kompromis” z Szewczenką pozwala mu zakończyć tę nieprzyjemną sprawę, która tak bardzo rozgniewała Kreml, a Waldheim bardzo nie lubi, kiedy Kreml się gniewa. Kreml też zresztą chciał, i to za wszelką cenę (zwłaszcza z naszych podatków), szybkiego wymazania Szewczenki z rejestru spraw bieżących. Kremłowi zależało mianowicie na jak najszybszym obsadzeniu stanowiska zastępcy p. Waldheima, wyjątkowo ważnego w trakcie ostatnich przygotowań do sesji ONZ na temat rozbrojenia, za które to właśnie Szewczenko był odpowiedzialny. Na ostatnim piętrze ONZ, po prawicy p. Waldheima, urzęduje już Michał Sytenko, też ambasador, też fachowiec od rozbrojenia, zwłaszcza na... Bliskim Wschodzie, i też zaufany i oddany człowiek ministra Gromyki.

Wszyscy, z wyjątkiem rodziny Szewczenki, powinni być zadowoleni. I byłiby, gdyby nie gadulstwo Szewczenki. Nie wystarczyło mu mianowicie inkaso 76 kawałków i wolność od KGB, musiał jeszcze dorobić do tego ideologię i bardzo wyszukaną teorię polityczną.

„Jak wiadomo — oświadczył Szewczenko kilka godzin po przelaniu 76.000 na swoje konto — doszliśmy z sekretarzem generalnym do porozumienia co do warunków mojego odejścia z sekretariatu generalnego ONZ. Mam zamiar obecnie podjąć kroki prawne niezbędne do uzyskania prawa zamieszkania w USA, gdzie, mam nadzieję, będę mógł prowadzić normalne i pozytywne życie. Jak również wiadomo (komu i od kiedy — dopisek mój, U.), bardzo poważne różnice jakie zachodzą pomiędzy mną a aktualnym ustrojem sowieckim w dziedzinie filozofii politycznej i przekonani doprowadziły mnie do odmówienia wykonania polecenia rządu sowieckiego udania się do Moskwy w celach służbowych. Uważam mianowicie, że rząd ZSSR nie ma prawa udzielania takich poleceń urzędnikowi instytucji międzynarodowej. Poinformowałem ponadto sekretarza generalnego ONZ o moim przekonaniu, iż wchodzenie w szczegóły moich rozbieżności z ustrojem sowieckim nie leżałoby w interesie jego instytucji. Uważam również, że publiczna dyskusja na temat moich osobistych poglądów odbić by się mogła niekorzystnie, w chwili obecnej, na stanie stosunków amerykańsko-sowieckich oraz na położeniu mojej rodziny w ZSSR...”

Choć tak w odniesieniu do stosunków amerykańsko-sowiec-



kich jak i do położenia rodziny w ZSSR Szewczenko się mylił (stosunki nie ucierpiały, rodzina — tak), to jego oświadczenie nie przeszło bez echa.

*W teorii jest prześlicznie...*

Po pierwsze deklaracja Szewczenki wywołała ogromne zaskoczenie wśród personelu ONZ. Szewczenko znany tam był mianowicie ze swego całkowitego posłuszeństwa wobec Moskwy. Regularnie uczestniczył w odprawach „aktywu” sowieckiego w aparacie ONZ, nigdy nie zaniechał wstąpić do gmachu misji ZSSR przy ONZ dla odebrania bieżących instrukcji, miał pełne zaufanie Gromyki, zachowywał się zresztą nie jak międzynarodowy dyplomata, a jak sowiecki komisarz, brutalnie i biurokratycznie, gorzej nawet od innych sowieckich urzędników w ONZ. Krótko mówiąc, nikt nic nie wiedział o rozbieżnościach co do filozofii i przekonań, wszyscy natomiast znali wierność Szewczenki wobec portretów wiszących nad jego fotelem w biurze i w domu.

Ale, po drugie, oświadczenie Szewczenki zwróciło uwagę świata na zenującą i przemilczaną kwestię statutu, położenia i roli narodowych urzędników międzynarodowych instytucji. Wprowadzenie do tego tematu wymaga chwili skupienia. Otóż międzynarodowe życie współczesne, zakładające stałe przenikanie się, współpracę i współzawodnictwo rozmaitych państw, grup i systemów, spowodowało ogromny rozwój sieci instytucji międzynarodowych. Poza tysiącami instytucji prywatnych, świat objęty jest siecią ok. 200 instytucji międzynarodowych o charakterze oficjalnym. Zawiadują one budżetami idącymi w miliardy dolarów. Ok. 100.000 urzędników, świetnie na ogół żyjących, zajmuje się marnotrawieniem tych miliardów w najrozmaitszych dziedzinach: dyplomacji (ONZ), kultury i oświaty (UNESCO), gospodarki i statystyk, handlu i finansów, pracy i związków zawodowych, lotnictwa cywilnego i meteorologii, rolnictwa, zdrowia, poczty, łączności, techniki, sportu... Przystępując dobrowolnie i suwerennie do jednej albo do wielu z tych instytucji państwa członkowskie naberają pewnych praw, co jest jasne i zawsze wykorzystywane, oraz zaciągają pewne zobowiązania, co jest mniej jasne i z reguły nieprzestrzegane.

Najważniejszym z tych zobowiązań jest przestrzeganie niezawisłości instytucji międzynarodowych i powstrzymanie się od prób wywierania na nie nacisku rządowego. Wynika z tego zasada neutralności instytucji międzynarodowych i urzędników mających realizować jej cele. Ta święta zasada zakłada natural-

nie, to przecież logiczne, niezawisłość i immunitet urzędnika instytucji międzynarodowych. Oczywiście immunitet ten kryje urzędnika międzynarodowego wyłącznie w zakresie pełnienia jego funkcji (a nie kiedy rabuje kasę lub morduje żonę), ale w zakresie jego funkcji kryje go całkowicie, niezależnie od miejsca i okoliczności, także albo przede wszystkim wobec kraju, którego ów urzędnik jest obywatelem. Istotnie bowiem, funkcja urzędnika międzynarodowego byłaby absolutną fikcją, gdyby ów urzędnik, mimo oficjalnego międzynarodowego i neutralnego charakteru jego misji, mógł być przedmiotem nacisku, gdyby np. mógł być siłą zatrzymany przez władze jego kraju, odwołany w każdej chwili, pozbawiony swych funkcji lub nawet wolności przez rząd, który go do tej funkcji delegował, a który jest w pewnym momencie z jego urzędowania niezadowolony dlatego, że — powiedzmy — ów urzędnik realizuje cele instytucji międzynarodowej także kiedy stają one (to przecież możliwe) w kolizji z instrukcjami jego rządu.

*... w praktyce mniej...*

Uff! Tyle, mniej więcej, teoria. Państwo nie wzięli jej poważnie. Państwa także nie. Od nich zależy przecież mianowanie wszystkich Szewczenków, od nich zależy także faktycznie ich odwołanie. Szewczenkowie siedzą za granicą nie po to, aby spełniać jakieś wymaginowane idealne misje czy posłannictwa, a po to, aby działać zgodnie z instrukcjami i interesem rządów, a nawet poszczególnych tzw. resortów, które ich na te złote posady wysłały.

Cała reszta to bujda i literatura. Tak było zawsze i tak jest dzisiaj, tyle że nie zawsze odbija się to skandalem. O statucie urzędnika międzynarodowego mówi się jak o chorobach wenerycznych, z zażenowaniem i kiedy nie można już milczeć. Skandal więc wybuchał, kiedy za czasów Mc Carthy'ego Stany Zjednoczone prowadziły polowania na czarownice wśród swoich „niezależnych” urzędników ONZ lub kiedy, po inwazji w 1968 roku, Czechosłowacja wycofała z zagranicy dziesiątki swych „niezależnych” urzędników, podejrzanych o sympatie dla Dubczeka. Jeżeli chodzi o ZSSR, który jak zwykle przoduje, to nie warto nawet wspominać. Artykuł 100 Karty ONZ mówi, że personel międzynarodowy nie powinien otrzymywać instrukcji od swych rządów i że poszczególne rządy nie powinny wywierać nacisków na urzędników, ani zmuszać ich do działania niezgodnego z ich statutem... Kolosalny procent urzędników międzynarodowych po-

chodzenia sowieckiego wydalanych za szpiegostwo wystarczy, aby zamknąć ten niepoważny rozdział o rozziwie między teorią a praktyką prawa międzynarodowego.

Pisane 12 maja 1978.

*Kultura* nr 6/369, 1978.

P.S. „Gdy wskazuję znanemu dziennikarzowi, jak doskonale napisał coś w *Kulturze* Leopold Unger, replikuje: „Panie, a kto by nie pisał dobrze, gdyby uciekł? Nie sztuka pisać, kiedy pozwalają...”.

„Znany dziennikarz”, rozmówca Kisiela (patrz *Kultura* Nr 5/1978, str. 105) jest może znany, ale jest przede wszystkim głupi i nie warto go było cytować.

Po pierwsze bowiem się myli. Jak wynika z moich informacji, a pochodzą one z najlepszego źródła, Leopold Unger nie uciekł, a został z Polski jak najbardziej legalnie wyjechany. Był zaopatrzony, zapodaje to do wiadomości znanego dziennikarza — no i Kisiela przy okazji — w maleńki, ale legalny świstek papieru, z godłem narodowym na górze, z którego (świstka a nie godła) wynikały tylko dwie legalne rzeczy: a) że na mocy legalnej uchwały Rady Państwa PRL, L.U. nie jest obywatelem tego państwa; i b) że ów legalny świstek upoważnia L.U. do legalnego wyjazdu z PRL, natomiast nie upoważnia go do legalnego powrotu do PRL. No i gdzie tu ucieczka?!

Ale po drugie, i to jest znacznie ważniejsze, teoria znanego dziennikarza absolutnie mija się z prawdą i nie odpowiada historycznej rzeczywistości. Rozpatrzmy bowiem w skrócie wszystkie możliwe wersje tej popularnej w niektórych kołach zawodowych legendy o ucieczce i geniuszu.

*Teza a:* ucieczka pozwala dobrze pisać. Nieprawda! L.U. z Polski nie uciekł, natomiast uciekło z niej bardzo wiele innych osób, z których bardzo niewiele pokazało, że umieją dobrze pisać, kiedy wolno.

*Teza b:* Nie sztuka pisać, kiedy pozwalają. Nieprawda. Sztuka. Znanemu dziennikarzowi pozwalają, a nie umie.

*Teza c:* Pozostanie w kraju uniemożliwia dobre pisanie. Nieprawda. Kisiel udowodnił, że można dobrze pisać kiedy zabraniają i kiedy pozwalają. Osobiście wolę nawet jego pisanie, kiedy mu zabraniają. Nie zawiera ono wówczas cytatów ze znanych ale głupich dziennikarzy. I jest znacznie ciekawsze.

A JEDNAK SIĘ KRĘCI  
(EUROPA)



## WYSTARCZY LEKKI WSTRZĄS

Motto: „Zachód już tylko bezskutecznie szuka takiej formy agonii, która by była godna jego przeszłości...”

E. M. Cioran, *Sylogizm goryczy*.

Pewnego dnia roku 1934 sowiet miasta Moskwy zarejestrował związek małżeński zawarty między panią Sylwią de Bondini, malarzką, obywatelką włoską, a panem Jean Monnet, obywatelem francuskim, bankierem amerykańskim, dyplomatą angielskim, urzędnikiem instytucji międzynarodowych zamieszkałym czasowo w Chinach. Tuż po ceremonii w Moskwie (panna młoda była rozwódką, a Włochy nie uznawały rozwodów), pan względnie młody (w chwili ślubu miał już 46 lat) oświadczył: „Jest to najlepsza transakcja międzynarodowa, jaką kiedykolwiek zawarłem”.

Jean Monnet się mylił. Zwolniony z wojska w 1914 roku z powodu złego stanu zdrowia, Monnet umarł 16 marca 1979 roku, w wieku lat 91, przeżywszy wszystkie wojny, jakie przeżywały się przez świat w ciągu pierwszych trzech kwartałów XX wieku. W ciągu drugich 46 lat swego życia Monnet zawarł wiele udanych transakcji międzynarodowych, ważniejszych i bardziej udanych (dla świata, nie dla niego) niż jego własne małżeństwo.

### *Pierwsze gwiazdy*

Monnet był wnukiem i synem wielkich kupców winnych, wyspecjalizowanych w handlu koniakiem. Jest to pochodzenie zapładniające i Monnet zwykł był mawiać, że pierwsze gwiazdy,

które rozświetlały mu drogę, to były gwiazdki z nalepek na butelkach ojcowskiego koniaku. Nie były to, jak się potem okazało, gwiazdy najgorsze. Monnet nie zdał nawet matury (jedyne jego tytuły naukowe to doktoraty *honoris causa* największych uniwersytetów świata) co nie przeszkodziło mu skutecznie prowadzić interesów ojca i Europy. Starszy brat zajął się rynkiem francuskim, Jean — koniakowym rynkiem zagranicznym. Pierwsza jego podróż w 1914 roku do Kanady zdecydowała o reszcie kariery. Kiedy Príncipe strzela do Ferdynanda, aby „wybuchnąć” pierwszą wojnę światową, Monnet jest w Montrealu. Od razu wchodzi w interesy z, bagatela, Towarzystwem Zatoki Hudsona, które już od roku 1670 ma zwyczaj robić kolosalne transakcje międzynarodowe. Monnet wymienia koniak za futra i otrzymuje zarazem pełną lekcję ekonomiki światowej, poznaje sposób działania wielkich karteli, banków, szkodliwość barier celnej, ludzkiej, handlowej...

Reszta poszła już logicznie. Życie rzuca go w najbardziej zaskakujące sytuacje. W 1916 roku Monnet tworzy komitet współpracy francusko-brytyjskiej, który pozwala poważnie ograniczyć marnotrawstwo w dostawach na front. Po wojnie (pierwszej) Monnet jest kolejno zastępcą sekretarza generalnego Ligi Narodów (rezygnuje, kiedy okazało się, że jest to tragi-komiczne nieporozumienie), uzdrowicielem finansów Polski, Chin, Szwecji (po krachu Kreugera). W czasie wojny (drugiej) stara się w Londynie sklecić unię francusko-brytyjską, ale megalomania De Gaulle’a (państwa, mawiał generał, nie mają przyjaciół, mają partnerów) oraz imperialne złudzenia Churchilla ośmieszają pomysł, więc rozczarowany Monnet wyjeżdża do Waszyngtonu jako szef ... brytyjskiej misji zakupów. Kto zna zarozumiałość Churchilla i drażliwość Albionu, potrafi to ocenić. Zakupując dobrze, dużo i tanio dla Anglii, Monnet przydaje się jednak przede wszystkim Ameryce. Jest współautorem „Victory Program”, planu, który oszołomił nawet Amerykanów. Roosevelt nie zaakceptował planu Monneta aż do Pearl Harbor, ale generał Marshall powie potem: „Jean Monnet skrócił wojnę o cały rok”.

De Gaulle naturalnie nie lubi Monneta i nie ufa mu, bo podejrzewa go już wtedy — i słusznie — o tendencje ponadnarodowe (później nie wymieniał go nawet z nazwiska, a tylko jako „inspiratora”), mianuje go jednak ministrem w pierwszym rządzie powojennym, a następnie powierza mu stanowisko (jak zwykle wymyślone przez samego Monneta) pierwszego komisarza planu.

Monnet nareszcie dostał do ręki instrument, niezbędny dla realizacji niektórych swych zamiarów. Jego filozofia była prosta

i wynikała z nagromadzonego ogromnego doświadczenia politycznego i ekonomicznego. Na długą metę nie można, mówił Monnet, zachować pokoju i dobrobytu wewnątrz państw, stosując równocześnie siłę i przemoc w stosunkach międzynarodowych. Wielkie sprawy powojennego świata mogą być rozwiązane wyłącznie w kolektywny sposób i w skali międzynarodowej. Trzeba skończyć z wojnami europejskimi, które prowadzą wyłącznie do zniszczeń a nie rozwiązują niczego, i trzeba stworzyć bardzo wielki rynek producenta i konsumenta. Bez pokoju i bez takiego rynku, inaczej mówiąc bez pokojowego, racjonalnego i dobrowolnego obalenia barier, nie będzie można wykorzystać i zastosować piorunujących postępów nauki i technologii. Zastosowanie tych postępów jest jednak nieodzowne, jeżeli demokratyczna Europa chce ocalić *à la fois* i swe tradycyjne wartości demokratyczne i swe szanse sprostania przyszłości. Nie chodzi o sztukę, chodzi o życie. Wszystko to nie jest jednak możliwe przy użyciu wyłącznie tradycyjnych instrumentów typu trust, kartel czy firma rodzinna, a poprzez nową dyscyplinę produkcji i zbytu, poprzez planowanie postępu i jego umiędzynarodowienie, inaczej mówiąc poprzez przekazanie części uprawnień zastrzeżonych dla XIX-wiecznego typu państwa na rzecz specjalnie w tym celu powołanych nowych instytucji ponadnarodowych.

Monnet nie miał w sobie nic z dyktatora ani technokraty, nie otaczał się papierami ani biurokratami, nie rozkazywał a przekonywał, nie decydował sam a namawiał innych, nie chciał rządzić, wolał mieć wpływ, wiedział gdzie jest władza, ale wolał być w kulisach. Był mało znany nawet we Francji (może przede wszystkim we Francji), ale z dyskretnego oddalenia miał więcej władzy niż politycy stale obecni w kronikach filmowych. Nie obrażał się, a nudził aż do skutku. „Moja babka, powiadała, kiedy widział znużenie rozmówców, przezywana była przez sąsiadów Marią-nudziarą. Ja to odziedziczyłem”.

9 Maja 1955 roku francuski minister spraw zagranicznych Robert Schumann przygotowywał się do wygłoszenia przemówienia z okazji 10-tej rocznicy końca Hitlera. Na chwilę przed wejściem na mównicę dostał kartkę od Monneta. Na kartce było tylko 15 wierszy maszynopisu, trzy zdania, które Monnet proponował włączyć do przemówienia Schumanna. Tak powstała Europa. 15 wierszy Monneta zawierały projekt utworzenia Wspólnoty Węgla i Stali. Rok później wspólnota działała, a sześć lat później — nie bez udziału Monneta — w Rzymie podpisane zostały dwa inne układy o utworzeniu Europejskiej Wspólnoty Gospodarczej i Euroatomu.



Pierwsza faza działania wspólnego rynku, powitanego z nadzieją w Europie zachodniej („idzie świetlana przyszłość”, pisali edytorialiści), z wrogością w ZSSR („ramię gospodarcze amerykańskiego imperializmu”, napisała natychmiast *Prawda*) i ze sceptycyzmem w USA („prosimy o 30 wierszy, co to jest wspólny rynek”, depeszował *New York Times* do swego korespondenta w Brukseli) przyniosła fantastyczne rezultaty.

Pokój i dobrobyt w Europie zachodniej znalazły nareszcie teoretyczne uzasadnienie i praktyczne możliwości. „Wojna między Francją a Niemcami to w istocie wojna domowa, niszcząca oba kraje i całą Europę”, powiedział dawno Marks, ale dopiero w świetle działania EWG zdanie to nabrało sensu i wiarygodności. „Łączmy nie tylko kraje, ale i ludzi”, powiedział Monnet. Żaden zachodni Europejczyk o zdrowym umyśle, z wyjątkiem kilku cynicznych demagogów z francuskiej prawicy i lewicy, nie traktuje dziś poważnie groźby niemieckiej dominacji politycznej. Padły granice, zniknęły paszporty. Normalny mieszkaniec Zachodu porusza się dziś przy pomocy skromnego dowodu osobistego (a czasem i bez), którego zresztą przeważnie nie używa, chyba, że ma bardzo długie włosy, bardzo stare jeansy i niechlujny wygląd, co wzbudza nieufność celników.

Powstał ogromny rynek najpierw 192, potem 260 (jutro 350) milionów producentów i konsumentów. Lata 1958-1972 to okres ekspansji bez precedensu. Podarujmy sobie statystyki, część czytelników im nie wierzy, reszta ich nie rozumie, a wszystkich one nudzą, ale trzeba powiedzieć, że w ciągu tych 15 lat produkt narodowy brutto (to na Zachodzie najbardziej generalny wskaźnik) wzrósł w sześciu krajach EWG o 90 %, pociągając za sobą odpowiedni wzrost stopy życiowej. W USA, w tym samym czasie, choć i one były wszak w fazie wstępującej, PNB wzrósł tylko o 61 %. Samochody, telewizory, telefony, dachy itd., itp., nie warto nawet mówić. Rolnictwo, ta najbardziej, także na Zachodzie, zacofana dziedzina gospodarki, biło wszystkie rekordy wydajności. Rosły góry nadwyżek, które, zamiast drogo płacić za magazynowanie, wysyłano za pół ceny na wiecznie głodny Wschód. Padły granice zawodowe, powstał wspólny i wolny rynek pracy dla obywateli EWG, nie mówiąc już o milionach robotników z krajów niedorozwiniętych (Belgowie, Francuzi i inni odmawiali czarnej roboty). Ostra ale kontrolowana konkurencja utrzymywała ceny w przyzwoitych granicach, handel wspiął się na fantastyczną wysokość, EWG stała się największym kupcem świata.

„Płuca handlowe globu”, powiedział ktoś i się nie mylił: 40 % handlu światowego skupiało się w kilku krajach Europy zachodniej, z czego połowę stanowił handel wewnątrz wspólnego rynku! Niech nikt nie wierzy w bujdę o roli USA jako lokomotywy tego zjawiska. USA kupowały w EWG mniej niż Szwecja i Szwajcaria. Sama mała Belgia kupuje w EWG więcej niż całe USA.

Zapanował dobrobyt oraz całkowita bez troska. Wszystkie sygnały z dalekiego świata Europa odganiała jak natrętną muchę. „Moja chata z kraja”, mówił syty burzuj. Syty i ślepy.

### *Na kolanach*

W pewien dzień październikowy roku 1973 Europa obudziła się na kolanach. Strzelił naftowy piorun. Wszystko się zachwiało. „Nafta rządzi światem”, napisał Zischka w latach 30-tych. 50 lat później potężna i skomplikowana struktura europejska o mało nie utonęła w nafcie. Strzały na Synaju oznajmiły koniec wieku taniej energii. Gigant na naftowych nogach padł od pierwszego podejścia. Zaczął się kryzys.

Bezrobocie w EWG z 2 „normalnych” milionów w latach 1960-1970 skoczyło do sześciu milionów. Inflacja z przeciętnie „normalnych” 3,3 % w latach 1957-1973 skoczyła do 13 % w 1974 i ok. 8 % w 1978. Stopa rocznego wzrostu oscylująca ok. 5 % w latach 1960-1970, spadła w EWG w latach 1974-1977 do poniżej 2 %, nieco więcej w 1978 roku. Masa amerykańskich dolarów krążąca po świecie zaczęła wyczyniać zwariowane akrobacje, dezorganizując rynek walutowy i stabilność handlu międzynarodowego. Lawina petrodolarów arabskich jak czarna chmura zaczęła grozić już nie wykupieniem, a wręcz wyduszeniem kapitalistycznego świata.

Pojawiły się zatrute owoce kryzysu: ostre napięcia społeczne, gniewne masy bezrobotnych, wybuchowe nastroje wśród młodych z dyplomami ale bez zajęcia, ślepy i morderczy terroryzm polityczny, jak we Włoszech czy RFN, regionalny jak u Basków... Wszystko to rzuciło wyzwanie liberalnej demokracji, wyzwanie tym bardziej niebezpieczne, że tradycyjne struktury rządzenia nie potrafiły zdać egzaminu kryzysowego. Przykład Belgii, która z powodu różnic flamandzko-walońskich nie była w stanie utworzyć rządu przez cztery miesiące i przykład Francji, gdzie w imię ordynarnych interesów wewnątrz-wyborczych politycy spod znaku Chiraca czy Marchais wskrzeszają straszak niemiecki, podczas kiedy oba kraje powoli ale nieuchronnie grzęzły w bagienku, są

pod tym względem wystarczająco wymowne. Włochy i Anglia zafundowały sobie ekstra wybory do własnych parlamentów akurat w chwili, kiedy cała uwaga powinna była się skupić na wyborach europejskich itd., itp.

Europa roku 1973 była więc na kolanach. Wydawało się, że nic jej nie uratuje, że po prostu nie zdzierzy. Wysublimowani intelektualści zajmowali się już tylko wyszukiwaniem odpowiednich cytatów, żeby godnie wejść w agonię (patrz motto). Kafka, to jasne, wrócił do mody. „Przeżywamy już tylko długi beznadziejny upadek (przypomniano genialnego Franza). Nie żyjemy w świecie zniszczonym, żyjemy w świecie zgniłym...”. E. M. Cioran, zacytowany na wstępie rumuński z pochodzenia, francuski z wyboru współczesny teoretyk „awersji wobec tych wszystkich wystarczająco naiwnych, aby wierzyć w postęp i wystarczająco ślepych, aby działać z nadzieją na lepsze...” stał się bardem chwili. „Drzewo życia nie zazna już wiosny — cytowano tego natchnionego myśliciela — to uschnięte drzewo. Zrobi się z niego trumny na nasze kości, nasze sny i nasze cierpienia”.

Powoli, nie na wszystkie kości.

### *Wstrząsnąć przed rozsypaniem*

To prawda, że Europa zbladła i szczyła, że wygrzeczniała, że poznała gorycz zależności od feudalnych szejków, że zachowała się kilka razy niegodnie, że los niektórych jej naturalnych sojuszników, np. Izraela, tej jedynej demokracji naszego typu na południe od Sycylii i Korsyki, stał się funkcją centralnego ogrzewania w Paryżu czy Rzymie, że w nafcie, która najpierw przestała płynąć, a potem poczwórnie zdrożała, utonęły sny o potędze...

Ale uwaga, choć kryzys uderzył ostro i znieca, Europa się nie rozsypała, tak jak to było np. w czasie kryzysu lat 30-tych. Odwrotnie, to właśnie w czasie kryzysowych napięć ujawniały się wartości i przydatność europejskiej integracji. Mimo wszystkich dramatycznych konfliktów, mimo ogłupiających parafialnych kaftanów i hamulców, mimo biurokratycznych karykatur i niezdarności EWG nie pozwoliła swym członkom pójść na dno. Nigdzie, w żadnym kraju EWG, z wyjątkiem niektórych kategorii bezrobotnych, stopa życiowa nie spadła, wszędzie rosła bardzo powoli albo mniej powoli, ale rosła. Np. sprzedaż samochodów bije wszystkie rekordy, liczba właścicieli nieruchomości rośnie bez przerwy, wszędzie następuje wzrost turystyki itd. PNB Niemiec zachodnich równy jest dziś, po 5 latach kryzysu, łącznemu PNB

sześciu państw sygnatariuszy traktatu rzymskiego. Francja ma dziś PNB większy od 41 krajów na południe od Rio Grande z Brazylią włącznie i większy od całych Chin. Francja i RFN razem mają PNB większy o prawie 20 % od ZSSR. Cztery kraje europejskie, Szwecja, Szwajcaria i Norwegia, jak najściślej gospodarczo związane z EWG i Dania, członek EWG, mają już dziś stopę życiową wyższą od USA. Stopa życiowa Francji i RFN w 1950 roku sięgała zaledwie 1/3 poziomu USA, w 1976 roku, mimo kryzysu, stanowiła już 3/4, a dziś są jeszcze bliżej.

Dosyć wylizanki, nie są to, jak na ciężki kryzys i niewątpliwe gnicie tradycyjnego kapitalizmu, referencje najgorsze. EWG pozornie się wali, ale ciągle kontroluje 40 % handlu światowego. EWG pozornie rozpada się, ale stoją do niej w ogonku Hiszpania (10-ta potęga przemysłowa świata) oraz Grecja i Portugalia. Chiny upatrują w EWG bardzo poważny czynnik w polityce międzynarodowej, w Brukseli jest coraz więcej chińskich kucharzy z Hongkongu i dyplomatów z Pekinu. Mimo oficjalnej pogardy dla kapitalistycznego chaosu i straszliwej doli EWG-owskiego robotnika (jak napisał Kisiel w świetnym felietonie dla brukselskiego *Le Soir*, stanowi to podstawową troskę prasy w PRL) w siedzibie EWG w Brukseli nie zamykają się drzwi za emisariuszami ze Wschodu.

Robiąc notatki do tego wypracowania, spotkałem gdzieś w uczzonej prasie wschodniej *à propos* EWG długi cytat z „Rozważań nad historią powszechną” Jakuba Burckhardta (tłumaczenie i streszczenie moje): „W naturze zniszczenia są zawsze wynikiem działania z zewnątrz: katastrofy lądowej lub klimatycznej, likwidacji gatunków słabszych przez silniejsze, bardziej szlachetnych przez bardziej prymitywne. W historii jednak upadek poprzedzony jest zawsze dekadencją wewnętrzną. Lekki wstrząs zewnętrzny wystarczy wtedy, aby wszystko zburzyć...”.

*Dlaczego się nie wali?*

No to na co czekają? Dlaczego nie następuje lekki wstrząs? Dlaczego nie wystarczyły nawet silne wstrząsy? Dlaczego na Wschodzie, gdzie nie ma kryzysu ani dekadencji wystarczy zima albo podwyżka cen, aby prawie wszystko zburzyć, a na Zachodzie Europy bardzo ciężki kryzys niczego nie zburzył? Czyżby EWG zdała egzamin? Jak to było możliwe?

Po pierwsze dzięki ludziom, którzy tak jak Monnet za Camusem mawiali, że „zbyt kochają swój kraj, aby być nacjonalistami”.

I po drugie dzięki instytucjom, które ci ludzie stworzyli i u których podłoża tkwiła świadomość sformułowana przez Monneta właśnie: „Suwerenne narody nie potrafią już, jak to było w przeszłości, same rozwiązać problemów współczesności, nie mogą już w rozsypce ani zapewnić postępu, ani pokierować przyszłością. Tak jak kiedyś nasze prowincje, tak dziś nasze kraje muszą nauczyć się żyć razem pod wspólnym prawem i pod dobrowolnie utworzonymi instytucjami”.

Takich instytucji jest bardzo dużo, ale sześć warto poznać.

1) Komisja zarządzająca stanowi organ wykonawczy EWG. 9 państw deleguje 13 komisarzy, wielkie po dwóch, małe — jednego. Komisarze, pełniący funkcje porównywalne z ministrami, desygnowani są w zasadzie na 4 lata, czasem na krócej, czasem na dłużej, zależy od szans w domu (kilku obecnych premierów i ministrów przeszło przez Brukselę). Teoretycznie komisarze działają wyłącznie w interesie wspólnoty, w rzeczywistości ciężą na nich presje narodowe i nawet partykularyzmy partyjne i rządowe państw, które ich wysłały i od których zależy w istocie ich los. Podział tek komisarycznych jest bardzo misterną operacją, często sprzeczną ze zdrowym rozsądkiem. Wicehrabia Davignon jest bardzo wybitnym belgijskim dyplomatą, naprawdę dobrym fachowcem od polityki zagranicznej (co nie zawsze idzie w parze), dobrym znajomym prof. Brzezińskiego. Davignon „musiał” opuścić belgijski MSZ, gdzie był dyrektorem generalnym, ale za to dostał się do komisji EWG, gdzie odpowiada za sprawy... przemysłowe, z którymi jego uprzedni kontakt sprowadzał się tylko do posiadania akcji. Ministrem spraw zagranicznych EWG jest natomiast p. Haferkamp, niemiecki zasłużony działacz związkowy. Na tym fotelu p. Haferkamp zasłynął z bardzo względnej pracowitości (*he is not a morning man*, mawiają jego współpracownicy) i z ogromnej rozrzutności, absolutnie nie syndykalno-robotniczej, funduszami służbowymi i reprezentacyjnymi.

Aparat komisji składa się z 8.000 urzędników, „apatrydów” według De Gaulle’a, „eurokratów” według Marchais, podzielonych między 21 branżowych dyrekcji generalnych. Władzy na co dzień nie sprawują komisarze, a ich gabinety. Są to tajemniczy osobnicy, pozostający stale w cieniu szefów, posyłający karteczki w czasie konferencji prasowych lub szepczący do ucha w czasie posiedzeń. Oznaką władzy gabinetów jest fakt, iż są one usytuowane na 13-tym piętrze gmachu Barlaymont (nazwa pochodzi od kłasztoru, który znajdował się kiedyś na miejscu, gdzie dziś wznosi się szklano-betonowa gwiazda gmachu komisji EWG), jedynym piętrze gdzie, o ludzka próżności, okna się otwierają i gdzie

można oddychać świeżym powietrzem i nie być skazanym na klimatyzowane upały w lecie, a mrozy w zimie. Proszę się nie śmiać! „To nie klimatologia, a polityka”, mówią eksperci.

2) Rada Ministrów EWG stanowi organ decydujący, ustala wytyczne dla Komisji, składa się z narodowych ministrów branżowych, przewodnictwo sprawują państwa członkowskie na zasadzie 6-ciomiesięcznej rotacji. W przerwach między posiedzeniami RM pracuje ciało stałe COREPER, czyli rada szefów misji 9-tki przy EWG oraz sekretariat generalny Rady Ministrów (1.500 apatrydów). Trzy razy do roku (dwa razy w stolicach rotacyjnych i raz w Brukseli) zbiera się szczyt europejski lub Rada Europejska z udziałem szefów rządów. Szczyt polega na tym, że wymyśla rzeczy mniej lub bardziej nierealne, ale niezbędne jako hasła mobilizujące masy. Nawet jednak szczyt nie potrafił wymyśleć mobilizującego sposobu pisania o tajemnicy ustalania ceny piestruszki, subwencji rolnych czy kompensat walutowych.

Rada Ministrów podejmuje decyzje w zasadzie większością głosów, a tylko w najważniejszych sprawach obowiązuje jedno-myślność. Ponieważ o tym co i dla kogo jest najważniejszą sprawą decyduje sam zainteresowany, więc faktycznie w RM obowiązuje prawo weta. Siedzibą RM jest gmach Charlemagne, czyli Karola Wielkiego, poprzednika Monneta w dziedzinie idei europejskiej. Charlemagne usytuowany jest tuż obok Barlaymont, z czego jednak wcale automatycznie nie wynika dobrosąsiedzki charakter stosunków między Radą Ministrów a Komisją EWG. RM strzeże zazdrośnie egoistycznych uprawnień państwowych, Komisja bije się o rozszerzenie uprawnień ponadpaństwowych, bo to jej racja bytu.

Tak w Komisji jak i w Radzie Ministrów funkcjonują sekretarze generalni. Mało znani na zewnątrz, na wewnątrz mocno trzymają cugle, zgodnie z prawem przez nich wymyślonym: „Ministrowie i komisarze mijają, sekretarze generalni zostają”.

3) Trybunał Sprawiedliwości, sąd najwyższy EWG z siedzibą w Luksemburgu, składa się z 9 sędziów i 4 prokuratorów mianowanych na sześć lat na wniosek, czyli faktycznie przez państwa członkowskie. Trybunał jest oczywiście niezawisły, ma prawo oceny praworządności każdej decyzji organów EWG i jej zgodności z traktatami rzymskimi. To z urzędu. Może ponadto jednak wypowiadać się na zaproszenie, co do prawidłowości np. układów z państwami trzecimi, i opinia jego ma wówczas moc obowiązującą. W 1977 roku Trybunał rozpatrzył 162 odwołania

i wydał 118 orzeczeń. Decyzji Rady Ministrów nie anulował ani jednej.

4) Izba Kontroli (9 członków, też mianowanych na sześć lat) kontroluje — bo co innego ma robić — budżet EWG. W 1978 roku wynosił on 12 miliardów jednostek obliczeniowych, to taki buchalteryjny trick, który oznacza, że chodzi tu o ok. 16 miliardów dolarów. To nie jest mało nawet przy obecnym kursie dolara. Budżet EWG równa się 2,7 % wydatków wszystkich państw wspólnoty i 0,8 % ich wspólnego PNB. 74 % budżetu EWG idzie na finansowanie i subwencjonowanie gospodarki rolnej, reszta to dotacje socjalne, szkolenie i dokwalifikowywanie, pomoc regionom zacofanym (południe Włoch czy północ Anglii). 6,2 % tych 16 miliardów dolarów pokrywa wydatki administracyjne i personalne, o czym będzie jeszcze mowa...

5) Komitet Ekonomiczny i socjalny obraduje w Brukseli, jest organem doradczym, składa się ze 144 przedstawicieli pracodawców i syndykatów oraz grup niezależnych, rolników wolnych zawodów, konsumentów itd. Komitet formułuje swoje zdanie zanim RM podejmie decyzję, a Komisja kroki wykonawcze, a pogląd komitetu może, ale nie musi być brany pod uwagę. Przewodnictwo się kręci co dwa lata między państwami i kategoriami zawodowymi.

6) Parlament europejski, z siedzibą w Strasburgu, niesłusznie zwany parlamentem europejskim. Do 10 czerwca 1979 roku będzie to zgromadzenie 198 posłów bez wyborców, delegowanych przez poszczególne parlamenty krajowe. 10 czerwca parlament europejski wybrany zostanie w głosowaniu powszechnym i bezpośrednim we wszystkich krajach wspólnoty równocześnie. Składać się będzie z 410 posłów: po 81 z Francji, RFN, Wielkiej Brytanii i Włoch, 25 z Holandii, 24 z Belgii, 16 z Danii, 15 z Irlandii i 6 z Luksemburga.

W sekretariacie parlamentu pracuje ok. 1.500 sejmoeurokratów. Na razie bywało do 12 sesji rocznie, posiedzenia plenarne i komisyjne odbywają się w obecności przedstawicieli organów EWG, którzy zobowiązani są udzielać ustnie lub pisemnie odpowiedzi na każdy zadany temat, nie są natomiast zobowiązani respektować poglądów szanownych posłów, a tym mniej wcielać ich w życie.

Wszystko ma się teraz zmienić. Przyszły parlament to wielka niewiadoma i wielka szansa. Idea powszechnych wyborów zawarta była od razu w tekście traktatu rzymskiego z 1957 roku. Trwało jednak 20 lat, zanim do decyzji o wyborach doszło.

Opóźnienie to wynikało z faktu, że w niektórych krajach EWG idea parlamentu europejskiego stała się stawką w polityce wewnętrznej i zamiast być natchnieniem Europy, jest czynnikiem małych parafialnych demagogii.

10 czerwca dowiemy się, co z tego wynikało. Na razie jedni mają górne i chmurne pojęcia o przyszłym parlamencie: do Strasburga wybierają się np. Brandt i Mitterrand, Tindemans i Colombo. Panowie Marchais i Debré uważają natomiast, że prerogatywy parlamentu europejskiego stanowią zamach na suwerenność Francji. Zwłaszcza Marchais — który uważa Czechosłowację za państwo absolutnie suwerenne — jest na ten problem specjalnie uczulony. Niektórzy kandydaci spod znaku p. Chiraca, szefa sierot po de Gaulle'u, prowadzą kampanię wyborczą pod hasłem: „Głosujcie na mnie, zrobię wszystko, aby sparaliżować Europę”. Inni widzą w parlamencie europejskim trampolinę do kariery gdzie indziej, inni jeszcze — złotą emeryturę.

W rzeczywistości wybory do parlamentu europejskiego stanowią unikalną szansę zdemokratyzowania, zhumanizowania i ożywienia idei europejskiej. Pewnie, byłoby lepiej, gdyby wybory te odbyły się w okresie pionierskim Europy i w okresie koniunktury. Wyłoniłyby one wtedy zapewne prawdziwy parlament, odważny, odpowiedzialny i naprawdę ponadnarodowy. Niestety stało się inaczej, Europa zasnęła, część pociągu odeszła. Obecne wybory odbywają się więc w okresie zmęczenia wyborców, mających inne zmartwienia, rozczarowanych bezradnością EWG wobec kryzysu. Powaby europejskiej panny młodej z roku 1957 opadły, ale tym ważniejsza jest stawka obecnie. Wybory z 10 czerwca to ostatnia, być może, szansa zerwania technokratycznego cienia, zasnuwającego coraz bardziej obraz Europy.

### *Wieża Babel*

Cienia tym bardziej sugestywnego, że w okresie napięć i kryzysów mocniej ujawniają się wady aparatu europejskiego, jego wyalienowany gettowy i technokratyczno-biurokratyczny charakter. Na pierwszy rzut oka Bruksela rzeczywiście przypomina wieżę Babel, zaludnioną urzędnikami przemawiającymi niezrozumiałym językiem, prowadzącymi ponadto życie słodkie i rozpustne. Jak jest naprawdę?

15.000 ludzi stanowi dziś aparat EWG, z czego 8.000 mieszka i pracuje w pięknych dzielnicach Brukseli. W zasadzie droga



do kariery europejskiej prowadzi przez konkursowy egzamin, w istocie pozycja i awans zależą od rządów państw członkowskich. To one faktycznie decydują o nominacjach na poważniejsze stanowiska. Są już niepisane tradycje, wiadomo np. że dyrekcja generalna rolnictwa należy do Francji, a ekonomii i finansów do RFN. Rzecznikiem i szefem grupy *porte-parole*ów Komisji EWG jest z zasady Włoch.

Na 8.000 urzędników EWG w Brukseli ok. 2.000 to kategoria „A”, inaczej mówiąc administracyjna góra (komisarze i dyrektorzy generalni są poza siatką). Obowiązują w zasadzie proporcjonalne kwoty narodowe, ale nie jest to zawsze możliwe. Wielka Brytania ma 20 % ludności EWG, a tylko 14 % urzędników, podczas gdy Belgia (ale to gospodarz) z 3,8 % mieszkańcami ma też 14 % urzędników kategorii „A” i aż 40 % podrzędnych eurokratów i biur.

Są jednak i minusy. Niebo jest przeważnie szare, życie monotonne, praca w ogromnej większości mało pasjonująca (kwoty połowu dorsza, ceny ziemniaków, przygotowywanie niesłychanie szczegółowych obliczeń dotacji itd.) podziały socjalne bardzo ostre, szanse prawdziwych karier bardzo niewielkie, zależą, jak wszędzie, od protekcji, partyjnej nomenklatury, kumoterstwa, mafii politycznych i kombinacji narodowych, najrzadziej — choć i to się zdarza — od kwalifikacji. Nic dziwnego, że przy komisji EWG utworzono specjalną poradnię przeciwalkoholową, a procent samobójstw wśród samotnych urzędniczek niższego stopnia jest niepokojąco wysoki. Niektórzy twierdzą, że szarm belgijskich donżuanów ma z tym coś wspólnego, ale to na pewno żółśliwcy.

Poplątanie językowe stwarza dodatkową barierę dla normalnego Europejczyka. Jesteśmy na granicy paranoi. Jest to kwestia delikatna. Każdy delegat ma prawo mówić i słuchać w swoim języku. Kiedy państw w EWG było sześć — języków obowiązujących było cztery. W dziewięciopństwowej EWG — języków jest sześć. W 12-państwowej EWG będzie ich dziewięć. Czy wiecie, co to znaczy? To znaczy, że przy czterech językach było 12 kombinacji językowych (z każdego na każdy), przy 6 językach kombinacji jest 30, a kiedy będzie języków obowiązujących 9, to kombinacji będzie 72. W każdej sali EWG trzeba będzie zainstalować 9 kabin tłumaczy, tłumaczących z ośmiu języków na dziewięć. EWG zatrudnia już dziś największą armię tłumaczy na świecie, większą niż ONZ, NATO czy UNESCO. Co czwarty pracownik komisji EWG jest tłumaczem, 790 osób tłumaczy w druku, 400 w mowie. Ponad 1 % budżetu EWG i ponad 25 % personalnego budżetu idzie na płace tłumaczy stałych i *freelance*ów. Tak jest dziś, a co będzie po dojściu trzech nowych

języków, skąd wziąć i czym płacić za tłumaczenie negocjacji cytrusowych z greckiego na portugalski i z hiszpańskiego na irlandzki?

Próbowano użyć komputera, ale okazał się za mało inteligentny. Dano maszynie do przetłumaczenia francuskie zdanie „Duch jest silny, ale ciało słabe”, co wyszło po angielsku „whisky jest dobra, ale mięso złe”. Może to nieraz odpowiadać prawdzie, ale w pracach EWG może być kosztowne. Ciało jest słabe, powiada językowy komputer. Nie każde ciało. Wspomniany już działacz związkowy Haferkamp, obecnie minister spraw zagranicznych EWG (135.000 dolarów rocznie plus dodatki i fundusz) bawił (to właściwe słowo) niedawno w Pekinie. Prasa angielska (niechętna Niemcom widocznie) zarzuciła mu, że wziął ze sobą tłumaczkę (według źródeł brytyjskich pełniła jeszcze inne funkcje), która znała 5 języków wspólnoty, tylko nie znała chińskiego. „To nie dla Chińczyków, odpowiedział Haferkamp, to dla porozumienia się z resztą delegacji EWG”. Pozostaje whisky, która jest dobra.

### *Na spotkanie jutra*

Taka Europa i w tym stanie idzie ku XXI wiekowi. Nie będzie to spacerek. Europa coraz bardziej odstaje, ciągle żyje pod znakiem stali i węgla, w cieniu fabrycznych kominów, podczas kiedy Ameryka i Japonia są już w sferze telematyki i komputerów. W zmęczonej, starzejącej się i rozdartej Europie zawodzą i mózg i ręce. Do lat 50-tych Europa — i słusznie — mogła odczuwać kompleks wyższości. Największe wynalazki były dziełem europejskich mózgów: teoria względności, fizyka kwantów i cząsteczek, większość odkryć, będących u podstaw wykorzystania energii elektrycznej, aeronautyka, silnik odrzutowy, bomby atomowa i jądrowa, chemia węgla, synteza azotu, szczepienia, chemioterapia, antybiotyki, nowoczesna szkoła matematyczna, wszystko to powstało albo wyłącznie, albo przy decydującym udziale geniusza Europy.

Kilka lat wystarczyło aby dobić ten kompleks i rozwiązać mity. Dziś nagrody Nobla jadą przeważnie do USA. Dystans się zwiększa, zwłaszcza jeżeli spojrzeć poza teorię, w sferę wykorzystania odkryć naukowych, przede wszystkim w dziale „siła i potęga”: informatyka, broń, kosmos, energia jądrowa, satelity komunikacyjne... Po raz pierwszy od stuleci świat idzie naprzód bez udziału Europy: półprzewodniki, obwody zintegrowane, *software*, te cuda nie zawdzięczają już Europie niczego.

Nadeszła chwila prawdy. Spoza ogłupiającego komfortu i tchórzliwego „aby do wiosny”, spoza parafialnych podziatów i clochemerlowskich sporów prawda zajrzała Europie w oczy. Tylko dwa przykłady.

Po pierwsze idziemy ku zagładzie przez samozatrucie własnego środowiska naturalnego. Polacy, mimo cenzury, znają przykład Bałtyku zamienionego w trujące bagno. Na Zachodzie jest już gorzej. W EWG gęstość zaludnienia jest największa na świecie — 170 osób na km<sup>2</sup>. 42 % jej mieszkańców pracuje w przemyśle, 50 % w usługach, inaczej mówiąc jest to społeczność prawie całkowicie zurbanizowana. A tymczasem już dziś, a do końca daleko, przeciętne milionowe miasto EWG „produkuje” dziennie 500.000 ton trujących ścieków, które trzeba gdzieś odprowadzać. Już dziś przez połowę dnia w niektórych centrach miejskich hałas sięga przeciętnie (znaczy to, że bywa gorzej) 75 dBA, to znaczy tylko o 10 dBA poniżej biologicznego maksimum, już dziś z 1,5 miliarda ton ropy płynącej tankowcami co roku, 6 milionów ton pozostaje w wodzie morskiej.

Po drugie, Europa zachodnia znalazła się faktycznie w stanie energetycznego niewolnictwa. 6 % ludności świata spożywa w EWG 16 % energii, ale jej nie produkuje. W 1976 roku EWG skonsumowała 400 milionów ton ropy, z czego wyprodukowała tylko 21 milionów. Proporcje te już się poprawiły dzięki nafcie szkockiej i norweskiej oraz gazowi holenderskiemu, ale i tak EWG skazana jest na import przez długie lata ponad połowy swej energii, w tym Dania — 99 %, a Belgia — ponad 80 %.

Kryzys irański pogorszył oczywiście sytuację. Oszałały ajatola, uprzywilejowany do niedawna gość Francji, zajmuje się rozstrzeliwaniem ludzi szacha (świeżego doktora *honoris causa* Uniwersytetu Warszawskiego) a nie produkcją i eksportem ropy. Arabscy eksporterzy zakupili najbardziej wykwintny hotel paryski, perłę placu Vendôme „Ritz” i podnieśli w ciągu pierwszego kwartału 1979 roku ceny ropy o 20 %. Ten kaprys szejków oznacza dla EWG dodatkowy wydatek energetyczny 10 miliardów dolarów rocznie, co z kolei oznacza spadek przewidzianej i tak skromnej stopy wzrostu o 1 %, rok opóźnienia w odzyskiwaniu kryzysowego terenu i wzrost inflacji o 1 %.

EWG przeznaczyła 230 milionów dolarów na propagowanie nowych sposobów oszczędzania energii oraz 300 milionów dolarów rocznie przez trzy lata dla subwencjonowania opłacalności wydobycia węgla w RFN i w Anglii (ceny światowe są za niskie). Ale to wszystko półśrodki, prawdziwe rozwiązania mogą przynieść tylko nowe źródła energii: słońce, oceany a przede wszystkim atom. Ciepłownie atomowe pokrywają dziś zaledwie

3 % potrzeb elektrycznych EWG, w roku 1985 powinny dostarczyć ponad 13 % czyli tyle, ile dziś już mają USA.

Harrisburg storpedował te nadzieje. Wypadek w siłowni Three Mile Island był katastrofą nie w USA a w Europie. Ekologowie podnieśli alarm, w Belgii burmistrz małego miasteczka nakazał po prostu unieruchomienie ogromnej siłowni atomowej, z powodu niezajomości przepisów alarmowych. Ludzie się boją atomu, tak jak ich przodkowie bali się maszyny parowej, światła elektrycznego i samolotu. Mniejsza o to skąd idzie inspiracja niektórych spolityzowanych ruchów ekologicznych, ważne, że jak się okazało, stopień poinformowania społeczeństwa o zasadach działania i ryzyku energii atomowej równy jest zeru. W ZSSR ruchów ekologicznych nie ma, tam siłownie atomowe nigdy się nie psują, bo tam jest KGB. W demokracji KGB nie ma, ludzie mają prawo wiedzieć...

### *W drugiej grupie*

Żaden kraj europejski oddzielnie takim wyzwaniom nie sprosta: ani chmurze trucizny w naturze, ani szantażowi energetycznemu, ani zachłanności firm ponad narodowych, ani klęsce głodu w trzecim świecie, żeby już nawet nie wspomnieć o sprawach obrony czy dialogu Północ-Południe.

Świat wymyślił dwa sposoby na ratowanie się społeczeństw przed degeneracją i samounicestwieniem. Po pierwsze, ostry nacjonalizm i totalizm, faszyzm, nazizm albo stalinizm, ale prowadzi to zawsze do katastrofy, wojny albo niewoli, i nie rozwiązuje w trwałą sposób żadnego z podstawowych problemów. Drugi sposób, to wielkie hasło polityczne, to wolna unia demokratycznych narodów, to wyrwanie się w dobrowolny i racjonalny, ale kolektywny sposób, z intelektualnego odrętwienia i konsumpcyjnej rdzy, to zryw ponad bariery ludzkie i handlowe, nacjonalistyczne i sklepikarskie. Europa jest taką szansą.

Jedność europejska nie jest celem samym w sobie. Świat jest w ruchu. Trzeba mu dotrzymać kroku, inaczej ląduje się w rowie, co nie jest miejscem przyjemnym do życia, ani wygodnym punktem obserwacji innych. Prawdziwa jedność europejska, wbrew demagogom różnej maści, to nie likwidacja suwerenności i demokracji, a jedyny sposób na ich uratowanie.

Dosyć kazań, to nie moja specjalność. Powiedzmy więc krótko. Prawdziwy kryzys Europy, to nie kryzys gospodarczy, a polityczny, ideowy i moralny. Europa była przez wieki źródłem

brutalnej siły, dziś może być już tylko źródłem rozumu. Z dwóch wojen światowych i komór gazowych nie uratowała niczego poza szarymi komórkami. Dała niegdyś światu ideę podboju, imperia-  
lizmu, teraz powinna dać ideę unii i współpracy. W okrutnym świecie globalnych wyzwań, tylko Europa zjednoczona będzie mogła się liczyć. Inaczej pozostanie jej tylko finlandyzacja, samobójstwo nacjonalistyczne albo jeszcze gorzej.

Jean Omer Marie Gabriel Monnet urodził się w epoce królowej Wiktorii, kiedy prezydentem USA był niejaki Grover Cleveland a carem Wszechrosji Aleksander III. Monnet zmarł w 100-lecie urodzin Einsteina. Umierając pozostawił testament: swoje wspomnienia i EWG. Powtarzał często za Dwightem Murrowem: „Świat się składa z tych, którzy chcą kimś zostać i z tych, którzy chcą coś stworzyć”. Pytany do jakiej grupy siebie zalicza, Monnet odpowiadał: „Należę do drugiej kategorii, tam jest mniej konkurentów...”.

P.S. Monnet powiedział kiedyś: „Zawsze szedłem tylko jedną drogą. Nieznana była tylko jej długość”. Zupełnie jak ten felieton. Od pierwszej kartki szedłem wiadomą mi drogą, nie wiedziałem tylko, że będzie taka długa.

Pisane 13 kwietnia 1979.

*Kultura* nr 5/380, 1979.

---

## ZIEWANIE EUROPY

„Kiedy Europa otwiera usta, to tylko aby ziewnąć”. Ten błyskotliwy skrót pojawił się w pismach zebranych jednego z przywódców opozycji francuskiej w roku 1977. Kiedy w roku 1982 ów przywódca opozycyjny, wybrany w międzyczasie prezydentem Republiki Francuskiej, spędził dwa marcowe dni w Brukseli z okazji 25-tej rocznicy utworzenia owej właśnie ziewającej Europy, nie mógł już naturalnie wyrażać się w podobnie szokującym stylu. Zamiast błyskotliwych skrótów François Mitterrand wygłaszał długie przemówienia. Europa ziewała, p. Mitterrand tego jednak nie ujawniał, choć myślał zapewne to samo.

Może także zanotował to w dzienniczku, który ukaże się po kilku latach.

25 lat, dużo to czy mało, już ćwierć wieku czy dopiero 25 lat, srebrne gody czy zaledwie dojrzałość, „mgnięcie powieki historii”, żeby sparafrazować Cocteau, czy zaskorupała i sparaliżowana biurokracja?

Kiedy 29 marca 1957 roku 12 panów podpisywało na Kapitolu tak zwany traktat rzymski o utworzeniu tego co dziś nazywa się Wspólnym Rynkiem albo Europejską Wspólnotą Gospodarczą, towarzyszyły im nadzieje co najmniej sześciu państw właśnie się kojarzących.

Po raz pierwszy chyba europejscy politycy nie spóźnili się na pociąg historii. Europa, a przynajmniej jej zachodnia część, wchodziła w okres kolosalnych i, po raz pierwszy w ciągu 10 wieków, *dobrowolnych* przemian. Unia celna, wspólna polityka gospodarcza i wspólne instytucje o pewnych elementach uprawnień ponadpaństwowych miały przynieść Europie dobrobyt i pokój po wsze czasy. Powstała Rada Ministrów EWG, ciało powołane do podejmowania wielkich decyzji i kojarzenia, w imię wspólnego celu, interesów poszczególnych państw członkowskich. Powołana została komisja wykonawcza EWG, organ (teoretycznie) niezależny od rządów, z zadaniem podejmowania śmiałych analiz i formułowania odważnych propozycji, strzeżenia i rozwijania litery i ducha układu rzymskiego. Desygnowano a potem wybrano, w wyborach powszechnych, bez precedensu w skali międzynarodowej, parlament europejski, mający budować most między ambicjami polityków a oczekiwaniami obywateli i gwarantować triumf zdrowego rozsądku w stałym starciu z obłądnymi nieraz priorytetami przedstawicieli rządów.

Przez długie lata wydawało się, że optymizm i euforia towarzyszące narodzinom EWG były uzasadnione. Wszystko się sprawdzało w praktyce. Jeżeli pominąć trzy feudalne, słabo zaludnione państewka arabskie, których piasek kryje ogromne zasoby wydobywanej przez cudzoziemców nafty, to na liście 10 najbogatszych narodów świata (w przeliczeniu produktu narodowego na głowę mieszkańca) figuruje nawet dziś jeszcze sześć państw wspólnego rynku.

EWG przekształciła byt 250 milionów zachodnich Europejczyków. Towary, ludzie i informacje podróżują bez paszportów i wiz, bez cenzury i kontroli, z Brukseli można autostradami dojechać do Wiednia, Palermo czy Lizbony bez jednego stopu, świetlnego czy policyjnego. Podróż z Brukseli do Paryża i z powrotem należy do ruchu lokalnego, ludzie na niedobrych, niezachodnich paszportach przekraczają granicę francusko-belgijsko-

niemiecko-holenderską, najzupełniej nielegalnie, ale zupełnie niekontrolowani. Rynek pracy (dziś i bezrobocia) jest także wspólny, dyplomy równorzędne, telewizja jest odbierana albo wprost, albo, tak jak w Brukseli, kablem (13 kanałów) z 5 krajów, teraz dojdzie Anglia, aż strach pomyśleć, co będzie po zainstalowaniu satelity TV i otwarciu dostępu do setek nadajników.

Stała się EWG oazą dobrobytu i pokoju. Zaczęła się rozrastać, dopłynęła do niej, po odejściu de Gaulle'a, Wielka Brytania, wprosiła się Irlandia i Dania, dziesiąta była, demokratyczna na nowo, Grecja, czekają na otwarcie drzwi też już demokratyczne Hiszpania i Portugalia.

Podczas kiedy w starszej o 8 lat RWPG, złożonej z ciągle ubogich i niewolnych państw rządzonych przez komunistów, co kilka lat wybuchały tak zwane wydarzenia, tłumione siłą sowiecką albo własną, w zachodniej Europie pojęcie wojny czy przemocy weszło w sferę absurdu. Nastąpiło prawdziwe pojednanie francusko-niemieckie, a młodzież zachodnia, kiedy mówi o międzynarodowym starciu — myśli o futbolu.

### *Co zostało w szafie?*

To wszystko było naturalnie zbyt piękne, aby mogło trwać. „Mgnięcie powieki historii” jest bardzo bolesne. 25-te urodziny EWG to niełatwa rocznica. Wszystko zbiegło się, aby nadać jej jak najmniej radosny charakter. Belgijski klimat naturalnie nie zawiódł. Kiedy zebrał się jubileuszowy szczyt dziesięciu szefów państw i rządów członkowskich w towarzystwie europejskich dygnitarzy, w Brukseli było szaro i zimno, mgliście i ponuro. Jedyne okrzyki wydawane z tej okazji to były odgłosy demonstrujących belgijskich metalowców, którzy *en passant* lekko zrujnowali śródmieście Brukseli, oraz francuskich chłopów, którzy traktorami oblegali siedzibę nie wiwatującej Europy. Eksplozje dochodzące do biur eurokratów pochodziły nie z otwieranych fachowo butelek szampana, a z wybuchających granatów łzawiących, nie mniej fachowo wystrzeliwanych przez belgijskich żandarmów.

Nikt nawet się nie zdziwił, kiedy anulowano subwencję w wysokości 80.000 dolarów, jaką przewodniczący komisji EWG gotów był przeznaczyć na sfinansowanie specjalnego, okolicznościowego programu telewizyjnego mającego sławić wspólnotę. Decyzja rozumna tym bardziej, że ani jedna telewizja z państw EWG nie wyraziła zainteresowania tym programem i nie wy-

raziła chęci jego zakupu. *Let Europe be Europe* nie chwyciło. I słusznie, jeżeli sądzić po jakości jego polskiego pierwowzoru...

Najbardziej „wymownie”, jeżeli nie wprost symbolicznie, dostosował się do nastroju chwili p. Walter Halstein, pierwszy (i trzykrotny przez 10 lat) przewodniczący Komisji EWG. Zmarł (80 lat) dokładnie w dniu jubileuszu wyśniewanej przez niego Europy. Nie przeżył widoku. Halstein był autorem doktryny, która wykluczała możliwość utrzymywania stosunków dyplomatycznych równocześnie i z RFN i z NRD. W dniu jubileuszu Europy wszystkie państwa EWG utrzymują absolutnie poprawne stosunki z NRD, a dzięki polityce RFN NRD jest mimo muru faktycznie jedenastym członkiem EWG.

O nieboszczykach była zresztą mowa na szczycie w Brukseli nie tylko w „kontekście” Halsteina. Postanowiono między innymi, zgodnie z trafnym francuskim powiedzeniem, „nieboszczyków pozostawić w szafach”, inaczej mówiąc nie zajmować się nieprzyjemnymi sprawami, aby nie popsuć świątecznego nastroju. I tak się stało.

Całkowita zgoda panowała jedynie w sferze dobrych chęci, nie zobowiązujących do niczego. Napiętnowano więc znowu inwazję sowiecką w Afganistanie oraz ponowiono postulaty pod adresem generała Jaruzelskiego w sensie przekonania go o celowości zniesienia stanu wojennego, uwolnienia więźniów i podjęcia dialogu z Solidarnością. Wyrażono także jednomyślnie nadzieję na przywrócenie demokracji w Turcji.

W szafie pozostały zaś kwestie naprawdę ambarasujące. Nie mówiono więc faktycznie o sprawie budżetu EWG czy wkładu Anglii i nie omawiano polityki cen rolnych, razem lub oddzielnie grożących rozbiciem albo co najmniej sparaliżowaniem wspólnoty. Nie wspomniano na przykład, że bezrobocie w krajach EWG paraliżuje 10 milionów ludzi, że w roku 1981 bezrobocie wzrosło o 25 % i że w 1982 roku EWG spodziewa się „sukcesu”: prognozy zapowiadają „tylko” 15 % wzrost. We Francji notuje się średnio 7 samobójstw rocznie związanych z bezrobociem. Nic dziwnego, frustracja jest przecież kolosalna. Wystarczy powiedzieć, że 40 % bezrobotnych to ludzie młodzi, we Francji procent ten dochodzi do 50, we Włoszech już osiągnął 75. Inflacja też zanotowała „postęp”: właśnie przekroczyła (przeciętnie dla 10 krajów EWG) granicę 10 %, wahając się od 4 % do 24 %. Zapowiedziana średnia stopa wzrostu od 1,5 % do 2,5 % nie wystarczy na wyrwanie EWG ze stagnacji gospodarczej. Obliczono na przykład, że po to aby bezrobocie zaczęło spadać w RFN, stopa przyrostu musi tam osiągnąć 7 %, a tymczasem w 1982 roku nie przekroczy ona... 1 %.



Belgijski minister pracy (trzeba by raczej powiedzieć — bezrobocia) dokonał właśnie odkrycia. „Wkraczamy — powiedział — w kryzys społeczny, w kryzys systemu politycznego”. W tych warunkach nie należy się dziwić, że zawołaniem szczytu jubileuszowego było: „Katastrofa nie jest nieunikniona”, i że włoski premier Spadolini określił lapidarnie największe osiągnięcie szczytu oznajmiając triumfalnie: „Udało nam się uniknąć zerwania”.

Obecny model i zakres funkcjonowania instytucji EWG nie jest oczywiście wystarczająco sprawny aby wyciągnąć wspólnotę z kryzysu. Przewodniczący komisji, Luksemburczyk Gaston Thorn, doświadczony polityk i człowiek bez kompleksów, proponował rozmaite rozwiązania, ale nie podobały się one poszczególnym rządóm. „Każą mi wyciągać królika z kapelusza — powiedział Thorn — ale jak mi się to uda, to im się królik nie spodoba”.

### *Katolicycy marksiści*

Co się stało? Trzeba zacząć od początku. EWG powstała w 1957 roku jako swego rodzaju substytut na fiasco Europejskiej Wspólnoty Obronnej, storpedowanej w 1954 roku przez przedgaullistowski jeszcze parlament francuski. Trzej ojcowie Europy, wszyscy z chrześcijańskiej demokracji, Schumann, Adenauer i de Gasperi, rozumowali wtedy jak prawdziwi marksiści. Jeżeli się nie udało ze wspólnotą obronną, z której miały wyniknąć wszystkie inne wspólnoty, to zacznijmy od bazy, od wspólnoty gospodarczej, z której narodzi się, jak uczył Marks, nadbudowa polityczna i obronna. No i pomylili się, jak wszyscy zresztą marksiści. Wspólna baza gospodarcza owszem powstała, ale polityczna nadbudowa nie wyszła.

Jak długo panowała koniunktura i dobrobyt stale rósł, EWG funkcjonowała cudownie. Nawet nieufność i właściwie sabotaż de Gaulle'a nie potrafiły zahamować jej postępów. Dopiero ciosy naftowe zaczęły ją rozkładać. Wtedy okazało się, gdzie się marksizm chadecki pomylił: na przeszkodzie wspólnocie stanął normalny, ludzki, narodowy egoizm.

Jak się tylko zaczęły problemy, to każdy jął ciągnąć coraz krótszą koidrę w swoją stronę. Zaczęły wybuchać wojny o włoskie wino we Francji, o francuskie piwo w Niemczech, o angielskiego barana, o europejską pietruszkę, morele. Potajemnie czy jawnie każdy subsydiował swojego rolnika czy metalowca, ratował swoich, dusząc bratniego sąsiada w górze masła czy topiąc w rzece mleka. Wtedy także wyszła na jaw szkodliwość gaullis-

towskiego spadku: obowiązkowej jednomyślności Rady Ministrów EWG, przy której nasze staropolskie *liberum veto* to wzór rozumnej demokracji. Zamiast wielkiej idei europejskiej politycy zaczęli dbać wyłącznie o narodowe lub nawet regionalne czy gminne interesy wyborcze.

Supermocarstwo handlowe nie stało się supermocarstwem politycznym czy ideowym. Pierwsze przeciwności gospodarcze zredukowały EWG do części składowych. 25 lat później okazało się, że EWG jest wyraźnie dziełem niedoskonałym i niedokończonym. Nawet jeżeli starsi przywódcy zdają sobie sprawę, że żadne z państw europejskich nie będzie w stanie sprostać w pojedynkę i w izolacji trudnym i niebezpiecznym wyzwaniom, jakie niosą lata osiemdziesiąte, to ulegają presji młodszego pokolenia i wyborców i swych własnych następców.

A pokolenie to cechuje brak wyobraźni, inna lista priorytetów, przyzwyczajenie do wygody i komfortu za wszelką cenę, stopień wrażliwości, inna percepcja niebezpieczeństwa i zagrożenia. To są, już dziś trzydziestoletnie i więcej, dzieci innej epoki, nie znające ani zgrozy wojny czy okupacji hitlerowskiej, ani otępienia i niewolnictwa sowieckiej dominacji, ani euforii budowy czegoś nowego. Polacy dzisiejsi, ci od Wałęsy czy Bujaka, zbudowaliby Europę, bo oni znają smak i cenę wolności, młodzi Niemcy czy Belgowie są w stanie bić się o zachowanie lasu pod Frankfurtem czy o życie młodych fok, ale nie o wspólną Europę.

W istocie rzeczy, poprzez próbę budowy wspólnoty, Europa, chyląca się ku upadkowi po dziesięciu wiekach supremacji na świecie, podjęła właściwie próbę powstrzymania własnej degrengolady i powrotu do odgrywania poważniejszej roli na arenie świata. Jest już jasne, że środek ciężkości przenosi się z Atlantyku na Pacyfik i żeby mieć tam coś do powiedzenia, trzeba być czymś więcej niż pozycją w statystyce handlu światowego. To się Europie nie udało. W obliczu niewielkiej (na razie!!!) próby, kraje EWG zagubiły wszelką motywację poza nacjonalistyczną.

### *Z powrotem w XIX wiek*

Przypatrując się powoli temu fatalizmowi (?) historii, nasuwa się spostrzeżenie, że Europa jednoczyła się tylko w obliczu niebezpieczeństwa. Traktat rzymski podpisany został w 1957 roku pod wrażeniem masakry węgierskiej i katastrofy sueskiej. Mur berliński i inwazja Czechosłowacji przyspieszyły procesy integracyjne. Czyżby egoizm konsumpcyjny tak bardzo ogłupił Europej-

czyków, że nie są w stanie przewyżżyć gospodarczych nieporozumień i zjednoczyć się w obliczu niebezpieczeństwa, którego inwazja Afganistanu czy zainstalowanie dyktatury wojskowej w Polsce są tylko przejawem, naskórkiem?

Europę gubi niewola XIX-wiecznych tak zwanych „konceptów”. Ten mały półwysep wolności idzie ku zgubie nie z powodu uderzenia z zewnątrz, a dlatego, że nie jest w stanie przewyżżyć anachronicznych podziałów, ogłupiających i paralizujących formułek typu lewica - prawica. Ta terminologia i jej polityczne konsekwencje są najbardziej dziś niebezpiecznym przejawem intelektualnej kastracji — albo samobójstwa — Zachodu.

Dziś bowiem podział jest nie na lewicę czy prawicę, a na wolność i totalitaryzm. Europa to nie Grenlandia, nie może wchodzić i wychodzić ze swego naturalnego łożyska. Europa to nie przeżytek, to konieczność i ratunek, pod warunkiem że Europejczycy rozumieją, że warunkiem powstrzymania samozaładzania, wyjścia z kryzysu gospodarczego i politycznego jest działanie razem a nie w rozsypce i w sposób godny, a nie po sklepiarsku.

Sytuacja jest właściwie zablokowana: żaden środek w skali jednego narodu nie okazał się skuteczny, ale żadne państwo nie wykazuje woli wspólnego działania. Stąd narodziny prawdziwie samobójczej tendencji do protekcjonizmu i indyferentyzmu w skali poszczególnych państw, a także — coraz częściej się to ujawnia — w skali Europy. Inaczej mówiąc, zamiast urzeczywistnić podstawowe hasło EWG proklamujące maksymalną współpracę i jedność, Europa po 25 latach postuluje ich ograniczenie.

Śmiesznie brzmią pretensje jakie Europa ma do USA czy Japonii, o to że gospodarują skuteczniej. Choć wiadomo, że jedynym sposobem na stawienie czoła sowieckiemu totalitaryzmowi z jednej strony, a konkurencji USA czy Japonii z drugiej strony, jest odważne i niedogmatyczne działanie instytucji Europy jako bloku o ponadnarodowych uprawnieniach, to w Europie coraz wyraźniej każdy sobie rzepkę skrobie.

Czy taka Europa ma przekonać bezrobotną młodzież o konieczności poświęceń, czy to jest dla niej ideał? Nikt nie chce umierać ani za Gdańsk, ani za Kabul, to normalne, ale czy ktoś chce umierać za Europę? Gdzie jest klucz do przyszłości? Nie ma go w modelu nowego społeczeństwa ponadnarodowego w Europie, może wobec tego jest w hasle obrony demokracji i wolności przeciwko wszystkim — jak je określiła Susan Sontag w Nowym Jorku — „fasyzmowi o ludzkim obliczu”? Sontag, która przeżyła po dłuższym okresie ulegania lewackiemu męt-

niactwu, miała na myśli reżym generała Jaruzelskiego. A co mają na myśli politycy zachodniej Europy?

Inwazja Argentyny na wyspy Falklandzkie była oczywistą agresją brutalnej wojskowej dyktatury i zasługiwała na jak najostrzejsze potępienie. Stąd EWG zachowała się w prawidłowy sposób, kiedy (po kilkudziesięciu godzinach niepotrzebnych i niezrozumiałych przetargów) zdecydowała zastosować sankcje gospodarcze i wstrzymać handel z Argentyną. Ale dlaczego ta sama Europa nie jest w stanie zastosować żadnych faktycznie sankcji wobec ZSSR, winnego — żeby nie sięgać za daleko — inwazji na Afganistan i — faktycznie — na Polskę? Sankcje wobec Argentyny brzmią poważnie, sankcje wobec ZSSR są po prostu śmieszne. Odwrotnie, to właśnie po Afganistanie i po puczu w Polsce podpisano umowę o gazie itd., postanowiono też zredukować o... 1,35 % wartość importu towarów sowieckich. I to ma przestraszyć Kreml? „Kopniak w stos kurzu” powiedział ktoś o nadętych komunikatach na temat sankcji wobec ZSSR.

Skąd ta różnica? Znowu „koncept”; znowu selektywne pojmowanie polityki. Dyktatura prawicowa, argentyńska, jest niesmaczna. Lewicowa, sowiecka czy polska, jest *salonfähig*. A tymczasem warto spytać jaka to dyktatura zagraża naprawdę Europie zachodniej? Argentyńska czy sowiecka? Jaki totalitaryzm jest groźny dla Francji: ten, który zapanował na wyspach Falklandzkich o 10.000 km od kanału La Manche czy ten, który spadł na Polskę, to znaczy następne drzwi na tym samym europejskim korytarzu?

Czy przyszedłoby do głowy komuś w Bonn czy Paryżu przyjmować oficjalnie wysłannika junty argentyńskiej w tydzień po najeździe Falklandów? A przecież Rakowski był podejmowany w Bonn, Wehner pojechał do Warszawy, a Czyrek do Paryża. Jaki demokratyczny rząd zachodnioeuropejski tolerowałby w swym składzie czterech przedstawicieli partii reprezentującej bezpośrednio i jawnie ideologię i aspiracje dyktatury argentyńskiej i popierającej jej plany zaboru Falklandów? A przecież w rządzie francuskim zasiadają czterej przedstawiciele partii, która broni inwazji na Afganistan i dyktatury w Polsce oraz zaprosiła Czyrka, aby wyłożył racje polskiego puczu na masowym wiecu w dużym mieście.

Czy jest państwo w zachodniej Europie, które by dziś finansowało i zorganizowało na przykład wspólną wyprawę na biegun południowy z udziałem wysokich oficerów argentyńskich w kilka tygodni po wyprawie falklandzkiej? Nie znam polityka, który by się na to odważył. A przecież kiedy ktoś nieśmiało zaproponował,

aby co najmniej odłożyć podróż francuskiego oficera na pokładzie sowieckiego Saluta i w towarzystwie dwóch sowieckich wysokich oficerów, aż zahuczało z oburzenia. „Nie mieszać kosmosu z polityką” — powiedziano... Breżniew umarł: ze śmiechu.

Arab zabity w czasie zamieszek w Cisjordanii nie schodzi z łam prasy zachodniej, a ONZ co tydzień piętnuje Izrael. Bo winny jest prawicowy rząd Begin. Ośmiu (oficjalnie) zamordowanych górników z „Wujka” zeszło bardzo szybko z pierwszych stron gazet. To są bowiem ofiary lewicowe i nie wypada o nich wspominać w ONZ.

Europę w istocie rzeczy gubi egoizm, hipokryzja intelektualna i zniewolenie umysłów. Historyk francuski Emmanuel Le Roy Ladurie wydał właśnie swe wspomnienia z lat 50-tych, kiedy działał w partii komunistycznej. Zapytany dlaczego właśnie teraz, Ladurie odpowiedział „bo stalinizm jest ciągle żywy”. Ale kiedy Mitterrand rok temu obejmował władzę i kroczył symbolicznie ku prochom wielkich przodków w Panteonie, towarzyszyli mu jego przyjaciele, najbliżsi współpracownicy oraz kilku dysydentów i opozycjonistów Ameryki Łacińskiej. A dlaczego nie był zaproszony ani jeden dysydent z krajów Europy wschodniej? Stalinizm nie był wtedy żywy? Nie wypadało socjalistycznemu prezydentowi mieć w orszaku Sołżenicyna czy Bukowskiego? Chyba nie, bo oni byli w opozycji wobec ustrojów zwanych lewicowymi, co dla socjalisty — nawet francuskiego — jest żenujące.

Malraux przytacza w swej książce o de Gaulle'u jego wypowiedź o Europie. „Kiedy narody Europy — miał powiedzieć de Gaulle — wzajemnie się nienawidziły, była ona bardziej prawdziwa niż dziś”.

Nie ziewajmy. Narodziny Stanów Zjednoczonych Ameryki, powiadają niektórzy, trwały 100 lat, a akuszerką była straszliwa wojna domowa. Argumentacja dziwna i niebezpieczna. Europa miała dwie okropne wojny domowe, dodatkowo zwane światowymi. Czy takie dwie akuszerki nie wystarczą? USA rodziły się powoli przez 100 lat, bo miały czas, nikt nie przerywał ciąży. Europie jednak grozi skrobanka. Ktoś już trzyma skalpel. Chyba że Europa woli cesarskie cięcie.

A może cięcie nie cesarskie a po prostu carskie?

Nie ziewajmy.

Pisane 18 kwietnia 1982.

Kultura nr 5/416, 1982.

## TRZECIA SCHIZMA

Nowe pismo ukazało się w Warszawie, jak się to eufemistycznie określa „poza zasięgiem cenzury”. Nazywa się *Respublika*. Choć tylko jeden, ale za to długi, artykuł o geopolityce podpisany jest autentycznym nazwiskiem autora, niejakiego Stefana Kisielewskiego, cała reszta 146 stron *Respubliki*, prosty i czytelny styl oraz szybkość myślenia i wysnuwania wniosków, świadczą o pozostawaniu zespołu redakcyjnego pod wpływem niejakiego Kisielewskiego. Jest to zjawisko bardzo pozytywne, jest to bowiem, jak mawiał pewien znajomy Kisielewskiego, wpływ bardzo dobry, ale nie beznadziejny. Taka sama jest rzeczywistość o jakiej traktuje *Respublika*. Warto do niej wprowadzić pewną korektę.

*Respublika*, czytamy we wstępie, stawia sobie następujące skromne zadania:

„myślenie o polityce jako zasadniczo różne od czynnego uprawiania polityki, oderwane od wszelkich bezpośrednich zaangażowań i związków z istniejącymi ugrupowaniami, rozważanie sytuacji i wartości polskiej kultury traktowanej jako całość, kultury zatem oficjalnej i nieoficjalnej, krajowej i emigracyjnej, utrzymywanie i rozwijanie jak najściślejszego związku z Europą, ze światem kultury chrześcijańskiej. Europa jest bowiem naszą większą ojczyzną, analizowanie rozmaitych ewentualności jakie przecież niewątpliwie istnieją nawet w naszej sytuacji geopolitycznej...”

Idea europejska, bo nią się dziś zajmujemy, ujawnia się ponadto w oddzielnym artykule pierwszego numeru *Respubliki*. Tytuł: „Europa i my” stanowi cały program. Autor poważnego opracowania podchodzi do Europy jako do określonego ideału, jako do normy:

„... która zakorzeniona w chrześcijaństwie, pomaga tworzyć i głosi nadrzędność praw jednostki, jej wolności, umożliwia wrogość wobec skrajności, niewiarę w utopię powszechnej szczęśliwości. Europejskość leży w naszym interesie narodowym, powinniśmy więc utrzymywać z Europą możliwie ścisły związek i przede wszystkim nauczyć się mówić językiem europejskim... Czy teoretyczna niepodzielność Europy-normy znajdzie w przyszłości praktyczne potwierdzenie to już nie od nas zależy. Od nas jednak zależy czy do współobecności w takiej Europie będziemy przygotowani...”

Tyle *Respublika*. A co na to Europa? Kisielewski użyłby tu swego ulubionego zwrotu o dziadzie i obrazie...

## Poród czy poronienie

To prawda, że europejskość leży w interesie narodowym Polski, pytanie tylko czy Europa sądzi, że Polska leży w jej interesie... Prawda także, że powinniśmy utrzymywać z Europą jak najściślejsze związki, pytanie tylko czy Europa chce takie związki utrzymywać z nami... To prawda, że od nas zależy czy będziemy przygotowani do współobecności w Europie, pytanie tylko czy Europie na tej współobecności zależy... Prawda wreszcie że niepodzielność Europy to teoria, pytanie tylko czy jej podział to już nie praktyka...

Chwilowo Europa jest w Strasburgu. 10 czerwca odbyły się wybory do parlamentu europejskiego, 17 lipca pierwsze jego posiedzenie. Ci czytelnicy *Kultury*, którym udało się doczytać do końca najdłuższy artykuł jaki w życiu napisałem (czerwiec 1979) byli — wydawało mi się — do tego wydarzenia odpowiednio przygotowani. A jednak jeden z nich napisał do mnie z triumfem, że się (jak zwykle) wygłupiłem, albowiem frekwencja wyborcza wykazała, że Europejczycy mają Europę gdzieś i że był to już nie ciężki poród, a zwyczajne poronienie. Korzystam z okazji aby odpowiedzieć na tę ginekologiczną interpretację historii: po pierwsze, o trudnościach porodu politycznego czyli skali wydarzenia, decyduje nie klinika a dopiero *post factum* historia, po drugie, porody natychmiast uznane za wielkie zachodzą wyłącznie przy pomocy akuszerki zwanej wojną i pożogą, po trzecie wreszcie, frekwencja wyniosła w skali EWG ponad 63 %, co wcale nie jest najgorzej. Należy przecieżyć wziąć pod uwagę najzupełniej ogłupiającą i sennie nudną kampanię przedwyborczą oraz fakt, iż 410 posłów do Strasburga okastrowano z najważniejszych atrybutów każdego suwerennego parlamentu: wyboru i kontroli rządu. Znam sporo ludzi, którzy nie poszli do urn nie dlatego, że byli przeciw Europie, a dlatego, że byli za nią. Dziwiłem się nie temu, że tak mało osób głosowało, a temu że było ich tak dużo.

O jaką Europę chodzi, oto jest pytanie. Jak wynika z tego co się na razie w Strasburgu stało, i tu wracamy do *Respubliki*, chodzi o Europę okrojoną z jej wschodniej połowy. Kiedy tuż po wyborach pisałem komentarz i zastanawiałem się nad uderzającą dyskrecją Kremla wobec ważnego wszak wydarzenia jakim był wybór pierwszego zintegrowanego międzynarodowego parlamentu na świecie, doszedłem do smutnego wniosku, iż taki ubezwłasnowolniony parlament okrojonej Europy jest w istocie rzeczy

Rosji na rękę: potwierdza bowiem rozłam Europy, jeszcze głębiej wbija słupy graniczne europejskiej demokracji na Łabie, odzwierciedla *real*-polityczny podział na bloki, inaczej mówiąc sankcjonuje sowiecką wersję *détente*, legalizuje prawo Kremla do dyktatu w jego strefie bezpieczeństwa.

### Głosy na puszczy

Były, co prawda, próby przywrócenia hasła jedności, jako normy Europy. Na dobry pomysł wpadli włoscy socjaliści. P. Bettino Craxi, przewodniczący jednej z małych włoskich partii socjalistycznych, człowiek mądry i odważny zdobył się na rzecz, na jaką żadna inna partia, tzw. wielka, się nie odważyła, choć miały one po kilkadziesiąt miejsc w Strasburgu. Craxi wstawił mianowicie na swoją liczbowo skromną listę Jiří Pelikana, świeżo mianowanego Włochem byłego dyrektora praskiej telewizji z okresu Dubczeka. Pelikan jest zawodowym politykiem, ongiś był sekretarzem Światowej Federacji Studentów, potem działaczem kompartii, od inwazji jest faktycznym przywódcą lewicowej tendencji czeskosłowackiej emigracji na Zachodzie.

Pelikan wyszedł triumfalnie z urny pod hasłem wykorzystywania trybuny w Strasburgu do przypominania Europie zachodniej o istnieniu jej wschodniej połowy. „Po jedenastu latach milczenia, wiosna praska przemówi znowu pełnym głosem”, tak zaczynały się komentarze tych zachodnich gazet, które raczyły w ogóle wybór Pelikana zauważyć. Sam Pelikan, choć był to, według jego ziomków, niezły dziennikarz, też nie znalazł właściwego języka i z patosem powtarzał przekonanie o swej misji kontynuowania boju o demokrację zgodnie z duchem „wiosny praskiej”. Polegać by to miało, według Pelikana, na czerpaniu z podwójnej tradycji chrześcijaństwa z jednej strony i demokratycznego socjalizmu z drugiej. Choć nie przypominam sobie aby były to akurat dwa główne nurty okresu Dubczeka, Pelikan odniósł pewien sukces. Nie powiodła się co prawda próba powołania europejsko-parlamentarnej komisji do spraw Helsinek (parlament w Strasburgu to nie Kongres USA), udało mu się jednak przeprowadzić jednomyślne (wraz z komunistami) uchwalenie rezolucji wzywającej rząd Husaka do uwolnienia działaczy Karty 77. Obecność Czecho-Włocha, który w artykule napisanym dla brukselskiego *Le Soir* przedstawił się jako ten, kto umie cenić wolność, bo wie co to jest jej brak, może więc mieć pewne znaczenie dla rozszerzenia horyzontów posłów pół-europejskich, pod warunkiem oczywiście, że Pelikan odbrzązowi swój wykład i



przestanie proponować „wiosnę praską” jako model do naśladowania przez Zachód.

### *Samookaleczenie*

Zachód nie zdaje sobie sprawę z konsekwencji samoamputacji. Zachód tak postępuje jakby chciał przez odrzucenie wschodniej swojej połowy, zmienić nazwę kontynentu, pozbyć się historii, wymazać swą odpowiedzialność za wszystkie zbrodnie jakie ten kontynent pełnił w ciągu dwudziestu wieków. Kto z europejskich pomazańców czytał takie podstawowe dla europejskiej myśli artykuły jak Efima Etkinda o jedności kultury Wschodu i Zachodu czy Michała Hellera o języku sowieckim, albo artykuł Pierre Emmanuela o europejskim rozłamie w *Le Figaro*? A jeżeli ktoś czytał, to kto się nimi przejął? Nikt chyba, bo żadna z tych myśli nie znalazła echa w inauguracyjnych przemówieniach w Pałacu Europy w Strasburgu.

A tymczasem chodzi o prawdziwą schizmę, taką przy której bledną obie poprzednie, i ta zachodnia, co trwała tylko 39 lat, choć dała w pewnej chwili trzech papieży i ta wschodnia, która co prawda trwa już 950 lat, ale zdobyła się jednak na samozłagodzenie, kiedy w roku 1965 papież Paweł VI i patriarcha Atenagoras znieśli klątwy, jakie na siebie wzajemnie rzucili ich poprzednicy w roku 1054.

Trzecia schizma poczęta została sojuszem Hitlera i Stalina oraz rozbiorem Polski w 1939 roku, ochrzczona w Jałcie i zarejestrowana milczeniem Strasburga. Na nic więc nie zdało się pisanie Miłosza czy Orwella, Zachód ciągle ma „Umysł zniewolony” i kroczy w rok „1984”, zapominając czy nie chcąc pamiętać, że Leningrad jest tak samo europejski jak Paryż, Praga jak Rzym, a Warszawa, jak nie przymierzając, Bruksela.

Organizm Europy, tak jak organizm ludzki, może przeżyć tylko niektóre amputacje i okaleczenia. Odcięcie połowy kontynentu z 400 milionami Europejczyków, ich kulturą i historią, może okazać się zabójcze. Keynes mawiał, że na dłuższą metę wszyscy jesteśmy martwi. Dłuższa meta Europy może jednak być bardzo krótka. Jeżeli nie ma muzyki europejskiej bez Szopena, Czajkowskiego i Liszta, nie ma poezji bez Mickiewicza czy Puszkina, nie ma teatru bez Brechta i Czechowa, nie ma malarstwa bez Chagalla i Kandinskiego, nie ma literatury bez Dostojewskiego, Tołstoja czy Gombrowicza (brakujące nazwiska można wstawiać bez ograniczeń...), jeżeli, powtarzam, nie ma europejskiej kultury bez kultury Europy wschodniej, to nie należy sądzić, że

Europa zachodnia może długo oddychać swobodnie bez włączenia we wspólne płuca krwiobiegu wschodnioeuropejskiego. Europa zachodnia może egzystować politycznie i gospodarczo bez Europy wschodniej, ale nie będzie to życie a wegetacja, skazana na kulturalną anemię i atrofię. Na zakończenie swego krzyku pt. „My także jesteśmy Europą”, Etkind zacytował zdanie Thomasa Stearns Eliota. „Możemy — mówił Eliot — wyznawać poglądy polityczne całkowicie różne, jesteśmy jednak współodpowiedzialni za ratowanie naszej wspólnej kultury, za jej przetrwanie na przekór wszystkim presjom politycznym...”.

### *Sieroty po Helsinkach*

Eliot, pisarz angielski pochodzenia amerykańskiego, nieco zapomniany Nobel z roku 1948, nie wiedział nawet jak bardzo jest zapomniany. 15 lat po jego śmierci (1965 r.) Europa zachodnia dokłada wszelkich starań aby udowodnić, że nie poczuwa się do żadnej współodpowiedzialności za żadną wspólną kulturę, która w coraz większym stopniu pada pod ciśnieniem politycznych presji.

Piszę ten artykuł w dniu 4-ej rocznicy zawarcia tzw. aktu końcowego w Helsinkach. *Prawda* po swojemu uczciła ten dzień. W dokumencie z Helsinek dopatrzyła się tylko „zasad regulujących wzajemne stosunki między rządami”, natomiast wszelką inną lekturę przypisać należy „czarnym siłom reakcji i wojny, które w znacznym stopniu wstrzymały realizację aktu końcowego, poprzez fałszywą interpretację i wrywanie zdań z kontekstu w celu ingerowania w wewnętrzne sprawy innych rządów”. Wice-minister spraw zagranicznych Anatol Kuzniecowa bardzo się był oburzył na niektórych dziennikarzy zachodnich za „wrywanie z kontekstu” i powiedział, że „zasada poszanowania praw człowieka nie powinna być stawiana wyżej niż inne zasady aktu końcowego z Helsinek”. Pan Kuzniecowa ma rację, z małą poprawką: prawa człowieka nie powinny być stawiane ani wyżej, ani niżej. A tymczasem władze sowieckie postawiły te prawa nie tylko niżej innych zasad z Helsinek, ale właściwie nie postawiły ich nigdzie, po prostu wyrzuciły. To one więc, a nie ci co „wrywają z kontekstu” złamały delikatną równowagę aktu naprawdę końcowego z Helsinek. W *Kulturze*, bez narażania się na śmieszność, nie należy spisywać rewanżu z Helsinek. Chciałbym tylko w tym miejscu zadać kilka pytań tzw. retorycznych.

W imię jakiej *détente* delegacje z zachodnich partii socjalistycznych odwiedzają „na zaproszenie KC”... stolice państw ko-

munistycznych, podpisują różowe komunikaty, nie wspominając ani słowem o tym, że w miejscowych kazamatach niszczyją ludzi winni wyznawania takich samych socjalistycznych poglądów? Czyżby „między dwoma śliwowicami” nie było czasu na taki dialog? Dlaczego komunikat o pobycie w Warszawie delegacji belgijskich chrześcijańskich syndykatów nie wspomina w ogóle o tym, że inicjatorzy wolnych związków zawodowych idą w PRL do ciupy? W imię jakiej wspólnoty ojcowie miasta Brukseli wybrali akurat Moskwę na pierwsze sfraternizowane miasto spoza EWG? Gdzie była europejska kultura w czasie zebrania pisarzy-banitów ze wschodu, zorganizowanego w Monachium, na które nie przybyli koledzy z wolnych krajów? O jakiej Europie myślała francuska Akademia Nauk wybierając na członka zagranicznego prof. Wiktora Ambarcumiana, astronoma ormiańsko-sowieckiego, który przyczynił się do aresztowania swego kolegi, też członka Akademii ormiańskiej? Członek ów nazywa się Jurij Orłow i był przewodniczącym moskiewskiej grupy „Helsinki”. Jakiej Europy chce dla nas Komitet Wykonawczy Światowej Federacji Psychiatrycznej, który zebrał się na posiedzeniu w... Moskwie i nie zdołał, między dwoma toastami, spytać o zdrowie dr. Semiona Gluzmana, sowieckiego kolegi zesłanego na 10 lat do gułagu za ujawnienie wykorzystywania przez KGB psychiatrii do niszczenia dysydentów?

O jedność jakiej kultury chodzi organizatorom wystawy Moskwa - Paryż, którzy ocenzurowali katalog zgodnie z wytycznymi Moskwy (katalog wydany i zapłacony przez Francuzów)? Co zyskała kultura europejska przez wyeliminowanie z tekstu przeznaczonego dla widza we Francji — gdzie jeszcze nie wysyłają dysydentów do gułagu — wszelkiej wzmianki o aresztowaniu Malewicz, zamordowaniu Meyerholda, samobójstwie Majakowskiego i okolicznościach śmierci Mandelsztama? A przecież wszystko to działo się przed dziesiątkami lat. Co będzie przy „katalogach” bardziej współczesnych? Co o tym pomyśli człowiek, który w Moskwie ryzykuje wolność w obronie europejskiej kultury, i nie może o tym dyskutować na eleganckich koktajlach w paryskich salonach? W imię jakiej wolności władze francuskie odmówiły sali w gmachu Beaubourg, gdzie mieści się wystawa, na zorganizowanie kolokwium, które miało te „pominięcia” sprostować i nieco oczyścić gnilną atmosferę?

No i w końcu — bo to wyliczanie już za długo trwa i może być nużące — co należy pomyśleć o powołaniu „Stałego Trybunału Ludów”, mającego kontynuować działalność osławionego Trybunału Russella, który, jak pamiętamy, dojrzał zbrodnie przeciwko ludzkości jedynie w Wietnamie południowym (kiedy jesz-

cze istniał), w Ameryce Łacińskiej i w... RFN. „Stały Trybunał Ludów” składający się z 57 poważnych osobistości ze świata, a także, intelektualnego (jest nawet jeden Nobel z USA), któremu przewodniczy bardzo postępowy profesor prawa z Belgii, postanowił zająć się 9 (dosłownie dziewięcioma) krajami znanymi z ustawicznych gwałtów na prawach ludzi i ludów. Są to: Filipiny, okupowana Timor, Korea (wyłącznie południowa), Palestyna (naturalnie) Erytrea, zachodnia Sahara, Gwinea, Argentyna i Ameryka Środkowa.

To bardzo dobrze. Jak jednak wytłumaczyć fakt, że ten stały trybunał nie był w stanie znaleźć jakiegś drobnej ale nie mniej stałej sprawy gwałcenia praw ludu i człowieka nieco bliżej i ich i nas? Pewien mój i wasz dobry znajomy z Warszawy twierdzi, że słabość Zachodu nie wynika wcale z potęgi Sowietów, a tylko z własnego zachodniego zaślepienia, zeszmacenia i obojętności.

Muszę w tym miejscu dokonać małej poprawki. Francuzi oddali właśnie organizatorom Olimpiady w Moskwie ultranowoczesny hotel. Nazywa się oczywiście „Kosmos”. Tysiące pokoi, najbardziej wysublimowane urządzenia. Francuscy konstruktorzy oprowadzali gości i z dumą opowiadali, że urządzenia elektronowe zainstalowane w „Kosmosie” pozwalają dyrekcji hotelu śledzić, dzięki specjalnym kluczom, każdy krok gości. To jest prawdziwy postęp!

Na liście zachodnich słabości należy wobec tego do ślepoty, zeszmacenia i obojętności dopisać jeszcze głupotę. Kosmiczną...

Pisane 1 sierpnia 1979.  
*Kultura* nr 9/384, 1979.



**WIENIEC BEZ LAURÓW**



## KTO SIĘ BOI „APOCALYMPICS NOW”?

Motto: „Połowa wariatów z całego świata mieszka w promieniu 100 mil wokół Los Angeles”.

Pomysł przedstawienia kandydatury tego miasta do organizacji Igrzysk Olimpijskich w 1984 roku oraz warunki w jakich te Igrzyska są organizowane nasuwają przypuszczenie, że proporcje zagęszczenia wariatów w Los Angeles ustalone przez fachowca, to znaczy prezydenta Stanów Zjednoczonych Harry Trumana, powinny zostać skorygowane... W górę. Już nie chodzi o połowę, a o zdecydowaną większość.

Pomysł powrotu igrzysk do Los Angeles, określanego przez autochtonów inicjałami L.A. zrodził się w pamiętnym, zwłaszcza dla Polaków, roku 1939. Pewne wydarzenia ledwo tutaj zauważone przeszkodziły wówczas w zorganizowaniu Igrzysk Olimpijskich (zwanymi dalej w skrócie I.O.). Kandydatura L.A. została ponownie przedstawiona w 1976 roku, ale dopiero w 1980 roku klub senilnych lordów i partyjnych aparatczyków zwanych Międzynarodowym Komitetem Olimpijskim (w dalszym ciągu już tylko określanym inicjałami MKOL) przyjął zaproszenie L.A., tym łatwiej zresztą, iż jedynym kontrkandydatem był... Teheran, mający, można powiedzieć, inne konkurencje, głównie strzeleckie, na głowie, a raczej bez głowy.

W tzw. międzyczasie jednak miasto L.A. uległo pewnym zmianom. Dla nielicznych zrównoważonych kalifornijczyków podjęcie się organizacji I.O. w miejscowości noszącej nazwę El Pueblo de la Nuestra Senora La Reina de Los Angeles de Porciuncula stanowiło wyzwanie rzucone zdrowemu rozsądkowi. L.A. stanowi czwarte co do wielkości skupisko miejskie na świecie, po Nowym Jorku, Tokio i Mexico-City. Jedenaście milionów osób



zamieszkuje ten „największy parking na obu półkulach”, co wydaje się nieścisłe, jako że nie ma w istocie miejsca na parkowanie. „L.A. — downtown” stanowi jądro ogromnego obszaru, którego kilkanaście miejscowości figuruje na najgorszych miejscach listy „miejsc, gdzie Amerykanie NIE chcieliby żyć”.

Miasto, które w kilka dni po ukazaniu się tego numeru *Kultury* będzie mimo wszystko jako trzecie, po Paryżu i Londynie, gościć po raz drugi (pierwszy raz w 1932 roku) I.O., faktycznie nie istnieje. Jak mówią miejscowi, chodzi tu o „82 przedmieścia w poszukiwaniu jakiegoś centrum”. Rozciąga się to „miasto” na 225 km wzdłuż, to znaczy północ-południe, i 65 km wszerz, tzn. wschód-zachód. Sportowcy mieszkają będą głównie w dwóch wioskach olimpijskich, stanowiących w cywilu kampusy największych uniwersytetów południowej Kalifornii: UCLA i USC. Zawody odbywać się jednak będą w 17 rozrzuconych miejscach. Dystansy dla zawodników będą nieraz ogromne. Obliczono, że w najgorszym przypadku niektórzy finaliści siatkówki musieliby przemierzyć w ciągu turnieju... 11.000 km między wioską a boiskiem i spędzać około 6 godzin dziennie w autobusie. Niektórzy bogaci, np. wioślarze zachodni Niemcy, zamierzali zrezygnować z „wioski” i wynająć coś gdzieś blisko wody. Znaleźli dom na samej plaży, ale tornado go zmiotło.

Miasto L.A. to największy korek samochodowy na świecie. Zarejestrowano tu 5 mln pojazdów mechanicznych, z czego 3,7 mln samochodów osobowych. Mimo, iż sieć dróg jest rzeczywiście fantastyczna, korki są właściwie permanentne. „Mieszkanie” w samochodzie przeszło w nawyk, inaczej by rzeczywiście zwariowali: samochodziarze jedzą w aucie, golą się, robią interesy przez telefon samochodowy, rozmawiają z rodziną, a ponieważ jeszcze nie nauczyli się czytać prowadząc auto, to słuchają powieści z „kaset literackich” z nagranych *best-seller*'ami, oczywiście w przerwach między informacjami radiowymi dotyczącymi... korków na drogach.

L.A. ponadto nie posiada właściwie transportu miejskiego. Wszystko jest prywatne i naturalnie niewystarczające. Komitet Organizacyjny I.O. (będzie jeszcze o nim szeroko mowa), zmobilizował, za pieniądze naturalnie, 1.000 pulmanów (prywatnych) i 1.400 autobusów szkolnych, wynajął 4.000 szoferów znających wszystkie tajemnice cyrkulacji po L.A., uprzedził, że nie będzie dojazdu samochodów prywatnych do stadionów itd., ale oczywiście radzę wszystkim wyekwipować się w nagrania literackie, albo lekturę w ogóle. Obliczywszy (tu wszystko się oblicza), że w tych warunkach autobusy olimpijskie mają przejechać 35 milionów kilometrów, czyli tysiąc razy dookoła kuli ziemskiej, zapy-

tałem jednego z fachowców od transportu „w jaki sposób przewiezicie w takich warunkach tych wszystkich ludzi?” Odpowiedział: „Powoli”. Jego kolega był jeszcze dowcipniejszy: „Uzupelnimy igrzyska, powiedział, o nową konkurencję: 'derby drogowego demolowania'”.

### *Próba generalna*

Komitet organizacyjny nie ma czasu na dowcipy. W pewien typowy dzień sierpnia 1983 roku przeprowadził generalną próbę transportu w L.A. w warunkach „normalnych” korków drogowych, setek równoczesnych imprez sportowych i artystycznych, obecności setek tysięcy turystów itd., itp. Wszystko grało, powiadają.

Lake Placid się nie powtórzy, zapewniają organizatorzy z L.A. Lake Placid niedaleko Nowego Jorku było miejscem zimowej olimpiady 1980; ścisk drogowy zagroził zaduszeniem Igrzysk i po to aby wysuwać je z korków, gubernator musiał ogłosić stan klęski żywiołowej i podjąć środki nadzwyczajne.

Próba generalna dotyczyła również sytuacji atmosferycznej, temperatury i powietrza. Średnia sierpniowa wynosi 23 stopni C, co nie jest wcale uciążliwe. Powietrze jest jednak mniej dosłownie i w przenośni przejrzyste. Los Angeles, miasto o kolosalnym przemyśle, między innymi naftowym, położone jest właściwie w dolinie. Nad miastem stale wisi smog. „Tutaj przynajmniej — mówią przez łyzy autochtoni — widzimy powietrze, którym oddychamy”. Książę Filip, małżonek królowej angielskiej, przewodniczący federacji (naturalnie) jeździeckiej, był jedynym działaczem MKOL, który zażądał nie skrócenia dystansu między wioską a zawodami, a wydłużenia. „Jego” konkurencje odbywać się będą więc w Fairbanks, o 175 km na południe od wioski olimpijskiej. „Powietrze w L.A., powiedział książę-małżonek, nie jest odpowiednie dla koni”.

A dla ludzi? Organizatorzy starać się będą (bez szans), aby na czas igrzysk stalownie i rafinerie zmniejszyły wydajność smogową, ale już zdecydowali, że trudne konkurencje jak maraton odbywać się będą rano lub wieczorem, kiedy smog opada... i to brzegiem morza.

Nie udało się natomiast zorganizować próby generalnej w dziedzinie bezpieczeństwa. Nie jest to najspokojniejsze miasto na świecie. Można powiedzieć nawet, że wprost przeciwnie. W L.A., dużym mieście o „normalnej” patologii, notuje się

przeciętnie 6 zabójstw rabunkowych dziennie, toczą się też „normalne” wojny gangów o narkotyki, prostytucję czy gry, nie sportowe a hazardowe (zabronione w Kalifornii). Bezrobocie, zwłaszcza wśród Czarnych, jest ogromne. W 1982 roku zarejestrowano 30.000 napadów i 45.000 włamań. W tym samym roku mieszkańcy L.A. zakupili 90.000 sztuk broni palnej ręcznej rozmaitych kalibrów. To wszystko legalnie i statystycznie, reszta nie wiadoma. Bez większego zdziwienia przeczytałem więc na murze niedaleko Memorial Coliseum L.A., czyli stadionu gdzie, po raz drugi, 52 lata później, otwarte zostaną I.O., nieudolne graffiti: „Lato jest upalne w L.A. Policja przyrzeka wam spokojne i bezpieczne igrzyska. My wam radzimy, abyście wraz z biletem wstępu na stadion wykupili ubezpieczenie na koszty pogrzebu...”.

### *Dreszczyk „sowieckiego sportu”*

Oczywiście, to nie z powodu tego rodzaju napisów ściennych Rosjanie oraz kraje bratnie nie przyjadą do Los Angeles. Nie czekając na statystyki, *Sowiecki Sport* zimą 1983 roku już orzekł, że „Los Angeles stanowi światowe centrum wszystkich wad i wszelkiego zepsucia kapitalistycznego”. Co miał *Sowiecki Sport* na myśli? Czyżby tak bardzo się troszczył o moralność mieszkańców południowej Kalifornii? Czyżby się bał, że narkotyki i wszelkie zepsucie zarażą czyste dusze sowieckich atletów? Napady rabunkowe? Na co? Na sowieckie jeansy czy kasety video z kołchozową pornografią?

Skądże znowu! „Jednomyślnie” podjęta przez Komitet Olimpijski ZSSR decyzja o „nie-uczestniczeniu” (słowo „bojkot” jest wyklęte) w I.O. 1984 nie zajmuje się takimi wulgarnymi sprawami. Moskwie, naturalnie, chodzi wyłącznie o czystość olimpijskiego ducha, o niepokalaną jasność olimpijskiej karty, stojącej na straży sportu amatorskiego, wyzwolonego od wszelkich presji politycznych, na straży zmagania atletów pod hasłem „wyżej, szybciej, silniej” w atmosferze nieskalanego niczym, szlachetnego współzawodnictwa młodzieży świata.

Stąd też deklaracja KO ZSSR z 8 maja (data symbol — rocznica zwycięstwa nad wrogiem), zredagowana według najlepszych wzorów *Prawdy*, powołuje się pośrednio czy bezpośrednio na trzy powody. Pierwszy dotyczy komercjalizacji igrzysk („Olimpiada dolara i kapitału”, napisała już dawno agencja „Nowosti”), drugi — ich polityzacji, trzeci — bezpieczeństwa fizycznego sowieckich sportowców. Ten ostatni aspekt nie figuruje *explicite*

w dokumencie KO ZSSR, ale przytaczany jest przez Rosjan przy każdej możliwej okazji. Miałem niedawno w Brukseli debatę telewizyjną z p. Ignatowem, dyrektorem biura „Nowosti” w Paryżu, który oświadczył wobec wielomilionowej widowni, że „nie możemy jechać do L.A., bo tam będą do naszych strzelać”.

Na tak sformułowaną kartę zażaleń w sprawie karty olimpijskiej należy odpowiedzieć w trojaki sposób.

### *Trzy razy „nie”*

Po pierwsze oficjalnie, po „linii” MKOL. Po drugie ideologicznie, po „linii” deklaracji moskiewskiej. Po trzecie politycznie, po „linii” rzeczywistych powodów sowieckiej dezercji.

#### *a) Po „linii” MKOL:*

Po pierwsze więc, i pokrótce, Międzynarodowy Komitet Olimpijski zebrał się w Lozannie i po prostu stwierdził, że zarzuty sowieckie nie odpowiadają rzeczywistości i że Karta Olimpijska nie została w Los Angeles pogwałcona. Znając polityczną wstrzeźliwość przede wszystkim zatroskanych o „jedność ruchu” dzientelmenów z MKOL i obecność w nim przedstawicieli amatorskiego sportu sowieckiego i trzecioświatowego, decyzja Lozanny nie wymaga komentarzy.

#### *b) Ani jednego centa*

Po drugie rozważmy po kolei oficjalne zarzuty ZSSR. Zacznijmy od pierwszego zarzutu: komercjalizacji Igrzysk. Igrzyska w L.A. stanowią rzeczywiście pod tym względem *novum* w historii Olimpiad. Mieszkańcy L.A. odmówili mianowicie, w drodze specjalnego referendum, wyasygnowania choćby jednego centa z kasy miejskiej, inaczej mówiąc, z ich podatków, na finansowanie Olimpiady. Chcecie się bawić, to proszę bardzo, ale nie za nasze pieniądze. No i tak się stało. Po raz pierwszy w historii antycznej i nowożytnej Olimpiada jest finansowana ze środków dostarczonych wyłącznie przez prywatne przedsiębiorstwa amerykańskie oraz sieć telewizyjną ABC, też naturalnie prywatną. Komitet organizacyjny funkcjonuje jak kapitalistyczne przedsiębiorstwo amerykańskie, to znaczy na zasadzie nadwyżki lub co najmniej równowagi wpływów i wydatków. Celem

w tym przypadku nie jest oczywiście zysk, ale nie może być deficytu, bo nie będzie go z czego pokryć. Stąd naprawdę rewolucyjny budżet: 474 miliony dolarów. W Montrealu w 1976 roku I.O. kosztowały 1,5 miliarda dolarów (obywatele Kanady do dziś płacą olimpijskie długi), Moskwa kosztowała 9 miliardów dolarów, ale tam nie ma deficytu, bo nie ma kasy, nikt przecież w socjalistycznej demokracji władzy nie kontroluje. Ani jej wydatków.

Rewolucyjny budżet wymagał rewolucyjnej filozofii. I.O. w L.A. wprowadziły nową konkurencję olimpijską — „kapitalistyczny dynamizm”. Zakłada on, że ponieważ Olimpiada nie dysponuje ani jednym centem z budżetu miasta czy państwa, to Komitet Organizacyjny musi także być absolutnie niezależny od władz państwowych czy lokalnych. Ponieważ finanse są wyłącznie prywatne, buchalteria musi być absolutnie przejrzysta i gospodarka absolutnie logiczna. Ponieważ wreszcie chodzi o zarządzanie kapitalistyczno-prywatne, w ramach ograniczonego budżetu, komitet musi unikać wszelkich zbędnych konstrukcji, prestiżowych inwestycji, musi wykorzystać istniejącą bazę materialną i ogromne zasoby wolontariatu ludzkiego, jego pomysłowości i ofiarności.

Filozofia już była, trzeba było jeszcze znaleźć pieniądze. A było o nie tym trudniej, że Komitet Organizacyjny pozbawiony został nie tylko subwencji państwowych czy miejskich, ale i wpływów z loterii olimpijskiej, która wszędzie indziej dostarczała sporej części budżetu, ale w Kalifornii jest zabroniona ustawowo.

### *c) Gdzie jest „bonanza”?*

Skąd więc pieniądze? Z biletów naturalnie, około 90 milionów dolarów. Nie trzeba ujawniać, że straty finansowe z tytułu bojkotu sowieckiego będą niewielkie, i tak na turystów z bloku komunistycznego, Mongolii czy Wietnamu nie bardzo liczono. Zwrot kosztów pobytu, 35 dolarów osobo-dzień, mieszkanie, jedzenie, transport, trening itd., to niedrogo jak na warunki amerykańskie, ale przeliczone przez 3 tygodnie i około 15.000 osób, też co nieco wnosi.

Prawdziwa „bonanza” to jednak telewizja i sponsorzy. ABC podpisała największy kontrakt w historii I.O. — 225 milionów dolarów za wyłączność transmisji. NBC w Moskwie zapłaciła „tylko” 80 milionów, tutaj sama Eurowizja zapłaci w tym roku

około 20 milionów, Japonia — 8,5, Łacińska Ameryka — tylko 2 miliony. ZSSR już wpłaciła zaliczkę 3 miliony (bezwrotnie) za transmisje, których chyba nie będzie, kraje „sojusznicze” też chyba już nic nie wniosą, czeka się jeszcze na Arabów. Razem, odliczywszy już Sowietów (kontrakt z ABC, zależny od ilości uczestników, zostanie zrewidowany w dół o jakieś 40 milionów dolarów), telewizja przyniesie około 230-240 milionów dolarów.

Sponsorzy to instytucja w sporcie szeroko znana, nigdy jednak nie była tak „naukowo” i na taką skalę stosowana jak w L.A. Chodzi tu o przedsiębiorstwa prywatne, które wpłacają do dyspozycji Komitetu Organizacyjnego określone sumy (minimum 4 miliony dolarów) w zamian za prawo do używania olimpijskich emblematów w swojej reklamie. Sponsorów w L.A. będzie około 40, od American Express do Westinghouse i Xerox, poprzez IBM, Coca-Cola, General Motors itd., itp. McDonald, ten od hamburgerów, wybudował pływalnię olimpijską, Levi-Strauss, ten od jeansów, ubiera całą ekipę USA i personel I.O. Miejscowa sieć sklepów wybudowała welodrom. Celem „sponsorshipu” było uzyskanie 116 milionów dolarów, uzbierało się tego znacznie więcej, co pozwoli, bez większego trudu, na zbilansowanie strat wynikłych z ucieczki państw komunistycznych.

Wszystko to razem stanowi znakomity po prostu interes, naprawdę kapitalistyczny, jak z definicji dla prostaczków. ABC zapłaciła 225 milionów, ale już sprzedała olimpijski czas reklamowy za prawie 500 milionów. Fuji zapłaciło 9 milionów za wyłączność dostaw materiałów fotograficznych dla I.O. Kodak, który się spóźnił, natychmiast wykupił za 12 milionów wyłączność na reklamę w ABC swoich produktów (takich samych co Fuji), w czasie transmisji... z Igrzysk. Coca-Cola wniosła do budżetu I.O. 13 milionów dolarów i obliczyła, że w czasie zawodów sprzeda około 20 milionów butelek tej okropnej kapitalistycznej trucizny na samym tylko terenie olimpijskim. To już interes, ale ponadto już wyasygnowała... 50 milionów dolarów na reklamę wykorzystującą emblematy olimpijskie. W tej dziedzinie utrata konsumentów z obozu socjalizmu nie spowoduje naturalnie katastrofy.

Generalnie oblicza się, że ogólny wpływ Igrzysk na gospodarkę południowej Kalifornii można by określić na ponad 3 miliardy dolarów, z czego 1 miliard w wydatkach bezpośrednich, a reszta, m.in. poprzez stworzenie 40.000 tymczasowych stanowisk pracy, no i w postaci... podatków, jakie to olimpijskie przedsiębiorstwo kapitalistyczne odprowadzi do kasy miejskiej i państwowej.

Jak w tym dowcipie przed pustym sklepem mięsnym w Warszawie. Dziadek opowiadał wnuczce: „Dziecko moje, spójrz, tutaj kiedyś można było oglądać i kupić szynkę i schab, kielbasę i boczek, baleron i kabanos. No i niech mi ktoś wytłumaczy: co to komu szkodziło?”.

No a co to komu szkodzi, że po raz pierwszy do Igrzysk nie trzeba dopłacać i wszyscy są zadowoleni? „Pierwsze igrzyska *big-business'u*”, oburzyła się już dawno prasa sowiecka. Powoli. Jak było gdzie indziej? Telewizja zapłaciła także w Moskwie, tyle że mniej, bo po prostu nie było warto. Sponsorzy, często ci sami (Coca-Cola), byli także w Moskwie. I było ich nawet więcej w stolicy socjalizmu. W L.A. Komitet wybierał, akceptował, nie tych co dawali najwięcej, ale tych co dawali gwarancję umiaru w reklamie. W Moskwie brali od wszystkich, w L.A. na przykład, odmówili *sponsorship'u* sieci sklepów sprzedających kurczaki, bo chcieli dodawać maskotkę Igrzysk do każdej paczki ze skrzydełkiem i frytami.

Moskwa, a za nią cały komunistyczny świat, a także Grecja, której rząd i obywatele mają, jak wiadomo, wstręt do dolarów amerykańskich turystów, oburzyli się na sprofanowanie świętości olimpijskiej pochodni. Jak to, wołali w Moskwie, Warszawie i Lewancie, sztafeta z pochodnią zapaloną świętym płomieniem w Olimpii sprzedawana jest po 3.000 dolarów za kilometr. Tak być nie może, honor cierpi.

Oburzenie tzw. selektywne. Nikt nie wspomina, że dolary tak zarobione idą nie do kasy Rockefellera, a na finansowanie treningu młodych sportowców w USA, a przede wszystkim ani jedna z tych czerwonych westalek nie oburzyła się, kiedy Jugosłowianie sprzedali swoją „zimową” pochodnię za 250.000 dolarów jakiejś firmie japońskiej. A cóż to, jeny są mniej paskudne?

Przed wszystkim jednak oburzenie antykapitalistyczne jest i śmieszne i moralnie dwuznaczne. Dlaczego np. finansowanie Igrzysk z budżetu państwa sowieckiego miałyby być bardziej szlachetne i sportowo czyste, niż finansowanie ich przez Coca-Colę? Dlaczego jest niedopuszczalne finansowanie sportowców przez IBM, a jest zgodne z duchem olimpijskim, jeżeli utrzymuje atletów KGB czy czerwona armia poprzez całą piramidę różnych Dynamo i Spartaków. A przecież IBM czy McDonald nie zabijają sportowców w Afganistanie. Spartaki — tak.

Sportowiec na poziomie olimpijskim, jak obliczono, musi trenować około 1.600 godzin rocznie. Jest to *fulltime job*. Kto za to płaci? Kto utrzymuje sportowca i jego rodzinę? Dlaczego nie wolno mu biegać z napisem UCLA na plecach, a wolno

z napisem Dynamo? Obie te instytucje płacą sportowcom za bieganie pod ich firmą. Dlaczego uniwersytet kalifornijski kompromituje, a KGB uszlachetnia? Branie pieniędzy za kopanie piłki eliminuje z reprezentacji olimpijskiej, ale Lendl i Fibak są gorąco zapraszani do grania w pucharze Davisa, no i na dodatek do odprowadzania do kasy federacji tenisowych ich dolarów zarabianych dzięki... sponsorom z kapitalizmu.

*d) A gdzie wyższość systemu?*

Tak więc pierwszy oficjalny sowiecki dowód na słusność bojkotu nie wytrzymuje pobieźnego choćby starcia z rzeczywistością. Przyjrzyjmy się teraz drugiemu. Upolitycznienie, mówią w Moskwie, wykorzystywanie I.O. przez Reagana dla celów imperialistycznej polityki amerykańskiej. Co prawda dziwi taki zarzut ze strony tych, którzy oficjalnie uznali sukcesy sportowe za dowód wyższości systemu komunistycznego, ale ponieważ nam nie chodzi o ideologiczne brednie, więc przejdźmy do rzeczy.

Olimpiady zawsze były polityczne. Wszystko inne jest zwyczajną hipokryzją, ale pod względem zakłamania Karta Olimpijska bije nawet dokumenty ONZ. Sport, mawiał Orwell, jest wojną prowadzoną bez karabinów. Clausewitz powiedziałby, że jest polityką prowadzoną innymi środkami. Nawet teorie o niepolitycznym charakterze igrzysk antycznych należy włożyć między bajki. Prześliczna legenda głosi, że olimpiady antyczne zapewniały trzymiesięczny rozejm i że tylko raz w czasie 1.000 lat zasada rozejmu została pogwałcona. W istocie, także za dawnych dobrych lat, Grecy lali się i oszukiwali nie tylko mimo, ale z powodu Olimpiad. Kiedy w końcu cesarz Teodozjusz zlikwidował igrzyska w 394 roku, to powody były dwa: pieniądze (atleci niezadowoleni byli z ograniczonej wartości handlowej lauru olimpijskiego), ale przede wszystkim polityka. Chodziło o zniszczenie przeżytków pogaństwa.

A jak było w czasach nowożytnych, kiedy angielski snob i francuski baron de Coubertin postanowił ożywić szlachetną ideę igrzysk? Igrzyska mają dopiero 80 lat, ale już dwie wojny światowe wymazały trzy (1916, 1940, 1944) olimpiady z kalendarza, a żadna z olimpiad nie odbyła się w warunkach pokoju: zawsze gdzieś toczyła się jedna albo więcej wojen. Żadna nie była wolna od presji politycznych, w niektórych przypadkach od skandali politycznych. Już na pierwszej, Ateny 1896, Francuzi nie chcieli Niemca, z zemsty za Sedan; w 1908 — Rosjanie, ci carscy, protestowali, bo w Londynie pojawiła się flaga fińska; w 1912



protestowali Anglicy, Rosjanie i Austriacy, bo w Sztokholmie pokazały się sztandary nieistniejących państw: Kanady, Australii, Czech, Węgier i Finlandii; w 1920 roku Irlandczycy nie chcieli Anglików (już do nich strzelali).

Ale to był folklor. Prawdziwa polityka zaczęła się w 1936 roku kiedy Hitler zapalił znicz na swoim sportowym „partei-tagu” nie od płomienia Olimpij, a od ognia krematoriów. „Duch olimpijski” wydawał już wtedy swe ostatnie tchnienia, ale zgasł, w odróżnieniu od płomienia, dopiero w 1972 roku w Monachium od poddmuchu strzałów palestyńskich terrorystów.

To co było przedtem i potem zasługuje na odnotowanie, ale nie ma nic wspólnego z żadnym szlachetnym współzawodnictwem atletów, a należy wyłącznie do polityki. Cynizm polityków władających sportem, spotęgowany oddziaływaniem telewizji na miliardy widzów, sprawił, że atleci stali się, najczęściej wbrew ich woli, instrumentem przekazu ideologicznego lub zakłamania politycznego. W Meksyku (gdzie w przeddzień otwarcia Igrzysk 1968 roku zamordowano 40 studentów „zakłócających” olimpijski rozjem), dwóch amerykańskich sprinterów wzniosło w górę pięści na podium w czasie grania hymnu USA na znak „czarnej władzy”. Montreal został zbojkotowany przez kraje afrykańskie, którym nie spodobało się *tournée* nowozelandzkich rugbystów (sport nieolimpijski) w Afryce Południowej. Masakra Węgrów w 1956 roku nie przeszkodziła w igrzyskach w Melbourne, inwazja Czechosłowacji w 1968 nie odbiła się na zawodach w Meksyku. Zatópek, król samotnych długodystansowców zapłakał wtedy: „Nie wpuszczymy tych skurwysynów na stadion w Meksyku”. Wpuścili. Był spokój. On już też spokojny. Dziś broni bojkotu sowieckiego.

Zbojkotowane olimpiady 1980 i 1984 r. wniosły nowe elementy do dyskusji nie o roli polityki w sporcie, a o roli sportu w polityce. Nie ma między tymi bojkotami, wbrew wielu moim szanownym kolegom z wolnej prasy demokratycznej, żadnego porównania. Grenada to, wbrew ich chorej wyobraźni, nie Afganistan. Jeżeli uważają inaczej, to niech pojedą do obu tych krajów i spytają mieszkańców. Natomiast stalinowski *show* w Moskwie w 1980 roku, kiedy miasto zostało okupowane przez policję i KGB, po wysiedleniu dysydentów, prostytutek, Żydów chcących emigrować no i młodzieży szkolnej, wysłanej na przymusowe wakacje z jednej strony, a z drugiej „obawa” przed wymordowaniem sowieckich sportowców w Los Angeles, wnoszą rzeczywiście nowe elementy koszmaru i śmieszności do historii moralnego upadku idei olimpijskiej.

### e) *Ani draśnięcia*

No i właśnie trzeci argument: strach przed wystrzelaniem sowieckich atletów. Powiedziałem już, że argument ten wysuwany jest przy każdej okazji, bo prawdy o dezercji (o której będzie jeszcze mowa) Rosjanie nie chcą ujawnić. W czasie wspomnianej już przedtem debaty telewizyjnej kolega redaktor Ignatow też go naturalnie wielokrotnie powtarzał. Nie potrafił tylko, mimo moich nachalnych nalegań, przytoczyć choćby jednego przypadku już nie zamordowania, ale choćby rabunku, napadu, draśnięcia, zaczepki, mrugnięcia okiem, obelgi nie czynnej, a słownej sowieckiego sportowca w USA. Z mojej strony byłem gotów przytoczyć długą listę przypadków, kiedy sowieccy sportowcy, a nawet dyplomaci, znaleźli się, delikatnie mówiąc, w pewnej kolizji z prawem, np. w sklepach gnijącego kapitalizmu, które to incydenty były właśnie zawsze tuszowane przez policje zachodnie, m.in. w Los Angeles.

Los Angeles jest miastem o wysokiej „normalnej” przestępczości. Nie o takie niebezpieczeństwo Sowietom jednak chodzi. Wiedzą oni, że Komitet Organizacyjny zmobilizował 17.000 policjantów dla opieki nad 15.000 sportowców i oficjeli, że podjęto nadzwyczajne środki badania poczty, przejść, tożsamości, że są w L.A. specjalne oddziały komandosów do walki z terroryzmem, że FBI wysłało specjalistów do przeciwdziałania braniu zakładników, że specjalny robot „Feliks” — cud elektroniki — ma wykrywać bomby etc. Mówiąc w skrócie, Rosjanie wiedzieli, że nic „normalnego” z dziedziny przestępczości im akurat w L.A. nie grozi. I to do tego stopnia, że odrzucili wielokrotnie ponawiane zaproszenia dla specjalistów z KGB do przybycia do L.A. dla konsultacji z FBI, które właśnie tak postępowało z innymi „zainteresowanymi”, np. z policją izraelską. P. Gramow, minister sportu, a zarazem przewodniczący KO ZSSR był w L.A. w grudniu 1983 i nic groźnego nie zauważył. Co się tak nagle zmieniło?

W Monachium się nie bali, a w L.A. się boją? Tak się złożyło, że czeski dyskobol Imrich Bugar był na zawodach przedolimpijskich w L.A. w dniu kiedy Praga, w ślad za Moskwą, zdecydowała, że ze względu na jego, Bugara, bezpieczeństwo, nie będzie on mógł uczestniczyć w olimpiadzie. Facet się zdziwił i zmartwiony wyszeptał: „Zostaliśmy bardzo dobrze przyjęci. Nie wyczuliśmy żadnego niebezpieczeństwa”.

Cała argumentacja sowiecka to oczywiście bzdura, nie o gangsterów im chodzi. Zresztą sami Rosjanie to potwierdzili,

decydując się na wysłanie do L.A. licznej ekipy sędziów, oficjeli rozmaitych federacji sportowych itp. szpiegów. Albo ich życie jest mniej ważne, albo strach o życie to zwyczajna lipa.

### *Zemstę się jada na zimno*

O co więc właściwie Moskwie chodzi? O politykę naturalnie. Jest kilka kategorii. Postaram się wymienić te, które wydają mi się najważniejsze, choć jest ich na pewno więcej.

Po pierwsze więc chodzi o zwyczajną zemstę. Jest to jedno z niewielu ludzkich uczuć, jakie starcy z Kremla są jeszcze w stanie przejawiać. Zemsta to danie, które się jada na zimno, powiada francuskie przysłowie. Rosjanie czekali cztery lata, aż to danie ochłodnie. I zaserwowali je w odpowiednim momencie, tak aby nikt nie wątpił, czego naprawdę chcą. Ogłosili swą decyzję „nieuczestniczenia” nie *przed*, a *po* tym jak wszystkie ich żądania logistyczne zostały już przez Amerykanów spełnione: Aeroflot uzyskał prawo lądowania w L.A., statek pasażersko-szpiegowski „Gruzja” uzyskał prawo zakotwiczenia w Long Beach, itd., itp. Zakomunikowali zaś tę „jednomyślną” decyzję nie w jakiś kulturalny sposób, uprzedzając dyskretnie partnerów, a przez znanego dziennikarza na etacie KGB, Wiktora Louisa w depeszy wysłanej do popołudniówki londyńskiej.

Świetnie Rosjan rozumiem. Zemsta to właśnie to, co im jeszcze zostało w stosunku do USA, które zgodnie z aktualnym ciągle programem kompartii mieli w roku 1980 „dogonić i przegonić”. Dla Moskwy pierwsza w kraju komunistycznym olimpiada w 1980 roku była — obok SS-20 — szczytem i symbolem ich superpotęgi. I ten symbol Amerykanie im popsuli, bojkotując olimpiadę z powodu drugorzędnego epizodu w Afganistanie. Tego Kreml nie zapomniał. I odegrał się w 1984 roku. W 1980 roku Moskwa nazwała bojkot amerykański „skandalicznym szantażem imperialistycznym”. W 1984 roku swojego bojkotu w ogóle nie nazywa. Wykreśliła to słowo z propagandy. Brak pretekstu typu „afgańskiego” (o Grenadzie Moskwa nawet nie wspomina), nie tylko nie utrudnia, ale ułatwia zadanie. Świat wie o co chodzi. A na użytek wewnętrzny idiotyzm o groźbie zamachów na życie wystarczy. I tak nikt nie zakwestionuje.

Po drugie, chodziło o coś więcej niż zwyczajną ludzką zemstę. Kreml nie chce uczestniczyć w sukcesie kapitalistycznej przedsiębiorczości, dodawać blasku wolnej inicjatywie, potwierdzając skuteczność kalifornijskiej wyobraźni. Kreml wie, że od Trumana minęło sporo czasu i że „wariaci”, którzy zasiadają w Komitecie

Organizacyjnym I.O. to ci, dzięki którym Kalifornia ma produkt brutto wartości 180 miliardów rocznie, jest na 12 miejscu światowej listy państw, a nie stanów, a na pewno jeszcze wyżej, jeżeli nie najwyżej, jeżeli chodzi o postęp techniczny i technologiczny. Takim „wariatom” uda się nawet Olimpiada bez deficytu, a w tym ZSSR, kraj w którym nic się nie odbywa bez strat, nie może uczestniczyć.

Niektórzy moi koledzy uważają, że Kremłowi chodzi o popsuć Reaganowi szansę w wyborach prezydenckich. To naiwność. Postępowanie Rosjan, i oni o tym w Moskwie wiedzą, może tylko zwiększyć szanse Reagana, który i tak wygra albo przegra z zupełnie innych przyczyn. Z punktu widzenia USA Olimpiada już na pewno będzie sukcesem. Z Rosjanami czy bez, Reagan będzie pierwszym prezydentem USA, który dokona osobiście otwarcia Igrzysk. Tak się dziwnie bowiem składa, że ani jedno z pięciu poprzednich letnich i zimowych Igrzysk w USA nie zostało otwarte przez urzędującego szefa państwa.

Peter Ueberroth, prawdziwy *boss* Komitetu Organizacyjnego, zwany pieszczotliwie „Peter Ueber-alles”, człowiek-symbol *self made man*’a, który w kilka lat przekształcił małe biuro podróży w drugą potęgę turystyczną USA, po czym świetnie ją sprzedał aby mieć wolne ręce do podjęcia olimpijskiego wyzwania, powiedział: „W 1908 roku baron de Coubertin stwierdził, iż Igrzyska powinny być bardziej sportowe, bardziej godne, dyskretne, a przede wszystkim tańsze... 76 lat później Kalifornia zrealizuje to marzenie de Coubertina. Świat olimpijski i świat w ogóle może na tym tylko skorzystać”.

Esteci i purycyści z Moskwy rozpaczają już od dawna. „To jest kapitalistyczna mentalność. Urok i duch olimpijski są narażone na szwank”, wykrzyknęła nieoceniona agencja „Nowosti”. Odpowiedział na to Joe Rubinsztejn, ekspert nie od uroku i ducha, a od *marketing*’u w Komitecie Organizacyjnym: „Dobra, uczciwa mieszanka sportu i *business*’u, taka jest właśnie przyszłość Igrzysk olimpijskich”. Prawdziwi marksiści nie mogą oczywiście współpracować w przeprowadzeniu dowodu, że to Rubinsztejn, a nie „Nowosti” ma rację. Marksistów więc w L.A. zabraknie.

Po trzecie chodzi o szok rzeczywistości. Propaganda a zwłaszcza radio i telewizja sowieckie ślą w eter przez 24 godziny na dobę całkiem czarny obraz sytuacji w USA. Jest to zjawisko psychologicznie znane: pomieszanie nienawiści z fascynacją. Los Angeles to symbol całej kapitalistycznej rozpusty: jeansy i Hollywood, *Rodeo Drive* i 50 stacji telewizyjnych, *show* i najwyższa technologia, Disneyland i James Bond. No i obok czarnej nędzy, ale to Rosjan nie interesuje, największy przepych świata. Nawet

dla złotej młodzieży sowieckiej, a atleci olimpijscy do niej należą, obraz daczy z Beverly Hills i Sunset Boulevard byłby szokujący, nie mówiąc już o obrazie przesłanym przez satelitę telewizyjnego. Cenzura może wypaczyć wszystko, ale nie zawsze, albo zawsze, ale nie wszystko.

### Organizacja „won”

Nie należę do tych, którzy uważają, że Rosjanie nastraszyli się perspektywy masowych ucieczek sportowców w L.A. Ci, którzy jeżdżą na takie imprezy są szczepieni na paszport i mają bez przerwy okazje do wiania, łatwiejsze niż w L.A. Inne zjawisko zaniepokoiło Sowietów, także przede wszystkim w perspektywie przekazania obrazu do kołchozów i fabryk w ZSSR.

Los Angeles to pierwsze naprawdę wielorasowe wielkie skupisko miejskie w USA. To prawdziwa mozaika ras i kolorów, przykrywająca nędzę i zacierająca różnice. Nie mówiąc o Murzynach, to oddzielny i wielki problem, w aglomeracji L.A. mieszkają dwa miliony emigrantów z Ameryki Łacińskiej, a w tym setki tysięcy Kubańczyków anty-castrowców, 200.000 Irańczyków wrogów Chomeiniego, 2 miliony Chińczyków, niekoniecznie zwolenników Mao, tysiące Koreańczyków, którzy nie zapomnieli morderstwa nad Sachalinem, 130.000 Arabów nie kochających Izraela i 100.000 Izraelczyków (nie mówię o kalifornijskich Żydach, którzy, jak pewien zapewne antysemita powiedział, są przeważnie w Komitecie Organizacyjnym I.O.), którzy nie uwielbiają Arafata.

Kremłowi chodzi naturalnie o innych emigrantów: z krajów bałtyckich, Ukrainy, Białorusi, z Polski i innych krajów-sierot po Jałcie. Powstały różne komitety „przyjęcia”: jeden nosi nazwę „Wolność 84”, inny, zupełnie szczerze, nazwał się po prostu „Rosjanie, won z Igrzysk”, itd., itp.

Żadne prawo w USA nie zabrania, jak wiadomo, manifestowania publicznie, bez gwałtu, swoich uczuć nie tylko wobec Czernienki, ale także Reagana, ale Rosjanie w tym miejscu wpadli chyba w panikę. Wszystkie te komitety, czego nie ukrywają, postawiły sobie za zadanie m.in. udzielić pomocy tym ze Wschodu, którzy by chcieli wybrać wolność w Kalifornii, przede wszystkim jednak były zdecydowane pokazać wizualnie i wokalnie Moskwie, co o niej myślą w „kontekście” praw człowieka czy Boeinga koreańskiego, Jałty i Jaruzelskiego, okupacji Litwy i Węgier. „W Moskwie w 1980 roku, powiadają ci z 'Rosja won', nikt nie wybrał wolności. *A priori*, w Los Angeles też nie jest to

nieuniknione. Ale postaramy się, aby ten kto zechce miał zagwarantowane bezpieczeństwo osobiste i nie został porwany przez KGB ani wydany przez FBI”.

Innymi słowy, mówiąc po marksistowsku-leninowsku, wszystkie te komitety wydały Moskwie zwyczajną wojnę ideologiczną. Wojna ta toczyłaby się i w terenie, oko w oko, i w eterze radiowo-telewizyjnym, tym groźniejszym, iż tutaj w Kalifornii Moskwie nie udało się wyeliminować, jak to się stało dzięki zachodniej głupocie w Sarajewie, ani Wolnej Europy ani Radia Swoboda. Z tego frontu super-potęga sowiecka wolała zdezerterować. Uciekła nie spod ostrzału sniperów, a sprzed kamery telewizyjnej. Jest to typowa mentalność KGB-owska. Jak nie można przeciwnika z tyłu ustrzelić, to należy go unikać.

To nie żadna premiera, wystarczy przypomnieć dezercję ZSSR z Międzynarodowej Federacji Psychiatrów, kiedy zbliżał się jej kongres, na którym zamierzano zadać Moskwie kilka pytań co do losu pacjentów leczonych na chorobę zwaną opozycją polityczną. Kowboje w westernach, tutaj właśnie w Kalifornii — i w Hollywood, mieli ponad 100 lat temu odwrotne zasady.

### *Kremłowi byłoby za ciepło*

No i po czwarte, jak to już zauważył Michał Heller w jakimś dzienniku paryskim, jest to sygnał Moskwy, która w taki sposób właśnie rozmawia z Zachodem. ZSSR nie mógł jechać do L.A., nie mógł brać udziału w przeświety amerykańskim widowisku ot tak, jak gdyby nigdy nic, w okresie, w którym taktyka sowiecka polega na zaciskaniu śruby, podnoszeniu napięcia, zaostrażaniu sytuacji. „Imperium zła” kontratakuję. Bojkot I.O. wpisany jest w aktualną strategię ZSSR, figuruje obok prześladowania dziennikarzy zachodnich w Moskwie, zastopowania emigracji żydowskiej, blokowania wszystkich absolutnie kanałów dialogu sowiecko-amerykańskiego, impasu w Genewie, w Sztokholmie, w Wiedniu a nawet w Atenach, gdzie kolejna „po-madrycka” konferencja zakończyła się kolejnym fiaskiem. Tym razem dotyczyła ona, żeby było śmieszniej (bo smutniej już być nie może), dyskusji nad sposobami pokojowego rozwiązywania... konfliktów międzynarodowych.

Przede wszystkim jednak bojkot I.O. jest w tym samym stopniu anty-amerykańskim odruchem co przerażające znęcanie się nad obojgiem Sacharowów. Ta epopeja uczonego i jego żony, winnych wyrzeczenia się nomenklatury, przejście do historii upadku i hańby sowieckiego imperium, na razie jednak służy

mu do szantażowania USA, a także np. Mitterranda, który uwikłał się nieostrożnie w beznadziejne próby godzenia w stosunkach z Rosją moralności i praw człowieka z polityką zagraniczną.

Zimny wiatr wieje ze wschodu, w Kalifornii byłoby Sowietom z Kremla za ciepło. Ich zawody to kto-kogo, ale w polityce. W imię tej konkurencji sparaliżowani starcy z Kremla, siejąc wizję osaczonej fortecy, uniemożliwili młodzieży z połowy świata uczestniczenie w największej imprezie sportowej ich, młodzieży, życia. Czernienko nie mógł samodzielnie zrobić paru kroków, aby powitać króla hiszpańskiego. Niech inni też nie mogą zdecydować. No i powiedział *niet*. To potrafił bez żadnej pomocy.

Czy ta gra olimpijska (i nie) warta jest świeczki? Trudno odpowiedzieć tak wprost. Można natomiast snuć wnioski rykoszetem. Można np. zbilansować koszty polityczne (finanse nie grają roli) jakie ZSSR ponosi w tej operacji. Cena za bojkot wydaje się istotnie ogromna. Oto niektóre tylko elementy tego rachunku strat.

### *Za jaką cenę?*

Po pierwsze ZSSR poniósł niepowetowane straty w dziedzinie propagandy. Obok rakiet atomowych i zatrutego deszczu, sport to jedyna dziedzina, gdzie obóz komunistyczny ze Związkiem Sowieckim na czele odnosi autentyczne sukcesy międzynarodowe. Sport, tak jak np. szachy, to dowód wprost na jakość systemu, to legitymacja statusu super-potęgi. Sukcesy odniesione w paszczy lwa, to znaczy w Kalifornii, w stanie Reagana, liczyłyby się propagandowo podwójnie. Niektórzy nawet sądzą, że Rosjanie nie byli w formie i bali się konfrontacji w L.A. Przypuszczam, że wątpię. Wyniki przez nich osiągnane wiosną tego roku wcale nie świadczą o spadku formy sportowców. To forma polityków szwankuje. Po to aby uniknąć starcia z rzeczywistością USA w terenie i w telewizji, Rosjanie zrezygnowali więc z kolosalnego przyływu szowinistycznej hecy, zwanej po rosyjsku patriotyzmem, związanej z sukcesami bokserów czy dźwigaczy ciężarów z napisem ZSSR na plecach.

Największą jednak cenę, długofalową, płacą i będą płacić Rosjanie w sferze stosunków wewnątrz obozu. To długi temat, dziś można tylko zasygnalizować zjawisko.

Bojkot Igrzysk w L.A. to prawdziwa Jałta olimpijska. Bardziej niż jakikolwiek inny epizod w powojennej historii, bojkot

ten uzewnętrznia i uosabia trujący spadek i niszczące działanie ducha Jałty. Wszystkie kraje obozu wschodniego wiedzą, że zostały przez Moskwę zmuszone do bojkotu nie w imię ich własnych interesów, a w imię pustej pychy ZSSR. Nawet bowiem jeżeli uznać, że absurdalne argumenty o zagrożeniu życia atletów sowieckich mają jakieś uzasadnienie, to nie dotyczą one przecież w żadnym przypadku Polaków czy Węgrów, którym nic nie grozi w L.A.

W niektórych przypadkach, np. NRD, jest to prawdziwa, bez przesady, katastrofa narodowa. Sukcesy sportowe tej fabryki zimnego wychowu mistrzów jakim jest NRD były jedynym faktycznie źródłem jej międzynarodowego uznania. Medale, a były one naprawdę *kolossal*, jako że jeden medal przypada na 200.000 obywateli NRD, podczas gdy trzeba na to 2 milionów obywateli sowieckich lub amerykańskich. Sukcesy I.O. 1984 roku miały stanowić główny punkt narodowej dumy w czasie uroczystości 35-lecia wrzucenia tej części Niemiec w sowiecki gorset i proklamowania tam dziwnego tworu nie będącego, wbrew nazwie, ani republiką ani demokratyczną, a tylko częściowo niemiecką. Medale, to jest jedyny moment, kiedy flaga tego tworu i jego hymn grane były „legalnie” na terenie międzynarodowym.

Podobne rozumowanie dotyczy Kuby „*primo territorio libre de America*” w skali Ameryki Łacińskiej. Ale nawet innym krajom, mniejszym potęgom sportowym, bojkot uniemożliwił udział w jedynych zawodach w ZSSR, gdzie na starcie wszyscy mają identyczne szanse i równe prawa. To veto, szantaż i przymus sowiecki sprowadziły kraje Europy wschodniej, niegdyś dumne i potężne, o historii często dłuższej niż Rosja, nie mówiąc już o Związku Sowieckim, do upokarzającej roli także sportowego satelity. Jest to policzek, którego tak szybko „sojusznicy” ZSSR nie zapomną.

Zasięg nienawiści i wstydu jest zresztą znacznie szerszy. Prawdopodobnie dotknie również samej nomenklatury sowieckiej. Sportowcy stanowią coś w rodzaju uprzywilejowanej kasty: 55.000 trenerów, 150.000 nauczycieli wychowania fizycznego, uniwersytety sportowe, cała ta nadbudowa świata zawodowego przecież sportu, ma poczucie ogromnej frustracji: podagrowani aparatczycy odebrali im nie tylko zabawę, ale przede wszystkim szansę przeprowadzenia dowodu ich użyteczności i niezbędności. O sportowcach nie warto mówić: cztery lata wysiłku na nic. Można zmuszać wybitnych nieraz atletów do „spontanicznego” deklaratywnego poparcia dla decyzji Kremla, ale to tylko zwiększa gorycz, dodaje wstyd do nienawiści.

Publiczności w Europie wschodniej odebrano nie tylko piękny



show telewizyjny, ale przede wszystkim jedyną legalną możliwość wyrażania swych uczuć patriotycznych, to znaczy antysowieckich czy antykomunistycznych. Mecz water-polo Węgry-ZSSR w Melbourne w 1956 roku był odbiciem masakry budapeszteńskiej, „łokieć” Kozakiewicza w Moskwie przeszedł do legendy oporu wobec sowietyzmu, inwazja sierpnia 1968 roku nie napotkała oporu, ale mecz finałowy hokeja Czechosłowacja-ZSSR w Pradze w marcu 1969 wywołał rozruchy, mecz Wybrzeża z Juwentusem dał okazję do jedynej legalnej i nierepresjonowanej publicznej manifestacji 100.000 ludzi na cześć Wałęsy i „Solidarności” po zamachu generalskim.

Sowieckie *niet* odbiera całej wschodniej Europie jedyne faktycznie antidotum na obowiązkową „przyjaźń” z Sowietami. Odbiera jej równocześnie jedyne w swoim rodzaju telewizyjne otwarcie na świat, tak rzadką, a tak potrzebną iluzję przynależności mimo wszystko do światowej wspólnoty ludzi wolnych. Tego Moskwie nikt na wschód od Łaby nie zapomni. W globalnym rachunku jaki po zgnieciu Jałty pewnego dnia ludy cesarstwa wystawią Moskwie, koszty olimpijskiego wstydu figurować będą bardzo wysoko.

### *Cień Kusego*

O Polsce w *Kulturze* piszę bardzo rzadko. Tym razem jednak trzeba. W kilku zwężonych punktach, resztę dopiszą ludzie znad Wisły.

Po pierwsze, epizod sportowy, w istocie drugorzędny, wskazuje na kolosalne koszty jakie Polska musi płacić na rzecz „przyjaźni i sojuszu z ZSSR” w dziedzinach tak zasadniczych jak gospodarka, polityka zagraniczna, nauka, oświata itd.

Po drugie, suwerenność polska wynosi dokładnie 10 dni. Tyle trwało „kino” między decyzją sowiecką a polskim suwerennym przyłączeniem się. Nawet w sporcie ta władza nie potrafi utrzymać choćby pozorów godności własnej i narodowej.

Po trzecie, generał jest nagi. Główna teza puczystów na użytek Zachodu sprowadza się do twierdzenia, iż zamach grudniowy uratował Polskę od inwazji sowieckiej. Olimpijska kapitulacja potwierdza tezę odwrotną, w Polsce naturalnie znaną: zamach był przedsięwzięciem sowieckim wykonanym polskimi rękoma, sprowadził Polskę i to bez inwazji jak na Węgrzech czy Czechosłowacji, bez udziału bezpośredniego armii czerwonej, do roli i statusu Mongolii. Przypadek, który jest kochankiem

prawidłowości, sprawił, że historia wystawiła obecnej władzy w Polsce najbardziej okrutne świadectwo hańby jakie można było sobie w ogóle wyobrazić: Jaruzelski uwięził polskich sportowców, aby uniemożliwić im start nie byle gdzie, ale akurat na tej samej bieżni, na której 52 lata temu złote medali zdobywali niejaka Walasiewiczówna i niejaki Kusociński.

Po czwarte, oznacza to nadużycie zaufania i naderwanie więzów z Polonią na Zachodzie. To bardzo delikatna sprawa, jako że polska diaspora nie tylko wypełniała sporo miejsc na trybunach, ale i w dużym stopniu finansowała udział PRL w olimpiadach. Chodzi więc także o zwyczajną kradzież, sprzeniewierzenie pieniędzy.

Ten właśnie drugi punkt najlepiej uwidocznia absolutny bezsens argumentacji sowieckiej w odniesieniu do Polski. W USA żyje około 6 milionów ludzi powołujących się na pochodzenie polskie, wielu z nich mieszka w Kalifornii. Bardziej serdecznie niż w USA polscy sportowcy nie są przyjmowani nigdzie na świecie, nawet nie w ZSSR.

Ostatni epizod, wyjątkowo dla Polski zawstydzający, napisany został przez bałkańskiego stalinka Nicolae Ceausescu. Na tle decyzji Rumunii udania się do L.A. wbrew presji sowieckiej, pozycja Jaruzelskiego nabiera wyjątkowej barwy. Nie warto tego rozwijać. 10 dni w 1917 roku może i wstrząsnęły światem; 10 dni między decyzją Moskwy i Warszawy w 1984 roku nie potrafiły wstrząsnąć Polakami. Pozostały śmiech pusty i trwoga.

*Czy warto?*

Czy można uratować ideę olimpijską tak jak ją sobie wyobrażał de Coubertin? Prawdopodobnie nie. Czy warto ją ratować? Też chyba nie. Trzeba by właściwie sformułować nową kartę olimpijską, a do jej redakcji zaprosić nie oderwanych od życia arystokratów lub skorumpowanych urzędników partyjnych (w MKOL zasiada obecnie, m.in. 1 arcyksiążę, 4 książąt, 8 rozmaitych lordów i parów, 1 radża, 1 pasza, 1 amerykański milioner, kilkunastu członków rozmaitych KC, kilkunastu kuzynów rozmaitych małych satrapków afrykańskich itd.), a zaprosić rozmaitych Ueberrothów i Rubinsztejnów, Lendlów i Fibaków, Bońka z Juwentusa, Coe czy Ovetta biegających już za pieniądze, podobnie jak kilku maratończyków, tych od najwspanialszej greckiej konkurencji, aby powiedzieli faryzeuszom z MKOL, ile kosztuje trening, ilu wyrzeczeń wymaga utrzymanie formy, jak trudno jest pogodzić np. wyczyn ze studiami czy zawodem.

To ich zadaniem byłoby wyeliminowanie z karty i z praktyki olimpijskiej finansowej hipokryzji i przekupstwa, czyli uczciwa i otwarta profesjonalizacja sportu i sportowców oraz jego głęboka denacjonalizacja i odpaństwowienie, to znaczy wyeliminowanie sztandarów narodowych i hymnów, likwidacja na tyle, na ile natura ludzka na to pozwoliłaby, zatrutego smogu militarystyki, nacjonalizmu i szowinizmu, inwazji Olimpiady przez Spartakiady. Bokser o pokrwawionej twarzy niech szlocha, jeżeli nie może się powstrzymać, po zwycięstwie, ale nie przy akompaniamencie hymnu i nie w imię honoru jego narodu i sławy jego ojczyzny.

Oczywiście, wszystkich ujemnych elementów nie da się ze sportu wyeliminować. Sport jest częścią życia i jak ono jest narażony na choroby, ułomności i uwiąd. Otwórzmy więc oczy. I portfele. Ani pieniądź ani historia już się nie zatrzymują u bram olimpijskiej wioski. Stadionów nie strzeże już żaden święty duch olimpijski, a zwyczajna policja, KGB i FBI. Sportowcy nie mogą zadowalać się już tylko laurem, a muszą mieć środki do życia.

Znic olimpijski jeszcze płonie, ale już nie grzeje. Pytanie więc czy warto tak bardzo się wysilać aby go co cztery lata zapalać?

Pisane w Brukseli, 1 czerwca 1984.  
*Kultura* nr 7/442-8/443, 1984.

P.S.  
OSTATNI MEDAL

Ostatni medal olimpijskich igrzysk w Los Angeles uroczystie wręczono na Kremlu p. Konstantemu Czernienko, generalnemu sekretarzowi KC KPZS, za najbardziej nieudany bojkot w historii bojkotów w ogóle oraz za przejście 100 m w czasie lepszym od zwycięzcy w biegu na 3.000 m z przeszkodami, w Los Angeles w szczególności. Decyzja zbojkotowania Olimpiady w Los Angeles stanowi największą porażkę ZSSR w czasie pokoju. A oto dlaczego.

1) Nikt w USA nie zauważył nieobecności delegacji z ZSSR i 16 innych krajów podległych. Choć naturalnie brak sportowców z krajów komunistycznych odbił się na poziomie niektórych konkurencji sportowych, nie popsuło to kolosalnej zabawy, fantastycznego widowiska i sportowej istoty igrzysk. Według

niektórych, nieobecność sztywniackich politruków oraz kilku plutonów KGB pomogła nawet w rozwianiu mgły hipokryzji i ogłupiającej propagandy. Rewanż się więc nie udał: w Moskwie w 1980 roku brakowało 57 krajów i było ponuro. W Los Angeles zabawa była na... złoty medal, a brakowało tylko 17 państw, z których ogromna większość nie przyjechała jedynie dlatego, że zmuszona była ulec zwycięzajnemu szantażowi.

Rzeczywistość udowodniła absurd sowieckiej argumentacji bojkotu. Jedynym aktem gwałtu w czasie igrzysk był napad czarnego, uzbrojonego w nóż opryszka na czarnego trenera koszykarzy amerykańskich, rozdęty w Moskwie do rozmiarów politycznego terroryzmu, podobnie jak akt zwariowanego szofera, który wjechał rozmyślnie na chodnik. Ani włos nie spadł z głów sędziów, oficjeli, „naukowców”, członków rozmaitych komitetów olimpijskich pochodzenia komunistycznego, którzy licznie obsadzili wszystkie osiągalne pozycje w Los Angeles. Nie mówiąc już nawet o czerwonych sportowcach (Rumunia, Chiny, Jugosławia), których przecież w Los Angeles nie brakowało.

2) Nieobecność sportowców zza kurtyny — przede wszystkim sowieckich i NRD-owskich — pozwoliła Amerykanom na odniesienie absolutnego triumfu i to u nich w domu, tzn. przed własną publicznością. Mniejsza o wyniki cyfrowe i statystyki. Kremłowi udało się przede wszystkim uzyskać coś, o co się Reagan bezskutecznie od dawna starał — wzniecić nową falę patriotyzmu i nawet nacjonalizmu amerykańskiego. A przy tym, wbrew propagandzie sowieckiej (będzie jeszcze o tym mowa), nie był to szowinizm.

Po pierwsze, Olimpiada — zwłaszcza lekkoatletyka, królowa sportu — była świętem Czarnych, zadała, w bardzo powierzchowny i naturalnie myślący sposób, ale jednak kłam hasłem czarnego getta i czarnego oporu. Żaden Lewis nie powtórzył gestu Smitha z Meksyku, który w czasie grania hymnu amerykańskiego wznosił z olimpijskiego podium w niebo czarną pięść. W Los Angeles było wprost przeciwnie. Szczęśliwy Lewis, a po nim wszyscy inni czarni triumfatorzy, trzymali w czasie hymnu pięść na sercu, a potem robili honorową rundę naokoło boiska. Jeżeli więc bojkot sowiecki miał m.in. utrudnić sukces Reagana w wyborach, to Czernience można pogratulować: odniósł skutek wprost przeciwny.

Po drugie, hurra-patriotyzm amerykański pozbawiony był elementów szowinizmu, polegającego w sporcie na wulgarnej wrogości wobec przeciwników z innych narodów. Nie wiem co

by było, gdyby przeciwnicy pochodzili z ZSSR — ale w Los Angeles nie było ani jednego wypadku tak skandalicznego zachowania publiczności, jak w Moskwie w 1980 roku wobec Kozakiewicza. Odwrotnie, triumf Amerykanów był tak kompletny, że pozwolił im na — tak rzadką w sporcie — wielkoduszność i oklaskiwanie zwycięzców nie z USA. Bojkot sowiecki sprawił też, że prawdziwa owacja powitała komunistyczne delegacje tylko za to, że nie poddały się szantażowi ZSSR, a przede wszystkim Rumunię (Jugosławia i Chiny już nas do tego przyzwyczyły).

3) Dyktat kremłowski podniósł jeszcze — jeżeli było to możliwe — antysowietyzm w krajach związanych Jałtą. Tym bardziej, że do frustracji sportowej, prestiżowej i narodowej (była o niej mowa w „Apocalimpics now”) doszło upokorzenie. Wynika ono, po pierwsze, ze świadomości tego, iż Polska, NRD, Węgry czy Czechosłowacja nie zdobyły się na to, na co odważył się bałkanoidalny stalinek Ceausescu. Jak — jeżeli nie najbardziej zimnym antysowietyzmem — mogli zareagować Niemcy czy Polacy na defiladę w Bukareszcie, w której maszerowało 238 sportowców rumuńskich z 53 medalistami na czele. „Druga potęga sportowa po USA”, spokojnie napisała prasa rumuńska, nie wspominając ani słowem o bojkocie sowieckim, nieobecności Polaków czy Niemców, których obecność sprowadziłaby sukcesy rumuńskie do normalniejszych proporcji.

Wynika więc to upokorzenie ze sposobu, w jaki władze potraktowały w ogóle swe „własne” społeczeństwa. Ale chodzi także o szczegóły. Tylko Węgrzy potrafili jakoś się zachować mimo sowieckiego *black-out*'u. Telewizja budapeszteńska nadawała regularnie krótkie sprawozdania z Los Angeles. Zimna wściekłość wzmogła popularność wrażeń rozgłośni. Czesi udawali się masowo na granicę austriacką i zachodnioniemiecką, bo tam łapie się telewizję wiedeńską i bawarską. Bułgarzy kręcili antenami w kierunku na Grecję, Jugosławię i Turcję, Niemcy z NRD nie mieli takich problemów: 3/4 terytorium za murem jest w zasięgu stacji telewizyjnej Berlina zachodniego. Estonia żyła transmisjami z Finlandii, co jej przyniosło z jednej strony wpływy w rublach z masy turystów rosyjskich, szukających nie tyle słońca, co obrazu z Kalifornii, oraz, z drugiej strony, uchwałę KC z Moskwy potępiającą odchylenie ideologiczne i nacjonalizm Estończyków. Polacy musieli zadowalać się ochłapami w TV i artykułami *Trybuny Ludu*. Agencja prasowa PAP napisała, że Igrzyska w Los Angeles były najuboższe od Londynu w roku 1948. Słusznie: tym bardziej trzeba było pokazać to ubóstwo i udowodnić, że bojkot był słuszny i udany.

4) Chiny wyszły z Los Angeles jako super-potęga sportowa, również tylko dzięki bojkotowi. Fakt, że Pekin startował obok Tajwanu też jest faktem interesującym, zwłaszcza dla Niemców z NRD. TV pekińska przewidziała 2 godziny transmisji dziennie. Nadawała — 9. Agencja Sinhua tylko raz zareagowała na propagandę sowiecką, kiedy TASS podważył wartość medali chińskich. „Trzeba było stawić się na starcie, a nie stękać w domu” — zauważył logicznie Pekin. Sowiecki rekordzista świata w tymże Bubka „spontanicznie” powiedział dla TASS-a: „Szkoda, że gwałt na olimpijskim duchu nie pozwolił mi na start w olimpiadzie”. Zwycęstwo Czernienki polega na tym, że Bubka już nigdy nie zdobędzie olimpijskiego medalu, natomiast medale chińskie leżą w gablotach w Pekinie. Rekordy świata znikają, a medale olimpijskie zostają w historii sportu i sportowców.

5) Kreml sprawił ponadto, że kultura komunistyczna była nieobecna w olimpijskim festiwalu sztuki. Była to fantastyczna impreza. Nie udało mi się sprawdzić, czy w końcu jakiś teatr z Polski dojechał do Los Angeles (jeżeli nie, to nowa hańba), ale sztuka sowiecka nie stawiała się na tym starcie (nawet Moisiejewa bali się przysłać). Sowiecka, a nie rosyjska. Sołżenicyn i Aksjonow byli niedaleko, nazwiska Nurejewa, Barysznikowa, Rostropowicza i Szostakowicza były z afiszów, a Lubimowa i Tarkowskiego z pierwszych stron gazet (bo właśnie jeden wybrał wolność, a drugi stracił obywatelstwo sowieckie).

6) Antidotum na sukces Los Angeles miało wynikać z dwóch operacji. Po pierwsze, urządzono w Moskwie i Pradze kontr-olimpiadę. Wszelkie porównywanie wyników sprowadza się do zwyczajnej fikcji statystycznej. Wiadomo przecież, że starcie wprost na bieżni ma inny zupełnie przebieg niż w buchalterii. Ale i świetne przecież — to nie niespodzianka — wyniki sportowców wschodnich nie mogły ukryć faktu, iż kontr-olimpiada sprowadziła się do zwyczajnej albo nadzwyczajnej spartakiady, święta różnych dynamów i spartaków, w które Moskwa chciałaby zakuć sport u wasali.

Na otwarcie przybyli wszyscy członkowie Biura Politycznego zdolni wejść o własnych siłach na trybunę honorową, były tańce, kozaki i hopaki, Bieriozki itp., grano hymn, naturalnie sowiecki, i była nawet sztafeta i pochodnia, która zapaliła znicz, płomieniem przyniesionym a jakże, z Grobu Nieznanego Żołnierza u stóp Kremla.

Całość, mimo wyników, zakrawała na parodię. Udział wzięło 40 krajów, w tym 14 bojkotujących Los Angeles. A skąd 26

pozostałych? Rekrutacja była czasem bardzo dziwna. Szwed Hagelbrandt, który nie dostał się do drużyny olimpijskiej, uzyskał w Moskwie trzecie miejsce w biegu na 3 km z przeszkodami. Bardzo się zdziwił, kiedy okazało się, że za wynik, który nie doprowadził go do Kalifornii, w Moskwie ma wejść na podium i odebrać brązowy medal. „Ale heca, powiedział zażenowany, ja przyjechałem się zabawić, a oni to wzięli na serio”.

Podobnie zdziwiony był informatyk bankowy z Manhattanu, Bill Gaston. Przyjechał do ZSSR jako turysta z zamiarem uczestniczenia w dorocznym maratonie moskiewskim, nie mającym nic wspólnego z „Igrzyskami Przyjaźni”. Został — jak opowiedział reporterowi *Wall Street Journal* — prawie zmuszony do wzięcia udziału w maratonie oficjalnym. „Nie było to zabawne, opowiada, biegliśmy 42 km w szpalerze żołnierzy. Przypominało to kondukt pogrzebowy albo wyparowaną Coca-Colę”. Na podobnej zasadzie obecny był w Moskwie także Liban. Znalazł się tam, nie wiadomo w jaki sposób, libański biegacz na 10 km. Przyszedł ostatni, w 14 minut po zwycięzcy, ale uzasadnił obecność sztandaru libańskiego na stadionie Lenina.

Najmocniejsze wrażenie na dziennikarzu amerykańskim sprawiła obecność słowa drukowanego w pokoju hotelu „Rossija”. Zamiast Biblii znalazł w szufladzie trzy egzemplarze pasjonującej prozy: „Pokój dla naszego i przyszłych pokoleń” pióra Jurija Andropowa, „Na niezmiennej drodze socjalizmu” Konstantina Czernienki i Konstytucję ZSSR w tłumaczeniu na angielski. Jedyną korzyść z pobytu amerykańskiego dziennikarza na „Igrzyskach Przyjaźni” odnieśli szoferzy taksówek moskiewskich. Odmawiali jazdy za ruble: z hotelu na stadion jeździli wyłącznie za paczki papierosów Marlboro.

Bezpieczeństwo wszystkich było natomiast zagwarantowane, albowiem, odmiennie niż w Los Angeles, KGB czuwało. Z nieproszonych gości udało się w te dni dotrzeć na terytorium ZSSR tylko jednemu sportowcowi. Francuski surfista de Rosnay przepłynął na desce z żaglem z wyspy Hokkaido na północy Japonii do Sachalinu. Ponieważ nie był w samolocie linii południowo-koreańskich, udało mu się ująć z życiem. Absolutnie zaskoczona załoga sowiecka pilnująca radaru na skrawku Sachalinu napiła Francuza wódką, pozwoliła mu — po konsultacji z komendą obrony obszaru morskiego ZSSR — na powrót do Japonii, a ponieważ radar to nie telewizja, mieli w związku ze sportem i igrzyskami tylko jedno pytanie: „Ilu sportowców zginęło w Los Angeles...”.

Po drugie, rozpętano akcję propagandową, której nasilenie

(oraz skuteczność) porównać można tylko z akcją w sprawie „żuka Colorado” w Korei. Piekło w Los Angeles, szowinistyczna heca, kanonada nacjonalizmu, propaganda gwałtu, euforia rasizmu, orgia merkantylizmu, igrzyska *big bussines*'u, atmosfera linczu, sport w maskach gazowych, wulgarny gwałt na duchu olimpijskim *et j'en passe*. Wszystkie te pieśzcotliwe wykrzykniki tylko w słowach bez obrazu powtarzały się, przewijały kolejno poprzez wszystkie gazety, jako że pomysłowość nawet KC nie jest przecież nieograniczona. Przyznałbym jednak także w tej dziedzinie trzy medale (nie ze złota):

a) *Prawdzie* za odkrycie, że omdlenie Ovetta było wynikiem presji psychologicznej wywieranej przez Amerykanów na przeciwników sportowców USA (mimo, że bieg wygrał inny Anglik, Coe).

b) *Lit-gazecie* za porównanie Olimpiady Hitlera z Berlina z Olimpiadą Reagana w Los Angeles i

c) *Sowieckiemu Sportowi* za oskarżenie Amerykanów o gwałty.

Wbrew opinii innych obserwatorów nie przyznaje natomiast żadnego medalu organom KGB, który zupełnie sfuszował „Akcję Ku Klux Klan”, polegającą na sfałszowaniu tekstu listu z hasłami rasistowskimi, jaki ta antypatyczna organizacja miała rzekomo wysłać do kilkunastu państw afrykańskich i azjatyckich. Otóż akcja ta była przeprowadzona tak nieudolnie, że ani jeden adresat nie dał się nabrać. Listy były tak źle sfabrykowane, że adresaci przeszli je natychmiast do komitetu organizacyjnego w Los Angeles. Reszta była prosta... W tych warunkach jedynym sukcesem jaki ZSSR odniósł w czasie Olimpiady było absolutne zwycięstwo generała Konstantinowa i pułkownika Sławina z KGB nad CIA w walce o władzę w afrykańskiej republice Nagonia. Walka trwała kilkanaście dni, a raczej wieczorów i wypełniła w telewizji sowieckiej czas przewidziany na transmisję z Los Angeles. Ale za seriele jeszcze medali olimpijskich nie dają.

Streszczając wnioski z bojkotu, można by je ująć w trzech punktach: po pierwsze, można się bardzo dobrze bawić bez ZSSR. Po drugie, można organizować igrzyska bez deficytu. Po trzecie, po drabinie do sukcesu nie można się wspinać ani na kolanach, ani z rękami w kajdankach.

Pisane 10 września 1984.  
*Kultura* nr 10/445, 1984.



## PIĘĆ SKRWAWIONYCH KÓŁEK

Dwa razy w historii burzono olimpijską świątynię. Pierwszy raz dokonał tego w roku 393 naszej ery cesarz Teodozjusz Pierwszy, albowiem chciał w ten sposób ostatecznie zlikwidować pogaństwo. Igrzyska trwały wówczas już od roku 776 przed naszą erą.

Po raz drugi olimpijska świątynia padła od strzałów Arabów z organizacji „Czarny Wrzesień” w ósmy dzień XVII Igrzysk ery nowożytnej w roku pańskim 1972, którzy mordując Żydów w Monachium chcieli wyzwolić swych palestyńskich braci rozsianych po obozach między Libanem a Kuwejtem.

I za Nerona i za Brundage'a olimpiady upadały razem z cywilizacją. Z tą tylko różnicą, iż po decyzji Teodozjusza przerwa w Igrzyskach trwała 1500 lat, natomiast po zamordowaniu jedenastu izraelskich olimpijczyków przerwy faktycznie nie było wcale. Jeszcze zanim wyschła krew we wiosce olimpijskiej i zanim przebrzmiały echa uwertury „Egmont” — nie wiadomo po co granej na zakończenie uroczystości żałobnej — na stadion wybiegły drużyny Polski i ZSSR, aby rozegrać półfinałowy mecz piłki nożnej. Polska wygrała 1 : 0.

Olimpiada „Monachium 1972” polegała na rozdaniu 1.109 medali, odegraniu 195 razy kilkudziesięciu hymnów narodowych, staniu na baczność i obracaniu ogromną forszą, a zakończyła się czterema pogrzebami.

### *Sami ze swymi zabitymi*

Pierwsze ofiary to, jak zwykle, Żydzi, Sławini z ZSSR, Berger z USA, Szpicer z Rumunii, Friedman z Polski... kiedy kierownik drużyny izraelskiej kończył odczytywanie listy swoich zamordowanych olimpijczyków, Izrael — bardziej niż kiedykolwiek — zrozumiał, że żadna olimpiada nie zapewnia bezpieczeństwa jego synom. Kiedy obok pustych jedenastu krzeseł żydowskich na murawie stadionu zamienionego na dwie krótkie godziny w miejsce żałoby pozostały puste jeszcze setki krzeseł, Izrael jeszcze raz zrozumiał, że zawsze będzie sam ze swymi zabitymi. A kiedy wraz ze startem samolotu z jedenastu trumnami na pokładzie wystartowały kolejne konkurencje olimpijskie, Izrael zrozumiał,

że na nikogo liczyć nie może nawet w miejscu, gdzie powiewa sztandar mający symbolizować przyjaźń i braterstwo.

„*Ordnung muss sein*”

W drugim pogrzebie pochowano niemieckie złudzenia. Niemcy z całej duszy wierzyli w magię olimpijskiego oczyszczenia i odkupienia. Brandt — człowiek, który ukląkł na gruzach warszawskiego getta — chciał płomieniem olimpijskiego znicza wypalić ślady olimpiady berlińskiej z 1936 roku. Fakt, iż to właśnie w Monachium znów połała się krew żydowska potęguje dramat. Aby zginęła pamięć o Dachau nie wystarczy, jak się okazuje, przenieść płomienia znicza z Olimpu w pobliże wygasłych pieców krematoryjnych byłego obozu koncentracyjnego.

Niemcy przebadali dane z ostatnich 100 lat, aby wynaleźć okres najmniejszego ryzyka meteorologicznego. *Hundertzwanzig Professoren* zastanawiało się, jak zapewnić „igrzyska piękne, spokojne i pogodne”. Pewien socjolog przygotował nawet kilka scenariuszy możliwych aktów agresji. Jeden ze scenariuszy zakładał, że „... o czwartej rano grupa fedainów atakuje dom ekipy izraelskiej...”. Odrzucony został jako brednia, a mjr Krack z policji bawarskiej oświadczył, iż „w nocy nic poważnego stać się nie może”. Wobec takiej perspektywy policję przekształcono w Armie Zbawienia, rozbrojono, uczulono na... groźbę wtargnięcia męskiego zespołu gitarowego do pawilonu kobiecego i na działalność „koników” (ich czysty zarobek ocenia się na ponad milion dolarów). Policja bawarska tak opanowała metodę perswazji łagodnej, że manifestację 200 maoistów potrafiła rozpedzić za pomocą... rozdania czekolady. W całej wiosce olimpijskiej nie było ani jednego *verboten!*

Kiedy więc głupi scenariusz okazał się prawdą, wszystko zawiodło, od policjanta do ministra spraw wewnętrznych. Na ośmiu terrorystów znalazło się w Bawarii tylko pięciu strzelców wyborowych (?!), 12 długowłosych policjantów odmówiło — po głosowaniu — przeprowadzenia akcji we wnętrzu Boeinga jako „zbyt ryzykownej”, nie było poważnego planu akcji, nie było jednolitego dowództwa... „To prawdziwi amatorzy”, powiedział potem izraelski fachowiec.

### *Zbrodnia i błąd*

Trzeci pogrzeb nastąpił po samobójstwie sprawy palestyń-

skiej. Przez świat poszła fala przerażenia i oburzenia. „Operacja” monachijska była zbrodnią na ludzkości, ale z punktu widzenia Arabów była czymś więcej — była błędem. Jej nieskuteczność, a nawet anty-skuteczność jest przerażająca. Zamordowanie jedenastu osób, nawet bezbronnych, nie jest już dzisiaj w stanie wstrząsnąć ludzkością, która dojrzała, niejedno widziała i po gorszych rzeczach spała spokojnie. Tym razem wyjątkowa wściekłość zrodziła się nie tylko z bezradności wobec zbrodni, ale z żalu za utraconym rajem, za wygasłymi iluzjami o wyspie pokoju na świecie.

Z wyjątkiem kilku rządów arabskich, kilku cynicznych polityków, wysyłających na śmierć ogłupiałych Japończyków czy Palestyńczyków, z wyjątkiem kilku średniowiecznych feudałów w złożonych Rollsach i kilkunastu chorych lewaków z dobrych burżujskich rodzin, z wyjątkiem dementa w generalskich szlifach z Ugandy, składającego z okazji Monachium hołd Hitlerowi — nikt na świecie nie stanął po stronie Palestyńczyków. Wystarczy tylko wyobrazić sobie ustrój, jaki stworzyliby oprawcy z Monachium w odzyskanym państwie!

Połowa trzech milionów Palestyńczyków wegetuje w kilkudziesięciu obozach ONZ, albowiem ich bracia w koronie, naftowi multimiliarderzy nie mają dla nich czasu. Rzekomo to o tych właśnie Palestyńczyków chodziło w Monachium. Przypuśćmy. Ale przecież tam, gdzie odrzuca się wszelkie kryteria moralne powinien decydować argument skuteczności. Kto przy zdrowych zmysłach powie, że mord w Monachium pomógł wykuć przyszłość arabskiej Palestyny?

### *Kres wieku hipokryzji*

No i wreszcie czwarty pogrzeb — ten prawdziwie olimpijski. Oglądałem w TV reportaż z wioski olimpijskiej w kilka godzin po zamknięciu Igrzysk. Jesień, wiatr podrzuca papierami, puste butelki, cicho, smutno i brudno. Strasznie.

Pękły bowiem wszystkie mity. Ogłaszając koniec Igrzysk monachijskich, Avery Brundage, ostatni apostoł olimpijskiego dziewictwa, proklamował równocześnie, wbrew własnej woli, kres epoki olimpijskiej hipokryzji. Wioska olimpijska definitywnie przestała być (nigdy w istocie nie była) oazą pokoju, szczęścia, szlachetności i braterstwa.

Monachium padło ofiarą swego własnego gigantyzmu. Nie przypadkowo bowiem Palestyńczycy wybrali to właśnie miejsce na scenę swjej krwawej demonstracji. To właśnie w Mona-

chium wyrosła przecież wieża telewizyjna naprawdę *kolossal*: 290 m, 20.000 jednoczesnych połączeń z całym światem, trzy satelity. Tu naprawdę była największa widownia świata, tu się „Czarny wrzesień” nie mylił. Palestyńczycy nie przewidzieli jednak, że ta gigantyczna telewizyjna pajęczyna, która oplotła każdy fragment wioski i igrzysk, zatnie się właśnie w trakcie ich „wyczynu”. Kamery, które odnotowywały każdy muskuł 100-metrowca czy kilka razy w różnych tempach i ujęciach pokazywały upadek długodystansowca, nic nie wychwyciły z precyzyjnie przygotowanej „operacji ideologicznej” a dojrzały tylko zwyczajną, a raczej nadzwyczajną zbrodnię.

Równocześnie jednak beznamiętnie przenosząc się z miejsca zbrodni na bieżnie i ringi, wieża *kolossal*, kamery i satelity monachijskie bezapelacyjnie zdemaskowały bezsens obecnego kształtu olimpijskiego cyrku.

Na oczach całego świata wybuchła prawda o zwyczajnej lipie olimpijskiego pokoju i całej w ogóle olimpijskiej gadaniny. Właściwie nie było to już od dawna żadną tajemnicą, ale cynizm ludzki skłaniał do kultuwowania wiary w to, że mogą istnieć takie wrota, przed którymi zatrzymuje się Historia, że może istnieć obecnie getto, odcięte od świata i jego rzeczywistości.

A przecież żadna olimpiada nie zapobiegła, nie zatrzymała ani nawet nie złagodziła ani jednej wojny, ani jednego konfliktu, nie przeszkodziła żadnej masakrze, nie uratowała ani jednego życia ludzkiego... Ba, więcej i gorzej. Żadna z wielkich imprez międzynarodowych nie była w swym cynizmie tak zasklepiona i obojętna na ludzkie cierpienia, jak właśnie olimpiady.

### *Bić po pysku, ale na baczność*

„My się nie damy garstce terrorystów, idea olimpijska jest ponad polityką. *Meine Damen und Herren*, igrzyska trwają!” Gdyby jakiś przybysz z księżycy wylądował w Monachium 7 września 1972 roku, nie zorientowałby się w ogóle, że w przeddzień coś się stało. Kiedy speaker ogłaszał listę dziewcząt startujących w półfinale setki, to nawet nie powiedział, dlaczego jeden korytarz jest pusty. Gdzie podziali się ciężarowcy i zapaśnicy, trenerzy i sędziowie izraelscy? Rozpłynęli się, zabawa przecież trwa.

Wbrew wszystkiemu co p. Brundage wymyślił jako ostatnią brednię swojej długiej, zbyt długiej, dyktatury olimpijskiej, to on sam, wymuszając razem ze współnikami przedłużenie Igrzysk, ostatecznie je pogrzebał. Wykazał bowiem, że w XX wieku mogą

się one odbywać jedynie za cenę ślepoty, cynizmu i zakłamania, za cenę zgody na degenerację naszej cywilizacji. ZSSR mógł czekać od 5-tej rano do 6-tej wieczór z ogłoszeniem informacji o zamachu arabskim, aby potem, w chwili kiedy stadion w Monachium powstał, aby uczcić zamordowanych, przyjąć na Kremlu dr. Habasza, szefa najbardziej ekstremistycznej organizacji fedainów i jednego z patronów morderców.

Pan Brundage, to jasne, nie działał sam, i przedłużył Igrzyska w zgodzie z największymi potęgami sportowymi, lub też potęgami w ogóle. Dla nich bowiem, wbrew gaworzeniu p. Brundage'a i innych olimpijskich westalek, olimpiada od dawna jest imprezą przede wszystkim polityczną i propagandową, a dopiero potem sportową.

Stąd, chociaż statut olimpijski mówi, że „igrzyska są współzawodnictwem nie państw, a zawodników”, wszyscy oddają się przede wszystkim masturbacyjnej buchalterii medalowej. Już dawno w oczach ogłupiałego tłumu i za sprawą wyspecjalizowanych hecowników podniesienie pół tony żelaza czy precyzyjne danie w mordę równoznaczne jest z honorem państwa, prestiżem narodu. To od tych hecowników wiemy przecież, że ZSSR zdobył w Monachium 99 medali, a w Meksyku tylko 81, a potężne USA poniosły wprost klęskę, albowiem w Monachium zebrały tylko 92 medale, choć w Meksyku miały ich aż 107. Ile to, przepraszam, wypada medali na jednego zabitego studenta, czy zamordowanego Żyda?

Rzadko się zgadzam z p. Pompidou, ale tym razem ma rację. Niezależnie bowiem od innych przyczyn, kompromitacja sportowa Francji wynika przede wszystkim z konkurencji, jak on je nazywa, „państwowych fabryk championów”. Francja jest za biedna i za leniwa, aby mieć i *force de frappe* i sport wyczynowy, nie mówiąc już o masowym. A USA i ZSSR są bogate i szydząc z najbardziej elementarnych zasad amatorstwa, utrzymują całe wylęgarnie nosicielei honoru państwowego w bicepsach lub udach.

No, a kliniczny przykład NRD? Tak jak w innych krajach o ograniczonej nieco suwerenności, sport stanowi tam kompensatę za niewolę i jedyny teren, na którym zwyczajny, brutalny nacjonalizm jest nie tylko tolerowany, ale nawet popierany.

### *Milionerzy i pariasi*

Olimpiada kieruje resentymenty i nacjonalistyczne hece w legalne niejako łożysko. Wszyscy więc gorąco popierają całą tę strażacką pompę „protokolarnych uroczystości”, to groteskowe

stanie na baczność po 100 m stylem grzbietowym i spoglądanie ze łą w podbitym oku, po zmasakrowaniu boksera, na sztandar państwowy wyciągany na maszt przy dźwiękach hymnu narodowego.

Jakie większe niż na olimpiadzie szanse ma NRD, odgradzona murem od świata, pokazania się oficjalnie i publicznie w dobrym towarzystwie? Kiedyż jej, tak popularny u nas, hymn narodowy był tak często grany? Jaki lepszy teren mogła ona znaleźć dla konfrontacji z Zachodem, a przede wszystkim z RFN, na którą, poza olimpijskim podium, może patrzeć jedynie z dołu, jeżeli naturalnie nie liczyć wież strażniczych za berlińskim murem hańby?

W obronie tej pompy milioner z Chicago nazwiskiem Brundage wyrzucił z Igrzysk dwóch Murzynów, którzy nie tak jak należy stali, czy zachowywali się, podczas odgrywania hymnu amerykańskiego. Czym się to różni od odmowy Hitlera podania ręki Owensowi w 1936 roku?

Otóż ostrość tej sankcji to właśnie wyraz bałwochwalstwa dla najgorszej cechy olimpiady, tej właśnie która nieuchronnie doprowadziła do degeneracji igrzysk, która odebrała im charakter szlachetnej rywalizacji młodych ludzi, a nadała formę organizowanej przez aparaty państwowe monstrualnej, nacjonalistycznej hecy.

Bo zmierzmy.

Brundage, w towarzystwie innych Brundage'ów z całego świata, nakazał kontynuować igrzyska i nazwał to triumfem idei olimpijskiej. Matthews natomiast, murzyński chłopak, który musi nocami szukać wśród brooklyńskich *slums*'ów miejsca na trening, bawił się medalem, bo, jak powiedział: „To mój medal, za 20 lat będę dumny z tego, że byłem kiedyś najlepszym 400-metrowcem świata. Droga na podium była dla mnie spacerem wśród gwiazd, moim samotnym spacerem, a kto tego nie rozumie, to nie rozumie sportu w ogóle”.

Więc pytam was, kto lepiej rozumie ideę olimpijską, milioner, kapłan pompy upaństwowionych igrzysk, czy czarny chłopak, który przebiegł 400 m w mniej niż 45 sekund, a potem poszedł sam, ze swoim medalem, na spacer między gwiazdy?

*„Strzelaj jak do wroga!”*

Strzelec Ho Jun Li został przed wyjazdem do Monachium przyjęty przez tow. Kim Ir Sena. „Tow. Kim — oświadczył Ho po zdobyciu złotego medalu — nakazał mi, abym strzelał do tarczy

jak do wroga, a wygram”. I rzeczywiście! A zrobił to naturalnie w duchu idei olimpijskiej.

Walery Borzow, pierwszy Europejczyk, który przełamał hegemonię USA w sprintach, zapytany przez prasę o źródła jego sukcesów, odpowiedział: „Najpierw mój kraj, potem mój trener, potem wszyscy którzy mi pomogli, a na końcu, ja sam...”. Zapomniał tylko o naukach Lenina lub Mao i wnioskach z 24-go zjazdu KPZS.

Nie myślcie, że takie hurrapatriotyczne bredzenie przy okazji chodu na 20 km czy dźwigania sztangi, to monopol Wschodu. Nie, zaraza poszła dalej. Pływaczka amerykańska Dana Schenfield powiedziała: „Przychodzi taki moment w zawodach, kiedy sportowiec zapomina o sobie, a myśli tylko o ojczyźnie”.

Statut olimpijski mówi wyraźnie: „Igrzyska nie są współzawodnictwem narodów i wszelka klasyfikacja państwowa jest niedopuszczalna”. Ale ten sam statut nakazuje obłudne wciąganie przy każdej okazji sztandaru na maszt, stanie na baczność, granie hymnów po udanym nokaucie...

Szybciej, wyżej, silniej. W służbę tego antycznego szyldu oddano kolosalny aparat propagandowy, niezmierzone środki finansowe, wszystko czym dysponuje nowoczesny instrument ekscytowania mas. Nawet to, czego dokonują doskonali zawodnicy, zostaje im odebrane i przypisane towarzyszowi Kim Ir Senowi, partii sowieckiej, amerykańskiej *efficiency* — zostaje przygnięcione przez sztandary i hymny.

Była taka chwila w Monachium, kiedy zaświtała dziejowa szansa uratowania idei i igrzysk olimpijskich. Gdyby zaraz po wtargnięciu arabskiego komando i po wzięciu zakładników cała wioska, wszyscy zawodnicy z drużynami arabskimi w pierwszych rzędach, bez broni, w dresach sportowych, z medalami w rękę, otoczyli „palestyńską twierdzą”, napastnicy nie wytrzymaliby tej presji, załamałoby się i za cenę glejtu oddaliby zakładników żywych. To byłby dowód, że idea olimpijska żyje, albowiem są ludzie gotowi jej bronić. Ale tych ludzi zabrakło. A zabrakło dlatego, że idea jest martwa.

I choć potem jeszcze przez kilka dni rozdawano medale, stawano na baczność i grano hymny, już tylko policja, i to nieudolnie, gotowa była, bo musiała, bronić olimpijskiego płomienia.

I tak się stać musiało, albowiem taki jest wynik polityki prowadzonej od dziesięcioleci przez sklerotycznych lordów, partyjnych urzędników czy zwyczajnych kombinatorów. Doprowadzili do tego, że olimpiada nie tylko nie zaciera, ale pogłębia podział między zawodnikami zgodnie z linią jaka dzieli ich

państwa. Monachium ostatecznie pokazało, że zawodnicy zostali wywłaszczeni, a depozytariuszami idei i znicza olimpijskiego stali się handlarze i politykierzy. Taki, moi panowie, jest żałosny schyłek pięknej idei.

Igrzyska trwają, powiadają faryzeusze. Tak, ale święto się skończyło!

Flaga olimpijska w górę, powiadają faryzeusze. Tak, ale kółka na niej są czerwone!

Znicz olimpijski się pali, powiadają faryzeusze. Tak, ale to nie płomień, a zimne ognie!

Pisane 15 września 1972.  
*Kultura* nr 10/301, 1972.

---

## ABY WYGRAĆ, TRZEBA NIENAWIDZIEĆ PRZECIWNIKA

### *Przyjęcie w Baguio City*

Burmistrz miasta Baguio, położonego o 225 km na północ od Manili, stolicy Filipin, wydał uroczyste przyjęcie z okazji otwarcia meczu o szachowe mistrzostwo świata między Anatolim Karpowem, który reprezentuje Związek Socjalistycznych Republik Sowieckich a Wiktorem Korcznojem, który od pewnego czasu reprezentuje wyłącznie swoją własną osobę. Na przyjęcie przybył prezydent Filipin Marcos, obaj arcymistrzowie, kilku przedstawicieli KGB, ukrywających się pod najrozmaitszymi wizerunkami, oraz ok. 200 dziennikarzy akredytowanych przy meczu.

Pozornie, na pierwszy rzut oka, we wspomnianym komunikacie nie ma nic dziwnego ani nadzwyczajnego. Miasto Baguio wybrane zostało w najbardziej prawidłowy sposób. O zaszczyt i zyski z goszczenia meczu ubiegało się 7 miast z Holandii, Francji, Szwajcarii, Austrii, Jugosławii, RFN i Filipin. Po otwarciu kopert okazało się, że arcymistrzowie różnili się co do pierwszego miejsca na liście swych kolejności, zgodnie natomiast na



drugim miejscu umieścili Baguio. P. Euwe, prezes Międzynarodowej Federacji Szachowej (FIDE) miał więc zadanie ułatwione. Wybór był prosty. Nie od rzeczy przy tym wyborze był skromny detal: nagrody wynosiły 550.000 dolarów, 3/5 dla zwycięzcy, reszta dla pokonanego. Chociaż, naturalnie, w szachach pieniądze nie grają żadnej roli, nie jest to zły interes ani dla graczy ani dla miasta Baguio. Koszty ogólne organizacji meczu wyniosą ponad 2 miliony dolarów, ale wpływy będą większe: TV z całego świata już zapłaciły ponad milion dolarów, reszta, z zyskiem nawet, wpłynie z biletów (2.000 miejsc dziennie), specjalnego datownika filatelistycznego, wydawnictw, turystyki itd.

Ilość partii jest nieograniczona, zwycięzca zostanie zawodnik, który pierwszy wygra sześć partii. Mecz rozpoczął się 18 lipca od... sześciu remisów, po czym dopiero Karpow wygrał pierwszą partię. P. Byrne, wielki mistrz amerykański zapytany przez żonę czy sądzi, iż będzie w domu na Boże Narodzenie, odpowiedział: „Na które Boże Narodzenie”? Wielki mistrz argentyński Miguel (przed wojną miał na imię Michał i był mistrzem Polski) Najdorf, który jest w Baguio jako obserwator, na własny koszt, przypomniał, że w 1927 roku mecz o tytuł między Capablanką a Alechinem trwał 35 partii i wyraził zdanie, iż nie jest zupełnie pewny czy obaj zawodnicy będą mogli uczestniczyć w olimpiadzie, która rozpoczyna się... w październiku w Buenos Aires. Najdorfa spotkałem w 1962 roku w Hawanie na Kubie, gdzie wygrał turniej imienia Capablanki i gdzie już wtedy dał się poznać jako anegdotczyk: wygrał na ślepo simultankę przeciw 34 przeciwnikom, remisując jedynie z... Fidelem Castro.

Fachowcy z najbliższego otoczenia graczy także sądzą, że mecz potrwa ok. 30 partii. Ponieważ partie rozgrywane są we wtorki, czwartki i soboty (dokończenia w dni następne) przeto nowy mistrz świata powinien być znany przed upływem trzech miesięcy.

Nic w tym wszystkim, jako się rzekło, nie zaskakuje, wszystko to ma pozory całkowitej normalności. Ale tylko pozory. Poza nimi idzie straszna wojna, o tytuł, o pieniądze i o życia ludzkie. Obaj gracze mają tylko jedną rzecz wspólną, obaj nauczyli się grać w szachy w Rosji. Cała reszta ich dzieli. Bobby Fisher, Amerykanin, „Mozart szachownicy”, człowiek, który spowodował w ZSSR żałobę narodową odbierając Borysowi Spasskiemu w 1974 roku, w Islandii, tytuł mistrza świata, otóż Fisher powiedział: „Aby wygrać w szachach trzeba nienawidzić przeciwnika”. Pod tym względem obaj panowie K. mają pełne i równe szanse na zwycięstwo. Ale tylko pod tym względem.

Anatoli Karpow, lat 28, to typowy produkt sowietyzmu w szachmatach. Dziecko ludu, urodzony na uralskiej ziemi, absolwent wydziału ekonomii uniwersytetu leningradzkiego, Karpow został już w 1970 roku wielkim mistrzem międzynarodowym. Jego droga do tytułu mistrza świata była gładka i logiczna. Karpow zwyciężył kolejno w 18 wielkich turniejach międzynarodowych, przez kolejnych pięć lat 1973-1977 utrzymał tytuł „najlepszego szachisty świata”. Grał w dwóch olimpiadach szachowych zdobywając dla ZSSR największą ilość punktów: 22 partie wygrane, 6 remisów i tylko jedna przegrana. Bilans globalny był jeszcze bardziej imponujący: ze 187 partii granych w oficjalnych turniejach, Karpow wygrał 88, zremisował 93 i tylko 6 przegrał, inaczej mówiąc zdobył 71,9 % możliwych punktów, z czego 67,2 % grając przeciwko wielkim mistrzom. Spokojny, zimny, bez nerwów, o żelaznej woli, mistrz defensywy, czekający za węglem na ofiarę, Karpow jest symbolem człowieka sowieckiego: wierny syn partii, członek KC Komsomołu, znający równie dobrze Tartakowera i Alechina co Marksa i Breżniewa, człowiek bez skrupułów, Karpow ani chwili się nie wahał, kiedy władza dała mu, w 1976 roku, do podpisania obrzydliwą petycję w sprawie pozbawienia pewnego podejrzanego szachisty prawa uczestniczenia w turniejach i w oficjalnych eliminacjach do meczu o mistrzostwo świata. I słusznie się nie wahał, albowiem, jak głosiła petycja, chodziło o „zdrajcę, który przejawiał ekshibicjonizm i narcyzm”. Osobnikiem tym, zdrajcą i ekshibicjonistą był Wiktor Korcznoj, dzisiejszy przeciwnik Karpowa.

Mecz w Baguio jest więc w pewnym stopniu rewanżem. Nie za petycję, która, jak świadczy obecność Korcznoja w Baguio, nie na wiele się przydała, a za mecz z 1974 roku, kiedy to obaj panowie K. spotkali się na meczu o prawo grania o tytuł mistrza świata, znajdujący się wówczas w posiadaniu Bobby Fishera. Federacja sowiecka słusznie przewidywała, że Fisher może tytuł stracić, ale już wtedy nie chciała aby przeszedł on w ręce Korcznoja. Przy użyciu wszelkich środków, fałszując m.in. podpis Korcznoja pod zgodą na granie w Moskwie, zamiast w Leningradzie, gdzie otoczenie było mniej wrogie i mniej spenetrowane przez policję i przez politykierów. Federacja faktycznie wymusiła na Korcznoju przegraną z Karpowem. Naciski i groźby, szalona pomoc udzielona Karpowowi i faktyczny sabotaż Korcznoja, „dziwna atmosfera i ogólnonarodowy spisek”, jak on to sam wspomina, sprawiły, że Karpow pierwszy wygrał niezbędne trzy

partie. Niedługo potem Karpow został mistrzem świata i to bez walki, bo Fisher odmówił stawienia się przy szachownicy. Lansując petycję przeciwko Korcznojowi Kreml miał nadzieję, że wyeliminuje go z wyścigu o tytuł, że Karpow wygra, znowu bez walki, albo przy niewielkim wysiłku. Kreml się pomylił. Gambit się nie udał.

Wiktor Korcznoj wypowiedział wojnę Karpowowi i całej po-  
tędze ZSSR w lipcu 1976 roku, kiedy to korzystając z turnieju  
w Amsterdamie odmówił powrotu do Moskwy. Korcznoj jest  
o 20 lat starszy od Karpowa, ale jak się za chwilę okaże, to  
nie jest jego jedyny handicap. Urodzony w inteligenckiej rodzinie  
w Leningradzie, mocno na domiar złego zażydzonej, Korcznoj  
ma za sobą kolosalną karierę szachową. Mistrz w 1954 roku,  
arcymistrz w dwa lata później, Korcznoj grał w 16 mistrzostwach  
ZSSR, które cztery razy wygrał. Od 1964 Korcznoj brał udział  
w 90 turniejach i w 4 olimpiadach ze świetnym wynikiem: 50  
partii wygranych, 31 remisów, 3 partie przegrane. W przeci-  
wieństwie do Karpowa, Korcznoj to gracz nieobliczalny, geniusz  
improvizacji, stale szukający nowych rozwiązań, pierwszy w ata-  
ku, łatwo ulegający zmianom ducha, łatwo wpadający w euforię  
i depresję. Do tytułu mistrza świata startował już 4 razy (1962,  
1968, 1971 i 1974) ale do decydującej rozgrywki doszedł dopiero  
dziś w Baguio. Muza szachów sprawiła, że dopadł tam Karpowa.

Droga na szczyt nie była łatwa. Kiedy projekt petycji o świa-  
tową banicję Korcznoja nie przyniósł spodziewanych efektów,  
sowiecka federacja szachowa i Kreml, który się do niej przy-  
łączył, podjęli wszystkie nasuwające się kroki. Nie oszczędzili ani  
pieniędzy, ani propagandy, ani ludzi. Na nic. W pościgu za  
tytułem i za Karpowem, Korcznoj zapisał wyjątkowy *tableau  
de chasse*. Zbieg okoliczności i sprawiedliwość dziejowa sprawiły,  
że Korcznoj wyeliminował nie graczy węgierskich, amerykańskich,  
jugosłowiańskich czy innych, ale właśnie i wyłącznie wielkich  
mistrzów sowieckich. Najpierw w ćwierćfinale Korcznoj zmiotł  
w 12 partiach Tigrana Petrosjana, zwanego pieszczotliwie „py-  
tonem Jerywania”, jednego z autorów tekstu wspomnianej petycji.  
Potem w półfinale potrzebował tylko 13 partii by wysadzić  
z konkurencji Lwa Poługajewskiego, jednego z pierwszych sygna-  
tariuszy owej petycji. Wreszcie w finale kandydatów, Korcznoj  
wyeliminował Borysa Spasskiego, który choć aktualnie mieszka  
we Francji, to jednak zachował obywatelstwo sowieckie. Mecz  
był zimny (panowie się nie lubią), ale korekt, Spasski był bowiem  
jednym z trzech sowieckich arcymistrzów (pozostali to byli  
mistrzowie świata Bronsztejn i Botwinnik), którzy odmówili  
podpisania petycji o „zdrajcy i ekshibicjoniście”. Ale był to także

mecz historyczny, po raz pierwszy bowiem od chwili wejścia sowieków na szachową scenę świata w meczu o prawo grania o tytuł mistrza świata spotkało się dwóch Rosjan mieszkających na Zachodzie.

### *Środki specjalne*

W miarę wdrapywania się Korcznoja na szczyt zajęty przez Karpowa, nerwowość na Kremlu rosła. W meczach z Petrosjanem i Poługajewskim, Korcznoj, który zna zwyczaje organów szachowych (i innych) ZSSR musiał podjąć specjalne środki ostrożności. Zaządał nie tylko oddzielnej jadalni, ale także nie komunikujących się klozetów (diabeł nie śpi), sam gotował sobie herbatę w pokoju hotelowym, sprawił, że organizatorzy musieli zainstalować pod stołem specjalną deskę odgradzającą nogi graczy, pamiętał bowiem jakiego kopa dostał od Petrosjana, kiedy ów dystyngowany szachista przegrał mecz w 1974 roku w Odessie. Nie pozwolił również na używanie przez głuchawego Poługajewskiego aparatu do słuchania. Korcznoj wiedział bowiem, że nic prostszego niż taki aparat dla przekazywania rad i wariantów zza kulis i garderoby.

Prasa zachodnia kpiła z Korcznoja kiedy po czwartym remisie w Baguio zażądał aby jogurt przygotowywany przez kucharza delegacji sowieckiej konsumowany w czasie gry przez Karpowa był zawsze tego samego fioletowego koloru, w tym samym smaku, podawany w takim samym naczyniu i przez filipińskiego a nie sowieckiego kelnera. Prasa zachodnia była raz jeszcze w błędzie, prasa zachodnia nie zna życia. A Korcznoj zna wyobraźnię swej byłej ojczyzny i praktyki swej byłej Federacji.

Była ojczyzna nie potrafiła więc powstrzymać korcznojowskiego buldożera. Kiedy legł Petrosjan, Kreml, który ciągle jeszcze wierzy w cudowne działanie czystek, wyrzucił go z posady naczelnego redaktora pisma „64”, organu federacji szachowej. Korcznoj, jako się rzekło, człowiek bywały, powiedział wtedy: „Poczekajcie, a zobaczycie, to dopiero początek, oni jeszcze nie skończyli wyrzucać”.

I rzeczywiście. Kiedy przegrał Poługajewski, we władzach federacji nastąpiło prawdziwe trzęsienie ziemi. Z 20 członków nowych władz, tylko 9 miało coś niecoś wspólnego z szachami, reszta to były figury z innej gry. Na miejsce arcymistrza Awerbacha, prezydentem Federacji został niejaki Witali Sebastianow, powszechnie znany w wszechświecie kosmonauta z Sojuzów nr 9

i nr 18, zupełnie nieznanymi jednak w świecie szachowym. Dwaj inni „szachiści” przyciągnęli powszechną uwagę. Pierwszy z nich, p. Witali Ignatenko, wiceprezes agencji TASS nie był znany co prawda jako szachista, ale zdobył sobie sławę jako współautor scenariusza filmu o życiu Leonida Breżniewa pt. „Życie komunisty”. Drugi to p. Ewgeni Pitowranow, oficjalnie wiceprezes Izby handlowo-przemysłowej ZSSR oraz wiceprezes Towarzystwa Przyjaźni Portugalsko-Sowieckiej, nieznanymi jako szachista, ale znany za to jako generał KGB, odpowiedzialny m.in. za nadzór nad kontaktami urzędników ZSSR z obywatelami państw kapitalistycznych.

W tej sytuacji kiedy doszło do meczu Korcznoj-Spasski, Moskwa zupełnie zapomniała, że Spasski dawno był utracił sympatię i poparcie Kremla. W 1975 roku mianowicie Spasski zakochał się, i mimo dwuletnich perswazji, szykan i szantażów ze strony władz, ożenił się z panną Maryną Szczerbaczew, obywatelką francuską, urzędniczką ambasady Francji w Moskwie. Na domiar złego, zmęczony walką o szczęście, Spasski postanowił, czasowo naturalnie, zamieszkać na Zachodzie\*. Otóż, kiedy okazało się, że Spasski, choć pół-renegat i prawie ekshibicjonista, stanowi ostatnią możliwą przeszkodę na drodze Korcznoj po skalp Karpowa a zarazem ostatnią nadzieję na wyeliminowanie zdrajcy, Kreml zmobilizował wszystkie siły aby pomóc Spasskiemu. Ale było za późno. Nie pomógł ani kosmonauta, ani generał, ani konsultanci przysłani z Moskwy. 18 partii później Spasski był także wyeliminowany. Droga do i po Karpowa stanęła przed Korcznojem otworem.

W Moskwie zapachniało siarką. Szachy to narodowe wychnienie dla zmęczonych staniem w ogonkach obywateli Kraju Rad, to narodowy sport, to część dowodu na wyższość socjalizmu. Kiedy Karpow odebrał, bez walki i wysiłku tytuł Fisherowi, Kreml postanowił, że tytuł mistrza świata w szachach nie może nigdy więcej opuścić granic ZSSR. Teraz jednak tytuł znowu

---

\* P. Kauzow, urzędnik sowieckiej firmy frachtowo-morskiej nie miał żadnych trudności z uzyskaniem zezwolenia na poślubienie panny Onassis, obywatelki greckiej, choć była to nie skromna urzędniczka a właścicielka największej floty tankowców na świecie, symbol gnilnego zepsucia ustroju kapitalistycznego i jego ostatniej fazy, imperializmu. Na miejscu panny Onassis byłbym się zastanowił skąd się wzięła taka różnica między traktowaniem przez władze sowieckie szachisty Spasskiego i frachtowego urzędnika i członka partii Kauzowa. Miłość, rzeczywiście, nie zna granic, życząc państwu Kauzow wszystkiego najlepszego, ale czy czasem nie zachodzi ryzyko pomieszania rodzajów literatury, czy sowiecki kopciuszek nie przekształci się w grecką tragedię?

znalazł się w niebezpieczeństwie. Towarzysze, rzekło kierownictwo, zachodzi obawa, że tytuł może wpaść w ręce obywatela nie ZSSR, więcej nawet, w ręce w ogóle nieobywatela, bezpieczeństwa, i to na domiar żydowskiego. Specjalny sztab, dodało kierownictwo, ustali taktykę i strategię. I ustalił.

Kiedy obie drużyny przybyły na Filipiny okazało się, że sowiecki *team* szachowy liczy 14 osób oficjalnego składu, nie licząc „turystów” sowieckich, którzy, jak wiadomo, pasjami lubią jeździć na Filipiny i bardzo cenią zabytki miasta Baguio. Szefem ekipy Karpowa był niejaki Wiktor Baturinski, były prokurator wojskowy, ceniony współpracownik KGB, prezes szachowej organizacji moskiewskiej i *quasi*-oficjalny politruk sowieckich szachmatów. I jest to również najbardziej znany i szczerzy, osobisty i ideologiczny wróg Korcznoja w ZSSR i na całym świecie. Sam jego widok działa Korcznojowi na nerwy, przypominając mu najgorsze czasy szachowego gułagu.

Dowiadując się o składzie ekipy sowieckiej Korcznoj miał dwojaką reakcję. Po pierwsze z pewną przesadą zawołał: „Baturinskiego trzeba powiesić, utopić a potem poćwiartować”. Po drugie, już zupełnie spokojnie, zaproponował, aby wszyscy członkowie ekipy sowieckiej ujawnili swoje prawdziwe funkcje i przynależność zawodową. Propozycja ta została naturalnie z niesmakiem odrzucona przez Baturinskiego. Statut Federacji szachowej, powiedział były prokurator, nie przewiduje podobnej procedury.

### *Prawdziwy przeciwnik*

To prawda. W istocie jednak, to nie Karpow i nie Baturinski, ani żaden inny szachista z ekipy sowieckiej w Baguio jest prawdziwym przeciwnikiem Korcznoja. Korcznoj gra z Karpowem o tytuł i o 300.000 dolarów, ale równocześnie gra z Kremlem o los jego własnej rodziny. Kreml bowiem niczego nie zaniedbał. Najpierw, sowieckim zwyczajem, odwrócił kota ogonem. Kiedy Karpow wygrał pierwszą partię, agencja TASS zawiązała ze wzruszenia („Korcznoj literalnie zmiądzony”, ogłosiła) oraz podała, iż zwycięstwo jest tym bardziej wartościowe, że „mistrz świata zmuszony jest walczyć nie tylko na szachownicy, ale znosić również absurdałne prześladowania ze strony ekipy przeciwnika, zmierzającej do rozgrzania atmosfery i tak już wystarczająco napiętej...”. Następnie zaś do wojny przeciw Korcznojowi wprowadził, starodawnym mongolskim zwyczajem, także zakładników.

Przetrzymuje mianowicie siłą żonę Korcznoja Bellę i 19-letniego syna Igora. Rodzina Korcznoja już trzykrotnie od 1976 roku wносиła o paszport i trzykrotnie otrzymywała odmowę. Kreml broni zasady: rodzina zdrajcy może i powinna się go wyrzec, ale na pewno nie powinna chcieć do niego wyjechać, zwłaszcza kiedy rozłąka daje okazję szantażu w walce o pozycję socjalizmu w szachowym świecie. Korcznoja wszystkimi sposobami domaga się uwolnienia rodziny, pisze listy do Breżniewa, woła na konferencjach prasowych. Zrobił to także w Baguio, wskazując na rolę zakładników w grze szachowej o mistrzostwo świata, ale Baturinski spokojnie odpowiedział, że „sprawa łączenia rodzin nie należy do federacji szachowej” i że rozwiązywanie trudności rodzinnych pretendentów do tytułu mistrza świata nie jest objęte regulaminem FIDE. Pogląd ten jest mniej odosobniony niż by to się mogło wydawać. Pewien duży tygodnik francuski, obserwujący świat z pozycji lewicowych, poświęcił meczowi o mistrzostwo świata spore artykuły w dwóch kolejnych numerach, ale ani razu nie wspomniał, iż Korcznoja znajduje się pod szalonym naciskiem dramatu jego rodziny pozostającej w łapach KGB, że żona i syn jednego z graczy są w niewoli władzy drugiego gracza, że więc stan ducha obu konkurentów nie jest identyczny.

Już po rozpoczęciu rozgrywek w Baguio do Korcznoja doszło, że syn jego, który z powodu normalnych w ZSSR prześladowań dzieci „zdrajców”, musiał zrezygnować ze studiów na politechnice leningradzkiej, stracił prawo do odroczenia i będzie musiał pójść pod sztandary armii czerwonej. Oznacza to trzy lata służby, po których następuje pięć lat kwarantanny „w imię ochrony tajemnicy wojskowej”, co sprawia, że wszelki projekt wyjazdu do ojca zostaje automatycznie odłożony o 8 lat. Czytelnikom *Kultury* nie trzeba tłumaczyć co w ciągu tych 8 lat przeżywa w ZSSR kandydat na emigrację...

Kreml zapewne myśli, że niewola rodziny Korcznoja w Leninradzie, to najlepsze ruchy na jakie stać Karpowa w Baguio. Ale po pierwsze to haniebne, po drugie, niepewne. Na razie Korcznoja, który umie zapewne grać z Karpowem, uczy się jak należy grać z Kremlem. Rozumowanie nie było zresztą skomplikowane. Do finału Korcznoja musiał stanąć. Gdyby na znak protestu odmówił grania, tytuł, znowu bez walki, zostałby przy Karpowie i w ZSSR a Kreml byłby najzupełniej z takiego obrotu sprawy zadowolony. Wobec tego Korcznoja oświadczył: „Sprawiedliwość wymaga abym zdobył tytuł. Wtedy będę mógł odmówić rewanżu aż do chwili wypuszczenia mojej rodziny. To być może jest moja ostatnia szansa...”.

## Przyjęcie u prezesa klubu Wimbledon

Prezes klubu tenisowego Wimbledon wydał uroczyste przyjęcie z okazji zakończenia dorocznego turnieju tenisowego. Na przyjęcie przybył książę Kentu, kuzyn królowej, wraz z małżonką, sfery dyplomatyczne oraz uczestnicy turnieju, a przede wszystkim finaliści panowie Borg, który reprezentował Szwecję i Connors, który reprezentował USA oraz panie Chris Evert, która reprezentuje także USA i Martina Navratil, która od pewnego czasu reprezentuje wyłącznie swoją tylko osobę.

Panna Navratil przez pierwszych osiemnaście lat swego życia reprezentowała Czechosłowację. Choć już jej babka była przed wojną wicemistrzynią Czechosłowacji, a nauczył ją grać ojciec, też nieżyły zawodnik, nikt nie przypuszczał aby słaba i nerwowa Martina mogła zrobić karierę w tenisie. A jednak już w 1973 roku Martina opuściła swe rodzinne miasteczko Rewnice, 5.000 mieszkańców, 30 km od Pragi, udając się na turniej do Paryża. Martina nie zrobiła większego wrażenia na kortach Rolland Garros, ale zrozumiała co to jest światowy tenis. Kiedy powróciła w to samo miejsce dwa lata później, doszła już do finału. Przegrała wtedy, właśnie z Chris Evert, ale znowu się czegoś nauczyła. I podjęła odpowiednie decyzje. Kiedy więc w kilka miesięcy później Martina pojechała na wielki turniej Forest-Hills w USA, gdzie doszła do finału, postanowiła (na razie i czasowo, powiedziała i myślała) nie wracać do Czechosłowacji. Zrozumiała bowiem, że tylko wyzwolenie się spod opieki władz tenisowych jej kraju, ulegających bardziej kryteriom politycznym niż sile jej serwisu, potrafi otworzyć jej światowy Olimp tenisowy.

Szok był głęboki. Tak jak niektóre gwiazdy rosyjskiego baletu, które wybrały wolność od partyjnej dyktatury na deskach Bolshowo. Martina wydała się być dotknięta jadem zachodniej obfitości. Przejście od skromnych diet wypłacanych przez nadzorców z federacji tenisowej z Pragi do bajkowych gaź mogło się źle skończyć. Wydawało się już, że Martina wybrała *showbussines*: grała gdzie się dało, reklamowała co od niej chciano, i inkasowała, inkasowała... Kupiła bajkową willę w Palm Springs, najbardziej zesnobowanej amerykańskiej Jastarni, zafundowała sobie Mercedesa 450 (takiego jak Breżniew dostał od Brandta), utyla, straciła na sile uderzenia i na szybkości, na korcie była nierówna i histeryczna, wszyscy już mówili, ot, jeszcze jedna ofiara zawodowstwa w sporcie, koniec wielkiej kariery, jeszcze jedna wieczna półfinalistka.



Ale się mylili. Martina spotkała niejaką Sandrę Haynie, dawną mistrzynię golfa, obecnie sportowego impresario. Panie zamieszkały razem w wygodnym domu w Dallas i pod wpływem Sandry, impresario i przyjaciółki, Martina wróciła do dyscypliny wyczynowego życia. Schudła, nabrała siły, jej serwis zaczął szerzyć spustoszenie na kortach. Miejsce hysterii zajęła równowaga i pewność siebie. Wyniki nie dały na siebie czekać. Zanim Martina zdobyła Wimbledon, największe tenisowe trofeum świata, wygrała w ciągu 9 tygodni 37 kolejnych spotkań i zainkasowała 160.000 dolarów.

„Nie wiem czy mam śmiać się czy płakać”, powiedziała panna Navratil do panny Evert w czasie pofinałowego uścisku rywalek. I jedno i drugie, oczywiście. Śmiać się ze szczęścia, bo Wimbledon to największe marzenie każdego tenisisty, to start do ogromnej kariery sportowej i finansowej, którą 22-letnia Martina ma jeszcze przed sobą.

Płakać, albowiem Evert to nie była jedyna przeciwniczka Marty w finale. Cała potęga państwa czechosłowackiego, które jako pierwsze nie super-mocarstwo miało człowieka w kosmosie, grała przeciwko Martinie. Jej rodzice mianowicie są siłą przetrzymywani w Czechosłowacji i nie otrzymują zgody władz na czasowy choćby pobyt u córki na Zachodzie. Ojciec już sam chciał pojechać tylko na kilka dni aby być u boku córki w czasie wimbledońskiego finału, ale twarda i sprawiedliwa socjalistyczna władza w Pradze nie pozwoliła. „Do zdrajców się nie jeździ”, powiedzieli zapewne za przykładem wielkiego brata.

Po to aby rodzice Marty mogli być bliżej córki w dniu jej największego triumfu, musieli potajemnie pojechać do przyjaciół mających dom przy granicy NRF, gdzie mogli z zachodnioniemieckiej telewizji śledzić przebieg finału i widzieć uśmiech córki. Razem popłakali się ze szczęścia i ze smutku dopiero przez telefon, bo organy zapomniały wyłączyć.

„Czy myśli pani, iż zwycięstwo w Wimbledonie pomoże w wyzwoleniu pani rodziców z niewoli policji czechosłowackiej?”, zapytali dziennikarze spłakaną Martinę tuż po pofinałowym telefonie do rodziców. „Czy pomoże nie wiem, zaszkodzić nie może, cóż innego mogę dla nich zrobić, to moja jedyna broń...”.

## *Przyjęcie w Brukseli*

Na uroczyste przyjęcie wydane w Brukseli z okazji zakończenia tego felietonu nikt, na szczęście, nie przybył, dzięki czemu mogłem dojść do następujących, nie zaskakujących zresztą spostrzeżeń.

I Korcznoj i Navratilówna odmówili kapitulacji wobec jednego z najbardziej zintegrowanych widm bloku państw komunistycznych, wobec biurokracji, która polityzuje sport, odbiera mu wszelkie cechy ludzkie i indywidualne, zniewala talent w imię brudnych kombinacji i interesów nie mających ze sportem nic wspólnego. Pewnie, obrzydliwie skomercjalizowany sport Zachodu nie odpowiada ideałom barona Coubertin, ale jest przynajmniej pozbawiony hipokryzji, a przede wszystkim nie podlega kontroli policji czy KC. Nie jest więc przypadkiem, że Korcznoj i Navratilówna złożyli identyczne prawie oświadczenia w chwili odmowy powrotu. Chcieli mianowicie „grać z kim, kiedy i za ile nam się podoba” a nie tak jak im grać, albo i przegrywać (jak w wypadku Korcznoj) kazały władze ich kraju, policji i federacji sportowej.

I Korcznoj i Navratilówna zaangażowani są w ostry wyścig z czasem. Muszą być szybko bogaci, ich kariery nie potrwają długo, muszą też szybko osiągnąć szczyty sportowej sławy (obie rzeczy są ze sobą związane) nie tylko dlatego, że ich talent daje im do tego prawo, ale także aby móc przełamać szantaż władz krajów ich pochodzenia. Inaczej mówiąc Korcznoj i Navratilówna muszą zwyciężać, albowiem ich przeciwnikami są nie tylko sportowcy, przestrzegający mniej lub bardziej określonych reguł postępowania, ale i gangsterskie władze, stosujące najbardziej haniebną, bo ludzki i rodzinny, szantaż.

Najtrudniejszy mecz w ich karierze Korcznoj i Navratilówna grają przeciw totalitarnym potęgom ZSSR i zsatelizowanej Czechosłowacji. Stawką jest los ich rodzin. W tym meczu Korcznoj i Navratilówna nie powinni być osamotnieni, nie powinni grać przy pustej widowni. Chodzi o coś więcej niż o tytuł czy pieniądze, chodzi o prawo człowieka do jego własnej osoby. Pewien wybitny publicysta zachodnioeuropejski sprzeciwił się interpretowaniu meczu Korcznoj z Karpowem jako rewanżu za skazanie Szczarańskiego. Cóż za nieporozumienie! I co za idiotyzm! Mecz Korcznoj - Karpow w 1978 roku jest rewanżem nie za proces Szczarańskiego, a za mecz Korcznoj - Karpow z 1974 roku. Fakt natomiast, że Korcznoj chce wygrać aby móc potem szachować KGB i wyzwolić swą własną rodzinę z łap barbarzyńskiego

państwa jest zrozumiały i naturalny, Korcznoj bowiem nie dysponuje bombami atomowymi i przestraszyć Kremla nie może. Szachy to jego jedyna broń. Zachodnioeuropejski komentator, który sprzeciwia się tak ostro polityzacji meczu szachowego, zapomniał jednak dodać, kto ten mecz spolityzował, oraz podkreślić detal, to mianowicie, że gdzieś tam w Leningradzie dwie przerażone i osaczone osoby patrzą na mecz w Baguio City jako na ich ostatnią szansę. Zapomniał albo nie chciał o tym pamiętać, bo to by mu popsuło artykuł.

Najbardziej skromne spotkanie sportowe jest kierowane i kontrolowane przez mniej lub bardziej neutralnego i obiektywnego sędziego. Mecz w grze podwójnej Korcznoj - Navratilówna przeciwko połączonym siłom ZSSR i Czechosłowacji też nie powinien się toczyć bez sędziego.

W chwili pisania tych słów nie wiem jaki jest czy będzie los żywego towaru, przetrzymywanego przez faulujących prezydentów ZSSR i Czechosłowacji. Nie wiem także czy Korcznoj zdobędzie tytuł mistrza świata i czy Navratilówna wygra „wielki szlem” tenisowy.

Pisane 6 sierpnia 1978.  
*Kultura* nr 9/372, 1978.

## P.S. W OTCHŁANI SZACHÓW

Nie doceniłem sowietyzmu. Od 1978 roku Korcznoj przegrał dwa razy walkę o tytuł z Karpowem. Kiedy przestał być groźny, Moskwa wypuściła rodzinę. Ale epopeja walki całej potęgi ZSSR o utrzymanie korony na aryjskiej głowie Karpowa trwała nadal. Dla ZSSR szachy to narodowe misterium, to dowód na wyższość socjalizmu. Dla ludzi Zachodu szachy, to gra. Dla Bolszaj Encyklopedii szachy, to „sztuka, przejawiająca się w postaci gry”. Dla Zachodu szachy, to rozrywka i gimnastyka mózgu, a w skrajnym przypadku intelektualny sport wyczynowy. Dla kapitalistycznego Zachodu szachy — tak jak wszystko — sprowadzają się w końcu do pieniędzy; dla komunizmu szachy, też tak jak wszystko, to oręż polityczny i sposób panowania nad masami. 28 maja 1985 roku *Prawda* oddała, w 100-lecie jego urodzin, hołd pamięci Mikołaja Krylenko, prokuratora w „sprawie szachtyńskiej”, pierwszym procesie stalinowskim, gdzie 53 inżynierów i techników przemysłu węglowego zostało skazanych za „sabotaż i szpiego-

stwo". Był wtedy rok 1928 i prawdziwe procesy miały dopiero nadejść, ale kariera Krylenki trwała. Został ministrem oświaty, a w 1932 roku był także przewodniczącym federacji szachowej ZSSR. To właśnie on uznał wówczas, iż „należy raz na zawsze skończyć z tezą o neutralności szachów i natychmiast przystąpić do wypracowania szachowej piatiletki”. Krylenko, jak to było do przewidzenia, został rozstrzelany przez Stalina w 1938 roku, ale jego pogląd na szachy jest do dziś obowiązujący.

Wszyscy więc pomyśleli, iż Kreml nareszcie może spać spokojnie, kiedy w kolejnym meczu o mistrzostwo świata w szachach naprzeciwko Karpowa zasiadł nie jakiś zachodniak, ani, jeszcze gorzej, Amerykanin jak Fisher, lub Żyd jak Korcznoj, ale młody 22-letni także sowiecki człowiek i wychowanek komсомоłu, członek partii Gary Kasparow. Mecz rozgrywany był w Moskwie, specjalistycznym dziennikarzom zachodnim odmówiono po prostu wiz sowieckich, skorumpowanych korespondentów akredytowanych w Moskwie trzymano na dystans, mecz był wewnętrzną sprawą ZSSR; pozornie nic nie mogło zmącić zdrowej i czystej atmosfery Sali Kolumnowej Domu Związków Zawodowych, nad którą unosiły się jedynie duchy kolejno tutaj chowanych *gensek'ów*.

Regulamin był ten sam co zawsze: ilość partii jest nieograniczona, zwycięzcą i mistrzem świata zostaje ten, kto pierwszy wygra sześć partii, remisy się nie liczą. Ale nie wygrał NIKT, tylko Kreml rozegrał swój największy szwindel w historii szachów. Proszę o chwilę uwagi, bo daty są ważne. Oto jak potoczył się turniej.

10 września 1984 rozegrana została pierwsza partia.

6 października, po dziewięciu partiach, Karpow prowadził 4 : 0. Istny *knock-out*, powiedzieli, wówczas fachowcy. Kasparow wyglądał na sparaliżowanego, nikt nie dawał kopiejki za jego szanse, federacja sowiecka ustalała już kalendarz spotkań dla nowego-starego mistrza świata.

W tym momencie sparaliżowany Kasparow zmienia taktykę i otwiera działania w najbardziej niszczącej wojnie pozycyjnej w historii szachów: remis za remisem, 17 nierozstrzygniętych partii z rzędu, jedna po drugiej.

Mimo tego, 24 listopada, Karpow wygrywa znowu. Jest 5 : 0. Nic już nie może uratować Kasparowa, z takiej otchłani nikt jeszcze nie wyszedł, zwłaszcza grając przeciw Karpowowi u szczytu formy.

Ale to pomyłka, pozory. W tym meczu Karpow już więcej nie wygra!...

13 grudnia Kasparow wygrywa pierwszą partię. Jest 5 : 1.

Następuje znowu seria 14 remisów i dzieje się rzecz niezwykła. Karpow gra jak we mgle, role się odwracają. Cud na szachownicy byłby więc możliwy.

30 stycznia Karpow przegrywa partię nr 47, a 8 lutego partię nr 48. Jest 5 : 3.

Pewien świadek cudu wspomina, a był już styczeń 1985 roku, że Karpow, 33 lata, jest wykończony, wygląda jak Czernienko, 73 lata, i jak się miało niedługo potem okazać, właściwie już nieboszczyk. Inny obserwator, bardziej poetycki, przypomniał, iż Karpow, tak jak Łuzin, bohater Nabokowa, przepadł „w bezdennej otchłani szachów”. W czasie, kiedy Karpow, który nie wytrzymał trudów sportowego turnieju, przepadał w otchłani, Kasparow wchodził do historii jako bohater najbardziej sensacyjnego *come-back* w dziejach szachownicy. Sprawdziło się zdanie, iż „na 64 polach szachownicy dzieje się więcej sensacyjnych wydarzeń niż na wszystkich oceanach”.

I wtedy znowu wkroczyła partia. Łatwiej jej było działać w Moskwie niż w Baguio, ale skandal był tym większy. Kiedy mianowicie już tylko gong, jak na ringu, mógł uratować Karpowa, kiedy arcymistrz Robert Byrne zauważył, że wyczerpany Karpow „gra jak w malignie”, cud się zdarzył i gong się odezwał. Uderzył weń przewodniczący FIDE, Światowej Federacji Szachowej, Filipińczyk Florencio Campomanes, który przerwał mecz „w interesie przemęczonych graczy i szachów”.

Gwałcąc wszystkie statuty FIDE, zdrowy rozsądek, podstawowe reguły sportowego *fair-play*'u i zwykłej uczciwości, Campomanes uznał za niebyłe 31-sze mistrzostwa świata w szachach, wynik 5 : 3, pięć miesięcy zmagania, 48 partii, 1.655 ruchów, ponad 200 godzin myślenia dwóch genialnych mózgów. Kreml postanowił, że 48-ma partia będzie ostatnia w tym meczu i Campomanes nic nie mógł na to poradzić. Federacja sowiecka zrzesza większość arcymistrzów, ponad połowę turniejowych graczy z całego świata, rządzi w światowej federacji jak w Riazaniu czy Omsku. A ponadto, szczególnie godny podkreślenia: Campomanes, lub też jak go określił Spasski, Karpomanes, został wybrany przewodniczącym FIDE dzięki poparciu ZSSR, który wolał Filipińczyka zamiast Islandczyka Olafsona, znanego z niezależności sądu, lub też Jugosłowianina Gligorica, który zbyt dobrze zna obyczaje Słowian z północy.

W świecie szachowym wybuchła straszliwa awantura, w świecie politycznym nikt się nie dziwił, gong był do przewidzenia, po 48 partiach był właściwie nieunikniony: Karpow nie mógł przegrać, bo Kasparow nie miał prawa wygrać.

Co się stało? Dlaczego Kasparow był skazany? Ja rozumiem Korcznoj, ten Trocki szachownicy, Żyd, zbieg, „zdrajca i narcyz”, ale Kasparow?

Okazuje się, że Kasparow też jest nieczysty. Dwa razy zmienił nazwisko ale, jak wykazał jeszcze polski rok 1968, jest to operacja, nawet jeżeli dwukrotna, niewystarczająca. Do 12-go roku życia Kasparow, który jest bardzo niedobrym mieszkańcem: z ojca Żyd, z matki Ormianin, nazywał się po prostu i normalnie Weinstein. Kiedy ojciec umarł, a Gary okazał się już mistrzem szachownicy, „zasugerowano” mu przyjęcie nazwiska matki, Kasparian, co brzmi jednak lepiej od Weinsteina. Kiedy zaś Gary zaczął robić światową karierę, zmieniono mu znowu nazwisko na Kasparow, zrusyfikowaną wersję Kaspariana.

I tak byłoby już zostało, gdyby młodemu Weinsteinowi nie przewróciło się w głowie i nie przejawiał chorej ambicji sięgnięcia po tytuł mistrza świata i koronę, która tak godnie spoczywała na skroni rasowo czystego Karpowa. Kasparow, potomek dwóch narodów, do których naród sowiecki nie może mieć zaufania, mieszaniec, jak to często bywa, genialny, prawdziwy, jak Fisher, Mozart szachownicy, fantastycznie błyskotliwy, agresywny gracz, jest ponadto osobnikiem absolutnie niegodnym zaufania partii. Poza niedobrym pochodzeniem, Kasparow przejawia także niezdrową, jak na sowietyzm, niezależność sądu. Chwalił Fishera, interesował się światem, miał swoje zdanie, zboczenie, które wyszło na jaw, kiedy decyzję Campomanesa nazwał publicznie, na konferencji prasowej w Moskwie, zwyczajnym nadużyciem zmierzającym do pozbawienia go tytułu mistrza świata.

A jak zareagował Karpow? Po sowiecku. Kiedy było już po wszystkim, mecz był już oficjalnie nieważny, Moskwa *locuta, causa finita*, wtedy Karpow oświadczył, że o decyzji Campomanesa dowiedział się przez... telefon, zainstalowany, jak u każdego obywatela ZSSR, w jego prywatnym samochodzie, że jest, naturalnie, gotów grać nadal i do końca. Ale nie grał. Partia zabroniła 49-tej partii...

Co dalej? Jaki następny ruch szachowy poza szachownicą i jakie figury zostaną wprowadzone przez Kreml do teorii gambitów, otwarcia i końcówek, pata i mata?

W chwili kiedy ten numer *Kultury* dojdzie do czytelnika, już wszystko będzie jasne. A jaka z tego lekcja? Nie nowa, ale tak ważna, że nigdy się nie znudzi, ta mianowicie, że Związek Sowiecki nie cofnie się przed najbardziej nawet, aż do absurdu, cynicznym pohańbieniem zasad, kiedy a) w grę (także szachową) wchodzi jego interes polityczny lub... rasowy, b) kiedy ryzyko

konsekwencji jest minimalne lub żadne (koszta moralne nie są naturalnie w ogóle brane pod uwagę).

Oczywiście, jak nas pouczają niektórzy sławni amerykańscy kolumniści, należy zachować jak najdalej idącą ostrożność i nie wpadać w antysowiecką paranoję w ocenie motywacji postępowania Kremla. Inaczej bowiem ktoś mógłby np. dojść do nierozumnego wniosku, iż cynizm ze sprawy Weinsteina należy do tego samego mechanizmu psychicznego, który nasunął pomysł posłużenia się przez KGB pośrednictwem Bułgarów dla wysłania Turka w celu zabicia polskiego papieża. A przecież to brednia...

Pisane 4 czerwca 1985.

*Kultura* nr 7/454-8/455, 1985.

---

ZCZS OTK545 ITF o20 ARI580 739

To nie jest zecer w malignie. Aby oddać wielkość nieporozumienia, które jest treścią tego felietonu, nie znalazłem jednak lepszego tytułu niż kod, otwierający depezę jaka dnia 10 sierpnia znalazła się na biurku redaktora *Kultury*. Oto jej treść:

JERZY GIEDROYC 91 AV DE POISSY MAISONS  
LAFFITTE STOP ZARZĄD ZWIĄZKU POLAKÓW W AR-  
GENTYNIE PROTESTUJE ENERGETICZNIE PRZECIW TER-  
MINOM ARTYKUŁU BRUKSELCZYKA NR 7/8 KULTURY  
STOP RÓWNOCZEŚNIE WYSYŁAMY LIST STOP WIKTO-  
RIA ARDASIEWICZ MACHNIKOVA PREZES STOP

List nadszedł w parę dni później. Podpisany jest już nie tylko przez prezesa panią Ardasiewicz, ale i sekretarza generalnego pana mgr. Witolda Ptasznika. List pisany jest na papierze firmowym UNION DE LOS POLACOS EN LA REPUBLICA ARGENTINA, inaczej mówiąc Związku Polaków w Republice Argentyny, Buenos Aires, Serrano 2076 matr. 1726. Co ważniejsze jedną trzecią każdej strony papieru firmowego (pionowo) zajmuje spis 47 organizacji polonijnych w Argentynie zrzeszonych w ZPA. W imieniu tych 47 organizacji pani Ardasiewicz i pan

Ptasznik uważają, że mają „nie tylko prawo, ale i obowiązek” zaprotestować przeciwko artykułowi Brukselczyka. „Jeżeli ktoś pisze — głosi od razu na wstępie list ZPA pod moim adresem — nie mając odpowiednich informacji, jest to niepoważne i lekomyślne, ale jeżeli ktoś pisze na podstawie obfitych i złych informacji, jest to już niebezpieczne i wysoce szkodliwe postępowanie”. Zastanawiam się czy nie zachodzi jeszcze inny, znacznie gorszy, typ pisania, wtedy mianowicie, kiedy się posiada obfite i wiarygodne informacje, ale robi się z nich niewłaściwy, błędny, zbędny i niebezpieczny użytek.

Oto najważniejsze fragmenty listu ZPA:

### List ZPA

„... Na przestrzeni ostatnich lat w Argentynie toczyła się nieubłagana wojna domowa. Naród argentyński padł ofiarą zorganizowanej agresji ze strony ruchów marksistowsko-komunistycznych, które nie przebierając w środkach usiłowały opanować ten ważny kraj południowoamerykański. Świat zblazowany wojną w Korei, Wietnamie, Algierii, na Bliskim Wschodzie i wojnami w Afryce nie zwrócił dostatecznej uwagi na tę okrutną wojnę w Argentynie. Rosja nie miała interesu o tym mówić, demokracje europejskie i Stany Zjednoczone zachowały ponizające milczenie.

W Argentynie tymczasem ginęły setki i tysiące ludzi mordowanych przez komunistyczne bandy. Ginęli żołnierze, cywile, kobiety i dzieci. Nikt nie mówił o „prawach ludzkich”, Amnesty International nie interweniowało, Senat Stanów Zjednoczonych nie tworzył żadnych komisji, Departament Stanu zachowywał dyskretne milczenie. Świat o tym nie chciał wiedzieć...

... Czymże się naraził światu reżym rewolucji 1976 roku. Prawdopodobnie tym, że nareszcie zakończył zwycięsko wojnę domową. Bandy uzbrojonych komunistów zostały rozgromione, a ich 'waleczni' przywódcy uciekli zostawiając resztki zbałamuconych szeregów w rozsypane.

Przywódcy ci obładowani zagranicznymi pieniędzmi z napadów, sekwestrów i szantaży urzędują obecnie w luksusowych warunkach we Francji, Włoszech i Belgii, skąd prowadzą znaną całemu światu propagandę szkalującą Argentynę...

My Polacy byliśmy pewni, że nasi wyrobieni politycznie pisarze i dziennikarze nie pójdą na lep komunistycznych informacji. Niestety artykuł 'Brukselczyka' przekonał nas, że byliśmy w błędzie.

'Brukselczyk' pisze: "obecny reżym argentyński jest odpowiedzialny za zamordowanie 6.000 osób, za uwięzienie ponad 15.000 oraz za bliżej nieokreśloną liczbę osób zaginionych".

Są to niewątpliwie cyfry dramatyczne, cyfry ofiar wojny domowej i są wśród nich ofiary jednej i drugiej strony, ale odpowiedzialność jest jednostronna: — komunistów.

Przerzucanie tej odpowiedzialności na 'reżym argentyński' jest oczywiście marksistowską dialektyką...

Na pewno były również pomyłki i wykroczenia ze strony aparatu represyjnego. Wyraźnie o tym mówił Videla.

Ale tam, gdzie toczyła się wojna, gdzie tych wykroczeń nie było? Były na pewno we Wietnamie, w Algierii i w Afryce.



W tej wojnie argentyńskiej nie zapominajmy, był również w grze los tysięcy Polaków, którzy tu żyją i pracują. Nasze miejsce w tej wojnie było po stronie Argentyny.

Teżą główną omawianego artykułu wydaje się być, że zwalczać należy na równi wykroczenia komunistycznej lewicy, jak i prawicowej reakcji. Pozornie wszystko w porządku, a równocześnie jest to teza bardzo bałamutna.

... Stawianie znaku równości między zbrodniami komunizmu i wykroczeniami pewnych reakcyjnych ośrodków jest, delikatnie mówiąc, wybielaniem pierwszych i równocześnie rozbrajaniem opinii światowej oraz frontu narodów uciemnionych. Zło jest złem gdziekolwiek się ono znajduje. Obrońcy wolności winni strzec czystości swych intencji ponieważ to daje podstawę moralną do krucjaty zwycięskiej.

... Szkoda, że (artykuł) ukazał się na łamach *Kultury*, którą przywykliśmy uważać za ośrodek odnowy polskiej myśli politycznej.

... Kiedy po wojnie nasi byli sojusznicy w demokratyczny sposób wprowadzali ograniczenie pracy dla swych dawnych towarzyszy broni, uważając ich za obywateli drugiej klasy, Argentyna nie mająca wobec nas żadnych zobowiązań przyjęła nas jak braci. Nie mieliśmy żadnych trudności. ... Związek Polaków grupuje wszystkie organizacje i stowarzyszenia polskie na terenie całego kraju. Poza Związkiem jest jedynie zasłużone dla sprawy polskiej 'Ognisko Polskie' w Buenos Aires, zawsze jednak wspólnie ze Związkiem występuje solidarnie wobec obcych.

Może nigdzie tak w świecie, jak w Argentynie, Polacy swobodnie mogą mówić o prawach Narodu Polskiego do Wolności, o jego krzywdzie i niewoli. Nigdzie tak, jak w Argentynie Polacy znajdują pełne poparcie i zrozumienie władz i społeczeństwa. Zmieniali się prezydenci, rządy i systemy, ale stosunek do Polaków był zawsze niezmiernie pozytywny...

... Do Argentyny w okresie mistrzostw światowych przyjechało kilkanaście tysięcy widzów, wśród nich wielu dziennikarzy i ludzi, którzy umieją obserwować i patrzeć, 20 czerwca w Rosario obchodzone było jedyne w swoim rodzaju 'Święto sztandaru narodowego' — 'Dia de la Bandera'. Kilkadziesiąt tysięcy ludzi pod pomnikiem Belgrano. Wśród nich zjawia się generał Videla. Dziennikarze patrzyli zdumieni na spontaniczną, żywiołową manifestację na cześć Prezydenta. To nie była zorganizowana manifestacja, to był odruch samorzutny wolnego narodu...

Prezydent był kolejno na wszystkich stadionach, gdzie toczyły się rozgrywki o mistrzostwo świata w piłce nożnej. Wszędzie był witany z oznakami szacunku i sympatii, przybysze z Europy i z całego świata słyszeli wszyscy ten jeden ogromny okrzyk: 'Argentyna'".

## 1. Białe i czarne

Niechętnie skracałem list ZPA. Z braku miejsca musiałem jednak pominąć w liście ZPA, no i w mojej odpowiedzi, nieporozumienia wynikające z błędnego odczytania mojego artykułu, lub też, co gorsza, z braku poczucia humoru (autora lub czytelnika...). Aby uniknąć zarzutu o demagogię, zaoszczędzę czytelnikom *Kultury* długiego przytaczania statystyk, zeznań, świadectw, reportaży, dokumentów, które — jak można się łatwo przekonać z lektury prasy codziennej — nie wszystkie pochodzą od pła-

wiących się w rozpuszczenie i zgniliznie Paryża czy Brukseli komunistycznych podżegaczy, a które w dość przekonujący sposób kreślą obraz Argentyny, gdzie została właśnie „zwycięsko zakończona wojna domowa”. Oto więc kilka uwag ogólniejszej natury (kolejność przypadkowa).

„W Argentynie Izabeli Peron ginęli ludzie, świat nie chciał o tym wiedzieć...”, pisze ZPA. To nieprawda, ale powiedzmy, że tak było. Czy jednak pani Ardasiewicz uważa wobec tego, że świat powinien w dalszym ciągu milczeć? „Wojna domowa jest zwycięsko zakończona, bandy uzbrojonych komunistów są rozgromione”. To może prawda, ale czy pani Ardasiewicz nie uważa, że teraz należałoby rozbroić bandy uzbrojonych niekomunistów? Czyżby przedtem ginęli sami niewinni i szlachetni ludzie, a potem tylko członkowie „band uzbrojonych komunistów...”. List ZPA zauważa, że kiedy ginęli ludzie z rąk „uzbrojonych komunistów”, to *Amnesty International* nie protestowała. To nieprawda, ale powiedzmy, że tak było. Czy pani Ardasiewicz uważa jednak, że wobec tego nie powinna protestować i dzisiaj. No, a poza tym warto pamiętać, że choć wtedy rzekomo milczała, to dziś *Amnesty* protestuje przeciw samowoli i w Argentynie i w ZSSR; w Chile i w Czechosłowacji; w Iranie i w Kambodży, podczas kiedy list ZPA jest podejrzenie i ryzykownie jednostronny w czasie i w przestrzeni.

## 2. Na czym lepie?

Brukselczyk, i za nim *Kultura*, „poszli na lep komunistycznych informacji”, pisze ZPA. Nieścisłe. Komunistyczna prasa jest bardzo powściągliwa na temat Argentyny. Między państwami komunistycznymi a Argentyną panują jak najlepsze stosunki. Wszelkie nieśmiałe hasła bojkotu piłkarskiego pucharu łamały się o słupy graniczne obozu socjalizmu, w tym Polski, której drużyna marzyła o finale. Admirał Massena (nazwisko i adres znane ZPA...), najbliższy człowiek Videli, argentyński numer 2, bawił niedawno w Rumunii, gdzie wszak już dawno rządzi „banda uzbrojonych (i to jak jeszcze) komunistów”, a z którą Rumunią Argentyna pragnie — jak to głosił komunikat oficjalny — utrzymywać jak najlepsze stosunki przyjaźni i współpracy. Czy mówiąc o „komunistycznym lepie” ZPA ma na myśli federację chrześcijańskich związków zawodowych we Włoszech, francuskiego premiera Barre’a, pisma codzienne *Le Monde*, *The Times*, *International Herald Tribune*, *Le Soir*, żeby ograniczyć się do wydawnictw nieco bliżej mi znanych, a które wszystkie pisały,

udowodniały i protestowały przeciwko nadużyciom władzy w Argentynie i za Izabeli i za Videli, nie pytając czy ofiary należały do Związku Polaków, Stowarzyszenia Żydów czy wprost do narodu argentyńskiego. Czterech Francuzów, aresztowanych jeszcze przez Izabelę, ale przetrzymanych przez Videlę przez dalsze cztery lata, zostało właśnie zwolnionych w związku z nadchodzącymi wielkimi zakupami broni we Francji. Potwierdzili oni suche fakty, odmówili jednak wdawania się w szczegóły. „Siedzi jeszcze kilka czy kilkanaście (nie wiadomo dokładnie), tysiący więźniów politycznych, lepiej za dużo nie mówić, są tam jeszcze Francuzi, Włosi, Niemcy itd., nie mówiąc już o Argentyńczykach i nie należy pogarszać ich sytuacji”. A może siedzą też Polacy? Chciałbym tylko nadmienić, że skoro Związek Polaków uważa, iż wszystko jest w najlepszym porządku i że nie ma powodu do obrony Francuzów, Niemców, Żydów czy Argentyńczyków, to może zabraknąć Francuzów, Niemców, Żydów czy Argentyńczyków, kiedy i na Polaków, za Videli lub za jego następców, przyjdzie także, co nie daj Boże, kolej.

Aby uniknąć podejrzania o stronniczość chciałbym przekazać ZPA następującą informację. Od 28 sierpnia obraduje w Genewie podkomisja praw człowieka ONZ. Ostatecznie ośmieszona i powszechnie wykpiąca, podkomisja ta, opanowana przez większość złożoną z państw komunistycznych i ich trzecioświatowych sojuszników (m.in. ... Argentynę), zajmowała się wyłącznie przypadkami gwałcenia praw ludzkich w Afryce Południowej, Chile no i naturalnie, w Izraelu. W pozostałych państwach, od Czechosłowacji do Ugandy wszystko, według podkomisji, było w porządku. W tym roku jakos obrodziło i zalew wniosków o studiowanie gwałtów był taki, że podkomisja wyznaczyła grupę złożoną z 5 ekspertów dla dokonania wstępnej selekcji. I podkomisja i grupa ekspertów obradują, co jasne, w tajemnicy, co ma rzekomo zapewnić większą skuteczność w badaniu gwałtów na ludziach i ich prawach. Mimo tego sekretu, mogę zakomunikować ZPA, że w roku 1978 największa liczba skarg na łamanie praw ludzkich dotyczyła właśnie Argentyny. Według informacji ze źródeł zbliżonych do podkomisji, od chwili zakończenia Pucharu piłkarskiego w stolicy Argentyny dochodzi do sześciu wypadków „zaginięć” dziennie, nie licząc prowincji i nie licząc drobniejszych gwałtów.

Otóż propozycję zbadania tych „zaginięć” wnieśli delegaci nieuzbrojonych niekomunistów, a mianowicie Francuz i Anglik, natomiast zablokowali ją przedstawiciele „superuzbrojonych komunistów”, a mianowicie p. Sergiusz Smirnow, delegat ZSSR i jego bułgarski kolega. Ujawnienie tej tajemnicy wywołało kolo-

salne oburzenie w Genewie. P. Smirnow stwierdził, iż jest to próba oczernienia ZSSR, zażądał przeprowadzenia śledztwa na temat okoliczności ujawnienia tajemnicy, ale ani jednym słowem, choć miał tak cudowną okazję, nie zdementował informacji. Czy ZPA rzeczywiście ciągle jeszcze wierzy, że to komuniści podpuścili *Kulturę* i Brukselczyka?!

### 3. *Generał Videla i cesarz Teodozjusz*

„Prezydent był wszędzie witany z oznakami szacunku i sympatii”, pisze pani Ardasiewicz. Nie wszędzie. Na przykład nie w Watykanie, gdzie bawił z okazji inauguracji pontyfikatu Jana Pawła I. Katolicy włoscy potraktowali obecność Videli w Watykanie jako pierwszy błąd nowego papieża. Pewien pisarz zauważył, przy tej okazji, że kardynał Marty, arcybiskup Paryża a nie „uzbrojony komunista” odmówił zgody na celebrowanie pewnej ceremonii religijnej, którą władze argentyńskie odprawić chciały w Notre Dame w Paryżu. Ów pisarz przypomniał też, że Ambroży, biskup Mediolanu odmówił celebrowania mszy w obecności cesarza Teodozjusza, odpowiedzialnego za wycięcie zbuntowanych mieszkańców Salonik, ówczesnych — można powiedzieć — „uzbrojonych komunistów”. Otóż pisarz ów był zdania, że miejsce Videli było nie wśród możliwych tego świata, a tam gdzie znalazł się w Watykanie cesarz Teodozjusz: na miejscu grzesznika przybyłego błagać o wybaczenie.

I jeszcze jedna uwaga. Pisarz, który przypomniał Teodozjusza, to nie żaden uzbrojony komunista, ani zażywający uciech emigrant, a André Mandouze, dziennikarz i literat katolicki, żołnierz antyhitlerowskiego podziemia, jeden z założycieli pisma *Témoignage Chrétien*.

### 4. *Skąd my to znamy?...*

„Cyfry dramatyczne, ale odpowiedzialność jest jednostronna — komunistów” — pisze ZPA. Komuniści odpowiedzialni są np. za wymordowanie 60 milionów (według pobieżnych obliczeń Sołżenicyna) obywateli sowieckich i innych obywateli, nie należy więc przesadzać i obarczać ich odpowiedzialnością za nie ich ofiary. Ale, powiedzmy. Dlaczego jednak, zdaniem ZPA, to co się dzieje obecnie nazywa się „pomyłkami i wykroczeniami”? Zła wola czy nieznamość historii? „Pomyłki i wykroczenia” lub, w żargonie komunistycznym, „błędy i wypaczenia” miały, najzu-

pełniej nieskutecznie zresztą, usprawiedliwić miliony ofiar w ZSSR, Polsce i na całym Wschodzie. Chruszczow mówi o tym na XX-tym zjeździe, tym chciał zresztą usprawiedliwić zbrodnię w Katyniu, w czym mu przeszkodził przerażony Gomułka. Czyżby w rzeczywistości argentyńskie „wykroczenia i pomyłki” były tak ogromne, że wymagają stalinowskich łamańców propagandowych i komunistycznego słownika?

##### 5. *Między Pragą a Buenos Aires*

„Dziennikarze — pisze pani Ardasiewicz — patrzyli zdumieni na spontaniczną manifestację na cześć prezydenta”. To — dodaje prezes ZPA — był „odruch samorzutny wolnego narodu”. Szkoda, że prezes ZPA nie mogła oglądać telewizyjnego sprawozdania z tegorocznej manifestacji pierwszomajowej w Pradze. Otóż 100 % manifestujących w Pradze gardzi prezydentem Husakiem i jego rządem, wymiotuje na widok hasła na cześć partii i niezłomnej przyjaźni z ZSSR. A jednak znaleźli się dziennikarze, którzy odkryli 1 maja w Pradze „samorzutny odruch wolnego narodu”. Manifestacja pierwszomajowa w Warszawie w 1970 roku wyglądałaby według tych kryteriów także na „samorzutny odruch wolnego narodu” na cześć prezydenta Władysława Gomułki. A przecież w sześć miesięcy później za cenę kilkuset ofiar na Wybrzeżu, Gomułka schodził ze sceny, tym razem w wyniku naprąde samorzutnego choć kosztownego odruchu wolnego narodu.

##### 6. *Śmierć symulantów*

Są, domyślam się, powody głębszej natury, które sprawiają, że Związek Polaków *en la Republica Argentina* uważa za właściwe i niezbędne wzięcie w tak kategoriyczny sposób w obronę „pomyłek i wykroczeń” przed Brukselczykiem i *Kulturą*. Są, domyślam się, względy taktyczne: trzeba dobrze żyć z władzą, bronić interesów wyższego rządu, przyszłości Polonii. To zrozumiałe. Są instytucje potężniejsze od ZPA, np. Kościół katolicki, Cerkiew prawosławna, partie komunistyczne czy wręcz ogromne państwa (wizyta Huo Kuo-fenga w Iranie, czy przyjaźń ZSSR z Irakiem gdzie w tym roku oficjalnie powieszono ok. 50 komunistów), które w imię interesów strategicznych, długofalowych, szły na taktyczne kompromisy. Ale...

„Tam gdzie toczy się wojna... — pisze ZPA — tam wióry

lecą... Stawianie znaku równości między zbrodniami komunizmu a wykroczeniami pewnych reakcyjnych ośrodków jest delikatnie mówiąc wybielaniem pierwszych i równocześnie rozbrajaniem opinii światowej... Czystość intencji daje podstawę moralną do krucjaty zwycięskiej...". Tu już nie chodzi o taktykę, ani o kompromisy. Tłumacząc zbrodnie stalinizmu, tego naprawdę uzbrojonego komunizmu, lewica zachodnia wołała, że nie można usmażyć omletu bez rozbicia jajek. Ale przynajmniej tu, na Zachodzie ludzie trzeźwi wołali, że jajka są rozbite, ale omletu nie widać.

„Zło jest złem, gdziekolwiek się znajduje” — pisze pani Ardasiewicz. Wszędzie, tylko nie w Argentynie, gdzie nie ma zła a są tylko „wykroczenia”. I to wystarczy władzom ZPA, aby w imieniu 47 organizacji polonijnych nawoływać do krucjaty. Szwejk raportował, że „dziś w nocy znowu 15 symulantów umarło”. Pani Ardasiewicz komunikuje, że było kilka pomyłek.

## 7. Wszystkie jajka w jednym koszyku

Swoje selektywne oburzenie, to subtelne rozróżnienie na zbrodnie i wykroczenia, list ZPA tłumaczy: „Zmieniali się prezydenci, rządy i systemy, ale stosunek do Polaków był zawsze niezmiennie pozytywny”. Otóż zachodzi obawa, że okres „niezmiennie pozytywny” może dość szybko przejść do historii. Następcy generała Videli nie będą, być może, odczuwali specjalnej wdzięczności dla 47 organizacji społecznych, które tak bez zastrzeżeń popierały jego reżym. Stawiając sprawę w inny, bardziej prosty sposób, Polonia argentyńska nie powinna, być może, wkładać wszystkich jajek (znowu jajka, może to obsesja?) do jednego koszyka. Ostrożność i umiarkowanie w polityce zawsze się opłacały, zaślepienie, jednostronność i brak wyobraźni rzadko ostawały się próbami historii.

Oczywiście, wiem, że padały, i to jak liczne, ofiary także czerwonego terroru w Argentynie i gdzie indziej, wiem także, że nastąpiła w Argentynie pewna poprawa w zakresie praw człowieka. Ale właśnie dlatego chciałbym zwrócić uwagę ZPA, iż wbrew temu co jego list wydaje się sugerować, alternatywa nie sprowadza się do „albo komunizm albo junta”. W Grecji, Hiszpanii i Portugalii, wszędzie tam gdzie nie sięga doktryna Breżniewa, a gdzie istnieją tradycje chrześcijańskiej cywilizacji i określone minimum przemysłowej infrastruktury, wszędzie tam po faszyzmie przyszła demokracja. Argentyna to duży kraj, o głębokim przywiązaniu do chrześcijaństwa i rozwijającym się przemyśle.

Nie ma powodu, aby *à la longue* wykluczyć możliwość powstania tam jakiejś formy ustroju demokratycznego. Uznając i przesadzając, że poza juntą jest tylko chaos i „bandy uzbrojonych komunistów”, władze ZPA biorą na siebie poważną odpowiedzialność. Zapłacą za to być może następcy pani Ardasiewicz i pana Ptasznika, którzy znajdą się w przyszłości u władzy w ZPA.

Pisane we wrześniu 1978.  
*Kultura* nr 10/373, 1978.

# ŚCIANA BEZ PŁACZU





## ZNOWU O JEDEN NARÓD ZA DUŻO...?

Motto: „*Poskrobcie sędziogo,  
a odnajdziecie kata...*”

Wiktor Hugo

Piszę te słowa na 5 tygodni przed ich ukazaniem się w druku. Jest to zupełne szaleństwo dziennikarskie. Minęły już tygodnie od początku oblężenia Bejrutu. W paryskim *Expressie*, którego nie można posądzić o wrogość wobec Izraela, znalazłem *à propos* Bejrutu następujący cytat z greckiego poety Konstantego Kawafisa: „Barbarzyńcy obozowali przez długie tygodnie pod cytadelą. Znieśli oblężenie, kiedy dowiedzieli się, że wszyscy mieszkańcy zwariowali...”.

Nie mieszkam w oblężonym Bejrucie, ale odnoszę czasami wrażenie, że można zwariować także bez oblężenia.

Żadne państwo nie powstało bez bólu, zwłaszcza dla jego sąsiadów. Wojny nie należy potępiać za to jedynie, że jest wojną. Izrael jest państwem jak inne, Cahal nie jest armią zbawienia. Domaganie się od Izraela, aby w imię specjalnie dla niego wymyślonego kodeksu moralnego popełniał to, co w jego rozumieniu równałoby się samobójstwu, nie ma po prostu sensu.

Tak więc można nad tym boleć, ale nie należy się dziwić, że rząd Begin'a oczywiście kłamał:

- a) kiedy zapowiadał, że wojska jego zatrzymają się o 40 km od granicy libańsko-izraelskiej,
- b) kiedy wysuwał zamach na swego ambasadora w Londynie jako powód inwazji,
- c) kiedy tłumaczył, że dywanowe bombardowania cywilów były niezbędne dla złamania siły wojskowej OWP,
- d) kiedy twierdził, że liczba ofiar cywilnych jest stosunkowo

niewysoka i że dowództwo Cahalu zrobiło wszystko, aby straty cywilne zredukować do minimum,

e) kiedy głosił, że mu rzeczywiście zależy na prawdziwej autonomii Cisjordanii i Gazy,

f) kiedy przekonywał nas, że powodem inwazji na Liban była konieczność zniszczenia wojskowej siły OWP. Siła ta nigdy w rzeczywistości nie była groźna dla państwa izraelskiego. Celem inwazji było zniszczenie politycznej roli OWP, mitu jej potęgi w Cisjordanii. Tak długo bowiem jak długo ten mit istniał i jak długo w imię tego mitu mieszkańcy Cisjordanii wysuwali do władzy wyłącznie ludzi związanych z OWP, a mordowali zwolenników innego, ewentualnie mniej ekstremistycznego przedstawicielstwa palestyńskiego, tak długo wszelkie mówienie o autonomii, a w perspektywie myślenie o aneksji, nie miało w ogóle sensu.

Wojna w Libanie miała być więc wstępem do normalizacji i faktycznej aneksji Cisjordanii, tak aby nie mogło być mowy o powstaniu na tych terenach niezależnego państwa palestyńskiego. Nie trzeba się nad tym rozwodzić, sprawa jest znana. Dla rządu z Jeruzolimy — i dla ogromnej większości mieszkańców Izraela — idea takiego państwa jest nie do przyjęcia. Ich zdaniem (i nie tylko ich) będzie to bowiem sowiecka bomba z opóźnionym antyizraelskim zapłonem. Można w tej sprawie być innego zdania, ale jest to fakt i konkret, a na fakty i konkrety w polityce oburzać się nie należy. W tej zasadniczej sprawie opinia izraelska — i nie tylko izraelska — jest prawie zdecydowanie jednomyślnie negatywna.

Nad Sowietami nie warto długo się rozwodzić. Nie wymyślili niczego nowego przy okazji Libanu. Szkoda, *à propos*, że *Kultura* nie jest pismem ilustrowanym. Można by wtedy pokazać gustowne rysunki z drapieżnym Izraelem o garbatym nosie, jakie ukazały się w prasie sowieckiej, nie po inwazji Libanu, a po inwazji... Izraela w roku 1973 np., nie mówiąc już nawet o tzw. satyrze po wojnie sześciodniowej w 1967 roku. Wystarczy tylko zmienić Dajana bez oka na Begina w okularach. Identyczne cytaty: „Begin (Dajan) podlewa kwiatki, tak jak Hitler głaskał psy”, „Imperializm i obozy koncentracyjne to logika syjonizmu i wielkiej burżuazji żydowskiej”..., „Strategia *Blitzkrieg*'u skopiowana z III Rzeszy...” itd.

Nieliczone właściwie są nowości: zniknął Nahum Goldman, prezes Światowego Kongresu Żydów, w 1967 roku „główny agent zachodnioniemieckiego rewanżyzmu”, dziś „szanowana osobistość żydowska”, przeciwnik polityki Begina, i zniknęły *Deutschmarki*

zrehabilitowane kredytami na gazociąg, a pojawiły się dolary jako środek finansowania izraelskiej ekspansji.

Ale mniejsza w tym miejscu o Moskwę. Chodzi mi przede wszystkim o tzw. lewicowych intelektualistów (pisał o nich w *Kulturze* niedawno Broński), którzy usprawiedliwiali wczoraj Pol Pota, a dziś Chomeiniego. Tych, dla których przez dziesięciolecie ZSSR był nadzieją świata, a kiedy okazało się, że się pomylili, to wskoczyli w „sprawę palestyńską”.

Do ludzi pióra, którzy w kawiarni „Flora” wymyślili takie zbitki jak „Bejrut - Stalingrad”, lub „Bejrut - Oradour”, którzy z *Rive Gauche* lansowali klisze, stereotypy, podpisywali manifesty, wychodzili na ulice (kiedy nie padało), do nich chcę skierować kilka pytań zanim zdążą, tak jak po każdym zakręcie, powiedzieć: „Przepraszamy, pomyliliśmy się” i spokojnie oddać się wymyślaniu nowych klisz, bałamuceniu nowych pokoleń i hecowaniu nowych awantur.

*Po pierwsze: gdzie oni byli?*

Gdzie oni wszyscy byli i dlaczego nie manifestowali:

a) kiedy w 1970 roku król Jordanii wymordował w czasie „czarnego września” — według najbardziej obiektywnych obliczeń — ponad 30.000 Palestyńczyków?

b) kiedy w 1976 roku Syryjczycy weszli do Libanu i wymordowali kolejnych 30.000 Palestyńczyków, a potem, wraz z Palestyńczykami, 70.000 Libańczyków?

c) kiedy w 1976 roku, np. w Damur doszło do masakry rozbrojonych libańskich chrześcijan. Wojna religijna w Libanie kosztowała 100.000 istnień: gdzie oni byli, kiedy to tylko Izraelczycy, a nie Francja czy Papież, ratowali libańskich chrześcijan?

d) kiedy wojska syryjskie wymordowały 20.000... Syryjczyków w mieście Hanna, albowiem większość sunnicka nie chciała tam uznać władzy mniejszości z sekty Alawi?

e) kiedy wojna irańsko-iracka przekraczała próg 150.000 zabitych po obu stronach, nie mówiąc o uchodźcach i zniszczeniach?

f) kiedy „rewolucja” w Iranie przekraczała próg 100.000 rozstrzelanych na zimno i wymordowanych na gorąco przeciwników dementa w turbanie?

g) kto z tych wysublimowanych autorów odważnych analogii porównał kiedyś Husseina, Assada czy Chomeiniego do Hitlera? Pan Nicolas von Hoffman, rzekomo znany dziennikarz, pisząc

w piśmie angielskim *Spectator* na temat amerykańskiej reakcji na wydarzenia bliskowschodnie, porównał bez wahania Liban do Lidic i oznajmił, że „powoli, od gwałtu do gwałtu, Amerykanie przekonują się, że rząd Begina zamienia Gwiazdę Dawida w swastykę”. Czy pan von Hoffman wypowiedział się podobnie na temat Teheranu i półksiężycy?

Po drugie: dlaczego?

Dlaczego „ideolodzy”, moralisci i stratedzy z zachodniej Europy nie powiedzieli Palestyńczykom:

a) że równie moralnie okropne jak bombardowanie cywilów jest ukrywanie się za cywilami, zakładanie arsenałów w szpitalach, szkołach i w piwnicach bloków mieszkalnych, instalowanie katusz w ogródkach domków jednorodzinnych, przekształcanie ośrodków dla uchodźców kierowanych oficjalnie przez ONZ w bazy szkoleniowe terrorystów, i *last but not least* przekształcanie setek tysięcy mieszkańców Bejrutu w zakładników nie ich sprawy?

b) że są pionkami w ręku arabskich feudałów, którzy w czasie gdy dzieci palestyńskie ginęły w Sydonie czy Tyrze przegrywali w kasynach Riwiery fortuny tak wielkie, że wystarczyłyby na zapewnienie tysiącom tych dzieci przyszłości w spokoju i dobrobycie?

Kiedy sfanatyzowane bataliony Chomeiniego przekroczyły granice Iraku, feudałowie z Zatoki Perskiej natychmiast wysupełali kilkadziesiąt miliardów dolarów, aby Irak potrafił powstrzymać horde, zanim spadnie ona na ich zasoby naftowe i konta dewizowe. Dlaczego nikt nie powiedział uchodźcom w obozach palestyńskich, że ułamek sum wydanych na wojny między Arabami czy między muzułmanami wystarczyłyby na całkowite rozwiązanie kwestii palestyńskiej? Dlaczego nikt z postępowych intelektualistów nie powiedział Palestyńczykom, że są sami na świecie, porzuceni przez wszystkich arabskich braci? Szczyt arabski nie potrafił ani razu się zebrać podczas oblężenia Bejrutu, a Rada Ligi Arabskiej zebrała się właściwie tylko po to, aby odrzucić wszystkie 14 żądań jakie przedstawił jej Arafat z oblężonego bunkra. Jedyne szef arabski, który poszedł dalej niż inni, to Kadafi z Libii. Wysłał mianowicie do Arafata telegram z propozycją, aby dowództwo palestyńskie popełniło zbiorowe samobójstwo, tak by nareszcie pojawili się prawdziwi męczennicy sprawy palestyńskiej. Do chwili pisania tych słów Arafat z propozycji nie skorzystał...

c) że są kartą w sowieckim pokerze i że na trupach pa-

lestyńskich Kreml chce bez ryzyka z powrotem wjechać na bliskowschodnie salony, a los „dzieci Arafata”, jak to wyraźnie wynika z „ostrożnego” (na szczęście) zachowania się Moskwy, nic jej nie obchodzi. Że Rosji Liban służy dziś do odsunięcia w niebyt pamięciowy sprawy Afganistanu czy Polski, tak jak Suez w 1956 roku pozwolił przemilczeć masakrę Węgier.

d) że cała strategia OWP prowadziła niechybnie do katastrofy. Karta OWP, zredagowana w 1964 roku i ciągle oficjalnie aktualna oznajmia, że podział Palestyny i powstanie Izraela są „niebyłe i nieistniejące”, że cała Palestyna jest ojczyzną Palestyńczyków (reprezentowanych wyłącznie przez OWP), że tylko ci Żydzi, których przodkowie żyli w Palestynie w roku... 1882 („początek inwazji syjonistycznej”) będą mieli pełne prawa obywatelskie. Żaden odpowiedzialny polityk izraelski — nie tylko Begin — takich słów lekceważyć nie ma prawa. A ma prawo i obowiązek takim twierdzeniom się przeciwstawiać.

e) że żaden odpowiedzialny polityk izraelski nie może również brać poważnie zapewnień o ograniczeniu do terenów Cisjordanii i Gazy granic przyszłego państwa palestyńskiego jako ojczyzny milionów uchodźców, albowiem uchodźcy, którzy mieliby się w tym państwie ewentualnie osiedlić, nie pochodzą ani z Cisjordanii ani z Gazy, a pochodzą z obecnych terenów państwa Izrael i że tam zechcą zapewne wrócić.

f) że zygzaki i łamańce słowne na temat „trzeciego państwa”, zakładającego uznanie Izraela, łamańce wynikające najpierw z taktyki dyplomatycznej, a potem wymuszone przez czołgi izraelskie, nie mogą zrównoważyć faktu, iż od 34 lat 21 państw arabskich ze 150 milionami mieszkańców, wspomaganych przez 40 innych państw muzułmańskich, odmawia uznania jednego państwa izraelskiego z 3,5 milionami mieszkańców, w tym 500.000 Arabów.

g) że tylko droga Sadata — zamordowanego przez zwolenników ideologii do dziś oficjalnie wyznawanej przez Arafata — prowadzi do pokoju na Bliskim Wschodzie i w perspektywie do cywilizowanego rozwiązania kwestii palestyńskiej. W 1973 roku Sadat rozpoczął wojnę w której Izrael stracił, stosunkowo, trzy razy więcej żołnierzy niż USA w Wietnamie. Dopiero kiedy Sadat zrozumiał, że do Jerozolimy na czołgu nie dojedzie, udał się tam Boeingiem.

h) że warto się zastanowić jak to się stało, że chociaż Cisjordania i Gaza przez 20 lat były pod rządami Arabów, nikt nie pomyślał nawet o utworzeniu tam państwa palestyńskiego, a stało się tak dopiero kiedy słuszne zresztą hasło samostanowienia Palestyńczyków weszło do arsenału strategii wielkich feudałów

arabskich i gry wielkich mocarstw jako jeden z elementów równowagi sił na świecie.

i) że warto studiować dokumenty. *Porte-parole* Breżniewa, Leonid Zamiatin nie ukrywa np., że Moskwie chodzi przede wszystkim o powrót do koncepcji bipolarnego świata, o nowe wydanie Jałty, o nowe kondominium, oparte o zasadę unikania wszelkim kosztem, a przede wszystkim cudzym kosztem, np. Palestyńczyków, konfliktu z USA. Mówiąc o Libanie, Zamiatin mianowicie przestrzegł przed groźbą kolizji sowiecko-amerykańskiej „w wyniku konfliktów peryferyjnych”. To jest prawda, dla Moskwy wszystko jest sprawą peryferyjną. Z wyjątkiem interesu ZSSR naturalnie.

j) że Izrael idzie na wojnę, bo właśnie nie godzi się na statut peryferyjny ani na rolę ewentualnej ofiary w imię super-wielkiego kondominium. Piąta wojna arabsko-izraelska jest koszmarna. Jest to najdłuższa wojna izraelska i pierwsza, która nie zespala Żydów, a zaczęła ich dzielić. Ale przecież jest faktem, iż dopiero krwawa i kosztowna inwazja Libanu przez Izrael zmusiła Arafata i inne państwa arabskie do odejścia jeżeli nie od ducha Karty OWP, to przynajmniej od jej litery. Co lub kto ma przekonać Izrael, że warto i trzeba (ja jestem o tym przekonany) ryzykować pokój i dogadywać się nawet z OWP? Jak przekonać Izrael, że po pokoju nie spotka go los chrześcijan z Damuru czy Palestyńczyków z Jordanii, czy po prostu Libańczyków, których ponad 100.000 zostało zamordowanych z a n i m pierwszy czołg izraelski przejechał rzekę Litani a batalion z Entebbe zdobył ruiny zamku Beaufort.

Nie uznawany przez Arabów, Izrael sięga po broń, bo nie może ufać nikomu. Czy miałby ufać Francji, która nie zrobiła niczego, aby uratować „swoich” Libańczyków? P. Claude Cheysson, francuski minister spraw zewnętrznych, udzielił obszernego wywiadu radiu France Internationale. Wyrzucił on swój „głęboki szacunek dla rewolucji irańskiej” oraz swój podziw dla „niewątpliwego autorytetu jakim się cieszy prezydent Kadafi w swoim kraju oraz w sporej części świata arabskiego i Afryki”. W tym samym wywiadzie p. Cheysson oświadczył, że jest „rzeczą oczywistą, iż państwo palestyńskie powinno być usytuowane w centrum tego czym była Palestyna”. Jakie nadzieje na bezstronność tego polityka może żywić Izraelczyk, kiedy p. Cheysson — który zapytany 13 grudnia 1981 roku o to, co robi Francja w reakcji na pucz w Warszawie, odpowiedział: „oczywiście nic” — piętnuje dziś inwazję izraelską na Liban, ale uznaje za „oburzające interesowanie się obecnością wojsk kubańskich w Angoli”. Jaką lekcję mają wysnuć odnośnie stanowiska Zachodu Izraelczycy —

ale także np. i Polacy — z twierdzenia p. Cheyssona *à propos* Angoli, że „wezwanie o czyjąkolwiek pomoc z zagranicy jest sprawą suwerenności każdego państwa”. Czy dotyczy to także „wydarzeń” w Pradze w 1968 roku? Czy to na p. Cheyssona miałby liczyć Izrael, gdyby np. Syria wezwała na pomoc Iran lub... Kubę?

A może zaufać Anglii, która piętnuje Izrael za najazd na Liban, skąd szły pociski na Galileę, ale wysłała ogromną armadę o 15.000 km od Wysp Brytyjskich, aby bronić 1.600 Falklandczyków i pół miliona owiec?

Dlaczego Zachód miałby się wobec kolejnej tragedii izraelskiej — gdyby do niej doszło — zachować inaczej niż wobec aktualnej tragedii... libańskiej, to znaczy nie uprawiać realpolityki, cynicznej, własnej, egoistycznej? Pytania retoryczne, naturalnie, ale jak się świat zachował przed, w czasie i po drugiej wojnie światowej, co zrobił dla uratowania milionów ludzi od Konzentragrów czy gułagu?

A jak postępuje wobec Polski? W przeddzień siódmej miesięcznej „rocznicy” puczu z 13 grudnia londyński *Times* wydrukował swój *editorial* na temat celowości przywrócenia kredytów Polsce. Jest to — pisze w skrócie *Times* — jedyna szansa odzyskania już utopionych w Polskę pieniędzy, a żądanie — sformułowane w co najmniej dziesięciu międzynarodowych dokumentach z podpisem m.in. Anglii — uzależnienia kredytów od zniesienia stanu wojennego i uwolnienia internowanych *Times* określa jako po prostu nierealne.

Prezydent Francji, kanclerz RFN i premier Wielkiej Brytanii mówią o zimnej wojnie, przestrzegają przed wojną handlową nie w wyniku polityki sowieckiej wobec Afganistanu lub Polski, ale w kontekście gospodarczych decyzji USA, a głównie embarga na dostawy dla gazociągu syberyjskiego. Jeżeli Francja, RFN i Anglia doprowadziły się do sytuacji absolutnie paradoksalnej, kiedy każdy amerykański akt antysowiecki jest równocześnie uznany za akt antyeuropejski, jeżeli, inaczej mówiąc, broniąc interesu zawartego w umowie gazowej zachodnia Europa ryzykuje konflikt z USA, jedynym mocarstwem zapewniającym jej bezpieczeństwo przed ZSSR, to jak się ta sama zachodnia Europa zachowa np. wobec Izraela, kiedy zaczną działać i presja sowiecka i presja nafto-dolarowa?

Rzecznicy Arafata głoszą, że OWP już dawno pogodziła się z istnieniem Izraela, albowiem uznała „plan pokojowy Breżniewa”, przedstawiony na XXVI Zjeździe partii bolszewickiej w lutym 1981 w Moskwie. Ale kto dziś na świecie wierzy poko-



jowym deklaracjom Breżniewa? Afganistan? Polska? USA? A właśnie Izrael miałby mu uwierzyć i to właśnie wtedy, kiedy powołuje się na niego inny przyjaciel Żydów, nazwiskiem Arafat? *Allons...*

*Po trzecie: kto?*

Kto w celu absolutnej demonizacji Izraela wymyślił i wprowadził do powszechnego użytku paranoję semantyczną, perwersję językową, na mocy której świat miałby uznać, że:

a) w Libanie oko w oko stoją zawsze i w każdym układzie „palestyno-progresiści” i „chrześcijano-konserwatyści”, nigdy np. „palestyno-konserwatyści” lub „chrześcijano-postępowcy”?

b) istnieje naród „libańsko-palestyński”, choć ma się to tak do rzeczywistości jak np. naród „polsko-rosyjski” czy „czesko-ukraiński”,

c) nacjonalizm arabski (nawet saudyjski) jest zawsze postępowy, a nacjonalizm izraelski jest zawsze reakcyjny,

d) OWP jest organizacją pokojową, a terroryzm jest jej obcy, chociaż nie tylko historia (Maalot, Monachium, Entebbe), ale także wszystkie aktualne nici (m.in. dokumenty znalezione w zdobytych przez Izrael archiwach palestyńskich w Libanie) prowadzą do wniosku o powiązaniach OWP z ośrodkami szkolenia terrorystów w ZSSR i gdzie indziej na Wschodzie oraz z Czerwonymi Brygadami, IRA w Irlandii, ETA w Hiszpanii, *Rote Armee* w RFN itd.

Władza Jaruzelskiego przypomniała sobie po sezonie (w lipcu 1982) o potrzebie dyplomatycznego uznania OWP, tak jakby nie miała w owej właśnie chwili innych dyplomatycznych zmartwień, ale o tym że miała w rękę Abu Dauda, czołowego działacza OWP, oprawcę z Monachium, postrzelonego nieudolnie w lecie 1981 w hotelu „Victoria” w Warszawie, gdzie przebywał aby nadzorować transporty broni dla OWP cywilnymi samolotami LOT-u, WRON nie wspomina.

e) Izrael w Libanie praktykuje ludobójstwo wobec Palestyńczyków, mimo że ludobójstwo, mówiąc naukowo (lewicowi publicyści szanują naukową precyzję), zakłada groźbę zniszczenia określonego narodu lub grupy wyznaniowej, a w Libanie mieszka jedynie 1/10 narodu palestyńskiego, reszta zaś znajduje się w Jordanii, Cisjordanii, Arabii saudyjskiej itd.

f) Izrael w Libanie zabija wyłącznie bezbronnych, chociaż w istocie stały naprzeciw siebie dwie armie. Tylko z tego co

Izrael już (połowa lipca 1982) zdobył i obliczył można uzbroić siedem brygad piechoty, nie mówiąc o czołgach, katuszach itd. W Libanie, w walce z „bezbronnymi” Palestyńczykami zginęło 300 Izraelczyków, a 1.500 zostało ciężko rannych, czyli stosunkowo znacznie więcej niż Brytyjczyków w wojnie z armią, flotą i samolotami argentyńskimi. Storpedowanie przez angielską łódź podwodną argentyńskiego krążownika było aktem heroicznym, usuwającym groźbę dla życia żołnierzy brytyjskich, ale zniszczenie syryjsko-sowieckiej baterii Samów w dolinie Bekaa, chroniących palestyńską artylerię ostrzeliwującą codziennie galilejskie kibuce, było aktem piractwa.

g) Bejrut to getto warszawskie. Jest to klisza wyjątkowo podła, wymyślona przez najbardziej cynicznych, dla użytku najmniej zorientowanych. Kto bronił Żydów z getta warszawskiego, kto wychodził w ich obronie na ulice Paryża czy Londynu, kto przysyłał im broń kupowaną za petro-dolary w ZSSR? Czy to o Anielewicza modlił się Papież, czy to na temat kilkudziesięciu więźniów warszawskich kanałów wypowiadały się rady ministrów państw zachodnich? ONZ jeszcze nie było, ale jakie to organizacje międzynarodowe zajęły się losem powstańców z getta? Kto w chwili konania getta warszawskiego brał w obronę „ten jeden naród, o który jest za dużo na świecie”, kto wysyłał delegacje do dopalającego się getta, które wieściło koniec całej polskiej społeczności żydowskiej z jej historią i kulturą i stało się grobem trzech milionów Żydów?

h) Na cynizm trzeba odpowiedzieć twardo, ale godnie: w getcie warszawskim nikt nie chował się za dziećmi, w getcie nikt nikomu nie proponował przepustki na wolność, w getcie nie było dziennikarzy z *Times'a* ani amerykańskich kongresmenów, w getcie można było tylko zginąć w walce albo bez walki. Wokół getta był tylko gaz „cyklon” i niemieckie krematoria, a nie, jak wokół Bejrutu, gaz syberyjski i niemiecki gazociąg. W Paryżu, gdzie dziś lewica urządza manifestacje na znak solidarności z OWP, w czasie dogorywania getta odbyła się obława (właśnie minęła 40-ta rocznica) na Żydów, przeprowadzona przez francuskich żandarmów.

i) Izrael znalazł się w całkowitej izolacji międzynarodowej. Poczekajmy. Zobaczmy. Na razie Izrael robi — mówiąc cynicznie — brudną robotę za zachodnie demokracje i za wszystkie właściwie kraje arabskie. Nikt nie chce w istocie państwa palestyńskiego z Arafatem na czele. Dla Arabów byłoby to manipulowane przez komunistów źródło radykalizmu społecznego, śmiertelnie groźnego dla feudalnych emiratów. Dla Zachodu takie państewko po satelicku związane z Sowietami stałoby się arabską

Kubą, stałym zarzewiem destabilizacji w niesłychanie delikatnym rejonie świata. Izrael jest rzeczywiście izolowany, ale tylko na forum ONZ, organizacji, która na 7 lat przed oblężeniem Bejrutu uchwałała, że syjonizm równa się rasizmowi. Jeszcze nie zginął (od izraelskiej kuli) ani jeden cywil w Libanie, a ONZ już potępiła ludobójstwo uprawiane przez Żydów. Zanim padły strzały w Libanie, Komisja Praw Człowieka ONZ w Genewie zastąpiła, na wniosek demokratycznej Syrii, punkt odnoszący się do gwałcenia praw człowieka w Polsce na (po raz setny) punkt o gwałceniu praw człowieka w Cisjordanii. To dobrze, że Izrael jest w ONZ izolowany, wszystkie demokratyczne kraje są w ONZ i właściwie na świecie w ogóle w coraz większej izolacji.

j) Żydzi sami potępiają rząd Begin. To prawda, są tacy Żydzi. (Zawsze byli, taki to naród). I dobrze, że tak jest. Jedni, robią to systematycznie, ale z przekonania, inni — od sprawy do sprawy — po prostu praktykują demokrację i korzystają z przysługujących im praw obywatelskich i wolności słowa, tych luksusów w jedynym na południe od Morza Śródziemnego państwie demokratycznym. Inni jeszcze robią tak ze służalczości, jak np. dyżurny sowiecki, antysyjonistyczny Żyd, generał Draguński, inni ze strachu, jak np. lekarze żydowscy w ZSSR, którzy potępiłi „morderców w białych chałatach”, inni ze zwyczajnej głupoty, jak ci lekarze nie w ZSSR, a we Francji, którzy także potępiłi „trucielici Stalina”.

Są wreszcie także Żydzi „wstydlivi”, którzy odrzucają syjonizm z wściekłości czy frustracji. Na przykład kanclerz Kreisky lub językoznawca Naum Chomski są wściekli (w uproszczeniu), albowiem państwo żydowskie załamało ich i im podobnych sfrustrowanych Izraelitów teorię o całkowitej asymilacji jako jedynym „postępowym” sposobie rozwiązania kwestii żydowskiej. To po to, aby się oczyścić ze swego nieczystego pochodzenia, ten żydowsko-austriacki kanclerz, w którego rządzie zasiadali notoryczni hitlerowcy, wprowadził Arafata na europejskie salony i nadał mu glejt politycznego dziewictwa, zaświadczenie o absolutnie nieterorystycznej przeszłości i prawo wyłącznej reprezentacji interesów wszystkich Palestyńczyków. Paranoja Chomskiego poszła jeszcze dalej: napisał, właśnie on, Żyd, ale lewicowy, przedmowę do książki niejakiego Faurissona, dowodzącego, że krematoria to wymysł żydowskiej propagandy.

Wszystko to zresztą nie nowe. Nie sięgajmy za daleko, ale czyż nie było Żydów w kampanii przeciw Dreyfusowi, lub w kampanii roku 1968 w Polsce? Kanalie dziś wołają, że już się nie solidaryzują z Izraelem. Zapominają jednak, że po to, aby móc się dziś desolidaryzować, trzeba było kiedyś być z nim soli-

darnym. Pan Krasucki, ten z CGT (komunistyczny syndykat) z Paryża, zasługuje tu na specjalne wspomnienie. CGT, która „gościła” Wałęsę w Paryżu, zabroniła swym członkom noszenia 1 maja 1982 tabliczki „Solidarność z Solidarnością”, ale nakażała noszenie tabliczki „Solidarność z OWP”.

*Po czwarte: co?*

Jak przełamać siłę tej zbrodni na semantyce? Co robić? Pytanie nie dotyczy dziś języka i brzmi nie „jak przeżyć wojnę?” (w chwili druku tych słów w jakiś sposób — mam nadzieję — będzie ona zakończona), ale jak wygrać pokój. Wspomniany w motto Wiktor Hugo powiedział także, że wojna jest wojną ludzi, a pokój jest wojną idei. Wojna ludzi w Libanie jest skończona, wojna idei powinna się zacząć. Musi to być wojna idei palestyńsko-izraelskich (nareszcie skojarzenie i zbitka prawdziwe) przeciw reszcie świata. Trzeba nareszcie uzmysłwić sobie, że słowo „pokój” brzmi właściwie identycznie po hebrajsku i po arabsku. Z wojny libańskiej obie strony wyszły osłabione. OWP faktycznie przestała istnieć, w każdym razie w swej pierwotnej postaci. Izrael i jego społeczeństwo są w kryzysie moralnym. Potrzebują nowych idei, potrzebują programu.

Nie wiem, czy Begin jest zdolny wypracować realny program pokojowy, ale na pewno nie potrafi uczynić tego Kreisky, Chomski, czy Cheysson. Ani Arafat. Ani poprzebierani cynicy, poeci semantycznych kombinacji, rozmaici Garaudy, autorzy odkrycia, że Golan to Pearl Harbor, a Liban to izraelski Wietnam, wieczni jeńcy „Ideologii”, którą chcieliby spętać resztę świata; wczoraj był to komunizm, dziś jest to trzecioświatowy mesjanizm.

No, a gdyby ktoś jednak chciał spróbować? Gdyby ktoś spokojnie uznał, że wojna może być błyskawiczna, ale pokój nie może być błyskawiczny, że jest rzeczą nieuniknioną, iż z tej wojny muszą wyjść dwa państwa palestyńskie: żydowskie i arabskie, ale bez trzeciego, że przecież w imię pokoju wszystko jest możliwe, tak jak się to okazało po Camp David, kiedy Izrael oddał cały Synaj, bazy, naftę, że oba te państwa skazane będą na współistnienie i to w warunkach kiedy, jakkolwiek by były ich granica, rejony przygraniczne i tak będą zamieszkałe przez ludność mieszaną, że więc, jeżeli to wszystko wziąć pod uwagę, to czy nie można by sobie wyobrazić czegoś w rodzaju takiej np. serii równoczesnych lub kolejno po sobie następujących aktów dyplomatycznych i politycznych, ale nie wojskowych, tak aby nareszcie na Bliskim Wschodzie łął się atrament, a nie łąła się krew:

a) Konferencja szefów państw arabskich uznaje istnienie państwa Izrael,

b) Izrael uznaje zasadę samostanowienia narodu palestyńskiego,

c) Wszystkie obce wojska wycofują się z Libanu. Liban podpisuje traktat pokojowy z Izraelem. Kontrolę nad przywracaniem normalnej suwerennej państwowości w Libanie sprawuje korpus zagraniczny.

d) Król Jordanii ogłasza się królem Palestyńczyków, Jordania staje się państwem palestyńskim, przecież już dzisiaj większość jej mieszkańców stanowią Palestyńczycy.

e) W państwie palestyńskim ogłasza się referendum na temat jego struktury: monarchia czy republika; potem następują wybory do parlamentu. Obie fazy pod kontrolą międzynarodową.

f) Wybrany rząd jordańskiej Palestyny\* uznaje państwo Izrael i rozpoczyna z nim negocjacje na temat granicy bez żadnych warunków wstępnych z żadnej ze stron. Obie strony uznają, że wszystko jest *negotiable*.

g) Bogate państwa Zachodu i naftowe państwa arabskie ogłaszają „plan Marshalla” dla obu państw palestyńskich: arabskiego i żydowskiego. Większość pierwszej fazy nakładów finansowych przeznaczona jest na uruchomienie odpowiednich bodźców i przeprowadzenie dobrowolnej akcji przemieszczenia ludności. Uwaga: nie przymusowego wysiedlenia, a dobrowolnego przemieszczenia. Sceptykom przypominam, że Rosja siłą wysiedliła, a nie dobrowolnie przemieściła kilka milionów Polaków, których powojenna zniszczona Polska jednak wchłonęła i że powojenna Polska siłą wysiedliła, a nie przesiedliła 8 milionów Niemców, których RFN z pożytkiem dla siebie całkowicie wchłonęła. I wchłania nadal tych, którym udaje się „przemieścić”.

Tym, którzy uważają, że jest to nierealne i że akcja taka była możliwa tylko dlatego, iż było to właśnie przymusowe wysiedlenie, a nie dobrowolne przesiedlenie, odpowiadam, że nikt nigdy nie próbował inaczej, że warto może raz spróbować, tym

---

\* Trzeba w tym miejscu przypomnieć, co to była Palestyna. Nikt już nie pamięta, że słowo Palestyna określa terytorium odpowiadające mandatu brytyjskiemu w roku 1923. Jordania i Izrael, sieroty po fatalnej brytyjskiej dekolonizacji, mogą się spierać o linię podziału mandatu, ale Bogiem a prawdą nikt inny nie powinien w tej sprawie w ogóle zabierać głosu. Otóż oba te państwa są głęboko i szczerze przeciwne powstaniu trzeciego państwa na terytorium dawnej Palestyny. Izrael mówi to otwarcie, Jordania skryciej, ale oba państwa pomandatowe wiedzą, że ten trzeci byłby czynnikiem destabilizacji, groźnym w większym zresztą stopniu dla Jordanii niż dla Izraela.

bardziej, że nie ma innego wyjścia. I że — co jest ważne — nie ma żadnego powodu, aby w warunkach pokoju przesiedlenie takie było całkowite. Nie ma rzeczywiście żadnego powodu, dla którego w normalnie funkcjonującym państwowym organizmie palestyńskim nie byłoby miejsca dla normalnie żyjących Żydów, a w normalnie funkcjonującym organizmie izraelskim nie byłoby miejsca dla Arabów\*.

Oczywiście nie będzie to operacja łatwa. Przede wszystkim przeciwny będzie temu Związek Sowiecki, którego interes polegać będzie jeszcze długo na utrzymywaniu tak na Bliskim Wschodzie, jak wszędzie zresztą poza swoim blokiem, atmosfery „ni wojna — ni pokój”, mętnej wody, bagienka nacjonalizmów i szowinizmów. Tutaj USA muszą wziąć na siebie ryzyko powiedzenia „nie!”. Nie ma polityki bez ryzyka, gdzieś musi się skończyć sowiecka zdolność i swoboda szkoderstwa. Dla USA lepiej, aby stało się to w silnym Izraelu niż nad Zatoką Perską czy w Berlinie Zachodnim.

Mówię wyłącznie o USA, bo na zachodnią Europę nie ma co liczyć. Nawet dla mnie — choć myślałem, że poznałem Zachód — jej stanowisko wobec Izraela w czasie Libanu było zaskoczeniem.

Europa miała wobec Żydów — i słusznie — kompleks winy. To jej cywilizacja zrodziła Hitlera i prawdziwe ludobójstwo. Nikt jednak nie lubi zbyt długo żyć z kompleksem winy. Kiedy więc Żydzi, a raczej Izraelczycy, wyszli ze swej odwiecznej roli kozła ofiarnego, kiedy Izraelczycy brutalnie wymazali kliszę narodu pokornego, słabego i zachowują się jak każdy inny silny naród, wtedy Zachód natychmiast skorzystał z okazji. Koniec — zawołał — z kompleksem winy, Żydzi też zabijają niewinnych,

---

\* Powstanie dwóch państw palestyńskich — którą to koncepcję wysuwa Leopold Unger — wydaje się nam jedynym realnym rozwiązaniem. Ten projekt był zresztą od lat *idée fixe* redakcji *Kultury*. Jest jednak — naszym zdaniem — jeden słaby punkt w rozumowaniu L. Ungera. Przemieszczenie ludności musi być całkowite, jakby bolesna nie była to operacja. Muszą być zlikwidowane enklawy w rodzaju Gazy, które w przyszłości będą niewątpliwie zarzewiem nowych konfliktów. Przykładem jest konflikt francusko-algierski: dramatyczny egzodus Francuzów z Algieru umożliwił jednak po latach normalizację stosunków między tymi państwami. Izrael ma obecnie na 3,5 mln mieszkańców i tak 500 tys. Arabów a przy wielokrotnie większej rozrodzoności arabskiej ta proporcja będzie się pogłębiała. Jeśli miałyby powstać dwa państwa palestyńskie, to ta operacja musi być przeprowadzona konsekwentnie, powiedzielibyśmy — chirurgicznie. Bez tego nie będzie możliwa normalizacja na Środkowym Wschodzie.

To wszystko nie wyklucza w dalekiej przyszłości obecności Palestynczyków w Izraelu, tak jak np. setek tysięcy Algierczyków we Francji. To będzie problem już tylko ekonomiczny. — *REDAKCJA*.

Żydzi stracili monopol na cierpienie. Jak to napisał zgrabnie pewien publicysta belgijski — który mniej wie o ludobójstwie niż ja o problemie flamandzko-walońskim — w Libanie ofiara przemieniła się w kata. Dziś już można legalnie być antysemitą. Koniec rachunku krzywd. Europa jest odkupiona.

Nieprawda. Odkupić winy nasze możemy tylko my sami, nie mogą zrobić tego za nas Palestyńczycy. Ale w tym celu potrzeba prawdziwych ludzi, a nie tylko abonentów gazu.

Pisane 5 sierpnia 1982.

*Kultura* nr 9/420, 1982.

---

## B Ł Y S K A W I C A

„Nazywam się — facet mówił po angielsku z ostrym niemieckim akcentem — Ahmed el Kubeisi, jestem żołnierzem jednostki im. Che Guevary z okręgu Gazy, należącej do armii Ludowego Frontu Wyzwolenia Palestyny”.

To prawdziwie internacjonalistyczno-rewolucyjne zagajenie byłoby nawet zabawne, gdyby nie odbywało się na wysokości 10.000 m przy szybkości 1.000 km na godzinę i nie było skierowane przez interfon do 250 pasażerów francuskiego Airbusa, który właśnie wystartował z Aten, dokąd przybył z Tel Awiwu, aby udać się do Paryża. Niemiec, podający się po angielsku za Araba, porywał właśnie — z imieniem Allaha i Che Guevary na ustach — francuski samolot, który zamiast w Paryżu wylądował najpierw, na krótko, w Bengazi w Libii, a potem na dłużej na lotnisku Entebbe, w Kampali, stolicy Ugandy...

Pierwszy o porwaniu dowiedział się rząd izraelski. Ateńscy kontrolerzy ruchu przeważnie strajkują albo są na sjeście, więc nie zwrócili uwagi, że Airbus przestał się meldować. Natomiast w Izraelu kontrolerzy ruchu powietrznego nie mają sjesty. W każdym razie nie ci, którzy dzięki dość skomplikowanym urządzeniom (skomplikowane urządzenia to specjalność Izraela) śledzą przez 24 godziny na dobę cały światowy dialog powietrzny. Oni od razu odnotowali milczenie Airbusa, tym bardziej po-

dejrzone, że samolot leciał z Tel Awiwu, że na jego pokładzie znajdowało się ponad 100 obywateli Izraela (nie licząc nieizraelskich Żydów) i że dialog się urwał po starcie z Aten, gdzie lewentyński bałagan już nieraz prowadził do dramatów...

Jest 27 czerwca 1976, godzina 14-ta. Jak co niedziela, gabinet Rabina obraduje. Nagle jeden z urzędników podrzuca ministrowi transportu (według kompetencji) depeszę o porwaniu. Niepotrzebnych Rabin odsyła do domu, formuje natomiast coś w rodzaju grupy operacyjnej: kilku bezpośrednio zainteresowanych ministrów oraz fachowcy wojskowi, sztab generalny, wszystkie wywiady. Kiedy w poniedziałek o 3.40 nad ranem Airbus ląduje w Kampali, w Jerozolimie akcja „Błyskawica” jest w toku...

### *Kak w kino*

Bez precedensu, fantastyczna, fascynująca, zapierająca dech w piersiach, palce lizać, no, no, ah, uf, no wiecie państwo, coś takiego, kto by się po nich spodziewał, no i rzeczywiście, jednak potrafili, ależ narozrabiali, tfu, wszystkim pokazali jak się to robi, prawdziwa błyskawica...

Państwo zapewne myśla, że te okrzyki dotyczą akcji komandosów izraelskich, którzy po przelecie 4.000 km na czterech Herkulesach nad terytorium obcym i wrogim wylądowali na lotnisku w Kampali, wyzwolili zakładników, unieszkodliwili piratów (trzech, zdaje się, wzięli żywych ze sobą) zniszczyli kilkanaście Migów, po godzinnej operacji wrócili do domu i wtopili się z powrotem w szare, anonimowe wojsko, ujawniając jedynie nazwisko dowódcy akcji, który, jak często w izraelskim wojsku, zginął od kuli w plecy, kiedy jako ostatni ładował się do już kołującego Herkulesa...

Nie, o tym wszystkim napisali już inni, dawno i z detalami. Tym razem hasło „Błyskawica” i wszystkie przymiotniki dotyczą nie operacji w Kampali, a rekordowej szybkości, z jaką wydana została książka o wyprawie. Napisał ją w kilka dni dziennikarz izraelski Uri Dan z *Maariw*, po angielsku redagował ją równocześnie angielski dziennikarz William Stevenson, cenzura wojskowa wyrzucała w tym samym czasie „niepotrzebne” paragrafy, a zanim jeszcze książka wyszła w druku, już była drukowana w odcinkach przez wielkie i bogate tygodniki w siedemnastu krajach na całym świecie, z wyjątkiem oczywiście świata socjalistycznego, który skazany jest na czytanie przygód kpt. Czechowicza oraz trzeciego świata, który przeważnie nic nie czyta.

Pisanie o akcji „Błyskawica” we wrześniowej *Kulturze* byłoby



tym bardziej bez sensu, że w chwili, kiedy dojdzie ona do czytelnika, już nie tylko wyjdzie książka i to w wielu językach (gdybym był panem na Maisons-Laffitte, wydałbym ją także po polsku); według informacji z Montrealu książka „Akcja Błyskawica” pobiła tam wszystkie rekordy olimpijskie, rozeszła się w kilka godzin po ukazaniu się na półkach księgarni we „wiosce” olimpijskiej, przy czym bardzo wiele egzemplarzy powędrowało wraz z medalami na wschód, także do Warszawy (gdzie, jak wiadomo, bardzo ubóstwiają tradycyjne od 1967 roku, choć przeważnie przesadne opowieści o zwycięstwach polskich Żydów nad sowieckimi Arabami czy Afrykanami), więc nie tylko już będzie książka, ale będzie także na ukończeniu film. Kosztem 12 milionów dolarów, to znaczy o wiele drożej niż kosztowała sama akcja, p. Steve McQueen odegra tam rolę gen. Szomrona, naczelnego dowódcy operacji. Pojęcie „Błyskawica” będzie tym razem uzasadnione, jako że do dziś jeszcze nie ukończono filmu na temat masakry sportowców izraelskich w czasie olimpiady monachijskiej w roku 1972, w którym — też kosztem wielu milionów dolarów — p. William Holden gra rolę, mniej wdzięczną, szefa policji zachodnioniemieckiej. Szkoda, że obu filmów nie można pokazywać razem. Zestawienie takie wykazałoby kiedy, w jaki sposób, jak i na jakiej zasadzie należy z terrorem walczyć. Kto, gdzie i kiedy gwałci prawa ludzkie i międzynarodowe. Gdzie zaczyna się i gdzie kończy suwerenność i o co tu w ogóle chodzi, jak mawiał — przy innej, choć też terrorystycznej okazji — były minister Beck.

### *Dwa suwerenne drobiazgi*

Porozmyślajmy nad suwerennością. Pojęcie to raczej abstrakcyjne, mniej lub bardziej ośmieszone w praktyce, od dawna służyło wyłącznie do przykrywania wszelakich świństw i do ukrywania czegoś wręcz przeciwnego, nigdy jednak nie było bardziej cynicznie eksploatowane niż po Entebbe.

Według Wielkiej Encyklopedii Powszechnej suwerenność to niezależność władzy państwowej od wszelkiej władzy w stosunkach z innymi państwami i organizacjami międzynarodowymi. Choć WEP — zupełnie bez poczucia humoru — dodaje, że w państwach niesocjalistycznych nosicielem suwerenności jest klasa panująca, natomiast w państwach socjalistycznych nosi ją naród, to, po prostu mówiąc, suwerenność oznacza, iż na terenie określonego państwa *tylko* jego władze decydują o tym, co się tam dzieje i że nikt nie ma prawa się do tego mieszać. Jest to oczywiście

brednia, żadne państwo z wyjątkiem USA, ZSSR i Chin nie decyduje samo o tym, co się na jego terytorium dzieje, a żadne państwo włącznie — a nawet przede wszystkim — z tymi trzema nie przestrzega tej świętej definicji.

Niemniej nie ulega kwestii, iż akcja izraelska w Entebbe stanowiła niewątpliwie pogwałcenie prawa międzynarodowego i zasady suwerenności, tak jak są one określone w WEP oraz przez równie niepoważną np. Kartę ONZ. Oczywiście p. Waldheim — najgorszy sekretarz generalny ONZ i wierny druh kanclerza Kreisky'ego, teoretyka kapitulacji — zajął wobec izraelskiej akcji ostre stanowisko, bo ubiega się o ponowny wybór na to intratne stanowisko i musi liczyć się z drugo- i trzecioświatową większością w ONZ, ale jest to uzasadnienie niepełne. Formalnie bowiem biorąc, kiedy komandosi izraelscy lądowali w Kampali bez zaproszenia, a nawet bez uprzedzenia marszałka Amina, zabijając jego palestyńskich gości oraz ok. 20 żołnierzy ugandyjskich, niszcząc Migi i paląc budynki portu powietrznego w Entebbe, formalnie więc biorąc święta suwerenność Ugandy została niewątpliwie uszkodzona.

Ale tylko formalnie biorąc. W istocie bowiem takie przedstawienie sprawy, a tak właśnie była ona przedstawiona np. w ONZ lub w propagandzie komunistycznej, pomija dwa drobiazgi; życie ludzkie i międzynarodowy terror. Oba te drobiazgi, bez znaczenia dla niektórych bardzo postępowych doktryn prawnopństwowych, mają jednak swe znaczenie dla Izraela. Przestarzałe niewątpliwie (kilka tysięcy lat) poglądy Izraela w tej materii sformułował znany z intensywnego myślenia Francuz o nazwisku Pascal, mówiąc, że sprawiedliwość powinna być silna, a siła sprawiedliwa, z czego łatwo wysnuwamy wniosek i lekcję, że jeżeli sprawiedliwość nie jest silna, to pada po prostu ofiarą siły, która nie jest sprawiedliwa. Otóż to właśnie wzdłuż tej teorii i takiej praktyki operacja Entebbe wykreśliła granice pojęcia suwerenności.

### *Życie przede wszystkim*

Po pierwsze bowiem akcja w Entebbe miała wyłącznie na celu uratowanie 100 ludzkich istnień. Żadna akcja podjęta wyłącznie dla ratowania życia ludzkiego nie pozostaje w sprzeczności z prawem międzynarodowym. Prawo to pozwala mianowicie, a nawet nakazuje suwerennemu państwu ochronę życia jego obywateli. Od chwili pojawienia się w stosunkach międzynarodowych poje-

cia „nieinterwencji” prawo dopuściło jeden wyjątek: interwencję państwa na zewnątrz dla ratowania życia swych poddanych.

Jasne, pamiętamy, formuła ta stosowana była jako alibi dla ekspansji imperialistycznej w XIX wieku, a jeszcze niedawno, w 1965 roku, użyta była przez USA dla usprawiedliwienia interwencji na San Domingo, gdzie 30.000 amerykańskich *marines* wylądowało pod pretekstem ochrony życia poddanych USA, zagrożonych rzekomo przez kilkutyśieczną armię dominikańską! Desant ten trwał kilka lat, nawet kiedy już nie było ani przedmiotu, ani podmiotu tej humanistycznej operacji rządu USA.

W Ugandzie wylądowało ok. 100 żołnierzy, którzy uratowali ponad 100 osób, natychmiast (dwie minuty szybciej niż w planie) się wycofując. Po niespełna godzinnej akcji nie było na terenie Ugandy ani jednego izraelskiego żołnierza, suwerenność Ugandy odzyskała dziewiectwo.

Do najbardziej zdecydowanych krytyków akcji izraelskiej należał rząd ZSSR, państwa, które, jak wiadomo, nigdy nie pogwałciło żadnej suwerenności! TASS nazwał akcję izraelską „bandytyzmem i piractwem gwałcącym wszelkie normy prawa międzynarodowego i suwerenne prawa Ugandy”. Pan Żukow dodał w *Prawdzie*, iż chodzi tu o „akt agresji sugerujący preferencję dla metod akcji bezpośredniej w rozwiązywaniu problemu tzw. zakładników”. Proszę zauważyć to subtelne sformułowanie: „tak zwanych zakładników”. Prawdopodobnie w pojęciu ZSSR żydowskie ofiary porwania samolotu to nie zakładnicy, a przebrani komandosi i agenci, jak np. pani Bloch, 75 lat, która była w drodze na ślub syna, a którą żołnierzy suwerennej Ugandy wyciągnęli ze szpitalnego łóżka i udusili. Rekord dziennikarskiej sztuki pobił niejaki pan Gonczarow, który nie widział nic zdrożnego w braniu Żydów jako zakładników, natomiast w akcji izraelskiej dopatrzył się wyraźnych znamion rasizmu.

Najbardziej obiektywne, jeżeli w ogóle to słowo ma jakiś sens w tych warunkach, stanowisko na Wschodzie zajęła Rumunia. Oczywiście, z wiadomych względów Bukareszt ostro potępił naruszanie „pod jakimkolwiek pretekstem” suwerenności państwowej, ale nie zawahał się potępić międzynarodowego terroru. W chwili pisania tych słów nie znam reakcji prasy polskiej. Dysponuję tylko, i to w angielskim tłumaczeniu, fragmentami komentarza radia warszawskiego. Otóż ponieważ w Polsce pamiętającej hitleryzm nawet Radio Warszawa nie może obojętnie potraktować brania cywilnych zakładników, wobec tego zakłopotany komentator doszedł do wniosku, że aczkolwiek akcja w Entebbe „stanowić może powód do dumy”, to jednak odpowiadając gwałtem na gwałt, Izrael postawił się w tej samej sytuacji co terro-

ryści. Rzeczywiście „niełatwa to kwestia”, jak reagować na terror, na pewno jednak nie tak jak dziennikarz z Radia Warszawa, albowiem jego formuła oznacza, że akowcy lub alowcy wyzwalający gwałtem zakładników z łap esesmanów, choć mieli „powód do dumy”, to niczym się od nich nie różnili.

Zagadnienie to najlepiej podsumował p. Chaim Herzog, delegat izraelski w ONZ. Odpowiadając oburzonemu przedstawicielowi ZSSR, Herzog mianowicie zauważył, że narody suwerennych Węgier w 1956 roku i suwerennej Czechosłowacji w 1968 roku byłyby wprost szczęśliwe, gdyby pogwałcenie ich suwerenności polegało na akcji 100 komandosów, a nie dziesiątków dywizji pancernych i gdyby potrwało ono jedynie 55 minut, a nie dziesiątki lat, a do końca daleko...

To wszystko, nie wspominając Libanu, gdzie w absolutnie suwerenny sposób libańscy chrześcijanie i muzułmanie wymordowują się wzajemnie przy czynnym udziale suwerennej armii syryjskiej, pomagającej kolejno najpierw mordować chrześcijan a potem muzułmanów w celu podporządkowania sobie suwerennego Libanu oraz działającego na tym suwerennym terenie suwerennego sztabu palestyńskiego, kierującego działaniem nie tylko armii palestyńskiej, używanej na razie przeważnie do mordowania arabskich braci lub do giniecia od arabskich kul, ale i działaniem band terrorystycznych, używanych przeważnie do mordowania Żydów i Izraelczyków.

Dla Izraela przy tym nie jest bez znaczenia fakt, iż taka właśnie sytuacja i taka interpretacja suwerenności została przedstawiona przez gościa ONZ, p. Arafata, jako wzór przyszłej suwerennej Palestyny, państwa laickiego, pluralistycznego i demokratycznego, wspólnej ojczyzny Żydów i Arabów...

*Wariat!? Zależy dla kogo!*

Otóż, i tu dochodzimy do drugiej granicy wszelkiej suwerenności. Nawet w jej najbardziej czystej definicji została ona przede wszystkim pogwałcona nie przez izraelską wyprawę ratowniczą, a przez porwanie suwerennego samolotu francuskiego, wzięcie jako zakładników cywilnych obywateli wielu suwerennych państw no i przez fakt udzielenia porywaczom schronienia i pomocy. Oskarżanie w tych warunkach Izraelczyków o gwałt na Ugandzie można porównać tylko z oskarżaniem strażaków o gaszenie pożaru. Uganda przestała być suwerenna nie kiedy w Entebbe lądowały „Herkulesy”, a z chwilą kiedy rząd tego kraju wszedł w zмовę z porywaczami, udzielając im wikt i opierunku.

Francuski porwany Airbus oczekiwany był w Entebbe przez grupę terrorystów, mających oficjalnie bazę w Kampali, którzy przybyli na lotnisko samochodem z tablicą CD i przejęli natychmiast kierownictwo operacji. Dyrektor lotniska wcale się nie zdziwił, że mu nagle spadło 300 pasażerów i to na dłuższy, pozornie, czas. Zapytany czy dysponuje zapasami odpowiedział: „Jak to, czekamy przecież na was”.

„Jestem feldmarszałek, kawaler Krzyża Wiktorii, Doktor Idi Amin Dada z łaski bożej, wasz zbawca”, przedstawił się na wesoło zakładnikom dożywotni prezydent Ugandy. Doktor *honoris causa*, którego jedyny dyplom to świadectwo ukończenia kursu paraszutystów w... Izraelu, dodał: „Przejmuję nad wami opiekę. Zwolnimy was, jak tylko rząd izraelski spełni sprawiedliwe żądania palestyńskich patriotów”. Po czym zgodnie ze swą koncepcją suwerenności Amin nakazał żołnierzom Ugandy, aby pomagali dowodzonym przez dwoje Niemców palestyńskich patriotom w pilnowaniu żydowskich i nieżydowskich zakładników.

Amin od dawna już uznał ruch palestyński i udzielał mu wszelkiej pomocy. Palestyńczycy stanowią gwardię przyboczną feldmarszałka i chronią osobę doktora *honoris causa*. Piloci palestyńscy wyszkoleni w ZSSR, na Kubie itp. latają, przepraszam, latali, na ugandyjskich Migach, kiedy trzeba było np. bombardować bratnią Tanzanię. W Ugandzie znajdują się bazy szkoleniowe dla terrorystów.

Związki między Izraelem a Ugandą są starsze od Amina, są nawet bardzo stare, starsze od Tel Awiwu, np. w 1903 roku niewiele brakowało, aby Uganda stała się państwem... żydowskim. Paradoks, a historia to lubi, sprawił mianowicie, że po odrzuceniu przez Anglików (minister angielski nazywał się już wówczas Chamberlain) propozycji Herzla dotyczącej możliwości osiedleńczych na Cyprze, czy na Synaju, w okolicy El Arish, rząd brytyjski wystąpił z propozycją zbadania możliwości przesiedlenia Żydów ze wschodniej Europy właśnie do Ugandy, jednej z ówczesnych pereł imperium. Pomysł ugandyjski upadł wtedy z wielu przyczyn, m.in. wobec zdecydowanej opozycji Żydów rosyjskich, którzy tylko w osiedleniu w Palestynie widzieli logiczne rozwiązanie sprawy żydowskiej w ogóle. Amin, gdyby historia nie sprawiła inaczej, mógł być prezydentem żydowskiej Ugandy (i gdyby — jak inni w Afryce — nie zerwał z Izraelem, kiedy zaczęły szeroko płynąć petrodolary). Mimo bardzo ongiś bliskich stosunków z Izraelem (jedna z niezliczonych córek Amina ma na imię Sharon, albowiem według obliczeń doktora *honoris causa* spłodzona została w hotelu o tej nazwie w Tel Awiwie) Amin

od razu po zerwaniu zajął wobec Izraela stanowisko ekstremistyczne.

Niektórzy powiadają, że nic dziwnego, bo to zwyczajny dement i błazen. Ci niektórzy się mylą. Amin to błazen i dement, ale tylko w optyce europejskiej. W Kampali czy w Afryce w ogóle jest on nawet w masach popularny, a jego pogardliwe traktowanie nie-Afrykańczyków uważane jest przez wielu za wzór nowej czarnej suwerenności. Może coś o tym opowiedzieć 30.000 Hindusów obrabowanych ze wszystkiego i wyrzuconych z Ugandy, może coś dodać Anglik Dennis Hills, który właśnie za opisanie Amina jako „wioskowego tyrana” został zwyczajnie skazany na śmierć. Uratował go Callaghan, ówczesny minister Spraw Zagranicznych w rządzie Wilsona, który pofatygował się osobiście przed oblicze Amina i go przebłagał, upokarzając się publicznie, na oczach całej Afryki. Po ułaskawieniu Hillsa Amin kazał się obnieść po Kampali w lektyce niesionej przez czterech dumnych synów Albionu. Callaghanowi udało się dość tanio zapłacić. Z końcem lipca, już jako premier, Callaghan postanowił, o kilka lat za późno, ukarać feldmarszałka za zamordowanie pani Bloch, obywatelki Wielkiej Brytanii, i zerwał stosunki dyplomatyczne z Ugandą. W odpowiedzi Amin nie każe obnosić się w lektyce (nie są kuloodporne), ale nakazał Anglikom, którzy się do niego zwracają, aby czynili to na klęczkach, inaczej nie zostaną dopuszczeni przed oblicze. Jaka będzie następna faza w eskalacji, nie wiadomo. Wtajemniczeni twierdzą, że Anglicy będą się czołgać i to wcale nie przed obliczem...

Niemniej zabawne były niektóre polityczne wypowiedzi doktora *honoris causa* uniwersytetu w Kampali. Na przykład po zamordowaniu izraelskich atletów w Monachium feldmarszałek wysłał depezę do sekretarza generalnego ONZ, z odpisami do premiera Izraela i pana Arafata. „Izraelczycy, powiadał dr Amin, powinni zostać napiętnowani i usunięci z ONZ i z terenu Palestyny. Niemcy, dodaje kawaler Krzyża Wiktorii, to właściwy teren dla akcji (terrorystów palestyńskich), bo kiedy Hitler był premierem i naczelnym dowódcą, to spalił 6 milionów Żydów. Hitler bowiem i cały naród niemiecki wiedzieli, że Izraelczycy to naród, który nie działa dla dobra ludzkości...”.

I aby nie było wątpliwości co do trwałości uczuć dla *Führera*, Amin chciał postawić Hitlerowi pomnik w Kampali. Zrezygnował z tego pomysłu dopiero po perswazji ambasadora... ZSSR w Ugandzie. W zamian feldmarszałek postanowił opracować plan desantu i odebrania Izraelowi wyżyny Golan. Akcja była przygotowana, Amin przeprowadził nawet próbę w terenie i z ostrym strzelaniem, ale Arabowie nie skorzystali z jego oferty. Jak wy-

kazała skuteczność obrony Entebbe, zdolności strategiczne feldmarszałka są ograniczone.

Na to ktoś dystyngowanie sączący whisky czy sherry w Paryżu czy Londynie machnie ręką i powie „eh, to zwyczajny wariat”. Wariat? Zależy, powtarzam, dla kogo. Dla Żydów, których Niemiec o nazwisku Boese, występujący w imieniu palestyńskich terrorystów, oddzielał od reszty zakładników, Amin to wcale nie był wariat. Żydzi to pamiętają. W Oświęcimiu było tak samo: Żydzi na lewo i do gazu. I też po niemiecku.

Otóż kiedy ktoś taki jak Amin udziela pomocy, schronienia i dyplomatycznego poparcia gangowi porywaczy samolotu, biorącemu na pokładzie francuskiego samolotu 250 wielopaństwowych zakładników, „selekcjonuje” tych zakładników na Żydów i Aryzcyków, ten ktoś likwiduje pojęcie suwerenności swego własnego kraju i wszystko, co się w wyniku takiego postępowania dzieje, nie może być i w cywilizowanym świecie nie jest traktowane jako gwałt na suwerenności. Defloracji, jeżeli w ogóle można o czymś takim mówić w kontekście feldmarszałka gwałcącego na lewo i na prawo, defloracji więc ugandyjskiej dziewczicy dokonali nie izraelscy komandosi, a sam osobiście dożywotni prezydent.

### *Nieczyste sumienie Zachodu*

Tym bardziej, że przeciwko Izraelowi Amin wszedł w spisek nie z byle kim, nie z Armią Zbawienia np., a z OLP, czyli z Organizacją Wyzwolenia Palestyny, ugrupowaniem nie ukrywającym, że jego ostatecznym celem jest likwidacja państwa Izrael, a środkiem do tego celu jest wojna i terror. Nie są to przy tym wcale gołe słowa. To prawda, że na razie OLP prowadzi wojnę wyłącznie przeciwko własnym braciom arabskim, jak w Libanie, jeżeli jednak chodzi o terror, to Izrael ma spore doświadczenie: Maalot i zamordowane dzieci, Monachium i zamordowani sportowcy, hotel Savoy i zamordowani turyści, izraelski szlak wyznaczony jest ofiarami skrytobójstwa i terroru.

Stany Zjednoczone to wielki kraj, mogą więc nie reagować, kiedy Palestyńczycy na zimno mordują ich ambasadorów; Francja to, jak wiadomo, mocarstwo, więc może nie reagować, kiedy jej Palestyńczycy porywają samoloty lub okupują i biorą na zakładników ambasadorów, jak niedawno w Hadze. Waszyngton spokojnie czeka na wydanie mu aresztowanych przez Arafata morderców ambasadora i radcy z Bejrutu, Belgia zna nazwisko mordercy konsula z Chartumu. Carlos, który nie tylko zamordował dwóch policjantów w Paryżu, ale porwał kilkunastu ministrów

arabskich w Wiedniu, był oficjalnie podejmowany w Algierze, ale Francja nie wspomniała nawet, ot tak dla fasonu, o jego ekstrakcji. Niemiec Boese był już w rękach policji niemieckiej i francuskiej (strzelał do samolotu izraelskiego na Orly pod Paryżem), ale kiedy oficjalnie ujawnił się w Kampali, nikomu ani w Bonn ani w Paryżu nie przyszło nawet do głowy, aby zwrócić choćby dla zabawy uwagę Amina na niestosowność przebywania w takim towarzystwie.

Powiadają: „Nafta, polityka, nie warto, nie trzeba...”.

Inaczej mówiąc, świat dał po Entebbe największy chyba w historii festiwal hipokryzji. To prawda, że przesadne kojarzenie moralności z polityką byłoby niemądre, ale całkowite wyeliminowanie moralności z polityki jest po prostu niebezpieczne. Nie ma w polityce nic bardziej ohydneho niż kult siły i szantaż wobec niewinnych i bezbronnych. I nie ma w polityce nic bardziej groźnego niż całkowite wyrzeczenie się siły i uleganie szantażowi.

Otóż festiwal hipokryzji się odbył, albowiem Zachód ma nieczyste sumienie i albowiem przeprowadzając operację w Entebbe Izrael wykazał, że to nieczyste sumienie wynika ze strachu, oglupienia, tchórzostwa i krótkowzroczności, i że na tym — a nie na bełkotliwym gaworzeniu o „kryzysie wartości” — polega prawdziwy kryzys zachodniej cywilizacji.

### *Dwie szkoły hipokryzji*

Dwie szkoły się tu ujawniły.

Pierwsza, rządowa i państwowotwórcza wołała: no tak, udało się, ale jaki to cios dla porządku międzynarodowego. Izrael na to odpowiada, że USA mają tylu ambasadorów, że mogą bezkarnie pozwalać na ich mordowanie, że Francja ma 50 milionów obywateli, więc może uważać, iż jedna pani Claustre, którą jakiś „wyzwoleńczy” opryszek przetrzymuje już dwa lata gdzieś w pustyni suwerennego państwa Czad, nie warta jest grzechu operacji „Błyskawica”, choć jak dumnie powiedział minister wojny w Paryżu, „nasi parasutyści mogą w każdej chwili taką akcję jak w Entebbe przeprowadzić”. Mogą, ale chyba nie chcą.

Izrael natomiast chce. Państwo Izrael po to bowiem powstało, aby w granicach ludzkich możliwości żaden Żyd już nigdy nie czuł się ani bezbronny, ani samotny. „Kto ratuje jedno życie, ratuje świat cały”, powiada Pismo. Ratując setkę Żydów z palestyńsko-ugandyjskiego gułagu, izraelscy komandosi uratowali także honor Zachodu, który „może, ale nie chce”. I to mu Zachód ma właśnie za złe.



Dru ga szkoła jest lewicowo-intelektualna. Ci wołali: pewnie, Izrael taki odważny, bo Uganda kraj słaby, bez opieki i ochrony. Operacja — dodają — była zresztą niepotrzebna, bo sprawa była na najlepszej drodze, sam francuski ambasador pośredniczył w negocjacjach, już uwolniono 150 zakładników, na Żydów też przysłałby kolej. Izrael działał — mówią — w złej wierze, udawał że negocjuje, a szykował uderzenie. Pewien intelektualista przypomniał nawet z niesmakiem, że podstępni Izraelczycy, kiedy likwidowali bandę, która przed kilku laty opanowała samolot Sabeny na lotnisku w Tel Awiwie, to przebrali się za sanitariuszy. Pismo codzienne *Le Monde* uznało, że akcja w Entebbe naruszyła ogromny wysiłek Francji na rzecz ułożenia poprawnego stosunku północ-południe (inaczej mówiąc dostaw nafty) i odsunęła trzeci świat od Europy. Pismo tygodniowe *Témoignage Chrétien* uważa, że nie ma dowodów, aby Amin był w zмовie z Palestyńczykami, „więc akcja izraelska była nielegalna”. Troc-kistowskie pismo *Rouge* napiętnowało „zbrodniczą logikę syjonizmu”. Wszyscy zaś wołali chórem: jakie to było szalone ryzyko, co by było gdyby...

Kto nie ryzykuje, ten ginie, odpowiadają na to Izraelczycy. Przeciw Hitlerowi też trzeba było ryzykować w porę, byłoby wtedy mniej ofiar. O jakieś 30 milionów. Ludzie i narody, które odmawiają wszelkiego ryzyka skazane są na zagładę.

### *Jest alternatywa*

Reakcja na Entebbe raz jeszcze ujawniła brudny proceder selektywnego — jak go nazwał brukselski *Le Soir* — oburzenia wyrafinowanych lewicowych intelektualistów, proceder zwany inaczej intelektualnym terrorem. Polega on na tym, iż jak tylko jakaś zbrodnia ma lekko choćby różowy kolor, to jest automatycznie kwalifikowana do kategorii rewolucyjnej, a porywacz i bandyta przechodzi niemniej automatycznie do kategorii *maquisard*ów i *guerilleros*ów. Stąd Syria dopalająca Liban jest jednym z leaderów trzeciego świata. Stąd Amin jest rzecznikiem suwerenności Afryki i mógł być przez rok cały przewodniczącym Organizacji Jedności Afrykańskiej, stąd dr Neto jest strażnikiem antykolonializmu, choć kraj jego jest zwyczajnie okupowany przez działającą w imieniu Kremla armię kubańską. Stąd czerwoni Khmerowie uchodzą za siłę wyzwolenczą i postępową, choć już wymordowali ok. 2 milionów swych braci, podobnie jak to uczynili postępowcy z Burundi, gdzie najsilniejszy szczep mordował wszystkich innoplemieńców, jeżeli tylko zdradzali lekką choćby

znajomość alfabetu. Stąd postępowe są Etiopia i Sudan, gdzie w imię wolności i suwerenności rozstrzeliwuje się, od jednego zamachu, stu przeciwników aktualnego, nie wiadomo na jak długo, rządu. Stąd wreszcie jest socjalistyczna, a nie tylko postępową i rewolucyjną, Niemiecka Republika Demokratyczna, choć przystąpiła ostatnio do mordowania już nie tylko własnych synów uciekających do burżuazyjno-reakcyjnej NRF, ale i obywateli państw obcych, jak świadczy o tym ukatrupiony na socjalistycznej granicy włoski szofer ciężarówki wiozącej wschodnioeuropejską wieprzowinę dla zachodnioeuropejskiego społeczeństwa konsumpcyjnego.

Nie przeszkodziło to naturalnie ani Syrii, ani Etiopii, Sudanowi, Burundi oraz NRD, tak jak nie przeszkodzi jutro Angoli czy Kambodży, głosować w ONZ za zrównaniem syjonizmu z rasizmem tudzież bywać na najbardziej wytwornych salonach europejskich. Krew nie pachnie. Tylko nafta.

Słuchając czy czytając moich niektórych wykształconych kolegów odnosiłem wrażenie, że byliby murem stanęli za Izraelem, gdyby się akcja w Entebbe *nie* udała! Zupełnie jak w tej noweli Efraima Kiszona, nazywanego izraelskim Buchwaldem (dlaczego nie odwrotnie?), gdzie wojna sześciodniowa kończy się zwycięstwem nie Izraelczyków, a Arabów. Żydzi są wyróżnieni, wrzuceni do morza, Szukeiri, taki arabski Amin w owym czasie, zostaje prezydentem suwerennej, laickiej i demokratycznej Palestyny, ale za to na całym świecie rodzi się kolosalny ruch solidarności z wymordowanymi Izraelczykami. Liberia ogłasza, że przyjmie 40 uchodźców, Rumunia gotowa jest podesłać dwa statki dla ewakuacji niedobitków, *Prawda* w dyskretny sposób — aby nie urazić Arabów — składa hołd pamięci poległych. No a ONZ dla upamiętnienia wysokich wartości moralnych narodu, który właśnie przestał istnieć, jednomyślnie postanawia, aby sztandar byłego państwa Izrael powiewał nadal, wśród 125 innych, na masztach przed gmachem w Nowym Jorku. Humor taki więcej czarny, to też specjalność Izraela.

Najbardziej reprezentatywny lewicowo-intelektualny tygodnik *Le Nouvel Observateur* też oczywiście fachowo i z detalami opisał operację z Entebbe, a potem ostrożnie i z lewicowo-intelektualną rozważką zapytał, jaką cenę Izrael będzie musiał zapłacić teraz za sukces w Kampali, jakie będą koszty uratowania zakładników i ile razy w przyszłości można będzie „sukcesy *à la* James Bond” powtarzać. Odpowiedział na te wątpliwości Abraham Primor, ówczesny radca-minister ambasady izraelskiej w Paryżu, obecny rzecznik MSZ w Jerozolimie. „Dla nas — pisał grzecznie Primor — takie pytania są pozbawione sensu. W obliczu niszczącego

terroryzmu i wobec nieuniknionej konieczności zapobieżenia rasistowskiej masakrze niewinnych ludzi nie ma wyboru i cena nie gra roli”.

Primor jest dyplomata, więc musi postępować elegancko. Moim zdaniem wszystkie te intelektualne wygibasy są przejawem zyczącego ducha Monachium, i tego z 1972 roku, i tego, przede wszystkim, z 1938 roku. Gdyby istniało wówczas państwo żydowskie i gdyby jego komandosi wylądowali np. w Dachau, ratując więźniów Hitlera, też znaleźliby się wówczas dziennikarze i politycy uważający, że akt ten gwałci suwerenność III Rzeszy. Gdyby zaś desant miał miejsce po sierpniu 1939, to i Moskwa uznałaby, że chodzi o piracki akt gwałtu na zaprzyjaźnionym państwie kierującym przedsiębiorstwami w Dachau, Buchenwaldzie, i może już w Oświęcimiu...

Mówiąc więc w skrócie acz brutalnie, wszystkie pretensje do Izraela wynikają nie z troski o sprawiedliwość światową i dziejową, a z nieprzyjemnego faktu, że to właśnie Izraelczycy udowodnili, iż istnieje alternatywa do niszczącego cywilizowany świat zbiorowego tchórzostwa.

„Mieście wybór — wołał do monachijszyków Churchill — między upokorzeniem a wojną. Wybraliście upokorzenie, a wojnę i tak będziecie mieli”.

Ano!

Pisane 5 sierpnia 1976.  
Kultura nr 9/348, 1976.

---

## OŚMIOLETNIA PODRÓŻ PIRATA Z OCEANU LODOWATEGO NA MORZE ŚRÓDZIEMNE...

Stary Zalmanson miał (i ma) czworo dzieci: trzech synów i córkę. Sylwia, Wolf i Szmul zostali skazani, jak leci, na 10 lat każdy, najmłodszy, Izrael, tylko na 8 lat gułagu. Razem lat 38, co jak na jedną rodzinę jest zespołowym wynikiem zasługującym na uznanie nawet w warunkach ZSSR, gdzie „*tak wolno dyszyt czełowiek*” i gdzie tak trudno o rekordy w tej dziedzinie.

Tym bardziej, kiedy do tego rachunku dopiszemy jeszcze męża Sylwii, Edwarda Kuzniecowa, który dostał lat 15 (zamiast pierwotnie orzeczonej kary śmierci). Osiągamy wówczas bilans lat 53, które, jak na wojnie, liczą się wszak podwójnie...

Stary Zalmanson ma więc czworo dzieci i jednego zięcia, ale ostatni raz widział ich razem w grudniu 1970 roku na ławie oskarżonych sądu w Leningradzie. Przez następne cztery lata stary Zalmanson mógł zwołać radę rodzinną tylko na jednej z wysp archipelagu gułag, gdyby naturalnie KGB na to zezwoliło, co jest bardziej niż wątpliwe.

Pierwsze ze swych dzieci stary Zalmanson ujrzął dopiero w 1974 roku. Sylwia została wówczas zwolniona jako osobisty prezent Breżniewa dla Nixona. Obaj panowie wkraczali właśnie w okres namiętej *détente*, Nixon wybierał się do Moskwy, Sylwia była *cause célèbre* owej epoki. Moskwa podarowała Sylwię, aby dobrze nastroić prezydenta USA i uspokoić gawieź...

Następne dziecko stary Zalmanson ujrzął dopiero w 1978 roku. Izrael, żaden prezent, nie było komu, nie stanowiący przy tym żadnej *cause célèbre*, opuścił gułag po odsiedzeniu pełnego wyroku, od świtu 15 czerwca 1970 do świtu 15 czerwca 1978. Przez dwa miesiące odżywał u ojca w Rydze, pozbierał wszystkie niezbędne bumazki, złożył natychmiast w KGB i w sierpniu był już u siostry w Tel Awiwie. Przyjechał więc prawie prosto z gułagu gdzieś w mordwijskim powiecie, ale zachowuje się tak jakby swój czas spędzał przeważnie w St.-Moritz lub w Izbie Lordów: zrównoważony, bez goryczy, spokojny, uśmiechnięty, mówi ze znajomością i wyrozumiałością o świecie i do świata, który zna przeważnie z artykułów *Prawdy* i którego nigdy nie widział.

### *Dziwni piraci*

35 stopni w cieniu to nawet nie najgorzej jak na Tel Awiw w sierpniu i w południe. Siedzimy w kawiarni, pod parasolem, na jedynym miejscu gdzie w tym mieście i o tej porze można oddychać świeżym powietrzem. Kamienny plac Kikar Attarim, kilka restauracji, cudowny widok na morze, władze zbudowały to, aby mieszkańcy Tel Awiwu mogli dotrzeć do wody mimo muru ogromnych hiltonów odgradzających miasto od morza i Żydów izraelskich od Żydów amerykańskich. Rozmawiamy z Żydami sowieckimi, jest z nami Sylwia, są jeszcze inni, co jakiś czas włącza się do rozmowy albo jakiś emigrant z Rosji siedzący

przy stoliku obok, albo jakiś autochton, który Zalmansona widział właśnie wczoraj w telewizji i koniecznie musiał się natychmiast dowiedzieć, gdzie i kiedy się tak dobrze nauczył po hebrajsku, na co (i jak długo jeszcze) choruje Breżniew oraz aby przekazać nam swoją niezawodną teorię rozwiązania sprawy pokoju na Bliskim Wschodzie...

Saga Zalmansonów zaczęła się (dla świata) 15 czerwca 1970 roku, kiedy kilkunastu Żydów zostało wyłapanych przez KGB w kilku miejscach kraju Rad, ale przede wszystkim na lotnisku Smolny pod Leningradem. 12 ich stało w kolejce do kontroli biletowej przed wejściem na pokład małego samolotu do Priozerska, gdzieś na zachodniej północy. W sześć miesięcy później cała kolejka stanęła przed sądem w sprawie która do historii przeszła pod nazwą „pierwszego procesu leningradzkiego”. Były dwie kary śmierci i kilkanaście długich wyroków. Świat się oburzył, chociaż to było Boże Narodzenie, albowiem na szczęście dla Żydów w Leningradzie, wszyscy dyktatorzy mają podobne odruchy, i Franco też chciał wykorzystać świąteczne lenistwo opinii, aby bez szumu skazać w Burgos sześciu terrorystów na śmierć. Odezwali się więc tzw. lewicowi intelektualisci, wszak nie można było oburzać się selektywnie, i Breżniew musiał obie kary śmierci zamienić na 15 lat gułagu. Świat się tym tak ucieszył, że zapomniał o reszcie skazanych. Wyjście Sylwii przypomniało o ich losie. Potem zapadła cisza i dopiero wyjście Izraela do Izraela odświeżyło „tendencje optymistyczne” zachodniej, leniwej pamięci.

— Dopiero wasz proces sprawił — mówię do Zalmansona — że świat przejął się sytuacją Żydów sowieckich. I to jest jasna strona waszej przygody. Inne jej okoliczności są jednak mniej jasne. Zostaliście aresztowani w czasie próby porwania samolotu pasażerskiego. To prawda, że KGB odmówiło wam wszystkim paszportów emigracyjnych, ale piractwo powietrzne karane jest także na Zachodzie i uważane jest za działalność terrorystyczną...

— Nieporozumienie — odpowiada Izrael (mieszać się będą do rozmowy także inni, ale dla wygody występować będzie tylko Zalmanson). — Nie byliśmy piratami. To co mieliśmy zamiar przeprowadzić nie było aktem powietrznego piractwa, w każdym razie nie w tym sensie w jakim pojęcie to kursuje w prawie zachodnim czy sowieckim nawet. Chodziło, to prawda, o zamiar opuszczenia ZSSR bez zgody władz tego kraju. Ale, uwaga. Po pierwsze, nie doszło do „aktu”, nie dotarliśmy nawet do maszyny, zostaliśmy aresztowani jeszcze przed wejściem na płytę lotniska, co jednak nie przeszkodziło skazaniu nas nie za zamiar a za porwanie. Po drugie, opanowanie samolotu miało się odbyć jeszcze na ziemi, przed wystartowaniem, mieliśmy bowiem własnego

pilota. Ale, przede wszystkim, nie mieliśmy żadnej broni, no i nie było zakładników, wykupiliśmy bowiem wszystkie 12 miejsc w tej małej maszynie. Jeżeli więc czyjekolwiek życie było w niebezpieczeństwie, to tylko nasze własne. Czy zna pan dużo takich aktów piractwa, gdzie porywacze nie mają broni i nie biorą zakładników?

— Nie, nie znam, ale to nie jest jedyna oryginalna rzecz w waszym przedsięwzięciu. Żaden ze znanych aktów piractwa nie był tak fatalnie przygotowany i przeprowadzony. Z moich informacji wynika, że wiedzieliście, iż KGB czeka za zakrętem, że plan nie może się udać, że musi się źle skończyć. Po co to samobójstwo: kamikadze czy masochizm albo kompleks Massady?

— Żadna z tych propozycji mi nie odpowiada. Nikt bardziej od nas nie pragnął żyć poza gułagiem i bardziej po ludzku niż w Rosji. Ale było już za późno. Wiedzieliśmy, że idziemy policjantom w łapy, ale wiedzieliśmy też, że w każdym razie, nawet jeżeli zrezygnujemy z planu porwania, zostaniemy aresztowani i skazani z tego samego, pirackiego, paragrafu. Przecież niektórzy z naszych ludzi zostali aresztowani o kilka godzin wcześniej i zupełnie gdzie indziej. Stąd nasza decyzja wyjścia losowi na-przeciw, sprowokowania awantury, z nadzieją wywołania, przed zniknięciem w mrokach gułagu, takiego szoku, który by zmusił świat do zainteresowania się naszym losem, ujawnił arbitralność władzy, świadczył o naszym zdecydowaniu. Tylko taki szok mógł w końcu przynieść nam wolność...

### *Specyfika nawet w gułagu*

— Szok na świecie rzeczywiście był, ale zamiast na wolność w Izraelu, pojechaliście w kajdankach do gułagu. Czy to bardzo trudno wtopić się w archipelag kiedy się ma 21 lat, przetrwać tam 8 lat, wyjść jak normalny człowiek w nie najlepszej formie nawet?

W żadnym wieku archipelag nie stanowi przyjemności. Prawdą jest, że młodym i silnym łatwiej przeżyć, jeszcze łatwiej przychodzi to młodym, silnym i ideowym. Kiedy się wie za co się siedzi, siedzi się może nie krócej i nie przyjemniej, ale mimo wszystko łatwiej. Wiem co mówię, przeżyłem więzienia w Rydze i Leningradzie, potem obozy w Mordowii i Permie, i wreszcie tiumę we Władimirze...

— Władimir to nie sanatorium, twierdzą bywalcy...

— Tamte także nie...

— Są jednak różnice...

— Są oczywiście, zwłaszcza jeżeli uwzględnić moją specyfikę. Dla ogromnej większości więźniów gułagowy pejzaż jest podobny: ten sam rozkład dnia, ta sama monotonia, to same niejadalne „menu”, ci sami lekarze, którzy zdradzili Hipokratesa dla Andropowa i bardziej dbają o zapewnienie siły roboczej niż o zdrowie „zeka”. Najgorszy był chłód, z braku odpowiedniej odzieży oraz wyczerpująca praca. Niektóre normy były nie do wykonania, co pozbawiało nas prawa do paczek, listów, wizyt itd. Przez jakiś czas, *à propos*, pracowałem przy toczeniu kierownic do samochodów typu „Wołga” zdaje się popularnych u was, w Zachodniej Europie. Tokarka też zresztą była *Made in Cincinnati, USA...*

— I tak było przez 8 lat?

— Nie, to było życie „normalne”. Bywały gorsze okresy...

— Z powodu „specyfiki”?

— Tak, z powodu żydowskiej specyfiki łągierniczej. W każdym łągrze było nas zazwyczaj kilku „syjonistów”, przez krótki czas byłem nawet z bratem Wolfem. Otóż specyfika polegała na tym, że byliśmy jedyną grupą, która dość regularnie miewała z władzą obozową konflikty na tle, że tak powiem, ideowym. Po pierwsze, uważaliśmy się za więźniów politycznych i odmawialiśmy chodzenia na obowiązkowe zajęcia agit-prop. Po drugie, uczyliśmy się hebrajskiego, co było zakazane. Pewien kgb-ista tłumaczył, że nie mogą pozwolić na uprawianie w łągrze działalności nacjonalistycznej, za którą właśnie zostaliśmy aresztowani. Nawet logicznie mówił. I wreszcie stale dochodziło do bójek. Obozowi kapo byli pospolitymi więźniami, z polityką nie mieli nic wspólnego, ot, normalni złodzieje czy gwałciciele i, także normalnie, antysemitę. Pewna liczba kapo rekrutowała się ponadto z byłych kolaborantów, szczerych antysyjonistów. Jeden z nich, nazwiskiem Andersen, Łotysz, odsiadywał (spóźniony) wyrok 12 lat za udział w wymordowaniu 12.000 Żydów. Na tyle samo lat skazany został w naszym procesie Józef Mendelewicz za próbę wylądowania w Sztokholmie zamiast w Priozersku przy użyciu samolotu bez pasażerów. Otóż za każdym razem, kiedy Andersen lub inni rzucali nam swoje ulubione „ty parchu”, dochodziło do bicia. Administracja gułagu tego bardzo nie lubi, nie z powodu sympatii do Żydów, a dlatego, że nie wiadomo jak się takie bójkę kończą, potem trzeba raporty pisać. Sytuacje bywały delikatne, bo niektórzy z pospolitych mieli do nas pretensje nie o syjonizm, a o socjalizm, inaczej mówiąc uważali nas za odpo-

wiedzialnych nie za wojny w Izraelu, a za to co się działo w Rosji, za rewolucję i jej zbrodnie, za Lenina i za Stalina, za swój gułag. Nie było łatwo oficerowi politycznemu w gułagu wytłumaczyć takie racje, napisać w raporcie, że w pojęciu masy reedukowanych więźniów to Żydzi odpowiedzialni są za komunizm i że z tego powodu na podległym im terenie było kilku rannych. Ostatecznie jednak zostałem wysłany do Władimira za przekazanie na Zachód listu na temat antysemityzmu i w ogóle życia w gułagu. Dla równowagi list został wydrukowany w Cincinnati, mieście skąd pochodziła tokarka, na której pracowałem w obozie. To także specyfika...

— Wróćmy do specyfiki żydowskiej. Żydów w Rosji, jak wiemy, nie lubią ani na wolności ani w gułagu. Specyfika, nie tylko w Rosji zresztą, polega na tym, że najpierw się Żydom zarzuca i prześladuje za to, że są inni, a potem za to, że starają się tę różnicę zatrzeć. Mimo tej specyfiki w jednym z listów do Sylwii pisał pan, że co prawda obóz zabrał panu najpiękniejsze lata młodości, ale że sporo pana także nauczył, a przede wszystkim utwierdził w przekonaniu, że wbrew temu wszystkiemu co można by sądzić, Żydzi w ZSSR są grupą uprzywilejowaną. To w obozie polubił pan paradoksy, czy też to znowu masochizm?

— Paradoks jest tylko pozorny. Chodzi, rzecz jasna o tych, którzy się za Żydów uważają. Ci są rzeczywiście uprzywilejowani, to jedyna kategoria mieszkańców tego ogromnego gułagu, jakim jest ZSSR, która ma prawo do nadziei. Żydzi w ZSSR to jedyna grupa narodowościowa, która, na szczęście, nie ma swojej republiki sowieckiej, natomiast, na jeszcze większe szczęście, ma swoje państwo za granicą. To państwo się nimi interesuje, zaprasza do przyjazdu, uruchamia międzynarodowy mechanizm nastawiony na ułatwienie emigracji, nie pozwala aby ci Żydzi w ZSSR, którzy uważają Izrael za swą ojczyznę, czuli się choćby przez chwilę osamotnieni. Krótko mówiąc, Żydzi sowieccy mają to, czego nie ma żadna inna grupa narodowościowa rozsiana w archipelagu, ani Gruzini, ani Litwini, czy Ukraińcy bijący się przeciwko rusyfikacji...

— Klan Zalmansonów, a takich jest więcej, zapłacił za tę nadzieję ponad 50-cio ma latami więzienia. Czy to nie za drogo?

— To nie jest sprawa ceny. Od naszego procesu 150.000 Żydów wyjechało z ZSSR. To nie ma ceny. Pewnie, będą inne procesy, inni będą płacić, ale nadziei i wolności nie liczy się na gułagodobę...

— Spróbujmy jednak nieco policzyć. Według najnowszych informacji w ciągu pierwszych 6 miesięcy 1978 roku, 12.000 Żydów opuściło Rosję.



Oznacza to zaskakujący wzrost o ponad 60 % w porównaniu z tym samym okresem roku 1977. Jeżeli ten trend się utrzyma, a wszystko na to wskazuje, rok 1978 uplasuje się na drugim miejscu w tabeli emigracyjnej, po roku 1973, kiedy to wyemigrowało was 35.000. Co się dzieje? Dlaczego Kreml otworzył nagle i szeroko żydowski kurek? Domyślam się, że Kreml stara się zmienić klimat w Waszyngtonie przed nieuniknioną debatą w Kongresie nad ratyfikacją SALT II, że Kreml chciałby także doprowadzić do złagodzenia przez Kongres „poprawki Jacksona” blokującej kredyty amerykańskie. To wszystko jednak nie wystarczy. Prawda o żydowskim kurku musi być gdzie indziej. Może pan wie gdzie?

— Nikt nie wie dokładnie, ale można podyskutować. Po pierwsze nie należy lekceważyć względów „klimatologicznych”. Nastroje w Kongresie USA są ważne dla Rosji. Proszę nie zapominać, że w 1973 roku żydowski kurek był szeroko otwarty mimo wojny kipurowej przede wszystkim dlatego, że Kreml chciał wtedy ratować układ handlowy z USA i nie dopuścić do storpedowania go przez Jacksona. Po drugie, wchodzi obecnie w grę względy nie tylko „klimatologiczne”, ale i „sanitarne”. Kreml chce oczyścić Moskwę z „robactwa” żydowskiego czy dysydenckiego, żeby użyć określenia leninowskiego, przed olimpiadą 1980 roku. Po trzecie, Kreml tym łatwiej upuszcza nieco „krwi żydowskiej” za granicę, że wie, iż tak jak w moim przypadku, chodzi o elementy absolutnie nie do uratowania, nie do odzyskania, nie do zasymilowania. Nadmierne zagęszczenie takich elementów, ludzi mniej lub bardziej zdesperowanych, zdolnych właściwie do wszystkiego, grozi wybuchem i gwałtownymi reakcjami na Zachodzie, a Kreml nie lubi ani wybuchów ani reakcji na Zachodzie. Po czwarte, tzw. aktywiści żydowscy są zarzewiem buntu w ogóle, dają niedobry przykład, zasilają kadry dysydentów „aryjskich”, pomagają w kontaktach z Zachodem, jednym słowem udowadniają, że można nie bać się władzy. Baba z wozu, koniom łzej...

### *Nie naprawiać socjalizmu*

— Przysłowie znam, ale w tym co pan mówi jest poważna sprzeczność. Z jednej strony Kreml dyskretnie wypuszcza nadwyżkę żydowskiej energii i trucizny, z drugiej zaś, montuje takie procesy jak Szczarańskiego, które wywołują niesamowity hałas z udziałem prezydenta Stanów Zjednoczonych osobiście. Gdzie tu logika?

— Jest logika. Sprzeczność jest tylko pozorna, wasi kremli-nolodzy nie wszystko od razu zrozumieli. Proces Szczarańskiego to skomplikowana operacja władzy sowieckiej, w której Zachód

dostrzegł jedynie aspekty międzynarodowe i amerykańskie. Szczarański nigdy nie był szpiegiem. KGB to wie, Kreml wie, że Waszyngton wie, że oni o tym wiedzą. Ale szpiegostwo było tym pretekstem, który dawał możliwość dużego wyroku, a duży wyrok był potrzebny, aby przekazać bardzo poważny *message* nie Amerykanom, a sowieckim Żydom. Kreml mianowicie chciał powiedzieć, że Żydzi muszą wybrać: jeżeli chcą wyjechać do izraelskiej ojczyzny to niech przestaną się mieszać do wewnętrznych spraw sowieckiego państwa. Innymi słowy, jeżeli chcą jakieś państwo naprawiać, to niech to będzie Izrael a nie ZSSR. Jak wynika z tego, KGB jest skłonny do pewnego stopnia tolerować wojnę o paszport i o wyjazd, ale nie będzie tolerować starań o reformę ustroju, o naprawę komunizmu. Kreml uważa, że chodzi o dwie zupełnie różne sprawy, o dwie oddzielne wojny. Tymczasem Szczarański właśnie je łączył, był jednym z organizatorów ruchu emigracyjnego do Izraela i był równocześnie członkiem grupy profesora Orłowa, badającej jak Moskwa przestrzega, albo raczej nie przestrzega, układu z Helsinek, był więc równocześnie w ruchu żydowskim i w ruchu aryjskim, a na to Kreml się nie godzi...

— No, dobrze, to jest *Rassenschande*, my to znamy, taki jest scenariusz KGB. Ale jakie jest pańskie zdanie? Czy pan też uważa, że wojna żydowska ma się toczyć w całkowitej separacji od wojny rosyjskiej, ma się wyrzec więzów z Rosjanami, Ukraińcami, czy nie odpowiada panu towarzystwo np. Sacharowa?

— To fałszywy dylemat...

— Wcale nie fałszywy. Wyszedł pan właśnie z gułagu, nie zna pan literatury. Fizyk, prof. Herman Branower, który wyemigrował w 1972 roku i obecnie wykłada w Berszebie, na Negewie oraz przewodniczy Stowarzyszeniu Wierzących Naukowców pochodzenia sowieckiego (!) wypowiedział się — „w imię skuteczności akcji” — zupełnie zdecydowanie i jednoznacznie, w duchu rozumowania Kremla, przeciwko jakiemukolwiek utożsamianiu żydowskiego ruchu emigracyjnego z ruchem dysydenckim czy opozycyjnym. Odwrotnego zdania jest prof. Witali Rubin, słynny sinolog, który wyemigrował dopiero w 1976 roku i wykłada obecnie w Jerozolimie. Rubin uważa, że oddzielenie walki Żydów o emigrację od walki dysydentów o prawa człowieka i obywatela w ogóle byłoby taktycznie niebezpieczne i moralnie nie do przyjęcia, że chodzi o dwa fronty tej samej wojny. Jakim prawem, woła Rubin, Żydzi sowieccy domagają się pomocy opinii światowej w swej walce przeciw arbitralnej władzy o prawo do emigracji, jeżeli oni sami odmawiają takiej pomocy dysydencom rosyjskim czy ormiańskim. Dylemat nie jest więc fałszywy, a realny, warto się nad nim zastanowić. Przypomnę tylko panu jeszcze, że w ostatnim słowie Szczarański powiedział: „Dumny jestem, że mogłem pomóc swemu narodowi w emigracji i dumny jestem, że mogłem współdziałać z takimi Rosjanami jak Orłow czy Sacharow”. Szczarański został skazany na 5 lat więcej niż pan. On dopiero zaczyna (chyba, że

będzie wymieniony) swą drogę przez gułag, pan swoją właśnie zakończył. Z której pan jest strony?

— A jednak dylemat jest fałszywy. Alternatywa nie sprowadza się do „razem czy oddzielnie”, za Sacharowem czy przeciw niemu, z nim czy bez niego. Podziwiam odwagę i prawość Sacharowa czy Szczarańskiego, uważam też, że na pewnych odcinkach i w określonych sprawach obie te formy walki z totalitaryzmem są nieoddzielne i naturalnie związane. Uważam też, że chodzi o zjawiska zbyt bliskie aby można i należało, jak tego chce KGB, je sobie przeciwstawiać. Równocześnie jednak wydaje mi się, że należy wysnuwać wnioski z historii. Żydzi byli stosunkowo licznie obecni w kadrach rewolucji 1917 roku i wśród założycieli państwa sowieckiego...

— Niemniej liczni byli też wśród ofiar tego państwa...

— Tak, ale była to ostatnia „równość” Żydów w państwie sowieckim. Uważam więc, a nauczyłem się tego m.in. w łagrze, gdzie spotkałem pełny przekrój społeczeństwa sowieckiego, że Żydzi, którzy chcą wyjechać na zawsze i uważają, że mają ojczyznę poza Sowietami, nie powinni brać udziału w drugiej rewolucji w ZSSR. Oczywiście, są Żydzi, którzy pragną się zasymilować na miejscu, są i inni, którzy chcą żyć jak Żydzi, po żydowsku ale w ZSSR. Ci, oczywiście, jeżeli starczy im odwagi, powinni się bić o swoje prawa w ZSSR...

— Gomułka w 1968 roku tak samo podzielił „swoich” Żydów na trzy kategorie: syjonistów, kosmopolitów i prawdziwych patriotów. Prześladowano jednak wszystkie trzy kategorie, a przede wszystkim — co pozostało polskim wkładem w socjalistyczny antysemityzm — tych prawdziwych patriotów, absolutnie spolszczonych, których dzieci często dopiero w marcu 1968 poznawały, dzięki moczarowskiej prasie, prawdziwe nazwiska swych rodziców. Dziś już faktycznie nie ma Żydów w Polsce, w żadnej z trzech kategorii, ale w momentach kryzysu, jak np. po „wydarzeniach” z czerwca 1976 roku, władza ciągle tłumaczy, że to oni są wszystkiemu winni.

— Nie znam sytuacji w Polsce, gdzie, jak pan twierdzi, Żydów już nie ma, w ZSSR jest ich ok. trzech milionów. Moim zdaniem jednak, spotka ich los podobny. Pozostaną kozłem ofiarnym i wygodnym pozbyciem się winy przez nieudolną władzę. Na dłuższą metę są zresztą skazani na zniknięcie: przez emigrację, przez asymilację, przez kulturowe ludobójstwo lub przez małżeństwa mieszane, i w końcu przez wszystkie te młynki razem. Powtarzam więc, że ci, którzy chcą tego losu uniknąć powinni się bić o jedyne skuteczne i definitywne rozwiązanie, jakim jest emigracja. Naprawa komunizmu to nie ich sprawa i nie ich zadanie...

## „Napsuli i wieją”

— Wie pan co na to mówią: najpierw napsuli a potem wieją...

— Tak mówili w gułagu...

— Nie, tak niektórzy mówili (i mówią) w Warszawie. Jest to oczywiście brednia. W istocie Gomułka wyrzucał przede wszystkim nie tych co „napsuli”, a tych, którzy chcieli „naprawiać”, albo w ogóle się nie mieszała. Z powodu „napsucia” nikt nikomu, niezależnie od pochodzenia, nie robi w Polsce wyrzutów...

— ... w Moskwie także nie. Czy zdaje pan sobie sprawę, co by się stało, do jakich porachunków by doszło, gdyby zaczęto załatwiać bilans „napsucia”?

— Nie wiem do czego by doszło w ZSSR, ale wiem do czego doszło w Polsce. Powiem to panu, to może się przydać w ostatecznym opracowaniu pańskiej teorii niechybnego końca żydostwa w ZSSR. Otóż, hasło „Żydzi napsuli a potem wieją”, wylansowane w 1968 roku przez czarną sotnię Moczara i jego „ideologów”, nie najgorzej chwyciło w narodzie. To w imię tego hasła spora część społeczeństwa pozostała obojętna kiedy wyrzucano z Polski ostatnich Żydów, chociaż jasne było, że ich się nie wyrzuca za „napsucie” a za pochodzenie, chociaż wszyscy wiedzieli, że moczarowcom nie chodziło o naprawę Rzeczypospolitej a o wyrwanie — przy pomocy żydowskiego argumentu — władzy z rąk rozpaczliwie niedołęznego Gomułki. To co się dziś w Rosji dzieje, to dla Polaków nie nowego. Tak jak w Polsce w 1968 roku, tak dziś w Rosji władza umiejętnie manipuluje masą i motywację faktycznie rasową maskuje polityczną. Nawet propaganda antysemitka jest tego samego gatunku, do dziś zresztą przelewają się przez kolumny *Prawdy* „polskie argumenty” z 1968 roku, różne Emelianowy postugują się „odkryciami” Szafrąskich. Ale najważniejsze, że tak jak w Polsce w 1968 roku, tak dziś w Rosji władza się myli: *à la longue* system nie stanie się mniej odrażający tylko dlatego, że prześladowuje Żydów, a przede wszystkim nie stanie się skuteczniejszy. Prześladowanie czy wyjazd Żydów niczego nie załatwiają na froncie wewnętrznym. Całkowicie *judenrein* reżym w Polsce czy całkowite odżyczenie aparatu władzy w ZSSR nie naprawiły sytuacji. Reżym degenerował się nadal (wystarczy przypomnieć grudzień 1970 czy czerwiec 1976 w Polsce i całe dziesięciolecie w ZSSR), całkowicie niezależnie od kwestii żydowskiej, co zresztą było jasne od początku. Czy nikt w Moskwie nie wysnuwa wniosków z polskich doświadczeń?

— Nie wiem, nie odnalazłem w dyskusjach sowieckich śladu próby analizy polskiego doświadczenia. Zresztą wszelkie porównania między Polską a ZSSR wydają mi się zawodne, bo dla was są to już pojęcia historyczne, a tam żyje około trzech milionów tych „specyficznych” ludzi...

— Żydowskich emigrantów z 1968 roku nie wpuszcza się do Polski, choć są już w posiadaniu zagranicznych paszportów. Stanowi to klasyczną dyskry-

minację rasową. Wizy odmówiono nawet byłemu rabinowi wojska polskiego. Może się boją, że znowu „napsuje”. Dziennikarka francuska z lewicowego pisma, Polka z pochodzenia, została powitana przez MO w 1978 roku pieszczołliwym: „gdzie się pehasz ty żydowska mordo”. Dziennikarze zachodni są uprzedzani przez niektórych polskich „kolegów”, że dysydenci to w większości Żydzi, więc nie należy im ufać. Inni emisariusze szerzą dziś jeszcze na Zachodzie opowieści, jaką to straszną rolę odegrali osobnicy, tego hm, pochodzenia niejasnego, w owym okresie. To wszystko w 1978 roku, czyli to nie historia. Ale nawet, gdyby chodziło już tylko o przeszłość, to i z niej warto się uczyć. Nie wiadomo czy się nie powtórzy.

— Wiadomo co się nie powtórzy: w ZSSR nie będzie pogromów ani ekscesów, będzie tylko eksterminacja kulturowa i duchowa. Ten program, mimo że bez pogromów, też mi nie odpowiada. Stąd powracam do mojej skromnej propozycji: prawo do wyjazdu dla tych, którzy chcą zachować świadomość narodową, świadomość przynależności do innej kultury...

## *U siebie*

— Połowa z tych, którzy wyjeżdżają zmienia adres we Wiedniu i wybiera przystań gdzie indziej niż w Izraelu. Co się stało z ich świadomością narodową?

— Nigdy jej nie mieli. Ale ich przykład wykazuje jak ważna jest świadomość tej połowy, która dociera do Izraela. Bez odwagi tych, którzy ryzykują wolność nie tylko po to, aby wyjechać z ZSSR, ale po to aby dojechać do Izraela, tamci, ci którzy dziś założyli „getto w Brooklynie”, nigdy by nie wyjechali.

— Dla uniknięcia „strat” w Wiedniu niektórzy proponują zamiast tranzytu przez Wiedeń, tranzyt przez Bukareszt, gdzie wybór „adresów” jest faktycznie żaden...

— Znam ten projekt, ale to mało realne. Uniknąć strat można tylko w jeden sposób: Izrael powinien wywierać tak wielką siłę przyciągania, aby emigranci z ZSSR nie mieli wątpliwości, że ich dom jest nad Jordanem a nie nad East River, że nigdzie na świecie nie będą u siebie jak tylko tutaj.

— Pan jest u siebie?

— Tak, znajomość języka ułatwia oczywiście adaptację...

— Ma pan 29 lat, z których 8 spędził pan w gułagu. Czy łatwo wraca się do tego co ludzie nazywają szczęściem?

— Co to jest szczęście? Kiedy o 4-tej o świcie otwierano

przede mną bramę więzienia w Rydze (4-ta rano jest godziną wolności w ZSSR, wychodzi się bez świadków i wzruszeń), miałem bardzo wiele projektów składających na szczęście...

— Na lotnisku witał pana minister absorpcji Levi. Radził panu szybko się ożenić i mieć dużo dzieci. On się na tym zna (złośliwi twierdzą, że tylko na tym), ma ich dwanaścioro. Dla Alberta Schweitzera szczęście sprowadzało się do „złej pamięci i dobrego zdrowia”. Która z tych definicji panu odpowiada?

— Żadna. Propozycja Schweitzera jest za wąska, pogląd ministra Leviego za szeroki. Życie nauczyło mnie umiarkowania i rozwagi oraz szacunku dla kilku podstawowych zasad. Zanim dojdę do „szczęścia”, wszystko jedno w jakiej definicji, chciałbym się postarać, aby rodzina Zalmansonów mogła się kiedyś w końcu zebrać w Izraelu w komplecie. Mój ojciec ma czworo dzieci. Dwoje jest już na wolności, w Izraelu, dwoje oraz szwagier jeszcze w gułagu. Oni też mają prawo do szczęścia... w każdej definicji.

Pisane 9 listopada 1978.

Kultura nr 1/376-2/377, 1979.

---

## ROSYJSKI SZCZEP NA ŻYDOWSKIM SERCU

„... Niech Pan napisze, że przytłaczająca większość Żydów sowieckich, którzy przez jakieś pomieszanie zmysłów opuścili ojczyznę i wyemigrowali do Izraela, wrywa sobie teraz włosy z głowy... Taka nienawiść otaczała nas w Izraelu, że dziesiątki nieszczęśliwców popełniły już samobójstwo... Rząd izraelski dostaje z Ameryki 40.000 dolarów za każdego Żyda z ZSSR, ale my nie widzimy ani centa... Osiem dni wystarczy, aby przekonać się, że żaden człowiek urodzony i wychowany w ZSSR nie jest w stanie zapuścić korzeni w tym kraju przekupstwa, nietolerancji religijnej, wykorzystywania biednych... Było nam dobrze w Rosji, nie wiemy co nas napadło, to ta przekłeta propaganda syjonistyczna... Nie mamy żadnej pretensji do władzy sowieckiej, teraz chcemy tylko jednego: wrócić do naszej ukochanej ojczyzny... Boimy się o tym głośno mówić, bo niektóre bojówki syjonistyczne grożą zamachem na nasze życie... Oni chcą nas wystać na tufaczkę do USA, Kanady czy Australii, ale my chcemy do domu... Jeżeli postanowią odesłać nas do Izraela, to wolimy się powiesić...”

To straszne, pomyślałem, zwłaszcza, że wypowiedzi nie pochodzą, wbrew pozorom, z *Komsomolskiej Prawdy* czy *Gwiazdy Birobidżanu*. Słowa, od których zaczynam ukazały się w Brukseli, w piśmie poświęconym zbliżeniu narodów, wydawanym przez Towarzystwo Przyjaźni Sowiecko-Belgijskiej, organie instytucji oficjalnie niepartyjnej, w której władzach zasiadają bardzo poważne osobistości belgijskiego świata politycznego i kulturalnego.

Skoro tak, powiedziałem sobie, to warto się tym tematem zainteresować bliżej. W końcu z własnego doświadczenia wiemy, że emigracja to nie wycieczka na „Batorym”. Porobiłem większą ilość fotokopii wstrząsającego reportażu z organu, rozesałem między kompetentnych ludzi, a sam wybrałem się w drogę, aby sprawdzić na miejscu. Nic tak bowiem nie kształci jak podróże...

### *Jednokierunkowa agencja*

Zanim jednak uleciałem biało-niebieskim Boeingiem, postanowiłem odwiedzić rodziny deportowanych, powieszonych lub zgładzonych przez syjonistyczny KGB. Od razu opadły mnie wątpliwości. Nikt się mianowicie nie powiesił, natomiast większość czeka niecierpliwie (nie wiedzą, na co się narażają) na wizy do USA czy Kanady, a inni starają się urządzić na miejscu, w Belgii. Kilkudziesięciu z 800 rosyjskich Żydów, którzy do Belgii przyjechali z Izraela, już wróciło pod opieką... katolickiego Caritasu, a później niekoniecznie ongiś filosemickiej Fundacji Tołstoja. Teraz czynne są już charytatywne organizacje żydowsko-belgijskie. Syjoniści i Izraelczycy raczej unikali udziału w akcji pomocy czy w ekspedycji w dalszą emigrację. Jak mi wyjaśnił pewien terrorysta syjonistyczny, zamaskowany pod postacią łysawego urzędnika: „Agencja Żydowska, proszę pana, to nie agencja turystyczna. My załatwiamy podróże tylko raz i tylko w jednym kierunku, do Izraela, reszta nas nie interesuje...”.

Ale mnie interesuje, powiedziałem. Kilkanaście tysięcy Żydów sowieckich nie dotarło bowiem do Izraela, albo dość szybko go opuściło, tuła się po świecie, uczy się na własnej skórze Zachodu. Najpierw cierpieli, bo chcieli być emigrantami, teraz cierpią, bo chcą przestać nimi być. Dlaczego?

### *U następcy Mojżesza*

„Panie Ministrze, dopiero 100.000 sowieckich Żydów przyjechało, a już macie tyle curesów. Wysiadają w Wiedniu, kręcą

się po świecie, opuszczają Izrael, wybrzydzą na pracę, na mieszkania, na Żydów, zupełnie jak w tym dowcipie, że dobrze to się oni czują tylko w drodze. Po co wam to, mało macie zmartwień bez nich? Co zrobicie, jak się w końcu okaże, że Jackson wygrał i że Rosja zacznie wam dostarczać 60.000 osób rocznie? Przecież Pańskie ministerstwo się zawali...”.

Minister Szlomo Rosen to też emigrant... sprzed 50 lat. W ministerstwie absorpcji był już wiceministrem, na pytania reaguje ze spokojem starszego człowieka, który już wszystko widział. Przyjmuje mnie o 8-ej rano (to taki fatalny zwyczaj w Izraelu, oni cierpią na bezsenność), w gabinecie na 30 piętrze Migdal Szalom, czyli Wieży, oczywiście, Pokoju. Rosen należy do nielicznych ministrów, którym, poza biurem w Jerozolimie, pozwolono utrzymać „lokal zastępczy” w Tel Awiwie. Ma cudowny widok na Morze Śródziemne, aż po Cypr chyba...

— *To na pewno po to — dodają dowcipnie — aby sprawdzać kiedy, skąd i w którym kierunku jadą emigranci...*

— Nie — odpowiada minister — od tego są inni. Mam tu biuro, bo Tel Awiw to centrum ekonomiczne, a absorpcja to przede wszystkim ekonomia. Ten widok to zresztą nie jedyny mój przywilej. Moi koledzy musieli okroić swoje budżety, mój pozostał nietknięty. A chodzi o poważne sumy, pierwszy, podstawowy etap absorpcji, kosztuje 40.000 dolarów na rodzinę.

— *A właśnie — wrzucam — pokażę coś Panu. — Wyjmuję kopię z brukselskiego organu. — Dlaczego nie dzielicie się dolarami?*

— Przecież to brednia. Oczywiście, fundusze pochodzą również z diaspory, ale państwo dużo do tego dokłada. A co do Jacksona, to my potrzebujemy wszystkich Żydów, którzy chcą wśród nas mieszkać. Nasza stopa przyrostu naturalnego nie sięga nawet 2 %, stopa przyrostu zaś naszych izraelskich Arabów już przekracza 4 %...

Alija, czyli „wstępowanie” do Izraela było od zawsze mieszaniną mistycyzmu i cudów, powodem bezsenności wszystkich poprzedników ministra Rosena. Pierwszy izraelski minister absorpcji nazywał się Mojżesz, był emigrantem z Egiptu i mimo zdolności do robienia cudów miał ze swoimi Żydami egipskimi podobne zmartwienia, co Szlomo Rosen z rosyjskimi.

— *Panie Rosen — mówię do następcy Mojżesza — niektórzy*



*powiadają, że Izrael bardzo kocha emigrację, ale nie lubi emigrantów. Tych z ZSSR nazywają tu „ruskimi”. To dobre dla pierogów, ale ludzie tego nie lubią. Byli „parchami” w Moskwie, nie chcą być „ruskimi” w Izraelu. Może oni mają inne poczucie humoru od was?*

— Na pewno inne, od pańskiego zresztą również. Powiedzonko o emigrantach jest stare, wymyślił je Katzenelson, ideolog naszej socjaldemokracji jeszcze w latach dwudziestych. Każda fala emigracyjna była tu przyjmowana ze sporą dozą nieufności i ostrożności, a przede wszystkim z zawiścią, albowiem absorpcja każdego nowego pokolenia emigranckiego dokonywała się z dogodniejszych od poprzednich pozycji wyjściowych i w lepszych warunkach bytowych...

*Daj Boże!*

Do ogromnego budynku Sohnutu, czyli Agencji Żydowskiej (faktycznego ministerstwa imigracji) w Jerozolimie wchodziłem *bez* uczuć mieszanych. Jest to niewątpliwie instytucja najbardziej powszechnie i zupełnie jednomyślnie krytykowana w społeczności żydowskiej, tak w Izraelu jak w diasporze. Obecny prezes Sohnutu, p. Sapir, były minister skarbu, nie zmienił *hobby* i ciągle lata po świecie wydzierając, coraz trudniej z uwagi na kryzys, pieniądze na kosztą imigracji i absorpcji. Przyjmuje mnie jego zastępca rabin Kirschblum. Urodzony oczywiście w Białymstoku, jakieś 65 lat temu, wyjechał w 1923 roku do USA, tam skończył studia i funkcjonował jako rabin w jednej z gmin żydowskich w Nowym Jorku.

— Pan wie, w New Yorku jest więcej Żydów niż w Izraelu. Staram się ich tu ściągnąć i wierzę, że mi się to z pomocą Boską uda. Wyrażenie jest na miejscu — nawet na emeryturze rabin nie przestaje być rabinem.

— *Na razie jednak nie chodzi o Pańskie pobożne życzenia (to także jest wyrażenie na miejscu), a o rzeczywistość, a ta mówi po rosyjsku. Czy Pan kocha Ruskich?*

— My kochamy wszystkich Żydów i w ogóle wszystkich ludzi dobrej woli. Czy panowie tam w Europie wierzą (przepraszam, znowu język fachowy) czy panowie sądzą, że można wchłonać 100.000 ludzi tylko przy pomocy buchalterii i pieniędzy?

Zacznijmy od „ruskich”. Tutaj wszyscy noszą przerwiska. Niemieccy emigranci spod Hitlera do dziś swą się „jeki”, od zakietu, którego nie zdejmowali nawet przy pracach rolnych. Niektórzy lwowiacy, którzy tu przyjechali przed 50 laty do dziś zwani są „galicjanerami”. No i co z tego?

No, a teraz bądźmy poważni. Spójrzmy na cyfry, cudów nie ma, no, pan rozumie, cuda oczywiście są, ale nie w tej dziedzinie. W 1948 roku żyło tu 650.000 Żydów i w pierwszym roku istnienia naszego państwa przyjęli 250.000 emigrantów. W ciągu swych trzech pierwszych lat państwo żydowskie przyjęło 750.000 *olim*, czyli „tych co wstępują”. Ale jakie to było państwo i co to byli za *olim*?! Biedny, niedorozwinięty, pustynny kraj, stale napadany przez sąsiadów, potrafił wchłonąć 750.000 byłych więźniów obozów hitlerowskich, dipisów, pensjonariuszy Kołomy czy pogrobowców z Kielc i innych pogromów i wreszcie Żydów z krajów arabskich, często prymitywnych, bez grosza przy duszy oczywiście. Ten kraj liczy dziś trzy miliony Żydów, których połowa pochodzi z emigracji. I pan, poważny człowiek, wyraża wątpliwości, czy my potrafimy wchłonąć bez dramatów i katastrof w ciągu kilku lat 300 czy 500 tysięcy Żydów z Rosji, oby Pan Bóg ich tu przywiódł w dobrym zdrowiu...

### *50.000 Arabów i jeden generał*

7 lipca 1882 roku trzynastu mężczyzn i jedna kobieta wylądowali po długiej podróży z Rosji na piaszczystym brzegu Haify, otwierając, o czym nie wiedzieli, epopeję nowożytnej aliji. Przyjął ich ostry hamsin, wroga natura, dziwni ludzie. Ta czternastka to byli pionierzy. Niecałe 100 lat później ich potomkowie, często nawet krewni tych z żydowskiego „Mayflower”, wysiadają z Jumbo-jeta w Tel Awiwie nie tylko bez żadnych pionierskich ambicji, ale wprost przeciwnie, z przekonaniem, że wszystkie ich doczesne, nie mówiąc już o wiecznych, sprawy zostaną natychmiast i po ich myśli, z powodzeniem, sprawnie przez innych rozwiązane.

Oczywiście się mylą. Cały sztab czuwa nad tym, aby to nieuchronne rozczarowanie było jak najmniej bolesne. Ponieważ tkwimy w terminologii wojskowej, to powiedzmy, że całością operacji kieruje prawdziwy generał Uzi Narkiss, sławny od chwili, kiedy dowodził komandosami, którzy wyzwolili wschodnią Jerozolimę w 1967 roku. Że opuścił wojsko (staruszek przekroczył już 45 lat), to wiedziałem, ale skąd on wiedział, że ja nigdy nie wyszedłem poza stopień niewyszkolonego szeregowca rezerwy

(specjalność bojowa: pisarz, bibliotekarz, kreślarz) to jest tajemnicą. W każdym razie potraktował mnie, jakbyśmy obaj byli w naszych stopniach, w służbie czynnej, w tym samym wojsku.

— To wszystko brednia. Nikomu nie wierzę, a przede wszystkim Rosjanom. Do Jacksona daleko. Mamy największe na świecie możliwości absorbcyjne. Możemy wchłonąć 500 intelektualistów miesięcznie. 50.000 arabskich robotników przybywa codziennie do pracy z terytoriów administrowanych. I gdzie tu problem!

I generał zniknął. Nie powiedział nawet „cześć”, ani chociażby „szalom”.

Na szczęście inni rozmówcy byli mniej napoleońscy. Poskładałem więc jakoś absorbcyjny *puzzle*. Absorpcja nie byłaby, zapewniam was, zajęciem wypoczynkowym nawet dla sprawniejszej niż izraelska administracji.

Operacja „absorpcja” zaczyna się od razu na lotnisku, z chwilą „nadejścia towaru”, jak to mało dowcipnie określił pewien urzędnik pana generała. Najłatwiej jest z robotnikami, coś kiedy alija sowiecka jest w ogromnym procencie uniwersytecka. To bardzo miło witać panów doktorów, inżynierów i profesorów, ale to niełatwy „towar”. Muszą z reguły obniżać ambicje, zmieniać specjalności, przestawiać się, uczyć się nowego i trudnego języka, doksztalać się w zawodzie, unowocześniać swój warsztat naukowy i fachowy, a często rezygnować z pretensji i, z ich punktu widzenia, „deklasować” się.

### „Szare komórki” na sprzedaż

Instytut Weizmana, pół godziny od Tel Awiwu, nie potrzebuje reklamy. Cisza, zieleń, słychać lot myśli i terkotanie komputerów, sława ponadustrojowa. Liczba geniuszów na metr kwadratowy jedna z największych na świecie. Prof. Zarecki, specjalista od spektrometrii (nie pytajcie mnie, o co chodzi), jeden z pięćdziesięciu naukowców dawniej sowieckich tutaj dziś zatrudnionych, przyjmuje mnie w maleńkim i starym gabinecie, ale natychmiast prowadzi do nowego budynku imienia Rapaporta (podpisał czek), gdzie jego zakład zajmuje spory parter.

— Ta maszyna kosztowała 300.000 dolarów — profesor pokazuje coś niewielkiego, ale bardzo skomplikowanego. — W trzy tygodnie potem jak ją instytut dla mojego zakładu zakupił, mój były zakład w Moskwie także ją w tej samej firmie w RFN

zamówił... Ja, proszę pana, przedstawia się Zarecki, jestem osobistym podarunkiem Breżniewa dla Nixona. Wypuścili mnie na chwilę przed pierwszą wizytą Nixona w Moskwie w 1972 roku. Ale ja jestem przypadek szczególny. Znałem płynnie hebrajski, miałem specjalność właśnie poszukiwaną w Izraelu, a moje prace były tutaj od dawna znane. Zresztą ci dwaj młodzi ludzie, których Pan widział przy maszynie, to moi asystenci... jeszcze z Moskwy...”.

Niektórzy koledzy Zareckiego mieli mniej szczęścia. Dla ludzi wolnych zawodów najważniejsza rzecz to ich dyplom, tym cenniejszy, że uzyskany często w ZSSR za cenę wielu wyrzeczeń i upokorzeń. Ale co zrobić w Izraelu z dziesiątkami fachowców od literatury rosyjskiej, filologii tadżyckiej, prawa kołchozowego, historii WKP(b), a nawet z za wąsko wyspecjalizowanymi albo i niedoszkolonymi inżynierami czy lekarzami...

— Kwestia cierpliwości, pieniędzy, no i biurokracji... — mówi Zarecki. — Trzeba szukać rozwiązań na szeroką skalę. Trzeba np. pomyśleć o eksporcie szarych komórek, o zakładzie produkującym pomysły i rozwiązania na zamówienie zagranicy, lub z własnej inicjatywy, na już i na jutro, na wyrost. Izrael od razu nie jest w stanie wchłonąć całego kapitału intelektualnego, jaki niesie z sobą alija sowiecka...

Zanim do tego dojdzie, dwie instytucje starają się ułatwić start. Specjalna fundacja uruchamia kredyty na stworzenie przy już istniejących instytucjach czy uniwersytetach dodatkowych miejsc pracy badawczej. Oczywiście jednak temat musi być interesujący nie tylko dla zafascynowanego naukowca... Goryczy tu nie mało.

Druga instytucja przekształca ludzi sowieckich w zwyczajnych kapitalistów. Specjalny bank udziela kredytów na uruchomienie — możliwie z dala od przeludnionego Tel Awiwu — normalnych przedsiębiorstw prywatnych, pod warunkiem, oczywiście, przydatności rzeczowej i kwalifikacji kandydata. Trzech inżynierów z Rygi prowadzi już prosperujący świetnie warsztat samochodowy, niezawodny interes w kraju, gdzie większość kierowców przeżywa wyłącznie cudem swój pierwszy tysiąc kilometrów. Chemik z Leningradu przywiózł w kieszeni krótką formułkę. Dziś prowadzi spore laboratorium, produkuje doskonały, jak się wydaje, deodorant, także na eksport. Zatrudnia już 10 robotników, też emigrantów z Rosji. Nawet teatr w *jidisz* założyli — 10 aktorów z Rosji gra Alejchema...

— Ale ilu aktorów *jidisz* my możemy zatrudnić, ile teatrów otworzyć? — pyta mnie p. Gwili, tak jakbym ja się nazywał Sol Hurok i był największym impresario na świecie. Gwili zna

życie, pracuje w Sohnie już 25 lat, ale „nie udało im się zrobić ze mnie biurokraty”. Rzeczywiście, biuro nie generalskie, ale za to pełne emigrantów złych, wściekłych, rozgoryczonych lub zwyczajnie zrezygnowanych. Gwili pełni dziwną funkcję czegoś w rodzaju *ombudsmana*, piorunochronu, zderzaka między rozżalonymi emigrantami a zadowoloną z siebie biurokracją.

— Może potrzebuje pan skrzypków, albo całe zespoły kamealne? Mamy już dziś stosunkowo najwięcej orkiestr na świecie, a nowi muzycy ciągle przyjeżdżają. Przecież cały Izrael nie może wyłącznie grać albo słuchać muzyki.

Aktorzy i skrzypkowie nie wyczerpują sprawy. Pokazano mi statystyki, z których wynika, że aczkolwiek 95 % emigrantów otrzymuje w ciągu dwóch lat stałe mieszkanie i stałe zajęcie, tylko 75 % (a i to chyba na wyrost) wyraża zadowolenie „z jakości”.

Dlaczego? Jak to się dzieje, że ludzie, którzy po to aby się z ZSSR do Izraela dostać ryzykowali prześladowania, więzienie, a czasem więcej, po kilku miesiącach opuszczają Izrael z goryczą w sercu i pustką w duszy. Dlaczego kilka tysięcy osób wysiadło i skrzyżowało z drogi od razu we Wiedniu? Dlaczego kilka innych tysięcy wyleciało na wirażu już w Izraelu?

### *Słowiański szarm i żydowska cierpliwość*

— *Spasibo, gaspadin redaktor* — ja już zapomniałam, co to dżentelmen. Tu inne obyczaje — mówi Laryssa Weissblat, kiedy podałam jej krzesło, pomogłam zdjąć palto, przyniosłam z baru kawę i podałam zapałkę.

Nie trzeba się mylić. Żydzi rosyjscy przyjeżdżają z kraju okrutnego, ale nowoczesnego. To nie nędza ich wygnała, a ustrój sowiecki i jego pogarda dla człowieka, terror duchowy, nędza moralna. W ZSSR żyje trzy miliony Żydów, ale nie trzeba sobie wyobrażać, że chodzi tu o trzy miliony syjonistów, marzących jedynie o lamencie przy Ścianie Płaczu.

Emigracja nigdy nie jest spacerkiem, ale dwie emigracje, pierwsza z ZSSR, druga z Izraela, to prawdziwy na ogół dramat. Istota nieporozumienia sprowadza się do prostej formuły. Prawdziwa absorpcja zaczyna się mianowicie nie od mieszkania i pracy, a w momencie, kiedy mieszkanie i pracę emigrant ma już z głowy.

— Emigrantów można z grubsza podzielić na cztery kategorie. — Laryssa wie co mówi. Adwokat z Moskwy, syjonistka od zawsze, jedna z pierwszych w obecnej fali emigranckiej, od czte-

rech lat stara się ze słowiańskim szarmem i cierpliwością żydowskiej matki (dwoje dzieci w szkole) tłumaczyć sowieckim braciom, co to jest Izrael, a Izraelczykom, co to takiego emigrant z Rosji.

Decyzja opuszczenia ZSSR rodzi się z wielu przesłanek. Po pierwsze istnieją prawdziwi syjoniści. Ich integracja w Izraelu nie stanowi żadnego problemu, przyjechali na złe i na dobre, chcą żyć z Żydami, i wśród Żydów. Druga kategoria to „syjoniści z wyrachowania”. Tacy uważają, że nie ma ucieczki od żydowskiego losu i że lepiej się z tym pogodzić w żydowskim kraju. Po trzecie istnieje kategoria „syjonistów materialistów”, którzy przede wszystkim chcieli wyrwać się z ustroju sowieckiego i wybrali Izrael, bo nie mieli innych wygodniejszych możliwości. I są wreszcie „syjoniści turystyczni”, którzy wyjeżdżają, bo „można wyjechać” i powiedzieli sobie, że skoro tylu poważnych ludzi ryzykuje wolnością i wystawia się na prześladowania, aby się wydostać, to gra jest chyba warta świeczki...

— Jesteśmy więc daleko od monolitu — mówi Laryssa. — A do tego trzeba dodać kolosalną nieznajomość rzeczywistości i to z obu stron. Kiedy tu przyjechałam przed czterema laty, obraz Rosji był taki, jaki ugruntowany tu został przez emigrantów z carskiego imperium w XIX wieku. Mnie, mieszkankę centrum Moskwy, pytano np., czy potrafię posługiwać się nowoczesną windą. Z drugiej strony spotkałam emigrantów, którzy (patrz Łysenko) byli przekonani, że Izrael wyhodował kwadratowe pomarańcze, aby je było łatwiej pakować...”

### *Sowiecki syndrom*

To co jeszcze na miejscu nazwałam „sowieckim syndromem”, jest skomplikowanym układem psychologicznym, zrodzonym z wielu szoków i składającym się z wielu nieporozumień.

Jest to przede wszystkim sprawa poczucia osobistego bezpieczeństwa. Emigranci przybywają z ogromnej Rosji, szowinistycznej, dętej super-potęgi, kraju faktycznie niedotykalnego, bardziej groźnego niż zagrożonego, o kolosalnym poczuciu bezkarności, pewności przetrwania, nie mówiąc już o nieskończonych przestrzeniach do wycofywania się, skądkolwiek by nie nadszedł wróg. Przybysze z takiego kraju lądują w nocy na małym skrawku pustyni, na stercie piasku, w państwie świadomym stałego zagrożenia militarnego i kruchej ekonomii, codziennie napadane przez terrorystów, coraz łatwiej sprzedawanego za naftę, coraz bardziej izolowanego w tzw. rodzinie narodów. O ONZ

i UNESCO już nie wspominam, bo emigranci wychowani w ZSSR i tak tych instytucji nie szanowali.

Jest to, po drugie, trudna sytuacja gospodarcza. Nie ulega kwestii, że dla wielu emigrantów przejście z ZSSR do Izraela zakłada obniżenie stopy życiowej, a w każdym razie bardzo brutalną zmianę warunków bytowania. Emigranci, to jasne, nie kochają socjalizmu (albo raczej sowietyzmu, ale dla nich to wszystko jedno), są jednak przyzwyczajeni do tego, że państwo załatwia za nich cały szereg codziennych spraw.

Tutaj tymczasem państwo załatwia tylko najbardziej podstawowe zagadnienia, reszta należy i zależy od obywatela. Niech sobie radzi... „Aby przypadobać się emigrantom nie możemy wszakże zaprowadzić u nas systemu sowieckiego”, powiedział mi jeden z Sohnutu. Nie, broń Boże, ale w oczach petenta biurokracja izraelska tak bardzo nie różni się od sowieckiej. Najlepiej ujął to zdumiony szewc z Odessy: „Żeśmy brali w d... od biurokratów w Rosji, to normalne, ale żeby jeden Żyd drugiego Żyda ... tego nie rozumiem...”.

Jest to, po trzecie, nowa sytuacja psychiczna w Izraelu. Pierwsi emigranci z Rosji witani byli kwiatami i orkiestrą dętą. Dziś to już chleb powszedni i towarzyszy mu w najlepszym razie obojętność. Dlaczego? To jasne. Izraelczycy mają swoje własne zmartwienia. Euforia zrodzona z sześciodniowego zwycięstwa przekształciła się, w październiku 1973, w świadomość wojskowej kruchości. W rok później drakońskie zarządzenia gospodarcze wykazały kruchość wieloletniego *boom*'u.

Młody Izraelczyk, 30-letni weteran trzech wojen, inaczej pojmuje sens, a zwłaszcza formy przyjaźni niż ludzie z komunizmu, gdzie tylko poczucie więzi osobistej rodziło zaufanie, pozwalało na szczerość, umożliwiało swoistą schizofrenię dwóch równoległych bytów: w biurze czy w szkole i w domu. Żydzi ze Wschodu fałszywie zaś interpretowali niewątpliwie złe maniere, ale pozorną tylko oschłość autochtonów. Mówił mi z goryczą pewien facet z Moskwy: „Oni już pozwalają nam umierać u ich boku, ale jeszcze nie widzą powodów, aby żyć z nami w przyjaźni...”. Stąd integracja towarzyska, socjalna, kuleje...

### *Trudna szkoła demokracji*

I wreszcie — największy paradoks — bardzo trudna okazała się nauka demokracji, wolności. Z jednej strony emigranci z Rosji myślą wolność z anarchią i bałaganem, o co w Izraelu i tak

zresztą nie trudno. Z drugiej strony nie wierzą, że dziennikarz w telewizji czy gazecie może wyrażać coś innego niż poglądy szefa, KC, rządu. Odwiedziłem pewnego inżyniera, świetnie już urzędzonego, ale ciągle mówiącego szeptem, nieufnego, pytającego: „a wy skąd, a kto was przysłał, po co, co napiszecie, tylko bez nazwisk i detali” itd. W końcu rozgadał się, po to tylko, aby napaść na popularnego pisarza Dan Ben Amozę, który w TV powiedział, że gdyby był o 20 lat młodszy, to wywiałby z Izraela. Amozowi, znanemu z szybkości i ostrości myśli, chodziło, to jasne, o prowokację intelektualną, o poruszenie wyobraźni słuchacza. Ale Rosjanie na żartach się nie znają, uważali, że to skandal, nie wierzyli, że państwo nie było w stanie przeszkodzić audycji.

Pewien był profesor uniwersytetu, to prawda, że z jednej z republik azjatyckich, wystosował memorandum do władz izraelskich, domagając się zaprowadzenia cenzury pocztowej, kontroli listów wysyłanych przez emigrantów do ich rodzin lub przyjaciół w ZSSR. Ponieważ nie wszyscy są tu szczęśliwi i dają temu wyraz w listach przechwytywanych przez władze sowieckie, a następnie wykorzystywanych w prasie w ZSSR. Ów profesor uważa, że należy je kontrolować, albowiem obniża to liczbę kandydatów do emigracji.

Jest to więc stanowisko dokładnie przeciwne do poglądów intelektualistów izraelskich, którzy uważają, że właśnie w kraju, gdzie sytuacja polityczna i wojskowa uzasadniałaby pewne tendencje bonapartystowskie, wolność słowa musi być całkowita, nawet jeżeli nieraz jest nadużywana. Jak to zauważył jeden z moich rozmówców: „Nowi nie są w stanie pojąć tego, co przeżyli ci, którzy musieli stoczyć cztery wojny, aby uratować cud, jaki się dokonał na tym skrawku pustyni. Starzy nie są w stanie pojąć tych, którzy musieli tyle przecierpieć, aby oderwać się od ziemi rosyjskiej i trafić do ziemi obiecanej. Czy jednak, do jasnej cholery, nie nacierpieliśmy się wszyscy dosyć, aby przestać już nawzajem sobie zarzucać, żeśmy nie dość cierpieli...?”

### *Na którym przystanku...?*

Pierwszy znak wolności dla Żydów wyjeżdżających z Rosji jawi się pod postacią austriackiego policjanta w asyście ogromnych wilczurów. Trzy razy dziennie, o godz. 7.20, 12.20 i 20.20 wjeżdża na Südbahnhof Wien express z żywym towarem. Przed wojną w Palestynie pytano emigrantów: „Czy pan przyjechał z własnej woli, czy z hitlerowskich Niemiec? Dziś pierwsze py-



tanie na dworcu wiedeńskim brzmi: „Czy pan wyjechał z własnej woli aby mieszkać w państwie żydowskim, czy też uciekł pan z ustroju sowieckiego?”.

Ze 100.000 Żydów sowieckich (do 15 listopada 1974) ponad 4.000 odpowiedziało „*niet*” od razu na dworcu austriackim i obecnie albo czekają na wizy do USA, Kanady, Australii (byłe dalej od granic ZSSR, powiadają) albo już tam dotarli. Dalszych kilka tysięcy powiedziało „*lo*”, czyli po hebrajsku „*nie*” już w Izraelu, po paru miesiącach próby.

Jehuda Dominitz, wicedyrektor Sohnutu, obala, w swym indywidualnym przypadku, stereotypową fatalną opinię, jaką świat ma o jego instytucji. Po pierwsze mówi jasno i inteligentnie, konkretnie, sypie danymi, nie ukrywa trudności i błędów, traktuje dziennikarza nie jako kłeskę żywiołową czy zło konieczne, ale jako normalne zjawisko we współczesnym świecie, czasem nawet pozytywne. Po drugie zaprosił mnie na obiad do jednej z nielicznych dobrych knajp w żarłocznym, kosmopolityczno-lewantyńskim centrum Tel Awiwu. Jest to koszerna restauracja w gmachu wybudowanym przez religijnych (i bogatych) syjonistów amerykańskich.

Przy rybie (naprawdę po żydowsku) dowiedziałem się, że każda fala migracyjna miała swoich *jordim*, czyli tych, co „schodzą” z Izraela. Z aliji Ben Guriona wyjechało ok... 90 %. Między 1880 a 1967 dzisiejszy Izrael przyjął 20.000 emigrantów z USA, a wysłał do USA... 200.000 swych mieszkańców. Dobry interes, nawet dla USA. Jedna trzecia imigrantów, którzy przybyli z USA w euforii po wojnie sześciodniowej, już wyjechała z powrotem do domu. Odrzuty z przeszczepu sowieckiego są (na razie) najniższe ze wszystkich aliji. Oczywiście, częściowo bierze się to z braku innej perspektywy, ze strachu przed nową tułaczką. Ale, mówi Jehuda, większość tu zostaje, bo chce tu mieszkać, choć życie nie jest łatwe. „Jak pan myśli — może oni kochają ten kraj?”.

Może. Około 800 *jordim* dotarło do Belgii, 500 do Berlina zachodniego, kilkuset mieszka we Wiedniu, kilkuset w Rzymie, ponad 1.000 już jest w USA i gdzie indziej.

Przy kaczce pokazałem Dominitzowi artykuł z brukselskiego organu: „Orientujemy się w kampanii, jaka rozpętała się w Europie zachodniej (o wschodniej nie warto nawet wspominać) wokół wyjazdów z Izraela. Nagle okazało się jak bardzo znowu nas kochają, pod warunkiem oczywiście, że znajdujemy się w trudnej sytuacji. Szmatławiec, który mi pan pokazuje, nie liczy się oczywiście, wystarczy zapytać, dlaczego nie porozmawia z tymi,

co opuszczają ojczyznę socjalizmu, albo z tymi co chcą, ale nie mogą stamtąd wyjechać. Nawet jednak poważne pisma łąły krokodyle łzy. Czy wyobraża pan sobie, co napisaliby, gdybyśmy tak zabronili wyjazdów z Izraela? To jest jednak kraj demokratyczny, pozwoli pan nieskromnie dodać, jeden z niewielu krajów demokratycznych w tej strefie świata: od nas można wyjechać, jeżeli dysponuje się odpowiednimi środkami finansowymi. Trudno przecież spodziewać się, abyśmy finansowali emigrację, reemigrację i re-re-emigrację, bo i taka jest...”.

Przy kawie porównaliśmy nasze wnioski. Przystanki, na których sowieccy Żydzi wysiadają z izraelskiego tramwaju, nazywają się kolejno: strach przed wojną, ciężkie warunki gospodarcze, biurokracja, trudności integracyjne i oschłość otoczenia, wreszcie nadzieja na szybszą i lepszą karierę zawodową, artystyczną, studia itd. Tak jak i inny powód, który przekazał mi pewien młody człowiek. Powrócił on już po raz drugi do Izraela. „Kiedy udało mi się nareszcie wyrwać z Rosji, pomyślałem sobie: teraz czas na turystykę. Póki można, trzeba jeździć, na cudzy, naturalnie, koszt, zobaczyć kawałek świata. Izrael mnie zawsze przyjmie”. I rzeczywiście. Tak jak wreszcie i ten ostatni powód, zreferowany przez 23-letniego kamasznika z Gruzji nazwiskiem Beberaszwili. Facet zostawił w Izraelu 17-letnią żonę... z trojgiem już dzieci i pojechał do Belgii, bo w Izraelu kamaszników nie trzeba, a kolega z Belgii mu napisał, że tam jest prawdziwy raj. Beberaszwili wszystko sprzedał, pojechał, teraz już wrócił do Izraela, bo Belgia to nie raj, kamaszników nie znają. Idzie do szkoły, będzie policjantem.

Kropkę nad „i” postawił kelner w wiedeńskim *snack*'u, gdzie przystanąłem wracając z Izraela. Był to Żyd z Rosji, trafił do wiedeńskiego baru *via* Tel Awiw. „Ja, proszę pana, jestem technikiem dentystycznym, ale nie znalazłem pracy w Tel Awiwie ani w Jerozolimie, a nie po to opuściłem Leningrad, aby robić protezy na pustyni...”.

— *No, dobrze, ale dlaczego nie podaje pan kawy swoim w Izraelu, tylko antysemitom w Wiedniu?* — spytałem naiwnie.

— *Co, u swoich mam się przyznać do deklasacji! Nigdy!* —

### *Munich connection*

To właśnie ów osobnik opowiedział mi historię „*Munich connection*”. Kiedy w lutym 1974 roku grupa rozczarowanych Izraelem emigrantów, oczekująca beznadziejnie w Wiedniu na wizy do ZSSR, okupowała sowiecki konsulat, TASS ogłosił ofi-

cialnie, że szlus i że żadne zezwolenia na powrót do ZSSR nie będą już udzielane tym co zdradzili i ośmielili się zrezygnować z obywatelstwa Sowietów. Zaskoczenie było więc kolosalne, kiedy pewien bucharski Żyd, zdecydowany wrócić do swej Azji, otrzymał nieco później od urzędnika konsulatu taką dziwną odpowiedź: „W zasadzie wiz nie ma, no ale władza sowiecka czuła na ludzkie cierpienie, więc gdyby was tak była solidna grupa, no to ewentualnie...”.

Ruszyły listy i nawet emisariusze między Wiedniem a Tel Awiwem. Po czym ruszyła *connection*. Kandydaci na powrót do ZSSR zgłaszali się najpierw do konsulatu RFN w Izraelu, otrzymywali tam wizę turystyczną po wpłaceniu 2.700 DM jako gwarancji czasowego charakteru podróży. Kiedy „turyści” lądowali w Monachium, przejmowali ich pośrednicy, którzy za niewielką opłatą przeczucali ich przez faktycznie nieistniejącą granicę między RFN a Austrią. W Wiedniu zgłaszają się do konsulatu RFN, który zwraca im gwarancję, ok. 10.800 szylingów, po kursie dnia. Jest ich już około 90. Ciągłe czekają... Grupa, widać, nie dosyć solidna...

Dlaczego Rosjanie odmawiają powrotów, tak przecież wygodnych z propagandowych względów? Odpowiedź to KGB i psychologia. Rosjanie mianowicie przekonani są, że izraelski wywiad postępuje dokładnie tak samo jak KGB i że tak jak w fali do Izraela znajdowali się agenci sowieccy, tak strumyk powrotny niesie szpiegów izraelskich. Ogromna większość (tak sądzą Izraelczycy) emigrantów zwerbowanych przez KGB zgłosiła się natychmiast po wylądowaniu do władz izraelskich, które oczywiście wyciszają sprawę. Tak było w przypadku pewnej znanej śpiewaczki, która musiała podpisać zobowiązanie do pracy dla KGB, aby móc dostać paszport. Teraz już śpiewa bez żadnych fałszywych tonów. Tragiczny był natomiast przypadek pewnego inżyniera, który zgłosił się do władz w Tel Awiwie komunikując, iż KGB kazało mu czekać na sygnał od szefa siatki na miejscu. Inżynier popełnił samobójstwo, kiedy okazało się, że szefem jest jego... żona.

### *Rosjanin na French Hill w Jerozolimie*

Zapał wieczór. Przysiedliśmy na murku na French Hill, nowym osiedlu w Jerozolimie, jednym z elementów rezydencyjnego pasa, jaki otoczy całe miasto. Mieszka tu już wielu emigrantów z Rosji. Mój towarzysz, wybitny intelektualista rosyjski, jeszcze przed kilku tygodniami brał udział w strajku *sit-in* przed

najwyższym sowietem w Moskwie. Teraz rozciągał się przed nami pograżony w dziwnym, różowawym świetle zmierzchu, niepokojący, niesamowity pejzaż Judei.

„Wyjazdy z Izraela, zagrożonego i biednego, są tak stosunkowo nieliczne, że choć za każdym takim wyjazdem kryje się ludzki dramat, to w warunkach izraelskich stanowią one w istocie znak siły, a nie słabości tego kraju. Tak zwani postępowcy, którzy z wygodnej, dostatniej, burżujskiej Europy zachodniej, gdzie jedną z racji bytu jest swoboda ruchu, udzielają nam lekcji, z których ma wynikać, że wyjazdy z Izraela stanowią dowód fiaska syjonizmu, to albo intelektualni malwersanci, albo hipokryci. Sartre, którego oni tak ubóstwiają, powiedział: 'Los Żydów tak się układa, że cokolwiek zrobią, to się zawsze przeciwko nim obróci'. Postaramy się wykazać, że Sartre się mylił”.

Powiedział to jeszcze po rosyjsku, ale już z hebrajskim akcentem...

Pisane 3 marca 1975.

*Kultura* nr 4/331, 1975.



## EPILOG

(TESTAMENT, POSŁANIE...)



## MÓJ OSTATNI SAMOŁOT

Samuel Pisar, polski Żyd, oświęcimskie dziecko, obywatel amerykański, międzynarodowy adwokat, przyjaciel i doradca super-możnych, jest także pisarzem. W swojej ostatniej książce pod bardzo niedobrym tytułem „Krew nadziei”, stanowiącej sumę jego obozowego doświadczenia i zawierającej jego postanie do współczesnego zwariowanego świata, Pisar przytacza fragment rozmowy z pewną „dostojną osobą”.

„Nasze demokracje — mówiła dostojna osoba — zagrożone są od wewnątrz i od zewnątrz. Mam wobec mojej rodziny obowiązek podjęcia pewnych kroków zaradczych. Mam już ubezpieczenie na życie, na dom i na samochód. Jediną rzeczą, której nie mogę ubezpieczyć jest moja wolność. Czy mógłby mi pan pomóc w otrzymaniu stałej wizej, upoważniającej mnie do wjazdu do USA w każdej chwili? Kiedy wybuchnie dramat, chciałbym mieć pewność że będziemy mogli wsiąść na ostatni okręt lub na ostatni samolot...”

Proszę pana — odpowiedział Pisar dostojnej osobie — pan zapewne przesadza w ocenie totalitarnego zagrożenia w Europie. Historia nie jest fatalistyczna. Wiem, że zagrożenie istnieje, ale ucieczka nie stanowi rozwiązania”.

Nie wiem, czy Pisar słusznie odpowiedział dostojnej osobie, bo przecież kiedy odchodzić będzie ostatni statek, to już będzie po „zagrożeniu”, ale mniejsza... Pisar przypomniał sobie tę rozmowę, kiedy wraz z Henry Kissingerem uczestniczył niedawno w dyskusji przed zgromadzeniem 400 prezesów największych banków świata w Meksyku. „Mimo — wspomina Pisar — naszych podobnych poglądów na *détente*, uderzył mnie skrajny pesymizm Kissingera. A przecież on miał szczęście, on mógł wraz ze swoją rodziną wsiąść na ostatni statek, w chwili kiedy ja byłam



już w mocy sił ciemności. Tak więc jego ojciec miał rację, a mój się mylił. No, a jak jest dziś?”.

Ano... Książka Pisara nabrała specjalnej aktualności po wyświetleniu serialu pt. „Holocaust” i po wizycie papieża w Polsce. Jest częścią ogromnej dyskusji, jaka się toczy przez świat w ogóle i świat polsko-żydowski w szczególności. Mój ojciec się mylił i wraz z całą rodziną padł ofiarą — jak je określa Pisar — „sił ciemności”. Mnie jednak udało się wsiąść na ostatni statek (niejeden raz w ciągu mojej krótkiej biografii). Dzięki temu mogę dziś pisać do *Kultury* i zabrać głos w tej dyskusji. Będzie to głos dość specjalny: będzie się składał z trzech głosów i z wielu podgłosów.

## CZEŚĆ PIERWSZA: NAJPIERW RDZENNI POLACY

1) Holocaustu czyli zagłady nie można dobrze sfilmować. Nikt nie opisze ani nie sfilmuje zagłady tak, aby mogła oddać nasze własne tragedie — tych co zginęli i tych co przeżyli.

2) Choć jednak holocaustu dobrze sfilmować nie można, choć serial amerykański zawiera ogromne błędy, to spełnił jednak ogromną rolę. Złamał barierę milczenia, wskrzesił w gnijącym świecie — jak to ujął francuski poeta Paul Eluard — „krzyk, który jeśli ustanie, zginiemy”. Znaczenie filmu wykracza poza kryteria artystyczne czy ścisłość dokumentacyjną. Serial dokonał tego, czego nie dokonało 100 filmów czy książek dokumentarnie ścisłych: wstrząsnął sumieniami, przemówił do wyobraźni.

Dziś obraz rządzi światem i ludźmi wstrząsnąć mogą nie pisane dzieła o ogromie zagłady, a film o dramacie jednej rodziny. Historia Kaina i Abla na ekranie telewizyjnym jest bardziej przekonywująca niż setka tabel statystycznych o wzroście przestępczości. Dzięki temu „westernowi” Amerykanie dowiedzieli się w ogóle o istnieniu słowa „holocaust”, a młodzi Niemcy „zobaczyli” to, czego dokonali ich rodzice. Francuzi, którzy ciągle jeszcze nie rozliczyli się z ich własnej kolaboracji, postanowili właśnie na fali opadu po „Holocaustie” wytoczyć nareszcie proces z ustawy o zbrodniach przeciwko ludzkości, uchwalonej jeszcze w 1964 roku. Oskarżonym jest René Bousquet, były delegat ministerstwa Spraw Wewnętrznych rządu Vichy przy hitlerowskich władzach okupacyjnych w Paryżu, który przez ostatnich 35 lat robił ładną karierę w *businessie*. Mówiąc w skrócie, bardzo dużo brudnej piany wyszło na wierzch właśnie i tylko dzięki trzęsieniu ziemi po wyświetleniu „Holocaustu”...

3) W tej skali detale są nieważne, a liczy się rezultat. Ale oczywiście nie dziwię się oburzeniu Odojewskiego (*Kultura* nr 3/1979) na „świadome antypolskie fałszerstwa” serialu. Na jego miejscu też napisałbym artykuł. Ale inny.

4) „Pan nie powinien na ten temat milczeć” — powiedziała do mnie, jak do Pisara, pewna „dostojna osoba”, której zdanie szanuję. — „Pisuje pan o wszystkim, niech pan zabierze głos, to w końcu także pańska sprawa. Niech pan Odojewskiego poprze”.

5) Nie chciałem zabrać głosu i poprzeć Odojewskiego, choć to rzeczywiście także moja sprawa. Nie chciałem z trzech powodów.

Po pierwsze nie odpowiada mi podejście Odojewskiego. Nie lubię i nie podzielam spiskowej interpretacji historii. Odojewski przywykł — jak pisze — „do smutnego faktu, że spora część wypowiedzi pochodzących z kół żydowskiej emigracji ze Wschodniej Europy jest Polsce i Polakom bardziej niż niechętna...”. Ta niechęć tłumaczy — według Odojewskiego — w dużym stopniu i antypolskie fałszerstwa „Holocaustu” i niemożność przekonania rozmaitych telewizji o konieczności poczynienia pewnych skrótów, a także brak obiektywizmu w dyskusjach, jakie się po filmie przed kamerami TV toczyły.

Otóż ja nie wiem, co to znaczy „spora część”, ani co to są „koła żydowskiej emigracji”. „Koła” te nie mają monopolu na fałszerstwa i ignorancję. Pierwszym, który zaprotestował, i to w Polsce, przeciw „fałszerstwom” był Nahum Goldman, prezes Światowego Kongresu Żydów, inaczej mówiąc właśnie „sporej części kół...”. Spore części i koła można znaleźć wszędzie, także i w Polsce, a operowanie w tak delikatnej materii ogólnikami do niczego nie prowadzi, w każdym razie nie prowadzi do rzeczowej dyskusji.

Po drugie nie odpowiada mi metoda Odojewskiego. Jego słuszna krytyka antypolskich szczegółów „Holocaustu” jest w swej metodzie odbiciem podstawowego błędu „Holocaustu” właśnie, a mianowicie ahistorycznego podejścia autorów serialu do nazizmu. Hitleryzm wyskoczył tam nagle, nie miał żadnej genezy i prehistorii. Film jest bardzo przejmujący, ale mało uczący. Artykuł Odojewskiego jest także uczuciowy, ale ahistoryczny. Problem polsko-żydowski nie powstał z powodu wyświeślenia „Holocaustu”. Cóż za paradoks! Serial, który miał (i częściowo zaczął) wywołać obrachunek Niemców z Niemcami, służy — według i poprzez artykuł Odojewskiego — do porachunków polsko-żydowskich. Trudno przyjąć oburzenie — nawet uzasadnione — jako sposób dyskusji.

Po trzecie milczałem, bo uważam, że po wymazaniu polskiego żydostwa z historii o polskich Żydach powinni pisać tzw. rdzenni Polacy.

Wszystkie te zastrzeżenia zniknęły naturalnie po przeczytaniu ważnego artykułu Andrzeja Szczypiorskiego i wzruszającej wypowiedzi Andrzeja Koraszewskiego w *Kulturze* z maja 1979, a także po otrzymaniu, niestety z opóźnieniem, numeru *Spotkań* z wypowiedzią Jacka Zaborowskiego. Rdzenni Polacy zabrali głos. Przyszła pora i na mnie. Uważam, jak oni, że można o sprawach polsko-żydowskich, gdzie narosło tyle bólu, uprzedzeń i demagogii, pisać spokojnie i poważnie. Oto moja propozycja podejścia do końcowej fazy wspólnej historii Polaków i Żydów.

## CZEŚĆ DRUGA: LEOPOLD UNGER: ZA DUŻO ŻYDÓW CZY ZA MAŁO SOCJALIZMU?

### *Motto:*

„Zamyka się epilog prawie tysiącletniej historii Żydów w Polsce, w kraju, który szczycił się, że zawsze — nawet w okresie barbarzyńskiego średniowiecza — był azylem dla prześladowanej i przepędzanej ludności żydowskiej. Wprawdzie były i w Polsce w różnych okresach objawy antysemityzmu, a największe skupisko Żydów na świecie właśnie na naszych ziemiach stanowiło niełatwy problem społeczny, jednak nigdy przedtem w naszej historii hasło antysemityzmu nie zostało wypisane na państwowych sztandarach, nigdy nie było narodowym programem.

Wydawało się, że po wymordowaniu przez hitlerowców prawie całej trzymilionowej masy Żydów polskich na zawsze zniknie problem, który można byłoby wygrywać. Okazało się to złudzeniem. Okazało się, że dla stworzenia i wykorzystania problemu wystarczy nawet garstka, jaka ocalała z hitlerowskiego piekła...”

Władysław Bieńkowski, *Motory i hamulce socjalizmu*, Instytut Literacki, seria „Dokumenty”, Paryż 1969.

To, co Bieńkowski nazywa „epilogiem tysiącletniej historii Żydów polskich” już nastąpiło. Ostatni *exodus* żydowski w Europie — jak to obrazowo nazwali reporterzy zachodni — już się dokonał. Tylko ostatnie krople krwi żydowskiej jeszcze się sączą z Polski w kierunku Izraela i Austrii, Danii czy Szwecji; więcej jest w tej chwili odmów ze strony władz bezpieczeństwa, zwłaszcza wobec osób, których żydowskie pochodzenie może budzić wątpliwości, niż udzielonych „dokumentów podróży”, stwierdzających lakonicznie, iż „posiadacz niniejszego nie jest obywatelem polskim”. Cisza zapanowała nad tą trumną, ślady dramatu garstki ludzi zostały sprawnie zatarte i coraz rzadziej można już znaleźć

resztki trującego opadu lat 1967-1969 w atmosferze współlistnienia i hołubienia *status quo*. I tylko czasem w listach czy w rozmowach odezwią się jeszcze echa tragedii rozdartych rodzin, rozłączonych kochanków, wypalonych nadziei, porzuconych czy zawiedzionych przyjaciół, nie mówiąc już o skutkach bankructw zawodowych, o piekle readaptacji, murze obcości języka i obyczajów.

Świat chce mieć spokój, świat ma inne zmartwienia. Śmiesznie mała grupka polskich Żydów zniknęła, roztopiła się w świetle. Koniec, kropka...

## 10 przykazań

Nie ma — jak dotąd — próby przedstawienia „ostatniego etapu” historii polskich Żydów w całej złożoności operacji lat 1967-1969. I nie ma w tym chyba nic dziwnego. Z wielu przyczyn bowiem każda podjęta — według do dziś popularnych, ale uproszczonych kryteriów — próba przedstawienia wygnania kilku tysięcy Żydów z Polski jako tragedii w wymiarze światowym jest skazana na fiasko. W odczuciu świata, zgodnie z informacjami jakimi on dysponuje, nie jest to ani tragedia, ani żydowska, ani światowa.

### 1. Nie przesadzaj!

*Exodus* Żydów polskich wypadł „w złym momencie”. Mimo, że przez jakiś czas przyciągała uwagę tania egzotyka pociągu „Szopen” na dworcu wiedeńskim lub — jeszcze taniej porównywanego do „Exodusu” — statku w porcie kopenhaskim, świat nigdy nie był skłonny uwierzyć w prawdziwe rozmiary tragedii polskich Żydów. Zbyt wiele działało tu „konkurencji”. Biafra przytłaczała rozmiarami autentycznego ludobójstwa, Czechosłowacja — głębokością narodowego dramatu. Cynicznie mówiąc — słusznie — jeden Palach wytoczył więcej łez niż wszyscy razem żydowscy emigranci z Polski.

Zachód nie rozumiał również, dlaczego wyjazd Żydów z Polski do bogatych krajów kapitalistycznych czy do Izraela ma być tragedią, podczas gdy wyjazd Włochów lub Irlandczyków do USA, Jugosłowian czy Arabów lub Hiszpanów do wszystkich krajów bogatej Europy stanowi ukoronowanie marzeń i ogromną szansę życiową.

Do zatarcia tragicznych rysów polskiego *exodusu* przyczynił się także niewątpliwy dramat setek tysięcy czy milionów Żydów w ZSSR. Dla zdolnych jeszcze do wzruszeń humanistów na Zachodzie, nie mówiąc już o tym, co zwykło się nazywać „światowym żydostwem”, fakt, iż ogromna liczba sowieckich Żydów nie może wyjechać, choć rzeczywiście o niczym innym nie marzy, komfortowy wyjazd polskich Żydów stanowił szansę, za jaką w istocie powinni byli być wdzięczni władzy ludowej w Warszawie.

## 2. *Nie znikaj!*

Obraz zbiorowiska ludzkiego, jaki prezentuje światu emigracja żydowska z Polski, uniemożliwia oddanie konturów niewątpliwego przecież jej dramatu. Przede wszystkim jest to emigracja rozproszona. Niewielkie grupki znalazły schronienie w USA, Kanadzie czy Australii, gros *exodusu* wylądowało w rozmaitych krajach, przede wszystkim w Danii, Szwecji i w Izraelu, do którego — chociaż stanowił przymusowe uzasadnienie wyjazdu — dotarło jedynie około 30 %.

Jeżeli pominąć związki prywatne — a więc z natury rzeczy liczbowo skromne — emigracja z lat 1968-1969 nie zachowuje żadnych elementów więzi, nie posiada żadnej organizacji czy reprezentacji, nie odczuwa żadnej potrzeby integracyjnej. Przyczynia się do tego fakt, że wszystkie kraje docelowe praktykują politykę szybkiej absorpcji, ale także i to, że naturalną koleją wspólnota losu prześladowanych znika natychmiast po uwolnieniu się od prześladowców.

Jest to tym bardziej naturalne, że w Polsce przed ostatnią falą antysemityzmu społeczność żydowska jako taka właściwie nie istniała, a jeżeli chciał by ją sztucznie odtworzyć, to jawiłaby się ona wewnątrznie rozbita: klasowo, zawodowo i środowiskowo. Proces asymilacji był — jak się okazało *pozornie* — bardzo daleko posunięty, interes specyficznie i grupowo żydowski nie istniał, a interesy poszczególnych Żydów miały charakter środowiskowy i zawodowy, a nie narodowy. Żydowski działacz stalinowski był naturalnie związany ze stalinowcem „rdzennie polskim”, który zresztą nierzadko był antysemitą, a Żyd-pisarz razem ze swymi kolegami „aryjskimi” zwalczał albo padał ofiarą polskiego albo żydowskiego cenzora czy dżerymordy.

Trudno dziś negować że, w większym niż myślano stopniu, antysemityzm w określonych kręgach istniał — zbyt wiele było rozczarowań — ale nie ulega kwestii, że dopiero rzucenie hasła

od góry zaktywizowało go i że dopiero szantaż albo związanie określonych korzyści z udziałem w antysemitkiej rozróbie nadało akcji masowy charakter i zorganizowane formy.

Tak więc w Polsce roku 1968 grupa żydowska sformowana została przez samych antysemitów dla celów rządowych i partyjnych i nic dziwnego, że rozpadła się natychmiast po przekroczeniu granicy.

### 3. *Nie dziw się!*

Spółeczeństwo polskie pożegnało swoich Żydów bez żalu i bez łez. Nie jest to pretensja, tylko stwierdzenie faktu. Przyczyny tej obojętności wymagają delikatnego podejścia. Każda z ofiar wypędzenia zna przecież przypadki szlachetnej i wzruszającej postawy polskich przyjaciół, no i wiadomo, że w dziedzinie postaw społecznych wszelka próba uogólniania jest niebezpieczna i może być krzywdząca.

Bez aspiracji do syntezy można więc powiedzieć, że społeczeństwo polskie w rozgrywkach ostatnich przedmarcowych lat widziało przede wszystkim konflikt wewnątrzpartyjny, gdzie nie Żydzi padali ofiarą, a komuniści, i to z rąk nie Polaków, a innych komunistów. Potem, po marcu 1968, kiedy zjawisko stało się wyraźnie i cynicznie antysemitkie, było już za późno, i mimo niesmaku i zawstydzienia, chodziło się na antyżydowskie wiece i zebrania lub po prostu milczało ze zwyczajnego strachu. Na pomarcowej fali bowiem wszelka próba przeciwstawienia się ofensywie antysemitkiej kończyła się sankcjami, także ekonomicznymi.

W świetle tego nie należy się dziwić, że nie znalazło się zbyt wielu Polaków, skłonnych do ryzykowania posady („ja mam żonę i dzieci!”) w imię zwalczania tego, co było dla nich kolejnym etapem degeneracji systemu, który przecież bez przerwy od objęcia władzy kogoś zwalczał, niszczył, prześladował. Mniejsza o to, jak nazywane były poszczególne etapy prześladowań: walka z kulakami, z żołnierzami Armii Krajowej, z klerem czy działaczami katolickimi, pisarzami czy ostatnio rewizjonistami, w świadomości Polaków władza komunistyczna utrwalała się w postaci stałej i wszechobecnej przemocy, w kształcie molocha nieustannie wołającego o dalsze ofiary. Zgodnie z tą popularną i niepozbanioną słuszości teorią, musiała przyjść kolej na Żydów. Wyrafinowane rozważania odnośnie różnic między poglądami politycznymi a pochodzeniem rasowym jako motywacją prześladowania

nie miały naturalnie sensu w warunkach, kiedy tak jak nikt nie wybierał sobie pochodzenia, ani nie mógł go ukryć, bo mogło mu być to przypomniane w każdym odpowiednim momencie, tak i poglądy bywały z zasady narzucone i rzadko odpowiadały rzeczywistości tym, jakie kolejna ofiara wyznawała naprawdę.

Dla Polaków więc, tych niezaangażowanych w walkę frakcji, heca antyżydowska, aczkolwiek wyjątkowo haniebna i odrażająca, nie była żadnym przełomowym faktem w dziejach systemu socjalistycznego, ani nie może być decydująca w jego ocenie. Dla polskiej inteligencji ów system polityczny nie zdegenerował się nagle przez sam fakt antysemitkiej nagonki. Stalinowski czy neo-stalinowski stupajka, cenzor czy tajna policja były odpychające również bez antysemityzmu, choć trudno negować, iż ten ostatni kwiatusek wymownie upiększył całość bukietu.

Na próby nadania prześladowaniu Żydów wartości nadrzędnej „normalni” Polacy odpowiadają, że kiedy skarżyli się żołnierze Armii Krajowej, chłopci, intelektualiści katolicy, to Żydzi jako grupa nie tylko nie protestowali, ale nawet byli obecni wśród prześladowców. Niezależnie od łatwej do dowiedzenia demagogii tego argumentu, rasistowskiego przecież *à rebours* (Żydzi jako grupa nie istnieli, a Polacy też przecież jako „grupa” nie protestowali) nie wolno go nie brać pod uwagę, tym bardziej, że przekroczył on granice Polski.

„Żydowskie żale” traktowane były również jako spóźnione, bo przecież, według polskiej opinii, dla każdego kto miał oczy i chciał widzieć powinno było być widoczne, że formuła socjalistycznej dyktatury — tak jak ją realizuje się w Polsce — była od początku antynarodowa i antypostępowa i nie dawała żadnej szansy rozwiązania kwestii polskiej, żydowskiej czy jakiegokolwiek innej narodowej.

Zgodnie z tym poglądem fakt, że Żydzi przejrzeni dopiero, kiedy sami stali się obiektem prześladowań, nie daje im prawa do wyjątkowego współczucia. Argument ten jest znowu demagogiczny; niemniej jest popularny nie tylko w Polsce, ale i wśród niektórych kół żydowskich na Zachodzie, w myśl zasady: „nikt im nie kazał tak długo w Polsce siedzieć”.

#### 4. Nie uogólniaj!

Do zaciemnienia obrazu sytuacji, w jakiej doszło do *exodusu*, przyczyniły się zupełnie zasadnicze błędy ze strony prasy zachodniej, przede wszystkim żydowskiej. Można zrozumieć oburzenie opinii zachodniej w obliczu cynicznego i bezkarnego prześlado-

wania resztki Żydów na największym żydowskim cmentarzu na świecie. Nie można natomiast zgodzić się z wrzucaniem przy tej okazji do jednego worka wszystkich Polaków. Wprost przeciwnie — trzeba było i trzeba jeszcze ciągle wskazywać na głęboki rozłam między władzą a społeczeństwem polskim. Pomijając inne i może ważniejsze świadectwa tego rozłamu, wystarczy wskazać tu na dowód, w tym przypadku specyficznie wymowny, zaskakująco szerokie w masach poparcie sprawy Izraela w 1967 roku. Jeszcze większe rozbitcie zarysowało się po brutalnym spacyfikowaniu demonstracji młodzieżowych w marcu 1968.

Tymczasem miast podjąć w kampanii prowadzonej przeciw prześladowaniu Żydów w Polsce te właśnie elementy rozłamu i wskazać na wspólnotę losu prześladowanych, niektóre gazety na Zachodzie błędnie i zbędnie obciążały odpowiedzialnością wszystkich Polaków, sięgając nawet do aberracyjnych analogii z hitlerowcami z Oświęciami.

Było to nie tylko nieprawdziwe, ale i szkodliwe. Mniejsza o rozważania na temat sprawiedliwości i prawdy historycznej. Powiedzmy tylko, że efektem takiej uogólniającej ofensywy był jednolity front wszystkich pokoleń Polaków wobec posądzenia ich o zbrodnie, do których się nie poczuli. Po raz pierwszy od 1956 roku opinia publiczna w Polsce działała solidarnie z władzą, chodziło przecież o dobre imię całego narodu. Polscy *attachés* prasowi za granicą otrzymali polecenie zbierania najgłupszych choćby antypolskich wypowiedzi z najbardziej nieznanymi i najbardziej nieodpowiedzialnymi piórami świata, które natychmiast cała prasa polska szeroko kolportowała i komentowała.

## 5. *Nie upraszczaj!*

Choć prześladowanie Żydów w Polsce w latach 1967 i dalszych było niewątpliwe, prześladowcy z minimalnymi wyjątkami nie sięgali do metod gestapowskich. Poza brutalną pacyfikacją młodzieży i to w olbrzymiej większości „aryjskiej” (żydowskiej, choćby chcieć — nie starczyło), akcja dyskryminacji toczyła się za parawanem ideologicznej akcji „antysyjonistycznej”, zmierzała do oczyszczenia aparatu władzy i polityki z „elementu niepewnego”, często pod zarzutami ściśle zawodowymi („brak kwalifikacji”) czy wreszcie — jak to było w odniesieniu do profesorów czy dziennikarzy — na zasadzie sporu ideologicznego. Niszczenie pokonanego przeciwnika, autora odrzuconej tezy, niefortunnego krytyka władzy, było zawsze, niezależnie od etapu i pochodzenia ofiary, rzeczą w tym ustroju najzupełniej naturalną. Nikogo nie



dziwił przecież i nie oburzał jawnie fakt, że przedtem wyrzucano w Polsce niemarksistowskich profesorów, katolickich dziennikarzy itp. Oczywiście, w rzeczywistości Żydów nie wyrzucano za poglądy, a wyłącznie za pochodzenie i to w prowokacyjnym celu, oczywiście rasistowska motywacja była ewidentna, nie zawsze jednak leżała na powierzchni, czasem trzeba się jej było mozolnie dokopywać.

Tymczasem nierzadkie były wypadki, kiedy wydarzenia w Polsce przedstawiano w uproszczony sposób jako *bad guys fighting good guys*, przy czym *good guys* to byli zawsze i tylko Żydzi. Nie dopatrzono się np. bardzo specyficznego charakteru polskiego modelu władzy socjalistycznej z drugiej połowy lat 60-tych, kiedy to dokonywał się swoisty sojusz polskiego socjalizmu z polskim faszysmem, Gomułka i Moczara z Piaseckim i Hrabym, najbardziej autentycznymi żyjącymi w Polsce przedstawicielami prawdziwego faszysmu przedwojennego. W wyniku tego swoistego sojuszu i w poszukiwaniu utraconego „kontaktu z masami” w propagandzie partyjnej można było nawet natrafić na argumenty z arsenału tradycyjnego antykomunizmu w jego najbardziej kołtuńskiej postaci, to jest połączonego z antysemityzmem. Miał to być argument na rzecz ustanowienia forsowanego przez frakcję Moczara jakiegoś komunizmu czy socjalizmu narodowego, jakiejś polskiej odmiany nazizmu. Sprowadzanie wymiaru ofiar takiego systemu do kilku tysięcy Żydów jest naiwnością.

## 6. Nie zawężaj!

W rzeczywistości więc sprawa żydowska w Polsce po czerwcu 1967, a zwłaszcza po marcu 1968, nie stanowiła wcale *Ding an sich*. Był to fragment większej całości, specyficzniej polski refleks faszyzacji życia społecznego, ustanowienia hegemonii policji nad partią i rządem, walki o pozycje w kierownictwie partii i państwa — walki, która objęła cały aparat ucisku i cały aparat partyjny i państwowy. Nie ulegało kwestii, że manewr żydowski był tylko jednym ze środków działania w tej bezpardonowej walce i że obecność Żydów miała ewentualnie skompromitować jedną z zaangażowanych frakcji lub też dostarczyć kozła ofiarnego. Mimo tragedii skazanych Żydów, w istocie chodziło nie o ich los, a o los wszystkich Polaków. Mniejsza o szczegóły tej ponurej hecy, wiele razy już ją opisywano, wystarczająco kompromitujący jest fakt, iż obie strony uznały, że odwołanie się do argumentu żydowskiego może im zapewnić większe szanse w rozprawie z konkurencyjnym gangiem. Ważniejsze jest dla naszych rozważań, że

dla Polaków myślących i czujących — a takich było znacznie więcej niż się na Zachodzie myślało — sprawa żydowska — choć bolesna — była jednak wtórna w stosunku do sprawy polskiej.

Nic dziwnego więc, że wszystkie próby nadania priorytetu niewątpliwie prześladowanym Żydom z pominięciem ogólnonarodowego aspektu ugruntowywania się (najbardziej chyba ponurej w historii) władzy pogardzanych, zawodowo podejrzliwych i smutnych, nieufnych, zawistnych, tchórzliwych i sfrustrowanych bo izolowanych policjantów, były skazane na niepowodzenie i na niepopularność wśród milionów Polaków, głównych ofiar neostalinizmu.

Obojętność Polaków wobec, według nich, nie podstawowych dla owego okresu cierpień Żydów, tłumaczy także fakt, iż wokół prześladowań Żydów powstał natychmiast zjednoczony front na całym świecie, że wielcy ludzie ogłaszali protesty, a organizacje międzynarodowe zaczęły zbierać podpisy — i fundusze — podczas gdy nikt poważnie nie zainteresował się losem zakneblowanej Polski „aryjskiej”. Moralne i faktyczne *auto da fé* literatury polskiej, kafkowskie zdejmowanie z afisza sztuk klasyków, procesy młodych intelektualistów skazywanych na ciężkie więzienie za kolportowanie *Kultury*, wszystkie te bolesne ciosy, które w najlepszym razie trafiały do kronik sądowych na dalekich stronach prasy światowej, dla inteligencji polskiej były znacznie bardziej istotne, niebezpieczne i znamienne dla degeneracji władzy, niż niewątpliwie rasistowskie usuwanie oficerów, urzędników czy profesorów o żydowskich rysach twarzy.

Dlatego młodzież wyszła na ulice w obronie ocenzonego Mickiewicza czy w obronie studentów bitych za głoszenie prawa do swobodnego myślenia, dlatego Kościół zagrzmał „w obronie polskich dzieci katowanych przez komunistyczną policję”, natomiast nikt, z wyjątkiem kilku pisarzy i studentów, publicznie nie zaprotestował przeciw antysemityzmowi i dlatego w odważnej pomarcowej interpelacji niezależnych parlamentarzystów katolickich nie znalazło się nawet miejsce dla wspomnienia o krzywdzie resztek polskich Żydów. Dlatego też ci Polacy, którzy ze szczerym oburzeniem i wstrętem mówili w domu o Gomułce i Moczarze, a z pełnym poczuciem ryzyka zanosili żywność strajkującym studentom, obojętnie nieraz wysłuchiwali oczywistych bredni na zebraniach, kiedy wyrzucano urzędników o innych nazwiskach niż by na to wskazywały ich nosy. Tym bardziej, iż zajmowali ci urzędnicy nieraz wysokie stanowiska i należeli do wyobcowanej kasty mandarynów.

Można jeszcze dodać, że napiętnowanie antysemitycznego cha-

rakteru akcji utrudniał fakt, iż w nagonce brała udział pewna grupa Żydów. Żydowski komuniści byli zawsze zdecydowanymi przeciwnikami syjonizmu czy w ogóle jakiejkolwiek ideologii żydowskiej odrębności i teraz znowu, choć prostacko antysemicki charakter akcji nie ulegał kwestii — towarzyszyli awangardzie „antysyjonistycznej” ofensywy. Pogardliwie traktowani przez starych i nowych faszystowskich sojuszników, choć przyczynili się ci Żydzi do zatarcia antysemickich konturów całej kampanii, nie uniknęli naturalnie „odstrzału”.

## 7. *Nie rozpaczaj!*

Pewna — bardziej prymitywna — część społeczeństwa polskiego nie mogła zrozumieć powodów do alarmu, skoro przed Żydami otworzyły się granice państwa. Nie negując przykrości związanych z przymusowym przesiedleniem, wielu Polaków patrzyło na wyjeżdżających Żydów z pewną zawiścią. Jest to o tyle zrozumiałe, że Polacy (prawie każda rodzina ma kogoś za granicą) znają różnice w stopie życiowej, wiedzą, że przy wielu wadach ustrój demokracji burżuazyjnej potrafił zapewnić szeroki zakres swobód osobistych, że „jak ktoś dzwoni o 5-tej rano, to jest to na pewno mleczarz...” itd., itp. Zawiść ta (jeżeli chodzi o maluczkie) rosła w miarę jak propaganda inspirowana przez policję donosiła, iż każdy emigrant otrzymuje od razu na dworcu we Wiedniu 5.000 dolarów, mieszkanie z basenem i samochód...

Jest także spora część inteligencji polskiej, która uważa, że po najeździe Czechosłowacji, w którym udział wojska polskiego był dla niej znacznie większym wstydem niż milcząca obecność na wiecu przeciw Dajanowi, Polska znalazła się sama „po inwazji”, jest krajem okupowanym. Wielu z tych Polaków byłoby zadowolonych, gdyby mogło spokojnie i z bagażem wyjechać. Oczywiście, 30 milionów Polaków ani nie może, ani nie chce z powodu garstki gangsterów przenieść się np. do Kanady, ale robienie tragedii z powodu zamiany „kraju okupowanego” i biednego na wolny i bogaty do nich nie przemawia i ich nie przekonuje. Nawet jeżeli ta „zamiana” poprzedzona była falą prześladowań i nawet jeżeli wygnani Żydzi nie chcieli opuszczać kraju, który uważali za swoją ojczyznę.

Tym bardziej, że wygnańcy nie potrafili oderwać się od indywidualnego wymiaru i materialnego kształtu doznanej krzywdy. Nikt rozumny i uczciwy nie neguje, że krzywda się stała. Ale nie było celowe sprowadzanie do ram dramatu rzeczywiście odra-

żających metod celnych, ponizającego szantażu pakowaczy, administratorów, łapówkarstwa na rozmaitych szczeblach czy odrażającej atmosfery handlu mieniem żydowskim. Polskie władze bezpieczeństwa znalazły zresztą na to natychmiast antidotum. Rozesłały mianowicie do polskich placówek zagranicznych spisy rzeczy wywiezionych z kraju przez niektórych, względnie „zasobnych”, emigrantów. W ten sposób pozbawiony wyobraźni zachodni (nie mówiąc już o krajowym) „kontrahent” polskiego *attaché* prasowego oglądał spis wywiezionego mienia, często przekraczającego jego własny stan posiadania i oczywiście nie sięgał myślą do tego wszystkiego, co w dziedzinie pozamaterialnej, a więc trudno uchwytniej, towarzyszyło „emigracji”.

## 8. *Nie zapomnij!*

Zachodnie środowiska żydowskie, poświęcające swój czas, energię i... pieniądze przesiedleńcom z Polski miały nieprecyzyjny pogląd na rodzaj prześladowań, jakim podlegali w kraju pochodzenia ich podopieczni. Niektórzy wyobrażali sobie np., że podstawowym elementem terroru było zamykanie synagog i eliminowanie języka żydowskiego. Przez jakiś czas tego typu pretensje — którym towarzyszyło bilansowanie strat materialnych — prześlonyły w zachodniej prasie moralną stronę prześladowań: upokarzanie, izolację, bezradność wobec absurdalnych i oszczerczych oskarżeń, jakie spadły na polskich Żydów.

Równocześnie dla filantropijnych organizacji żydowskich, szczerze oddanych akcji pomocy wygnańcom, podstawowe zadanie sprowadzało się do zapewnienia środków do życia w okresie przejściowym między przekroczeniem granicy polskiej a osiedleniem w kraju docelowym. Wszelkie próby zainteresowania tych organizacji zbieraniem materiałów statystycznych, biograficznych czy rzeczowych w zakresie powodów wyjazdu, procedury dyskryminacyjnej itp. były odrzucane z niechęcią. Jest coś szalenie paradoksalnego i zabawnego w kategorycznej odmowie Jointu zbierania jakichkolwiek materiałów dotyczących ostatniej fazy istnienia polskiego żydostwa, paradoksalnego i zabawnego, albowiem chodzi o ten sam Joint, który w ogłupiającej propagandzie moczarskiej prasy był główną centralą szpiegowską, połączeniem Dajana i CIA. W wyniku tego zafascynowania filantropią zmarnował się niezwykle cenny materiał historyczny, dotyczący w tym samym stopniu Żydów co i Polaków, degeneracji ustroju demokracji ludowej no i kolejnej klęski socjalizmu w rozwiązaniu kwestii narodowej.

## 9. Nie poddawaj się!

Zachód, a przede wszystkim niektóre organizacje izraelskie, nie potrafiły zrozumieć, że spora liczba osób pochodzenia żydowskiego zmuszonych do opuszczenia swojej ojczyzny i wyrzeczenia się obywatelstwa, wyjechała z Polski dlatego, że był to jedyny kraj, w którym... nie pozwalano im być Polakami, że ich stosunki z Polską nie układają się w zależności od humoru Gomułki czy stopnia upadku partii komunistycznej. I że, z rozmaitych powodów, wielu z tych ludzi pozostaje Polakami będąc w Szwecji, Danii czy nawet w Izraelu. Nie warto się tu wdawać w zawiłe rozważania na temat czynników decydujących o przynależności do narodu, wystarczy natomiast stwierdzić, że wielu emigrantów jest nadal z Polską związanych tysiącnymi nićmi osobistymi, że mają tam rodziny, bliskich, a nawet bardzo bliskich przyjaciół, że czekają w Szwecji czy Danii (bo Izrael jest wyklęty przez rząd polski) na brata czy siostrę, dziewczynę czy chłopca.

Rozproszona geograficznie i światopoglądowo mała grupka emigrantów polskich atakowana jest przy tym z Polski — z kraju, gdzie utopiła większość swego życia i wszystkie swe złudzenia — przez swych byłych prześladowców, poszukujących obecnie szybkiego alibi. Potrzebują oni tego alibi przede wszystkim wobec opinii w Polsce, albowiem wygnanie Żydów nie przyniosło, bo nie mogło przynieść, rozwiązania żadnego z ważnych problemów społecznych. Szukają też alibi wobec zagranicy, gdzie co jakiś czas ktoś z obrzydzeniem wspomina winowajców *exodusu* Żydów polskich.

Tak np. propaganda warszawska na użytek krajowy próbuje obarczyć byłych Żydów polskich odpowiedzialnością za fatalną opinię, jaką ma ostatnio Polska na świecie, tak jakby można było kogokolwiek rozumnego przekonać, że jakakolwiek grupa żydowska na świecie mogłaby wyrządzić Polsce większą krzywdę niż jej obecni „właściciele”. Wobec zagranicy podejmowane są z kolei próby przerzucenia na całe społeczeństwo odpowiedzialności za hecę antysemicką czyli, jak się to w Warszawie nazywa, „za zdrowy odruch narodu polskiego”, a tym samym za wszystkie niepowodzenia i kompromitacje, za które w istocie odpowiada wyłącznie nieudolne kierownictwo i skorumpowany aparat. W tym retroaktywnym poszukiwaniu alibi główni odpowiedzialni za „czasy pogardy” 1967-1970 w Polsce nie cofali się przed żadnym draństwem. *Życie Literackie* opublikowało w październiku i listopadzie 1969 serię bredni, mających demaskować antysocjalistyczną działalność żydowskich emigrantów z Polski, należących od daw-

na do szpiegowskiej siatki, kierowanej z Wiednia przez inż. Wiesenthala. Przy tej okazji piśmisko to posunęło się do profanacji pamięci żydowskich żołnierzy poległych w czasie ostatniej wojny w walce o wolność Polski. Jeden mianowicie ze wspomnianych artykułów oskarża brata jednego z emigrantów o pozostawanie w służbie CIA i przynależność do siatki szpiegowskiej NATO, podczas gdy ów brat, oficer 2-go Korpusu, poległ na włoskim froncie w 1944 roku i pochowany jest na cmentarzu wojskowym w Loreto.

Najśmieszniejsze, ale i najbardziej obraźliwe i niegodne a zarazem reprezentatywne dla taktyki rządu polskiego, były wypowiedzi ministra Spraw Zagranicznych. Ów pan, w czasie oficjalnej wizyty w Paryżu, pozwolił sobie na określenie wygnania Żydów z Polski jako „emigracji wyłącznie zarobkowej”. Według niego, nagle i naraz, wszyscy Żydzi polscy postanowili sobie poprawić byt, spakować manatki i wyjechać, tak jak by nic się nie stało po czerwcu 1967 i po marcu 1968, jakby nie było „5 kolumny”, „Mośków do Dajana”, „połamiemy im kości”, tak jakby nie było masowych *moralnych* egzekucji, zbiorowych wyroków itd. Tradycyjne we Francji prawa gościnności — a może i jakiś polityczny trend — uchroniły polskiego dygnitarza od właściwej odpowiedzi na miejscu, ale dla sytuacji wygnańczej grupy jest znamienne, że mimo nieukrywanego obrzydzenia żadna z gazet paryskich nie zareagowała jak należy na ewidentną kpinę ze zdrowego rozsądku gospodarzy, to znaczy francuskich... dziennikarzy. Jedyna znana nam próba reakcji, merytorycznie przez redakcję niekwestionowana, została z zażenowaniem odrzucona, „bo nie chcemy mieć kłopotów z ambasadą polską”.

## 10. *Nie pchaj się!*

I wreszcie otwarta pozostaje sprawa, wymagająca szczególnie subtelnych sformułowań, mianowicie pogląd sprowadzający źródła wielu nieporozumień do dużego udziału ludzi z tzw. żydowskim pochodzeniem w działalności Komunistycznej Partii Polski przed wojną, a potem we władzach partii i państwa socjalistycznego.

Przez parę wieków, aż do drugiej wojny światowej, znaczna część ludności żydowskiej w Polsce faktycznie była grupą narodowościową, odrębną tak przez swój język, jak przez obyczajowość i religię. Okoliczność ta była bardzo wartościowa dla kultury polskiej, która — jak wiele innych wielkich kultur światowych — sporo zawdzięcza ludziom, znajdującym się na przecięciu

czy styku kilku formacji kulturowych czy wprost żyjących na peryferiach narodu. Jednocześnie wielu Żydów, zwłaszcza tych świeżo asymilowanych, nie miało tak silnego związku z polską tradycją narodową (dobrą i złą), jak „prawdziwi” Polacy, dzięki czemu posiadali znacznie większą, bo wolną od balastu, ruchliwość umysłową, no i wynikające z tej ruchliwości większe zrozumienie dla haseł internacjonalistycznych. Co prawda w docho-  
dzeniu do komunizmu podstawową atrakcją dla Żydów był jego program definitywnego rozwiązania kwestii żydowskiej, niemniej dla świeżo niepodległej, w świeżo odzyskanym państwie, opinii polskiej ważny był fakt, że znaczna liczba Żydów włączyła się do działalności organizacji, która w swoim programie proponowała okroić Polskę z połowy jej terytorium, bądź w ogóle przyłączyć ją do wspianiałej wspólnoty narodów sowieckich. Po drugiej wojnie światowej niemniej ważny był udział Żydów w organach ucisku, które spełniały rolę jawnie agenturalną wobec ZSSR, przy czym wielu ludzi wyznawało pogląd, iż to Stalin, aczkolwiek sam Żydów nie ubóstwiał, posłał ich do tych organów, zgodnie z wypróbowaną przez niego zasadą, że należy używać ludzi innych narodowości do tępienia Ukraińców, Gruzinów, Litwinów. Być może, że chciano także zapewnić sobie możliwość rzucenia w odpowiednim momencie hasła: „Wszystkiemu winni Żydzi”.

Historycznie teza ta sprawdzała się bez pudła. Przed wojną hasło brzmiało „Precz z żydo-komuną” i było prorządowe. Po wojnie brzmiało identycznie i było antyrządowe. W 1956 roku udział Żydów w przygotowaniach do polskiego „października” miał skompromitować Gomułkę, a w 1968 — udział Żydów miał, m.in. według Gomułki właśnie, zohydzić wspianiałe zryw polskiej młodzieży i bunt intelektualistów.

Tyle byłoby refleksji po-*exodus*’owych, częściowo choćby uzupełniających znany już z wielu różnej jakości zapisów, faktograficzny opis ostatniego etapu prawie tysięcletniego długiego marszu Żydów polskich. Nie są to naturalnie wszystkie uwagi, jakie mogą się w tej sprawie nasuwać, ale wydają się one nieodzowne dla zrozumienia głębszych implikacji *exodusu*.

### *Pięć etapów*

Umieszczenie sprawy udziału Żydów w działalności partii komunistycznej i władz państwa socjalistycznego w ostatnim punkcie powyższego dekalogu nie jest przypadkowe. Jest to bo-

wiem najbardziej drażliwy i kontrowersyjny z tych wszystkich czynników, jakie sprawiły, że mimo upływu lat od „odstrzału” polskich Żydów, mimo opublikowania setek najrozmaitszych relacji z samej akcji wysiedlania, ostatnia fala emigracji, złożona przecież w olbrzymiej większości z ludzi władających piórem, nie potrafiła opublikować syntezy skomplikowanych zjawisk ostatniego okresu, jaki dane było przeżyć Żydom na terenie Polski.

Czynniki te okazały się mniej drażliwe naturalnie dla „prawdziwego” Polaka, Władysława Bieńkowskiego. W każdym razie nie przeszkodziły mu one, a nawet wprost przeciwnie, skłoniły go do podjęcia próby takiej syntezy. Pozbawiony kompleksów i złudzeń, Bieńkowski podchodzi do ostatniego rozdziału historii swego kraju, swojej partii i swojej ideologii spokojnie, bez uprzedzeń, ze znanstwem rzeczy i ludzi, ze znajomością kulis wydarzeń, ich wzajemnych związków przyczynowych.

„Motory i hamulce socjalizmu” to książka znamienita, ważna i interesująca. Jeżeli jednak nią się tutaj zajmujemy, to dlatego, że jest to pierwsza w polskiej literaturze politycznej ostatnich lat próba nie sekciarskiego i nie antysemitckiego podejścia do sprawy żydowskiej. I to mimo, że oczywiście sprawa żydowska stanowi dla Bieńkowskiego zagadnienie wtórne, któremu, obok sporadycznych odniesień, poświęca oddzielnie tylko niewielki i to wysoce kontrowersyjny rozdziałik. Jednak na tle koszmarnego zalewu pseudoliteratury i pseudopublicystyki, pełnej po prostu ukrytej lub też wprost jawnej propagandy antysemitycznej, ten mały rozdziałik zasługuje na uwagę i upowszechnienie. I choć tak z punktem wyjścia, jakim jest dla Bieńkowskiego rażąco wysoki, według niego, udział Żydów w działalności partii komunistycznej i we władzach Polski socjalistycznej, co i z wieloma refleksjami, nie można się zgodzić, to trzeba przyznać, że od czasu publicystyki Leszka Kołakowskiego i tygodnika studenckiego *Po prostu* nie powstał nad Wisłą tekst, który by na ten temat tyle dawał do myślenia.

W sprawie żydowskiej Bieńkowski stwierdza od razu na wstępie:

„Nigdy w dziejach antysemityzm nie odgrywał samoistnej roli, zawsze był osłoną dla programów, które dla ich łatwiejszej przyswajalności odwoływały się... do zabobonów gromadzonych w psychice społecznej od średniowiecza. Wznosząca się fala antysemityzmu zawsze oznaczała przypływ reakcyjnych tendencji społecznych, zawsze wymierzona była w siły lub idee postępu...”.

Dla Bieńkowskiego wygnanie Żydów jest „finałem procesu



trwającego równe pół wieku”, a jego główne źródło tkwi „w stosunku między rewolucyjną partią w Polsce a ludnością żydowską i w roli jaką Żydzi w różnych okresach w Komunistycznej Partii Polski i w ruchu komunistycznym odgrywali”.

Rozumowanie Bieńkowskiego, zawarte w rozdziałiku, który nosi eufemistyczny tytuł „Przyczyny i preteksty. Refleksje nad sprawą żydowską”, da się rozbić na kilka etapów.

### *Etap pierwszy — luksemburgizm: za dużo Żydów*

Bieńkowski przypomina to, co się w historii polskiego ruchu rewolucyjnego nazywa błędami luksemburgizmu, a co z grubsza polegało na niedocenianiu hasła niepodległości Polski. To niedocenianie stwarzało ostrą barierę między komunistami a społeczeństwem polskim i izolowało ruch rewolucyjny od ludności. Inaczej było w odniesieniu do Żydów, „z natury rzeczy mniej wrażliwych na problem suwerenności narodowej”. Bieńkowski dodaje natychmiast, że „biedota żydowska widziała w Komunistycznej Partii Polski drogę do usunięcia rasowej i narodowościowej dyskryminacji i prześladowań, inteligencja, a także niektóre elementy burżuazyjne, widziały w programie rewolucji socjalistycznej drogę do społecznej asymilacji i jedyną metodę rozwiązania kwestii żydowskiej w ogóle”. W dalszym ciągu Bieńkowski wskazuje, że również po odzyskaniu niepodległości w 1918 roku partia pozostawała w izolacji z powodu wyeliminowania z propagandy i ideologii słownictwa i elementów tradycji narodowej. Natomiast, jak pisze Bieńkowski, „przeszkody te w nikłym stopniu mogły odgrywać rolę dla elementu żydowskiego. Nie odmawiając Żydom Polski, polskości i patriotyzmu... to przecież bariera jaką stanowiła spychająca Polskę i narodowe jej problemy internacjonalistyczna frazeologia komunistów nie stanowiła przeszkody dla Żydów, również dla inteligencji żydowskiej. W efekcie udział elementu żydowskiego był w ruchu komunistycznym nieproporcjonalnie duży, a przeważający w jego kadrze kierowniczej. To z kolei przyczyniało się do wyobcowywania partii w stosunku do społeczeństwa polskiego, stanowiło jeszcze jedną, wykorzystaną przez reakcyjną propagandę, barierę. Niewątpliwie w polityce personalnej Kominternu, a w konsekwencji Komunistycznej Partii Polski odgrywał rolę fakt, iż aktywiści żydowscy w mniejszym stopniu podlegali podejrzeniom o polski nacjonalizm”.

## *Etap drugi — stalinizm: za dużo Żydów*

Jeżeli chodzi o okres po drugiej wojnie światowej, to Bieńkowski stwierdza, że wśród ocalałych Żydów uratowała się także „spora ilość starego aktywu komunistycznego oraz tacy, którzy się do ruchu włączyli w czasie wojny, często w szeregach armii. W czasie budowy zrębów odrodzonego państwa i budowy aparatu partyjnego, kierującego tym historycznym procesem, udział owych ocalałych Żydów był znaczny, a wśród górnego aktywu oni w dużej mierze stanowili stary wypróbowany ideologicznie trzon”. Po 1948 roku, kiedy to niektórych działaczy (nie-Żydów, jak podkreśla Bieńkowski) poddano represjom po posądzeniu ich o „tendencje nacjonalistyczne”, „rola aktywu żydowskiego pochodzenia, jako nie podejrzanego o polski nacjonalizm, wzrosła w całym aparacie. Szczególnie duży był ich udział w niektórych służbach wymagających większego politycznego zaufania, w placówkach służby zagranicznej, zarówno dyplomatycznej jak i handlowej, a nawet wojskowej”. Równocześnie „na klimacie jaki w społeczeństwie wytworzył się dookoła nielicznej ocalałej ludności żydowskiej zaciążył fakt szerokiego użycia Żydów w rozbudowanym aparacie bezpieczeństwa. Polityka kierowana przez pełnomocników Berii, a realizowana przez kierownictwo partii dążyła do tego, aby ostry reżym policyjny realizować przy znacznym udziale Żydów w pewnym sensie świadomie przeciwstawiając ich społeczeństwu polskiemu...”.

## *Etap trzeci — rewizjonizm: za dużo Żydów*

Nadszedł XX zjazd i polski „październik”. Bieńkowski stwierdza, że „załamania się i częściowe ujawnienie systemu stalinowskiego wywołało u większości ludzi ideologicznie zaangażowanych objawy ostrego kryzysu... który dotknął także część partyjnych aktywistów i inteligencji twórczej pochodzenia żydowskiego. Wielu z nich od gorliwej wiary w nieomyślność partii przerzuciło się do nieufności i krytycyzmu. 'Rewizjonizm' z tej strony wywołał szczególnie rozdrażnienie kierownictwa”. Bieńkowski dodaje, że w „międzyczasie w stosunku do ludzi pochodzenia żydowskiego zaczęła zachodzić zmiana zasadniczej natury”, mając — jak wynika z jego słów — na myśli całą serię aktów antysemitycznych ze strony tego rozdrażnionego kierownictwa. „Zmiana ta — pisze Bieńkowski — nie mogła nie wywrzeć wpływu na postawę aktywistów żydowskich... co przejawiało się w przypad-

kach ucieczki za granicę Żydów pełniących różne nieraz bardzo poufne funkcje, co z kolei wpływało na atmosferę nieufności i podejrzliwości...”.

### *Etap czwarty — walka o władzę: za dużo Żydów*

Przechodząc do etapu następnego czyli do wydarzeń roku 1968, Bieńkowski pisze, że w chwili otwarcia „ostatniego aktu dramatu ważną rolę odegrał fakt, iż szczególnie dostrzegalny był udział Żydów w niektórych zawodach twórczych (literaci), w nauce, w tzw. aparacie ideologicznym (prasa, radio, telewizja, wydawnictwa). Kiedy bowiem... przyszło likwidować ostatnie ogniska 'liberalizmu' — w naukach społecznych, wśród literatów, w aparacie ideologicznym — rozprawę z tymi grupami inteligencji trzeba było przesłonić jakimś wygodniejszym pretekstem. Sytuacja sama wsunęła w ręce wysłużony sztandar antysemityzmu, zaktualizowany i przystosowany do bieżących wydarzeń... W autorytatywnym oświadczeniu (Gomułki po wojnie 6-dniowej — dopisek L.U.) obywatele polscy żydowskiego pochodzenia zostali uznani za faktycznych lub potencjalnych agentów wrogich imperialistycznych sił...”.

Jak to obrazowo pisze Bieńkowski, „zajścia studenckie stały się pretekstem do rozpoczęcia właściwej akcji. Po kilkunastodniowym huraganowym ostrzale przez prasę, radio, telewizję, w którym nie brakło argumentów czerpanych wprost z tradycyjnego antysemitckiego arsenału, rozpoczęło się polowanie na czarownicę... Rozgrywało się to w atmosferze, w której jakakolwiek obrona przed najbardziej absurdalnymi zarzutami była niemożliwa... Atak na Żydów był niezwykle wygodnym parawanem, ponadto obliczony był na pozyskanie poparcia przynajmniej ze strony części społeczeństwa... Organy, których zadaniem było oczyszczenie kraju z Żydów, wiedziały, że akcja ta nie może być przeciągana w czasie, toteż wykazywały pośpiech. Szło o to, aby przez pozbawienie możliwości zarobkowania, stworzenie atmosfery ostracyzmu i zamknięcie wszelkiej perspektywy, jak największą ilość ludzi zmusić do emigracji. Kampania antysemitcka sterroryzowała, odsunęła i zmusiła do milczenia wszystkich, którzy zachowali zdolność myślenia, zwyczajną ludzką uczciwość i obywatelską troskę o losy kraju. Na powierzchnię wypłynęły elementy zdeprawowane, ciemne czarnosecinne siły, gotowe do pójścia w każdym kierunku. Piętno przez te siły odcisnięte na życiu kraju rozpoczęło nową fazę naszych dziejów...”.

Swoje refleksje na tematy żydowskie Bieńkowski kończy dramatycznym fragmentem zacytowanym jako motto do niniejszego szkicu. Natomiast kwintesencję, może niezamierzoną, swych rozważań zawarł w jednym krótkim zdaniu: „Okazało się dość nieoczekiwanie, że ustrój socjalistyczny nie rozwiązał problemu żydowskiego, że przeciwnie, sam stworzył pożywkę, która utajonym bakteriom antysemityzmu pozwoliła przetrwać i odżyć”.

Gdyby nawet istniał zamiar jakże łatwej, ale z oczywistych przyczyn niemożliwej polemiki z Bieńkowskim, to jego własna konkluzja czyni jakikolwiek spór najzupełniej zbędnym\*.

Wynika z tej konkluzji bowiem jasno i niedwuznacznie, że to nie nadmiar Żydów, a niedosyt socjalizmu i demokracji był źródłem izolacji partii i antysemityzmu w Polsce. Tych kilka słów z książki Bieńkowskiego tłumaczy lepiej źródła antyżydowskiej hecy w Polsce niż najbardziej nawet dokładna — wcale zresztą nie taka jednoznaczna i warta przeprowadzenia — statystyka udziału Żydów w partii komunistycznej, we władzach państwa socjalistycznego, ich proporcje we władzach bezpieczeństwa i w... ucieczkach.

Po prostu, socjalizm, w jego polskim, wschodnioeuropejskim czy rosyjskim wydaniu, ten — inaczej mówiąc — narodowy socjalizm, ta swoista wersja nazizmu, ten sojusz prawdziwej prawicy — autentycznej reakcji społecznej, jaką jest kasta kurczowo i kosztem narodu trzymająca się władzy — z aparatem policyjnym, pozbawionym w ogóle ideologii, a ożywionym jedynie chęcią przejęcia i utrzymania korzyści związanych z trzymaniem narodu „za buzię”, taki „socjalizm” pozwala odżyć wszelkim wersjom beblowskiego „socjalizmu imbecyli”.

Można powiedzieć, że to nie w roku 1948, a dopiero w 1968 Gomułka stanął na czele prawdziwego odchylenia prawicowo-nacjonalistycznego. Obok tego starego modelu, polski neo-stalinizm i jego ideologiczny produkt — „neo-antysemityzm”, wniosły jednak do historii światowego obskurantyzmu także coś nowego. Bieńkowski mówi o tym na marginesie w całej notce: „W antysemityzmie współczesnym charakterystyczne jest, że o ile pro-

---

\* Mimo zbieżności, należy się oczywiście wystrzegać identyfikowania spostrzeżeń Bieńkowskiego z konkluzjami do jakich doszedł Andrzej Werblan w czerwcu 1968 roku. *Miesięcznik Literacki* z tej daty opublikował mianowicie artykuł Werblana o jawnie reakcyjnej treści, gdzie kierownik wydziału oświaty KC PZPR proponuje ustanowienie swoistego *numerus clausus* dla żydowskich komunistów.

paganda podsycła nienawiść wskazując na odrębność i obcość Żydów, to w istocie główne uderzenia kierują się w te grupy, które uległy w poważnym stopniu asymilacji". To znaczy w tych Żydów, którzy myśleli zgodnie z tym co pisał pewien polski Żyd nazwiskiem Izaak Deutscher, wskazując na przykłady Freuda, Marksa, Trockiego, Heinego czy Spinozy — że staną się wielkimi „kiedy przekroczą granice judaizmu”.

Okazało się jednak, że w Polsce Gomułki i Moczara jest to niemożliwe i że granic judaizmu Żydzi tam przekroczyć nie mogą. I że jak spróbują przekroczyć to zawsze im to ktoś uniemożliwi. I że zawsze się znajdzie ktoś — nawet w rządzie i w partii komunistycznej — kto najpierw Żydów polskich napiętnuje, za to że są inni niż pozostali, a potem za to, że starają się ową odrębność ukryć. Najsmutniejsze zaś, że ten ktoś za pomocą hasła antysemitckiego osiąga to co dla niego najważniejsze, a mianowicie neutralizację i zubożenie społeczeństwa.

Według niektórych, a wśród nich — jak widać z cytatów z książki Bieńkowskiego — nie brak nawet najbardziej światłych i postępowych przedstawicieli polskiej inteligencji, wystarczy „nieproporcjonalnie” duża liczba Żydów w jakimś środowisku, aby problem antysemityzmu automatycznie powstał. To nieprawda, to krzywdzi naród polski. Jak bowiem wynika z tego co się już po *Endlösung* w Polsce dzieje, nawet całkowity brak Żydów oficjalnego rządowo-partyjnego antysemityzmu nie zlikwidował, a „antysyjonizm” pozostał ulubionym zajęciem ideologów komunizmu polskiego.

Faktyczne i ostateczne oczyszczenie partii, władzy ludowej i Polski z Żydów nie przyniosło spodziewanych korzyści. Dało jedynie kilka tysięcy posad i mieszkań, natomiast pozwoliło ostatecznie obalić mityczną tezę o odwrotnie proporcjonalnej zależności jaka rzekomo zachodzi między liczbą Żydów w partii a jej popularnością w narodzie. Nikt poważny przecież nie posunie się do twierdzenia, że popularność partii jest dziś większa niż była w roku 1967, przed pozbyciem się Żydów. Istotną stratę poniosło też kierownictwo partii. Wyrzucając bowiem resztki Żydów, partia pozbawiła się dość efektywnej możliwości dywersyjnego działania. Już teraz nikt nie da się nabrać na hasło: „Żydzi winni...!”.

W 1956 roku młody, a już znany polski filozof Leszek Kołakowski pisał:

„Utrzymywanie antysemityzmu potrzebne jest politycznej reakcji zwłaszcza tam, gdzie chodzi o skupienie uwagi ludności na urojonych źródłach społecznych nieszczęść, w celu odwróce-

nia uwagi od jej źródeł rzeczywistych... Walka z Żydami rzadko bywa celem samym dla siebie... Antysemityzm ma stworzyć uniwersalny symbol zła, który następnie chce się związać w umysłach z tymi zjawiskami w polityce, kulturze, nauce, które trzeba zwalczać. Trzeba z żydostwa uczynić obelgę, którą będzie się piętnować wszystko, co ma być unicestwione... Cokolwiek wtedy w kulturze, w polityce, w życiu, ma być zohydzone i stać się przedmiotem nienawiści, może być przedstawione jako produkt żydowski”.

Przeczytajcie Bieńkowskiego! Jakże niewiele się w Polsce zmieniło między 1956 a 1969 rokiem. Bieńkowski i Kołakowski, dwa pokolenia Polaków, dwóch polskich patriotów, dwóch ludzi lewicy, dwóch intelektualistów. Jakże tragiczna jest ta prerażająca identyczność diagnozy!

W 1956 roku Kołakowski tak kończył swój artykuł:

„Kiedykolwiek cień antysemityzmu... przemyka przed bramami naszych domów — uwaga! kanalia stoi za rogiem!”.

W 1968 roku Bieńkowski tak woła:

„Na powierzchnię życia kraju wypłynęły elementy zdeprawowane, ciemne, czarnosecinne siły, gotowe pójść w każdym kierunku!”.

Kanalia nie stoi więc za rogiem. Kanalia jest już w domu. Prawda, że ten dom jest *judenrein*, ale przecież od początku było wiadomo, że tu nie chodzi o Żydów.

## CZEŚĆ TRZECIA: DROGI I KREW

1) Powyżej zamieszczony artykuł Leopolda Ungera napisany został w lecie 1970 roku a wydrukowany w grudniu 1970 roku w naukowym kwartalniku angielskim *Soviet and East European Jewish Affairs* w Londynie. Po 9 latach, mimo, że artykuł pisany był naprawdę na gorąco i tuż po banicji, nie muszę dziś w artykule zmieniać nawet jednego przecinka, co chyba o czymś świadczy...

2) Odojewski pisze, że „fałsz Holocaustu był na rękę pewnym Niemcom”, poszukującym współników w odpowiedzialności za zagładę. To prawda, ale czy tylko pewnym Niemcom? A gdzie są w tej wspólnej dla wszystkich Polaków sprawie dobrego imienia narodu, gdzie są, powtarzam, władze z Warszawy? Dlaczego Odojewski piętnuje tylko „zachodnich ekspertów”, w tym pewną

panią doktor „Żydówkę” i pewnego pana profesora, co „osobiście przeżył getto”? Dlaczego rząd warszawski uniemożliwił (i w chwili pisania tych słów ciągle uniemożliwia) wyjazd Bartoszewskiego do USA, gdzie ten najlepszy i najbardziej wiarygodny świadek Żegoty był zaproszony właśnie w celu mówienia o stosunkach polsko-żydowskich i w celu obalenia „fałszów Holocaustu”? A przecież Bartoszewski zaproszony był przez polską Fundację Kościuszki przy współpracy *B'nai Brith*, największej żydowskiej organizacji w USA. Gdzie tu spisek „sporej części...”? Komu milczenie Bartoszewskiego jest na rękę? Dlaczego, kiedy najbardziej popularny magazyn francuskiej telewizji (15 milionów widzów) szykował program o warszawskim getcie, to władze polskie, mimo zaproszenia, nie delegowały Bartoszewskiego ani żadnego innego wiarygodnego i prawdziwego polskiego członka Żegoty czy innych akcji pomocy Żydom, natomiast przysłały pewnego korespondenta prasy warszawskiej, znanego raczej z działalności „antysyjonistycznej” przed i po marcu 1968 roku? Kto komu jest tu „bardziej niż niechętny”?

3) Historia polskiego żydostwa jest długa, wspaniała, tragiczna i wspólna z historią Polski, ale — choć Żydów polskich już nie ma — ich historia nie jest zamknięta.

4) Może potrafi ją zamknąć polski papież. Mówiąc o Oświęcimiu jako o Golgocie współczesnego świata i modląc się nad żydowskimi prochami krematoryjnymi, „gdzie nikt nie może pozostać obojętny”, papież tchnął wymiar historii w polsko-żydowską niedolę. Szkoda wielka jednak, że papież, który odwiedził dziesiątki miejsc w Polsce, nie przystanął choć na chwilę przed mogiłą warszawskiego getta. Oświęcim jest grobem pewnego etapu europejskiej i chrześcijańskiej cywilizacji. Grób i symbol polskich Żydów mieści się gdzie indziej — w getcie w Warszawie. A może papież chciał pójść do getta, tylko władze się na to nie zgodziły? Myślę, że postać polskiego papieża u pomnika getta warszawskiego dałaby prawdziwy znak i symbol pojednania.

5) Odojewskiego „napawa głębokim smutkiem fakt, iż drogi narodów zamieszkujących przez kilka wieków tę samą ziemię, rozchodzą się coraz bardziej”. To nieprawda, nie rozchodzą się. Z braku przechodniów. Dziś już nie liczą się drogi, liczy się tylko krew. Nie ta co w żyłach, ale ta, co została przelana.

*A m e n.*

Pisane 9 czerwca 1979.  
*Kultura* nr 9/372, 1979.

## SPIS TREŚCI

JAK „WIDZIEĆ Z BRUKSELI”?	7
---------------------------	---

### NA ZACHODZIE BEZ ZMIAN

<i>Mój anty-raport o stanie wojennym</i>	13
<i>Jego Ekscelencja Dr Amadu Mahtar M'Bow, dyrektor generalny Organizacji Narodów Zjednoczonych do spraw Oświaty, Nauki i Kultury (UNESCO), Paryż, pl. Fontenoy</i>	33
<i>Główka pracuje</i>	48
<i>Wojna o pokój</i>	62
<i>Czterdziesta trzecia</i>	75
<i>Białe, czarne i czerwone</i>	85

### DZIURY W PRZEDMURZU

<i>Podróże kształcą</i>	97
<i>Deutschland, Deutschland</i>	111

### SPADEK PO JAŁCIE

<i>Prawo do brzydoty</i>	127
<i>Trzy listy na temat Madrytu między Warszawą, Paryżem i Brukselą pod ogólnym hasłem „O wilku mowa...”</i>	136



## KRÓTKI KURS ZSSR

<i>Jimmy Reagan?</i> .....	149
<i>Ciocia z kontrwywiadu</i> .....	164
<i>Twardy lot i miękkie lądowanie</i> .....	182
<i>A jeżeli rzeczywiście to byli Rosjanie?</i> .....	193
<i>Co napisał pan Szewczenko?</i> .....	204

## A JEDNAK SIĘ KRĘCI (EUROPA)

<i>Wystarczy lekki wstrząs</i> .....	215
<i>Ziewanie Europy</i> .....	230
<i>Trzecia schizma</i> .....	239

## WIENIEC BEZ LAURÓW

<i>Kto się boi „Apocalypics now”?</i> .....	249
<i>Pięć skrwawionych kótek</i> .....	274
<i>Aby wygrać, trzeba nienawidzić przeciwnika</i> .....	281
<i>ZCZS OTK545 ITF o20 ARI580 739</i> .....	296

## ŚCIANA BEZ PŁACZU

<i>Znowu o jeden naród za dużo...?</i> .....	307
<i>B ł y s k a w i c a</i> .....	320
<i>Ośmioletnia podróż pirata z Oceanu Lodowatego na Morze Śródziemne</i> .....	332
<i>Rosyjski szczep na żydowskim sercu</i> .....	343

## EPILOG (TESTAMENT, POŚLANIE...)

<i>Mój ostatni samolot</i> .....	361
----------------------------------	-----



**ACHEVE D'IMPRIMER  
LE 16 MAI 1986  
SUR LES PRESSES DE  
L'IMPRIMERIE RICHARD  
24, RUE STEPHENSON,  
PARIS (XVIII<sup>e</sup>).**

**Dépôt légal : 2<sup>e</sup> trim. 1986.**

**N<sup>o</sup> d'imprimeur 7468.**

